



Ed
McDonald

Zew
kruka

Znak Kruka **II**
księga

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Czarnoskrzydły: Co się wydarzyło dotychczas

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40



Ed
McDonald
zew
kruka

Znak Kruka II
księga II

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Ravencry – Book Two of the Raven's Mark*

Copyright © 2018 by Ed McDonald

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-58-1

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

To dla Kit.

Podziękowania

„Jasne, z drugą książką nie będzie kłopotu!” – powiedziałem.

Ha!

Kiedy wydasz książkę, zazwyczaj przypisują ci wszystkie zasługi, ale każda powieść to owoc pracy całego zespołu. Dlatego serdeczne podziękowania otrzymują:

Moi redaktorzy Gillian Redfearn, Jessica Wade i Craig Leyenaar za bezcenne uwagi dotyczące rozwoju fabuły, twórcze burze mózgów oraz pomoc w skupieniu na pracy, gdy dopadały mnie syndrom oszusta lub całkowite zamroczenie.

Mój agent Ian Drury, któremu jestem ogromnie wdzięczny za okazane zaufanie i rzucenie mnie w głąb króliczej nory.

Ludzie ciężko pracujący za kulisami, zwłaszcza Miranda Hill, Stevie Finegan, Alexis Nixon, Jen McMenemy i wszyscy inni, którzy pomagają rozwijać ten cykl.

Gaia Banks i Alba Arnau z Sheil Land za ich niezwykle wysiłki w celu przełożenia moich książek na coraz większą liczbę języków.

Wszyscy w londyńskiej Akademii Longsword, z którymi trenowałem i odbywałem sparingi w ciągu ostatnich czterech lat. Byliście fantastycznymi obiektami, na których mogłem wypróbować sceny walk.

Andy Stoter, który nazwał swój pierwszy mówiący młot bojowy +3 „Łyżką” i razem ze mną wiódł tuzin żyć w światach naszej wyobraźni.

Szczególne podziękowania należą się moim dziadkom, Millie i Leslie’emu, których opowieści z czasów drugiej wojny światowej stanowiły dla mnie bogate źródło inspiracji podczas pracy nad książką. Wątpię, abym oddał im sprawiedliwość, ale zdołałem przynajmniej podzielić się niektórymi z nich.

Od czasu wydania *Czarnoskrzydłego* w dużej mierze polegam na

niewyczerpanej cierpliwości dwóch osób, które również zasłużyły na wyjątkowe podziękowania. Moje przyjaciółki z daleka, Taya i Meg: co prawda nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale zawsze słuchacie mnie z życzliwością.

Dziękuję wreszcie swojej mamie, która od zawsze rozbudzała we mnie pragnienie wymyślania i opowiadania historii, oraz tacie, który włożył mi do ręki mój pierwszy drewniany miecz, gdy miałem trzy latka. Moja obsesja na punkcie goblinów i smoków być może czasami was zastanawiała, ale to wy jesteście za wszystko odpowiedzialni.

Czarnoskrzydły: Co się wydarzyło dotychczas

Bezimienni i Królowie Głębi od niepamiętnych czasów toczą wojnę. Królowie Głębi pragną zniewolić ludzkość i zmienić ją w roboli – posłuszne, zdeformowane stwory, które oddają im cześć. Bezimienni, okrutni i mający na uwadze jedynie końcowy triumf, stoją im na drodze.

Minęło osiemdziesiąt lat, odkąd Wronia Stopa użył Serca Pustki przeciwko nadchodzącym siłom wroga, tworząc Nieszczęście – skażone mistyczne pustkowie, gdzie wędrują widma, zmutowane istoty szukają pożywienia pośród piasków, a odległość ani kierunek nie są tym, czym się wydają. Tę krainę potrafią przemierzać tylko wytrawni nawigatorzy kierujący się pozycją trzech księżyców.

Ryhalt Galharrow jest kapitanem Czarnoskrzydłych. Za sprawą czarów zmuszony do służenia Wroniej Stopie, jednemu z Bezimiennych, zajmuje się usuwaniem buntowników, zdrajców i szpiegów. Kiedy rusza na pomoc zagrożonej przez roboli Elizabeth Tanzie – Przędzarce zdolnej przekształcać energię światła w magię, kobiecie, którą kochał i utracił przed dwudziestu laty – wspólnie dokonują przerażającego odkrycia. Maszyneria Nalla, broń stojąca na straży granic Nieszczęścia, została pozbawiona mocy, przez co Królowie Głębi mogą sprowadzić swoje potężne armie i użyć ich w wojnie przeciwko Bezimiennym.

Galharrow i Elizabeth, wspólnie z wojowniczką Nenn, nawigatorem Tnotą oraz bratem Elizabeth, hrabią Dantrym, odkrywają spisek sięgający najwyższych szczebli władzy. Księżna Herono znajduje się pod wpływem Shavady, jednego z Królów Głębi, i chociaż Galharrow ją pokonuje, jest już za późno. Maszyneria Nalla zawodzi, a robole

ruszają ku granicy.

Podczas rozpaczliwej walki Elizabeth i Ryhalt odkrywają tajemnicę, która pozwala Bezimiennym pokonać Króla Shavade i ocalić miasto, lecz słono za to płacą: Elizabeth ginie.

Ale oto pojawiają się plotki o widmie, które krąży w sieci światła, o duchu, którego rzadko się widuje...

1

W swoim liściku Levan Ost nalegał, abym przybył sam.

Zegary właśnie miały wybić czwartą, gdy zbliżyłem się do umówionego miejsca. Noc niosła ze sobą fioletową poświatę, Rioque i Clady przybywało i nie przesłaniały ich chmury. Szybko szedłem poprzez zimowy chłód. Zakapturzony. Uzbrojony. Czujny. Kiedy ostatnio spotkałem się z Levanem Ostem, próbował mnie utrupić rozbitą butelką. Ale to było dawno i, prawdę mówiąc, pewnie sobie na to zasłużyłem.

Poczułem kanał trzy ulice wcześniej, niż go zobaczyłem. Woda była czarniejsza od ropy, a okoliczne ulice niemal całkowicie opustoszały. Nikt nie chciał mieszkać w takim smrodzie. Kanały Valengradu nigdy nie nadawały się do pływania, ale po oblężeniu wrzuciliśmy do nich martwych roboli, aby tam zgnili. Złą magię nie tak łatwo zmyć, więc toksyny zatrwały wodę. Cztery lata później wciąż pamiętała tamte wydarzenia.

Ost chciał się spotkać na barce zacumowanej przy kanale szóstym. Była to stara droga wodna na zachodnim skraju Valengradu, za gęstymi rzędami żołnierskich kamienic. Mijałem barki wyładowane rżniętym kamieniem, wyprawiane na południe, gdzie wznoszono potężną fabrykę fosu w Ścieku. Setki ton kamienia spoczywały na cuchnącej wodzie, czekając, aż staną się częścią Wielkiej Iglicy. Kanał szósty nie należał do najgorszych, ale fetor i tak wdzierał mi się do gardła.

Przystanąłem w cieniu na rogu ulicy. Wzdłuż obu brzegów stały wąskie łodzie i barki z mocno przywiązanim ładunkiem. W ciągu ostatniego tygodnia dotknęły nas dwa trzęsienia ziemi, a nikt nie miał ochoty wyławiać rozsypanych kamiennych bloków ze skażonej wody. Patrzyłem w milczeniu, ukryty w ciemnościach, pozwalając kolejnym

minutom mijać. Nie było potrzeby się niecierpliwić.

Nic się nie poruszało na czarnej wodzie. Przygaszone świetlne rurki cicho szumiały. Nie widziałem nikogo na pokładach, barki były pogrążone w mroku i opustoszałe. Światło paliło się tylko w jednej kajucie, na dawnej barce turystycznej, która spędzała ponizającą emeryturę na przewożeniu towarów. Miała czterdzieści stóp długości i ogołocony pokład. Dziwne miejsce na pułapkę, jeśli rzeczywiście ktoś ją na mnie zastawił. Poprawiłem broń pod płaszczem, ale jeśli pakujesz się w zasadzkę, nie ma większego znaczenia, czy jesteś uzbrojony. Postanowiłem pojawić się tutaj samotnie ze względu na Osta, naszego dawnego współnika. Moi rekruci skrzywiliby się i jęknęli, gdyby zobaczyli, że zaniedbuję wszelkie zasady bezpieczeństwa, które im wpajałem, lecz one były przeznaczone dla nich, nie dla mnie.

Wsunąłem dłoń pod płaszcz i odciągnąłem kurek pistoletu skałkowego.

– Ost!

Czarna woda pochwyliła i spłaszczyła moje słowa.

Jakiś cień pojawił się na tle zabrudzonego szkła. Zazgrzytała naciągana kusza i drzwi kajuty się otworzyły. W świetle stanęła powykręcana, smukła sylwetka.

– Kapitanie Galharrow? – odezwał się szorstki głos palacza. – Tak cię teraz nazywają, prawda? Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Levan Ost wyglądał tak, jakby przez rok nie dojechał, a potem stoczył się ze wzgórza, może nawet kilkakrotnie. Miał zaniedbane i niezgrabne ciało, a jego mięśnie powoli przegrywały walkę ze starością. Długa broda miała kolor popiołu, ale w oczach wciąż płonął zapal. Twarz była usiana okrągłymi bliznami, które pozostawił robak Nieszczęścia.

– Miło cię widzieć, Levanie – odpowiedziałem, chociaż wcale tak nie było.

– Wejdz. Ciepło ucieka.

Widząc, jak się chwieje, domyśliłem się, że jest pijany. Miałem ogromne doświadczenie w kontaktach z pijakami.

Nie wyglądał groźnie. Jeśli zaprosił mnie tutaj po to, żeby

dokończyć to, co zaczął przed laty za pomocą rozbitej butelki, to źle się przygotował. Powoli zaciągnąłem kurek pistoletu, ale wciąż trzymałem na nim kciuk, gdy wchodziłem na pokład.

W odróżnieniu od jednostek towarowych tłoczących się na większości nabrzeży ta barka kiedyś odbywała luksusowe rejsy, na których arystokracja rozkosznie trawiła popołudnia. Potem pojawiły się długi, nuda, kanały poczerniały i właściciel sprzedał barkę lub dla zarobku zaczął nią przewozić owoce.

– Masz jakąś załogę? – spytałem.

– Nie.

Prosta kajuta miała rozmiary dwanaście na dwanaście stóp, stało w niej kilka zużytych krzeseł, a na haku pod sufitem wisiała staroświecka lampa oliwna. Ost zaproponował, abym usiadł. Nie skorzystałem. Sprawiał wrażenie niepewnego; poprawił kilka przedmiotów na prostym stoliku. Zwróciłem uwagę na plik papierów i butelkę wina, którego rocznik nie świadczył o zamożności ani dobrym guście. Obok stała pusta butelka. Kolejna znajdowała się pod ścianą. Na stole leżał pałasz z jelcem koszowym. Wątpiłem, aby Ost zamierzał użyć tej broni przeciwko mnie, ale nawet gdyby tak było, nie miałem czego się bać. Był stary, pijany i wyszedł z wprawy.

– Dawno się nie widzieliśmy – odezwałem się cicho. W środku nocy pierwotny lęk przed ciemnością sprawia, że wolimy szeptać.

– Chyba tak – przyznał. – Od czasu, gdy walczyłeś z Torolem Manconem. – Jego głos zachował dawną śmiałą szorstkość. Nigdy nie zdobył rangi wyższej od nawigatora, ale i tak cieszył się szacunkiem i miał dostęp do namiotu dowodzenia. Nigdy też za mną nie przepadał, ponieważ pochodził z prostej rodziny, ja zaś wywodziłem się z arystokracji, a poza tym trzeba przyznać, że był ze mnie kawał aroganckiego drania.

– Wciąż masz o to żal?

Ost wzruszył ramionami.

– Zawsze lubiłem Mancona – odrzekł. – Potrafił słuchać, chociaż urodził się bogaty jak książę. Sprowadziłeś na niego paskudną śmierć, ale nie możesz się o to obwiniać. Sam domagał się pojedynku.

Nie przyszedłem tutaj po to, żeby rozliczać się z dawnych uraz.

– Podobno masz informacje kluczowe dla bezpieczeństwa Valengradu – zagadnąłem.

– Wina? – spytał Ost. Na szklankach widniały rozmazane ślady palców, więc zapewne nie powinienem tego robić, ale i tak wziąłem jedną ze stołu. Nigdy nie odmawiam usmarowanej szklanki podłego wina, niezależnie od pory dnia i sytuacji.

Ost przyjrzał się mojemu mundurowi. Popatrzył na dopasowany płaszcz z dwoma rzędami srebrnych guzików, który sięgał mi aż do kolan. Na uniesione srebrne skrzydła naszyte na ramionach. Kiedyś przysięgałem, że już nigdy nie założę munduru, ale czas, pieniądze i prestiż zmieniają nas wszystkich w kłamców, a to był płaszcz w moich własnych barwach. Popijałem wino, czekając, aż Ost przestanie mi się przyglądać i zacznie mówić.

– Wygląda na to, że życie traktuje cię lepiej niż pozostałych z nas – odezwał się w końcu.

– Zależy od punktu widzenia.

– Przyjemnie się urządziłeś w szeregach Czarnoskrzydłych, prawda? – Nuta niechęci. Trudno nazwać pracę Czarnoskrzydłych przyjemną. Polowanie na dezertersów, szpiegów, zdrajców i biednych drani, którzy wpadli w szpony Kultu Głębi, nie przysparzało mi popularności, a podległość Wroniej Stopie to nie piknik. – Od czasu oblężenia jesteś na fali, wróciłeś do łask. Wygląda na to, że książęta obsypują cię złotem, żebyś utrzymywał porządek w mieście, a pół świata się ciebie boi.

– Brudne sumienie rodzi strach – odparłem. – Niektórzy ludzie powinni się bać.

Ost pokiwał głową. Przesunął dłonią po łysiejącej głowie. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat, może więcej. Był dumny. Potrzebował czasu, żeby powiedzieć, czego sobie życzy.

– Nie chciałem z tym do ciebie przychodzić, ale tylko tobie mogę zaufać – przyznał w końcu. Jeśli prosisz kogoś, aby odwiedził cię samotnie w środku nocy, to albo zamierzasz go zabić, albo potrzebujesz czegoś, o co wstydzisz się poprosić w świetle dnia. Ost nie próbował mnie zabić. Przynajmniej na razie.

– Mów.

– Od czego mam zacząć? – Wychylił wino, wyszczerzył zęby i zacisnął szczęki. – Wplątałem się w coś. Coś paskudnego. Za takie sprawy posyła się ludzi na szubienicę. Opowiem ci wszystko, ale chcę zawrzeć układ.

– Sądzisz, że muszę na niego przystać?

Ost dumnie zadarł brodę. Nie zrobiłem na nim wrażenia i z pewnością go nie wystraszyłem. Przemierzał Nieszczęście przez czterdzieści lat, znacznie dłużej ode mnie. Z bliska dostrzegałem drobne zielone żyłki pod jego skórą, okruchy zepsucia, które się w nim zagnieździły. Widział dępy i rzaski, walczył z robotami, a ludzie wyparowywali na jego oczach. Ja byłem tylko brzydalem z posiwiałą brodą.

– Nie chodzi o mnie, tylko o moją córkę i jej dziecko. Jeśli się wygamam, i tak będzie po mnie, ale moja rodzina jest czysta. Chcę, żebyś pomógł im zniknąć w dalekich krajach. W Hyspii albo Iscalii. Gdzieś, gdzie nie da się ich odnaleźć.

Obserwowałem go uważnie i doszedłem do wniosku, że mówi prawdę. Wzmianki o dzieciach z jakiegoś powodu zawsze rozbudzają we mnie resztki współczucia.

– Przed czym trzeba ich chronić? – spytałem.

Barka się zakołysała, najpierw lekko, a potem mocniej, aż zagrzechotały okiennice. Butelka wina spadła ze stołu i roztrzaskała się, gdy fale gwałtownie podrzuciły łódź. Uliczne latarnie popękały i rozprysły się, pogrążając nabrzeże w ciemności. Przytrzymałem się stołu, żeby się nie przewrócić.

– Zaraza! – wrzasnął Ost, tracąc równowagę i ciężko upadając. Kilka ceratowych płaszczy przeciwdeszczowych spadło z wieszaków i go pogrzebało.

Ziemia zadudniła i jęknęła. Gdzieś w oddali coś niestabilnego, co zapewne było czyimś domem, zawaliło się z hukiem. A potem rozległ się warkot i wszystko ustało. Wstrząsy minęły równie gwałtownie, jak się pojawiły. Ost nie przyjął mojej dłoni i wstał samodzielnie.

– Trzecie trzęsienie ziemi w ciągu tygodnia – powiedziałem. Ani trochę mi się to nie podobało. Wszystko, co odbiega od normy, zazwyczaj oznacza kłopoty. Ale, jak mi kiedyś powiedziała Valiya,

nawet Czarnoskrzydły nic nie poradzi na ruchy ziemi.

– Wyjdźmy na pokład – zaproponował Ost. – Mam ochotę zapalić, a właściciel barki się wścieka, kiedy robię to wewnątrz.

– Dlaczego mieszkasz na barce?

Ost wzruszył ramionami.

– Tak jest najtaniej, jeśli komuś nie przeszkadza smród.

Powietrze na zewnątrz było ostre i kruche. Clada zaczęła się obniżać, ustępując miejsca Rioque, a fioletowy blask zabarwił się na czerwono. Fosowe latarnie przy ulicach były ustawione na jedną trzecią mocy; jedna z nich syczała i przygasiała z powodu wadliwej instalacji. Zapaliłem dwa cygara i podałem jedno Ostowi. Może nie był to gest przyjaźni, ale przynajmniej zrozumienia.

– Pol jest niewinna – rzekł Ost. – Nawet nie chce mnie widzieć, bardzo się poróżniliśmy. Ale mam wobec niej dług.

Uznałem, że to uczciwy układ.

– Jeśli podasz mi ważny powód, postaram się, aby znalazła nowe życie w innym mieście.

– Zgoda. – Ost kilka razy mocno zaciągnął się cygarem. – Jakiś czas temu przyjąłem zlecenie. Nawigacja w Nieszczęściu z wolnymi strzelcami. Podali fałszywe nazwiska, ale prawdziwy cel podróży. To był jeden ze stałych punktów, Dolina Tivena. Znasz ją?

Pokiwałem głową. Dolina Tivena była oddalona o cztery dni jazdy od granicy Nieszczęścia. Głazy miały tam idealnie kulisty kształt. Zwykle patrole obecnie nie zapuszczają się dalej.

– Wszyscy byli uzbrojeni, głównie w ciężkie kusze. Nosili także dobre zbroje. Twardziele. Mieli ze sobą dwójkę Przędzarzy i znakomicie płacili. Dlatego uznałem, że będziemy szukać reliktyw. Tak, wiem, że to nielegalne. Kontrabanda z Nieszczęścia jest zakazana, ale kolekcjonerzy są skłonni oddać konia za jedną złotą markę z Adrogorska. Dzięki ich pieniądzom mógłbym urządzić Pol.

– I co?

– No właśnie. Więc ruszamy i od razu widzę, że z żołnierzami jest coś nie tak. Pierwszego wieczora rozbijają obóz i żaden z nich się nie śmieje. Żaden nie żartuje. Tylko siedzą w milczeniu. Obaj dobrze wiemy, że w Nieszczęściu nie ma się z czego śmiać, ale wiesz, co

najbardziej dało mi do myślenia? Nie byli też przestraszeni.

– Byli doświadczeni?

– Tacy powinni się najbardziej bać. Tylko idiota nie lęka się Nieszczęścia. – Ost wypowiedział tę nazwę ostrożnie, jakby trzymał chwiejącą się świecę nad miską z wybuchowym proszkiem. W tym słowie nie ma mocy, ale tylko głupiec je lekceważy.

– To prawda.

– No więc docieramy do Doliny Tivena i zastajemy tam roboli. Przypadam do ziemi, przekonany, że natrafiliśmy na jakiś wariacko daleki patrol, ale Przędzarze nie atakują ich swoją magią, nawet gdy okazuje się, że na dole jest Uroczy. Na pewno się nie pomyliłem, chociaż był przemieniony w robola, a tego jeszcze nie widziałem. Miał pysk jak ryba, ale to niewątpliwie był Uroczy. Kurwa, nawet miał ogon, wyobrażasz sobie? W każdym razie Przędzarze schodzą i zaczynają z nim rozmawiać. Potem mówią, że wracamy. To wszystko. Po prostu z nim pogadali i ruszyliśmy z powrotem.

Nie licząc Królów Głębi, którym służą, nie ma istot bardziej pragnących zniszczenia ludzi niż Uroczy. Wystarczy o nich wspomnieć, by większość żołnierzy sięgnęła po amulet. Uroczy władają mocą, która znacznie przekracza możliwości naszych czarowników i stanowi dar od ich straszliwych panów.

– Kim oni byli? – spytałem.

– Nie wiem. – Ost wypowiedział te słowa powoli, jakbym przegapił ten fakt. – Podali mi fałszywe przezwiska. Błękit, Pika, Śniady – czasami sami zapominali, jak mają się do siebie zwracać. Nie próbowali niczego wyjaśniać, tylko powtarzali, że po powrocie do Łańcucha czeka na mnie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zdołam wydać. Mówili o tym zdecydowanie za często. Ale wiedziałem, że po tym, co zobaczyłem, nie zostawią mnie przy życiu. Czekali tylko, aż doprowadzę ich do murów. Byłem im potrzebny wyłącznie jako nawigator. Dlatego porzuciłem ich o jeden dzień drogi od miasta. Zostawiłem na śmierć. Może rzeczywiście tam zgniją. Ale rzadko miewam takie szczęście.

– Więc nie możesz mi powiedzieć, kim byli ci tajemniczy ludzie?

– Nie, ale jeśli wrócą, mogę ci ich pokazać. Nie ma aż tak wielu

Przędzarzy. – Ost zadrżał. – Tylko że jeśli wsypię ich szefa, on mnie dorwie. Okazywali jakiegokolwiek emocje tylko wtedy, gdy o nim wspominali. Przerazał ich, nie miałem co do tego wątpliwości. A każdy, kto może przerazić Przędzarza, budzi lęk także we mnie. Jestem chodzącym trupem, Galharrow.

– Ciekawi mnie więc, dlaczego nie uciekłeś.

– Ależ ucieknę, możesz mi wierzyć – odrzekł Ost. Zaciągnął się cygarem i zakaszłał, gdy niechcący połknął nieco popiołu. – Jak najszybciej i jak najdalej. Może nawet mi się uda, kto wie? W końcu zdołałem przetrwać aż do tej pory. – Znów kilkakrotnie nerwowo zaciągnął się cygarem. Bał się nawet o tym mówić.

– Więc kto jest ich szefem?

– Obiecuj, że pomożesz Pol. Wtedy podam ci nazwisko – odparł. Dym z cygara unosił się między nami, odbijając fos-światło i połyskując jak olej.

– Mogę wykorzystać kilka dojsć i wsadzić twoją córkę i jej dziecko na pokład okrętu płynącego do którejś z zachodnich kolonii. Oni ciągle dopominają się o kobiety. Jeśli twoje informacje się potwierdzą, masz moje słowo, że jej pomogę.

Cieszę się, że w jego ostatnich chwilach mogłem mu chociaż trochę ulżyć. Sprawiał wrażenie wdzięcznego, chociaż wciąż nienawidził mnie za to, że zabiłem Torola Mancona.

Nagle brzuch Osta wybuchł. Kawałki wnętrza i kości zbryzgały pokład. Dopiero po chwili zorientowałem się, że ktoś do niego strzelił. Rzeka krwi i zmiażdżonych organów wypływała z jego ciała, gdy zataczał się po pokładzie. Popatrzył na mnie, a po chwili błysk po mojej lewej stronie zapowiedział kolejny strzał. To nie był rozbłysk zamka lontowego, ale coś innego, coś błękitno-złotego, czemu towarzyszył jakby huk pioruna. Między żebrami Osta, który padł na kolana z szeroko otwartymi ustami i oczami, pojawił się drugi otwór.

Zapieczętowała mnie draśnięta ręka. Ten strzał był przeznaczony dla mnie.

Zobaczyłem, że się zbliżają, gdy Ost bezwładnie osunął się na deski. Dwaj mężczyźni na północnym brzegu, kolejny na południu. Dwaj mieli rusznice, a trzeci jakąś broń palną o długiej srebrnej lufie.

Wycelował we mnie.

Ogarnął mnie bitewny szal.

Rzuciłem się między skrzynie z owocami. Huknęła rusznica i obsypały mnie drzazgi oraz kawałki zmiażdżonych cytrusów. Dranie zdołali mnie otoczyć. Sięgnąłem pod płaszcz i wyjąłem dwa naładowane i odbezpieczone pistolety skałkowe.

Usłyszałem głosy zbliżających się zabójców i zaryzykowałem spojrzenie. Mieli proste maski z płóciennych worków z wyciętymi otworami na oczy. Nosili przydziałowe wojskowe płaszcze, ale ta srebrna broń nie była typowa. To była rusznica błyskowa, ręczne działo fosowe, dawno zastąpione przez broń lontową. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę taki sprzęt. Wojsko nie używało rusznic błyskowych od pięćdziesięciu lat. Co to za ludzie? Wystarczył rzut oka na Osta, aby upewnić się, że od niego niczego się już nie dowiem.

Byłem samotny i okrążony. Trzej uzbrojeni zabójcy zbliżali się, aby mnie wykończyć.

Nierówna walka.

Głosy. Trudno było je zrozumieć przez worki tłumiące dźwięk. Spróbowałem ruszyć w stronę kajut, ale wtedy rusznica błyskowa ponownie ryknęła i obsypały mnie kawałki roztrzaskanej skrzyni. Zostałem na miejscu.

– Jestem Ryhalt Galharrow, kapitan Czarnoskrzydłych! – wrzasnąłem. – Rzućcie broń i poddajcie się, w przeciwnym razie zgodnie z prawem miejskim będziecie mieli przejebane.

Znów usłyszałem przytłumione głosy, ale wyglądało na to, że napastnicy nie zamierzają ustąpić.

– Poddaj się, a cię oszczędzimy – odpowiedział jeden z mężczyzn. Miał beznamiętny głos.

Nie mogłem przeskoczyć na brzeg. Po obu stronach czekali na mnie wrogowie, a kiedy nie mam brzucha pełnego taniego piwa i jeszcze tańszego wina, stanowią duży i powolny cel. Nie miałem szans przetrwać także ucieczki ulicą, jeśli którykolwiek z nich choć trochę znał się na strzelaniu. Czas również mi nie sprzyjał, a kiedy tylko któryś z nich weźmie mnie na cel, będzie po mnie. Przemyślałem

swoją sytuację i zdecydowałem się na jedyną pozostałą możliwość. Kucnąłem i policzyłem do trzech. Teraz.

Uniosłem pistolety i wypaliłem w obu kierunkach, a następnie odrzuciłem broń i puściłem się biegiem ku relingowi. Ruzznica błyskowa odpowiedziała ogniem. Zamierzałem wykonać elegancki skok na główkę, ale tylko runąłem na brzuch do cuchnącego kanału. Przebiłem calową warstwę gumiastego gówna pływającego na powierzchni i zniknąłem w ciemnych odmętach.

Uderzenie zimna przypominało cios młotem w pierś. Woda była lodowata jak najmroźniejsza zima i całkowicie czarna. Zanurzyłem się z płucami pełnymi powietrza, ale gdy tylko wpadłem w ten zimny mrok, wiedziałem, że to nie wystarczy. Zacząłem wierzgać, próbując się okręcić, ale już po chwili nie miałem pojęcia, w którą stronę jestem zwrócony. Woda była nieco zbyt lepka, jak sos z gnijących trupów roboli naznaczony echami zepsutej magii.

Gdzie jest powierzchnia? Otworzyłem oczy, ale od razu zapiekły mnie od brudnej wody, więc zacisnąłem powieki, mocno wierzgnąłem nogami i pomyślałem: „Kurwa, Duchy Miłosierdzia, nie chcę, kurwa, tak niegodnie zdechnąć”. Uderzyłem o coś głową, może o barkę, może o brzeg. To coś pojawiło się na chwilę, ale zaraz zniknęło, gdy zacząłem się rozpaczliwie miotać.

Powietrze. Nie myślisz o nim, dopóki ci go nie zabraknie. Wtedy jesteś gotowy oddać wszystko, co posiadasz, za jeden oddech. Moja klatka piersiowa wrzeszczała do mnie i nie mogłem jej za to winić.

Otaczało mnie zimno. Ciężar wody ciągnął mnie w dół.

Ślepy, osłabiony, pewny, że ustrzelą mnie, gdy tylko wynurzę się na nocne powietrze, zobaczyłem światełka, które tańczyły za moimi zamkniętymi powiekami. Natrafiłem stopą na coś twardego i przestałem dbać o to, czy mnie zastrzelą. Wszystko było lepsze od utopienia się w tej skażonej brei.

Odepchnąłem się i zderzyłem z twardą, płaską powierzchnią. Nie znalazłem powietrza, ale nie było to także dno kanału. Byłem pod czymś uwięziony. Pod barką. Moje płuca skręcały się, walcząc o to, bym nie stracił przytomności. Moja pierś się zapadała, obolałe żebra groziły implozją, haniebną bezgłośną śmiercią z dala od wzroku ludzi

i duchów.

Moja dłoń złapała jakąś krawędź. Odruchowo uderzyłem pięścią, przebijając się przez warstwę syfu do świeżego powietrza.

Wynurzyłem się na powierzchnię i z wdzięcznością boleśnie odetchnąłem.

Jeszcze nie umarłem.

Znajdowałem się w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Słabe światło obramowywało zamknięte drzwi. Piekły mnie oczy, zepsuta magia, która wyciekła z trupów robolii, paliła jak wapno. Czułem w gardle Nieszczęście, które smakowało chorobą, solą i cierpieniem. Oszołomiony, unosiłem się na powierzchni w wąskim otworze. Dopiero po chwili zrozumiałem, że jakimś sposobem przedostałem się pod barękę i szczęśliwym trafem wpłynąłem przez toaletę do jednej z kajut. Poprzedni właściciel był zbyt dobrze wychowany, aby srać za burtę jak każdy rozsądny człowiek. Jeszcze nigdy nie byłem tak uradowany, że tkwię po szyję w gównie.

Wydobycie się z wody nie było łatwe. Silny ze mnie drań, ale zarazem duży i ciężki, otwór tymczasem był wąski, a woda nie zamierzała mnie puścić. Czarny brud przywierał do mnie jak olbrzymia lśniąca pijawka, która nie chciała mnie uwolnić, dopóki nie rozpiąłem guzików płaszcza i nie upuściłem go w ciemność. Los nadal mi sprzyjał: mój miecz wciąż był w pochwie, a dopóki mam broń w garści, nie muszę liczyć wyłącznie na przypadek.

Nie miałem czasu do stracenia. Ost zginął, ale skurwiele, którzy go zastrzelili, z pewnością wiedzieli, o czym opowiadał. Zapewne także zakładali, że utopiłem się w kanale, skoro nie wypłynąłem na powierzchnię. Mogłem ich przeczekać w ukryciu. Nie ujawniać się. Ale kruk wytatuowany na mojej ręce spoglądał na mnie zniecierpliwionym wzrokiem. Wronia Stopa zagotuje krew w moich żyłach, jeśli zlekceważę tak poważny spisek. Przędzarze negocjujący z Uroczymi. Coś niewyobrażalnego. Chociaż od jakiegoś czasu Wronia Stopa dawał mi spokój, pod żadnym pozorem nie należy rozczarowywać czarownika, który potrafi stopić górę. Czas się ruszyć. Czas poznać odpowiedzi.

Obok sracza znajdowała się spiżarnia, gdzie pod krokwiemi wisały

pęta kielbas, a pod ścianami piętrzyły się skrzynie z mąką. Miałem tylko jedną drogę wyjścia. Przez chwilę nadstawiałem ucha, a gdy niczego nie usłyszałem, uchyliłem drzwi i zajrzałem do kolejnego pomieszczenia. Żadnych facetów z workami na głowach. Może usiłowali wyłowić moje ciało. Ruszyłem na tyle cicho, na ile pozwalało mi moje trzystufuntowe cielsko, po czym wyrząłem na zewnątrz. Trzej goście w workach stali wokół Osta na szerokim pokładzie barki, odprężeni, z bronią zarzuconą na ramię. Nie podejrzewali, że wyłonię się z obsydianowej mazi.

– Strąćcie go do wody – odezwał się jeden z nich. Akcent z Łańcucha, mieszanka wszystkich znanych języków, które łączą się w coś unikalnego. – Wepchnijcie go pod łódź. Jak spędzi tam kilka godzin, nikt go nie rozpozna. Ta woda wszystko przeżre.

– Myślałem, że ten wielkolud sprawi nam kłopoty – powiedział drugi. Inny akcent. Ostra, miejska mowa. Lennisgrad.

– Dobrze, że tak się nie stało.

Byłem sam przeciwko trzem. Z reguły unikam straconych spraw i walki z przeważającymi siłami. Dawniej bawiłem się w bohatera i pozostały mi po tym tylko obolała noga, która daje o sobie znać za każdym razem, gdy spada temperatura, oraz niekończący się ból głowy. Ale słowa Osta naprawdę mnie zaniepokoiły, a ci ludzie byli moim jedynym tropem na drodze do Uroczego i niebezpieczeństwa, które groziło Łańcuchowi. Jako wytrawny hazardzista wiem, że należy korzystać ze szczęścia, dopóki nam sprzyja.

Zaskoczenie to potężna broń. Wpadamy w sidła spokoju i stajemy się leniwi. Instynkt zabójcy w naszym mózgu wyłącza się i tracimy gotowość do ucieczki lub walki. Ci ludzie nie byli zawodowcami. Najwyżej oportunistami. Mieli miejskie miecze o eleganckich rękojeściach, które miały robić wrażenie podczas przyjęć, i ostrzach, które nie zdołałyby przekroić nawet kawałka sera. Wątpiłem, czy kiedykolwiek zaszarżował na nich potężny, wściekły, zdeterminowany facet z pałaszem w dłoni.

Życie jest pełne nowych doświadczeń.

Właśnie zepchnęli ciało Osta do mętnej wody, gdy nagle mnie zauważyli i zaczęli wrzeszczeć. Jeden chwycił broń palną zawieszoną

na ramieniu i prawie zdołał wycelować, zanim rozplątałem go od ramienia do biodra. Jego rozcięte ciało dołączyło do Osta w kanale. Pozostali dwaj rzucili się do ucieczki, a ja ruszyłem na najbliższego. Odrzucił rusznicę i dobył miecza o wąskim ostrzu stworzonym do pchnięć. Sparował moje uderzenie, aż iskry obsypały jego zasłoniętą workiem głowę, ale nie potrafił odepchnąć mojego cięższego ostrza, więc zbiłem jego miecz w bok i odrąbałem mu dłoń w nadgarstku. Wrzasnął, zatoczył się do tyłu, potknął o zwój liny i runął do wody w ślad za swoim kompanem.

Kanał dokończy dzieła. Obracaj się, zabijaj, poruszaj, walcz i zatrzymuj tylko po to, żeby nabrać powietrza. Ostatni z mężczyzn skoczył na brzeg. Kiedy się obróciłem, uświadomiłem sobie, że w czasie, gdy pływałem, on zdążył naładować rusznicę błyskową, a teraz, zyskawszy nieco dystansu, odciągnął kurek i popatrzył na mnie wzdłuż lufy, ponad pojemnikiem z fosem i sterczącymi miedzianymi drutami. Z tej odległości nie mógł spudłować.

Zaraza.

Miał mnie na talerzu. Mógł mnie załatwić jednym strzałem. W głowę albo w serce. Nie zdołałbym go dosięgnąć i odpłacić mu pięknym za nadobne. Patrzył na mnie spokojnie, bez złości ani paniki. Usłyszałem trzask spustu.

Z pojemnika z fosem przytwierdzonego do broni wydobył się wysoki jęk. Przez ułamek uderzenia serca za plecami wroga zobaczyłem jakiś kształt w ciemności: zarys kobiety skąpanej w olśniewających płomieniach, czarną sylwetkę w ogniu. Potem pojemnik na rusznicę wybuchł, z sykiem uwalniając księżycowy blask. Iskry trysnęły na trzydzieści stóp we wszystkich kierunkach. Zakryłem twarz dłonią i uskoczyłem, gdy obsypały mnie rozpalone drobiny, tysiąc skwierczących żadeł osy.

Kiedy fajerwerki ustały, nad kanałem zapadła cisza, którą zakłócało tylko szczekanie psów w oddali, spokój zmacony wstrząsem. Byłem poparzony i paliły mnie płuca, jakbym wciągnął do nich worek pszczoł, ale wciąż żyłem.

Nie widziałem mężczyzny, który wpadł do wody. Pewnie nie był dobrym pływakiem.

Nie było także kobiety w świetle. Jeszcze przez chwilę dostrzegałem jej sylwetkę pod powiekami, dopóki kilkakrotnie nie zamrugalem. Nie byłem pewien, czy naprawdę ją zobaczyłem.

Nie. Oczywiście, że nie. To tylko pobożne życzenia. Nic więcej.

Mężczyzna, którego broń wybuchła, wydawał z siebie ostatnie odgłosy. Zapewne nie rozumiał, co się stało. Rusznice błyskowe są niestabilne, wyposażone w delikatny układ zabezpieczający przed odbiciem fosu. Kiedy ten układ zawodzi, skutki bywają opłakane. W tym przypadku rozsadzony stalowy pojemnik obsypał strzelca rozpalonymi do białości odłamkami, rozrywając jego ciało, które teraz krwawiło z kilkudziesięciu ran.

Nieszczęśnik kilka razy bezsilnie jęknął, a następnie skonał i zapadła cisza, w której słyszałem tylko własny chrapliwy oddech. Wszedłem z wprawy, tak samo jak stary Levan Ost. Ale mimo wszystko wciąż stałem, podczas gdy wokół mnie spoczywały cztery trupy.

Przeskoczyłem na brzeg i popatrzyłem na poskręcane, zmasakrowane ciało człowieka, który pokładał ufność w świetle i został za to ukarany. Ściągnąłem mu worek z głowy. Dziwne. Wyglądał znajomo. Zwyczajna twarz, brązowe włosy, wąsy; wyróżniał go tylko duży pieprzyk pod lewym okiem. Byłem przekonany, że skądś go znam.

Nagle sobie przypomniałem. Zabiłem go trzy tygodnie temu.

2

Devlen Maille spędził większość życia na hodowaniu świń w gospodarstwie, gdzie było pełno błota, a mało pieniędzy. Potem pojawiła się żona, a wraz z nią hazard, picie i bijatyki. Można śmiało powiedzieć, że Devlen był gnojem, jeszcze zanim zdał sobie sprawę, że bracia żony planują wrzucić go do studni, i pozostał nim, gdy uciekł do Łańcucha i zatrudnił się przy myciu podłóg w fabryce fosu. To była stała praca, ale zarabiał niewiele więcej niż przy świńskim łajnie, z którego właśnie się wygrzebał. Więc gdy pewien dzielny spekulant zaproponował, by Devlen spłacił swoje długi, kradnąc zwoje baterii i sprzedając je na czarnym rynku, ten natychmiast skorzystał z okazji. Moje kawki przyłapały go na gorącym uczynku, a ponieważ stawiał opór podczas aresztowania, zastrzeliłem gościa.

Nikt po nim nie płakał, gdy zabiłem go po raz pierwszy, i wątpię, by ktokolwiek uronił łzę tym razem. Dokładnie pamiętam, jak go zabiłem, a moje kawki wrzuciły jego ciało na wóz, dlatego tak bardzo się zdziwiłem, że właśnie próbował mnie odstrzelić.

Woda z rzeki cuchnęła na moim ubraniu, gdy szedłem przemoczony ulicami, a potem przez pół godziny rzygałem w ulicze na tyłach siedziby Czarnoskrzydłych. Odegrałem swoją rolę podczas oblężenia, a widząc Valengrad na skraju zagłady, książęta wreszcie zrozumieli, że godne finansowanie zarówno cytadeli, jak i Czarnoskrzydłych powinno się znajdować wyżej na ich liście priorytetów. Dzięki pieniądzom, które popłynęły w moją stronę, mogłem przynajmniej rzygać za eleganckim budynkiem.

– Wygląda pan jak wywleczony z piekieł, szefie – zauważyła Meara, ziewając za biurkiem. Jedna z moich najlepszych kawek, a zarazem najpotężniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem, szczerze wypełniała miejsce za blatem. – Znalazł pan tego gościa?

– Owszem. Ktoś inny już przyszedł?

– Jeszcze nie ma szóstej – odparła Meara. Jeśli nawet kusiło ją, aby spytać, dlaczego jestem przemoczony, chociaż nie pada, albo co tak cuchnie, miała na tyle rozsądku, by się powstrzymać. – Największe trzęsienie jak dotąd, nie? Zegar w korytarzu spadł ze ściany i się rozbił.

Wziąłem najmocniejszą kawę, jaka wpadła mi w ręce, wzmocniłem ją brandy i spróbowałem wypalić smak kanału. Utrzymawał się w mojej głowie, chemiczny, kwaśny i ostry. Dopilem kawę i wkrótce znów znalazłem się za budynkiem, by się jej pozbyć.

Na ulicach wciąż było ciemno. W tej części miasta nie było fos-latarni i nikt nie płacił za rozpalanie starych lamp. Lubiłem mrok. Brak świetlnych rurek był jednym z powodów, dla których się tutaj osiedliłem.

W ciągu kilku minut, które upłynęły pomiędzy opuszczeniem przeze mnie chwiejnym krokiem budynku a końcem torsji i plucia tłustym szlamem, ktoś przyczepił do drzwi biura żółtą ulotkę. Widniały na niej spirytystyczne bzdury dotyczące rzekomych objawień Jasnej Pani, które zwiastowały nową erę sprawiedliwości i wolności. Ludzie mieli wizje w świetle, a przynajmniej tak twierdzili, i przypisywali im zwyczajowe znaczenie. Dla gorliwych wyznawców każda pora dnia i nocy jest dobra, a ostatnio wszędzie się rozplenili. Rozejrzałem się po ulicy, wypatrując winowajcy, ale nie było po nim śladu, nie licząc identycznych żółtych kartek przyczepionych do wszystkich drzwi na ulicy. Zerwałem ulotkę, zmiąłem ją i odrzuciłem. Nie miałem zamiaru wpuszczać takich bzdur do swojego biura, nawet jeśli kończył nam się papier toaletowy.

Wiedziałem, że smród sam nie zniknie, rozpaliłem więc ogień w kuchni i napełniłem metalową wannę. Była przeznaczona do mycia naczyń i przy moich rozmiarach wyglądałem w niej komicznie, ale lepsze to niż nic. Wyszorowałem głowę mydłem i spróbowałem obmyć oczy, a woda szybko stała się ciemna i nabrała tłustego połysku. Jakąkolwiek zepsutą magią Królowie Głębi napełnili roboli, ja też nią nasiąkałem. Nie potrafiłem ocenić, czy mdłości, które odczuwam, to bezpośredni skutek magii, czy tylko reakcja mojego

organizmu, ale wolałem myśleć, że to drugie. Moja służąca, Amaira, przygotowała dla mnie czysty mundur, zakładając, że znów będę pracował do późna i przenocuję w biurze. Miałem duży dom, w którym rzadko się pojawiałem, a w pracy czułem się jak u siebie. Amaira odgadła, że trafię tutaj o świcie. Może była jeszcze dla niej nadzieja.

Świt wciąż nie rozjaśnił nieba, ale Czarnoskrzydli przebyli daleką drogę od czasu nieudanego ataku Shavady na Valengrad. Przez całą dobę miałem do dyspozycji swoich ludzi, posłałem więc ekipę sprzątającą, żeby zajęła się bałaganem nad kanałem szóstym. Ekipa przewiezie trupy do kostnicy, gdzie zostaną zbadane, przynajmniej to, co z nich zostało. Martwi niewiele mówią, ale jeśli zostali naznaczeni przez Królów Głębi, to się o tym dowiemy.

Kurwa, co za wtopa. Powinienem był zabrać ze sobą kilku ludzi. Pozwoliłem, żeby sentymenty stanęły na drodze rozsądku, i prawie przypłaciłem to życiem. Ost stanowił część mojej przeszłości, wolałem więc zachować dyskrecję. Ukryć dawną hańbę, gdyż obecnie byłem już kimś zupełnie innym. Nie mogę sobie znów pozwolić na taką wpadkę. Nie jestem już młody i odpowiadam za ludzi, którzy na mnie liczą. Muszę być mądrzejszy.

Nieco czystszy i przebrany, usiadłem przy swoim biurku i zgarnąłem z blatu wczorajsze papiery. Stare plotki, fragmentaryczne raporty. Minęło kilka tygodni, odkąd trafiła do nas jakakolwiek poważna sprawa. Może właśnie dlatego goście w workach na głowach zdołali mnie zaskoczyć.

Byłem wyczerpany i ciągle s pluwałem do wiadra, ale kiedy minęły dwie godziny, a kawa ostygła, znów zacząłem się czuć jak człowiek. Luksusowe biuro z ciemną boazerią, obitymi skórą fotelami i dobrymi tradycyjnymi lampami oliwnymi pomaga podtrzymać ducha. A może zadziałała brandy. Otaczamy się luksusami, jakby dekadencja i bogactwo mogły na jakiś czas odepchnąć od nas prawdziwe troski. Może właśnie to robią.

– Widzę, że miałeś ciężką noc – powiedziałem, kiedy Tnota wtoczył się do biura.

Jak na człowieka, który potrafił lepiej od kogokolwiek wyznaczać

trasę w Nieszczęściu, był zaskakująco niezdyscyplinowany w mieście. Miał wypuszczoną koszulę i śmierział jak gorzelnia. Opadł na swój tapicerowany fotel z miną człowieka, który sam zadał sobie najgorsze możliwe cierpienia.

– Ty chyba jeszcze gorszą – odparł.

Wszystko sobie wyjaśniliśmy. Ja zabijałem, on pił. Typowy stan rzeczy, chociaż ostatnio częściej wydaję rozkazy, niż wymachuję mieczem. Tnota sprytnie porzucił pracę nawigatora i został moją prawą ręką, co zakrawało na ironię, gdyż sam niedawno swoją stracił.

– Znów nie spałeś – zauważył. – Masz szklany wzrok. Przydałoby ci się łóżko.

– Dzisiaj się wyśpię – obiecałem.

– Codziennie tak mówisz, ale w połowie przypadków kłamiesz – odrzekł Tnota. – Wielki Pies mówi... – zaczął, ale sam również ziewnął, co chwilowo ocaliło mnie przed kolejną dawką psich mądrości.

Zadrzałem, chociaż w kominku płonął ogień. Jeśli śmierć przyjdzie po mnie z powodu przeziębienia złapanego przez kąpiel w kanale, skopię jej dupę.

Valiya przyszła do biura przemoczona i zmarznięta. Krzywiła się groźnie, jakby niebo dopuściło się wobec niej osobistej zniewagi. Na miejscu nieba czym prędzej rzuciłbym się do ucieczki. Wpadła do budynku z takim samym impetem, z jakim na co dzień szła przez życie: jak żywioł, brzydząc się brakiem kompetencji i naprawiając wszystko, co spieprzyli maluczcy. Nawet kiedy ociekała wodą, robiła to wytwornie, starannie wieszając gruby płaszcz przeciwdeszczowy na stojaku przed kominkiem. Fala kasztanowych włosów przesłaniała połowę jej twarzy, za co często byłem wdzięczny, ponieważ jej twarz potrafiła zawrócić w głowie. Po trzydziestce wyglądała lepiej niż większość dwudziestolatek, a przynajmniej ja miałem takie wrażenie. Kiedy pojawiła się przed trzema laty, powiedziała, że poprowadzi to biuro lepiej niż ktokolwiek inny, i każdego dnia tego dowodziła. Obecnie kierowała nie tylko biurem, ale w zasadzie także moją siecią wywiadowczą, co nie powinno należeć do jej zadań, ale nie opłacało się jej przeszkadzać.

Wyjęła wodę z przemoczonych włosów.

– Strasznie tutaj cuchnie – oznajmiła, marszcząc czoło.

Opowiedziałem jej, co się stało, i poprosiłem, aby dowiedziała się, gdzie za pierwszym razem złożono ciało Devlena Maille'a. Gdybym odkrył, w jaki sposób wydostał się z grobu, mógłbym zrozumieć, dlaczego musiałem ponownie go tam posłać.

– Co za ciołek – oceniła. – Jak można dać się zabić dwa razy tej samej osobie? Zajmę się tym, Ryhalcie. – Zapisała szczegóły sprawy, skarciła chmury ponurym spojrzeniem i wyszła na słabnący deszcz.

– Już mówicie sobie po imieniu? – zauważył Tnota.

– Ty też nie nazywasz mnie kapitanem – odrzekłem, chociaż obaj wiedzieliśmy, że to coś innego.

– Za wcześniej, żeby się napić? – spytał Tnota.

– Tak – odparłem. Było wpół do dziewiątej. Próbowałem walczyć z naszymi najgorszymi nawykami. Od picia robiłem się senny, a nie miałem czasu na odpoczynek. – Popatrz. Co o tym sądzisz?

Położyłem na jego biurku pozostałości rusznicy błyskowej, którą upuścił facet w worku na głowie. Kształtem przypominała zwykłą rusznicę lontową, miała korpus, lufę i spust, ale była znacznie bardziej złożona. Pojemnik z fosem łączył się z komorą kulkową, gdzie niewielkie wyładowanie światła zapalało ładunek. Większość pojemnika się rozpadła, a korpus został poważnie uszkodzony podczas wybuchu, ale długa srebrna lufa pozostała niemal nienaruszona. Widniał na niej znak producenta, stylizowana litera F wytłoczona w stali.

– Ten sprzęt powinien pozostać w muzeum – rzekł Tnota. – Jest zbyt drogi w użytkowaniu i niebezpieczny, skoro mamy broń prochową. Fos sporo kosztuje. Poza tym jest niestabilny. – Obejrzał rusznicę, zbadał mechanizm spustu i osad wzdłuż lufy. – Nie rozpoznaję producenta. Pewnie jakiś nowy warsztat – stwierdził w końcu.

– To nie ma sensu. Zwykła rusznica jest ze wszech miar lepsza. Znacznie mniej grozi wybuchem.

– Postąpił jak idiota, używając takiej broni. Fos najlepiej pozostawić Przędzaczom. Zresztą wystarczy na nich popatrzeć; cali są poparzeni na skutek swoich działań.

– Jestem pewien, że człowiek, który wysadził się w powietrze przez

tę spluwę, byłby podobnego zdania. – Przypomniałem sobie treść rozmowy z Ostem. – Ost powiedział, że jego pracodawcy spotkali się z Uroczym w Dolinie Tivena. Dlaczego akurat tam?

Tnota podrapał się po porannym zaroście, siwym jak śnieg na tle jego ciemnej skóry.

– Niełatwo dotrzeć do Doliny Tivena. Jest niewielka, a igła kompasu kręci się wokół niej jak wskazówki zegara. To dobre miejsce na dyskretne spotkanie. Ale skoro podeszli tak blisko, możliwe, że coś knują.

– Nie mają wystarczających sił, żeby znów zaatakować Łańcuch – odrzekłem. – Maszyneria Nalla ich okaleczyła.

Tnota nie sprawiał wrażenia pocieszonego.

– Owszem. Ale wcale nie czujemy się dzięki temu pewniej, prawda?

* * *

– Był poranny posłaniec, panie kapitanie – oznajmiła Amaira pogodnie, wślizgując się do pokoju i kładąc na moim biurku stertę brązowych kopert. Została sierotą podczas bitwy o mury, jak wiele dzieci w Valengradzie. W miesiącach po odparciu oblężenia czułem się w obowiązku zapewnić zajęcie przynajmniej części z nich. Kolejno odchodziły, umierały albo okazywały się niegodne zaufania. Amaira jako ostatnia pozostała w szeregach Czarnoskrzydłych.

– Coś mnie ucieszy?

– Otrzymał pan zaproszenie od major Nenn. Chce, żeby wybrał się pan z nią do teatru.

– Czy tym razem przysłała coś dla ciebie?

– Nie dzisiaj. – Amaira sprawiała wrażenie przygnębionej. Nenn ją polubiła i zawsze przywoziła jej prezenty z Nieszczęścia. W skład rosnącej kolekcji dziwactw wchodziły między innymi długi palec o czterech stawach, który samodzielnie pełzał, kamień, który płakał, gdy się go głaskało, oraz niezniszczalny pasikonik znieruchomiały w pół skoku. Typowe przedmioty z Nieszczęścia. Nie widziałem w tym niczego złego, dopóki dziewczyna nie próbowała ich zjadać.

– Może to i lepiej. – Zacząłem przeglądać listy.

– Mogę wybrać się do teatru razem z wami, panie kapitanie? – spytała Amaira.

– Nie mam czasu na teatr – odparłem. Czułem skutki nocnych szaleństw i braku snu, od których głowa pulsowała mi bólem. Potrzebowałem więcej kawy. Miałem za dużo pracy, żeby odpoczywać.

– Ale to sztuka o obłączeniu – zaprotestowała Amaira. – Słyszałam, że mają marionetkę, która wygląda jak Shavada, a w środku znajdują się ludzie na szczydlach, którzy poruszają nią za pomocą żerdzi.

Tnota zachichotał kpiąco. Odłożyłem papiery i posłałem mu karcące spojrzenie.

– Mają tupet, skoro przywlekli tutaj to gównno. Wątpię, czy te jebane aktorzyny słyszały, jak wyje niebo, zanim ich tutaj posłano.

– Jebane aktorzyny! – Amaira wyszczerzyła zęby.

– Nie przeklinaj – odburknąłem.

– Tak, panie kapitanie. – Zawahała się. – Wszystko w porządku, panie kapitanie? Nie wygląda pan najlepiej. Chce pan, żebym przyniosła kilka jajek? Albo wino?

Miała rację. Czułem się fatalnie i nie chodziło tylko o zmęczenie. Przywykłem do zmęczenia. Zazwyczaj sypiałem po cztery godziny, a czasami w ogóle.

Zamrugalem, wracając do rzeczywistości, i uświadomiłem sobie, że ktoś coś mówi.

– Pańskiego syna wczoraj znów znaleźli spitego do nieprzytomności na schodach – powiedziała Amaira sztywno.

Mojego syna. Oczywiście on nie był moim synem, tylko starcem w ciele dziecka. Nazywał się Gleck Maldon i był drugim najpotężniejszym Przędzarzem swojego pokolenia, zanim Shavada przekształcił go w Uroczego. Potem odstrzeliłem mu pół twarzy, więc można powiedzieć, że czułem się za niego odpowiedzialny. Wyglądał jak dziecko, a ludzie zazwyczaj nie zadawali mi wielu pytań, więc wystarczyło udawać, że jest moim synem, by mógł spokojnie zostać z nami.

– Ktoś zaprowadził go do łóżka?

– Nie. Nie pozwolił się ruszyć. Potem zwymiotował na dywan. Nie wiem, gdzie jest teraz.

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem, że zrobi, co zechce, a ja nie mam na niego żadnego wpływu. Amairze wyraźnie ulżyło, że mi o tym powiedziała, i oddaliła się z radosną energią, jaką może mieć tylko niezspane dziecko. Twierdziła, że ma czternaście lat, zapewne więc miała dwanaście.

– Nie wyglądasz dobrze, szefie – rzekł Tnota. Nie chciałem dłużej tego słuchać. Spuścił wzrok na swoje dokumenty, co zawsze robił, gdy chciał powiedzieć coś, co mi się nie spodoba. – Może powinieneś się przespać.

Miał rację, ale nie zamierzałem go posłuchać. Z tego samego powodu nie pozwalałem na zamontowanie fosowego oświetlenia w biurze. Wiedziałem, co na mnie czeka w ciemności. Wiedziałem, że kiedy zamknę oczy, zobaczę ją w snach. Jak zawsze będzie wyciągała do mnie rękę. Uwięziona w świetle. Błagająca o pomoc. A kiedy sięgnę w jej stronę, nasze palce przenikną się nawzajem jak dym.

3

– Jak bardzo to boli? – spytała Amaira. Siedziała po drugiej stronie stołu i patrzyła na moje przedramiona, podczas gdy zajadałem kawał chleba z boczkiem.

– Co?

– Zrobienie tatuazu. Jak bardzo boli?

– Ktoś wbija ci igłę raz za razem – odrzekłem. – Boli tak, jak można się spodziewać. Nie masz żadnego zajęcia?

Amaira zmarszczyła czoło.

– Hm... – mruknęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Nawet nie myśl o tym, żeby się wytatuować – powiedziałem. – Jesteś za młoda. Jeśli dowiem się, że ktoś cię wytatuował, wbiję mu uszy do środka głowy.

– Dlaczego? – spytała. Była irytującym dzieckiem, ale tylko takie znam. Miała śniadą skórę i kruczoczarne włosy typowe dla ludów z królestw oaz, ale niebieskie oczy wskazywały na co najmniej jednego przodka o bardziej północnym pochodzeniu. W Valengradzie można znaleźć ludzi wszelkich kolorów i ras, jakie kiedykolwiek chodziły po ziemi, więc jej mieszane pochodzenie nie było niczym rzadkim. Amaira nigdy nie opowiadała o swoich rodzicach. W pełni szanowałem jej milczenie.

– Ponieważ jeśli się naznaczysz, to już na stałe – odparłem. – Znałem wielu ludzi, którzy żalowali fatalnych tatuazy.

– Ten mi się podoba. – Wskazała na moje przedramię, na którym widniał kruk z pazurami zaciśniętymi na długim mieczu.

– Zaufaj mi. Ten boli najbardziej.

Zjadłem pół bochenka chleba, maczając go w zimnym sosie. Kobieta, która dla mnie gotowała, wciąż napełniała mój talerz, aż w końcu odmówiłem dokładki. Okazuje się, że kiedy nie śpię, ciągle

jestem głodny. Czasami jadam sześć razy dziennie. Ale jedzenie nigdy nie wyostrza mi wzroku ani nie polepsza pamięci, która pęka, sypie się i stale zawodzi. Czasami czuję się jak we mgle.

– Powinnam sobie zrobić taki sam, żeby ludzie wiedzieli, gdzie pracuję – oznajmiła Amaira z pewnością siebie dziecka, które nigdy nie miało do czynienia z igłą.

– Nie.

– Ale ja...

– Nie – powtórzyłem stanowczo.

Spuściła wzrok.

– Tak, panie kapitanie.

– Masz pracę do wykonania. Bierz się do roboty. – Amaira dramatycznie westchnęła i powłócząc nogami, wyszła z pomieszczenia, postarawszy się o to, żebym zauważył, jak bardzo jest niezadowolona, że musi zarabiać na swoje utrzymanie. Dokończyłem mięso, przeciągnąłem się, dopiłem resztkę kawy i rozdzieliłem obowiązki swoim podwładnym.

* * *

Zapukałem do drzwi gabinetu Valiyi i wszedłem. Odbierałem schludność jej światka jako reprimendę dla chaosu, w którym sam się pogrążałem. Wbrew sobie wpuściłem koszulę w spodnie, aby dostosować się do atmosfery porządku, którą stworzyła. Valiya miała idealnie wyprasowaną sukienkę i fryzurę równie nieskazitelną jak pokój. Właśnie zajmowała się listą płac naszych – moich – pracowników, ale kiedy wszedłem, odłożyła księgę rachunkową.

– Levan Ost nie żyje. Nie wiem, gdzie mieszkał. Nie wiem, gdzie szukać jego córki. Uda ci się ją wytropić?

– Jeśli jest tutaj, można ją odnaleźć – odrzekła Valiya. Napiała się z delikatnej porcelanowej filiżanki. Uwielbiała smakującą błotem paskudną herbatę, którą sprowadzano z dalekiego zachodu.

– Mogłabyś się tym zająć sama? – spytałem. – Dyskretnie?

– Oczywiście. Zastanawiałeś się nad poszukaniem ludzi, którzy go

zatrudnili?

Valiya potrafiła zadawać pytania w taki sposób, że brzmiały jak polecenia. Obserwowała mnie znad krawędzi filizanki. Jej herbata wyrażała naganę. Nie podobało jej się, że większości naszych działań towarzyszy pijaństwo, ale w końcu nie musiała wędrować po Nieszczęściu ani nikogo zabijać.

– Ost powiedział, że było ich trzydziestu, w tym dwóch Przędzarzy. Nawet nie znał ich nazwisk. To kiepski trop.

– Źle do tego podchodzisz – odparła Valiya. – Żołnierzy trudno wytropić, ale nawigatorzy nie są tak pospolici. Jak znaleźli Osta? Większość nawigatorów pracuje dla cytadeli. Tylko nieliczni to wolni strzelcy. Może Ost nie był pierwszym, do którego się zgłosili.

Miała rację. Powinienem sam na to wpaść. Może by się tak stało, gdyby mgła przesłaniająca mi oczy ustąpiła. Może picie błotnistej herbaty ma swoje zalety.

Wszyscy mamy jakieś wady. Wolę trzymać się tych, które dobrze znam.

– Przypomnij mi, żebym zgłosił się do ciebie, kiedy znów będę musiał coś wykombinować – powiedziałem. – Dzięki. Do jutra będę w mieście.

Wstałem z zamiarem wyjścia.

– Ryhalcie! – zawołała za mną Valiya.

– Tak?

– Weź jeszcze jedną kąpiel. Wciąż cuchniesz kanałem. – Nie podniosła wzroku, ale mógłbym przysiąc, że próbowała powstrzymać uśmiech. Nieczęsto się uśmiechała. Wielka szkoda.

Nie posłuchałem jej rady, ale przebrałem się z munduru w stare, proste ubranie, jakie zwykłem nosić przez gorszą połowę swojego życia, po czym opuściłem miasto przez południową bramę, podążając szlakiem zaopatrzeniowym. Minąłem stacje pięćdziesiątą drugą i dwudziestą czwartą, które sprawiały wrażenie dobrze utrzymanych i licznie obsadzonych. Tak blisko Valengradu załogi obawiały się inspekcji, a dowódcy bez wyjątku chcieli stacjonować jak najbliżej miasta. Wyprzedziłem dwie skrzypiące karawany powoli przemierzające Łańcuch, lecz ruch w obie strony nie był duży. Drodze

przydałaby się naprawa, ale to dotyczy wszystkich dróg zimą.

Cel mojej podróży był oddalony o pół dnia jazdy. Stacje Łańcucha wznoszą się wzdłuż granicy, ale dwie mile od skraju pustyni wyrosło Teak's Town, niewielkie miasteczko – jeśli można je tak nazwać – w którym mieszkali kopacze i poszukiwacze, na tyle odważni, by zapuszczać się w głąb Nieszczęścia. W pewnym momencie powstała tam piwiarnia U Teaka, ponieważ ludzie powracający z Nieszczęścia potrzebują trunków. Chociaż lokalu zapewne nie powinno tam być, cieszył się niezasłużoną sławą najlepszego browaru w miastach. Powiadano, że sam marszałek Venzer go odwiedza. Próbowałem go sobie wyobrazić, zamaskowanego starca, który jedzie pojedynczą, zapyloną ulicą i oblizuje usta. Uśmiechałem się, ponieważ taki wybieg zapewne spodobałby się Żelaznemu Kozłowi.

Napotykałem także podróżnych zmierzających w przeciwnym kierunku, w górę Łańcucha, ku Valengradowi. Ludzi z prowincji, rolników, robotników, rzemieślników – zwykłych obywateli na wyładowanych po brzegi wozach, z dziećmi o wytrzeszczonych oczach. Sprawiali wrażenie radosnych, mimo bliskości Nieszczęścia, i z dumą nosili żółte kaptury pielgrzymów Jasnego Zakonu. Pozdrawiałem ich przyjaznymi skinieniami głowy, ale nie zatrzymywałem się, by z nimi porozmawiać.

W miasteczku panowała surowa, nieciekawa atmosfera. Wokół piwiarni otworzyły się sklepy oraz zakłady usługowe, jakich można się spodziewać w miejscu, które powstało dzięki wykopywaniu fantów z Nieszczęścia i sprzedaży alkoholu. Jaskinie hazardu, burdele, sale walk i lombardy. Nie było tutaj sieci fosu, a wszystkie budynki zbudowano z drewna, poza obłożoną kamieniem piwiarnią, która jakby wywyższała się nad swoich sąsiadów. Nie lubiłem tego miasteczka. Przyciągało niewłaściwych ludzi, którzy koniecznie chcieli zarobić na Nieszczęściu. Levan Ost nie był jedynym, który próbował wzbogacić się na sprzedaży przedmiotów z Nieszczęścia zachodnim kolekcjonerom osobliwości. Kopacze zazwyczaj nie zapuszczali się daleko. Po kilku godzinach wędrówki po pustyni ryzyko zabłądzenia stawało się zbyt wysokie. Całe ich bandy kręciły się przed piwiarnią. Chociaż była zima, znad Nieszczęścia nadciągnęła

fala upałów, a gorąca pogoda zachęciła klientów do wyjścia przed lokal. Poszukiwaczy można było łatwo poznać po tym, jak ściskali sobie nawzajem dłonie z rozpaczliwym wyrazem twarzy. Tylko trzy rodzaje ludzi świadomie wkraczają do Nieszczęścia: głupcy, chciwcy oraz desperaci. Ci ludzie najwyraźniej należeli do wszystkich tych kategorii.

– Szukasz towarów, kolego? Mam najrzadsze okazy, jakie widziałeś. Jesteś zainteresowany kupnem? – spytał jeden z nich, gdy przywiązałem Sokoła do słupka.

Przebrałem się w stare, wytarte skórzane ubranie i kapelusz o miękkim rondzie, który miałem od piętnastu lat, ale mój koń zdradzał, że jestem kimś zamożniejszym. Kopaczowi nerwowo drgał policzek. Podczas swoich wędrówek widział coś, czego nie potrafił zapomnieć. Tak czasami bywa.

– Nie dzisiaj – odparłem.

– Mam coś naprawdę wyjątkowego – dodał. Sięgnął pod płaszcz i niewątpliwie zamierzał wyciągnąć jakąś osobliwość, ale chwyciłem go za rękę.

– Nie dzisiaj – powtórzyłem.

Wszedłem przez wahadłowe drzwi do baru, który nie wyróżniał się niczym specjalnym. Stara słoma na posadzce, silna woń rozlanego piwa w wilgotnym powietrzu. W mroku zwróciły się ku mnie oczy klientów, a barmanka zmierzyła mnie wzrokiem, uznała za kolejnego zdesperowanego poszukiwacza skarbów i wróciła do swojego kołowrotka. Kilku popołudniowych amatorów trunków, którzy postanowili znosić upał, byle tylko znaleźć się bliżej baru, nie zwróciło na mnie uwagi. Mieli dosyć własnych zmartwień.

Podszedłem do kontuaru. Beczki z piwem i butelki z czymś, co prawdopodobnie miało uchodzić za whisky, spoglądały na mnie błagalnie, ale na razie zignorowałem ich samobójczy jęk i zwróciłem się do barmanki. Upięła rude kręcone włosy na czubku głowy, żeby wyeksponować złoty łańcuch na szyi. Przynajmniej ktoś tutaj potrafił zarobić.

– Znam cię – powiedziała. – Ten płaszcz mnie nie zmyli. Stąpaj ostrożnie. Niektórzy chłopcy nie chcieliby, żebyś ich zobaczył.

Pewnie dezercerzy. Mogłoby się wydawać, że ludzie, którzy uciekli z wojska, oddalą się od Nieszczęścia, ale mamy w zwyczaju trzymać się miejsc, które znamy.

– Wskaż mi ich, jeśli wpadną ci w oko.

– Jeżeli szukasz kłopotów, załatw to na zewnątrz.

– Nie szukam kłopotów, tylko nawigatorów – odparłem. – Są jacyś w okolicy?

– Jest Nolt. Przynajmniej był tutaj wczoraj. Ale nie szukał pracy. Stracił do tego serce. Teraz głównie przesiaduje w barze i opowiada historie.

Podziękowałem jej i pomimo dobrych zamiarów wychyliłem dwie szklaneczki whisky. Była lepsza, niż się spodziewałem. Przepłaciłem za trunek i właśnie zbierałem się do wyjścia, gdy zobaczyłem trzy agresywne sylwetki zastawiające drzwi.

– No cóż, wygląda na to, że chcecie ze mną porozmawiać.

„Porozmawiać” może nie było właściwym słowem. Mieli na sobie niekompletne zbroje, źle dopasowane i upstrzone rdzą, poskładane z kawałków różnych pancerzy. Jeden był niski i miał opuchnięte oko. Drugiemu, wyższemu, brakowało części zębów. Trzeci miał duży brzuch i bokobrody okalające zapijaczoną twarz. Jeszcze nie dobyli broni, ale kiedy zobaczyli, że wjechałem do miasteczka, zapewne poszli się przygotować, korzystając z tego, że zająłem się whisky. Pijaństwo kiedyś mnie zabije, wszyscy mi tak mówią. Ta trójka potraktowała to zbyt dosłownie.

– Wiemy, kim jesteś – powiedziała kobieta.

Wyglądało na to, że jest ich przywódczynią. Jedyna, która miała trochę oleju w głowie. Rozpoznałem ich – nie osobiście, nie z imienia, ale znałem ten typ ludzi. Żołnierska służba wymaga odwagi, dyscypliny i twardości. Aby zostać dezercerem, wystarczy to ostatnie. Czuli się silni na znajomym terytorium, z przewagą liczebną i poskładanymi zbrojami. Sądziłem, że na nich poluję, i może by tak było, gdybym wiedział, kim są. Ale nie spodziewałem się walki i przybyłem lekko uzbrojony.

– Nie jestem tutaj z waszego powodu – odparłem. – Będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli za pięć minut zostanie po was tylko pył. Dam

wam fory. Chcecie, żebym zaczął odliczać?

– Posłałeś na szubienicę Binny’ego i Wilksa – rzuciła kobieta, a ciężki mężczyzna z wąsami warknął. – Byli weteranami. Przetrwali oblężenie. A ty ich powiesiłeś, ponieważ za długo przebywali w Nieszczęściu i już nie mogli go z siebie zmyć. Nie powinieneś był tego robić.

Binny. Wilks. Dwóch uciekinierów z zeszłego roku. Prawie o nich zapomniałem. Klienci piwiarni wyczuli, że zbliża się burza, i cicho usuwali się pod ściany.

– Zgłóście to władzom – odrzekłem. – Nic do was nie mam. Nie narzucajcie mi się, a może będziecie mieli okazję pożalić się komuś, kogo to obchodzi. Nie warto ze mną zadzierać.

Rzeczywiście nie warto. Ale w odróżnieniu od starcia na barce tutaj nie mogłem liczyć na element zaskoczenia, a szczęście nie sprzyja tym, którzy za bardzo na nim polegają. Jeśli dezernerzy zaatakują, najlepiej będzie wyskoczyć przez najbliższe okno.

Dotarła do mnie ostra drzewna woń płonącego lontu. Usłyszałem trzask odciąganego kurka.

– Lepiej spierdalajcie – odezwała się barmanka, spoglądając wzdłuż lufy rusznicy. – Nie dobywajcie mieczy, tylko wsiadajcie na swoje zapchlone muły i wynoście się z mojego lokalu.

Dezernerzy posłali jej nieprzychylnie spojrzenia, ale barmanka nie zdjęła palca ze spustu.

– Szukam nawigatora – powiedziałem, próbując skupić ich myśli na czymś innym niż rozplątanie mi brzucha.

Barmanka mogła strzelić tylko raz i nawet gdyby trafiła, wciąż byłbym w opałach. Dezernerzy nie blefowali: bali się, że spotka ich taki sam los jak Binny’ego i Wilksa, a czy ktokolwiek by się przejął, gdyby to grubas dostał kulkę? Wszyscy rozważali w myślach rozmaite scenariusze.

– Szukam nawigatora. Wolnego strzelca. Wiecie, gdzie mogę znaleźć Nolta?

– Nolta? – spytała kobieta, mrużąc oczy. – Coś przeszkrobał?

– O niczym mi nie wiadomo. Nie grożą mu żadne kłopoty, nie z mojej strony. Po prostu powiedzcie mi, gdzie mogę go znaleźć,

a zaraz odjadę, żeby nie musieć dłużej was oglądać.

– Sam go znajdź – odparła. – Chodźcie, chłopcy. Przyływ na nas nie poczeka.

Znajdowaliśmy się daleko od morza, ale dezercerzy widzieli, w którą stronę wieje wiatr, i wycofali się z piwiarni. Barmanka odetchnęła z ulgą, opuściła rusznicę i zgasiła lont. Klienci wrócili do swoich stolików. Do ich mglistego świata powrócił porządek. Odwróciłem się do barmanki i zamówiłem kolejną szklaneczkę. Teraz musiałem już tylko czekać.

Nolt sam do mnie przyszedł. W niewielkim miasteczku wieści szybko się rozchodzą. Kuśtykał o kulach, gdyż stracił większą część nogi pod kolanem. Zabiedzony człowiek, który najlepsze lata miał już za sobą, ubrany w sfatygowany skórzany strój. Wyglądał tak staro, że mógłby być moim ojcem, ale na ramionach nosił żółty kaptur. Usiadł obok mnie przy barze i stało się jasne, że chętnie ze mną porozmawia, jeśli postawię mu porcję słodkiego miejscowego piwa.

– W porządku?

– Cóż mogę powiedzieć? – odrzekł. – Czasy są ciężkie i wszystkiego brakuje. – Wskazał na swoją uciętą nogę.

– Co cię dopadło?

– Skrzelaki. Dwanaście lat jako nawigator, aż pewnej nocy mój kompan zasnął na warcie. Obudziłem się, bo zachciało mi się łać, i odkryłem, że mały drań zeżarł aż tyle. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Od tamtej pory ciężko znaleźć dobrą fuchę. Cytadela mnie nie chce, chociaż wciąż potrafię jeździć konno. Sądziłem, że dadzą mi szansę. W końcu byłem świetnym nawigatorem.

– Tak słyszałem – odpowiedziałem, chociaż to było kłamstwo.

– A ja słyszałem, że szukasz nawigatora. Myślałem, że pracujesz z Tnotą. Ten facet zna Nieszczęście jak własną kieszeń. Co mogę dla ciebie zrobić? Masz dla mnie robotę?

Ton głosu Nolta wskazywał, że chce wrócić do pracy. Pragnął udowodnić, że wciąż dorównuje innym nawigatorom, nawet jeśli stracił stopę. Ale za jego słowami kryło się milczące błaganie. *Nie posyłaj mnie tam. Nie posyłaj mnie na to przeklęte pustkowie, gdzie*

krążą widma i rzeczy, które nie mają nazwy. Błagam. Nie rób tego. Było mi go żal. Musi być ciężko obudzić się i zobaczyć, że jakiś mały czerwony stwór wysysa ci szpik.

– Nie. Szukam kogoś, kto mógł ci proponować zatrudnienie. Wyprawę do Doliny Tivena.

Trafiłem w punkt. Udał zasmuconego, że nie chcę go wynająć, ale znacznie silniejsze było uczucie ulgi. Postawiłem mu następną kolejkę, żeby zachęcić go do opowiadania.

– Mógłbym przyjąć to zlecenie – odrzekł. – Dobrze wiesz, że bym podolał. Trudno się tam nawiguje, ale poradziłbym sobie bez trudu. – Chciał, żebym mu uwierzył i uznał, że wciąż jest tym samym człowiekiem, co dawniej.

Nie spytałem, dlaczego odmówił. Zmusiłbym go do kłamstwa.

– Dobrze zrobiłeś, że go nie przyjąłeś. Pamiętasz, kto się do ciebie zgłosił?

– Owszem. Po kimś takim nie spodziewałbym się wyprawy do Nieszczęścia. Głos z wyższych sfer. Lennisgradzki akcent. Nie arystokrata, ale prawie. Wykształcony. Kurewsko wielkie ego.

– Przedstawił się?

Nolt przez chwilę się zastanawiał.

– Nacomo – odrzekł w końcu. – Właśnie tak. Nacomo. Tak samo jak miasto.

Niezbyt pospolite, ale też nie nadmiernie rzadkie nazwisko.

– Muszę wytropić tego człowieka. Przypominasz sobie jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Nolt już zakończył pracę w Nieszczęściu, co było zrozumiałe w tych okolicznościach. Został zwolniony ze służby z uznaniem zasług. Ale wciąż był patriotą i miał serce wojownika. Stracił stopę, ale nie powołanie.

– Średni wzrost, brązowe włosy. Biały. Wyglądał młodo, ale miał stare dłonie. – Zastanawiał się kilka chwil. – Jeszcze jedno. Za każdym razem, gdy niebo wyło, a w dniu, gdy szukał nawigatorów, wyło jak szalone, praktycznie zrywał się z miejsca. Pomyślałem sobie, że jest w Łańcuchu od niedawna. Dziwiłem się, po co chce się udać aż do Doliny Tivena. Dotarł do celu?

– Chyba tak. Dziękuję, Nolt.

– Jeśli pojawi się jakieś prawdziwe zlecenie, daj mi znać – poprosił, ale po drzeniu jego szczęki widziałem, że wcale tak nie myśli. Dałem mu wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mógł raczyć się piwem do końca tygodnia, co stanowiło słoną cenę za jedno nazwisko i garść szczegółów. Zamierzałem przekazać je Valiyi i sprawdzić, co z tego wyniknie.

* * *

Było już po zmierzchu, gdy wróciłem do Valengradu. Ulice miasta ostatnio stale były zatłoczone. Pojawiło się wielu nowych przybyszy, z dorobkiem całego życia załadowanym na wozy. To byli zwykli ludzie, handlarze i rolnicy; niektórzy przyjechali z fachem w rękę, inni tylko z determinacją i kilkoma gębami do wykarmienia. Mnóstwo pustych domów czekało na chętnych. Podczas oblężenia zginęło tak wielu ludzi. Niektórzy polegli na murach bądź pod nimi, inni uciekli i zostali schwytani, gdy wojska Shavady wkroczyły do miasta. To niezwykle przygnębiające wprowadzić się do nietkniętego domu kogoś, kto poległ w twojej obronie. Ale po czterech latach miasto znów zapełniło się ludźmi. Przybywali w konkretnym celu, ich żółte kaptury stanowiły deklarację przynależności do kultu, który zakorzenił się we wszystkich dziedzinach życia. Gdyby to ode mnie zależało, traktowałbym ich tak samo jak wszystkich czarnowidzów i wdeptałbym ich świeżo opierzoną religię w piach, ale było ich bardzo wielu, uznałem więc, że najlepiej będzie trzymać się od nich jak najdalej. Nazywali się Jasnym Zakonem i szczerze ich nienawidziłem.

Usiadłem w karczmie Pod Dzwonem z kuflem ciemnego piwa, które było tak gorzkie, że mogło przeżreć podniebienie. Nie było smaczne, ale tanie. Mogłem sobie pozwolić na lepsze. Na piekła, za połowę swoich rocznych poborów mogłbym kupić cały ten zawszony przybytek, ale dawnych nawyków trudniej się pozbyć niż kleszczy. Po drugiej stronie pomieszczenia obdarci mężczyźni i kobiety podawali

sobie miseczkę z białymi liśćmi. Najemnicy po służbie siedzieli w półokręgu wokół ognia i prześcigali się w snuciu w większości fikcyjnych opowieści o nieprawdopodobnych podbojach. Po oblężeniu Tnota i ja praktycznie przejęliśmy ten lokal, dopóki obowiązki i praca nas nie pochłonęły. Część dzieciaków, które się nami zajmowały, wciąż tutaj pracowała. Kiedy przekazywałem to miejsce Savowi, zmusiłem go, aby obiecał, że ich nie wyrzuci i nie pozwoli, by się kurwili, dopóki nie dorosną.

Szybko wychyliłem trzy piwa, zanim Tnota do mnie dołączył.

– Valiya rozmawiała z chłopakami z cmentarza. Otrzymali ciało Devlena Maille’a, ale na tym trop się urywa. Nie pamiętają go ani nie wiedzą, do której zbiorowej mogiły go wrzucili.

– Nie miałem wielkich nadziei – przyznałem. – Co jeszcze?

– Żaden z naszych informatorów niczego nie wie. Pytałem także najemników o trzydziestoosobowy oddział, który niedawno wrócił z Nieszczęścia i miał w swoich szeregach Przędzarzy. Bez rezultatu.

– Rozmawiałeś z chłopcami przy wschodniej bramie?

– Valiya z nimi rozmawiała. Żadnego śladu. – Tnota gestem poprosił kelnerkę o wino. Uśmiechnęła się do niego. Z jakiegoś powodu wszyscy Tnotę uwielbiali. Przed oblężeniem bezustannie oglądał się za chłopakami z karczmy, ale odkąd został ranny, wyraźnie się uspokoił. Wciąż szelmowsko się uśmiechał, lecz stracił coś więcej niż rękę. Podobnie jak Nolt miał zszargane nerwy, przez co nie radził sobie nie tylko podczas wędrówek po Nieszczęściu, ale także w alkwie. Już nie zerkał na przesiadujących na balkonie chłopców o obnażonych torsach.

– Żadnego?

– Gdyby twój znajomy Ost nie stracił przez to życia, nie uwierzyłbym w ani jedno słowo.

– Zastanawiam się, czy nie wplątał się po prostu w jakieś lokalne porachunki. Może chciał, żebym toczył za niego jego bitwy. Tylko że oni podeszli wyjątkowo blisko po tym, jak go trafili. Bardzo im zależało, żeby nie wstał.

– Zbliżają się kłopoty – odezwał się Tnota, po czym skinął głową w stronę dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy weszli do lokalu

i strząsali wodę z długich peleryn. Nosili żółte kaptury. Członkowie Jasnego Zakonu.

– Może akurat ci nie są dupkami – odrzekłem, ale nie miałem wielkich nadziei. Większość ludzi to dupki, niezależnie od tego, czy właśnie wstąpili w szeregi nowej religii.

Nowo przybyli zbliżyli się do stolika starych najemników i spróbowali wręczyć im ulotki, a gdy zostali poproszeni o odpierdolenie się, podeszli do nas. Wyglądali na ludzi z prowincji i tak się wysławiali.

– Traciecie czas, synu – powiedziałem. – Pod Dzwonem ludzie pojawiają się tylko w dwóch celach. Żeby się upić lub podupczyć. Żadne opowieści o wizjach w świetle tego nie zmieniają.

Przedstawiciel zakonu zignorował moje słowa. Zrobił niemal przeproszającą minę.

– Bez obaw, nie zamierzam przekonywać panów do uwierzenia w cokolwiek, czego panowie nie widzieli na własne oczy. Wiara to sprawa między człowiekiem a duchami – zapewnił. – To tylko zaproszenie dla każdego uczciwego obywatela, który ma dosyć płacenia więcej, niż jest winien. Organizujemy publiczny protest przeciwko najnowszemu podatkowi marszałka. Bardzo chcielibyśmy poznać panów opinię.

Pchnął w naszą stronę wilgotną ulotkę. Deszcz padał mu do torby, przez co tusz się rozmazał, czyniąc pismo niemal nieczytelnym. Widząc, że niczego więcej się od nas nie dowiedzą, mężczyźni odeszli od naszego stolika.

– Ostatnio do miasta przybywa cała masa nowych wyznawców Jasnego Zakonu – zauważył Tnota.

– Wielka Iglica – mruknąłem. – Traktują ją jak święte miejsce, chociaż nawet nie jest gotowa.

– Może to banda nudziarzy, ale przynajmniej już nie mieszkamy w mieście duchów. Handlarze się cieszą – rzekł Tnota. – Wielki Pies mówi, że więcej ludzi w Łańcuchu to dobra wiadomość. Niemożliwe, aby wszyscy byli tępakami.

Nie byłem tego taki pewien. Ich wiara wyglądała na mieszankę duchowości z rewolucyjną filozofią, a wszystko opierało się na

wizjach tak zwanej Jasnej Pani, które mieli ludzie w całym mieście. Powiadano, że Wysoki Świadek wybiera się do Valengradu, aby rozgłaszać przesłanie Jasnej Pani. Może on objaśni ich ideologię bardziej zrozumiale niż chłopci tłoczący się na ulicach.

Razem z Tnotą napiliśmy się jeszcze i rozegraliśmy partię płytek. Tnota fatalnie grał i zazwyczaj dawałem mu fory, żeby gra nie skończyła się za szybko, ale tym razem zanim się zorientowałem, uwięził połowę moich pionów. Może w mojej głowie panował zaduch, a może po prostu myślałem gdzieś indziej. Straciłem połowę przednich pionów w pułapce, którą powinienem był dużo wcześniej przewidzieć.

– Znów ją widziałem – odezwałem się.

Mój jednoręki przyjaciel pokiwał głową. Jakby już odgadł, co zamierzam powiedzieć.

– Wielu ludzi ją widziało – odrzekł. – Właśnie po to tutaj przybywają, prawda? Wszystkie żółte kaptury sądzą, że ją widziały. Uważają, że symbolizuje nadejście nowego porządku. Ty też tak myślisz, Ryhalcie?

– Nie. Poza tym to co innego. Oni twierdzą, że widzą kobietę w świetle. Ja widzę... coś innego. Ona umarła i już się z tym pogodziłem. To, co pozostało w świetle... jest jak odcisk stopy. Ale... widziałem ją.

– Widziałeś jasny błysk – rzekł Tnota. – Byłeś na polu bitwy wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że kiedy krew się w nas burzy, nie jesteśmy w stanie wszystkiego dobrze zapamiętać. Kiedy ostatnio się wyspałeś? – Tnota strzepnął popiół na stół i zakrył dłonią wierzch kufła z piwem. To znaczyło, że jest w poważnym nastroju. Gotowy rozmawiać, a nie pić. – Wiem, że nie jest ci łatwo, Ryhalcie. Odnalazłeś Elizabeth, po czym ją straciłeś, i gdzieś w tej twojej starej poobijanej czaszce kołacze się myśl, że jesteś za to odpowiedzialny, chociaż zrobiłeś tyle samo co wszyscy, by uchronić nas przed przemianą w roboli. Chcesz poznać moje zdanie?

– Nie wiem. Spodoba mi się?

– Nie, ale i tak się nim podzielę. Powinieneś się wyspać. Jesteś na ostatnich nogach. Za chwilę zaczniesz kwestionować wszystko, co

widzisz.

– Widzę ją we śnie – odrzekłem.

– To tylko koszmary – zaprotestował Tnota. – Wszyscy je miewamy.

– A jeśli Dantry miał rację? Jeśli ona nie zginęła? Nie całkowicie.

– Ten człowiek miał mózg wielkości miasta, ale ani krztyny rozsądku – odpowiedział Tnota. – I nawet jeśli miał rację i w świetle pozostało coś więcej niż jej echo, to i tak gównu mógł na to poradzić. Nie jesteś matematycznym geniuszem jak on, ale jeśli chcesz wierzyć, że Elizabeth wróci do ciebie tanecznym krokiem, może powinieneś dołączyć do tego kultu. Byłoby ci do twarzy w kapturze.

– Chciałbym, żeby on wrócił, dokądkolwiek odszedł. – Mówiłem szczerze. Dantry Tanza trzymał się z nami przez dwa lata. Pozwoliłem mu mieszkać w moim domu. Potem sprawy się skomplikowały. Wyrzucił w błoto całą fortunę, kupując jakąś dawną księgę, która wpędziła go w obsesję. To był *Kodeks Tarana*. Napisało go w martwym języku akackim. Taran był Bezimiennym, który żył przed tysiącem lat. Nikt z żyjących nie potrafił czytać po akacku, nie licząc kilku słów, które pozostały na rozsypujących się pomnikach i popękanych posągach. Dantry zatrudnił najlepszych badaczy, językoznawców i uczonych, chcąc przetłumaczyć księgę. Wierzył, że jeśli zdoła ją odszyfrować, znajdzie sposób na ocalenie Elizabeth. To była strata energii, pogoń za mrzonkami. Nie mogłem znieść tego, że stale mówił o swojej siostrze, jego pewności, że ona wciąż żyje, uwięziona w świetle. Początkowo również w to wierzyłem, ale z upływem czasu moja wiara słabła, aż w końcu całkiem się załamała. Elizabeth była kobietą z krwi i kości. Cokolwiek z niej pozostało, składało się tylko z fosu. Było echem. Mówienie o tym sprawiało mi zbyt wielki ból.

Dantry wpadł w obsesję. Opracowywał niekończące się wyliczenia oparte na tej księdze, ale ja nigdy nie rozumiałem, jak liczby i linijki tekstu na kartce mogą sprawić, by człowiek ożył. Myślę, że pod koniec on też zdał sobie z tego sprawę. Pewnego dnia zabrał swoją nieprzeniknioną księgę, wyszedł i nigdy nie wrócił. Nasze relacje były już wtedy tak napięte, że zauważyłem jego zniknięcie dopiero po dwóch dniach. Żałowałem tego.

– Powinienem był mu pomóc – westchnąłem. – Dantry był jedynym, który próbował odkryć, co się z nią, kurwa, stało. Chciałbym, żeby wrócił.

– Ja też – przyznał Tnota i uśmiechnął się szelmowsko. – Zawsze chętnie stanę przy takim mężczyźnie.

Stęknąłem.

– Tak, nie wątpię.

4

Bolała mnie noga. Padał deszcz. Ci ludzie wzbudzali we mnie podejrzliwość, a jednak uległem najpotężniejszemu przymusowi pod słońcem: uporczywym żądaniom dziecka.

Przebrałem się i przejrzałem w lustrze. Wyglądałem kurewsko śmiesznie.

Nie mogłem uwierzyć, że zgodziłem się wziąć udział w tej teatralnej farsie.

– Krawiec powiedział, że tak się ubierają wszyscy dworzanie – oznajmiła Amaira.

– Nie ma w tym stroju niczego, co sprawiałoby, że chciałbym go nosić.

– Uważam, że kreza jest ładna. Trochę ukrywa pański podbródek – odrzekła Amaira.

– Co jest nie tak z moim podbródkiem?

Posłała mi spojrzenie, które oznaczało, że jeśli sam tego nie wiem, to nie ma sensu mi mówić. Dzieci w ogóle nie mają taktu. To jeden z powodów, dla których je lubię. Krawiec dobrze skroił ubranie, ale minęło dużo czasu, odkąd próbowałem wyglądać elegancko, i chętnie zaczekałbym z tym jeszcze kilka lat. A najchętniej aż do śmierci. Koronki, falbany, srebrne guziki, złoty brokat. Kaptcie uszyte z materiału tak miękkiego, że powinien rozpaść się w kontakcie z powietrzem. Nosilem taką tandetę regularnie przed Adrogorskiem i moją hańbą, ale wtedy byłem innym człowiekiem. Miałem dojmujące wrażenie, że ten strój także nie chce, abym go nosił.

– Pierdolę, przebieram się.

Amaira jęknęła zawiedziona.

– Załóż sukienkę, którą przysłała ci major. Niech Valiya pomoże ci ze sznurkami. Może też zrobi ci loki.

Amaira odbiegła, podśpiewując. Czarnoskrzydli zajmowali się wieloma poważnymi sprawami, ale jej obecność ożywiała biuro. Gdybyśmy wszyscy mogli na zawsze pozostać dziećmi, wątpię, żebyśmy musieli przejmować się wojną, Maszynerią, armatami czy mieczami.

To smutne, że kiedyś dorośnie i zapewne stanie się równie nieznośna jak wszyscy.

Przebrałem się z gównianych ciuchów przysłanych przez krawca w jeden z nowych mundurów. Czarne pludry, porozcinane, by pokazać kasztanową podszewkę, dopasowana marynarka z wojskowymi guzikami. Odpowiedni i praktyczny strój do nieodpowiedniej i niepraktycznej roboty. Założyłem do niego długi czarny frak. Znacznie lepiej. Przypasałem miecz. Arystokraci nosili broń do teatru nie dlatego, że zamierzali jej użyć, ale dlatego, że pięknie wykute miecze pozwalały im się pochwalić bogactwem i dobrym gustem. W ich broni ważniejsza była rękojeść niż stal. Pozwoliłem, by kowal przygotował dla mnie ozdobny miecz z eleganckim jelcem, ale wymieniłem delikatne ostrze do pojedynków na takie, którym mogłem przerąbać na pół łeb krowy. Raczej nie będę musiał się bronić przed atakiem bydła, ale nigdy nie można mieć pewności.

– Wygląda pan nudno! – Amaira wydeła usta, gdy wsiedliśmy do powozu przysłanego przez Nenn. Miała na sobie ładną różowobłękitną suknię balową do kolan i długie buty. Ta moda nigdy nie przemijała i sprawiała wrażenie nieco zbyt dorosłej jak na chłopcę figurę Amairy, ale cóż ja mogę wiedzieć o dzieciach? W dalekiej Hyspii dziewczynki w jej wieku są wydawane za męż. Oczywiście jeśli ktoś próbuje czegoś takiego w Valengradzie, odcinamy mu kutasa.

Powóz przemierzył miasto i dotarł do absurdalnego, dekadenceckiego teatru, który służył rozrywce arystokratów mieszkających w Wierzbach. Powozy ustawiano w rzędach, zgodnie z rangą pasażerów, dumnie eksponując insygnia. Woźnice stale przestawiali pojazdy, w miarę jak przybywali znaczniejsi goście, podczas gdy spięty urzędnik starał się ustalić, czy wicehrabia jest ważniejszy od pułkownika. Wzdłuż Łańcucha zamieszkała nowa klasa arystokracji,

która chętniej stawiała do walki niż ich poprzednicy. Przedstawicielom śmietanki, którzy uciekli w naszej najczarniejszej godzinie, przydarzyła się seria tragicznych wypadków, gdy Maszyneria Nalla już odparła robole. Możliwe, że to tylko przypadek, ale po tym, jak znaleziono w lesie ciała przywódcy Czerwonego Stada, spółki oferującej usługi najemników, oraz hrabiego Orvino, połączone w grzesznym akcie, doszedłem do wniosku, że to jeden z agentów Wroniej Stopy bawi się w zemstę. Nie wiedziałem, który z kapitanów wkłada tyle energii w tę krwawą zabawę, ale wcale tego nie żałowałem.

Artyści rozgrzewali publiczność zonglerką i sztuczkami, co wydawało się dziwne, skoro sztuka miała opowiadać o największej katastrofie od czasów, gdy Wronia Stopa wypalił na świecie piętno Nieszczęścia.

Goście gromadzili się w niewielkich grupach. To była premiera, więc cena pojedynczego biletu mogła doprowadzić do ruiny niewielką firmę, ale każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, pojawił się w teatrze. W każdej hierarchicznie uporządkowanej grupce jednej znakomitości towarzyszył łańcuszek pieczeniarzy, niczym kacząta idące za matką. Próba dołączenia do grupy, która znacznie przerastała cię statusem, była uznawana za pożałowania godny błąd. Kiedy tak na nich patrzyłem, nie mogłem uwierzyć, że kiedyś też uczestniczyłem w tych grach, spędzałem całe godziny na mizdrzeniu się i sporządzaniu list osób, z którymi muszę porozmawiać. Miałem ambicje. Wielu z tych młodych elegancików w holu bardzo mnie przypominało. Młode kobiety były jak Elizabeth. Staralem się na nich nie patrzeć.

– Mogę dostać watę cukrową? – spytała Amaira. Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

Nie zaznałbym spokoju, gdybym nie uległ, dałem jej więc kilka monet, a ona pomknęła w stronę sprzedawcy jak wystrzelona z katapuły.

Arystokraci rozstąpili się na boki, gdy szła między nimi marszałek Davandein. Miała czterdzieści pięć lat i przypominała piękny posąg, nieskazitelny, lecz pozbawiony ciepła. Jakiś zmyślny krawiec tak skroił jej suknię, by robiła olśniewające wrażenie, ale zarazem

zachowała wojskowy charakter. Ciemne włosy kobiety zdobiła siateczka drogocennych czarno połyskujących kamieni. Zajmowała swoje stanowisko od niedawna. Marszałek Wechsel był zdolny, ale stary, i zadanie odbudowy naszych sił obronnych go przerosło. Zmarł spokojnie we śnie. Davandein była spokrewniona z dwoma różnymi rodami książęcymi i na mój gust w jej krwi było zbyt wiele śmietanki, a za mało błota. Ale była bezpośrednia i pewna siebie, a to ważne, gdy masz do czynienia z twardzielami służącymi w Łańcuchu.

Najbardziej mi się w niej podobało, że bezwarunkowo uznawała potęgę Maszynerii Nalla. Byłem jedynym śmiertelnikiem, który poznał prawdę. Dzięki kilku sfałszowanym dokumentom Zakon Inżynierów Eteru działał jak dawniej. Wszyscy, którzy wiedzieli o zakłóceniach w dostawach fosu – o tym, że Maszyneria nie była zasilana fosem, tylko mocą nieśmiertelnego serca – zginęli. Kiedy Maszyneria Nalla zniszczyła naszych wrogów, Bezimienni zapieczętowali serce, wymienili zbiorniki z fosem i sprawili, że wszystko wyglądało jak zawsze. Iluzja trwała i nikt niczego się nie domyślił.

Złowiłem spojrzenie Davandein, a ona przywołała mnie, aby kogoś mi przedstawić. Skrzywiłem się, gdyż nie byłem w nastroju do pogaduszek ze świeżo przybyłymi arystokratami. Smukły mężczyzna przed czterdziestką, który siedł z nią pod rękę, uśmiechnął się do mnie, kiedy się zbliżyłem. Miał ciemne gęste włosy i krótką brodę przyprószoną siwizną, która tylko czyniła go przystojniejszym. Podczas gdy Davandein olśniewała spektakularną suknią, on nosił prosty garnitur z białej wełny pozbawiony motywów i zdobień, a także nie miał przy sobie miecza ani nawet sztyletu. Kiedyś już go spotkałem. Posłał mi dziwaczny uśmiezek, wyczuwając moje zmieszanie.

– Kapitanie Galharrow – powitała mnie Davandein w miarę życzliwym tonem. – Przedstawiam panu gubernatora Thierra z Valaigne. Człowieka odpowiedzialnego za Wielką Iglicę.

Minęło prawie dwadzieścia lat i młodzińczy wdzięk zastąpiła szlachetna elegancja, ale przypomniałem go sobie, gdy tylko wymieniła jego nazwisko. Thierro uśmiechnął się szerzej, kiedy dostrzegł, że go kojarzę.

– Pewnie nie spodziewałeś się, że mnie tutaj zobaczysz, Ryhalcie – odezwał się.

Wyciągnął dłoń w rękawiczce, a ja ją uścisnąłem, po czym, okazując nietypową dla mnie sympatię, chwyciłem go za ramię i odpowiedziałem uśmiechem na jego uśmiech. Bardzo obficie spryskał się wodą kolońską o przytłaczającym zapachu piżma.

– Minęło pół życia – odrzekłem. – Jak się miewasz, na piekła?

– A więc panowie się znają? – spytała Davandein. Próbowwała ukryć, jak bardzo ją to rozdrażniło.

Uprzedziłem ją.

– Studiowaliśmy razem na uniwersytecie – wyjaśniłem. – Poza tym przez jakiś czas służyliśmy wspólnie w Łańcuchu. – Nie wchodziłem w szczegóły, a Thierro również się powstrzymał. Jego pobyt w wojsku nie zakończył się dobrze, a ja także wkrótce popadłem w niełaskę.

– Ach, byliśmy wtedy tacy młodzi, nieprawdaż? Zieloni jak szczypiorek. Miło znów cię widzieć.

– Ciebie też – odpowiedziałem szczerze. Szukamy nici, które łączą nas z przeszłością, i podążamy za nimi, jakby to, co znajduje się w tyle, stanowiło sekret, dzięki któremu pokonamy labirynt. Wydarzenia, które drzemią za naszymi plecami, wydają się prostsze i cenniejsze, ponieważ czas wypłukał z nich zamęt codzienności.

– Gubernator Thierro właśnie przybył, aby nadzorować ostatnie etapy budowy Wielkiej Iglicy – oznajmiła Davandein, próbując odzyskać kontrolę nad rozmową. – Thierro posiada pakiet kontrolny w Westlandzkiej Granicznej Spółce Handlowej. Wiedział pan o tym, kapitanie?

Nie wiedziałem i bardzo mnie to zaskoczyło. Westlandzka Spółka była rozległym handlowym emporium, które zdominowało szlaki towarowe prowadzące do kolonii. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jej właściciele wzbogacili się jak książęta. Podobnie jak ja, Thierro pochodził z zamożnej rodziny, ale poznaliśmy jedynie luksus przysługujący drugim synom z arystokratycznych domów. Spółka tymczasem zarządzała flotami okrętów oraz kupowała i sprzedawała całe miasta. Skoro Wielka Iglica była ich projektem, to znaczy, że był to projekt Thierra.

Teraz już rozumiałem, dlaczego pani marszałek tak się z nim spoufala. Stanowili nietypową parę, ona oszałamiająca jak błyskawica, a on szary jak deszcz. Fanfaroni wokół nas nosili wachlarze z miniaturowymi dziełami sztuki, a rękojeści i jelce ich mieczy migotały złotem i srebrem oraz klejnotami, które kopalnie Westlandzkiej Spółki wyrwały spod ziemi. Pomimo swojego statusu Thierro nie miał świty ani żadnej broni, by chronić się przed próbami porwania czy wymuszenia, co było równie zaskakujące jak jego skromny strój.

– Nie spodziewałem się, że znów zobaczę cię w Łańcuchu – powiedziałem.

Niewątpliwie był to dla niego drażliwy temat, ale nie zamierzałem niczego owijać w bawełnę. Thierro był ze mną pod Adrogorskiem, gdzie dowodził oddziałem strzelców wyborowych. Jeden z Uroczych posłał mordercze zaklęcie, toksyczną mgłę, która zasnuła ich obóz. Thierro był jednym z niewielu ocalałych, ale trucizna uszkodziła mu płuca i po odwiezieniu do Łańcucha został zwolniony ze służby. Czasami zastanawiałem się, co bardziej go zraniło – palące opary czy widok duszących się i konających podwładnych. Zawsze był wrażliwy. Wojsko nie było dla niego dobrym wyborem, mimo że obaj marzyliśmy o sławie.

– Nigdy nie sądziłem, że znów zobaczę to przekłete niebo – rzekł Thierro. – Ale los i wiara gnają nas w dziwnych kierunkach. Chociaż nie powiem, żebym tęsknił za Valaigne. Chciałem tam zażyć morskiego powietrza, ale to ponure miejsce pełne mrocznych lasów i gryzących owadów. Co prawda jest tam spokojniej. – Zerknął na niebo, ale ono wciąż milczało.

– Będziemy musieli powspominać nad szklaneczką czterdziestki dziewiątki – odrzekłem. To było nasze ulubione tanie i paskudne wino, którym kiedyś studenci z naszego roku się raczyli. Pewnie po dwudziestu latach było warte fortunę, jeśli jeszcze zachowały się jakieś butelki.

– Albo filiżanką herbaty – odpowiedział Thierro z niewyraźnym uśmiechem, a ja zastanowiłem się, czy morskie powietrze rzeczywiście pomogło jego poparzonemu płucowi tak bardzo, jak się

spodziewał. – Prawdę mówiąc, chciałbym coś z tobą przedyskutować. Pani marszałek powiedziała, że zajmujesz się tropieniem ludzi. Podobno masz gdzieś tutaj biuro? Polecę swoim ludziom, żeby umówili mnie na wizytę.

Zgodziłem się. Davandein koniecznie chciała pochwalić się Thierrem przed arystokratami, więc uścisnęliśmy sobie dłonie i wszedłem do środka, w nadziei, że uda mi się uciec przed ostrą wonią jego wody kolońskiej, ale w całym teatrze unosił się zapach perfum z nutą starego wina. Mimo wszystko spotkanie z Thierrem mnie ucieszyło. Nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, najwyżej znajomymi, ale miło wiedzieć, że przynajmniej jeden z moich kolegów ze szkoły osiągnął coś w życiu. W Łańcuchu byłem już na zbyt wielu pogrzebach chłopców, którzy razem ze mną opuszczali mury uczelni.

Nenn zasiadała pośród bogów, chociaż nie tak wysoko jak księżęta. Z łóż w galerii zwisały sztandary ukazujące rodowód zajmujących je osób. Status, status i jeszcze raz status. Ca za bzdury.

– A jednak się postarałeś – zauważyła Nenn, kiedy wszedłem do łoży.

– Ty też wyglądasz wyjątkowo – odrzekłem.

Nenn nawet się nie przebrała. Jej płaszcz z bawolej skóry był poplamiony i odbarwiony na łokciach i mankietach, a buty wielokrotnie przemierzały Nieszczęście. Nie miała dworskiego mieczyka, ale broń, którą dla niej przygotowałem: paskudne ostrze służące do rozłupywania czaszek. Wstała i mnie uścisnęła. Miała nowy nos wyrzeźbiony z gładkiego czarnego drewna, na którym tańczyły refleksy światła, ale jedynym, co mnie zaskoczyło, był jej zapach. Nenn zazwyczaj cuchnęła piwem i końmi, ale dziś była wyperfumowana jak inne wytworne damy.

– Nie mogę uwierzyć, że przywlekleś mnie tutaj, żebym oglądał to gówno – poskarżyłem się. – Mamy patrzeć na historię naszego własnego życia odgrywaną przez jakichś skurwieli, którzy nigdy nawet nie siedzieli w okopie.

– Skoro muszę to wytrzymać, to możesz mi towarzyszyć – odparła z uśmiechem. – Chcę ci przedstawić pewnego gościa. Jest w porządku.

– Wskazała kciukiem jedyne poza nami widza w tej łoży, który

najwyraźniej nie był służącym ani ochroniarzem.

Wyglądał na żołnierza, był nieco starszy od Nenn i nieco młodszy ode mnie. Na tyle przystojny, że mógłbym zwrócić na niego uwagę w moich bardziej eksperymentalnych studenckich czasach. Elegancki, zadbany, ale niewątpliwie męski.

– Kapitan Betch Davian – odezwał się i wyciągnął rękę, a ja ją uścisnąłem.

Zmierzyłem go wzrokiem jak ojciec lustrujący pierwszego kandydata do tańca z jego córką. To głupie, ale właśnie tak się czułem.

– Wojsko państwowe czy wolna spółka? – spytałem.

– Siły zbrojne miasta Whitelande – odpowiedział. – Ale nigdy tam nie byłem. Urodziłem się w Łańcuchu.

– Był pan tutaj podczas oblężenia?

– Nie, w czwartej stacji.

– Pewnie pan żałuje, że nie widział tego na własne oczy.

Betch uniósł brew, a ja od razu go polubiłem.

– Nikomu bym tego nie życzył. Wiem, że pan brał udział w walkach. Nenn opowiadała mi, w jaki sposób zdobyła awans.

A więc są ze sobą po imieniu? Dobrze. To znaczy, że się pieprzą, a Nenn zawsze potrzebowała kogoś, kto by ją dobrze i często wypieprzył.

– Najszybszy awans z szeregowca na generała w historii miast. Opowiadała, jak szybko zdołała zasłużyć na degradację?

Uśmiech Betcha świadczył o tym, że tak i że nie miał jej tego za złe. Nenn degradowano za każdym razem, gdy uderzyła wysoko urodzonego ślepowrona. W ciągu czterech lat z generała stała się majorem, ale bardziej odpowiadała jej służba na froncie, więc jej ludziom to nie przeszkadzało. Uwielbiali ją jeszcze bardziej po tym, jak złamała nosy kilku pułkownikom i elegancikom. Idioci kpili z jej mało arystokratycznego pochodzenia, ale kiedy upuściła im nieco krwi, by pokazać, że krwawią tak samo jak ona, żaden nie odważył się wyzwać ją na pojedynek. To dobrze, ponieważ by przegrali, a chociaż byli dupkami, armia potrzebowała generałów i oficerów.

Nenn rozpieszczała Amairę jak salonowego kociaka.

– Nie mów, że znów przywiozłaś jej jakieś śmieci z Nieszczęścia.

Amaira pokazała bibelot, który przed chwilą dostała od Nenn. Była to kępka czegoś, co wyglądało jak włosy. Może ludzkie, może zwierzęce. Na moich oczach przybrała kształt małej figurki przypominającej rolnika z pługiem. Potem rozwinęła się, a następnie znów zmieniła w rolnika. Kolejny bezużyteczny, paskudny magiczny przedmiot z Nieszczęścia.

– Nie zbliżaj tego do ust – ostrzegłem, po czym zabrałem się do picia wina, żeby jakoś znieść tę ciężką próbę.

Ku mojemu zaskoczeniu przedstawienie nie było tak koszarne, jak się spodziewałem. Niewykluczone, że autor był w Valengradzie przed oblężeniem. Głównym bohaterem uczynił marszałka Venzera, a fabuła skupiała się na dylemacie, czy należy uruchomić Maszynę Nalla, by obronić Valengrad, czy raczej poczekać do ostatniej chwili, aby ochrona objęła także trzydziestą szóstą stację. Właśnie tak to wyglądało w rzeczywistości. Ostatecznie Venzer postanowił się powiesić, gdy Maszyna zawiodła, ale nikt oprócz mnie o tym nie wiedział. Podejrzewałem, że pod koniec spektaklu zobaczymy go na murach, gdzie stanie w ostatniej linii obrony i polegnie w blasku chwały.

– Zauważyłeś, że nie ma nas w sztuce? – odezwała się Nenn z uśmiechem. Kiedy na scenie para młodych kochanków zamierzała się pocałować, nachyliła się i wrzasnęła: „No dalej, z języczkiem!”. Aktorzy dzielnie znosili częste uwagi Nenn, a niektórzy z arystokratów niższej rangi nawet naśladowali jej obcesowość, co wprawiało ich kompanów od kieliszka oraz starszą, bardziej wyciszoną elitę w zakłopotanie. Pomimo drwin Nenn mógłbym przysiąc, że w jej oczach pojawiły się łzy, gdy jedno z kochanków, których wyśmiewała, zaszlachtował robol. Zamaskowała to, poprawiając paski mocujące protezę nosa.

– Możemy porozmawiać o pracy? – spytałem.

Nenn zerknęła na swojego kochasia. Betch musiał znosić strumień pytań Amairy, która była całkowicie niezainteresowana przedstawieniem. Radził sobie z tym nad wyraz dobrze, dzięki czemu mieliśmy okazję zamienić kilka słów.

– Strzelaj.

– Pamiętasz, kiedy Uroczy ożywili zwłoki i posłali je przeciwko nam podczas oblężenia?

– Trudno to zapomnieć.

– No więc mam w kostnicy człowieka, którego zastrzeliłem przed trzema tygodniami, ale ponownie spotkałem go całego i zdrowego dwa dni temu. Sądysz, że ktoś może to zrobić bez znaku Królów Głębi? Czy da się wskrzesić trupa?

– I kierować nim jak marionetką?

– Nie. On zachowywał się jak żywy człowiek.

Nenn przez chwilę się zastanawiała.

– Czarownicy znają różne gówniane sztuczki – odrzekła w końcu. – Przędzarze wywodzą się z gminu, a nawet oni są w stanie robić niesamowite rzeczy ze światłem, prawda? Mam w batalionie Przędzarcza, który umie sporządzać lustra z piasku. – Podłubała drewnianą drzazgą w poczerniałych zębach. – Ale wskrzeszanie umarłych? Co innego zmusić zwłoki do ruchu, ale naprawdę przywrócić kogoś do życia? Nie wiem, czy nawet Bezimienni to potrafią.

Popatrzyłem na kruka na swojej ręce. Wiążący mnie układ nie polegał dokładnie na tym samym. To było coś pokrewnego, ale jednak odmiennego. Martwi nie powracali. Mruknąłem potakująco. Doszedłem do tego samego wniosku, ale nigdy nie zaszkoździ zasięgnąć opinii. Tajemnica ani trochę się nie wyjaśniła. Devlen Maille poszedł do piachu i tam powinien był pozostać. Jedyne, co wiedziałem na pewno o ludziach, którzy zamordowali Levana Osta, miało mniej sensu niż układ taneczny, który właśnie prezentowano na scenie. Sięgnąłem po wino i skrzywiłem się, bezskutecznie próbując zgiąć palce. Nie chciały się ruszyć. Ująłem lewą dłoń w prawą i stwierdziłem, że palce są zimne jak lód. Na moich oczach zbieleły jak kość, a odrętwienie ogarnęło dalszą część ręki.

– Zaraza – stęknąłem.

– Co się dzieje? – spytała Nenn.

– Nie wiem.

Skrzywiłem się. Nie zdawałem sobie sprawy z zimna pełznącego w górę ręki, ale teraz sięgało już od końców palców do łokcia. Powyżej

moja ręka była ciepła jak zwykle, ale skóra przed łokciem przybrała nieprzyjemną niebieskawą barwę, a z tyłu czaszki wypływał ból. Nagle poczułem, że coś porusza się w moim ciele, obok kości. Coś obcego, czego wcześniej tam nie było.

– Zaraza – powtórzyłem. – Wybaczcie na chwilę. – Szybko ruszyłem do łazienki.

Czekał w niej pracownik teatru w eleganckim czerwonym kubraku. Kiedy wszedłem, podał mi perfumowany ręcznik, a ja go przyjąłem i zatrzasnąłem się w kabinie. Usiadłem na ławeczce, podczas gdy coś ponurego i okrutnego poruszało się w moim wnętrzu. Obnażyłem rękę i jak najdalej podwinąłem rękaw. To była dobra koszula. Zaraz nie będzie się do niczego nadawała.

Przynajmniej zimno złagodzi nieunikniony potworny ból.

Do pewnego stopnia miałem rację. Wciąż bolało, tylko inaczej. Zazwyczaj czułem intensywne gorąco, które zmiękczało skórę i pomagało ptakowi wyrwać się ku światłu. Teraz skóra była zimna i twarda, a ptak musiał włożyć więcej wysiłku. W połowie drogi jakby miał ochotę się poddać. Krew ciekła mi z ręki, zaskakująco gęsta i chłodna, a wiem, o czym mówię, ponieważ doświadczyłem tego już wielokrotnie. Ale kiedy ptak z trudem przeciskał się przez dziurę, którą wyrwał dziobem w mojej skórze, zorientowałem się, że coś jest nie tak.

Posłańcy Wroniej Stopy zazwyczaj czerpali wściekłą radość z rozrywania ciała i wywrzaskiwania swojej wiadomości. Ten ptak był mały, słaby i nie potrafił przecisnąć skrzydeł przez otwór. Chwyciłem go i z krzykiem wyciągnąłem na zewnątrz przy wtórze śliskiego młaśnięcia.

– Proszę pana?! Wszystko w porządku?! – zawołał służący.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem pośpiesznie, chociaż mój umysł rozbłysnął bólem, a skurcz targnął klatką piersiową. – Spierdalaj i pozwól mi srać w spokoju!

– Dobrze, proszę pana – odrzekł służący, ale chyba go nie uspokoilem.

Popatrzyłem na ptaka, którego przysłał Wronia Stopa. Był zniekształcony, miał uschniętą nogę, brakowało mu połowy piór,

a jedno oko było pokryte bielmem i ślepe. Migotał, jakby pokrywał go szron, kryształki lodu usztywniające pióra. Rozwarł dziób, aby przekazać wiadomość.

Z jego gardła wydobył się skwierczący syk przypominający trzask sosnowych igieł wrzuconych do ognia.

– Proszę pana... – znów odezwał się zaniepokojony służący.

Zignorowałem go i lekko potrząsałem ptakiem. Skwierczenie przybrało na sile. A potem usłyszałem ten wściekły, nienawistny głos, który dobiegał jakby z bardzo daleka.

– GALHARROW – warknął. – ...KRÓLOWIE PRÓBUJĄ... DEMON OCEANU... PORADZI SOBIE Z... – Napłynęła fala trzasków, a zdrowe ślepie ptaka zawirowało w oczodole, jakby jego mózg jeździł na karuzeli. – ...ZAJĄŁ... SKARBIEC. – Dalszy ciąg wiadomości uległ zakłóceniu. Aż wreszcie skwierczenie ustało i rozległ się wyraźny okrzyk pełen złości i frustracji: – MASZ JE ODZYSKAĆ! NIE SPIERDOL TEGO!

No cóż. Nie była to najbardziej pomocna wiadomość, jaką kiedykolwiek otrzymałem. Spodziewałem się, że ptak jak zwykle ulegnie samospaleniu, ale on tylko zwiotczał i głowa obwisła mu pod dziwnym kątem. Potrząsałem nim, ale był nieodwracalnie martwy.

– Proszę pana, pójdę po pomoc! – zawołał wystraszony służący.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem, ale facet już poszedł.

Wrzuciłem oszronione ptasie truchło do sracza i wytarłem ręcznikiem tyle krwi, ile zdołałem. Jak tylko ptak zniknął, zacząłem odzyskiwać czucie w ręce, co wcale mnie nie ucieszyło. Nadal miałem poszarpane krawędzie rany, rozdarte mięśnie, ucisk na kości. Wiedziałem, że wszystko zagoi się w ciągu godziny, ale na razie potrzebowałem więcej wina. Zakrwawiłem podłogę i spodnie. Kiedy perfumowany ręcznik całkiem poczerwieniał, również cisnąłem go do sedesu. Moja głowa pulsowała bólem, a odtajała ręka paliła. Mięśnie pleców miałem nieprzyjemnie napięte, a oczy wyschnięte. Dobrze, że służący nie zobaczył mnie w takim stanie. Nie miałem pojęcia, co pomyśli o zakrwawionych kafelkach.

Trząsałem się, gdy pośpiesznie wracałem do łóżka, z twarzą lśniąca od potu. Wiadomość była niekompletna, ale już wiedziałem, co się

wydarzyło. Coś zostało zabrane ze skarbcza. Dreszcz przebiegł mi po plecach. To nie powinno być możliwe.

– Nieoczekiwany gość? – spytała Nenn, gdy do nich wróciłem. Była zatroskana.

Chwyciłem butelkę wina i wypilem duszkiem. W ręku czułem dotkliwe klucie, jakbym wpadł do dołu pełnego jeży. Kapitan Betch najwyraźniej został pouczony przez swoją kochankę, żeby nie zadawać mi żadnych pytań, ponieważ wpatrywał się w absurdalną marionetkę potwora na scenie, jakby nic nietypowego nie wydarzyło się w jego łoży, i sprytnie odwracał uwagę Amairy, tłumacząc jej, jak działa mechanizm lalki. Już rozumiałem, dlaczego Nenn tak go lubi.

Właśnie miałem jej o wszystkim opowiedzieć, gdy jakiś mężczyzna szybkim krokiem wszedł do naszej łoży. Miał na sobie przepocony mundur żołnierza z cytadeli, a także zmarszczone czoło, zaczerwienione policzki i zadyszkę. Najwyraźniej biegł.

– Kapitanie Galharrow. Musi pan niezwłocznie pójść ze mną.

– Co się stało? – spytałem, chociaż już znałem odpowiedź.

– Chodzi o skarbiec, panie kapitanie. Skarbiec Wroniej Stopy. Ktoś się do niego włamał.

5

Kiedy jesteś nieśmiertelnym czarownikiem, którego moc może zrównywać z ziemią miasta i wrywać dziury w niebie, niewątpliwie przez lata zgromadzisz kilka przedmiotów wartych zachowania. Sentymentalnych pamiątek, relikwii, przerażająco barbarzyńskiej broni. Wronia Stopa dysponował własnym magazynem najpaskudniejszych pamiątek w historii, które chomikował pod ziemią kilka mil od miasta. Były pilnie strzeżone. Nikt nie powinien być w stanie się do nich dostać.

– Chcę pójść z panem, panie kapitanie – odezwała się Amaira, marszcząc czoło. – Też jestem Czarnoskrzydłą. Powinnam panu towarzyszyć.

– Nie jesteś Czarnoskrzydłą, tylko służącą w naszej siedzibie – odparłem. – To duża różnica, z której powinnaś się cieszyć. Zostań z kapitanem Betchem, a on odprowadzi cię do domu, kiedy sztuka się skończy.

– Ale przegapi pan zakończenie – zaprotestowała.

– Nie przejmuj się. Wiem, jak to wszystko się skończy.

Kapitan Betch skinął mi głową. Potem Nenn coś do niego wyszeptała, on się roześmiał, a ona posłała mu szelmowski uśmiech, gdy podążyliśmy za wysłannikiem z cytadeli.

Na zewnątrz czekał na nas powóz. Spocony młody oficer nie przekazał nam żadnych dodatkowych informacji; najwyraźniej kazano mu trzymać gębę na kłódkę. Popędziliśmy z miasta na złamanie karku. Wypite wino, utrata krwi oraz podróż drogą nieprzystosowaną do miejskich powozów sprawiły, że walczyłem z zawrotami głowy, kołysząc się na siedzeniu, gdy wyboje akurat nie starały się mnie z niego wysadzić.

Jechaliśmy do Narheimu. Nienawidziłem tego miejsca.

Przez osiemdziesiąt lat, podczas których Maszyneria Nalla chroniła granicę Nieszczęścia, Wronia Stopa rzadko nas odwiedzała. Pojawiał się sporadycznie, lecz były takie trzy lata, na długo przed moim urodzeniem, gdy mieszkał tutaj prawie na stałe. Miał przypominający pałac olbrzymi dom, którego wygląd świadczył o oszalamiającym bezguściu. Nigdy oficjalnie się nie wyprowadził, ale z niewiadomych powodów przestał się w nim pojawiać. Oczywiście nikt nie był zainteresowany zajęciem domu i nawet najbardziej zdesperowani złodzieje nie ośmielili się do niego zakraść, aby zabrać świeczniki czy wykwintnie rzeźbione krzesła.

Zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy na zachwaszczonym zwirowym podjeździe. Zebrały się tam także inne konie i powozy, a w pobliżu stał w pogotowiu cały regiment kawalerzystów. Sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Opierali obnażone szable o ramiona.

– Jak ręka? – spytała Nenn.

– Boli. Wronia Stopa próbował mi powiedzieć o skarbcu, ale jego posłaniec nie przeżył.

– Co to oznacza? – Mijani żołnierze nam salutowali. Nenn odwzajemniała się tym samym. Ja tylko kiwałem głową.

– Nie wiem. Nic dobrego.

Nenn parsknęła.

– Powinieneś już dawno wyciąć sobie to gówno z ręki – powiedziała.

– Daj mi nóż, zaraz to zrobię.

– Zaufaj mi, nie wyszłabyś na tym dobrze – odparłem.

Nenn uniosła brew, ale nie chciałem powiedzieć nic więcej. Kiedyś tego spróbowałem, w swoich najgorszych czasach. Tylko że Wronia Stopa miał sposoby, by temu zapobiec, a jego ulubionym środkiem zapobiegawczym było zniszczenie. W tym przypadku mojej osoby.

Przy wejściu wystawiono strażę. Oficer przeprowadził nas obok nich. Wnętrze domu pozostało nienaruszone. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyn, szary całun na wspaniałych zwłokach. Stacjonujący tutaj strażnicy nie dotykali niczego i wszędzie unosiła się zimna, zatęchła woń. Zapach śmierci. Brudny dywan przecinały ślady butów i zwierzęce tropy. Ludzie być może bali się mieszać w sprawy nieobecnego czarnoksiężnika, ale szczury i lisy

były wolne od takich obaw.

– To miejsce sprawia, że chce mi się srać – odezwała się Nenn.

– Spędzasz cały czas w Nieszczęściu, wyszukując śmieci dla Amairy, a czujesz się nieswojo w jakimś starym pałacu?

– W Nieszczęściu sprawa jest prosta. Spotykasz tam dziwaczne rzeczy. Dźgasz je ostrymi przedmiotami i umierają. Narheim jakby wypadł z czasu. Poza tym zawsze istnieje ryzyko, że on wróci i przyłapie nas na włóczeniu się po jego domu. Podobno po jego odejściu wszyscy służący zmarli w ciągu roku. Było ich pięćdziesięcioro: pokojówki, ogrodnicy, nawet chłopak od czyszczenia kanalizacji. Zmienili się w szkielety i pył.

– Ludzie opowiadają wiele bzdur – odrzekłem. – Kiedyś słyszałem, że byłaś kochanką Żelaznego Kozła. Albo jego nieślubną córką. Inni mówili, że jesteś iscaliańską księżniczką.

– Niektórzy mówią też, że jesteś zabawny. Ludzie rzeczywiście plotą bzdury.

Sami też pieprzyliśmy bez sensu, ponieważ byliśmy zdenerwowani. Nie chodziło tylko o pył czy ciemność. To miejsce sprawiało wrażenie martwego, jakbyśmy zstępowali do piekieł. Niemal spodziewałem się, że za chwilę z pyłu powstanie duch mojej matki, żeby mnie przekląć. Może zobaczę swoją żonę zrzucającą dzieci z balkonu albo Levana Osta, który spyta, dlaczego nie zdołałem go ochronić.

Młody oficer sprowadził nas po schodach wkręcających się w ziemię jak korkociąg.

Na dole czekała na nas marszałek Davandein. Jej niebiesko-złota brokatowa suknia bardziej pasowała do teatru niż do tego martwego miejsca, była afrontem dla panującego tu bezruchu.

– Kapitan Galharrow, doskonale. – Uniosła wystylizowaną brew, widząc Nenn. – Nie posyłałam po panią, pani major. Z jakiego powodu ją pan sprowadził?

– Przedstawienie jest nudne – odrzekła Nenn.

– Czy kiedyś próbowała pani powstrzymać Nenn przed zrobieniem czegoś, na czym jej zależy? – spytałem, co stanowiło kiepskie przeprosiny, ale Nenn już była na miejscu, więc Davandein uznała, że nie warto się spierać.

– Proszę za mną.

Poprowadziła nas przez piwnice. Tunel zbudowano z myślą o osobie nikczemnego wzrostu, Nenn musiała więc się schylać, a ja szedłem niemal na czworakach. Czułem coraz wyraźniejszy ucisk w żołądku. Po obłączeniu coś tutaj ukryłem.

Oko Shavady. To, które przez tyle czasu żyło wewnątrz czaszki księżnej Herono.

– Ja pierdolę – mruknęła Nenn.

Na końcu korytarza znajdowała się wysoko sklepiona piwnica. Po drugiej stronie zobaczyliśmy potężne drzwi. Dostanie się do nich wymagało zmoczenia stóp, ponieważ strażnicy, którzy tutaj stacjonowali, nieświadomie utworzyli kałużę. A raczej utworzyły ją ich szczątki. Dopiero po chwili oswoiliśmy się z tą myślą. W powietrzu unosiła się pusta, chemiczna woń. Było w niej coś znajomego.

– Ilu ludzi tutaj mieliśmy?

– Dwunastu – odpowiedziała Davandein lodowatym głosem. Była wściekła.

– Kogoś brakuje? – spytałem.

Davandein przebiegła wzrokiem po posiekanych kawałkach, które kiedyś były czymś ojcem, bratem, wujkiem lub synem. Widok krzepnącej krwi sprawił, że wino, które wcześniej wypilem, zapragnęło znów ujrzeć światło dnia. Ciało rozczłonkowano z osobliwą precyzją. Pokrojono je na kawałki w elegancki i uporządkowany sposób, jak wołowinę na gulasz. Utrupilem wystarczająco wielu biedaków, by wiedzieć, że nie da się tego zrobić przypadkiem. Zabić człowieka nie jest trudno. W większości przypadków wystarczy go przebić albo trochę pociąć. Ale rozdzielenie ręki na trzy albo cztery części wymaga wysiłku. Ktokolwiek to zrobił, zadał sobie sporo trudu, żeby tak nabałaganić.

– Trudno powiedzieć.

– Policzyła pani głowy?

– Jest tylko dziewięć. Ale za to dwadzieścia trzy stopy.

Nenn policzyła na palcach. Nigdy nie była mocna w rachunkach, więc dałem jej chwilę, żeby za nami nadażyła. Zmarszczyła czoło.

– Co ich zabiło? – spytała.

– Nie wiemy – odrzekła Davandein. – Ale popatrzcie tutaj.

Wskazała jedną ze zmasakrowanych głów. Źrenice były niewidoczne, a z oczu, nosa i uszu wypłynęły strumienie krwi.

– To mi przypomina działanie robaków umysłu – zauważyłem. Marszałek pokiwała głową, a jej kanciasta twarz stężała.

– Uroczy tutaj? – warknęła Nenn.

– Możliwe – odrzekła Davandein. – Ktokolwiek to zrobił, wszedł i wyszedł, zanim zdążyliśmy zareagować na alarm.

Wszedł i wyszedł. Za zakrwawioną częścią posadzki znajdował się skarbiec. Ta myśl zmroziła mnie jeszcze bardziej niż szczątki żołnierzy i zaginione głowy. Cytadela wciąż utrzymywała w skarbcu oddział strażników, z myślą o potomności. Składał się głównie z weteranów. To był łatwy sposób dorobienia do emerytury, jeśli komuś nie przeszkadzała dziwaczna atmosfera dawnego domu Wroniej Stopy. Wątpiłem, aby strażnicy zadawali sobie trud zakładania zbroi częściej niż raz do roku. Zapewne powinni byli to zrobić, sądząc po tym, co ich spotkało. Cokolwiek się tutaj wydarzyło, dokonało się szybko i brutalnie.

– Wysłali wiadomość?

– Nie. Udało im się pociągnąć dźwignię alarmową – wyjaśniła Davandein, wskazując przełącznik na ścianie. – Przesyła sygnał bezpośrednio do cytadeli. Nie dotykano tego alarmu od ponad pięćdziesięciu lat, więc początkowo nikt nie wiedział, co oznacza dźwięk syreny. Inżynierowie potrzebowali dwudziestu minut, żeby się domyślić, a kiedy już to zrobili, popędził tutaj czwarty oddział kawalerii, ale wtedy tego, kto to zrobił, już nie było.

– Wciąż pani mówi „ktoś” – zauważyła Nenn. Wepchnęła do ust nieco czarnosoku i przeżuła. Kurewsko irytujący nawyk. – Na pewno chodzi o człowieka? Widziałam w Nieszczęściu istoty, które mogłyby tak załatwić całą grupę twardzieli. Dępy. Albo te stwory z wieloma głowami. Płaczki piaskowe.

– Takie istoty nie włamują się do skarbców – odparła Davandein. Była w paskudnym nastroju. Traktowała to jako sprawę osobistą. Może w nagrodę posłała tutaj kilku starych przyjaciół, aby mogli w spokoju spędzić ostatnie lata służby. Lepiej nie pytać.

Sam nie odważyłbym się włamać do skarbcza Wroniej Stopy. Niewiele rzeczy po tej stronie piekiel wymaga takiej śmiałości. Trudno sobie wyobrazić, aby nawet Uroczy się na to porwał. Upewniłem się, że mój miecz swobodnie porusza się w pochwie, chociaż w niczym by mi nie pomógł, gdyby gdzieś tutaj zaczął się jeden z tych małych potworów.

– Co zabrano ze skarbcza?

– Właśnie po to pana wezwaliśmy. Łączy pana szczególna więź z Bezimiennymi. Uznałam, że ma pan największą szansę uniknąć unicestwienia po wejściu do środka.

Śmiertelna powaga. Nawet cienia uśmiechu. Może ten komentarz wcale nie miał być żartem. Przywołała nas skinieniem palca i razem ruszyliśmy przez młazzącą kałużę.

Dostępu do skarbcza broniły potężne grube drzwi z mosiądzu i żelaza, nieco podobne do tych, które chroniły serce Maszynerii Nalla. Na pierwszy rzut oka nie było czym ich otworzyć, żadnej klamki do przekręcenia. Miały kształt dużego gładkiego koła. Były lekko uchylone.

Zatrzymałem się.

– Ci ludzie to tylko pionki, które miały zniechęcić ciekawskich – powiedziałem. Wciągnąłem w nozdrza suche powietrze o ostrej woni.

– Prawdziwych obrońców zostawił Wronia Stopa. Jeśli mam tam wejść, będę potrzebował pomocy.

– Sprowadzić panu Przędzarza?

– Mam własne dojścia. Większość nowych Przędzarzy prędzej upali sobie fiuta, niż rozbroi pułapkę zastawioną przez Bezimiennego. Myślałem o kimś innym. Chcę, żebyście wszyscy stąd wyszli. Pozbądźcie się jeźdźców. Niepotrzebnie przyciągają uwagę.

– Chce pan przejąć dowodzenie? – Davandein była twardą kobietą, która dźwigała na barkach ciężar obrony Łańcucha. Przywykła do wydawania rozkazów tysiącom.

Mimo wszystko miałem wrażenie, że odetchnęła z ulgą.

„Chcę” to za mocno powiedziane, ale pokiwałem głową. Lepiej, żeby ta sprawa znalazła się w moich rękach.

* * *

Maldon był pijany, kiedy Tnota wyprowadził go z powozu. Żołnierze odeszli kilka godzin wcześniej i cieszyłem się, że nie zobaczyli, w jakim stanie jest ten gnojek. Czasami sam bywam zawiany, ale potrafię wtedy funkcjonować, Maldon tymczasem już dawno udał się do miejsca, w którym wszystko staje się ohydą.

– Potrzebowałem godziny, żeby ukraść tę butelkę – powiedział zapitym głosem. – To niełatwe, kiedy nie masz oczu.

Wyglądał na mniej więcej dziesięć lat, chociaż szal, którym przysłonił dziurę po oczach, utrudniał dokładną ocenę wieku. Chude ciało okrył prostym ubraniem, które dla niego zdobyłem. Spod rozpiętej koszuli wyzierała cherlawa, bezwłosa pierś. Jako dorosły był obficie owłosiony.

– Wiesz, że możesz wziąć sobie butelkę z mojej piwnicy, Gleck – odrzekłem. – Klucz jest pod zegarem w korytarzu. Możesz się częstować wszystkim poza południowym winem.

– A co to za zabawa? Człowiek potrzebuje odrobiny rozrywki – odparł i uśmiechnął się niewesoło. Wyraz jego twarzy zdradzał prawdziwą naturę kryjącą się pod dziecięcym obliczem.

– Więc przestań narzekać. Pod koniec dnia w nagrodę będziesz mógł się opić mojej najlepszej whisky. Nenn zapoznała cię z sytuacją?

– Martwi strażnicy, otwarty skarbiec, zagrożone skarby Wroniej Stopy, bla bla bla. – Maldon potknął się o płytę chodnikową i przez chwilę się zataczał.

– Na pewno w takim stanie da radę nam pomóc? – spytała Nenn.

– Tylko w takim stanie potrafię komukolwiek pomóc – zaskrzeczał ślepy chłopak. – Co oznacza, że zamierzam w nim pozostać do końca mojego trwającego wiecznie życia. – Pociągnął długi łyk z butelki, która sprawiała wrażenie za dużej jak na jego dziecięce dłonie. Widywałem pijanego Glecka Maldona częściej niż trzeźwego, ale jego pijaństwo mnie drażniło. Kiedyś był wybitnym umysłem.

– Chodź. Tylko ty i ja.

– Wyczuwam ją nawet z tego miejsca – rzekł Maldon, biorąc głęboki

oddech. Zadrzał. – Esencja Wroniej Stopy. Utrzymuje się tutaj jak fabryczny dym zimą.

Znowu zadygotał, a ja zacząłem się zastanawiać, nie po raz pierwszy, jak bardzo esencja Bezimiennych różni się od esencji Shavady. Moc Królów Głębi była jak rana, która całymi miesiącami ropiała w udreńczonym ciele Maldona, zanim zawarłem układ i go wyzwoliłem. Wymagałem od niego czegoś trudnego. Ktoś mógłby to uznać za okrucieństwo. Ale w końcu miałem okrutnego pana.

– To coś znajomego. – Maldon pociągnął nosem i skrzywił się, gdy dotarliśmy do ludzkich szczątków.

– Postaram się, żebyś nie wszedł w nic mlaszczącego – obiecałem. – Ale chyba nie sposób przywyknąć do krwi.

– Krwi? Nie, nie o to chodzi. Kto poczuł woń własnej krwi gotującej się wewnątrz czaszki, przestaje się nią przejmować. Mówię o innym zapachu. Starej magii, przedwiecznej mocy. Jest jak gorycz wisząca w powietrzu. Gęsta jak mgła. Nie czujesz jej?

Przez chwilę się zastanawiałem. Zmarszczyłem czoło.

– Magia Uroczych?

– Podobna, ale inna. Magia Uroczych jest jak rzeka podczas powodzi, lodowato zimna, ale pełna agresji. Ta magia jest jak lodowiec. Ponadczasowa. Zimniejsza. Stabilna.

Maldon wypił resztę trunku i odrzucił butelkę. Potoczyła się po krwawej posadzce. Gleck Maldon był najpotężniejszym Przędzaczem w Łańcuchu, dopóki Herono nie zdradziła go na rzecz Shavady. Kiedy uwolniłem go spod wpływu Shavady i odarłem z magii Uroczego, postradał także moc tkania światła. Pewnego razu powiedział mi, że utrata tej zdolności była gorsza od utraty oczu, których go pozbawiłem strzałem.

Duchy raczą wiedzieć, jak to przetrwał. Uroczy zawsze byli trudni do zabicia. W dniach po oblężeniu wiele razy rozważałem, czy nie poderżnąć mu gardła. Może byłem nadmiernie sentymentalny, a może po prostu miałem dosyć zabijania. Niezależnie od tego, co sprawiło, że moje ostrze pozostało w pochwie, Maldon okazał się użyteczny. Trudno powiedzieć, czy jego przeżycia uczyniły go szalonym, czy po prostu wrednym. Tnota i Nenn zgodnie uznawali, że

powiniennem z nim skończyć, ale uwięziony w przekształconym dziecięcym ciele nie stanowił żadnego zagrożenia.

Pokazałem Maldonowi otwarty skarbiec. Chociaż był pijany, wyraźnie wyczuł coś w powietrzu. Zaczął oddychać wolniej i zadygotał.

– To miejsce było silnie zabezpieczone. Mocne. Nie wiem, jaki czar rzucił na nie Wronia Stopa, ale wystarczy ślad tej magii, żeby skurczyły mi się jajka. Chociaż i tak nie są zbyt okazałe. Gdyby ktoś spróbował włamać się bez wyłączenia zabezpieczeń, wciąż by tutaj był, chociaż rozsmarowany na ścianach.

– Jak to, kurwa, możliwe, że ktoś złamał zabezpieczenia Wroniej Stopy? – spytała Nenn, marszcząc czoło.

Gleck zachichotał.

– Zakładasz, że rozumiem magię Bezimiennych, ale tak nie jest. Zamiast „jak” powinniśmy spytać „kto”. Niewiele osób na świecie zdołałoby rozwiązać jego zaklęcia. Oczywiście mogą to zrobić inni Bezimienni. Wątpię, czy kilka statycznych zabezpieczeń powstrzymałoby jednego z Królów Głębi, ale jeśli to oni się tutaj pojawili, mamy większe problemy na głowie.

– Mimo wszystko ktoś otworzył drzwi – wtrąciłem.

– A co ze zwykłymi czarownikami, Przędzaczami albo Niemymi? – spytała Nenn.

– To wątpliwe. Może klika coś by zdziałała – sześciu albo siedmiu silnych czarowników pracujących razem. Ale nie mam pojęcia, jak mieliby tego dokonać. Ich moc nie może się równać z potęgą Wroniej Stopy.

– Czy Uroczy mógłby się przedostać przez te drzwi?

– Możliwe. Zależy, czy jest dobry. Było kilku, którzy mogliby się o to pokusić, ale Maszyneria wykończyła większość z nich. Może od tamtego czasu stworzyli nowych, ale kto chciałby ryzykować zmierzenie się z zabezpieczeniami Wroniej Stopy tylko po to, żeby się tutaj dostać? W skarbcu nie było niczego wartościowego.

– Owszem, było. – Sam to tutaj umieściłem. – Myślisz, że możemy wejść, nie narażając się na rozerwanie na strzępy?

Maldon wzruszył ramionami. Potem po prostu wkroczył do

skarbcu. Może kierowała nim pijacka odwaga, a może nadzieja, że dokona swojego żalosnego żywota. Sprawiał wrażenie niemal zawiedzionego, że magia nie wywróciła go na lewą stronę. Sprowadziłem Maldona, żeby powiedział mi, czy w skarbcu jest bezpiecznie. Nie planowałem, że zostanie żywą przynętą.

Przeszedłem przez okrągłe drzwi. Obmyła mnie fala czegoś nieczystego, ale trwało to tylko chwilę. Magia Wroniej Stopy nawet po unieszkodliwieniu pozostawiła po sobie wizytówkę.

Skarbiec automatycznie się rozświetlił. Rurki z fosem zaskwierczały i zalały błękitnym światłem rzędy cokołów z przedmiotami, których Wronia Stopa nie chciał pokazać światu.

– Co tam jest? – syknęła Nenn, wyczuwając jakiś ruch w ciemności w głębi pomieszczenia.

To było coś żywego. Miotало się, uwięzione w jednym miejscu.

– Nie zwracaj na to uwagi – odparłem. – To nieistotne. Niczego nie dotykaj. Zaklęcia chroniące wejście zostały złamane, ale założę się, że każdy cokół też zabezpieczono jakimś paskudnym czarem. Patrz, ale nie dotykaj. Nawet jeśli coś będzie bardzo błyszcząło. – Ostatnie słowa wypowiedziałem z jak największym naciskiem.

Nenn skrzywiła się i splunęła czarnosokiem na posadzkę. Nie miało dla niej znaczenia, że stoimy w sanktuarium Bezimiennego. Prędzej nauczyłbym konie poezji, niż zaszczepił w Nenn nieco dobrych manier.

Wszystko wyglądało tak samo jak podczas mojej ostatniej wizyty, kiedy przyszedłem tutaj, aby zostawić Oko Shavady. Widziałem, że chociaż na innych postumentach spoczywa mnóstwo dziwacznych przedmiotów, to właśnie mój depozyt zniknął.

Na pierwszym cokole stała stara porcelanowa lalka z jednym otwartym okiem, którym powoli za nami wodziła. Na drugim sześćostrunowy instrument muzyczny z wyrytymi literami obcego alfabetu. Na trzecim stary miecz z brązu, kruchy i pozieleniały, jakimś cudem balansował na czubku ostrza. Na czwartym i piątym zegary o wskazówkach ustawionych w porządku, którego nie dało się odczytać. Na szóstym tylko kupka szarego pyłu. W głąb pomieszczenia ciągnęło się dwanaście rzędów po dwanaście postumentów, a na

każdym spoczywało coś niebezpiecznego i mistycznego, co nie powinno trafić w ludzkie ręce. Nenn wciąż wpatrywała się w przeciwny koniec sali, gdzie coś się poruszało.

– Co to jest? – spytała.

– Nie wiem. Pewnie miota się tak od czasu mojej ostatniej wizyty.

Istota miała kształt człowieka i była obandażowana od stóp do głów. Rozpaczliwie się rzucała, próbując uwolnić ciasno owinięte ręce.

– Kto to?

– Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Może to coś z Nieszczęścia. Może ktoś, kto bardzo wkurzył szefa. Nie mam pojęcia i nie muszę wiedzieć.

– Czy to osoba?

– O tym też najlepiej nie myśleć.

Przeszedłem pomiędzy roślinami w kunsztownie zdobionych, ale także pospolitych wazonach, minąłem misę z mrugającymi rybimi ślepiami oraz zakurzoną księgę w oprawie z garbowanej skóry. Miałem wrażenie, że księga wyszeptwała moje imię. Zatrzymałem się przed pustym cokołem. Wcześniej nie był pusty. Sam coś na nim umieściłem.

– Było tutaj, prawda? – spytał Maldon. Cofnął się od postumentu, obnażając zęby. – Wyczuwam je. Echo jego obecności. Taką samą esencję, jaką wlał we mnie Shavada.

Znów poczułem w gardle smak wody z kanału. Pokiwałem głową.

– Oko Shavady.

– Zaraza – odezwała się Nenn. – To, które wypełzło z twarzy Herono?

– To samo. Tutaj je przechowywaliśmy. Jedyne przedmiot w skarbcu, który miał jakieś znaczenie. A teraz zniknął.

6

Rozszarpałem Valengrad na strzępy. Pracował dla mnie tuzin twardych mężczyzn i kobiet, których nazywano kawkami. Najstarszy był Casso – cichy, niebezpieczny człowiek, który rzadko się odzywał i stale krzywił. Pod nim pracowały moje główne zbiry, Meara i Traust, zatrudnieni bardziej ze względu na niepokojące rozmiary niż umiejętności. Dałem im wszystkim swobodę wywierania nacisku i ignorowałem skargi. Niczego nie wywalczyli poza kilkoma propozycjami ustępstw.

Davandein użyczyła mi więcej ludzi, ale nawet jej wierzchowce i żołnierze nie pozwolili mi odnaleźć Oka ani złodziei, którzy je zabrali. Marszałek zostawiła w byłym domu Wroniej Stopy pięćdziesięciu dobrych żołnierzy oraz dwóch bojowych Przędzarzy ze względu na otwarte drzwi. Zaproponowałem zburzenie budynku za pomocą prochu, ale marszałek nie była gotowa ryzykować gniewu Bezimiennych, niezależnie od tego, jak dawno odeszli. Pocieszałem się, że złodziej, który zechciałby położyć łapę na pozostałych skarbach Wroniej Stopy, zapewne spaliłby się na popiół albo stracił wszystkie kości. Drzwi nie były żadną przeszkodą, to zaklęcia ochronne powstrzymywały rabusiów.

Ale jakiś złodziej zdołał jednak unieszkodliwić niektóre z najbardziej śmiertelnych zabezpieczeń mojego pana. Najwyraźniej wiedział, co robi, i radził sobie z magią na poziomie znacznie wykraczającym poza rozumienie Maldona. Ta świadomość bardzo mnie niepokoiła.

– Dzień dobry, Ryhalcie – powiedziała Valiya, wchodząc do mojego gabinetu.

Minęły cztery godziny od świtu, a leniwy szary deszcz utulał miasto. Poranny mrok rozpraszał tylko barwny sierp Eali, lecz chmury

sprawiły, że w Nieszczęściu panował spokój, i tłumiły złocisty księżycowy blask.

Musiałem z żalem przyznać, że nie jestem w stanie skontaktować się z Wronią Stopą w celu uzyskania dodatkowych informacji. Bezimienny był zajęty działaniami wojennymi, na czymkolwiek one polegały. Po oblężeniu na krótko został w mieście, podczas gdy Nall naprawiał Maszynę, ale teraz nie tylko wypuścił z rąk Oko Shavady, lecz jego próba ostrzeżenia mnie – a byłem pewien, że taki był cel wysłania zmrożonego ptaka – zawiodła. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nieco pocieszało mnie, że na razie nie mogę mu przekazać wieści o kradzieży Oka.

– Jeszcze nie znalazłem w nim niczego dobrego – odburknąłem. Lekko bolała mnie głowa i musiałem zjeść coś, co ociekałoby tłuszczem.

– Rozchmurz się. – Valiya podała mi zawiniątko z woskowanego papieru, w którym kryły się dwie kanapki na ciepło, nieco rozgniecione po przechowywaniu w kieszeni płaszcza, ale pełne masła i wędzonego boczku.

– Dzięki. Czym sobie zasłużyłem?

– Pracujesz lepiej, kiedy nie jesteś głodny. A stale jesteś, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. – Nie mogłem zaprzeczyć, zabrałem się więc do kanapek. Boczek był nieco twardy, ale nie zamierzałem narzekać. – Spałeś w nocy?

– Przymknąłem oczy na dwie godziny. – Valiya skarciła mnie wzrokiem. Sama też trzymała kanapkę, ale skubała ją bez większego zainteresowania.

– Wróciłeś do domu?

– Mamy za dużo pracy.

Valiya uniosła brew, ale nie zaprotestowała. Rozumiała mnie. Jako jedna z niewielu osób. Walka w Łańcuchu była zbyt ważna, żeby pozwolić sobie na odpoczynek. Valiya toczyła swoją bitwę na słowa. Nigdy nie widziałem jej z mieczem w dłoni, ale gdyby zamiast walki z Królami Głębi postanowiła pokierować fabryką, podwoiłaby produkcję w ciągu tygodnia.

– Za chwilę jeszcze nam jej przybędzie. Mam nowe wieści.

Kiedy Tnota ma nowe wieści, zazwyczaj oznacza to, że znalazł zgubioną skarpetę, a kiedy Maldon ma nowe wieści, zapewne opróżnił mój barek albo chce kogoś zamordować, ale kiedy Valiya ma nowe wieści, zawsze są one ważne.

– Rusznica błyskowa została wyprodukowana w Lennisgradzie. Ma na sobie znak warsztatu Besh Flindta. To duży producent zatrudniający cały zespół uczniów składających broń.

Zmarszczyłem czoło.

– Flindt to dobry rusznikarz, ale sądziłem, że wypadł z obiegu. Słyszałem, że siedzi w więzieniu dla dłużników. Po diabła Besh Flindt produkuje rusznice błyskowe?

Valiya wyciągnęła dłonie w stronę ognia. Podwinęła rękawy, ukazując kwieciste tatuaże na przedramionach. To były prawdziwe dzieła sztuki, pięknie i jaskrawo pokolorowane, niepodobne do tanich żołnierskich bazgrołów, które zgromadziłem na swojej skórze przez lata.

– Wygląda na to, że spłacił długi i teraz nieźle sobie radzi. Moi informatorzy w stolicy mówią, że jego produkty znakomicie się sprzedają. Tak jest od roku.

Przyjrzałem się czarnej kałuży kawy na dnie kubka. Ludzie nagle zapragnęli rusznic błyskowych, chociaż te wyszły z mody – nie bez powodu – zanim przyszedłem na świat. Może obecnie stały się prestiżową bronią? Miastowi są niewolnikami mody. Ale Devlen Maille od dawna mieszkał w Łańcuchu. Nie był miejskim chłopakiem.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Valiya się do mnie uśmiecha.

– No co?

– Wysuwasz język, kiedy myślisz – powiedziała. – Nie łam sobie głowy. Od tego masz mnie.

Uśmiechnąłem się wbrew sobie. Valiya rozumiała, jak działałam. To też w niej lubiłem. Lubiełam w niej wiele rzeczy.

– Dziękuję.

– Wiem, że czasami trudno się na to zdecydować – odrzekła – ale powinieneś zrobić sobie przerwę. Pomyśleć o sobie. Niech ktoś inny na jakiś czas cię odciąży. Jest nas tutaj mnóstwo. Nie jesteś Bezimienny. Życie to coś więcej niż walka. – Podniosła pióro i zapisała

jakiś adres. – Idź tam i powiedz, że cię przysłałam.

Valiya odeszła, powiewając połami długiego płaszcza. Przyłożyłem palce do oczu i wepchnąłem je w głąb czaszki. Na Duchy, ależ byłem wykończony. Poranek był szary, ale mój umysł spowijała znacznie gęstsza warstwa chmur, która mąciła myśli. Dwie godziny urywanego i niespokojnego snu. Staralem się. Próbowałem odpłynąć, ale mój mózg nie przestawał pracować na wysokich obrotach i wyrzucać wciąż tych samych przeklętych obrazów. Kobieta uwięziona w polu światła. Na kilka chwil zanurzyłem się w pustce nieustannego wyczerpania. Kilka chwil. Kilka minut. Sam nie wiem.

– Pragniesz jej.

Maldon z okrutnym uśmiechem na twarzy opierał się o futrynę. Widziałem po czarnych plamach na jego ustach, że chla od samego świtu.

– Czasami prawdziwy z ciebie gnojek – westchnąłem.

– Jest niebrzydka. A ty ją lubisz. Zawsze miałeś słabość do zranionych kobiet opętanych pracą – odrzekł Maldon. Po pijaku miał wyjątkowo wredny charakter, co oznaczało, że zachowywał się tak bez przerwy. Czasami żałowałem, że nie wpakowałem mu ołowianej kulki w głowę, gdy miałem okazję. To była jedna z takich chwil.

– Okaż jej nieco szacunku – rzuciłem, zanim uświadomiłem sobie, że w ten sposób tylko narażam się na dalsze kpiny. – Co sprawiło, że wypełzłeś z piwniczki?

– Dotknąłem czułego punktu, prawda? – Maldon usiadł przed kominkiem i zaczął żłopać wino, dopóki się nie zakrztusił.

– Jeśli niczego dla mnie nie masz, spierdalaj uzalać się nad sobą i daj mi pracować – warknąłem. Wziąłem raport z biurka i spróbowałem się skupić. Czytanie sprawiało mi coraz więcej kłopotu. Może potrzebowałem okularów. A może po prostu byłem wyczerpany. Zamrugąłem, patrząc na leżący na biurku rachunek. Czytałem go już kilkakrotnie, ale wciąż nie zdołałem przetrwać. Teraz wzbudził we mnie wesołość.

– Opodatkowali mnie ze względu na ciebie – poinformowałem Maldona i pokazałem mu dokument. – Marszałek uważa, że dzieci w większym stopniu korzystają z usług dla ludności. Podatek od

dzieci. Davandein chyba robi wszystko, żeby stać się niepopularna. – Zwinąłem kartkę w kulkę i cisnąłem ją w ogień. Prędeż sobie przypalą dupska, niż wyłożę na to pieniądze. Mogłem poprosić Valiyę, żeby załatwiła zwolnienie z podatku dla Czarnoskrzydłych, tylko że ona nie znosiła Maldona, a ja nie chciałem, żeby miała z nim do czynienia. Maera i Traust nie nadawali się do takich zadań, a Tnota władał piórem jeszcze gorzej niż mieczem.

– Jestem wart każdego grina – rzucił Maldon spod kominka. – Jestem błogosławieństwem. Tak się mówi o dzieciach, czyż nie? Że jesteśmy błogosławieństwem Ducha Radości. Więc raduj się.

– To nie Duch Radości cię stworzył – odparłem, co było okrutne, ale w końcu szukał zaczepki. – Napisz mi wniosek o zwolnienie z podatku, a dam te pieniądze tobie – dodałem. Maldon stracił oczy, ale to nie znaczyło, że nie mógł pisać, a nawet widzieć.

– Kusząca propozycja, ale nie mogę. Jestem zajęty.

– Rzeczywiście sprawiasz wrażenie zapracowanego. – Wskazałem głową butelkę, którą trzymał. – Pamiętaj, że ja też często bywam podobnie zajęty.

– Chcę coś dla ciebie zbudować – powiedział, a jego złośliwa mina zmieniła się w równie złośliwy uśmiech. – Będę tego potrzebował. – Wstał i podszedł do biurka Tnoty, gdzie wciąż leżała rusznica błyskowa. – A także kilku innych rzeczy.

– Co budujesz?

– To niespodzianka. Ale na pewno ci się spodoba.

Niezbyt mnie cieszyło, że pijany dziesięciolatek bawi się niestabilną technologią opartą na fosie w piwnicy mojego biura, ale wiedziałem, że jeśli mu odmówię, i tak znajdzie sposób, by ukraść sprzęt. Poza tym zawsze starałem się pamiętać, że Gleck tak naprawdę nie jest dzieckiem, tylko ma ponad pięćdziesiąt lat i jest wystarczająco inteligentny oraz doświadczony, żeby sobie poradzić.

– Sporządź listę tego, czego potrzebujesz. – Obmyła mnie kolejna fala zmęczenia, a także woń wina Maldona. Jest za wcześnie, powiedziałem sobie, chociaż ten argument rzadko mnie przekonywał. – Ale potem postaraj się wytrzeźwieć. Chciałbym kontynuować moje lekcje.

– Nie masz talentu do języków – odparł Maldon.

– A ty do nauczania. Ale znasz język roboli, a ja chcę się go nauczyć, dlatego dopóki nadstawiam karku, żebyś mógł mieszkać w moim domu, będziesz mi pomagał.

– Nauczanie ciebie jest bardzo frustrujące. Oraz nudne.

Nazwałem go gównojadem w mowie roboli, co było jednym z pierwszych słów, których mnie nauczył. Roześmiał się i odszedł chwiejnym krokiem.

Maldon poznał język roboli, gdy Shavada przejął jego umysł. Nauczył się także innych, straszliwych rzeczy. Niektóre z nich miałem okazję zobaczyć, gdy wkradłem się do jego umysłu, i nie chciałem wiedzieć więcej. Gleck Maldon nosił w sobie ciemność, która miała go nigdy nie opuścić. Dlaczego go oszczędziłem? Było mi go żal. Kiedyś był moim przyjacielem, a teraz... tym czymś. Strzaskane kości jego twarzy nie chciały się zagoić, chociaż wyzdrowiałby natychmiast, gdyby wciąż był Uroczym, a strzał z rusznicy pozbawił go oczu. Wyjaśnił mi, że do uzdrowienia są potrzebne dusze. Właśnie tak się regenerują Uroczy, powoli odzierając swoje ofiary z sił życiowych, by leczyć doznane urazy. Ale Maldon utracił tę moc i jego rany były trwałe. Pozostała w nim tylko magia, która czyniła go wiecznie młodym. Jego ciało nie postarzało się przez ostatnie cztery lata. Będzie z tym kłopot, kiedy Valiya lub Amaira coś zauważą.

Ale mieliśmy jeszcze jeden, większy problem, o którym obaj wiedzieliśmy i nigdy nie rozmawialiśmy. Maldon nie miał oczu, ale widział. Mógł pisać i rysować, nigdy nie wpadał na futryny i zawsze wiedział, kto właśnie wszedł do pomieszczenia. Zatem była w nim magia. Ale nie miałem pewności, jakiego rodzaju.

7

Nie lubię przyjmować rad, ale łatwiej je znieść od osoby, która nie jest ci obojętna. Na przykład chcesz zrobić na niej wrażenie, jakkolwiek głupio to brzmi. Byłem szefem Valiyi. Chciała, żebym był w formie, ponieważ równie mocno jak mnie zależało jej na Łańcuchu. To wszystko.

Udałem się pod adres, który mi dała, i przy spokojnej, nierzucającej się w oczy ulicy znalazłem spory, nierzucający się w oczy budynek. Był to dom uciech, w rodzaju tych, które słyną z zaciągniętych zasłon i dyskrecji. Czułem się jak idiota, gdy wchodziłem do środka. W takim miejscu mógłby się zabawiać Dantry Tanza. Co by pomyśleli ludzie, gdyby dowiedzieli się, że Ryhalt Galharrow bywa w takim przybytku? Okazywanie innym słabości jest upokarzające, a ja zbudowałem swoją tożsamość na strachu, który wzbudzałem w ludziach. Położyłem na kontuarze wystarczająco dużo pieniędzy, by zagwarantować sobie milczenie obsługi.

Dostojny młodzieniec bez słowa zaprowadził mnie do prywatnej komnaty z wyłożoną kafelkami wanną wpuszczoną w podłogę. Uruchomił napędzany fosem bojler, który podgrzał wodę, szumiąc jak fale oceanu. Zapalił świece i przygasił lampy, a ja rozebrałem się i wszedłem do wanny. Służący najwyraźniej zamierzał dodać do kąpieli nieco wonnych olejków, soli i płatków kwiatów, ale woda po kilku chwilach poszarzała. Zrobiło mi się wstyd. Nie patrzyłem na młodzieńca, który bez słowa spuścił wodę, po czym na nowo napełnił wannę. Nie odzywał się bez potrzeby, tylko pozwolił mi spokojnie zanurzyć się w cichym światku odprężenia. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały łagodny dźwięk dud i delikatny rytm bębna. Czułem subtelny aromat moreli i pomarańczy. Otoczyła mnie para. Zamknąłem oczy. Niczego nie zobaczyłem pod powiekami.

Zdrzemnąłem się, a może zapadłem w głęboki sen. Czas mijał.

Wyszedłem z wanny, gdy woda zaczęła odpływać, niepewny, jak dużo czasu w niej spędziłem. Na tyle dużo, że pomarszczyły mi się opuszki palców. Moja skóra była podrażniona od gorąca. Sądziłem, że to już koniec, ale wtedy służący kazał mi się położyć na brzuchu na stole. Dziwnie się czułem, nagi i bezbronny, ale jak dotąd mu ufałem. Wymasował moje nogi, powoli przesuwał ręce od stóp do łydek i ud, pośladki, plecy i szyję. Znał się na rzeczy, jego silne palce precyzyjnie uciskały i ugniatały moje ciało, rozluźniając mięśnie. Za każdym razem zapowiadał, co za chwilę zrobi, abym nie był zaskoczony odgłosami wydawanymi przez stawy. W pewnej chwili miałem wrażenie, że urwie mi głowę, ale moja szyja tylko potężnie trzasnęła i coś sztywnego się rozluźniło. Kiedy skończył, czułem się otępiały, jakbym opuścił swoje ciało. Nie miałem ochoty się odzywać, a służący najwyraźniej to rozumiał. Dał mi ręczniki, abym wytarł się z olejków, po czym przyniósł moje ubranie, które wyprano, gdy byłem w kąpieli. Założyłem je, niechętnie powracając do świata poza bańką błęgiego spokoju.

Przeszedłem do drugiego pomieszczenia, gdzie dostałem butelkę zimnej wody i zajęły się mną dwie radosne kobiety. Jedna ostrzygła mnie nożycami i ogoliła brzytwą, druga zaś wyrównała moje paznokcie niewielkim pilnikiem. Kiedy się przejrzałem, niemal nie rozpoznałem własnego odbicia, nie tyle z powodu nowej fryzury, ile raczej dlatego, że od dawna nie korzystałem z luster. Włosy posiwiały mi nad uszami, co nie wyglądało najgorzej. Ten, kto boi się starości, marnuje cenne chwile, a ja zawsze staram się wygrywać bitwy, w których postanowiłem wziąć udział.

Kąpiel, masaż i golenie. Nie ma w tych czynnościach niczego skomplikowanego, co mogłoby aż tak mnie odmienić. Ale kiedy wychodziłem, czułem, że coś we mnie złagodniało. Nie potrafiłem stwierdzić, co to było.

* * *

Miasto wydawało się kruche, nie tylko z powodu nieustannie padającego deszczu. Oprócz otaczającego mnie lawendowego aromatu kąpieli wyczuwałem unoszący się z kanałów odór roboli, podobny do smrodu pleśni i izb chorych. Kaznodzieje paplali na ulicach, ale nikt ich nie słuchał.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedziała Valiya, gdy tylko wszedłem do budynku. Ogarnęło ją tajemnicze podniecenie, jak zawsze, gdy odkrywała nowe informacje, wpadała na dobry pomysł, który wręcz palił ją w język. Zmierzyła mnie wzrokiem i zauważyła, że jestem czysty i przyzwoicie się prezentuję. Próbując powstrzymać uśmiech, zacisnęła wargi. Zmarszczyłem czoło, zmieszany, i przeszedłem obok niej. – Myślałam o tym, co ci powiedział nawigator. Człowiek zajmujący się werbunkiem, Nacomo, był wykształcony i nieprzywykły do przebywania pod niebem Nieszczęścia. Miał potężne ego. A kto jest dobrze wykształcony, zadufany w sobie i niedawno przyjechał z Lennisgradu?

– Mów dalej – odrzekłem.

Valiya zaczęła odliczać na palcach.

– Zapewne nie żołnierz. Nie robotnik. Inżynier? Niewykluczone. Ale potem zastanowiłam się, gdzie można znaleźć największych bubków. Wśród aktorów. Trochę powęszyłam i trafiłam na dawnego artystę scenicznego, który nazywa się Marollo Nacomo i przez krótki czas grał w *Wieży Leyonara*, dopóki nie zdjęto jej z afisza. Był bardzo popularny w Lennisgradzie, ale tutaj twardo wylądował. Przyjechał do Valengradu zaledwie dwa miesiące temu. To jego szukamy.

– Jesteś pewna?

– Och, daj spokój, Ryhalcie – zachnęła się, unosząc brwi do połowy czoła. – Czy kiedykolwiek znalazłam dla ciebie coś niegodnego uwagi?

Valiyę przepełniała energia, gdyż zdawała sobie sprawę, że właśnie posłała mnie na polowanie.

– Mówiłem ci już, jaka jesteś mądra?

– Za mało razy.

* * *

Zwołałem swoje kawki i wyruszyliśmy. Casso i Meara podeszli od tyłu, a ja podprowadziłem czwórkę ludzi z bronią w pogotowiu do frontowych drzwi. Stary dom był jedną z wielu nieruchomości porzuconych podczas oblężenia, którą podczas ponownego zasiedlania miasta zajęli nowi lokatorzy. Drzwi długo opierały się ostrzu topora. Kiedy wreszcie dostaliśmy się do środka, znaleźliśmy Nacoma w nocnej koszuli, dygoczącego w łóżku. Był przystojnym mężczyzną z brązowymi włosami potarganymi od snu. Wyglądał zaskakująco młodo jak na wiek, który podała Valiya.

– Jak śmiecie mnie dotykać! – zawołał. – Wiecie, kim jestem? Żądam prawnika! Jak śmiecie!

– To na pewno on? – spytałem Cassa. – Myślałem, że będzie starszy.

Lider moich kawek wzruszył ramionami, a potem mocno chwycił naszego więźnia za włosy, żeby lepiej przyjrzeć się jego twarzy.

– Schwytaście niewłaściwego człowieka! – zaprotestował mężczyzna. – Nazywam się Nacomo i mam pięćdziesiąt trzy lata! Na pewno chodziło wam o kogoś innego!

To rozwiązało problem, chociaż w sposób niezamierzony przez Nacoma. Casso uciszył go, wpychając mu kawał szmaty do ust. Zamierzaliśmy przesłuchać więźnia, ale dopiero w biurze.

– Moja żona oglądała przedstawienie, w którym grał – powiedział Casso. Nawet nie wiedziałem, że jest żonaty. Rzadko się odzywał, chyba że chciał ponarzekać. – Jakies pierdoły o królu i wieży, która się zawaliła. Podobno monologi ciągnęły się całymi godzinami.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się kulturą – odrzekłem.

– Ja? Nienawidzę tego gówna. Właśnie dlatego z nią nie poszedłem.

Poleciałem dwójce swoich ludzi przetrząsnąć dom. Pod podłogą znaleźli sporą ilość pieniędzy, ale kiedy zeszliśmy do piwnicy, wyczułem tam uporczywą woń, która mnie zaniepokoiła i która wydała mi się znajoma. Coraz bardziej pobudzony, posłałem po Maldona. Przyszedł wkurzony, gdyż przerwałem mu nocną śpiączkę. Przestał się krzywić, kiedy postanowiłem zabrać go do piwnicy. Nie chciał tam zejść, tylko zaparł się nogami jak kot pchany w stronę wanny.

– Było tutaj, na pewno – oznajmił.

– Kiedy?

– Niedawno. Oko Shavady tutaj było.

Nieemożliwe, aby to Nacomo włamał się do skarbcza. Nikt zdolny do przedarcia się przez zabezpieczenia Wroniej Stopy nie dałby się tak łatwo schwytać. Może był tylko pośrednikiem, który przekazał Oko dalej? Albo wykorzystano jego okazali dom, by je przechować. Gdybym podejrzewał, że Oko może nadal tutaj być, sprowadziłbym Przędzarzy i chłopców Nenn. Ale tylko poleciłem swoim ludziom na wszelki wypadek rozkopać podłogę w piwnicy. Niczego nie znaleźli. Oko tutaj było, ale już zniknęło.

Pod wpływem frustracji rozbiłem komplet drogich, ręcznie malowanych talerzy obiadowych. Czyżbyśmy spóźnili się o kilka minut? Kilka godzin?

Nacomo niczego nie zdradził podczas przesłuchania. Sprawiał wrażenie zagubionego i nie potrafił wyjaśnić, gdzie ostatnio przebywał. Nie pracował, odkąd teatr zwolnił go po druzgocących recenzjach w prasie, przez co jego dom był solidnie zadłużony, a on sam nie mógł znaleźć zatrudnienia. Wiedział, że wpadł po same uszy, a współpraca z nami tylko zmniejszyłaby jego szanse na dożycie do końca tygodnia. Kiedy pytaliśmy o Oko, zaciskał usta i nie patrzył na mnie ani na inne osoby obecne w ciemnym pokoiku. Wytrzymał dwugodzinne przesłuchanie. Traust wrzeszczał mu prosto w twarz i kilka razy dał po łbie. Wciąż powtarzał te same pytania. Dla kogo pracowałaś? Kogo zaprowadziłaś do Nieszczęścia? Jak zamierzają zdradzić Łańcuch? Gdzie jest Oko? Nacomo tylko tępo patrzył przed siebie. Coś się w nim zmieniło, jakby w ogóle go z nami nie było.

– Chcesz, żebym przyniósł młotek? – spytał Traust. Jego paskudny uśmiech był jeszcze bardziej paskudny niż zwykle, ponieważ jego metody nie przyniosły żadnych rezultatów. Nacomo był jak posąg, zapatrzony w dal, nieobecny. Pozbawiony wyrazu jak czyste płótno.

Zerknąłem na Valiyę. Z jej twarzy nie wyczytałem potępienia. Wiedziała, że robimy to, co konieczne.

– Nie – powiedziałem. – Wrzucicie go do białej celi.

Traust odprowadził Nacoma.

Istnieją różne sposoby na złamanie człowieka. W białych celach

trudno wytrzymać choćby dzień: są tak wąskie, że nie można usiąść. Więźniom nie podaje się jedzenia ani picia, a strażnicy co dwadzieścia minut uderzają w gong, żeby nikt nie zasnął na stojąco. Kiedy tylko im się uda, polewają skazańców słoną wodą. Potężne lampy fosowe zapewniają nieprzerwane jasne światło padające ze wszystkich kątów. Cele działają inaczej niż młotek. Rozbijają umysł, mieszają w głowie, otepiają. Czynią człowieka podatnym na wpływy. Nie znam nikogo, kto po dniu spędzonym w celach oparłby się przesłuchaniu, tylko że mnie zależało na czasie. Każda godzina czekania na informacje ukryte w głowie Nacoma sprawiała, że nerwowo krążyłem, bębniłem palcami, wrzeszczałem na służących, ale musiałem pozostawić więźnia w celi, dopóki nie zmięknie. Słabsi ludzie wytrzymują tam tylko kilka godzin. Miałem nadzieję, że jeden dzień wystarczy, aby rozwiązać Nacomo język. Zbyt wczesne otwarcie drzwi byłoby równoznaczne z ułaskawieniem. Tydzień z pewnością złamałby jego opór, ale nie mogłem czekać tak długo.

Właśnie miałem go przyprowadzić, gdy Amaira zapowiedziała gościa. Gubernator Thierro, stary znajomy, któremu Davandein na nowo mnie przedstawiła w teatrze, znów miał na sobie długi biały płaszcz, białe rękawice, skórzany pas i skórzane buty. Ciągnął się za nim obrzydliwie mocny zapach wody kolońskiej.

– Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi, ale interesy nie mogą czekać – powiedział. – Możemy porozmawiać?

– Muszę się zająć czymś pilnym – odrzekłem.

– Szukam pewnej arystokratki – wyjaśnił Thierro. – Lady Elizabeth Tanzy.

Już sięgałem po płaszcz zarzucony na oparcie krzesła, ale imię Elizabeth mnie powstrzymało.

– Amairo, poproś Valiyę, żeby wypuściła naszego przyjaciela z celi i przyprowadziła go tutaj.

Amaira zazwyczaj tylko parzyła mi kawę i czyściła ubrania, była więc podniecona, że otrzymała polecenie związane z pracą Czarnoskrzydłych. Kiedy weszła w wiek dojrzewania, rzeczy, które kiedyś były dla niej nieistotne, nagle nabrały znaczenia. Szybko się oddaliła, a ja zaprowadziłem Thierra do skromnie umeblowanej

repcji. Rzadko z niej korzystaliśmy. Ludzie odwiedzający biuro nie byli przyzwyczajeni do wygód.

– Trudno uwierzyć, że kiedyś też byliśmy tacy młodzi, prawda? – odezwał się Thierro rozmarzonym głosem. Odwoływał się do naszej wspólnej historii. Szukał kontaktu emocjonalnego. Budował most pomiędzy tym, czego pragnął, a tym, co posiadałem.

– Wydaje się, jakby to było w innym życiu – zgodziłem się. – Masz na coś ochotę? Brandy? Wino?

– Ziołową herbatę, jeśli masz. – Nie miałem, więc niczego się nie napiliśmy. Zamierzałem zapalić cygaro, ale w porę przypomniałem sobie, że Thierro ma słabe płuca. Byłoby niepotrzebnym okrucieństwem wystawiać go na działanie mocnego tytoniu z Łańcucha. Schowałem cygaretkę do kieszeni płaszcza.

– Jaką masz sprawę do Elizabeth Tanzy?

– Potrzebuję jej pomocy. Zniknęła cztery lata temu i powszechnie uważa się, że zginęła podczas oblężenia. Wtedy widziano ją po raz ostatni. A przynajmniej ludzie w to wierzą.

– Elizabeth Tanza nie żyje.

– Możliwe – odrzekł Thierro. – Przykro mi, jeśli to dla ciebie bolesny temat. Kiedy jej szukałem, usłyszałem pewną plotkę.

– Plotki bywają niebezpieczne.

– To zapewne tylko wymysły. Prymitywne spekulacje. Ale ktoś zasugerował, że ty i ona... no wiesz. Że byliście kimś więcej niż przyjaciółmi. – Rzeczywiście, przez pewien czas. Ale niewielu ludzi o tym wiedziało. Informatorzy Thierra musieli się napracować, żeby wydobyć te fakty na światło dzienne. Ale w końcu stać go było na zatrudnianie najlepszych.

– Lepiej nie obrażać zmarłych, Thierro.

Pokiwał głową z poważną miną.

– Przepraszam. Musiałem spytać. Lady Tanza była wyjątkową matematyczką, fizyczką, lunarystką i uczoną. Żelazne Słońce jest oparte na projektach, które opisała w swojej pracy o władaniu fosem.

– Czym jest Żelazne Słońce?

– Widziałeś kulę czarnego żelaza na szczycie Wielkiej Iglicy – wyjaśnił. – To urządzenie odprowadzające, które w razie potrzeby

można zmienić w broń służącą do obrony miasta. Imponujące dzieło inżynierii, oparte na projektach Lady Tanzy.

Chciał wyciągnąć ze mnie przeszłość jak splątane wodorosty wywleczone z mrocznego dna rzeki.

– Elizabeth Tanza zginęła podczas oblężenia – odpowiedziałem sztywno. – Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

– Tak mówią ludzie – zgodził się Thierro. – Ale nie znaleziono ciała. Nie ma grobu.

– Przewracające się mury zmiażdżyły wielu ludzi. Zapewne została pogrzebana pod tysiącami ton gruzów. Będziesz musiał znaleźć kogoś innego, kto pomoże ci z twoją fabryką fosu. – Nigdy nie rozmawiałem o śmierci Elizabeth z nikim poza Dantrym, Nenn i Tnotą. Była naszą największą bohaterką, ale samo przywoływanie jej imienia sprawiało mi ból. Gdyby nadać jej historii rozgłos we wszystkich miastach, nie zniósłbym tego, utrzymałem więc jej ofiarę w tajemnicy. Pewnie postąpiłem samolubnie.

– Wielka Iglica to znacznie więcej niż tylko fabryka fosu, kapitanie – odrzekł Thierro. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę w nim iskrę energii. Że na czymś mu naprawdę zależy. Dla ludzi takich jak on milion marek to karma dla gołębi, a budowanie bogactwa to tylko gra, w której można mierzyć się z innymi handlowymi potentatami. Ale ten temat rozbudzał w nim pasję. – Wielka Iglica to symbol nadziei dla ludzi, którzy zaznali już dosyć grozy. Wielka Iglica mówi im: „Oto dzieło człowieka, znacznie potężniejsze niż wszystko, co wróg może sobie wymarzyć. Patrzcie, jak sięgamy nieba”.

– To nie różni się zbyt od nauk Jasnego Zakonu – zauważyłem. – Czy o to chodzi? Jesteś wyznawcą?

Thierro zignorował moje pytanie.

– Westland zainwestował więcej pieniędzy w Wielką Iglicę niż większość miasteczek zdołałaby zebrać przez dwadzieścia lat. Budowla wyrosła ponad miastem w zaledwie cztery lata. Nigdy wcześniej nie podjęto się tak wielkiego przedsięwzięcia w tak krótkim czasie. Czy wiesz, po co zleciłem rozpoczęcie tego projektu, kapitanie?

– Na fosie świetnie się zarabia – odparłem. – Założę się, że chodziło ci o zyski.

– Zyski mają znaczenie, nie przeczę – zgodził się Thierro – ale nie, nie w tym wypadku. Pamiętasz, jak wyglądała sytuacja, kiedy wszyscy wstąpiliśmy do wojska? Ty, ja, bracia Eidersteinowie, Pep, Salia i cała reszta. Połowa naszego rocznika się zaciągnęła. Wtedy byliśmy pełni wiary, czyż nie? Naprawdę chcieliśmy coś zmienić.

– Nikt nie rodzi się mądry.

– Służba ojczyźnie nie jest głupotą. Wiem, że tak nie uważasz, w przeciwnym razie nie byłbyś tutaj, zaangażowany w długofalową walkę. Zawsze marzyłem, żeby zdobyć sławę. Zapisać się w pamięci jako wybitny żołnierz. Może nawet zostać marszałkiem. Wszyscy o tym marzyliśmy, nieprawdaż? Ale po Adrogorsku... – Maską spokoju na chwilę opadła z twarzy Thierra. Nie jest łatwo przeżywać na nowo najgorszy dzień swojego życia. Jego artylerzyści zasypali Uroczonego pociskami z rusznic i odstrzelili mu głowę, ale nawet wtedy nie przestał rzucać na nich zaklęć. Założę się, że Thierra do końca życia będzie dręczyło wspomnienie tamtej nisko wiszącej brązowawej mgły, która płynęła w jego stronę. Odstrzelona głowa cały czas się z nich śmiała. – Zostałem odesłany z frontu, zanim zaczęły się ciężkie walki. Nie chciałem wracać, ale nie mogłem zostać w Łańcuchu. Ledwie oddychałem w obecności magii Uroczych, a trucizna Nieszczęścia tylko pogarszała sytuację. Odesłali mnie do Valaigne. Tamtejsze „czyste powietrze” mnie nie wyleczyło, ale pozwoliło mi się wzbogacić. Kupiłem kopalnię węgla, po czym okazało się, że są to kopalnie diamentów. Stale pomnażałem swój majątek. Jestem dobry w robieniu pieniędzy. Ale nigdy nie pragnąłem takiego życia. Zawsze chciałem być tutaj. Walczyć. Tak by się stało, gdyby nie magia tamtego Uroczonego.

– Nie musisz mnie przekonywać, że chciałeś służyć. Powierzono ci tamten bastion, ponieważ byłeś wystarczająco twardy, by go utrzymać. A teraz zbudowałeś Wielką Iglicę. Spłacasz swój dług w inny sposób?

– Gdyby tylko życie było takie proste – odrzekł Thierro. – Zbliża się ważne astrologiczne wydarzenie. Rozbłysk słoneczny. Dwa lata temu dowiedziałem się, że Wielka Iglica musi zostać ukończona, zanim rozbłysk przeminie.

Mogłem zostać człowiekiem interesów jak Thierro. Gdyby tak się stało, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Zapewne wciąż nosiłbym swoje nazwisko, miałbym rodzinę i nie musiałbym tatuować sobie kruka na przedramieniu. Ale zawsze nienawidziłem finansowych gier, wirowania monet i niespełnionych obietnic. Woląłem mierzyć się z wrogiem nacierającym z włócznią w dłoni niż z kimś, kto może mnie kupić.

– Jeśli chcesz, żeby Elizabeth Tanza dokończyła dla ciebie budowę, to masz pecha.

– Słyszałeś o Jasnym Zakonie i naukach Wysokiego Świadka. Wierzysz w nie?

– Wciąż nie jestem przekonany.

Thierro przez chwilę się nad tym zastanawiał. Potem nachylił się w moją stronę.

– Mogę się poczęstować cygarem? – spytał, a ja zmarszczyłem brwi.

Uważałem, że to zły pomysł, ale odmowa byłaby nieuprzejma. Wyjął dwa cygara z blaszanej cygarnicy, zapalił oba i podał mi jedno.

– Widziałem ją – oznajmił. – Jasną Panią. Nie tylko kątem oka. To była prawdziwa wizja.

– Wielu ludzi tak twierdzi. Wojna dzięki temu się nie skończy.

Thierro uważnie przyjrzał się cygaru. Włożył je w usta, zaciągnął się, łagodnie wydmuchnął dym.

– Też w to nie wierzyłem. Ale potem ją zobaczyłem. Wyleczyła mnie swoim ogniem.

Nie odpowiedziałem. Kiedy słuchałem opowieści o Elizabeth tutaj, w swoim azylu, czułem się, jakby ktoś wbijał mi długą igłę w kręgosłup. Ze zgrozą myślałem o tym, że jest zagubiona, samotna i uwięziona. Cierpiałem z powodu tego, co utraciłem. Poza tym zżerała mnie dojmująca zazdrość, że te prawdziwe wizje nigdy nie były przeznaczone dla mnie. Czasami, kiedy byłem na wpół rozbudzony, marzyłem, że ją widzę, że zachęcająco wyciąga do mnie rękę. Ale Tnota miał rację. Widziałem to, co chciałem zobaczyć. Tymczasem ona ukazywała się takim ludziom jak Thierro. Nielicznym szczęściarzom. Świadkom.

To mnie bolało.

Kłęby dymu unosiły się między nami, ale moje cygaro nie miało smaku.

Kiedy zjawa w świetle pojawiła się po raz pierwszy, Dantry wybrał się na jej poszukiwanie. Ludzie w okolicach Valengradu mieli wizje, widywali kobietę w sieci fosu. Wizje sprawiały wrażenie przypadkowych: kobieta pojawiła się nagle i wystraszyła piekarza, zobaczył ją strażnik na murach, pokazała się urzędnikowi w cytadeli. Była powidokiem, echem. Potem zaczęły docierać kolejne relacje z dalszych zakątków świata, nie tylko z miast, ale z wszelkich miejsc, do których dociera sieć fosu. Z kopalni, a nawet z pokładu okrętu. W całym Dortmarku ludzie widywali Jasną Panią. Ducha w świetle.

– Rozumiem twoją niechęć – rzekł Thierro – ale kiedy do mnie przyszła, uzdrowiła mnie. Wypaliła ze mnie mroczną truciznę i wciąż czuję głęboko w sercu jej obecność. – Położył dłoń na piersi. – Powiedziała mi, że Wielka Iglica musi być gotowa na jej nadejście. Potrzebuje jej, aby się odrodzić.

Ja też chciałem uwierzyć, że to coś więcej niż zwykły błysk w mroku nocy. Że Elizabeth jakimś cudem wciąż żyje. Tropiłem wizje i ludzi, którzy je mieli. Ale ona nie była prawdziwa. Była tylko echem. Cieniem utrzymującym się w sieci fosu, zatrzymanym w czasie w chwili jej śmierci. Ponieważ gdyby była czymś więcej, na pewno by mi się objawiła. Nie tylko w moich snach.

Thierro sprawiał wrażenie tak szczerego, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czym innym była wiara w to, że Elizabeth mu się ukazała. Doniesienia o Jasnej Pani były na tyle liczne, że jedno więcej nie robiło różnicy, a kaznodzieje codziennie rozpowiadali o swoich wizjach na ulicach. Ale nikt jak dotąd nie twierdził, że ją słyszał. Jestem urodzonym cynikiem, a lata ścigania szpiegów, dezertów i wywrotowców uodporniły mnie na kłamstwa.

– Gdybyśmy nie byli starymi przyjaciółmi, mógłbym cię teraz zawlec do Maud – powiedziałem. – Wyzdrowiałaś i bardzo mnie to cieszy. Ale jeśli słyszysz głosy, może powinieneś odstawić fajkowe ziele.

Thierro zaciągnął się cygarem i wypuścił obłok błękitno-białego dymu, który zawisł w nieruchomym powietrzu, wypełniając

przestrzeń między nami

– Sceptycyzm jest zrozumiały – odrzekł – ale ona nie tylko mnie uzdrowiła. Ofiarowała mi pewien dar.

Wyciągnął przed siebie rękę skierowaną dłonią do góry. Po chwili pojawiła się na niej niewielka kula światła, zimna i błękitno-biała jak dym. Delikatnie skwierczała. Była pod całkowitą kontrolą Thierra.

– Potrafisz prząść – westchnąłem. Świetlna kula powoli obracała się nad jego dłonią.

To niemożliwe. Zdolności Przędzarzy zawsze ujawniają się w wieku dojrzewania. Thierry miał dwadzieścia jeden lat, gdy walczyłem u jego boku pod Adrogoskiem, i nigdy nie dysponował taką mocą. Wpatrywałem się w kulę światła. Okręciła się, przybrała bladoczysty odcień i przez chwilę krążyła po niewielkim okręgu. Thierry wciąż był spokojny i wywierał na mnie przyjemną, rzeczową presję.

– Elizabeth Tanza była najwybitniejszą Przędzarką od pokoleń. Niezrównanym umysłem. Ludzie wciąż opowiadają o jej dzielności podczas oblężenia. Zniknęła tego samego wieczora, gdy uruchomiono Maszynę Nalla. Gdy robole wewnątrz miasta zostali unicestwieni podczas burzy z piorunami, której pojawienia się nikt nie potrafi wyjaśnić. – Popatrz mi prosto w oczy. – Powiedz mi prawdę, Ryhalcie. To ona, prawda? To ona jest duchem w świetle. Elizabeth Tanza jest Jasną Panią.

Zesztywniała mi szczęka i nie mogłem wykrztusić ani słowa. Rzeczowy wyraz twarzy Thierra ustąpił miejsca uśmiechowi. Moje milczenie powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

– Nie obawiaj się – rzekł łagodnym głosem. – Nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy. Potrzebowałem tylko...

Drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanęła Valiya. Chwiała się, twarz miała mokrą od potu i przyciskała dłoń do obojczyka. Przód jej sukienki był splamiony krwią.

– Nacomo się uwolnił – powiedziała.

8

Ucieczka Marolla Nacoma nie była arcydziełem planowania. Kiedy Valiya i dwie kawki eskortowali go przez miasto, wyszarpnął sztylet zza pasa jednego z nich i zaczął siec na oślepa. Nikt nie został poważnie ranny, ale Nacomo przelał wystarczająco wiele krwi, żeby się wyrwać. Jednemu z moich ludzi groziła utrata dwóch palców, a drugi w najbliższej przyszłości zapewne nie miał szans w konkurach piękności, ale mówiąc szczerze, zapewne i tak by żadnego nie wygrał.

Poprosiłem Amairę, żeby wyprowadziła Thierra.

– Dziękuję, Ryhalcie – powiedział. – Będzie lepiej. Zaufaj mi. – Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Opatrzyliśmy Valiyę. Amaira przyniosła bandażę i razem czekaliśmy na chirurga, który miał zszyć ranę. Nie była głęboka, ale bardzo krwawiła.

– Powinnam być ostrożniejsza – złościła się Valiya. Popęlniony błąd bolał ją bardziej niż płytka rana. Miała rację, nie zaprzeczałem więc, nie chcąc traktować jej protekcjonalnie. Tak przywykłem do jej biegłości w pracy z papierami i liczbami, że zleciłem jej zadanie odpowiednie dla osiłka. Ten błąd obciążał bardziej mnie niż ją.

– Jeśli zdołasz przeżyć własny błąd, zawsze możesz czegoś się dzięki niemu nauczyć – odrzekłem. – Złapiemy go.

– Przepraszam. Spieprzyłam sprawę, Ryhalcie. To już się nie powtórzy.

– Nie zadręczaj się. Jesteś mi potrzebna w dobrej formie. Odpocznij. Sierżanci przy bramach go wypatrują. Nie ucieknie z miasta.

Zaangażowałem w poszukiwania wszystkich swoich ludzi. Przesłuchaliśmy znajomych i kolegów Marolla z teatru, ale ci nie widzieli go od kilku tygodni. Stał się odludkiem po tym, jak popadł w niesławę. Ludzie Nenn byli na urlopie od Nieszczęścia, ale chętnie

zgodzili się załomotać do kilku drzwi i postraszyć paru przemądrzałych aktorów, tym bardziej że mieli za to otrzymać zapłatę. Posłałem też człowieka, aby obserwował dom Nacoma.

Miałem go w garści, ale wymknął się przez moją nieuwagę. Podwładni wyczuwali mój wściekły nastrój i schodzili mi z drogi.

Późnym popołudniem marszałek zaprosiła mnie na rozmowę. Davandein lubiła rozsyłać wezwania, jakby były uprzejmymi zaproszeniami na letnie przyjęcie w ogrodzie. Ale kunsztowna kaligrafia nie była w stanie ukryć, że sprawa jest pilna, a odmowa nie wchodzi w grę. Marszałek wiedziała, jak bardzo nie znoszę, gdy ktoś mi rozkazuje, zatem to wezwanie oznaczało, że była wściekła albo roztrzęsiona. Byłem już po kilku kieliszkach brandy i nie miałem ochoty z nią rozmawiać, ale jej rozkaz wytrącił mnie z równowagi. Nenn także została wezwana i razem siedzieliśmy w poczekalni, podczas gdy Davandein rozmawiała z jakąś inną osobą. Nenn nie była tak wulgarna jak zwykle.

– Bebechy mi dokuczają – przyznała. – Już od dłuższego czasu.

– Pewnie przez to, że jesz tyle papryczek – zauważyłem. – Apetyt Nenn na czerwone ostre papryczki nie zmalął od czasu jej uzdrowienia. Zmarszczyła czoło, masując brzuch w miejscu, w którym przed laty przebił go robol.

– Na pewno – przyznała. – Ale ciało pamięta, czego pragnie. Nie mogę się powstrzymać.

– Czego chce Davandein?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. Coś ją dręczyło. Zadawałem irytujące pytania, dopóki nie pękła.

– Martwię się o to, kiedy mnie boli – mruknęła.

– O co?

– O to, co jest we mnie. O to, co Saravor wyjął i co z powrotem włożył. Czasami zastanawiam się, czy nie jestem tam zupełnie zniszczona. – Starła się mówić beztroskim głosem, ale nie miała talentu aktorskiego. – Na przykład czy mogłabym zająć w ciążę i tak dalej.

Rzadko rozmawialiśmy o układzie, który musiałem zawrzeć z Naprawiaczem po tym, jak Nenn dostała pchnięcie w brzuch od

robola w dwunastej stacji. Saravor był jedynym czarownikiem, który potrafił ją ocalić. Nigdy nie żałowałem tamtej potwornej decyzji, ponieważ Saravor uratował życie mojej najlepszej przyjaciółce. Ale nie był uzdrowicielem i nie naprawił uszkodzonych organów, tylko je wymienił.

Nie potrafię rozmawiać z ludźmi o rzeczach, które są dla nich ważne. Nigdy nie byłem w tym dobry. Słowa Nenn zawisły pomiędzy nami, zatruwając powietrze, aż w końcu nie mogłem dłużej znieść tej niezręcznej atmosfery.

– Właśnie tego chcesz? Gówniarzy płaczących ci się pod nogami?

– Nie wiem. Zresztą i tak robię się na to za stara.

– Nigdy nie sądziłem, że chciałabyś zostać matką – przyznałem. Trudno było wyobrazić sobie kobietę mniej nadającą się do macierzyństwa niż Nenn, ale przecież rodzicem nie zostaje się za zasługi. – To twój pomysł czy kogoś innego? – spytałem. Mówiąc „kogoś innego”, miałem na myśli Betcha.

– Po prostu się nad tym zastanawiałam. Czasami mam poczucie, że stoję przed oknem, które powoli się zamyka, odcinając mnie od światła.

Żołnierze z Nieszczęścia rzadko przejmują się rodziną i przyszłością. Przyzwyczajają się do niebezpieczeństw. Spodziewają się, że zapewne nie dożyją trzydziestki. Kiedy kończą trzydzieści lat, czterdzieste urodziny wydają im się nieosiągalnym celem. Nieliczni, którzy dożyli do pięćdziesiątki, są znani w całym Valengradzie. Ale Nenn już osiągnęła trzydziestkę, a chyba każdy łagodnieje z wiekiem. Nawet taki zabijaka jak ona. Sam miałem okazję być ojcem i zawiodłem. Niektórzy mężczyźni nie są stworzeni do ojcostwa, a inni na nie nie zasługują.

Służący wypuścił nas na dach cytadeli. Cieszyłem się, że nie muszę dłużej ciągnąć tej rozmowy. Nie miałem niczego pomocnego do powiedzenia.

Wiał silny wiatr, a słony chemiczny smród Nieszczęścia wdzierał się do miasta w miejscach, w których woń zanieczyszczeń z fabryk nie była w stanie go zamaskować. Pomógł mi otrzeźwieć, wypychając z moich myśli i sprzed oczu mgłę, która zazwyczaj je zasnuwała. Nad

nami wznosiły się przypominające czapkę błazna potężne czarne projektory Maszyny Nalla. Ciche i nieruchome. Na razie.

– Co skradziono? – odezwała się Davandein ostrym tonem. – Słucham.

Marszałek wyglądała nieskazitelnie w białej bluzce z wysokim kołnierzem, szelkach i czarnych spodniach do łydki, które jeszcze nie stały się modne w Łańcuchu. Wiatr porywał dym z cygaretki, którą trzymała w ustach pomalowanych truskawkową szminką. Stała samotnie, ale jej oddział bojowych Przędarzy czekał w pobliżu. Sami młodzieńcy, dumni jak pawie. W innym miejscu rozmawiała grupka członków Zakonu Inżynierów Eteru.

– Z bólem muszę przyznać, że nie wiemy zbyt wiele – odpowiedziałem. – Moi ludzie zasięgaliby języka i wręczali łapówki we wszystkich dzielnicach, ale to, co skradziono, raczej nie trafi do podrzędnego lombardu. Ktokolwiek dokonał kradzieży, potrzebował tego przedmiotu w konkretnym celu.

– Czy coś nam grozi?

– Jesteśmy w Łańcuchu – wtrąciła się Nenn. – Równie dobrze może pani spytać, czy gówno śmierdzi.

Nie takiej odpowiedzi Davandein się spodziewała, ale postanowiła oszczędzić Nenn i posłała wściekłe spojrzenie popękanemu niebu.

– Potrzebujecie posiłków? – spytała. – Moi Przędarze w czymś mogą wam pomóc?

– Nie – odrzekłem. – Ja się tym zajmę. Odzyskam skradziony przedmiot.

Nie złożyłem tej obietnicy dlatego, że czułem się winny. Zmrożony kruk, który wyrwał się z mojej ręki, został posłany, aby mnie ostrzec, tylko że nie przybył na czas, a jego urywany komunikat był niezrozumiały. Lada chwila spodziewałem się kolejnej wiadomości od Wroniej Stopy, ale martwiło mnie, że pierwszy ptak zawiódł. Nigdy się nie zdarzało, by moc Wroniej Stopy niewłaściwie zadziałała, a jego plany się nie powiodły. To wystarczyło, żeby wzbudzić mój niepokój.

– Nie musieliśmy iść taki kawał, żeby to pani powiedzieć – rzuciła Nenn. Właśnie wygrywała w płytki i nie ucieszyło jej, że musi wstać od gry.

– Nie – odparła marszałek. – Chcę, byście mieli oko na Jasny Zakon. Oboje. Jeśli na zbyt wiele sobie pozwolą lub przekroczą uprawnienia, muszę ich poskromić. Ich obecność mnie niepokoi.

Davandein strąciła wypaloną cygaretkę z lufki i włożyła kolejną. Zerknąłem na Nenn. Nie przepadała za panią marszałek.

– To tylko banda szaleńców – burknęła Nenn.

Nie chciałem tego przyznać, ale rozmowa z Thierrem nie dawała mi spokoju. Był bystrym facetem. Geniuszem handlu. Na studiach lubił pić i strzelać oraz chętnie tańczył z dziewczętami, zarówno na parkiecie, jak i w alkowie. Nie byliśmy ze sobą blisko, ale uznawałem go za przyjaciela. Kiedyś zachowałem się wobec niego jak gnojek w sali balowej. Wcześniej ograł mnie w karty, kiedy więc dziewczyna, do której napisał sto miłosnych sonetów, wybrała mnie i zobaczyłem, że Thierro patrzy na mnie ze złością, zasalutowałem mu kpiąco i wyprowadziłem dziewczynę za drzwi. Ale chociaż go rozzłościłem, nie postąpił lekkomyślnie i nie wyzwiał mnie na pojedynek – tak jak to zrobił Torolo Mancono dwa lata później. Wynik byłby przesądzony; już wtedy byłem silny i władałem ostrzem znacznie lepiej od niego. Zamiast unieść się gniewem, Thierro zachował spokój. Uznał swoją porażkę, zignorował moje docinki i zajął się inną dziewczyną. O ile pamiętam, udało mu się ją zdobyć. To, że człowiek, który potrafi tak dobrze nad sobą panować, nawet po pijaku, jest przekonany o pojawieniu się Jasnej Pani, martwiło mnie znacznie bardziej niż kaznodzieje na ulicach. Ktoś niewykształcony może uwierzyć we wszystko, ale tacy ludzie jak Thierro są rzadkością. On jeden wiedział coś, z czego nie zdawali sobie sprawy inni wyznawcy. Może to miało jakieś znaczenie.

– Muszę wiedzieć, czy Jasny Zakon mówi prawdę. – Davandein wypluła te słowa, jakby zgniły jej pod językiem. – Do Valengradu przybywa Wysoki Świadek. Twierdzi, że tutaj rozpocznie się nowy porządek świata. Powróci sprawiedliwość. Muszę wiedzieć, jakie ma plany.

Pomyślałem, że marszałek martwi się o własną pozycję. O władzę.

– Valiya ma ich teczkę – odrzekłem. – Jest czworo świadków. Podróżują po miastach, głosząc swoją nowinę. Trudno ich namierzyć.

Trudno wydobyć z nich jakiegokolwiek informacje. Znamy dwa imiona: Valentia i Glaun. Ale podróżują potajemnie. Wiem tylko, że w ciągu następnych dwóch tygodni mają się pojawić w Valengradzie.

– Jasny Zakon niebezpiecznie balansuje na granicy odstępstwa – stwierdziła Davandein. – Wysoki Świadek cieszy się znacznym poparciem, nawet tutaj. Zakon robi wszystko, aby przypodobać się tłumom, i obok swoich dogmatów głosi rewolucyjne hasła. Chcę ich zmiążyć.

– Ale niech pani nie kwestionuje ich religii, ponieważ jeśli mówią prawdę, tylko się pani wygłupi – odparła Nenn.

Tym razem Davandein posłała jej nieprzychylnie spojrzenie. Podczas gdy mierzyły się wzrokiem, do mnie powróciły nieprzyjemne wspomnienia, jak bąbelki gazu unoszące się z cuchnącego bagna.

– Kurwa. – Żadna ilość kremu ani pudru nie zdołałaby zamaskować złości, która pojawiła się na twarzy Davandein. – Pierdolić to wszystko. Wysoki Świadek ściągnie nam na głowę kłopoty. Muszę się im przeciwstawić. Znaleźć jakiś sposób.

– Zbyt długo ignorowałem Jasny Zakon – rzekłem. – Powinienem był wziąć ich na smycz, zanim tak urosli w siłę. Teraz są ich tysiące. – Moje osobiste odczucia dotyczące ich wierzeń sprawiły, że nie przyglądałem się ich działalności, a to było głupotą. Może Thierro wierzył w nauki świadków, ale się mylił. Byłem tego pewien. Prawda?

– Znajdźcie informacje, które pozwolą ich zniszczyć – poleciła Davandein. – A także odszukajcie to, co skradziono ze skarbcza.

Zeszliśmy z dachu. Cieszyłem się, że nie muszę dłużej stać na przenikliwym wietrze.

9

Pośpiesznie jechaliśmy ulicami, a bezbarwny deszcz skwierczał na rurkach z fosem. Moja zbroja będzie potrzebowała naoliwienia, gdy tylko wrócę do domu. Taki sprzęt robi duże wrażenie, ale jeśli trzeba samemu się nim zajmować, szybko jest jak wrzód na dupie.

– Mamy stan niebieski – powiadomił mnie Tnota.

– Tylko ty używasz tego nazewnictwa – odparłem. – Nawet nie wiem, co to znaczy „stan niebieski”.

– To znaczy, że są uliczne rozruchy – odrzekł Tnota i uśmiechnął się w niezwykle irytujący sposób.

Pędziliśmy przez Ściek w stronę Wielkiej Iglicy. Wznosiła się w niebo, jakby chciała rozewrzeć biało-brązowe pęknięcia. Wysoka na dziewięćset stóp, sięgała wyżej, niż jakakolwiek wieża powinna. Inżynierowie Thierra zrobili coś ze spawanymi fosem słupami z poskręcanej stali, dzięki czemu pomimo potężnych rozmiarów przetrwały wszystkie ostatnie wstrząsy. Ziemia drżała także tego ranka, łagodnie, ale i tak wszyscy byli niespokojni.

Thierro miał rację. Wielka Iglica była oszałamiającym pomnikiem ludzkiej kreatywności. Nie była piękna, miała zbyt klockowatą formę, ale bez trudu można było sobie wyobrazić zachwyt, jaki wzbudzała w pielgrzymach Jasnego Zakonu, gdy zbliżali się do miasta i widzieli, jak wznosi się ku popękany niebiosom. Kiedy przybędą świadkowie, zapewne zatańczą z radości.

Wieża miała niemal dwieście stóp szerokości przy podstawie. Żeby zrobić na nią miejsce, trzeba było wyburzyć spory kawałek Ścieku, ale nikt nie tęsknił za zrównanymi z ziemią slumsami, a przynajmniej nikt, kogo skargi miały jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy zostanie ukończona, stanie się największą fabryką fosu, jaką widziała republika, a blask księżyca będzie przesączał się w niej przez setkę

soczewek, piętro po piętrze, docierając do Przędzarzy na parterze. Westlandzka Graniczna Spółka Handlowa dbała o to, by Maszyneria Nalla otrzymywała niezbędne zaopatrzenie. A przynajmniej tak im się wydawało. Oczywiście ja wiedziałem, jak jest naprawdę.

Na rozległym placu przed potężnymi podwójnymi drzwiami prowadzącymi do Wielkiej Iglicy zgromadził się tłum. Gdy sytuacja wymyka się spod kontroli, gapie zazwyczaj przeszkadzają lub wpadają w tarapaty. Dzisiaj między rozproszonymi murarzami, stolarzami i inżynierami unosiły się w powietrzu opary lęku. Zebrani w nieregularne grupki, mocno ściskali w dłoniach młotki i piły. Robotników wszelkich kolorów i kształtów ściągnięto z całego znanego świata, by zbudowali Wielką Iglicę w przeciągu zaledwie kilku lat. Wkrótce przybędzie kolejna zmiana i plac jeszcze bardziej się zapełni.

W stronę otwartych drzwi maszerował koślawo oddział żołnierzy z bronią palną. Na ich czele zauważyłem gubernatora Thierra. Nie powinno mnie to zdziwić. W końcu byliśmy przy Wielkiej Iglicy. Popędziłem Sokoła i zatrzymałem ich.

– Co się dzieje, gubernatorze? – spytałem.

– Przed niecałą godziną coś z Nieszczęścia weszło do Wielkiej Iglicy – wyjaśnił z poważną miną i jak zwykle przenikliwym spojrzeniem. – Zamierzam to wyprowadzić. – Miał na sobie wypolerowaną, bogato grawerowaną zbroję właściwą dla jego pozycji i tym razem był uzbrojony, lecz nie w coś tak niewygodnego czy pospolitego jak broń, tylko w krzyżującą się na ramionach uprząż bojowego Przędzarza i dwa pojemniki z fosem przypięte do pasa.

Kiedy wypytywałem swoich informatorów o Nacoma, otrzymałem podobne wieści. Przez cały czas mojej służby w Łańcuchu nie zdarzyło się, by jakaś istota z Nieszczęścia przedostała się do miasta.

– Zaczekaj na żołnierzy z cytadeli – odrzekłem. – Jeśli to rzeczywiście coś z Nieszczęścia, oni mają doświadczenie w takich sprawach. Cokolwiek to jest. – Popatrzyłem na ludzi, których prowadził Thierro. To byli najemnicy zatrudnieni do ochrony przez Westlandzką Graniczną Spółkę Handlową, ale niektórzy z nich nosili żółte kaptury Jasnego Zakonu: byli religijnymi fanatykami. Nie

najlepsze towarzystwo do walki.

– Powinniśmy sprowadzić także bojowych Przędzarzy Davandein – stwierdził Tnota. Poinformowałem każdego, kogo należało, o przędzarskich zdolnościach Tierra.

Thierro nie był zachwycony, że człowiek pozbawiony wojskowego stopnia mówi mu, co ma robić. Z jego oczu można było wyczytać pogardę dla Tnoty, który był ubrany tak, jakby wypadł z łóżka i wylądował na stercie przypadkowych ciuchów.

– Wchodzimy natychmiast – oznajmił Thierro stanowczo. – Każda minuta bezczynności robotników to strata tysięcy marek dla Westlandu.

– Nie wiesz, z czym masz do czynienia – odparłem. – Już dawno nie musiałeś sobie radzić z istotami, które pełzają po Nieszczęściu.

– Możesz mi wierzyć, Ryhalcie, że spotkałem wiele potworów. Świadkowie opisują tę istotę jako człowieka bez twarzy. Wszyscy robotnicy już wyszli, a ja tylko tracę pieniądze, stojąc tutaj i rozmawiając z tobą. Skoro nie zabiła nas czterdziestka dziewiątka, którą kiedyś piliśmy całymi butelkami, to z pewnością wspólnie poradzimy sobie z kimś, kto nie ma twarzy. Poza tym to dobrzy ludzie. Solidni.

Ponownie się im przyjrzałem. Większość miała dwadzieścia albo trzydzieści kilka lat i sprzęt ze średniej półki, zarówno nowy, jak i stary. Nikt nie wyglądał na nieudacznika, ale brakowało im surowości, jaka cechuje zawodowców. Mniej więcej połowa miała broń palną. Nagle zauważyłem lśniące srebrne lufy rusznic błyskowych. Tnota także je dostrzegł. Było ich sześć, z rurkami prowadzącymi do pojemników z fosem, które zapewniały broni zapłon. Kiedy się dokładniej przyjrzałem, stwierdziłem, że wszyscy posiadacze rusznic błyskowych noszą żółte kaptury. Nie skomentowałem tego, nie dając niczego po sobie poznać, ale Tnota i tak na mnie zerknął. On również zwrócił na to uwagę.

– Wyglądają porządnie – oceniłem. – Wystarczająco dobrze.

Ochroniarze z dumnymi minami poprawili główniane rusznice błyskowe na ramionach. Thierro był spokojny, jakbyśmy rozmawiali o cenach pszenicy. Ludzie tacy jak on nie boją się nocy; kiedy jesteś

królem balu, uważasz się za niezniszczalnego.

– Idę z tobą – powiedziałem, a Thierro skinął głową z uznaniem. – Ty pewnie nie chcesz dołączyć? – zwróciłem się do Tnoty.

– Ktoś powinien tutaj zostać i zająć się stanem niebieskim – odparł.

– Co to jest stan niebieski? – spytał Thierro.

– Uliczne rozruchy – mruknąłem.

Sprawdziłem mechanizm spustowy swoich pistoletów i je naładowałem. Miały lufy długości mojego przedramienia, a moje przedramię jest dłuższe niż u większości ludzi. Droga i ciężka broń z zamkami skałkowymi, orzechowymi korpusami i grawerunkami na metalowych częściach. Jak na człowieka, który nie lubi efektownych przedmiotów, mam ich zaskakująco dużo.

Wielką Iglicę otaczał szeroki plac, który w większości wypełniały sterty kamienia i drewna potrzebnego do pośpiesznej budowy. Kiedy podchodziliśmy do wejścia, obserwowały nas tłumy mężczyzn w grubych skórzanych fartuchach poplamionych olejem, z włosami sterczącymi od ładunków elektrostatycznych. Szedłem na przedzie w postukującej metalicznie zbroi, której czarne stalowe płyty zakrywały większość miękkich części ciała, z berdyszem na ramieniu, mieczem przy pasie i pistoletami na bandolierze. Standardowy sprzęt do utrupiania potworów. Wspięliśmy się po szerokich stopniach prowadzących do drzwi.

– Pewnie nie czeka na parterze? – odezwałem się. Nie miałem na to wielkich nadziei.

– Szło na górę, kiedy robotnicy uciekli – odrzekł Thierro, po czym obrócił pokrętko na jednym z pojemników z fosem. Zamigotało światelko. Broń została uzbrojona. – Broń w pogotowiu, chłopcy – polecił. Już dawno wystąpił z wojska, ale wciąż potrafił wydawać rozkazy. Biorąc pod uwagę jego zamorskie sukcesy, zapewne mógłby zostać marszałkiem w Łańcuchu, może nawet w Adrogorsku.

– Trzymajcie ją z dala ode mnie – rzuciłem. – Jeśli mam dzisiaj zginąć, to wolę, żeby utrupił mnie potwór bez twarzy niż wybuch waszej broni.

– Wierni wyznawcy Jasnej Pani nie boją się światła, kapitanie – odezwał się jeden z żołnierzy, wywołując wśród swoich kompanów

pomruki aprobaty. – Ta broń jest święta. Czerpię z niej swoją moc.

Broń napędzana światłem. To miało sens, przynajmniej dla nich. Przypomniałem sobie zabójców Levana Osta. Wątpiłem, aby ci ochroniarze mieli jakikolwiek związek z tamtymi ludźmi, tylko dlatego, że używali podobnego sprzętu, ale niewykluczone, że Devlen Maille był członkiem Jasnego Zakonu. Był zdesperowany, a zdesperowani ludzie łatwo skłaniają się ku religii.

Warto się nad tym zastanowić, gdy nie będę się zajmował żadnym potworem.

– Po prostu nią nie wymachujcie – odrzekłem. Trzymałem się w bezpiecznej odległości.

Drzwi były otwarte. Puściłem oddział przodem. Nigdy nie wiadomo, co czai się za progiem.

Wielka Iglica nie była gotowa i jeszcze nie pracowała. Cegły nie zostały pokryte tynkiem ani boazerią, patrzyłem więc na szkielet olbrzyma. Otwory w suficie czekały na ogromne soczewki, niektóre szerokie na piętnaście stóp. To był stary projekt, marzenie zmarłego przed dwustu laty wybitnego uczonego, które wreszcie się ziściło, gdy książęta otworzyli sakiewki. Zastanawiałem się, czy w tej nowej fabryce będzie lepiej Utalentowanym, biedakom pracującym ze światłem. Elizabeth użalała się nad ich losem, a ja nigdy nie zapominałem jej opowieści o przyjaciółce, która zaharowała się na śmierć w fabryce fosu.

W Wielkiej Iglicy najbardziej niesamowite było to, że nie zawałała się podczas niedawnych trzęsień ziemi. Już na pierwszy rzut oka było widać, że trzeba czegoś więcej niż kilku wstrząsów, aby wieża runęła.

Rozległy, wysoko sklepiiony parter był pusty, nie licząc materiałów budowlanych.

– Przeszukajcie budynek, piętro po piętrze – rozkazał Thierro. – Szybko. Nie marnujmy czasu.

Rozległe połączenie surowego kamienia sprawiały, że każdy nasz krok odbijał się echem. Na górę prowadziły spiralne schody. Wewnątrz zamkniętego szybu powinna się przemieszczać zasilana fosą platforma przeznaczona do wożenia ludzi i maszyn na wyższe poziomy, ale Thierro powiedział, że wciąż nie jest podłączona, co

oznaczało, że musiałem wspinać się w zbroi po schodach. Jeśli stwór dotarł na sam szczyt, moja niesprawna noga da mi się we znaki przed zmierzchem.

– To potrwa cały dzień – stwierdziłem, kiedy dotarliśmy na piąte piętro. Spływałem potem pod pancierzem i żałowałem, że go założyłem. Już nie byłem młodzieniaszkiem. Thierro wciąż jakoś się trzymał.

– Masz rację. Rozdzielimy się. W czteroosobowych grupach będziemy mogli przeszukiwać trzy piętra jednocześnie.

Ludzie Thierra chyba nie byli zachwyceni jego pomysłem. Najbezpieczniej byłoby wrócić na dół i wpuścić do środka tysiąc grenadierów wspieranych przez bojowych Przędzarzy, ale na to było już za późno. Czymkolwiek była pozbawiona twarzy istota, najwyraźniej nie zabiła żadnych robotników. Przynajmniej na razie nic na to nie wskazywało. Thierro także wyczuł niepokój swoich żołnierzy.

– Każda minuta, którą tutaj spędzamy, oznacza dalsze wstrzymanie prac – zwrócił się do nich podniesionym głosem. – Jasna Pani potrzebuje Wielkiej Iglicy.

– Za Jasną Panią! – wykrzyknęli zakapturzeni, co było najgłupszym hasłem, jakie słyszałem. Pozostali odwracali wzrok albo przyłączali się do okrzyków, chociaż bez większego entuzjazmu.

– Bastian, Elta, Hemley. Idźcie z kapitanem Czarnoskrzydłych. Wy troje pójdziecie ze mną na siódme piętro. Reszta na ósme. Po przeszukaniu każdego poziomu będziemy się spotykać na klatce schodowej. Pani nadchodzi.

– Pani nadchodzi – zaintonowali żołnierze, skłaniając głowy.

Westchnąłem z irytacją i ruszyłem w górę schodów. Podążyli za mną dwaj mężczyźni i kobieta. Dwójka była uzbrojona w rusznice błyskowe, które trzymali z wielką czcią. Może wynikało to z przekonań religijnych, ale cieszyłem się, że nie potrząsają bronią ani nie uderzają nią o posadzkę. Lepiej zginąć wpadając w któryś z otworów na soczewki, niż zostać stopionym przez własną broń.

– Macie jakieś doświadczenie w walce z potworami? – spytałem, kiedy wędrowaliśmy korytarzami na szóstym piętrze. W powietrzu

unosił się drobny biały pył i wkrótce wszyscy byliśmy nim pokryci.

– Nie, panie kapitanie. – Bastian miał dwadzieścia kilka lat, ale twarz nastolatka. – Byłem uczniem zegarmistrza, zanim miałem wizję.

Elta mogła zostać muzyczką, a Hemley powinien wypasać krowy gdzieś, gdzie kłosa pszenicy są długie i grube. Może traktowali swoją broń z takim szacunkiem nie z duchowych powodów, ale dlatego, że nie przywykli do jej używania. Byli bardziej zieloni od skoszonej letniej trawy i zapewne mniej użyteczni. Jedyne, co mogłem powiedzieć na ich korzyść, to że wiedzieli, którym końcem się strzela.

– Nie jesteście więc żołnierzami. – To nie była dobra chwila na odbieranie im pewności siebie, ale kiedy masz niewyszkolonych ludzi za plecami, możesz się spodziewać, że ktoś wbije ci w nie ostrze.

– Jesteśmy milicją obywatelską – odrzekła Elta.

– Jeśli o mnie chodzi, możecie być akrobatami albo poskramiaczami gęsi – podsumowałem. – Ale nie jesteście żołnierzami. Potraficie używać swoich mieczy?

– Ja tak – odpowiedział Bastian z entuzjazmem. Miał krótką, szorstką brodę i pewność siebie, która świadczyła o tym, że zawsze ma rację.

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, z czym przyjdzie nam się zmierzyć, ale miałem nadzieję, że Thierro zabrał ze sobą swoich najlepszych ludzi, ponieważ ci, którzy poszli ze mną, nie byli warci splunięcia.

Poprowadziłem ich korytarzem, trzymając berdysz na ramieniu i pistolet w lewej dłoni. Uciszyłem swoich żółtodziobów syknięciem i zacząłem zaglądać do kolejnych pustych, niedokończonych pomieszczeń. Po raz pierwszy byłem w Wielkiej Iglicy. Musiałem przyznać, że robiła wrażenie.

Na piętrze nie znaleźliśmy niczego poza niedopałkami papierosów, okruchami ciastek i plamami po szczytach pozostawionymi przez robotników. W większości komnat zarówno w podłodze, jak i w suficie znajdowały się otwory na soczewki. Niemal wyskoczyłem ze skóry, gdy podniosłem wzrok i niespodziewanie zobaczyłem, że jeden z ludzi Thierra spogląda na mnie z wyższego piętra.

– Więc jak to się stało, że walczysz dla Westlandu? – spytałem

Bastiana. – Masz akcent z Whitelande. Nie pochodzisz z tych stron.

– Walczę dla Jasnej Pani i świadków – odparł.

– Jasne. Załóżmy, że właśnie o to zapytałem.

– Zobaczyłem ją. W swoim własnym domu – powiedział Bastian poważnym tonem. – Sprawiała wrażenie takiej smutnej. Od razu wiedziałem, że to Jasna Pani, o której tak wiele słyszałem, i że wybrała właśnie mnie, a nie któregoś z moich sześciu braci.

– Ja też ją widziałam – potwierdziła Elta. – Wyraźnie jak na dłoni.

Przez chwilę grzebaliśmy w stercie narzędzi porzuconych przez robotników. W tym miejscu powinny rozbrzmiewać odgłosy dłut i kielni oraz brzęczenie zasilanych fosem pił. Cisza sprawiała, że czułem się dziwnie samotny. Skręciłem za róg, wypatrując śladów czegoś nieludzkiego. Pusto.

– A ty? Też zobaczyłeś Panią? – spytałem Hemleya. Był najbardziej zdystansowany i podejrzewałem, że jako jedyny może być coś wart. Poza tym miał rusznicę lontową, a nie błyskową, dzięki czemu od razu poczułem do niego sympatię.

– Nie – odpowiedział i w jego głosie nie wyczułem wahania. – Przynajmniej na razie. Świadkowie mówią, że z czasem wszyscy ją zobaczymy.

Jego akcent wskazywał, że pochodzi z małej wioski, w której dojenie krowy jest największą atrakcją dnia, a jeśli wichura przewróci drzewo, ludzie latami snują o tym opowieści.

– Więc co tutaj robisz? – Wyjrzałem za róg, trzymając przed sobą pistolet. Pusto.

– Zakon przybył, żeby werbować ludzi. To, co mówili, miało dużo sensu. Opowiadali, że bogactwo jest źle rozdzielone. Jeden człowiek na tysiąc ma większy majątek niż cała reszta, a jeśli nawet ktoś próbuje coś osiągnąć, to i tak nie zdobędzie arystokratycznego tytułu. To, co się dzieje w Łańcuchu... Wielka Iglica, mur, żołnierze... pewnie jest ważne, ale ludzie w miastach uginają się pod ciężarem podatków, podczas gdy książęta piją musujące wino z brylantowych kielichów. To nie może dłużej trwać.

– Sądzisz, że nadchodzi rewolucja? Dlatego przyjechałeś?

– Myślę, że Jasna Pani jest znakiem, że nadejdzie coś lepszego –

odrzekł Hemley i chociaż tego nie chciałem, poczułem zdradzieckie ukłucie nadziei, że ma rację.

– Ale nie wierzysz?

– Oczywiście, że wierzy! – zawołał Bastian żarliwie.

– Jasne, oczywiście – dodał Hemley, ale nie zabrzmiał przekonująco.

– W końcu ludzie widzieli ją w wizjach, prawda? Tak wielu ludzi, że nie wątpię w ich szczerść. – Wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że nie przywiązuje do tego dużej wagi.

Kiedy kończyliśmy sprawdzać piętro, wysoko nad nami rozległ się donośny huk. Z sufitu posypał się drobny pył.

Cofnęliśmy się i przegrupowaliśmy na schodach razem z Thierrem i pozostałymi. Żołnierze, na których twarzach dotychczas malowała się pobożna powaga, najwyraźniej wreszcie zdali sobie sprawę, w co wdepnęli. Pot zrosił ich czoła. Palce nerwowo drgały w pobliżu spustów.

– Wyżej – rzekł Thierro.

– Wyżej – zgodziłem się.

Siedemdziesiąt pięć pięter, kurwa. Odrzuciłem berdysz. Żałowałem, że mam na sobie zbroję. Moja noga się sprzeciwiała, dawna rana dźgała w kość. To było zajęcie dla młodych. Kiedy zobaczyłem przed sobą światło dnia, byłem cały mokry od potu i buchającej pary.

Dotarłem na dach na szarym końcu.

Na szczycie Wielkiej Iglicy znajdowała się rozległa płaska platforma z idealnie przezroczystego, wzmocnionego fosem szkła, otoczona niskim murkiem. Przez trzy stopy szkła widziałem niższe piętro oraz otwory na soczewki ciągnące się do samego dołu. Nie czułem się pewnie, zupełnie jakbym stąpał po idealnie nieruchomej powierzchni wody. Na platformie znajdował się tylko jeden obiekt, Żelazne Słońce, szeroka na dwadzieścia stóp kula z czarnego metalu umieszczona na cokole. Jej powierzchnię okrywały zachodzące na siebie metalowe powłoki. Wokół kuli unosił się dym, a szklana posadzka była popękana i pokryta stopionymi okruchami szkła. Pomimo silnego wiatru czułem woń wybuchowego proszku. Większość żołnierzy zebrała się po drugiej stronie Żelaznego Słońca. Niektórzy stali, inni klęczeli, ale wszyscy celowali do samotnej postaci sterczącej przy

murku.

Znajomy mężczyzna spoglądał na Valengrad przez otwór wyrwany w murze. Miał na sobie długą koszulę nocną, która powiewała na wietrze wokół jego nóg. Tę samą koszulę, w której go aresztowaliśmy. Jego ramiona poruszały się w górę i w dół w rytmie ciężkich oddechów. Chociaż widziałem tylko jego plecy, od razu go rozpoznałem. Marollo Nacomo, gwiazda sceny i zdrajca Łańcucha.

Thierro i jego ludzie otoczyli mężczyznę, ale trzymali się na dystans. Dołączyłem do nich, ciężko dysząc. Prawdę mówiąc, nie tylko ja byłem zdyszany lub zlany potem. To była piekielna wspinaczka.

– Co teraz? – spytał jeden z żołnierzy z rusznicą błyskową. Jego broń była odbezpieczona i gotowa do strzału. Przez chwilę myślałem, że mówi do mnie, ale potem zobaczyłem, że patrzy na Thierra. Gubernator wystąpił naprzód. Sprawiał wrażenie spokojnego. Nie bał się, ale był napięty jak polujący kocur.

– Hej, ty! Słyszysz mnie?! – zawołał. – Możesz mówić?

– Spokojnie – warknąłem cicho. – Ten człowiek jest mi potrzebny żywy.

Los to kapryśny żartowniś. Zwrócił mi jedyny trop prowadzący do zabójców Levana Osta i do Oka Shavady, po czym postawił go na skraju tysiącstopowej otchłani. Obawiałem się, że człowiek w jego sytuacji może wybrać mniej bolesne wyjście niż powrót do białej celi i pokoju przesłuchań, ale jeśli Nacomo zauważył naszą obecność, to nie dawał tego po sobie poznać. Jego ramiona lekko drżały. Palce stóp dotykały krawędzi platformy. Silny podmuch wiatru mógłby zepchnąć go w stronę znajdującego się poniżej placu.

– Zrobił cokolwiek, odkąd się pojawiliście? – spytałem. Czułem pot spływający mi po szczęce. Thierro tymczasem prawie się nie spocił. Drań.

– Nie – odrzekł. – Tylko tak stoi.

– Co spowodowało te zniszczenia?

– Nie wiem – Thierro zmrużył oczy – ale cokolwiek to jest, tracimy przez to czas. Cel!

Ochroniarze niezdarnie wycelowali w plecy mężczyzny.

– Odebrał mi twarz – odezwał się Nacomo. Wciąż był do nas

zwrócony plecami. – Odebrał mi twarz. Nie chciałem, żeby to zrobił. Nie chciałem oddać mu swojej twarzy.

– Nacomo! – zawołałem. – Nacomo, posłuchaj mnie. – Zaskoczony Thierro zerknął na mnie, ale zaraz ponownie skupił uwagę na mężczyźnie stojącym na jego dachu.

– Znasz go? – spytał.

– Zostaw go mnie – poprosiłem. Białą koszulę Nacoma znaczyły ślady krwi. Część z nich zapewne pochodziła od Valiyy i moich kawek. Zorientowałem się, że mocno zaciskam szczęki.

– Nigdy nie chciałem zrobić nic złego – rzekł Nacomo. Jego słowa były słabo słyszalne, porywał je wiatr. – Nie chciałem wplątywać się w nic niewłaściwego. Nie jestem złym człowiekiem.

– Odsuń się od krawędzi! – zawołałem. – Cofnij się i odłóż broń. Wciąż jesteś aresztowany. – Nie odpowiedział. – Wiesz, kim jestem, prawda, Nacomo? Obróć się. Powoli.

– Znam pana, kapitanie Galharrow. Dla ludzi takich jak ja jest pan krokami śmierci. Powiedzieli, że jestem za stary, aby grać Leyonara. Za stary! Scena w końcu zdradzi każdego z nas. Szukałem nowego początku. Przed powrotem do Lennisgradu chciałem dać moim krytykom lekcję. Próżność. Cóż za przyczyna śmierci. Twarz. Moja bezużyteczna twarz.

– O czym on głądzi? – wyszeptał Thierro.

Wzruszyłem ramionami. Wydawało się, że Nacomo zaraz zrobi coś głupiego, a stał w miejscu, które z pewnością dawało mu taką możliwość. Wiedział, że poślę go na szafot, kiedy już wydobęde z niego wszystkie informacje. Zastanawiałem się tylko, dlaczego wybrał taki koniec zamiast sznura. Ktoś będzie musiał po niego pójść, a nie sądziłem, by którykolwiek z otaczających mnie ludzi był do tego zdolny. Wyjąłem pistolet, odciągnąłem kurek i zrobiłem krok naprzód. Chciałem, żeby Nacomo dalej mówił. Nie myślał o skakaniu. Jeśli pozwolę mu spaść, nigdy się nie dowiem, dla kogo pracuje i dokąd Oko trafiło po tym, jak opuściło jego dom.

– Co było nie tak z twoją twarzą?

– Nic – odrzekł Nacomo. – Teraz to rozumiem. To była po prostu moja twarz. Ale oni ze mnie kpili. W gazetach nazywali mnie starą

chabetą. Musiałem coś zrobić!... Był pewien młodzieniec. Powiedziałem, że chciałbym wyglądać tak jak on. Nie zdawałem sobie sprawy, co ta... istota z nim robi, a kiedy się dowiedziałem, co się stało, już nie chciałem nosić tamtej twarzy. Ale co mogłem zrobić? A kiedy go zawiodłem... odebrał ją.

Wyglądał dziwnie, kiedy go aresztowaliśmy. Zbyt młodo jak na swój wiek. Powinienem być to zauważyć. Domyślić się.

– Kto ją odebrał? Kto ci to zrobił?

Ale już wiedziałem. Tylko jeden przeklęty czarownik potrafi przenosić części ciała od jednego człowieka do drugiego.

Nie. To niemożliwe. Na pewno się mylę. Wmawiałem sobie, że się mylę.

Nacomo wybuchnął szaleńczym śmiechem, od którego zadrżały mu ramiona.

– Ale to ja będę się śmiał ostatni – dodał. – Nikt z was mnie nie dostanie. Ani on, ani pan... Żaden z was, dranie, już więcej mnie nie skrzywdzi. Zejdę ze sceny jak Leyonar, a razem ze mną runie wieża.

Chociaż bełkotał bez sensu, włosy stanęły mi dęba na karku. Nacomo oszalał, ale byliśmy na olbrzymim kawałku szkła, a tamten wcześniejszy huk wciąż odbijał się echem w moich myślach. Nacomo znów zaczął się śmiać, a w tle jego chichotu usłyszałem odgłos, który przypominał przeciągłe syczenie kota. Nienaturalne trzeszczenie, które nagle nabrało sensu. W jednej chwili zrozumiałem, czym był wybuch, który słyszeliśmy z dołu.

Uniosłem oba pistolety, zmrużyłem oczy i wystrzeliłem. Jeden z ładunków nie wypalił, ale druga broń huknęła z rykiem. Trafiłem Nacoma w ramię, nie tam, gdzie celowałem, ale trzeba się z tym liczyć, gdy strzela się z pistoletu do oddalonego celu. Moja broń była robiona na zamówienie, rozmiarami i ciężarem przewyższała większość pistoletów, a także zużywała więcej prochu i strzelała większymi pociskami. Służyła do zabijania potworów. Siła uderzenia obróciła Nacoma, a kiedy jego zraniona ręka obwisła bezwładnie, wypadło z niej coś wilgotnego i poszarpanego, co z młaśnięciem wylądowało na platformie. Maski. Nie. Twarz.

Mieli rację, gdy nazwali go potworem. Wokół wytrzeszczonych oczu

lśniło ciało czerwone jak surowy stek. Czarna ohydna zgnilizna rozpuściła policzki, a grube ciemne strupy przecinały czoło i szczęki. Głębokie cięcia okalające zniszczenia, których dokonał, gdy wyciął swoją twarz, tworzyły obwódkę zasychającej czarnej wilgoci. Nie miał powiek, a białe zęby wyzierały z obdartych ze skóry ust. Kiedy się śmiał, szaleńczo wytrzeszczał przekrwione, zbolące oczy. Może z bólu stracił rozum. Z obnażonych mięśni skapywał krwawy płyn, gdy szczęki poruszały się w wariackim chichocie.

Jego zrujnowana twarz odwróciła moją uwagę i potrzebowałem chwili, żeby dostrzec granat w jego dłoni. Płomień trawił długi lont, zbliżając się do ciemnej żelaznej kuli o rozmiarach grejpfruta. W środku znajdował się wybuchowy proszek. Po chwili zauważyłem drugą i trzecią bombę przy pasie Nacoma. Wiedziałem, że wybuchną zaraz po pierwszej.

Nacomo śmiał się poczerniałymi ustami, gdy iskry pędziły wzdłuż lontu. Uniósł jedną rękę ku niebu w ostatecznym teatralnym geście kontemplacji.

– Nie jestem zdrajcą, nigdy nim nie byłem. Ale patrzcie, co on mi zrobił! – Podniósł granat jak królewskie jabłko. – Ten potwór uważa, że mną rządzi. Mną, wielkim Marollem Nacomem! Ale ja odwróciłem to, co mi zrobił, i zejść ze sceny wolny. Nie jestem marionetką, jestem artystą. Te beztalencia chciały zobaczyć prawdziwego Leyonara? Oto jestem. Patrzcie na mnie! Zburzę tę wieżę. Ostatni bis najwybitniejszego aktora tej epoki!

– Ognia! Ognia! – ryknął Thierro.

Rusznice skałkowe i błyskowe wypaliły, kilka pocisków trafiło w cel, ale większość strzelców spudłowała. Nacomo zachwiał się, ale nie spadł. Thierro wydał zduszony dźwięk. Jego dłoń otaczała kula płonącego światła, ale nie chciał nią cisnąć. Światło, które uprządl, mogłoby zdetonować granat i zniszczyć szklaną platformę, a gdyby ona runęła, wszyscy spadlibyśmy razem z nią. Nacomo uniósł żelazną kulę nad głowę.

Rozpłaszczyłem się na platformie. Nie jestem urodzonym bohaterem. Ale Bastian, wyznawca Jasnej Pani, były uczeń zegarmistrza, postanowił dokonać najodważniejszego czynu w swoim

życiu. Upuścił broń i pobiegł w stronę człowieka bez twarzy. Staranował go i obaj wypadli za niski murek. Na mgnienie oka zawiśli w powietrzu, po czym zniknęli.

Mijały kolejne sekundy, a gdy wreszcie rozległ się wybuch, dobiegł z dalszej odległości, niż się spodziewałem. Był głośny, ale przypominał stłumiony huk, a nie ogłuszający trzask.

– Jasna Pani! Ocaliła nas! – krzyknęła Elta.

– Oddech Pani – szepnął ktoś inny.

Gubernator Thierro poszedł w moje ślady i usunął się z drogi. Jego elegancki biały płaszcz był usmarowany szarym cementem, podobnie jak brwi i włosy.

– Bastian nas uratował – powiedziała Elta. Otarła łzy z oczu. – To prawdziwy bohater! Przyjechał z tak daleka tylko po to, by... Na Duchy. Pani!

Dzielny młody Bastian zepchnął Nacoma z wieży. Wybuchli razem kilka pięter nad ziemią. Kiedy zerknąłem w dół, zobaczyłem, że nie zostało po nich nic poza sporym czerwonym kręgiem na szarym bruku tysiąc stóp niżej.

Thierro podszedł do Elty i objął ją mocno zapyloną ręką.

– Rzeczywiście był bohaterem – odezwał się łagodnie. – Wysoki Świadek pozna jego imię. Zostanie zapamiętany.

Otaczający go kretyni pokiwali głowami i mruknęli potakująco. Wiara w Jasną Panią dodawała im otuchy. Trzeba przyznać, że potrzebowali pocieszenia.

Pokuśtykałem w stronę skrawka skóry, który Nacomo odrzucił. Człowiek musi być nie lada zdesperowany, aby odciąć sobie twarz.

Marollo Nacomo mi uciekł, wybierając znacznie gorszy los.

10

– Spierdoliliśmy sprawę – powiedziałem, gdy dołączyłem do Tnoty na zewnątrz.

Deszcz zelżał do drobnej mgiełki i powietrze było ciężkie od wilgoci. Drżały mi dłonie. Odkrycie, którego dokonałem na dachu, wciąż we mnie siedziało. Próbowałem sobie wmawiać, że się mylę. Nie chciałem mieć racji. Robiłem dobrą minę do złej gry.

– Wielki Pies mówi, że ludzie nie powinni latać – odrzekł. – Dlaczego wybuchł?

– Miał granaty. Chciał odejść w blasku teatralnej chwały. Jebani aktorzy. – Zadygotałem. – Ale jedno jest pewne. Możemy przestać szukać Marolla Nacoma.

– Dotychczas słabo go znałem – Tnota pomasaował czoło – ale teraz widzę go wszędzie dookoła.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Drobna czerwona mgiełka zbryzgała szeroki fragment ulicy. Gapie byli śliscy od krwi.

Kierownicy budowy już zapędzali robotników do wieży lub na rusztowania, po których ci wspinali się jak małpy. Nie było chwili ani grina do stracenia. Patrzyłem, jak Thierro wszystko nadzoruje. Spotkanie z człowiekiem bez twarzy nim wstrząsnęło i był blady, ale ze spokojem znosił wszystkie trudy.

Nagle mój wzrok przyciągnęły srebrne lufy rusznic błyskowych na plecach ochroniarzy w żółtych kapturach. Devlen Maille miał taką przy sobie tamtego wieczora, gdy zamordował Levana Osta. Ci ludzie nazywali je świętą bronią. Czy Maille mógł należeć do Jasnego Zakonu? Niewykluczone, ale wiedziałem, że rozpaczliwie szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Nawet jeśli był w Zakonie, niewiele z tego wynikało: w mieście były tysiące takich jak on, pielgrzymów z różnych zakątków świata. Bohater, który wyleciał w powietrze,

Bastian, świadomie oddał życie za Wielką Iglicę. Wierzył żarliwie i raczej nie był na tyle bystry, by mnie zwieść, podczas gdy Devlen Maille nie sprawiał wrażenia człowieka, który wierzy w sprawiedliwość i nowy światowy porządek. Wyglądał na gnoja, który pracował tylko dla siebie. Właśnie dlatego go zastrzeliłem za pierwszym razem.

Próbowałem sobie wyobrazić, że to Thierro rozkazał swoim ludziom zlikwidować Levana Osta. Że spiskował z Uroczymi i naciskał na Marolla Nacoma, by ten zniszczył jego wielkie dzieło. To nie miało sensu. Thierro był prawdziwym wyznawcą – tylko fanatyk może tyle zainwestować – lojalnym wobec Jasnej Pani. Nacoma posłano, by znalazł nawigatora, wszedł w konszachty ze zdrajcami, a następnie ukrył Oko Shavady. A potem, po jego ucieczce, ktoś zdarł skórę z jego gnijącej twarzy. To jasne, że nie zrobił tego sam. Co mi powiedział? „Już nie chciałem nosić tamtej twarzy... a kiedy go zawiodłem... odebrał ją”.

Nieunikniony wniosek bił na alarm w mojej głowie. Mój umysł upierał się, że się mylę, że to nie może być on. Ale wiedziałem, jakiego rodzaju układ Nacomo zawarł.

Wiedziałem także, w jaki sposób Devlen Maille powrócił z martwych.

Zrozumienie przyniosło ze sobą falę lęku, tak silną, że aż popuściłem w spodnie.

Wziąłem się w garść. Potrząsnąłem głową, żeby odpędzić strach i zapanować nad tymi mrocznymi uczuciami.

– Wszystko w porządku, szefie? – spytał Tnota.

– Nie wiem – odrzekłem. Zostawiłem go i pośpiesznie wróciłem do miasta. Nacomo był dla mnie bezużyteczny. Musiałem znaleźć trupa.

Cmentarz dla nędzarzy leżał na skraju miasta, jakby nawet ich zwłoki odrzucono ze względu na brak pieniędzy. Pojechałem tam na Sokole, który świetnie się nadawał do szybkiej jazdy. Chętnie gryzł i miał kopyta wielkości obiadowych talerzy, ludzie więc bezzwłocznie usuwali się z drogi. Przez całą podróż czułem w ustach nieprzyjemny smak. Utrzymywał się od czasu kąpieli w kanale. Końcówki moich paznokci wciąż miały fioletowy odcień. Czarna woda wyraźnie mi

zaszkodziła.

Strażniczka cmentarza bez sprzeciwu wpuściła mnie przez żelazną bramę. Nie miało dla niej znaczenia, że ktoś chce popatrzeć na ciała tak niegodne uwagi, że trafiły do komunalnych mogił. Zaprowadziła mnie do zimnej podziemnej komnaty, oświetlając drogę porządną staroświecką lampą oliwną. W środku było gęsto od mgły, która spływała przez kratki wentylacyjne, zupełnie jakby w zimnym i mrocznym domu zmarłych nie było wystarczająco ponuro. Nie przejmowałem się tym. Zmarli mnie nie martwią.

Strażniczka zajrzała do rejestru, a następnie poprowadziła mnie wzdłuż rzędów łukowato sklepionych nisz. Kostnica kiedyś zapewne była piwnicą, ale Valengrad stale potrzebuje nowych cmentarzy. Niepogrzebane ciała leżały na starych, rozchwianych stołach. Niektórzy zmarli mieli na sobie stroje, w których dokonali żywota, innych krewni przed złożeniem do piachu umyli i ubrali w najlepsze ubrania, na jakie mogli sobie pozwolić. Ciała miały pozostać w tych zbiorowych mogiłach, dopóki ktoś nie wykupi im grobu albo dopóki nie rozłożą się na tyle, że będzie je można spuścić do kanału. Strażniczka zatrzymała się przy jednej z nisz, gdzie sześć ciał piętrzyło się na stole, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał się załamać pod ich ciężarem.

– A właściwie po co on panu? – spytała.

– Przed wszystkim muszę sprawdzić, czy naprawdę nie żyje – odrzekłem. Kobieta parsknęła.

– Oni wszyscy nie żyją.

– Miejmy nadzieję.

– Może pan tu zostać, jak długo pan zechce. Im to na pewno nie będzie przeszkadzać. Ale niech pan nie robi niczego niesmacznego, dobra? Szef czasami wpada i mógłby tutaj zajrzeć. Więc żadnych dziwactw.

– Jasne. Żadnych dziwactw.

Sześć trupów ułożono w kształt piramidy. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd zabiłem Devlena Maille'a po raz drugi, zwłoki potwornie więc cuchnęły, a śmierć nieprzyjemnie je zabarwiła. Skóra była śliska, luźna i oddzielała się od mięśni, gdy przepychałem ciała

i zrzucałem je na posadzkę, by dostać się do Maille'a, który leżał na spodzie. Zęby sypały się z otwartych ust i grzechotały o podłogę jak suszony groch. Jeden z trupów wydał z siebie potężne pierdnięcie, ale to coś normalnego w przypadku tak starych zwłok. Mimo wszystko cieszyłem się, że niczego nie jadłem.

Serce waliło mi jak młotem. To będzie ostateczny dowód. Muszę się upewnić.

Ciało Maille'a było w lepszym stanie niż pozostałe. Jak na dwutygodniowego sztywniaka wyglądał znacznie lepiej, niż można by się spodziewać. W słabym świetle nie mogłem stwierdzić, czy rzeczywiście ma tak żółtą skórę, jak mi się wydaje. Szczątki były zmasakrowane. Spod porwanej i spalonej kurtki wyzierały fragmenty rozsadzonych pojemników z fosem, które wciąż sterczały z ciała.

Wcześniej rozpoznałem Devlena Maille'a tylko po dużym znamieniu na twarzy. Przed chwilą spotkałem człowieka, któremu odcięto twarz. Po co ktoś miałby to robić?

A jeśli chciał dać ją komuś innemu?

Odwrociłem głowę trupa i znalazłem to, czego szukałem. Odcienie skóry były niemal idealnie dopasowane, ale kształt nie do końca się zgadzał. Twarz można rozciągnąć tylko w pewnych granicach, dlatego naturalny zarys szczęki uległ zmianie. Psiakrew, miałem rację. Rzeczywiście zabiłem Devlena Maille'a. Człowiek, którego rusznica błyskowa wybuchła, tylko nosił jego twarz.

Dzwon po raz ostatni zabrzmiał w mojej głowie. Pewność.

– Saravor – odezwałem się w mglistej ciemności. Chciałem się mylić, ale ostatni okruch wątpliwości właśnie pękł jak szkło.

Jest wiele powodów, dla których człowiek może zapragnąć zmienić swoje oblicze. Marollo Nacomo pożył młodości. Zabójca z twarzą Devlena Maille'a był zawodowcem. Może chciał wymazać własną przeszłość, usunąć swoje postęпки jednym cięciem skalpela. Maille był tylko tanim źródłem części zamiennych, gnijącym na cmentarzu dla nędzarzy.

Nie każdy może sobie pozwolić na użycie doświadczonych zabójców, których nie sposób zidentyfikować.

To wszystko wyglądało na dzieło Saravora. A więc powrócił i robi

interesy w moim mieście, tylko że teraz nie naprawia tych, którzy się do niego zgłaszają, ale wykorzystuje ich do brudnej roboty w ramach jakiegoś większego planu. Zmienił temu człowiekowi twarz w zamian za zamach na Levana Osta, ponieważ spiskował z Uroczymi, a Ost był jedynym śladem, który mógł nas do niego doprowadzić. A skoro Maldon wyczuł, że Nacomo przechowywał Oko Shavady w swojej piwnicy, to oznacza, że skradziony przedmiot jest w posiadaniu Saravora.

Nie mógłby wpaść w gorsze ręce, nie licząc Królów Głębi.

Zostawiłem ciała na posadzce i szybko wspiałem się po schodach. Było mi wstyd, ale układanie gnijących trupów na stole to paskudna robota.

Saravor mnie przerażał. Zawsze się go bałem, nawet wtedy, gdy płaciłem za jego usługi. Przyznanie się do tego nie było oznaką słabości, podobnie jak obawa przed falami przyływu. Był potężnym i genialnym sadystą. Kiedy walczył z Maldonem, a echa ich magii rozbrzmiewały w mojej czaszce, zrobiłem coś niewyobrażalnego: pozwoliłem, aby odebrał Maldonowi okrucuch potęgi Shavady. Chodziło o cieniutką nitkę esencji Króla Głębi, a jednak przekazałem ją Saravorowi i jego szarym dzieciom.

W tej nitce mieściło się mnóstwo mocy.

Drżały mi dłonie, gdy wyprowadzałem Sokoła z cmentarza. Chciałem się zastanowić, a to oznaczało, że muszę się napić. Udałem się do baru, gdzie złopałem brandy i wydzieralem się, dopóki lokalu nie zamknięto i nie wyrzucono nas wszystkich na ulicę. Był środek nocy, a mgła wciąż się nie rozwiała, ruszyłem więc pieszo przez gęste siwe obłoki, aż dotarłem do rozdroży.

Gdybym skręcił w lewo, po dwóch kolejnych skrzyżowaniach dotarłbym do swojego domu. Prawdziwego, dużego domu. Nie byłem tam od dwóch tygodni. Zatrudniałem pokojówkę, która mieszkała tam niczym bogata, zaniedbana kochanka. Ulica biegnąca w prawo doprowadziłaby mnie do biura. Było po jedenastej, czyli dosyć wcześnie jak na koniec popijawy, chociaż wystarczająco późno, biorąc pod uwagę, o której godzinie zacząłem. Powoli odzyskiwałem jasność umysłu i czułem się zmęczony. Wielkie łóżce w domu jest zimne

i puste. Pokojówka raczej nie trzyma w nim termoforu. W biurze będzie ciepło. Decyzja nie była trudna.

Wspiąłem się po schodach na tyle bezgłośnie, na ile to możliwe w przypadku ważącego trzysta funtów pijanego mężczyzny. Nie lubiłem woni lamp tranowych, zapaliłem więc świece, które dawały cieplejszy blask. Maldon już zdążył zostawić listę na moim biurku. Nie tracił czasu, gdy czegoś ode mnie chciał: miedziane druty, pojemniki, drewno, mosiężne rurki. Zestawy narzędzi, gogle z kryształowymi szklami, jakie noszą Utalentowani, wyposażenie małej kuźni i tuzin gwintowanych luf. Żaden z tych przedmiotów nie jest trudny do zdobycia, ale gwintowane lufy są potwornie drogie, a poza tym nie podobało mi się, że Maldon buduje kuźnię pod moim biurem, zwłaszcza że wlewa w siebie tyle wina. Westchnąłem i potarłem bolące, suche oczy. Gdybym nie znał go lepiej, pomyślałbym, że próbuje skonstruować nowe wrzeciono albo coś podobnego, ale kiedy Shavada wdarł się do jego umysłu, odebrał mu zdolności przedzenia światła. Nie wiadomo dlaczego. Robole nie potrafią przuć, tak jak nasi czarownicy nie potrafią korzystać z robaków umysłu. Może pociąg do światła nie jest w stanie współistnieć z taką dawką ciemności. Kto wie? Maldon był jedynym Przędzarzem w historii, który znalazł się w takiej sytuacji.

Lista zakupów mojego szalonego nie-dziecka nie była idealna. Zamierzałem dać mu to, czego żąda, ponieważ nie chciałem, aby wpadł w tarapaty, ale postanowiłem, że będzie musiał zbudować kuźnię w moim domu. Ta decyzja dowodziła, co jest dla mnie najważniejsze, skoro nie zamierzałem narażać biura. Napisałem wiadomość do swojego księgowego, polecając mu przekazać żądane sumy renomowanym rzemieślnikom. Jeżeli Maldon będzie miał jakieś zajęcie, przynajmniej nie będzie próbował się zabić.

Ziewnąłem. Nie byłem już tak młody jak kiedyś, a cały dzień biegania po schodach i ostrego picia każdemu odbierze siły. Zdjąłem zbroję, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

Wiedziałem o dwóch nieudanych próbach samobójczych Maldona. Nie miałem pojęcia, ile ich naprawdę było. Kiedyś powiesił się na krokwi w piwnicy, ale opadł ze zbyt małej wysokości, by skrócić sobie

kark, po czym odkrył, że wcale nie musi oddychać. Kiedy go odciąłem, gotował się z frustracji i nudy. Za drugim razem podciął sobie żyły i zakrwawił całą moją łazienkę, ale byłem pewien, że przeżyje, niezależnie od tego, jak wiele krwi zaplami moje ręczniki. Nie miał łatwego życia – wieczne dziecko pozbawione oczu i zdeformowane, ograbione z potężnej mocy, którą kiedyś władało. Mogłem przynajmniej pozwolić mu zająć się jakimś projektem.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze dziś wrócisz – powiedziała Valiya, stając w progu. – Mógłbyś zachowywać się jeszcze trochę głośniej?

– Nie mogłem zasnąć. – Wciąż byłem nieco podchmielony, ale już zdawałem sobie sprawę z pokrywającej mnie warstwy zaschniętego potu, którego niezbyt delikatny aromat zapewne wypełniał pomieszczenie. – Co tutaj robisz?

– Pracuję – odparła, ale po chwili złagodniała. – Amaira znów chciała spać w kuchni. Czuje się tutaj samotna. Czytałam jej.

– Ma pokój w moim domu, ale z jakiegoś powodu nie chce z niego korzystać.

– A ty nie rozumiesz, dlaczego woli być tutaj niż w zimnym i pustym domu?

Zignorowałem jej pytanie.

– Jest za młoda, żeby siedzieć tutaj przez całą noc. Powinienem odesłać ją gdzieś, gdzie będzie mogła zadbać o swoją przyszłość.

Valiya posłała mi kolejne potępiające spojrzenie. Niezależnie od tego, jak wiele osiągnąłeś w życiu, kobieta i tak potrafi popatrzeć na ciebie w taki sposób, że chcesz się poprawić. Takie spojrzenia nadają życiu znaczenie.

– Nie zrobisz niczego takiego, Ryhalcie Galharrow. Bardzo lubię tę dziewczynę i będę wściekła, jeśli się jej pozbędziesz. Zwłaszcza jeśli zrobisz to po pijaku. Kiedy ostatnio spałeś? – spytała. – Masz oczy bardziej czerwone niż Rioque.

– Moje oczy będą mogły odpocząć, kiedy umrę – odparłem. Alkohol czynił mnie opryskliwym.

– Prawdziwy z ciebie twardziel, ale na nic się nikomu nie przydasz, jeśli padniesz z wyczerpania.

Jeszcze bardziej mnie drażni, gdy ludzie sięgają po fakty, zwłaszcza takie, które chcę wyprzeć z pamięci.

– Przepraszam – odrzekłem. – Nie powinienem być dla ciebie niemiły. To był dziwny dzień.

– Jadłeś cokolwiek? – spytała Valiya.

Od razu się zawstydziłem, ale pijaństwo jest silniejsze od wstydu.

– Trochę za późno, żebyśmy poszli na kolację – powiedziałem.

Uświadomiłem sobie, że Valiya także sprawia wrażenie zmęczonej, zobaczyłem cienie pod jej oczami. Ale nagle zaróżowiła się w sposób, którego się nie spodziewałem. Ukryła to pod falą kasztanowych włosów, które opadły jej na twarz.

– Nie zapraszam cię na kolację, ty dupku – odparła sztywno. – Musisz coś zjeść. A potem się wyspać. Jesteś bezużyteczny, kiedy umierasz na stojąco. Chodź.

Nie wstałem. Miała rację. Byłem potwornie zmęczony. Wszystko wydawało się odległe i niewyraźne, jakbym patrzył przez odwróconą rurkę szpiegowską. Valiya wyciągnęła rękę i dźwignęła mnie na nogi.

– Zaczekaj w kantynie – poleciła, a ja jej posłuchałem.

Czas dziwnie płynie, gdy nie śpisz. Minuty wymykają się niepostrzeżenie, możesz stracić całą godzinę, stojąc w jednym miejscu i wpatrując się w pustkę. W takich chwilach zastanawiam się, czy przysnąłem, czy po prostu straciłem jasność umysłu. Co się wtedy z tobą dzieje? Uznajemy, że kiedy śpimy, wycofujemy się ze świata, ale co nas spotyka, gdy odpływamy na jawie? Możliwe, że siedziałem na krześle w jadalni przez kilka minut albo godzinę. Nie potrafiłem tego oszacować.

Pojawiła się Valiya. Przyniosła tacę pełną smakowitych potraw, jakie przygotowuje się po to, aby pocieszyć umierającego krewnego. A także herbatę, paskudną zieloną herbatę. Nie zamierzałem narzekać. Karmienie mnie nie należało do jej obowiązków. A przynajmniej nie powinno.

Jadłem i mówiłem. Opowiedziałem jej o Devlenie Maille’u, Marollu Nacomo oraz Saravorze. Opowiadałem o rzeczach, które dotychczas trzymałem w tajemnicy, o walce z Uroczym przed drzwiami prowadzącymi do serca Maszynerii Nalla, o władzy, jaką miał nade

mną Saravor, i o tym, jak go spłaciłem.

– To Saravor uleczył major Nenn po tym, jak została ranna w dwunastej stacji, prawda? – spytała Valiya delikatnie. Pokiwałem głową. – Nic jej nie grozi z jego strony. Jeśli naprawia ludzi w zamian za ich usługi... albo zawiera z nimi układy... nie ma nad nimi żadnej władzy.

Miałem nadzieję, że to prawda. Na razie pogrzebałem te obawy. Wystarczyło mi lęku jak na jeden dzień.

– Wiem, ale to nie wszystko – dodałem. – Maldon powiedział, że Oko Shavady pojawiło się w domu Nacoma. Czyli zabrał je Saravor. To ma sens. Jest potężniejszy od zwykłych czarowników, ponieważ dałem mu tę moc. A on wykorzystał ją, by osiąść kolejną część Shavady.

Valiya wodziła palcami po kwiatach wytatuowanych na jej przedramionach. Była pogrążona w myślach.

– Co może z nią zrobić? Odsprzedać ją Uroczym w Nieszczęściu?

– Nie sądzę – odrzekłem. – Saravor zawsze szaleńczo pożył władzy. Tylko jej naprawdę pragnął. Jeśli ją zdobył, pytanie brzmi: do czego zamierza ją wykorzystać?

11

Po oblężeniu Valengradu pojawiły się plotki, że Saravor nie żyje. Wydawało się to prawdopodobne. Stoczył straszliwą walkę z Maldonem, który był wtedy Uroczym, a następnie zniknął z okrucieństwem Shavady. Śmiertelnicy nie powinni władać taką magią. Kiedy Shavada został zniszczony, miałem nadzieję, że jego magia umrze razem z nim. Próbowałem się upewnić, że Saravor nigdy nie będzie mógł z niej korzystać, ale wymknął się, zanim zdołałem się do niego dostać.

Liczyłem na to, że zginął podczas oblężenia, a przynajmniej że uciekł i nigdy nie wróci. Obie te nadzieje teraz wydawały się warte tyle co papierowy hełm.

Poczułem potężną potrzebę sprawdzenia, co słychać u Nenn. Wszyscy jej chłopcy byli na urlopie, który zawsze dostawali po długim pobycie na piaskach Nieszczęścia, pojechałem więc do jej domu, przywiązałem Sokoła w ogrodzie różanym i zadzwoniłem do drzwi. Nenn otworzyła mi osobiście, owinięta ręcznikiem, który stanowił jej jedyny strój, nie licząc protezy nosa. Jakiś ranny ptaszek mieszkający w sąsiedztwie sprawiał wrażenie oburzonego jej brakiem manier, ale tak naprawdę zapewne chciał się pogapić na jej odsłonięte muskularne nogi.

– Przyjrzyj się dobrze, zboczony staruchu! – zawołała. Otworzyła przede mną drzwi, a potem pokazała mu tyłek. Śmiała się, kiedy weszliśmy do salonu.

– Jesteś w dobrym nastroju – zauważyłem.

– Bo to dobry dzień – odrzekła. Przeciągnęła się, unosząc skraj ręcznika na nieprzyzwoitą wysokość. Nenn zawsze miała w dupie zasady poprawnego zachowania, a po awansie przestała nawet udawać, jednak to był wyjątkowo bezwstydnym pokaz, nawet jak na

nią. – Chcesz śniadanie? Mam gdzieś tutaj butelkę dwunastoletniej whisky.

Kusząca propozycja, ale myślałem o czymś innym. Właśnie miałem coś powiedzieć, gdy usłyszałem jakiś hałas w jednym z przyległych pokoi.

– Służący? – spytałem. Byłem spięty.

– Pewnie są gdzieś tutaj, ale to tylko Betch się myje. Biedak jest kurewsko podrapany. – Popatrzyła na swoje paznokcie i uśmiechnęła się szeroko. Nie była łagodną kochanką i rozkoszowała się władzą, jaką dawało jej pożądanie, które czuł do niej Betch. Nenn nie zawsze miała łatwo. Teraz znalazła mężczyznę, przy którym czuła się piękna. To ważne. W typowym dla siebie stylu chciała pochwalić się tym światu. A przynajmniej pokazać reszcie świata, co go omija. – Mam też jedzenie – dodała.

– Nie. Potrzebuję twojej pomocy. Ale najpierw chciałem spytać, jak twój brzuch?

Nenn zmarszczyła czoło.

– Nie zjadłam niczego nieświeżego, jeśli o to ci chodzi.

– Nie. Pytam o twoje wnętrzności, za które zapłaciłem kupę forsy Saravorowi. Jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie czuję się w pełni dobrze. Nie tak jak przedtem. Poza tym nie mogę przestać objadać się papryczkami, chociaż muszę się powstrzymywać przy Betchu, ponieważ sok z moich palców może się dostać... no wiesz.

Naprawdę nie chciałem wiedzieć.

– Już cię nie boli? Nie masz ochoty strzelać do ludzi? Nic w tym rodzaju?

– Zawsze mam ochotę strzelać do ludzi – odparła. Odkorkowała butelkę, zapewne ze wspomnianą dwunastoletnią whisky, i nalała sobie nieco bursztynowego płynu.

– Pierdolę, nalej mi jednego – poprosiłem. – Ale potem musimy zabrać się do pracy. Mam przecucie, że Saravor wrócił do miasta, a jeśli to prawda, to najwyższa pora, aby znów je opuścił. W trumnie. Najlepiej w małych kawałkach.

Nenn posłała mi jeden ze swoich słynnych morderczych uśmiechów. Wiedziała, że proszę ją o pomoc tylko w zadaniach, które sprawiają jej przyjemność.

– Dobrze. Ale daj mi dziesięć minut.

– Zaczekam tutaj.

Wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz. Ale założę się, że zaczekasz na zewnątrz.

Wślizgnęła się do sypialni i już po kilku energicznych odgłosach jednak postanowiłem zaczekać na zewnątrz.

* * *

Wjechaliśmy do Ścieku na czele dwóch tuzinów ludzi. Nie da się ukryć, że było to miłe uczucie.

Wielka Iglica rzucała długi cień na Ściek. Wysoko w górze, w otwartych oknach i za niedokończonymi murami, widziałem małe zapracowane postaci. Robotnicy układali cegły i deski, nosili stalowe kable i delikatne szklane rurki oświetlenia. Nacomo był tylko chwilowym zaburzeniem, niczym więcej.

Za dnia Ściek wyglądał gorzej niż nocą. Ciemność jest wiernym kompanem brzydoty, a w mieście nie było brzydszego miejsca. Usługi komunalne wciąż nie powróciły do dawnego stanu, zresztą w Ścieku nigdy nie były na wysokim poziomie. Śmieci i ścieki zgodnie gromadziły się w koleinach i rynsztokach, szczury próbowały przerosnąć psy, a wszędzie było pełno ludzi. W okolicy kręcili się nowo przybyli, którzy z powodzeniem rozglądali się za pracą, a także mnóstwo żółtych kapturów. Wszyscy usuwali się z drogi pokrzykującym groźnie żołnierzom w czarnych mundurach.

Skreśliśmy za róg i wtedy go zobaczyliśmy. Ostatnio byłem tutaj cztery lata temu. Nie miałem powodu, aby wracać, i sam nie wiem, co spodziewałem się tutaj znaleźć. Pewnie nic.

Po oblężeniu próbowałem zabić Saravora. Po raz pierwszy w życiu usiłowałem zamordować człowieka. Saravor na to zasługiwał, nikt nie miał co do tego wątpliwości, ale ja nie byłem mordercą. Posłałem

swoich ludzi – dwudziestu grenadierów, potężnych facetów z paskudnymi uśmiechami – i rozkazałem im, żeby strzelali bez ostrzeżenia i przestali dopiero, gdy nic z niego nie zostanie. Okruch mocy Shavady, który przyswoił, to za wiele dla jakiegokolwiek człowieka. Ale moi zabójcy znaleźli tylko opustoszały dom. Saravora nie było w Valengradzie, gdy rozpoczęło się oblężenie.

Teraz wróciliśmy z dwudziestką Kaczek Nenn, a nawet z dwoma bojowymi Przędzaczami, których udało mi się pożyczyć od marszałek Davandein. Kaczki – nazwane tak w celu zakpienia z Kaczorów Davandein, które uważały się za kogoś lepszego – stanowiły wyjątkowo wyrachowaną grupę, podczas gdy Przędzarze byli młodzi i arogancy. Nie podobali mi się.

Wielka stara kamienica w ogóle się nie zmieniła. Okiennice zwisały z zawiasów, a cały budynek zapadał się do wewnątrz niczym mroczna, uschnięta staruszka zgarbiona na fotelu. Przywiązaliśmy konie na zewnątrz.

– Zauważyłaś coś dziwnego na tej ulicy? – spytałem.

– Na ziemi leży mniej gówna, niż można by się spodziewać w Ścieku – odrzekła Nenn. Spoglądała na stary dom z niepokojem. Może źle zrobiłem, że ją tutaj przyprowadziłem. Z tym miejscem nie wiązało się zbyt wiele przyjemnych wspomnień.

– Tak. Trochę tu za spokojnie.

Sprawdziłem klamkę. Kilka razy solidnie uderzyłem pięścią w drzwi. Czekałem. Niemal spodziewałem się, że w progu za chwilę stanie jedno z szaroskórych dzieci, ale nikt mi nie otworzył.

– Naprawdę uważasz, że wrócił? – spytała Nenn.

– Wszystko pasuje – odrzekłem i ponownie załomotałem do drzwi. Bez rezultatu. – Wyważcie je – poleciłem.

Jeden z grenadierów zamachnął się toporem i drzwi rozpadły się na deski, nie stawiając większego oporu. Żołnierze szybko wpadli do środka z odbezpieczonymi pistoletami i dymiącymi lontami. Nenn i ja weszliśmy jako ostatni.

W domu panował ponury nastrój opuszczenia. Pleśń zaczerniała ściany, w kątach zebrały się kałuże, a po szybkiej przechadzce po wnętrzach stwierdziliśmy, że gdzieś zniknęły półki, na których

dawniej stało mnóstwo słoje z zakonserwowanymi palcami, nosami, stopami i oczami. W rezydencji nawet pachniało pustką. Nie przyniesiono tutaj Oka.

– Prawie umarłam w tym pokoju – odezwała się Nenn. Był to zagracony sześcienny pokój, podobny do innych. Łóżko, na którym leżała, zniknęło, a w powietrzu panował chłód.

– W wielu pokojach prawie umarłaś – odrzekłem.

– Żałujesz czasem, że zawarłeś z nim układ?

– Głupie pytanie. Nigdy.

– Sądzisz, że oni w ogóle mogą być dobrymi ludźmi? Chodzi mi o Naprawiaczy.

– Nie wiem. Czy w ogóle jest więcej takich jak Saravor?

Nenn zadrżała i chyba nie pod wpływem chłodu.

– Czasami się nad tym zastanawiam. Myślę, czyje wnętrze noszę w sobie. Wyciągnął zniszczone organy, które przecięło ostrze robota. Włożył na ich miejsce nowe, a potem mnie zamknął, jakby latał płaszcz. Wiesz, co było najgorsze?

– To wszystko brzmi paskudnie.

– Przez cały czas byłam przytomna. Wszystko czułam. Unieruchomił mnie, ale czułam cięcia. Czułam, jak wycina kawałki mnie.

– Żyjesz. Tylko to się liczy.

– Pewnie masz rację.

Grenadierzy zakończyli przeszukanie.

– Niczego nie znaleźliśmy, major Nenn – zameldował sierżant. – Od dłuższego czasu nikogo tutaj nie było. Może od lat. – Nenn pozwoliła swoim Kaczkom odejść.

To miejsce przyprawiało mnie o dreszcze. Wyszliśmy przez rozbite drzwi frontowe, dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do najbliższego lokalu, w którym podawano trunki. To był sklep, który nazywał się winiarnią, co wymagało nie lada tupetu, zważywszy na rozwodnione szczynty, które podawali. Ale trunek to trunek.

– Zmarnowany poranek – stwierdziła Nenn. Rozprostowała obnażone ręce i szyję, aż rozległ się trzask stawów. – Mogliśmy zrobić wiele innych rzeczy. Cytadela chce, żebym zajęła się grupą chłopców

z południowych krain. Są zieleni jak trawa i ledwie ponad nią wyrastają.

– Dobrzy Naprawiacze. – Wróciłem do naszej wcześniejszej rozmowy. – Dlaczego o to pytałaś?

Nenn się zawahała, a w jej oczach nagle zapłonął ogień. Popatrzyła na dwóch miejscowych, którzy przystanęli, żeby pogapić się na dwoje dobrze ubranych przybyszów siedzących w tak głównianej knajpie. Zapewne odstraszałiśmy innych klientów, ale nie licząc stołu zajętego przez Jasny Zakon, w lokalu nie było tłumów, gdy przybyliśmy.

– Po prostu czasami się nad tym zastanawiam.

– Nad czym?

– A jak ci się, kurwa, wydaje? – odburknęła. – Ludzie nazywają mnie Beznosą, Ryhalcie. Myślisz, że mi się to podoba? Myślisz, że tego chcę?

– Gównu cię obchodzi, co myślą inni – odparłem. – A Betchowi się podobasz.

– Możliwe. Czasami rozmyślam, czy rzeczywiście mnie lubi, czy może traktuje jako drabinę do awansu. Nie zrozum mnie źle, doceniam dobre rżnięcie, ale wydaje mi się dziwne, że wybrał kogoś, komu brakuje połowy twarzy. Jest wiele ładniejszych dziewczyn. Nietrudno być ładniejszą, kiedy ma się nos.

– Jego to nie obchodzi. Podobasz mu się taka, jaka jesteś.

– Nikomu nie podobam się taka, jaka jestem – warknęła Nenn, a jej głos zabrzmiał ostro jak strzał z bicia. – Nawet sobie. Patrzę na poranionych mężczyzn i wcale mnie to nie kręci. Odwracam wzrok. Ukrywam to za tą drewnianą protezą, ale kiedy jestem z Betchem, ogarnia mnie strach. Boję się, że tak naprawdę on czuje do mnie odrazę. Że nie chce na mnie patrzeć.

– Mam wrażenie, że walczysz z własnymi, a nie jego demonami – odrzekłem. Pomyślałem o bliznach i poparzeniach Elizabeth i o tym, że gównu mnie one obchodziły. Mogłem o tym powiedzieć Nenn, ale Elizabeth ukrywała swoje prawdziwe oblicze przed światem i nie pokazała go nikomu poza mną. Opowiadanie o tym byłoby zdradą, nawet jeśli ona zginęła. Nawet jeśli mógłbym w ten sposób pomóc Nenn. – Miłość niełatwo znieść. Sprawia, że wątpimy w siebie

w całkowicie bezsensowny sposób. Nie spieprz sobie życia przez swój lęk przed szczęściem.

– Nie jestem szczęśliwa. Mam pierdoloną dziurę na twarzy. – Pokręciła głową z rozdrażnieniem. – Dlatego czasami myślę, że powinnam znaleźć porządnego Naprawiacza, który przytwierdzi mi nos jakiejś biednej nieżywej dziewczyny.

Nie wiedziałem, co mogę na to odpowiedzieć. Nie potrafię pocieszać ludzi. Zamiast tego poprosiłem o kolejną butelkę wina. Tylko na to było mnie stać.

– A jak ty się trzymasz, Ryhalcie? – Nenn zmieniła temat rozmowy. – Do miasta ściąga tylu członków Jasnego Zakonu. Na pewno nie jest ci łatwo.

– Nie, raczej nie.

– Wciąż śnisz o Elizabeth?

– Jeśli uda mi się zasnąć. Ale wiesz, co jest najgorsze? Chcę wierzyć Jasnemu Zakonowi. Chcę wierzyć, że ona pojawi się przy wtórze błysku i gromu. Gubernator Thierro w to wierzy. Czasami zastanawiam się, czy nie ma racji. Ale potem przypominam sobie, że przepuściła przez swoje ciało cały zapas fosu z Maszynerii i przestała istnieć. Odeszła.

– Wiem – odrzekła Nenn. – Ale ty tutaj jesteś.

– Jeszcze.

12

Dzień ustąpił miejsca wieczorowi, a ten zmienił się w noc.

Nad miastem rozległa się piękna pieśń. Pojawiła się gdzieś na granicy słyszalności i zaczęła przybierać na sile, rozbrzmiewając coraz bliżej. Stawała się głośniejsza, wysoka i nosowa, wznosząc się i opadając pozbawioną słów melodią, aż w końcu nie dało się skupić na niczym innym. Urwała się nagle, wybuchem donośniejszym niż huk jakiegokolwiek działa, jakie słyszałem.

Spadłem z krzesła, na którym drzemałem, strącając na podłogę stertę raportów i wywracając kałamarz.

– Kurwa mać! – wykrzyknąłem, częściowo dlatego, że obudził mnie potężny huk, a częściowo dlatego, że zalał mnie atrament.

Kiedy mój mózg znów zaczął kontaktować, przez jedną straszliwą chwilę myślałem, że ktoś uruchomił Maszynę. Dyszałem, leżąc w kałuży atramentu i nasłuchując odgłosów nowej apokalipsy, ale po wybuchu rozległo się tylko wystraszone szczekanie setki psów. Ostatnia lampa się wypaliła. Pewnie zasnąłem, a ta efemeryczna pieśń przeniknęła do moich snów, jeśli w ogóle była prawdziwa. Podszedłem do okna, rozmasowując zeszywniałe ramiona i kark. Sen zdołał mnie zaskoczyć i nie wyszedł mi na zdrowie.

Był środek nocy i gruba złocista Eala wisiała nad miastem. Valengrad nigdy całkowicie nie pogrążał się w mroku, ale w odległości mili, ponad dachami i kominami, dostrzegłem dziwną zielono-fioletowo-żółtą poświatę, której towarzyszyły kłęby dymu i czerwony blask płomieni. To w Stajniach, w dzielnicy cywilnej.

Zginęli ludzie.

Miasto już się zbudziło, niemowlęta, dzieci, psy, chór głosów dołączających do dysharmonijnej orkiestry strachu i paniki. Drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadła Amaira z wytrzeszczonymi

oczami i twarzą poczerwieniałą od biegu po schodach. Byłem wzruszony, że najpierw poszukała mnie, a nie odźwiernego.

– Co to, kurwa, było, panie kapitanie?! – zawołała.

– Jak ty się wyrażasz? – odburknąłem, wyładowując na niej swoje obawy. Czyżby ktoś nas zaatakował? Hałas i światła nie wróżyły niczego dobrego. Poczułem w głowie pulsujący ból, gdy moje ciało przypomniało sobie, jak je traktowałem przez ostatni tydzień, i zaprotestowało przeciwko przerwie w zasłużonym odpoczynku.

– Czy to robole? – spytała Amaira. Objąłem ją ramieniem, czując się przy tym dziwnie, ponieważ nie mam w zwyczaju nikogo przytulać, ale drżała ze strachu, a tak należy postępować z wystraszonymi dziećmi.

– Nie wiem, co to było. Może tylko jakiś wypadek, a nie robole.

Popatrzyła na mnie dużymi, przerażonymi oczami. Minęły zaledwie cztery lata, odkąd robole zburzyli mur i uczynili ją sierotą. Posłałem jej uśmiech, a ten nietypowy dla mnie wyraz twarzy najwyraźniej jej pomógł. Patrzyliśmy na unoszące się ku niebu kłęby barwnego dymu.

– Chyba powinienem sprawdzić, co się stało – powiedziałem. Amaira nie potrzebowała szczegółowych poleceń. Znalazła mój pas z mieczem, zadowolona, że może mi pomóc. Założyłem długi czarny płaszcz i zacisnąłem na nim pas.

– Wiesz, gdzie podziałem swoje buty? – spytałem.

– Zaniósłm je do czyszczenia.

– Kiedy to zrobiłaś?

– Kiedy pan zasnął.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że ona też powinna spać, ale podejrzewałem, że w moich ustach nie zabrzmiałoby to przekonująco, a poza tym wyświadczyła mi przysługę. Nieważne, skąd wiedziała, że wciąż jestem w biurze i kiedy zasnąłem. Stawaj do bitew, które możesz wygrać, uciekaj przed pozostałymi. Najlepsza lekcja, jaką kiedykolwiek odebrałem.

W kuchni znalazłem zimną kawę i zmusiłem się do jej wypicia, jakby mogła złagodzić bolesne pulsowanie wzbierające za oczami. Mój odźwierny sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Położył pałasz na kontuarze, jakby czekał na atak, i zmierzył wzrokiem długi miecz,

który miałem przy pasie oprócz standardowej broni. Nie spodziewałem się walki, ale nigdy nie zaszkodzi być na nią gotowym.

Zatrzymałem się w domu, żeby zabrać swojego fałszywego syna. Pokojówka wyglądała na uradowaną moim widokiem, a jeszcze bardziej ucieszyło ją, że zabieram Maldona.

– Ten chłopiec ma w sobie demona – powiedziała. – Jest za bystry na swój wiek i zdecydowanie zbyt wredny.

– Nie zamierzam się spierać – odrzekłem. Kobieta nie знаła nawet połowy prawdy. Demon wprawdzie został usunięty, ale Maldon nawet bez niego potrafił być równie nieprzyjemny. Poprosiłem, żeby go obudziła, a sam postanowiłem zaczekać w korytarzu.

Nigdy nie spodziewałem się, że będę mieszkał w takim domu. Dywany, szerokie schody, wystarczająco dużo pokoi, żeby zakwaterować niewielki batalion. W jadalni stał stół dla szesnastu osób, ale nigdy z niego nie korzystałem. Korytarz zdobiła ozdobna ceremonialna zbroja, którą otrzymałem w podziękowaniu za rolę, jaką odegrałem podczas oblężenia. Idealnie sprawdziłaby się na polu bitwy przed dwustu laty, ale jej czas już minął, jak w przypadku większości pięknych przedmiotów. Pewnie można z tego wyciągnąć jakąś życiową lekcję. Któregoś wieczora razem z Tnotą po pijaku wyciągnęliśmy ją na dziedziniec i strzelaliśmy do niej z pistoletów. Okazało się, że pomimo wykwintnych zdobień zbroja może napawać dumą płatnerza, który ją stworzył. Wykuto ją z najlepszej stali, a pociski tylko się od niej odbijały. To także cenna lekcja.

Maldona nie było w pokoju, który mu przydzieliłem, a pokojówka znalazła go śpiącego w piwnicy, pośród gratów, z których miał zbudować swój warsztat. Nie był zachwycony tym, że go obudziła, i chyba jako jedyny człowiek w Valengradzie przespał dziwaczną pieśń, która wciąż rozbrzmiewała mi w uszach. Cuchnął wymiocinami i miał czoło usmarowane jakimś olejem. Zacząłem się zastanawiać, czy umożliwienie mu pracy nad jego potencjalnie niebezpiecznym projektem przy jednoczesnym udostępnieniu mu piwniczki z winem to dobry pomysł, ale w końcu sam od zawsze łączę alkohol z walką i wciąż żyję.

– Miałem cudowny sen – odezwał się Maldon, najwyraźniej

rozgoryczony, że już nie śni. – Pamiętasz tamte dziewczęta, które spotkaliśmy w sklepie Enhausta?

– Nie teraz – odrzekłem. Pokojówka popatrzyła na nas z naganą.

Pojechaliśmy konno do Stajni. Sokół jest narowistym wierzchowcem, ale nie przstraszyli go hałaśliwi mieszkańcy, którzy wylegli na ulice w nocnych koszulach i płaszczach, by ze strachem rozmawiać o pieśni. Wydawało się, że zainteresowała ich bardziej niż późniejszy wybuch, a kilka osób próbowało ją powtórzyć.

Na miejscu eksplozji było pełno ludzi i ognia. Kilka szeregowych kamienic legło w gruzach. Już wcześniej widziałem budynki, które znalazły się pod ciężkim ostrzałem, podziurawione armatnimi kulami, ale to było coś nieporównywalnego. Domy nie zostały uszkodzone, po prostu zniknęły z powierzchni ziemi. Zmieniły się w sterty gruzu i połamanego drewna rozrzucone po całej ulicy. Wybuch zniszczył nawet okna w przeciwległych budynkach, a także odsłonił wnętrze sąsiedniej kamienicy, ujawniając fatalny gust jej lokatorów. Miałem wrażenie, że gruzy lekko migoczą, jakby gwiazdy zstąpiły na ziemię, by zamieszkać pośród zniszczeń.

Skądś dobiegał żałosny płacz kobiety.

Każdy, kto przebywał w zrównanych z ziemią domach, z pewnością zginął na miejscu. W powietrzu unosił się drobny pył, a pożar rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki. Drużyny złożone z radnych miejskich, żołnierzy i okolicznych mieszkańców walczyły z ogniem, tworząc łańcuchy wiader wzdłuż ulicy do pomp. Pracowali sprawnie: pożar był niewielki i mogli szybko nad nim zapanować, więc minąłem ich, żeby dokładniej sprawdzić, co się stało.

– Psiakrew, co za bałagan – odezwał się Maldon, a z jego głosu zniknął zwyczajowy chłód.

Z bliska nie widziałem barwnych zawirowań, które dostrzegłem z daleka, i zacząłem się zastanawiać, czy to nie był jakiś potężny wypadek. Gdybym nie usłyszał pieśni, uznałbym, że pewnie wybuchł magazyn prochu, co doprowadziło do zniszczenia czterech domów. Ciała mieszkańców wciąż były pogrzebane pod gruzami. Co prawda potrzeba byłoby mnóstwo prochu, żeby spowodować takie zniszczenia, a to była ulica mieszkalna, nie wojskowy skład, ale

zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Maldon węszył w powietrzu jak gończy pies.

– Skądś znam ten zapach – oznajmił.

– Nie czuję żadnych materiałów wybuchowych – odrzekłem. Wybuchowy proszek ma specyficzną woń, którą od zawsze lubię, po części dlatego, że robole nie używają broni prochowej. Ich technologia jest znacznie bardziej zacofana. Ale tutaj nie wyczuwałem tej woni. Maldon wywęszył coś innego. Przeprowadziłem go, ponieważ potrzebowałem jego wyjątkowego obeznania w mrocznych i niewyjaśnionych sprawach.

– To nie była broń prochowa – stwierdził. – Ktoś użył magii.

– Przędzacz?

– Nie. Nawet dobrze wyszkolony bojowy Przędzacz nie dokonałby czegoś takiego, przynajmniej nie bez wysiłku.

Poczułem, że ciśnienie w mojej głowie rośnie, i próbowałem pozbyć się tego uczucia, mrużąc oczy.

– Elizabeth mogłaby to zrobić – odparłem. Maldon parsknął.

– Pewnie tak, ale ktoś taki jak ona pojawia się rzadziej niż skrzydła u świni. Nawet gdybym był w pełni sił i dysponował dziesięcioma pojemnikami, miałbym problemy z dokonaniem takich zniszczeń.

Próbowałem wyczuć to samo co on, ale nie docierało do mnie nic poza wonią kamieni, nocy i smutku.

– To były same cywilne budynki – zauważyłem. – Nic szczególnego czy ważnego. Nie wiem, kto tutaj mieszkał, ale wystarczy popatrzeć na tę ulicę, aby stwierdzić, że wszyscy razem byli warci mniej, niż kosztował ten atak. Jedno jest pewne: nie da się zorganizować czegoś takiego małym kosztem, niezależnie od tego, czy używa się prochu, fosu, czy jakiejś innej mocy.

Staliśmy i patrzyliśmy na uwijających się ludzi gaszących pożar. Skutecznie wykonywali swoją pracę. Niektórzy płakali za swoimi sąsiadami, podając sobie wiadra, a może to były łzy rozpacz i bezsilności. Widziałem współpracujących ze sobą ubranych na czarno żołnierzy z cytadeli, prywatne jednostki w niedopasowanych mundurach oraz członków Jasnego Zakonu w żółtych kapturach. Valengrad potrafi zjednoczyć się w obliczu kryzysu, przynajmniej

wtedy, gdy chodzi o powstrzymanie pożaru.

Zsiadłem z konia i podszedłem do gruzów, kaszłąc od pyłu unoszącego się w powietrzu. Gruzy migotały i połyskiwały jak suknia balowa z cekinami, i chociaż ktoś ostrzegł mnie, żebym się nie zbliżał, nie wyczuwałem żadnego zagrożenia ze strony zburzonych budynków. Światło odbijało się od jakiegoś niewielkiego przedmiotu, mrugając do mnie z ciemności. Przyklęknąłem, podniosłem go i obróciłem w dłoni. Był gorący, choć nie na tyle, żeby parzyć, ale nie miałem ochoty trzymać go zbyt długo. To był kawałek matowego kryształu o żółtawym odcieniu. Rozejrzałem się wśród strzaskanych dachówek, belek i cegieł, wypatrując innych rozbłysków, i wkrótce znalazłem kolejny fragment kryształu, postrzępiony i długi na palec.

– Co to, kurwa, jest? – mruknąłem. Kiedy Maldon do mnie dołączył, podałem mu jeden z przedmiotów.

– Wygląda jak zwykły kryształ górski – odrzekł. Przytrzymał go przed twarzą, jakby mógł widzieć przez szal zakrywający oczy. Czy to tylko odruch, czy coś więcej? To z pewnością były kryształy górskie. Ciekawe, skąd, u diabła, wzięły się w gruzach. Okolica była nimi usiana. Nie były wiele warte, ot, zwykłe błyskotki, jakimi bawią się dzieci. Z pewnością nie miały właściwości wybuchowych.

Kryształy potwierdzały wniosek Maldona. To nie był wypadek w magazynie prochu. Ktoś ponosił odpowiedzialność za to, co się tutaj stało. Ktoś musiał za to zapłacić.

Zostałem na miejscu, aż ugaszono pożar, a robotnicy o brudnych twarzach zaczęli kopać. Niektóre belki były tak ciężkie, że trzeba je było odciągać końmi, ale większość rozpadła się na kawałki, dzięki czemu robotnicy w małych grupkach mogli je usuwać ręcznie. Pierwsze znalezione zwłoki należały do nastoletniego chłopca. Koc, pod którym umarł, miał czarno-czerwony kolor. Chłopca nie dało się rozpoznać, miał zmiażdżoną czaszkę, a chociaż stojąca w pobliżu staruszka zawodziła i rwała włosy z głośy, spotkał go miłosierny los: przynajmniej szybko zginął. Zmusiłem się, by nie odwrócić wzroku, gdy robotnicy przykryli go zakrwawionym kocem.

Nie rozumieli, co się stało, nikt nie rozumiał. Valiya wiedziała, na czym polega ta potrzeba patrzenia i podsycania gniewu, który rodzi

chęć walki. Widziałem przerażający żal na twarzy tej staruszki. Zmusiłem się do słuchania jej zawodzenia. Pierdolić sen. Pierdolić wystraszone spojrzenia ludzi, pierdolić brak szacunku ze strony ślepowronów i arystokratów. Właśnie z tym walczymy: z okrutną i bezlitosną śmiercią. Jak, u diabła, mogę spać, skoro na świecie panuje taka ciemność? Elizabeth się jej sprzeciwiała. Stawiała jej czoło, pokazywała nam drogę. Ale już odeszła, została zniszczona, pozostał po niej tylko szept w świetle. Teraz to moje zadanie. Nikomu nie ufam na tyle, by przekazać tę odpowiedzialność.

Trzy godziny po pierwszym wybuchu nad miastem zabrzmiała kolejna pieśń.

Tym razem usłyszałem ją wcześniej. Początkowo była cicha, ale potem gwałtownie przybrała na sile. Podniosłem wzrok, wypatrując źródła ten niezemskiej pieśni gdzieś ponad Nieszczęściem. Było w niej surowe, obce piękno, lecz wyczułem więcej niż jeden falujący głos, aż wreszcie ujrzałem coś na niebie. Najpierw pojawiło się słabe, dalekie światło. Takie same pastelowe odcienie fioletu, zieleni i żółci, migoczące razem w jaśniejącej kuli, początkowo malutkiej jak gwiazda, ale z czasem coraz większej. Kula przemknęła obok pęknięć na niebie, jakby stale przyśpieszając. A potem się obniżyła. Już nie była tylko zjawiskiem na niebie, ale opadała coraz niżej i niżej ku miastu. Przez chwilę z przerażeniem pomyślałem: „Ona przychodzi po mnie”, ale potem spadła gdzieś indziej. Rozległ się huk wybuchu, gdy zetknęła się z ziemią, a iskry i barwne światła wystrzeliły w niebo.

– O ja pierdolę – powiedziałem.

Maldon zakrył sobie uszy dłońmi, aby nie słyszeć płynącego ulicami echa pieśni.

– Ach! Moja głowa! – wykrzyknął. – Moje uszy, kurwa! Ten dźwięk mnie pali.

Zatoczył się i upadł na kolana. Położyłem mu dłoń na ramieniu, ale ją strącił. Cokolwiek Shavada zrobił z jego ciałem i mózgiem, Maldon był nadwrażliwy na magię. A to, co zobaczyliśmy, z pewnością było magią, którą ktoś ciskał w naszą stronę ponad Nieszczęściem.

Przeszedł mnie straszliwy dreszcz. Musiałem zacisnąć zęby, aby wytrzymać nagły przyływ niepewności i lęku. Żaden czarownik nie

ma takiej mocy. Co innego Królowie Głębi, ale wolałem nie myśleć o takiej możliwości.

Olbrzymie litery na murach cytadeli zajaśniały czerwienią w ciemności. Zniknęło wezwanie ODWAGI, a zastąpiły je słowa RADA DOWODZENIA WZYWA. Ostatnio widziałem takie hasło, gdy Shavada przypuścił atak na mury, i pamiętałem, jak fatalnie skończyło się to dla członków rady.

Nagle pieśń zabrzmiała ponownie. A potem jeszcze raz. Zanim noc się skończyła, na ulicach zapanowała panika.

* * *

Rano oszacowano liczbę ofiar na sto siedemdziesiąt osiem. Pociski roboli zabijały na oślep. Jeden z nich trafił w spichlerz, wywołując zapłon mącznego pyłu, co pięciokrotnie zwiększyło siłę wybuchu, i ulica Dziesiąta legła w gruzach. Domy, sklepy, zagrody zwierząt – płonące pociski spadały w całym mieście, najwyraźniej uderzając w przypadkowe cele. Groza wbiła się w miasto jak nóż.

Robole wystrzelili dwadzieścia siedem pocisków, a każdy poprzedzała pozbawiona słów pieśń. Szesnaście spadło przed albo za miastem, wybuchając na niedawno zaoranych polach albo wzbijając w niebo potężne obłoki cuchnącego pyłu z Nieszczęścia. Ale jedenaście trafiło w Valengrad, a każdy z nich spowodował chaos. Żołnierze próbowali utrzymywać porządek, ale nie potrafili ochronić nikogo przed spadającymi kulami śmierci.

Jeden z pocisków opadł łukiem ku cytadeli. Zanim zdołał uderzyć w projektory Maszynerii Nalla, wybuchł w powietrzu, jakby zderzył się ze ścianą twardego powietrza. Większa część Maszynerii znajdowała się pod ziemią, ale Nall zapewnił swojemu urządzeniu ochronę. Patrzyłem na płomienie buchające z balkonu na czwartym piętrze cytadeli, zastanawiając się, czy ochronie podlega cały budynek, czy tylko sama Maszyneria.

– Potworne – stwierdziła Nenn, spoglądając na tuzin pożarów w całym mieście. Niełatwo było ją zaszokować. – Co za barbarzyństwo

– wycedziła przez zęby. – To nie jest wojna. Tak nie powinna wyglądać wojna.

– Królowie Głębi nie przejmowali się cywilami podczas oblężenia – odrzekłem. – Niby dlaczego teraz miałiby zacząć to robić? Nie odzywali się od czterech lat, ale wiedzieliśmy, że to nie potrwa wiecznie. Nie będą zadowoleni, dopóki nie zniszczą nas wszystkich. Odpoczynek dobiegł końca.

Pomyślałem o Wroniej Stopie i jego Sercu Pustki oraz o tym, co zrobił z mieszkańcami Clear, Adrogorska oraz wszystkich miasteczek i wiosek, które znajdowały się w pobliżu. Co zrobił ze światem, a nawet z niebem.

– Przed tym nie da się obronić – powiedziała Nenn. – Co możemy zrobić?

Dobre pytanie.

– Przetrywamy – odezwał się Betch. Przystojny kapitan czule objął Nenn, ale ona odtrąciła jego rękę. Nie chciała pocieszenia. Była zbyt rozdrażniona i wściekła, a kiedy budzi się w tobie żądza mordy, pocieszenie jest jak ocet lany na ranę. Oparła się o balustradę i paliła, złowrogo wpatrując się w niebo. Już się uspokoiło, a czerwony świt rozpełzał się po horyzoncie nad Nieszczęściem. Pęknięcia na niebie przez całą noc się nie odzywały, nasłuchując nowej symfonii terroru.

– Wiele pytań domaga się odpowiedzi – rzekłem. Ale w głębi serca wiedziałem, że cokolwiek się dzieje, nie mam nad tym kontroli. Czymś takim powinna się zająć cytadela, nie Czarnoskrzydli.

– Marszałek wymyśli jakiś plan – stwierdził Betch.

– Możliwe. Na razie mamy szczęście, że przeżyliśmy. Nie każdy może to powiedzieć.

Sto siedemdziesiąt osiem osób. Postradane życie, ambicje i marzenia. Biedacy pewnie nawet nie wiedzieli, co ich czeka. Kule nie spadały bez ostrzeżenia, ale nikt nie potrafił przewidzieć, gdzie uderzą.

Davandein pracowała ze swoimi dowódcami przez całą noc, ale w końcu znalazła czas, by się ze mną spotkać, kiedy niebo zmieniło kolor z rumianego na błękitny. A przynajmniej na tyle błękitny, na ile to się zdarza nad Nieszczęściem. Nie widać było po niej, że w nocy nie

zmrużyła oka, zajmując się niespodziewanym atakiem. Miała na sobie plisowaną spódnicę, która opadała aż do krótkich butów na obcasie, oraz wojskowy płaszcz z naramiennikami otoczonymi wzorem ze złotych i srebrnych czaszek oraz kółek zębatach. W jej uszach lśniły czarne opale. Połączenie najnowszej mody z wojskowym pragmatyzmem.

– Niech się pan streszcza, komandorze – powiedziała. – Nie muszę panu mówić, jak dużo mam do zrobienia, a to nie jest jedno z pańskich polowań na potwory.

– Racja, ale może się nim stać – odparłem. Urządziła dawny gabinet Venzera w surowym, eleganckim stylu, ale kiedy popatrzyłem na belkę, z której wykonał swój ostatni skok, niemal dostrzegłem jego wiszące pomarszczone stare ciało. Odwróciłem wzrok.

– Jak to?

– Kult rozprzestrzenia się wśród ludzi za sprawą dwóch rzeczy. Pierwszą jest nadzieja. Marzenie, że istnieje coś lepszego, że Królowie Głębi tak naprawdę są pięknymi bogami. Drugą z tych rzeczy jest strach. Kiedy ludzie stwierdzą, że są skazani na porażkę, staną po stronie diabłów rodem z najciemniejszych piekieł, byle tylko zyskać szansę. Taki jest cel tego ostrzału.

– On powoduje znacznie większe zniszczenia – odparła Davandein.

– Zniszczenia są nieistotne. Około dwustu ofiar, mimo że byliśmy nieprzygotowani. Jeśli stać ich tylko na zabicie dwóch setek, to spróbują powalić dąb, posyłając mysz, aby przegryzła korzenie.

– Jeśli będziemy tracić dwieście ofiar każdej nocy, z czasem upadniemy, tak jak dąb pod wpływem uderzeń siekiery – odpowiedziała ostro Davandein. W głębi serca była zapalczywą kobietą. Traktowała porażki osobiście.

– Zaskoczyli nas. Sytuacja wygląda źle, zdaję sobie z tego sprawę. Ale jeśli spróbują tego samego dzisiaj w nocy, nasi bojowi Przędzarze staną na cytadeli, gdzie są chronieni, i postarają się strącić kule, zanim te dotrą do miasta. Możemy ostrzec ludzi, aby ukryli się w piwnicach.

– Jeśli to nie była tylko próba – odrzekła Davandein z ponurą miną.

– Możliwe, że to dopiero początek. Jutro może nas czekać setka takich ataków. Może zobaczymy ich tysiąc. Niewykluczone, że tylko ustawiali

zasięg, nie pomyślał pan o tym?

– To nie należy do moich zadań, pani marszałek. Moja praca polega na zadbaniu o to, aby te wydarzenia nie pchnęły ludzi w stronę Kultu Głębi. Jeśli ludzie będą się bali, że nie zdoła ich pani obronić, zwrócą się w stronę tych, którzy są do tego zdolni, nawet jeśli ich obietnice zbudowano na piasku. Dzisiaj już zabiłem jednego zdrajcę. Albo damy ludziom nadzieję, albo wkrótce nie będzie potrzebna Panna Młoda, by zmienili front.

Davandein przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Chcę, żeby ludzie odebrali właściwy komunikat. Wszystkie główne gazety muszą być po naszej stronie i bombardować dobrymi wiadomościami. – Pokiwała głową. – Właśnie tak. Powiemy mieszkańcom, że nasi Przędzarze powstrzymali ponad połowę kul. Pokrzepimy ich opowieściami o dzieciach ocalonych z gruzów przez dzielnych ochotników. Sprawimy, że poczują wdzięczność. Pokażemy im, że nas potrzebują.

Byłą silną i dumną kobietą i bolała ją śmierć ofiar ataku. To mogło być niebezpieczne, ale musiałem podziwiać jej pragmatyzm.

– Zajmę się tym – odrzekłem. – Niech mi pani da pieczęć cytadeli, a dopilnuję, żeby gazety opowiadały takie historie, jakie chcemy przekazać.

– Pieczęć cytadeli? Chce pan otrzymać licencję na robienie wszystkiego, czego pan zapragnie?

Nagle przestał mi się podobać jej ton.

– Czy już jej nie posiadam? – spytałem. Popatrzyła mi w oczy, a ja nie odwróciłem wzroku. Davandein wiedziała, kim naprawdę są Czarnoskrzydli i co mnie łączy z Wronią Stopą. Tę tajemnicę przekazywano każdemu nowemu marszałkowi w chwili objęcia urzędu. Miała na tyle rozsądku, by nie proponować zwrócenia się o pomoc do mojego mistrza. Zdawała sobie sprawę, że to nie działa w ten sposób.

– Proszę się tym zająć. – Odsunęła jedną z szuflad w ogromnym starym biurku Venzera i rzuciła mi kawałek mosiądzu z wyrytymi po jednej stronie insygniami cytadeli. – Ale kiedy drukarze już będą śpiewali naszą pieśń, chcę to dostać z powrotem.

– Musimy ustalić, skąd pochodzi ogień spadający z nieba – odrzekłem.

– Wysłałam do Nieszczęścia wszystkie oddziały – burknęła Davandein – ale to jest jak szukanie zagubionego włoska w stadzie owiec.

– Ma pani na miejscu Gurlinga Strachta? – spytałem. Stracht był naszym najlepszym zwiadowcą. Rzadko bywał w mieście, ale niedawno natknąłem się na niego w barze. Davandein pokiwała głową. – Niech się wybierze do Kryształowego Lasu. Na miasto spadły kawałki czegoś, co wygląda jak kryształ górski, a ten w Nieszczęściu występuje w niewielu miejscach. Las to jedno ze stałych miejsc, ale znajduje się daleko od granicy. Tam zacząłbym poszukiwania.

– Tak zrobię, dziękuję, kapitanie Galharrow – odrzekła marszałek krótko, ale widziałem, że jest wdzięczna za wskazówkę, chociaż nie prosiła o pomoc. Uznawała jej przyjęcie za oznakę słabości, nawet jeśli chodziło o tak niepewny trop jak Kryształowy Las. Ale nie miałem lepszych pomysłów, a nikt inny nie mógł jej pomóc.

– Otrzymała pani jakąś odpowiedź od Pani Fal? – spytałem, zmieniając temat. Pani jako jedyna z Bezimiennych na stałe przebywała w mieście, dzięki czemu mogliśmy się z nią kontaktować, gdy potrzebowaliśmy wsparcia. Zakładałem, że Davandein wysłała jej wiadomość.

– Taką jak zwykle. Jej kapłani twierdzą, że obecnie jest uśpiona, cokolwiek to, u diabła, znaczy. Księżę Pyre nie spróbuje jej obudzić z tak błahego powodu jak dwustu martwych obywateli. – Marszałek pokręciła głową. – Jesteśmy zdani na siebie, jak zwykle.

– Oczywiście, że tak – zgodziłem się. – Zawsze jesteśmy zdani na siebie. Nawet kiedy oni są wśród nas.

13

Dzień był zimny, ale deszcz ustał. Drobną łaską dla tych, którzy wydobywali ciała z gruzów.

Domyśliłem się, że wraz ze świtem powróci bezpieczeństwo. Noc przyniosła grozę, a wschód słońca pokazał, że nasze zwyczajne życie wciąż trwa i wygląda tak samo jak przedtem. Przynajmniej dla tych, których domy pozostały nienaruszone. Trzeba było upiec chleb, odetkać rynny, kieszonkowcy nadal sięgali do kieszeni, a bankierzy liczyli cudze pieniądze.

Pojawiły się pasożyty, handlarze i oszuści żerujący na ludzkich lękach. Wydałem Casso i kawkom wyraźne polecenie: nie tolerujcie podżegania do buntu. Nie wdawajcie się w dyskusje. Rano odwiedziłem cztery największe drukarnie i sprawdziłem, co zamierzają wypuścić. Zmieniłem nagłówek GROZA Z NIEBA na ROBOLE PUDŁUJĄ PIĘĆDZIESIĄT DWA RAZY. To nie była prawda, ale gazety nie muszą jej przekazywać. Redaktor miał pretensje, gdy poleciłem mu spalić pierwszy tysiąc egzemplarzy, na których tusz jeszcze nie wysechł, ale kiedy wytłumaczyłem mu, czym jest „zarabianie na działalności wywrotowej” w kontekście białych cel i konfiskaty majątku, dał się przekonać.

Moje dochodzenie utknęło w martwym punkcie. Nikt nie mówił o niczym poza śmiercią, która spadła na nas z nieba, tymczasem wciąż musiałem odnaleźć zagubione Oko Króla Głębi. Wiedziałem, kto je zabrał, ale wcale nie czyniło to mojego zadania łatwiejszym, i chociaż Casso próbował wywęszyć Saravora, jak dotąd nie wpadł na żaden trop.

Kiedy nadeszła noc, znów potwornie rozboleła mnie głowa. Niby nic nowego, ale tym razem wyjątkowo było to po mnie widać.

– Wyglądasz, jakby ktoś przeciągnął cię przez piekła – zauważyła

Valiya. – Przynieść ci coś na sen?

– Żadnych mikstur ani środków wzmacniających – odparłem. Popatrzyłem na fioletowe plamy wokół paznokci, które wbrew oczekiwaniom nie zbladły. Niedobrze.

– To może coś mocniejszego? – Valiya postawiła na blacie butelkę wódki i dwa kieliszki. – Pędzą ją w moim rodzinnym mieście i podejrzewam, że nieprędko przywiozą nową dostawę, skoro z nieba spada ogień. Pomyślałam, że docenisz ten gest.

Usiadła naprzeciwko, napełniła kieliszki i wychyliła swój. Wódka była łagodna, lekko cytrynowa. Piliśmy i rozmawialiśmy o poszczególnych ślepych tropach w naszych poszukiwaniach Oka, kolejno je odrzucając, aż w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że uważam Valiyę za równą sobie.

– Nie uważasz, Ryhalcie, że to bombardowanie skłania człowieka do refleksji?

– Mnie raczej zniechęca do myślenia – odrzekłem. – Masz coś konkretnego na myśli?

– Kilka rzeczy.

Zawahała się. Straciła pewność siebie, a może przygotowywała się do powiedzenia czegoś ważnego. Byłem zbyt ślepy, żeby zrozumieć, co to było. Położyła rękę na mojej dłoni.

Jej dłonie jak na kobietę nie były drobne, ale i tak dwukrotnie mniejsze od moich. Miała znacznie bledszą skórę, a przecinające ją tatuaże sprawiały wrażenie kunsztownych, podczas gdy czaszki szczerzące się na mojej dłoni były wyblakłe i prymitywne. Miała ciepłą rękę.

Żadna kobieta nie dotykała mnie w tak rozmyślny sposób od dnia, gdy spaliliśmy świat. Od czasu, gdy Elizabeth i ja leżeliśmy razem w zimnej głębi serca Maszynerii. Pomyślałem o niej, przypomniałem sobie jej twarz. Nie śliczną, siedemnastoletnią twarz, która kiedyś mnie oczarowała, lecz pokrytą bliznami, z napiętą i poranioną skórą po jednej stronie i zmarszczkami wokół drugiego oka. Była jedynym, co naprawdę kochałem, oprócz butelki. Uświadomiłem sobie, że mój język znieruchomiał, a krtań mocno się zacisnęła.

– Wkrótce zapadnie zmrok – powiedziała Valiya.

– Rzeczywiście.

– Sądzisz, że pieśń ponownie zabrzmie? Że spadnie ogień z nieba? Tak to ludzie nazywają.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie – odrzekłem, ale myślami byłem daleko. Gdyby spadł tylko jeden pocisk albo najwyżej garstka, nie spodziewałbym się kolejnego ataku, ale wrogowie strzelali dwadzieścia siedem razy, z zatrważającą regularnością, raz za razem, co świadczyło o metodycznym przygotowaniu i planie.

– To skłania do refleksji, nie uważasz? – powtórzyła.

– Nad czym?

– Nad tym, że możemy w każdej chwili umrzeć. Zniknąć w mgnieniu oka. Nie sądzisz, że to pozwala spojrzeć na wszystko z nowej perspektywy?

Podniosła na mnie jasne, pełne życia oczy, w których nie było ognia ani śmierci. Odwróciłem dłoń i ścisnąłem jej palce. Miałem wrażenie, że idealnie pasują do moich.

– Nikt z nas nie ujdzie z tego życia żywcem – odpowiedziałem. Co za beznadziejny komentarz. Nic lepszego nie przyszło mi jednak do głowy.

– Zaczynam rozmyślać o wyborach, których dokonujemy. O tym, jak postanawiamy spędzać czas. Jak go marnujemy.

Nie odpowiedziałem. Czułem, że powinienem, ale tego nie zrobiłem. Cztery lata nie złagodziły bólu, jaki towarzyszył mi od śmierci Elizabeth. Cztery lata świadomości, że ona wciąż tam jest, pogrzebana w świetle. Zawiodłem ją, pozwoliłem, by zniszczyła siebie, i nie mogłem jej ocalić. Próbowałem zamknąć te drzwi, zagłuszyć wspomnienia pracą i piciem. Tnota stale mi powtarzał, abym zapomniał. Ale nie potrafiłem zapomnieć.

Wzdrygnąłem się i odsunąłem.

– Powinnaś już iść.

Przez chwilę milczała, a potem wstała i odeszła. Obejrzała się w progu, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale odwróciłem się do niej plecami i drzwi wkrótce się zamknęły. Być może na zawsze.

14

Obawiałem się nadejścia nocy.

– Masz zejść do piwnicy i tam zostać – poleciłem Amairze.

Nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Tylko głupiec drażni nastoletnią dziewczynę. Nie jesteśmy przygotowani na ich furię.

– Nie podoba mi się tam. Śmierdzi i jest zimno.

Mógłbym jej zaproponować, żeby przenocowała w moim niekochanym domu, ale wolałem wybrać bitwę, w której miałem choćby niewielką szansę na zwycięstwo.

– Przyniosę ci kilka koców – odrzekłem. – Tam jest bezpieczniej. Nie ochronię cię przed pociskami spadającymi z nieba, ale budynek może to zrobić.

– A jeśli budynek zawali mi się na głowę? – spytała.

– Wtedy cię odkopię.

– Obiecuje pan?

Nie należy składać obietnic dzieciom. Dorośli przeżyli dziesiątki rozczarowań, rozumieją więc, że okoliczności się zmieniają, a obietnica w najlepszym wypadku jest potwierdzeniem naszych zamiarów w danej chwili. Dziecko zapamięta, co mu obiecałeś, choćby przeminęło siedem piekieł, i nigdy nie uwolnisz się od jego oczekiwań, które spętają cię jak łańcuchy.

– Obiecuje – odrzekłem. – Obronię cię. Obiecuje.

Ja także w to wierzyłem, gdy prowadziłem Amairę do piwnicy. Zazwyczaj nocowała samotnie w kwaterach dla służby na tyłach biura, ale bezpośrednie trafienie ogniem z nieba może zburzyć budynek i zabić każdego, kto się pod nim kryje, dlatego piwnica skuteczniej chroni przed odłamkami lub trafieniem.

Pozostawiłem na stole kilka przedmiotów, które dla niej przygotowałem. Talerz ciastek z rodzynkami, kufel słabego piwa

i fosową latarnię, na wypadek gdyby bała się w nocy. A także książkę z rysunkami dzikich zwierząt i egzotycznych zamorskich stworzeń.

– Zostań tutaj do rana, niezależnie od tego, co usłyszysz – poleciłem.

– A jeśli rozlegnie się pieśń, schowaj się pod stołem. Meara siedzi w recepcji i wie, że tutaj jesteś. Przyjdzie po ciebie, jeśli będzie trzeba.

Niczego dzieciom nie obiecuj ani się do nich nie przywiązuaj. Albo umrą, albo wyrosną na ludzi, których nie chciałbyś znać.

– Panie kapitanie, boję się.

Przez chwilę się wahałem. Prawie zawróciłem.

– Zostań tutaj – powtórzyłem, po czym wyszedłem, pozostawiając ją w towarzystwie latarni.

* * *

Tej nocy nadleciało tylko trzynaście pocisków. Dwa spadły w Nieszczęściu, trzy poleciały za daleko, a dwa rozbiły się o tarcze chroniące Maszynerię, ale reszta spowodowała spore zniszczenia. Przędzarze, których Davandein rozmieściła na dachu cytadeli, próbowali je zestrzelić, ale poruszały się zbyt szybko, a jeśli nawet w nie trafiali, nie przynosiło to żadnego efektu.

Rankiem oszacowano, że zginęło od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu osób. Nie tak wiele jak pierwszej nocy, ale to i tak sporo trupów. No i sporo strachu.

Kiedy jechałem przez miasto następnego dnia, w powietrzu wyczuwałem napięcie gęstsze niż smog. Zakłady usługowe były pozamykane, a ludzie stali na ulicach, wpatrując się w niebo, jakby chcieli się upewnić, że już po wszystkim. Na rogach ulic pojawili się czarnowidze, którzy głosili, że nadeszła ostateczna bitwa. Powinienem ich później zatrzymać, ale byłem zbyt wyczerpany, żeby zapamiętać twarze.

Pośród pesymizmu i nastroju porażki rozbrzmiewał pojedynczy pozytywny głos. Mężczyzna w średnim wieku ubrany w cytrynowy płaszcz wdrapał się na skrzynię; towarzyszyły mu dwie atrakcyjne wiejskie dziewczyny z naręczami ulotek.

– Przyjaciele, nie lękajcie się nocy! – wołał do tłumu, który zgromadził się, aby go wysłuchać. Mówił z akcentem z Whitelande, był więc miastowy. – Mroki przeszłości spłoną. Owszem, cierpieliśmy tej nocy, ale czy jakiegokolwiek dobro rodzi się bez cierpienia? Jasna Pani nadchodzi, wyciąga do nas rękę, a gdy się pojawi, stawi czoło Królom Głębi i odeśle ich do najciemniejszych piekieł, z których pochodzą. Jej wierni odniosą zwycięstwo, a ona nagrodzi tych, którzy za nią podążają. Kto z was ją widział?

Mężczyzna z wyczekiwaniem popatrzył na zgromadzonych. Nikt się nie odzywał. Przez chwilę czułem wariacką chęć, aby podnieść rękę. Ktoś inny to zrobił.

– Ja ją widziałem. Ukazała mi się w świetle. Piękna kobieta, młoda, pełna mocy. Wyciągała rękę, sięgając po sprawiedliwość! Powiedziała mi, że nadchodzą jej świadkowie! – Dobrze przygotowana i wyraźnie wygłoszona przemowa. Facet został podstawiony, żeby odegrać swoją rolę. Zapewne powtarzają to przedstawienie w każdej dzielnicy.

– Niech będzie chwała, prawdziwa wizja! – ogłosił mówca. – Kiedy tylko rozpoczęły się nasze kłopoty, świadkowie postanowili przybyć do Łańcucha, by ochronić was przed grozą pękniętego nieba. Pęknięte niebo pluje na nas piorunami, ale świadkowie staną się waszą tarczą. Najwyższy Świadek poprzysiągł was bronić.

– Co niby zrobią? Odgrodzą niebo?! – odkrzyknął ktoś mniej zdyscyplinowany.

– Świadkowie władają mocą Jasnej Pani – oznajmił mówca i dla podkreślenia swoich słów wskazał palcem niebo. – Nie są jak ci słabi i niewyszkoleni nieudacznicy zatrudnieni przez cytadelę. Każdy ze świadków jest błogosławiony, wybrany, skuteczny. Co robią księżęta, by was chronić? Żeby was strzec? Czy proponują wam schronienie w swoich eleganckich marmurowych komnatach? Jaki macie pożytek ze swoich podatków? Podatków, przez które macie poparzone dłonie, obolałe nogi i pokrzywione plecy?

Ciekawa zmiana tonu, która przemówiła do gapiów. Zobaczyłem, że wielu z nich zaczęło kiwać głowami.

– No dobrze, dosyć tych bzdur – powiedziałem w końcu, przepychając się przez tłum. Ludziom nie podobało się, że ich

popycham, ale niewiele mogli na to poradzić.

– A pan to kto?

– Kapitan Galharrow z Czarnoskrzydłych. – Nie rozpoznał munduru, ale zrozumiał, co to znaczy. Przez ostatnie kilka lat zyskałem nie lada reputację. Mówca wyprostował się, ale nie sprawiał wrażenia speszonego.

– Miło poznać tak szlachetnego sojusznika w naszej walce z wrogiem. – Wyciągnął do mnie rękę. W tym samym momencie ziemia lekko poruszyła się pod moimi stopami, a niskie dudnienie oznajmiło nadejście kolejnego wstrząsu. Ludzie chwytali się wszystkiego, co mieli pod ręką, aby nie upaść. Przykucnąłem i czekałem, aż wstrząs minie. Nie był silny, ale z pobliskich domów dobiegł trzask tłuczonych naczyń. Kaznodzieja Jasnego Porządku stracił równowagę i jego pomocnice musiały go podtrzymać.

– Nie wchodź więcej na tę skrzynkę, tylko spieprzaj – rzuciłem, kiedy wstrząsy ustały. – Wszyscy wracajcie do pracy, zamiast słuchać tych bzdur o Jasnej Pani! – odezwałem się podniesionym głosem. – Zajmijcie się czymś pożytecznym. Jeśli nie macie nic lepszego do roboty niż stać tutaj i wysłuchiwać obietnic utkanych z wiatru, to chętnie wyślę kogoś do pogłębiania kanałów.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, gdy tylko usłyszeli słowo „Czarnoskrzydli”, ale teraz wyraźnie przyśpieszyli.

– Nie robimy nic złego, panie dowódcu – odrzekł miastowy żalonym tonem. Poprawił kołnierz cytrynowego płaszcza. – Daję ludziom nadzieję. Powinien mi pan przyklasnąć.

– No cóż, nie mam w zwyczaju klaskać, chyba że kajdanami. Wynocha, zanim uznam, że nie podoba mi się, jak na mnie patrzysz.

* * *

Ataki powtarzały się przez kolejne dwie noce. Wojna z Królami Głębi zazwyczaj toczyła się w Nieszczęściu i miała postać niewielkich potyczek pomiędzy dalekobieżnymi patrolami, sto mil od cywilizacji. Królowie Głębi nie zdołali zadać ciosu Łańcuchowi od czasu, gdy

Shavada bezpośrednio zaatakował Valengrad. Teatr, w którym oglądaliśmy absurdalne przedstawienie, stracił dach. Wielka Iglica również została trafiona, ale jej spawany łożem rdzeń miał głębokie fundamenty, więc wieża jako jedyna budowla w mieście oparła się pociskowi. W powietrze wyleciały jeden z barów, sklep warzywny oraz kolejne domy. Było ich coraz więcej.

Nie wiedzieliśmy, jak oni to robią. Nie wiedzieliśmy, który z Królów Głębi wyśnił ten koszmar, aby nas nękać. Nie wiedzieliśmy, co chciał osiągnąć. Ale pociski spadały, miasto płonęło, a ludzie ginęli. Nasza ignorancja nie zapewniała nam ochrony.

Piątej nocy udałem się na mury, żeby zobaczyć się z Nenn i pooglądać sztuczne ognie, ale żadne się nie pojawiły. Syrena ani razu nie zawyła i śmierć nie spadła na nas z Nieszczęścia. Kolejna noc również była spokojna i zaczęliśmy wierzyć, że cokolwiek to było, już się skończyło.

Siódmej nocy ponownie rozległa się przeszywająca pieśń, a jej powrotowi towarzyszył zgrzytliwy jęk syreny. Tej nocy zginęło dwieście dwanaście osób. Łączna liczba ofiar przekroczyła tysiąc. Kolejne trzęsienie ziemi, które targnęło miastem, doprowadziło do zawalenia się gospody, w której ludzie ukrywali się przed pociskami. Niektórzy zdołali się wydostać, ale nie wszyscy.

Ludzie zaczęli uciekać z miasta.

Najpierw pozamykano niektóre sklepy, a potem najbardziej eleganckie ulice ucichły. Ludzie nie przychodzili do pracy, nie rozpalano w piecach. Część mniej doświadczonych rekrutów zdezerterowała w nocy, a ci, którzy mogli zapakować cały swój majątek na wóz, zaczęli wyjeżdżać. Lepiej przeczekać koszmar razem z rodziną w jakiejś cichej wiejskiej okolicy.

Marszałek Davandein podjęła kroki, by zapobiec upadkowi Valengradu. Wydano oficjalny nakaz: miasta nie mógł swobodnie opuścić nikt, kto pracował dla wojska, a to dotyczyło połowy populacji, a także żaden z urzędników państwowych ani ludzie zapewniający dostawy dla armii, co w praktyce oznaczało całą resztę mieszkańców. Wyjechać mogli tylko ci, którzy byli zbyt biedni, by to uczynić.

Podatek od dzieci i towarzyszące mu protesty roznieciły ogień, a najnowszy nakaz sprawił, że w oczach obywateli pani marszałek zmieniła się z nieprzyjaznego suwerena we wrogiego dyktatora. Wściekłe protesty przybierały na sile, aż w końcu przeszły w zamieszki.

Tłum jest jak żywa istota, zwierzę poruszające się w zgodzie z najbardziej pierwotnymi instynktami. Kiedy dotarł do cytadeli, skandując: „Ocalcie nas przed niebem” i „Oddajcie nam nasze podatki”, rozrósł się ze skromnych kilku setek do tysięcy. Patrzyłem z okna na szczycie cytadeli, jak Davandein posyła kawalerię. Żołnierze jechali na potężnych czarnych rumakach i trzymali na ramionach zakrzywione szable, ale Davandein wahała się z wydaniem rozkazu do ataku. Rzeź mieszkańców Valengradu dokonana przez ciężką kawalerię zrujnowałaby pozycję polityczną pani marszałek. Po pełnym napięcia oczekiwaniu tłum w końcu dał za wygraną. Rozchodzący się ludzie wlewali się z powrotem do dzielnic handlowych, zniszczyli pływający targ na kanałach i przetoczyli się przez dzielnicę krawiecką. Wybuchł pożar. Kipiąca fala społecznej głupoty pozostawiła za sobą trupy zalegające w rynsztoku. Nie dowiedzieliśmy się, kim byli ani dlaczego zginęli.

Zamieszki w Valengradzie. Nie do wiary.

Kiedy tej nocy rozległa się pierwsza pieśń, poszedłem sprawdzić, czy Amaira jest tam, gdzie kazałem jej zostać. W piwnicy na beczki było zimno, ale dziewczyna urządziła sobie przytulne legowisko w kącie. Zawiesiła prześcieradła wokół dużego stołu, osłaniając posłanie, żeby nie tracić ciepła.

– Amairo?

– Jestem tutaj, panie kapitanie – odpowiedziała, odchylając jedną z zasłon. Nie była tak pełna życia jak zwykle. Z przykrością patrzyłem na to, jak przygasła. Pod stołem ułożyła sporą stertę koców; na części z nich leżała, innymi się nakrywała. Uznałem, że chociaż piwnica sprawia ponure wrażenie, nie jest najgorsza. Sypiałem w podlegszych miejscach, zarówno w Nieszczęściu, jak i poza nim, a tutaj przynajmniej było sucho.

– Jak się trzymasz? – spytałem.

– Robię, co do mnie należy, panie kapitanie – odrzekła. Zasalutowała mi, a ja jej nie powstrzymywałem. Nie przywiązywałem do tego dużego znaczenia. Przyklęknąłem obok posłania.

– Boisz się?

Przez chwilę milczała, a potem objęła rękami kolana.

– Staram się być odważna.

– Strach to nic złego. Wszyscy się boimy. To normalne w złej sytuacji.

Pokiwała głową, ale wbijała wzrok w ziemię i była wyraźnie przygaszona. Strach tak na nas działa. Zmienia bystrą i energiczną osobę w cień samej siebie. Wsunąłem się pod stół, gdzie Amaira trzymała słoik z zapaloną świeczką. Ledwie się zmieściłem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, chociaż zapewne nie miałem racji. – Jesteśmy tutaj bezpieczni. Ty jesteś bezpieczna.

– Tak mi mówili rodzice – odparła. – Powiedzieli, że jesteśmy bezpieczni. Że mamy Maszynerię. A potem odeszli.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie da się za pomocą kilku słów zabić tak głębokich ran. Dlatego tylko położyłem się obok niej, ponieważ czasami najlepsza jest bliskość drugiego człowieka. Amaira przypięła do spodu blatu kilka kartek. Rozpoznałem niektóre z nich – pochodziły z książek, które trzymałem w gabinecie. Książek, które znacznie straciły na wartości po wyrwaniu części stron.

– Tylko je pożyczyłam – wyjaśniła Amaira.

– W porządku – odrzekłem, spoglądając na kartki.

Wiersze. Valiya uczyła Amairę czytać. Dziewczynce nie szło łatwo, ponieważ rozpoczęła naukę zbyt późno, ale jakoś sobie radziła, a Valiya była uparta. Zamierzała zadbać o to, by Amaira zdobyła wszystkie potrzebne dziewczynie umiejętności.

– Pomagają ci? – spytałem.

– No cóż, pomyślałam sobie, że jeśli będę je czytała w nocy, to nawet jeżeli zginę, w ostatniej chwili będę patrzyła na coś pięknego. A dzięki temu może nie będę się bała.

Zapadła długa cisza, a potem Amaira oparła głowę na moim ramieniu. Objąłem ją, ale nie wiedziałem, czy chcę ją pocieszyć, czy sam szukam pocieszenia. Nie powinienem był tego robić. Była służącą,

a ja jej pracodawcą. Nie byłem jej ojcem, wujkiem ani bratem. Ale miałem przed sobą wystraszone dziecko, które liczyło na to, że znam wszystkie odpowiedzi. Że przywrócę bezpieczeństwo, spokój i wszystko naprawię. Chciałbym wiedzieć, jak położyć kres grozie i powstrzymać zniszczenie, ale nie wiedziałem. Nic nie czyni cię tak bezradnym jak zawiedzenie nadziei dziecka.

– Będzie dobrze – skłamałem. – Spróbuj się przespać. Wiem, że ci trudno.

– Musi pan odejść?

– Muszę pracować – odpowiedziałem. Jak zawsze.

Kiedy rano pociski przestawały spadać, tłum podrywał się jak podrażniona bestia. Każdego dnia pojawiał się gdzieś indziej, a potem rósł, zalewając ulice miasta falami chaosu. Demonstranci trzymali się na dystans od cytadeli i żołnierzy, ale plądrowali sklepy, włamywali się do domów i wyrównywali dawne porachunki pod osłoną anonimowego stada. Dopiero czwarty dzień przyniósł ulgę w tym szaleństwie, gdy otworzyło się niebo i potężna ulewa powstrzymała przed wyjściem na ulice wszystkich poza najbardziej zatwardziałymi złodziejami. Tłum uświadomił sobie, że chociaż jest wściekły z wielu powodów, nie jest aż tak wściekły, by chcieć zmoknąć.

Valiya przyniosła mi papiery. Była równie przygaszona jak Amaira. Nie patrzyła mi w oczy, gdy stała wyprostowana przy moim biurku. Skrzywdziłem ją. Poluzowała pancerz, a ja zadałem jej cios.

– Znalazłam coś – powiedziała. – Jeśli nie jesteś zbyt zajęty.

Oficjalna. Zdystansowana. Ja też czułem się poobijany. Pokiwałem głową, nie wiedząc, co powiedzieć ani jak się przy niej zachowywać. Nic się między nami nie wydarzyło. Nic, ale jednocześnie bardzo wiele.

Rozwinęła mapę miasta. Kartograf dobrze się spisał, niektóre odległości mogły być względnie poprawne. Cytadela, mur, Stajnie, Ściek, Fałdy, Knoty, Wierzby i wszystkie inne dzielnice zostały wyraźnie podpisane. Mapa zapewne była sporo warta, zanim ktoś ją zabazgrał.

– Kupiłaś ją?

– Nie. Należała do ciebie – odrzekła. Stęknąłem. Pomazała moją

mapę. Powinienem być zirytowany, że zrobiła to bez mojej zgody, ale nie byłem.

Wszystko stało się jasne, gdy popatrzyłem na mapę. Valiya oznaczyła miejsca, w których spadły pociski, a potem je ponumerowała zgodnie z tym, której nocy nastąpił atak. Pierwszej nocy ostrzał był najbardziej rozproszony, drugiej nieco bardziej zwarty. Z każdym kolejnym dniem pociski spadały coraz bliżej siebie i z coraz większą precyzją.

– Celują w Ściek – zauważyłem. – A przynajmniej tam spada najwięcej ich pocisków.

– Tak.

– Ale dlaczego? To najbiedniejsza i najbardziej gówniana dzielnica. Niektórzy uznaliby jej zniszczenie za błogosławieństwo.

– Nie celują w Ściek – odparła Valiya, stukając palcem w mapę – tylko w Wielką Iglicę.

– Możliwe. – W Ścieku znajdowały się też inne cele, jednak żaden nie był tak wartościowy. – Ale Wielka Iglica to tylko duża fabryka fosu. Nawet jeśli robotom uda się ją zniszczyć, pozostaną inne fabryki.

– Tylko że to coś więcej niż fabryka fosu, prawda? – Kiedy Valiya chciała, jej głos był ostry jak strzał z bicza. – Wielka Iglica jest symbolem, czyż nie tak twierdził gubernator Thierro? Przyciąga do miasta fanatyków z Jasnego Zakonu. A jeśli gubernator mówił prawdę, za pośrednictwem Żelaznego Słońca na szczycie można wygenerować wystarczająco dużo mocy, by urzeczywistnić ich marzenia.

– Nie wierzę w to.

– Ale może robole wierzą – odparła szorstko Valija. – A ty również powinieneś wziąć to pod uwagę.

Chciałem. Wiele bym dał, aby w to wierzyć. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy i widziałem, jak ona wyciąga do mnie rękę, serce podskakiwało mi w piersi i traciłem oddech. Za każdym razem, gdy kolejny kaznodzieja zapowiadał, że ona wróci, próbowałem ignorować jego słowa, podczas gdy nadzieja uporczywie dobijała się do mojego umysłu. Ale skoro robole próbują zburzyć symbol jej powrotu, czy nie powinienem dopuścić do siebie myśli, że mogę się mylić?

– Nie – odpowiedziałem stanowczo.

– Wiem o niej wszystko, Ryhalcie – rzekła Valiya zmęczonym głosem. – Wiem o Elizabeth Tanzie. To żadna tajemnica wśród twoich znajomych. Dlatego przestań ignorować to, co wszyscy mówią. Może Jasna Pani się pojawi. Może oni mają rację.

– Słuchałem tego, co Jasny Zakon opowiadał o Jasnej Pani. Słuchałem tego, co miał o niej do powiedzenia Dantry Tanza. Wysłuchałem także gubernatora Tierra. Wiesz, co oni wszyscy mają ze sobą wspólnego?

– Nie.

– Opierają się na pragnieniach i marzeniach, a nie na faktach. Widziałem, do czego może doprowadzić taka obsesja. A ludzie? Słuchają kaznodziejów, którzy kierują się nie tylko religijnymi, ale także politycznymi celami. Thierro? Późno został Przędzarzem, a teraz wydaje mu się, że jest prorokiem. Jest nieprzyzwoicie bogaty, ale wciąż mu mało. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, ale to nie czyni ich wierzeń prawdą.

Valiya przez chwilę się nad tym zastanawiała. Chciała, żebym się mylił, ale nie wiedziała na ten temat więcej niż inni.

– Nieważne, czy to prawda – stwierdziła w końcu. – Robole tak uważają. Na pewno dlatego kierują ataki na Wielką Iglicę.

Popatrzyłem na mapę i barwne oznaczenia. Dotychczas nawet nie przyszło mi do głowy, że ataki są przeprowadzane według jakiegoś klucza. Jeśli przed nocą ewakuujemy mieszkańców Ścieku, możemy ocalić wiele istnień. Tylko że to mnóstwo osób, a ostatnie rozkazy Davandein nie zjednały jej zwolenników.

– Całe szczęście, że mam ciebie – powiedziałem. Nie powinienem tego mówić. Otepiły mnie niewyspanie i niezadowolenie.

– Całe szczęście, że Czarnoskrzydli mnie mają – odparła bez emocji. Iskra, która rozświetlała jej twarz przez ostatnie tygodnie, zgasła i została pogrzebana pod gruzami. – Ty mnie nie masz. Jesteś dowódcą, ale nie jesteś Czarnoskrzydłymi. Pewnego dnia odejdziesz, a ja tutaj pozostanę.

– Nigdzie się nie wybieram.

– To samo mówił mój pierwszy mąż. – Popatrzyła mi w oczy. –

Podobnie drugi. Obaj kłamali.

15

– Niech nas piekła pochłona, Ryhalcie, to miasto schodzi na psy – powiedziała Nenn. Była wściekła i trzeźwa, a chociaż to pierwsze zdarzało się częściej niż drugie, żadne nie poprawiało jej nastroju. Kolejny tydzień ogni z nieba i krwawych zamieszek rozdrażnił nas wszystkich.

Kapitan Betch jechał u jej boku, ale nie komentował jej wybuchów. Sprawiał wrażenie niewzruszonego. Twardego.

Jeden z ludzi Davandein uprzedził Nenn, że marszałek w najbliższych dniach planuje atak na przywódców Jasnego Zakonu. Czułem się w obowiązku powiadomić o tym Thierra, ponieważ byliśmy przyjaciółmi, ale przede wszystkim dlatego, że w mieście panowało zbyt duże napięcie jak na takie działania. Ludzie już wywoływali zamieszki. Przypuszczenie ataku obecnie przypominałoby wrzucanie rozpalonych węgli do składu z prochem. Świadków dotychczas trudno było wytropić, ale dziś w nocy zwołali publiczny wiec u stóp Wielkiej Iglicy, co wystarczająco zaogniło sytuację. Widziałem, jak moje miasto drży nad ogniem, gotowe wykipieć i zalać wrzątkiem wszystkich, którym zabraknie szczęścia.

Ulica prowadząca do Ścieku była pełna powłóczących nogami ludzi w żółtych szalach i kapturach. Zapadła noc i wierni Jasnego Zakonu w oczekiwaniu na nadejście pieśni zgromadzili się, by wysłuchać Wysokiego Świadka. Pierwsze publiczne wystąpienie. Nenn i ja jechaliśmy konno i ludzie z trudem usuwali nam się z drogi, aby uniknąć stratowania.

– Davandein nie chce mnie słuchać – poskarżyłem się. – Musisz przemówić jej do rozumu.

– Ona nikogo nie słucha, niech ją szlag – odpowiedziała Nenn. Splunęła grudką czarnosoku na mężczyznę, który uparcie stał jej na

drodze. Zwrócił na nią rozpalony wzrok, ale nie wytrzymał jej spojrzenia.

Rioque oraz Clada wisały wysoko i wyglądały tak, jakby można ich było dotknąć, tylko Eali nie było na niebie. Fiolet i błękit malowały świat na sine kolory. Pęknięcia na niebie wściekle lśniły, powoli pulsując.

– Takie potężne zgromadzenie to wymarzony cel – zauważyła Nenn. Podejmowane przez Davandein próby usunięcia ludzi ze Ścieku skłoniły ich do jeszcze bardziej stanowczego okopania się w swojej dzielnicy, a Thierro nie zgodził się przerwać budowy choćby na jeden dzień. Upór Jasnego Zakonu zmusił marszałek do dania za wygraną. Davandein potrafiła być dumna i uparta, ale ostatecznie czuła się odpowiedzialna za swoich obywateli. Nenn pokręciła głową. – Jeśli ogień z nieba spadnie na ten tłum, będziemy sprzątać szczątki przez kilka dni.

Raczej tygodni, jeśli ktokolwiek pozostanie żywy, by złapać za miotłę. Powinniśmy szukać schronienia, ale gdyby Davandein wystąpiła przeciwko świadkom, miasto mogłoby zapłonąć. Nie spodziewałem się takiej mobilizacji, przez którą ulice były zatkane.

Dotarliśmy do placu wokół Wielkiej Iglicy, na którym zebrało się mnóstwo ludzi, kupców, żołnierzy, dzieci, a nawet garstka arystokratów ze swoimi świtami. Żółte kapelusze, żółte kaptury, wszędzie żółty kolor. Na szerokich stopniach prowadzących do podwójnych drzwi Wielkiej Iglicy stały cztery postacie w złotych szatach. Nasze konie przepychały się przez tłum, aż dotarliśmy do miejsca, z którego mieliśmy dobry widok.

Czworo świadków zwracało się ku sobie, wbijając wzrok w ziemię i trzymając się za ręce. Nie było najmniejszych wątpliwości, kim są. Tyłem do mnie stał pokryty bliznami bezwłosy Przędzacz, po jego prawej stronie kobieta o oszałamiająco pięknej twarzy. Była pełna życia i wyglądała dziwnie znajomo, jakbym kiedyś o niej snił, a potem ją zapomniał. Jej drobną dłoń ścisnęła łapa potężnej, zgarbionej staruszki. Starcze plamy na jej ogromnych kościstych dłoniach przypominały zjawiskowej kobiecie, że młodość jest nietrwała. Pierwsza, ze złocistymi miękkimi lokami i obietnicą powabnych

krągłości, była marzeniem każdego mężczyzny, a druga koszmarem każdego dziecka.

Czwartym świadkiem był gubernator Thierro.

Byłem zaskoczony tylko przez chwilę. Gubernator bezgranicznie wierzył w Jasną Panią, a według jego opowieści to ona wszystkim kierowała za jego pośrednictwem. Nie mogło zatem dziwić, że człowiek tak żądny władzy wykorzystał okazję, by przejąć kontrolę. A jednak nie powiedział mi, że jest jednym ze świadków. Zmrużyłem oczy i poczułem, że drżą mi palce.

Wszyscy świadkowie mieli nadgarstki owinięte miedzianymi drutami prowadzącymi do Wielkiej Iglicy. W powietrzu wyczuwało się napięcie i nie chodziło tylko o nerwowe wyczekiwanie tłumu. Czułem energię i gorący, metaliczny odór fosu. Świadkowie byli nim napełnieni.

– Nie lękajcie się – odezwał się Thierro, a jego wzmocniony głos potoczył się nad tłumem, nad dachami domów, nad całym miastem. – Jasna Pani widzi czystość waszych serc. Widzi, że przede wszystkim łakniecie sprawiedliwości. Ochroni was podczas ciemnej nocy, gdy zawiodą ci, którzy powinni was strzec.

Wymieniłem spojrzenia z Nenn, która wściekle zmarszczyła czoło. Ta przemowa niebezpiecznie graniczyła z podżeganiem do buntu przeciw rządzącej elicie. Zerknąłem na skupiska arystokratów i zobaczyłem, że ci kiwają głowami. Z jeszcze większym niepokojem zauważyłem, że w skład wielu grupek wchodzi wysocy rangą oficerowie. Stary, drobny pułkownik Koska stał obok jednej z hrabin, najwyraźniej porwany słowami wyznawców nowego bóstwa. Porucznicy, kilku majorów i liczni szlachetnie urodzeni stali ramię w ramię z nowo przybyłymi rolnikami, pracownikami kawiarni, dekarzami, nauczycielami. Mój ojciec zakrztusiłby się portem, gdyby to zobaczył.

Ale być może ci ludzie rzeczywiście pragnęli mniej zepsutego świata. Patrzyli na świadków w milczeniu. Przez cały dzień słyszeli wezwania do opuszczenia Ścieku, nadawane przez urzędników z cytadeli, ale wiara okazała się silniejsza od strachu. To z pewnością pokrzepiające, wierzyć w coś tak mocno, że jesteś skłonny

zaryzykować dla tego życie. Nigdy nie miałem takiej wiary, może poza wiarą w Elizabeth. Dostrzegalem ironię sytuacji.

* * *

Zabrzmiała pieśń spadającego nieba, odległa, piękna kadencja wznosząca się nad Nieszczęściem. Tłum przeszła fala strachu, dzieci zaczęły krzyczeć. Ludzie wiedzieli, co się zaraz stanie. Trzymali się za ręce, przyciskali dzieci do piersi. Ale świadkowie nadal przykuwali ich uwagę.

– Nie lękajcie się! – zawołał Thierro, chociaż sprawiał wrażenie zdyszanego. Jego przesłanie stało w wyraźnej sprzeczności z krwawymi słowami migoczącymi na ścianie cytadeli: UKRYJCIE SIĘ.

Kiedy pieśń przybrała na sile, Przędzarze zaczęli lśnić, a z ich skóry uniosły się rozżarzone smużki fosu. Wokół coraz jaśniejszych pojemników z fosem tańczyły iskry i błękitno-złote błyskawice. Musiałem to zobaczyć na własne oczy, ale nie mogłem patrzeć na nich bezpośrednio, ponieważ stawali się coraz bardziej rozpaleni i jaśniejsi, zalewając plac białym światłem. Nagle fos pomknął wzdłuż przewodów do Wielkiej Iglicy, strumień jaskrawej biało-złotej energii, która wystrzeliła w górę, tryskając z okien i wznosząc się piętro po piętrze.

Stojące na szczycie wieży Żelazne Słońce odezwało się ostrym mechanicznym rykiem, chrapliwie odpowiadając na piękną pieśń śmierci, która sprowadzała na nas ogień, a następnie wybuchło migoczącymi złocistymi gwiazdami, które rozproszyły się nad miastem. Były połączone błękitno-białymi nićmi mocy, tworząc sieć energii.

Wszyscy patrzyli w niebo. Widziałem zbliżający się pocisk i czułem wzbierający wokół mnie strach, całun śmierci okrywający zgromadzonych wiernych. Wiara nagle wydała się nieskuteczna: ogień z nieba spadał prosto na pierdoloną Wielką Iglicę, tak jak powiedziała Valiya. Zbliżał się szybko przy wtórze koszmarnego trełu...

...po czym wybuchł, rozpadając się na obłok migoczących iskier wysoko nad naszymi głowami. Tarcza rozpostarta nad Wielką Iglicą wytrzymała i pierwszy pocisk przestał istnieć.

– O kurwa – odezwała się Nenn, ledwie słyszalna pośród westchnień tłumu. – Oni nas chronią.

Sieć migotliwych świateł przywołana w imię Jasnej Pani lśniła nad miastem.

Przedzarze z trudem rozpletli palce, a pomocnicy odwinęli druty z ich nadgarstków. Kiedy tłum zaczął wznosić okrzyki ku chwale Jasnej Pani, przyjrzałem się świadkom. Nie było niczego świętego w tym, co zrobili. Utkali sieć z fosu, a następnie przesłali energię przez Wielką Iglicę, używając Żelaznego Słońca do wzmocnienia mocy. Ale skoro Iglica pozwoliła im tego dokonać, mimo że jeszcze nie funkcjonowała jako fabryka fosu, to do czego będzie zdolna, gdy zostanie ukończona? Czy Thierro naprawdę może spróbować wydobyć cień Elizabeth z więżącego ją światła? Nagle zrozumiałem, dlaczego robolom tak zależy na zburzeniu Iglicy, choćby ostrzałem z daleka. Jeśli świadkowie potrafią zrobić coś takiego, na co jeszcze ich stać?

Powinienem był posłuchać Valiyi. Zresztą jak zawsze.

Wszędzie wokół zapanowała atmosfera radości. Prawdziwej, namacalnej radości. Udręczeni ludzie zaczęli tracić nadzieję, a gdy zawisło nad nimi widmo śmierci, Davandein uwięziła ich jak kociaki w worku. Dlatego postanowili uwierzyć świadkom, a oni stanęli przed nimi jako wybawcy, promieniując mocą i rozpościerając sieć gwiazd, która powstrzymała nocną grozę. Wkrótce nadleciał drugi pocisk, który opadał łukiem ku Knotom, ale on także rozpadł się w zetknięciu z gwiazdną siecią.

Ludzie zaczęli się śmiać.

Ja się nie śmiałem,

Patrzyłem na Thierra.

Zauważył mnie, gdyż wyróżniałem się z tłumu, siedząc na grzbiecie potężnego czarnego konia. Uśmiechnął się do mnie z satysfakcją i zasalutował dwoma palcami. Tak samo jak ja, kiedy przed laty podkradłem mu dziewczynę na balu. To był salut, który oznaczał:

„Wygrywam”. Popatrzyłem na niego z mocą. W czym wygrywasz? Nasze metody się różnią, ale zawsze walczyliśmy po tej samej stronie.

Prawda?

– Mieszkańcy Valengradu, lojalni obywatele – odezwał się Thierro. – Jasna Pani użyła nam swojego daru. Jesteśmy tylko świadkami jej mocy. To ona was chroni, a nie my, jej pokorni słudzy.

Na tyłach tłumu rozległ się wysoki i urywany dźwięk trąbki. Stłoczeni ludzie zaczęli się oglądać. Obróciłem się w siodle i zobaczyłem kolumnę ciężkiej kawalerii na ciemnych wierzchowcach, która przepychała się bulwarem Deszczowym. Na ich hełmach widniały herby ze stojącym smokiem. Kaczory Davandein. Marszałek jechała na ich czele, ubrana w elegancką zbroję, z mocno związanymi ciemnymi włosami. Obok niej sunął jeden z jej osobistych Przędarzy, który dyskretnie dotykał dłonią karku kobiety, przekazując jej swoją moc. Głos Davandein huknął ponad zatłoczonym placem, odbijając się echem od Wielkiej Iglicy.

– Mieszkańcy Valengradu! Jestem marszałek Davandein, pierwsza córka domu Davandeinów. Wszyscy podlegacie mojej władzy. Usunąć się z drogi.

Nenn i ja wymieniliśmy wystraszone spojrzenia. Davandein zareagowała znacznie szybciej, niż wynikało z ostrzeżenia Nenn. Nikt nie usunął się z drogi. Ludzie patrzyli spode łba i zaciskali zęby.

Marszałek wybrała fatalny moment.

– Zaraza, zaraz zrobi coś głupiego – jęknąłem.

Davandein błędnie oceniła sytuację i musiałem ją powstrzymać, zanim sprawy wymkną się spod kontroli. Zawróciłem Sokoła i ruszyłem w jej stronę. Wiedziałem, że nie będzie łatwo się do niej przedostać, ale Sokół potrafi solidnie ugryźć i ma kopyta wielkości dziecięcej główki, a nawet najwierniejsi widzowie wolą uniknąć zmiżdżenia stóp.

Ludzie zaczęli pokrzykiwać i miotać obelgi, hałaśliwie wyrażając swoje niezadowolenie, obrzydzenie i frustrację. Tej nocy nie bali się ludzi na koniach. Właśnie widzieli, jak źródło ich największego lęku rozpada się niegroźnie nad ich głowami.

– Pani marszałek, serdecznie zapraszamy – odezwał się Thierro.

Jego głos zabrzmiał potężnie, wzmocniony jego własną mocą. Popędziłem Sokoła, zachęcając go do roztrącania stojących nam na drodze ludzi, jeśli to okaże się konieczne. Davandein była ślepa na gniew i niechęć otaczających ją poddanych. Wierzyła w swoją nietykalność jako marszałka. Czuła się bezpiecznie na grzbiecie eleganckiego rumaka.

Marszałek Davandein nie uważała się za polityka. Wychowano ją w przeświadczeniu, że duchy zapewniły jej prawo do rządzenia za sprawą jej szlachtetnej krwi. Potrafiła odtworzyć historię rodu swojej matki do dziewięciu pokoleń wstecz. Wywodziła się z władców wybrzeża, którzy opodatkowali floty rybackie na północ od Ostermarku. Siedmiu patriarchów poprzedzających jej ojca dowodziło morskimi okrętami i walczyło w obronie Łańcucha. Byli żołnierzami. W jej rodzie byli hrabiowie i niejeden książę. Jej wujek, który chciał przejąć kontrolę nad Ostermarkiem, zginął w zamachu, dziadkowie zaś na skutek rodowej waśni stracili na polu bitwy całą rodzinę kandydatów do tronu.

Nieemożliwe, aby spodobało jej się powitanie Thierra. To było jej miasto i sprawowała w nim władzę absolutną. Mimo wszystko nie dała się wyprowadzić z równowagi i tylko wyprostowane plecy świadczyły o jej gniewie.

– Świadkowie! Zacni mieszkańcy Valengradu! Jestem waszym marszałkiem. – Podniosła oczu ku niebu. – Dziękujemy wam za pomoc udzieloną miastu w chwili potrzeby.

– A co pani zrobiła, aby nam pomóc? – rozległ się wściekły głos w tłumie.

Davandein panowała nad sobą, skupiając się wyłącznie na świadkach. Pośpiesznie popędziłem Sokoła.

– Jesteście moim ludem. Duchy Sprawiedliwości i Miłosierdzia ustanowiły mnie waszym obrońcą – oznajmiła Davandein. Jej słowa miały uspokoić ludzi, ale okazały się solą sypaną na ranę. – Świadkowie. Znakomicie się dzisiaj spisaliście, wszyscy to dostrzegamy. Niewątpliwie ocaliliście wiele istnień. Ale teraz, dobrzy ludzie, musicie się rozejść. W Ścieku nie jest bezpiecznie. Wielka Iglica ściąga na siebie furię roboli. Nie mogę zapewnić wam tutaj

bezpieczeństwa.

– Nie może pani zapewnić bezpieczeństwa nikomu i nigdzie! – zawołał jeden z awanturników.

– Nasze działania rzeczywiście ocaliły wiele istnień – odezwał się Thierro, a jego głos odbił się echem od kamiennych murów. Pozostali świadkowie, mężczyzna z bliznami, ślicznotka i wiedźma, stali u jego boku. Imponująca grupa pomimo wyczerpania. Tacy Przędzarze zmusiliby każdego do odstąpienia. – Ludzie już nie muszą się obawiać nocy. Są bezpieczni pod tarczą Jasnej Pani. Wielka Iglica nie padnie. My nie padniemy. Ale serdecznie zapraszamy, jeśli szuka pani jej ochrony.

W Davandein coś pękło. Usłyszałem to w swojej duszy. Była wysoko urodzona. Przez lata otaczali ją pieczeniarze, którzy powtarzali jej, że zasługuje na władzę, że urodziła się po to, aby dowodzić, a inni muszą się jej podporządkować. Niepowodzenia w kierowaniu miastem zagroziły temu przekonaniu. Teraz, wiedziona ślepą furją, pragnęła odzyskać utraconą pewność siebie. Uniosła dłoń z wyprostowanym palcem, jakby wykonywała pchnięcie lancą.

– Dopóki sprawuję władzę w Łańcuchu, nikt nie będzie kwestionował moich rozkazów. Jestem marszałkiem, a Valengrad jest moim miastem. Niech to zgromadzenie natychmiast się rozejdzie!

Ruszyła naprzód, a Kaczory podążyły jej śladem, ale w tej samej chwili Sokół przekonał ostatniego gapia do ustąpienia mu z drogi.

– Niech się pani cofnie! – zawołałem, zapominając o jej tytule pod wpływem ogarniającej mnie paniki. – Proszę się cofnąć i zabrać stąd swoich ludzi. Poleje się krew.

Davandein popatrzyła na mnie z twarzą tak wykrzywioną gniewem, że zawstydziłaby nawet gargulca.

– Nie oddam kontroli nad miastem tym fanatykom – warknęła.

Jeden z jej Kaczorów zagroził mi drogę. Był ode mnie dwukrotnie młodszy i równie twardy.

– Niech pani tego nie robi – poprosiłem, ale ona już parła przez niechętnie rozstępujący się tłum, otoczona przez Kaczory, które utworzyły wokół niej klin.

– Miasto należy do ludu, pani marszałek – odparł Thierro. – Zawsze

tak było.

– Pani marszałek – syknąłem. – Proszę. Nie zdoła pani wygrać.

Davandein balansowała na krawędzi. Przez podrażnioną dumę coraz bardziej traciła nad sobą panowanie. Zerknęła w moją stronę i w jej oczach zobaczyłem, jak opadają z niej nagromadzone latami warstwy pochlebstw. Uświadomiła sobie, że jest tylko zwykłym człowiekiem pośród tłumu. Dzięki pochodzeniu i zdolnościom wybudowała wieżę, z której spoglądała na świat, i zaczęła wierzyć w legendę, która zrodziła się w jej umyśle.

Tłum zadrżał. Zawrzały z trudem wstrzymywane emocje. Ludzie płonęli żywcem i ginęli, a ta kobieta nie reagowała, tylko ich uwięziła, a teraz grozi tym, którzy przynieśli nadzieję. Pojedynczy ludzie mogą być niezwykle inteligentni, ale kiedy tworzą tłum, szybko się zmieniają. Stają się czymś innym. Czymś kurewsko głupim.

Wszystko się posypało.

W tłumie wypaliła rusznica błyskowa i jeden z Kaczorów chwycił się za szyję, po czym runął na ziemię. Thierro próbował zaprowadzić porządek, nawołując do spokoju, ale bezskutecznie. Żołnierze reagują tak, jak ich wyszkolono, a pod ostrzałem poddają się instynktowi. Kapitan uniósł się w strzemionach i rozkazał zaszarżować. Wściekli Davandein i jej ludzie ruszyli naprzód, ogarnięci nagłą paniką, jakby zaatakował ich wrogi batalion, a nie jeden idiota. Uniesione szable zabłysły pod siecią gwiazd, po czym opadły. Rozległy się donośne, przenikliwe wrzaski. Mężczyzn, kobiet, dzieci. Kaczory wbiły się na pięćdziesiąt jardów w tłum, pędząc ku świadkom, zanim napotkały opór. Ochroniarze Jasnego Zakonu pośpiesznie zgromadzili się na schodach, otaczając swoich przywódców.

– Dosyć! Wycofajcie się! Nie strzelać! – krzyczał Thierro.

Ale w ochroniarzach zawrzała krew i tylko połowa z nich usłuchała ostatniego słowa rozkazu. Wypalili z rusznic błyskowych w stronę Kaczorów. Rozległ się wrzask ludzi i koni, a żołnierze mocniej natarli, niosąc ze sobą Davandein.

– Na Duchy Miłosierdzia – westchnęła Nenn.

Żołnierze pozostawiali po sobie rannych i zabitych stratowanych cywilów. Sami także doznawali strat, ale byli ciężko uzbrojeni

i opancerzeni oraz jechali na potężnych rumakach bojowych, stopniowo więc wyrąbawali sobie szlak prowadzący do świadków. Najwyraźniej nie dbali o to, czy pod kopytami giną mężczyźni, kobiety czy dzieci. Liczyło się tylko to, że stoją im na drodze. Kaczory dbały o bezpieczeństwo swojego dowódcy, tak jak Jasny Zakon bronił swoich proroków.

– Przestańcie walczyć! – wrzeszczał Thierro, ale już nie było wiadomo, komu wydaje rozkazy.

Kapitan Kaczorów dotarł do schodów z wysoko uniesioną szablą. Jego rumak spływał krwią.

Naznaczony bliznami świadek stracił cierpliwość. Uniósł ręce i odpalił. Dowódca Kaczorów wyleciał z siodła, a po chwili do walki włączyli się pozostali świadkowie. Wśród żołnierzy rozbłysły oślepiające bezgłośnie eksplozje. Rozdzierane na pół wierzchowce kwiczały. Ludzie milkli, rozrywani na strzępy, a na uciekającym tłum spadł ciepły deszcz. Szarża została zatrzymana, a Thierro wystąpił naprzód. W jego oczach płonęło białe światło, a ciało dymiło od przedzarskiej mocy. Szata na jego piersi spaliła się, ukazując potężne poskręcane blizny po oparzeniach.

– Nie dała mi pani wyboru, pani marszałek – zagrzemiał, spoglądając z góry na Davandein i jej pozostałych przy życiu ludzi. Jej wierzchowiec zginął, a marszałek miała krew we włosach i na twarzy. Nie tylko ona została doprowadzona do ostateczności. Z palców Thierra unosiły się kłęby fosu, na jego twarzy płonął święty gniew. Gdyby chciał, mógłby ich unicestwić. – To już nie jest pani miasto, Davandein.

Marszałek zrozumiała, że żarty się skończyły. Jej najlepsi ludzie zginęli, jej Przędzacz został zabity. Mała i krucha pośród zniszczeń, nie mogła w to uwierzyć. Nie potrafiła zaakceptować, że odebrano jej władzę. Jeden z mężczyzn wciągnął ją na swoje siodło. Zwołała niedobitki swoich osobistych oddziałów i uciekła z miasta, kierując się na zachód w stronę Lennisgradu.

O świcie do herbu Łańcucha nad cytadelą dołączył drugi sztandar. Sylwetka kobiety na złotym tle. Jasny Zakon.

Powinienem był coś zrobić. Cokolwiek. Ale byłem tylko człowiekiem

z mieczem i garstką bandziorów, siedziałem więc cicho, piłem i patrzyłem, jak pozostali oficerowie witają Tierra w cytadeli i ogłaszają świadków obrońcami Valengradu.

16

Zebrałem swoich ludzi i opowiedziałem im, co się wydarzyło oraz jak się obecnie mają sprawy w mieście. Po świetnym pokazie i rozpostarciu tarczy Jasny Zakon uznano za strażników Łańcucha.

Generałowie lojalni wobec Davandein uciekli jej śladem. Uznali za nieroztropne pozostać w obleżonym mieście. Pułkownik Koska, którego widziałem w tłumie na placu, był najwyższej rangi oficerem, który został w Valengradzie. Spotkał się z Wysokim Świadkiem Thierrem i wspólnie zgodzili się na tymczasowy podział władzy, podczas gdy do wielkiego księcia wyruszył wysłannik z prośbą o mianowanie nowego marszałka. Zakon nie ogłosił się władcami Łańcucha. Thierro dowodził z dyplomatycznym wyczuciem.

Ludzie świętowali na ulicach. Trupy stygły w prowizorycznych kostnicach, ale obywatele czuli się wyzwoleni. Tej nocy czekali, aż tarcza znów wzniesie się nad miastem, jakby powstrzymywanie pocisków przez Jasny Zakon stanowiło ich zwycięstwo. Może i tak było.

Moja własna grupka patrzyła na nową sytuację bardziej realistycznie. Tnota, Casso, Maldon i ja usiedliśmy nad kilkoma butelkami wody ognistej z Whitelande i próbowaliśmy zaplanować nasz kolejny ruch. Valiya sączyła herbatę.

– Nasza sytuacja się nie zmieniła – stwierdziłem po długim namyśle.
– Oko pozostaje naszym priorytetem i dopóki nie powróci do skarbcza, będziemy je tropić. To, co stanie się z miastem, zależy od reakcji wielkiego księcia. Podejrzewam, że mianuje nowego marszałka. Zapewne marszałka Herricha z trzydziestej szóstej. A jeśli nie, to marszałka Ngoyę z czwartej stacji. Tak czy inaczej, nasze zadanie polega na odzyskaniu Oka.

– Przynajmniej teraz wypuszczają ludzi z miasta – zauważył Casso.

Był spocony i miał nieco pijane oczy.

– Właśnie tego chcesz? Chcesz się stąd wydostać?

– Ostrzał się nie skończył – odparł. – Zastanawiam się nad tym.

– Jeśli chcesz, możesz odejść – rzekłem. – Nie będę cię zatrzymywał wbrew twojej woli. Nie składałeś przysięgi.

Zastanawiał się przez kilka chwil z coraz większym zakłopotaniem.

– Chyba na razie zostanę – powiedział w końcu, a ja pokiwałem głową, nałamałem mu kolejną szklaneczkę i pchnąłem w jego stronę po blacie. Takie drobne gesty pamiętamy najlepiej. Lojalność łatwiej kupić kilkoma drinkami niż żołdem czy odwołaniem się do poczucia obowiązku.

– Muszę już iść – odezwał się Casso z zażenowaniem, gdy zbliżał się zmrok. Chciał na własne oczy zobaczyć zgromadzenie na placu przed Wielką Iglicą. Z jego kieszeni sterczał żółty szal – nie chciał go zakładać w naszej obecności. Nie skomentowałem tego, ale wyglądało na to, że moi ludzie też zaczynają wierzyć.

Przy wtórze syreny i pieśni rozpoczęła się nocna groza. Patrzyliśmy przez okno, jak tarcza znów rozwija się nad miastem, świetlista sieć gwiazd pośród nocy.

Pozostali tulili się do swoich bliskich w piwnicach, niegotowi zaufać ochronie świadków, chociaż ci poprzedniej nocy ocalili większość miasta – tylko trzy ognie z nieba zdołały się przedostać. Valiya, Tnota i ja przyjrzeliliśmy się rozległej plecionce zakrywającej niebo, złożonej z tysięcy migoczących punkcików światła, po czym usiedliśmy przy kominku. Dlaczego nie szukaliśmy schronienia? Może z czystej przekory. W końcu Tnota zaczął chrapać na fotelu i zostaliśmy tylko we dwoje z Valiją.

– Jakie mamy plany na jutro? – zapytała. – Od czego zaczniemy?

– Może powinniśmy zrobić sobie wolne – odrzekłem. Pozwoliłem sobie na uśmiech. Pierwszy od bardzo dawna. – Wyjechać z miasta, dopóki nie przestanie w nim wrzeć. Dokąd możemy się udać?

– Słyszałam, że podniebne ogrody na Pyre są warte zobaczenia – rzuciła Valiya. Wciąż sytuacja między nami była niezręczna. Valiya wyciągnęła dwie spinki podtrzymujące jej fryzurę i potrząsnęła głową, jednocześnie rozczesując palcami splątane włosy. Nie

- chciałem, aby przyłapała mnie na patrzeniu, ale tak się stało. – No co?
- Nie chodziło tylko o kształt jej twarzy ani leniwy ruch włosów, ale o ułożenie ramion i sposób, w jaki panowała nad otoczeniem. O jej inteligencję i determinację. Godność.
- Nie warto tam jechać – odparłem, otrząsając się z zamyślenia. – Po rejsie na Pyre przez tydzień będziesz chora. A w ogrodach coś przenika do wody, przez co panuje tam straszliwy smród. To piękne miejsce, ale tylko jeśli ściśniesz nos spinką.
 - Nie sądziłam, że jesteś podróżnikiem.
 - Moi rodzice chcieli, żebym zobaczył świat. Odwiedziliśmy wszystkie miasta. Przeprowadziliśmy się także do Hyspii i Iscalii. Kiedyś nawet zawitaliśmy do Angol.
 - Podobało mi się w Angol. Przynajmniej kiedy już przywykłam do kanibalizmu. – Valiya uśmiechnęła się, a ja pomyślałem, że w innym życiu, w którym nikt nas nie skrzywdził, mógłbym ją pokochać. Poznałem Valiyę, kiedy już przestałem sypiać, stale więc miałem wrażenie, że jest nieco nieostra, ukryta za falą zimowej szarości. Teraz w słabym blasku świecy zobaczyłem ją wyraźnie.
 - Po co tak naprawdę tutaj przyjechałaś? – spytałem. – Ostermark leży tak daleko. Na pewno zostawiłaś tam rodzinę. Przyjaciół. Po co przyjeżdżać do pękniętego nieba i niekończącej się wojny?
 - Valiya zamieszała wino w kieliszku. Siedziała z podwiniętymi nogami na dywanie. Zdjęła buty i okryte pończochami palce jej stóp sterczały spod rąbka sukienki. Ich widok wydał mi się czymś intymnym. Świadectwem zaufania. Znakiem, że ślady po ciosie, który jej zadałem, być może zaczynają blaknąć.
 - Pytasz tak, jakbym miała jakiś wybór – odrzekła zbolalym głosem, nie patrząc mi w oczy. – Trwa wojna. Trzeba ją wygrać, a ja uważam, że nikt inny nie mógłby sobie z tym poradzić lepiej ode mnie. Jestem sprytniejsza niż większość ludzi. Znacznie sprytniejsza. Jak mogłabym złożyć losy świata w ręce mniej zdolnych ludzi?
 - Ogień w palenisku strzelał. Nie mówiła tego, by zrobić na mnie wrażenie. Wiedziała, że nie tędy droga. Ale może podejrzewała, iż podobne odczucie sprawiało, że ja sam nie kładłem się spać.
 - Mojemu pierwszemu mężowi nie podobało się, że tak ciężko

pracuję – ciągnęła. – Nie rozumiał mnie. Podczas gdy on zbijał fortunę na flotach rybackich, ja tworzyłam sieć wywiadowczą, aby monitorować poczynania hrabiów w całym Ostermarku. Wiesz, co powiedział, kiedy mu zdradziłam, że zarabiam więcej od niego?

Nie odpowiedziałem. To nie była moja sprawa.

– Powiedział, że to nienormalne. Że gdyby ludzie z jego kręgu towarzyskiego się o tym dowiedzieli, stałby się obiektem kpin. Kazał mi zrezygnować. Sprzedać interes. Powiedział, że powinnam kierować sklepem, który mi podarował, i zapomnieć o szpiegach i informatorach.

– Zrobiłaś to?

* * *

– Owszem. Chciałam, żeby nam się ułożyło. Tak bardzo, że zrobiłabym dla niego wszystko. Ale jeśli chcesz znać prawdę, kiedy jego okręt poszedł na dno, nie byłam zrozpaczona. Poczułam ulgę.

Ja także straciłem żonę, ale nie doznałem ulgi. Nie kochałem jej tak, jak powinienem. Nawet nie tak, jak zamierzałem. Ale jej śmierć wciąż mnie dręczyła. Popatrzyłem na kwiaty na moim ręku, wytatuowane jako wspomnienie tych, które zabrała ze sobą tamtego dnia. Tych, dla których sprzedałem się krukowi.

– A twój drugi mąż? – spytałem, żeby jakoś wypełnić ciszę.

– Był dobrym człowiekiem – odrzekła Valiya. – Najlepszym. Zabili go robole.

Nie zdradziła nic więcej, i chociaż wiedziałem, że od tamtego czasu minęło sześć lat, rana najwyraźniej wciąż krwawiła. Oboje byliśmy ofiarami i czasem rozpadaliśmy się pomimo szwów.

– A co z tobą? Z twoją Elizabeth?

Niektóre rany nigdy się nie goją, a inne wciąż się odnawiają. Kochałem Elizabeth z mocą, która mogłaby przepędzić roboli na ich stronę Nieszczęścia. W pewnym sensie właśnie tak się stało. Nie potrafiłem o niej opowiadać. Samo myślenie o niej sprawiało, że czułem, jakbym zdradzał ją z Valiyą. Oddała życie za mnie, za nas, za

wszystkich, za świat. A teraz, gdy to, co po niej pozostało, trwało uwięzione w świetle, ja krygowałem się w towarzystwie innej kobiety.

– Powinniśmy się położyć – rzekłem. – Jutro czeka nas dużo pracy.

Moje słowa zabrzmiały bardziej surowo i beznamiętnie, niż zamierzałem. Zawisły między nami jak coś obcego. Kwaśne jak ocet. Nie było od nich odwrotu.

– Tak, kapitanie. Oczywiście. Dużo pracy.

Valiya założyła buty i odeszła, a ja usiadłem w słabym świetle lamp, przecierając zmęczone oczy. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że chrapanie Tnoty umilkło już jakiś czas temu.

– Wielki Pies mówi, że mógłbyś trafić na kogoś znacznie gorszego niż ta bardzo dobra kobieta – odezwał się, nie otwierając oczu.

– Jest moją pracownicą – odparłem. Jakby to miało jakieś znaczenie.

– To nie ma z tym nic wspólnego – burknął, po czym wpasował się dokładniej w oparcie fotela. Zerknął na mnie jednym okiem. – Jeśli chcesz poznać moje zdanie, powinienes ją odnaleźć, przeprosić i posłuchać głosu natury.

– Nie prosiłem cię o opinię. Zresztą co ty wiesz o kobietach?

– Mężczyźni. Kobiety. Wszyscy jesteśmy tacy sami, gdy chodzi o najważniejsze sprawy. Nie możemy żyć samotnie, Ryhalcie. A przynajmniej nie powinniśmy, gdy są obok nas ludzie, którzy chcą nas podtrzymywać. Siedzimy po uszy w gównie w mieście, na które spada ogień z nieba, możemy w każdej chwili umrzeć, a ty odrzucasz coś dobrego, ponieważ wciąż tęsknisz za kobietą, która nie żyje od czterech lat.

Jego słowa przebiły mi pierś jak strzały. Co innego zdawać sobie z tego sprawę, a co innego usłyszeć to z ust kogoś innego. Powinienem był coś odburknąć, ale szczęki mi się zacisnęły.

– Obaj wiemy, że tarcza nie jest dziełem Elizabeth – ciągnął Tnota. – Ona odeszła, a w świetle pozostało tylko coś w rodzaju odbicia. Obaj wiemy, że to także nie jest ona.

– To jest ona – odparłem. – Widmo w świetle to ona.

– Nieprawda. Ona była kobietą z krwi i kości, a to coś w świetle nie ma ani jednego, ani drugiego. Ale istnieje prawdziwa kobieta, która cię pragnie i którą właśnie odrzuciłeś. Chcesz być samotny na zawsze?

– Chcę odzyskać Elizabeth – odpowiedziałem, wrywając strzałę z piersi. Musiała mieć kolczasty grot, ponieważ zabolalo bardziej, niż kiedy wbijała się w ciało.

– Będę z tobą szczery, Ryhalcie. Kiedy marzysz, że ona jakimś cudem wraca, wychodzi ze światła, jak dokładnie sobie to wyobrażasz? Kiedy spotkaliśmy ją przed laty w dwunastej stacji, była bogata. Należała do arystokracji. Przywykła do pięknych przedmiotów. A my? Praktycznie żyliśmy w rynsztoku. Zeszliście się w chwili, gdy zapanował chaos, ale co by się stało, gdyby ona przeżyła? Myślisz, że patrzyłaby na to, jak się zapijasz? Nie. Była kimś lepszym. Śliczną arystokratką, która dodatkowo miała dość oleju w głowie. Naprawdę sądzisz, że zostałaby w Łańcuchu?

– To nie ma znaczenia. Nigdy się nie dowiemy, prawda?

– Prawda – zgodził się Tnota. – Tym bardziej powinieneś poszukać szczęścia u boku dobrej kobiety, która piecze dla ciebie ciasto i próbuje się tobą opiekować, chociaż na to nie zasługujesz.

Gdzieś w mieście jeden ze śpiewających pocisków przebił się przez tarczę świadków. Mógłby spaść na nas, ale tak się nie stało i ponownie przeżyliśmy tylko dzięki szczęściu. Jak zawsze.

17

Zbudziłem kopniakiem Maldona z pijackiej drzemki.

– Wstawaj. Mam dla ciebie robotę.

– Ale właśnie śniłem – odrzekł. Próbował odepchnąć czubek mojego buta zwiotczając dłonią. Nie udało mu się i zarobił kolejnego kopniaka.

– W porządku – mruknął. – Ale przez to dłużej poczekaasz na swoje nowe zabawki.

– W tej chwili i tak ich nie budujesz – zauważyłem. – Ile wypijeś? Jest już po dziesiątej, a ty wciąż jesteś nawalony.

Maldon był w fatalnym stanie. Jego dłonie oraz przedramiona lśniły od smaru i cuchnął fosem oraz sproszkowanym żelazem.

Pojechaliśmy na jednym koniu przez ciemne miasto w stronę Ścieku. Wierni pozostawili po sobie mnóstwo śmieci: rozrzucone niezniszczalne skórki od placków, puste butelki, końskie i ludzkie odchody, kawałki tłustego papieru oraz inne odpadki, które zazwyczaj zostawiają ludzie przenoszący się w inne miejsce. To niezwykle, ale miałem wrażenie, że w Ścieku jest jeszcze brudniej niż zazwyczaj.

– Uch... – westchnął Maldon. – Woń fosu jest niezwykle silna. Zupełnie jakby Maszyneria właśnie odpaliła.

Wydarzenia poprzedniej nocy nie sprawiły, że robotnicy przerwali pracę. Wciąż ciężko harowali, przemieszczając ogromne kawałki drewna, z których miały powstać prowadnice do wrzecion. Jacyś biedacy zostaną przykuci do tych słupów i będą tkąć światło przechodzące przez dziesiątki soczewek. Z góry dobiegało nosowe buczenie napędzanych fosem pił.

– To pewnie tarcza – odrzekłem. Również czułem metaliczny posmak w powietrzu, ale Maldon był znacznie bardziej wyczulony na fos, a dziś potrzebowałem jego umiejętności wykrywania tego, co niewidoczne.

Okrążyliśmy Wielką Iglicę szerokim łukiem, a potem ponownie, tym razem podjeżdżając bliżej. Robotnicy nawet nie podnieśli na nas wzroku, ale nie byli sami na budowie. Na schodach przed wejściem ustawili się ludzie z rusznicami błyskowymi o srebrnych lufach. Kolejni parami patrolowali okolicę. Zerkali na nas, ale mężczyzna z dzieckiem nie wzbudza podejrzeń. Wielka Iglica była naszą ochroną przed robotami, nic więc dziwnego, że jej strzeżono, ale jeśli to byli ludzie z cytadeli, to ubrali się w kolory Jasnego Zakonu i mieli przy sobie jego świętą broń. Kiedy wybuchła rusznica błyskowa człowieka, który nie był Devlenem Maille'em, taka broń była rzadkością. Teraz widywało się ją wszędzie.

– Wyczuwasz coś? – spytałem.

– Ślad fosu jest silny. Co mam wyczuć?

Osadziłem Sokoła w miejscu, a on ucieszył się z postojem. Był zbudowany jak bojowy rumak, ale miał leniwe serce. Zsiedliśmy i rozprostowaliśmy nogi. Siodło potwornie obijało mi jaja.

– Miałem nadzieję, że wpadniemy na trop Oka – wyjaśniłem. – Niczego nie czujesz?

– Myślisz, że bym milczał, gdybym wychwycił coś takiego? – Maldon był napięty jak struna do skrzypiec i wzdrygał się na samo wspomnienie o czymkolwiek związanym z Shavadą. Biedak. – Dlaczego uważasz, że ono tutaj było?

Popatrzyłem na ogromną wieżę, która niemal sięgała chmur.

– Sprawia wrażenie zbyt silnej – stwierdziłem. – Mówię o tarczy. Świadkowie niewątpliwie są potężnymi Przędzaczami, poza tym oplątują się przewodami i wspólnie tworzą tarczę. Ale mimo wszystko zastanawiałem się, czy Saravor nie macza w tym palców. Oko jest częścią jednego z Królów Głębi. Nie wiem, jaką magię można dzięki niemu przywołać, ale on go do czegoś potrzebował. Ciekawi mnie, co to było.

– Jeśli nawet Oko tutaj było, to go nie wyczuwam – odrzekł Maldon.

– Zatem nie było go tutaj w ostatnim czasie, jeśli w ogóle się pojawiło.

– Nie miałem większej nadziei – przyznałem.

– Wlekłeś mnie tutaj tylko po to?

– Nie. Ten fos, który wyczuwasz. Opowiedz mi o nim. Czy jest...

normalny?

Maldon przez chwilę się namyślał.

– Sprawia wrażenie starego. Jakby od dawna składowano go w ogniwach baterii. Może nawet przez lata. Dlaczego pytasz? Co ci chodzi po głowie?

Ocena Maldona potwierdziła moje podejrzenia. Tarcza była dziełem czworga utalentowanych Przędzarzy, którzy przepuszczali swoją moc przez Żelazne Słońce na szczycie Wielkiej Iglicy, a jakkolwiek rolę Żelazne Słońce pełniło, nie było tylko ujściem dla nadmiaru energii, jak mnie przekonywano. Ale niezależnie od tego, jaka zmyślna technologia za nią stała, świetlista tarcza wymagała oszałamiającej mocy. Thierro powiedział mi, abym wierzył. Valiya miała mi za złe moje wątpliwości. Nawet moi ludzie ubierali się na żółto. Od chwili gdy ujrzałem, jak świadkowie rozpościerają tarczę, cichy sceptyczny głos nie przestawał dobijać się do mojego umysłu. Był uporczywy. Nieustępliwy. Musiałem się dowiedzieć.

– Chcę się upewnić. Czy to Jasna Pani tworzy tarczę? – spytałem.

Usta Maldona wykrzywił chytry uśmiech. Chłopak wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale słowa po chwili rozwiały się razem z grymasem. Nie miał oczu, więc przynajmniej nie musiałem oglądać jego współczującego spojrzenia. Nienawidziłem współczucia. Chociaż i tak mogłem je wyczytać z jego nienaturalnie dziecięcej twarzy.

– Nie, Ryhalcie – odpowiedział po chwili. – To nie ona. Patrzymy na twór powstały z fosu przepuszczonego przez jakiś układ wewnątrz Wielkiej Iglicy. Jeśli pytasz, czy kryje się za tym coś więcej, to odpowiedź brzmi: nie. Tarcza jest ogromna i imponująca jak diabli, ale to tylko konstrukcja z fosu. Cokolwiek ludzie mówią, to nie ona.

Czy doznałem ulgi? Rozczarowania? Nie wiem. Poczułem głównie pustkę. Zagubienie.

– Dobrze. Wracajmy. Jestem pewien, że w mojej piwnicy została jakaś butelka, której jeszcze nie otworzyłeś.

Cofnęliśmy się o kilka ulic. Nagle Maldon, który siedział za moimi plecami, wbił mi palce pod zębra, aby zwrócić moją uwagę.

– Chyba ktoś nas śledzi – oznajmił. – Nie oglądaj się.

– Skąd wiesz? – spytałem.

– A skąd cokolwiek wiem? Mam ci tłumaczyć, jak to wszystko działa? Naprawdę?

– W porządku – odburknąłem. – Kto?

– Dwie osoby. Idą za nami pieszo. Jedna z nich jest potężna. Naprawdę potężna. Większa od ciebie. Druga jest po prostu wysoka.

Pocieszające.

– Od jak dawna za nami podążają?

– Od Wielkiej Iglicy. Już tam ich wyczułem. Nie przestali za nami iść, nawet kiedy skręciliśmy w ulicę Clattona, i wciąż się nas trzymali, gdy wróciliśmy na ulicę Barrella, a to dosyć nietypowa trasa.

Rzeczywiście. Wybrałem mało używaną boczną uliczkę Clattona, ponieważ przed rokiem przeprowadziłem nalot na herbaciarnię przy ulicy Barrella. Akcja nie poszła najlepiej i kilka osób zostało rannych, co się zdarza, gdy po ciemku wywleka się na zewnątrz dwóch wyznawców Kultu Głębi, miałem więc nieprzyjemne wspomnienia związane z tym miejscem. Nie było sensu ranić uczuć niewinnych, którzy tam pozostali. Od tamtej pory starałem się unikać ulicy Barrella, zatem przecięliśmy ulicę Clattona. W ten sposób nadkładaliśmy drogi. To faktycznie dziwna trasa.

– Są uzbrojeni? – Ja byłem.

– Nie jestem pewien.

– Dowiedzmy się.

Skręciłem Sokołem w ulicę Donikąd, a następnie od razu odbiłem w jedną z wąskich bocznych uliczek. Potężnemu wierzchowcowi to się nie spodobało, gdyż musiał się przeciskać ciasnym przejściem między nieudolnie zbudowanymi magazynami. Do takich uliczek słońce nie dociera, a szczury są tam większe od borsuków. Przekazałem wodze Maldonowi, który nigdy nie lubił koni i nigdy nie był przez nie lubiany, po czym się przygotowałem. Zgadywałem, że podążają za nami członkowie Jasnego Zakonu, którym rozkazano sprawdzać każdego, kto dziwnie się zachowuje w okolicach Wielkiej Iglicy. Jak dotąd tylko nas śledzili, nie dobyłem więc pałasza.

Dwaj mężczyźni minęli wlot uliczki. Maldon miał rację. Obaj byli niezwykle potężni. Jeden musiał mieć około sześciu stóp i dziesięciu cali wzrostu, ale jak dotąd nie spotkałem tak wysokich ludzi, którzy

nie byliby chudzielcami. Ten facet składał się w większości z mięśni i był niesamowicie szeroki w barach. Poczulem do niego irracjonalną nienawiść za to, że jest o tyle większy ode mnie. Nie powinienem być dumny z tego, że urodziłem się wysoki, a jednak chyba tak było. Jego towarzysz był mniej więcej mojego wzrostu, co czyniło go znacznie potężniejszym od większości ludzi na świecie, i również bardzo krzepki. Mieli na sobie cywilne ubrania bez złotych dodatków i byli uzbrojeni w porządne, ale pospolite miecze o grubych ostrzach. Na razie trzymali je przy pasie i nie zwracali na siebie uwagi, jeśli nie liczyć ich tężyzny. Szybko się im przyjrzałem, gdy nas mijali, idąc ulicą Donikąd. Za chwilę skręca w prawo i znajdują się w ślepych zaułku. Ulica nie bez powodu nosiła taką nazwę.

To oznaczało, że mam ich w potrzasku. Oczywiście byli potężni i uzbrojeni, ale pod płaszczem miałem pistolet, co zapewniało mi przewagę.

Zostawiłem Sokoła z Maldonem i ruszyłem w ślad za mężczyznami, trzymając na ramieniu odbezpieczony pistolet. Kiedy się zatrzymali, wyraźnie zaskoczeni tym, że rozpląnąłem się w powietrzu, odchrząknąłem, aby zwrócić ich uwagę.

– Nie róbmy niczego, co przysporzyłoby niepotrzebnie kłopotów cmentarnym strażnikom – odezwałem się.

Mężczyźni nie zareagowali tak, jak się spodziewałem. Przecież zaskoczyłem ich w ślepej uliczce, oczekiwałem więc zakłopotania, lęku, może złości, że tak ich podszedłem, tymczasem oni całkowicie mnie zignorowali. Przez chwilę stali z twarzami bez wyrazu. Grube karki, potężne ramiona. Bardzo charakterystyczna para. Kiepscy szpiedzy. Może świetni zabójcy.

– Jeśli rzucicie miecze i noże na ziemię, będziemy mogli poćwiczyć zapomnianą sztukę konwersacji – dodałem, cały czas trzymając pistolet na ramieniu. Nie chciałem ich spłoszyć, niepotrzebnie biorąc ich na muszkę. Nic tak nie wyprowadza człowieka z równowagi jak widok wycelowanej w niego lufy. Łatwo wtedy o głupie pomysły.

Z czasem można się przyzwyczaić do tego, jak ludzie zachowują się pod presją. Pojawia się wyparcie, które jest naturalną ludzką reakcją w kryzysowej sytuacji. Próbują negocjować. Ale wcześniej, jeśli

spanikowany człowiek ma kompanów, szuka u nich pomocy. To instynkt. Nie możemy nic na to poradzić. Ci dwaj powinni byli zerknąć na siebie, aby uzgodnić dalsze działanie. Tylko że najwyraźniej wcale się mną nie przejęli, a broń na moim ramieniu nie zrobiła na nich wrażenia. Maldon miał rację, że podążali za nami w konkretnym celu.

Nagle wokół oczu obu olbrzymów pojawiły się zmarszczki, jakby ktoś wrzucił kamień do spokojnej wody, i popłynęły z nich cienkie strużki krwi, znacząc twarze czerwonymi łzami. Powstrzymałem chęć cofnięcia się o krok. Już kiedyś widziałem coś takiego. Tak się dzieje, gdy Uroczy wpuści do twojego wnętrza robaki umysłu. To samo spotkało żołnierzy w skarbcu Wroniej Stopy. Ale Uroczy musi być w pobliżu, aby użyć swojej mrocznej magii, tymczasem byliśmy tutaj tylko we trzech. Tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy Uroczy pojawił się w moim mieście, to nie ja wprowadziłem tych ludzi w pułapkę, ale oni mnie.

Właśnie sięgali po miecze, gdy wycelowałem w większego z nich i wypaliłem. Zamek kurkowy trzasnął, po trwającej uderzenie serca przerwie proch zapłonął, pistolet ryknął i pocisk trafił mężczyznę w górną część lewej ręki. To nie był mój najlepszy strzał. Nie mógł go powalić. Nie wystarczył nawet, by zwrócić jego uwagę.

Nagle w uliczce błysnęły trzy nagie miecze. Nie ufałem swojej niesprawnej nodze na tyle, by rzucić się do ucieczki, a poza tym mężczyźni już na mnie natarli.

Mniejszy z olbrzymów zamachnął się znad głowy, zadając cios, który mógłby odrąbać mi rękę. Sparowałem, odepchnąłem jego ostrze w bok i wykonałem pchnięcie w twarz. Zraniłem go, ale w tej samej chwili zaatakował jego potężniejszy kompan. Bez finezji, bez szermierczych umiejętności, z krwią w oczach. Usunąłem się z drogi i opadający miecz uderzył mniejszego z mężczyzn w ramię. Żaden z nich nie zwrócił na to większej uwagi; krew rytmicznie kapiała z ich oczu. Nie czuli bólu, niczym się nie przejmowali. Nie mieli własnej woli.

Cofnąłem się, próbując zatoczyć krąg i sprawić, by przeszkadzali sobie nawzajem. Mniejszy krwawił z rozplatanego ramienia, ale walka rzadko trwa dłużej niż dziesięć sekund, nie mogłem więc

czekać, aż się wykrwawi.

Potęźniejszy z mężczyzn ponownie zaatakował, wyprowadzając cięcie z ramienia. Sparowałem cios, ale nie miałem czasu na odpowiedź, ponieważ drugi z przeciwników natychmiast poszedł w ślady towarzysza. Zadawali pozbawione polotu, niezdarne ciosy, finezyjne jak szarża bawołu, cały czas biorąc na cel rękę, w której trzymałem miecz. Usunąłem się z drogi i wreszcie znalazłem lukę, z której mogłem skorzystać bez wytracenia impetu. Wykonałem wściekłe cięcie i mniejszy z mężczyzn zatoczył się do tyłu, pozbawiony ręki. Niemal za to zapłaciłem: jego większy kompan był o cal od rozplątania mi głowy.

Nie było sensu z nim rozmawiać. Nie panował nad sobą. Poza tym niemal straciłem oddech. Za dużo cygar, za dużo brandy. Byłem zdecydowanie za wolny.

Olbrzym rzucił się na mnie, zadając kolejną serię potężnych, nieudolnych ciosów. Rozciąłem mu przedramię, skaleczyłem go w twarz, pozostawiłem krwawy ślad na jego koszuli. Nic go nie spowalniało. Kiedy znów na mnie natarł, sparowałem cios i chwyciłem go za nadgarstek, ale zanim zdążyłem przebić mu głowę mieczem, zdołał złapać mnie za uzbrojoną rękę. Wielki drań, o kilka cali wyższy i szerszy ode mnie, a teraz cała ta masa na mnie naparła. Straciłem równowagę i runąłem do tyłu, a on przewrócił się na mnie.

Mokre od potu palce ześlizgnęły się po mojej ręce i jego łokieć grzmotnął mnie w twarz. Świat przesłoniły jaskrawe światła. Coś miękkiego i wilgotnego przywarło do mojej twarzy i poczułem słodką, silną woń lekarskiego środka znieczulającego. Świat zaczął się trząść, i chociaż zacisnąłem gardło, czułem, jak opary wnikają w głąb mojego ciała. Na wpół oślepiony, walcząc z bólem w piersi, próbowałem obrócić się i zrzucić z siebie napastnika, ale był ode mnie cięższy i silniejszy. Gwałtownie odwróciłem głowę i uwolniłem ją od cuchnącej szmaty. Próbowałem zaczerpnąć powietrza do obolałych płuc, ale gówno z tego wyszło, ponieważ olbrzym cały czas na mnie naciskał. Chemiczny smród dotarł do mojego nosa; wywołująca go trucizna miała mnie powalić.

Nagle mężczyzna zwiotczał i znalazłem się pod trzystoma funtami

bezwładnego ciała. W głowie wielkoluda tkwił pałasz. Resztkami sił zepchnąłem z siebie trupa, rozpaczliwie chwytając powietrze, plując i ścierając rękawem śmierdzącą wilgoć z twarzy. Maldon, zbryzgany krwią i szeroko uśmiechnięty, puścił rękojeść broni zakleszczoną w czaszce olbrzyma. Mężczyzna, któremu odrąbałem rękę, uciekł, wyważwszy drzwi pobliskiego domu.

– Miałem wrażenie, że potrzebujesz pomocy – odezwał się Maldon.

– Dobry moment na wkroczenie do akcji – wysapałem.

– Kiedyś obróciłbym go w popiół jednym palcem. – Maldon strzelił palcami, jakby spodziewał się jakiegoś efektu, ale nic się nie wydarzyło.

Popatrzyłem na trupa.

– Jest wystarczająco martwy.

Odór środka znieczulającego osłabł i zawroty głowy ustępowały. Czulem pulsujący ból w skroni, w miejscu, w którym uderzenie łokcia przecięło skórę. Nie miałem czasu całkowicie się pozbierać. Dolna część koszuli zabitego mężczyzny była zaplamiona na czarno i unosił się nad nim paskudny smród, jeszcze silniejszy niż woń środka chemicznego, którym próbowałem mnie odurzyć. Przyklęknąłem i rozchyliłem koszulę. Podczas walki z brzucha mężczyzny oderwał się kawałek skóry. Spod szwu, którym przytwierdzono niedopasowany płat skóry, sączył się gęsty, cuchnący brązowo-czarny płyn. Podobnie jak Marollo Nacomo, ten człowiek zwrócił się o pomoc do Naprawiacza, ale wyglądało na to, że dzięki otrzymanej ode mnie kropli mocy Shavady Saravor nauczył się kilku nowych sztuczek. Oczy trupa były pełne krwi.

Moje serce mocniej zabiło, gdy pomyślałem o Nenn. Co kryje się w jej wnętrzu? Co jej zrobiłem, gdy targowałem się o jej życie?

– Ryhalcie, on cuchnie tak samo jak Oko – odezwał się Maldon. Poruszał nosem jak terier, wciągając powietrze.

– Sądziś, że przebywał w jego pobliżu?

– Niewątpliwie. A może użyto go, żeby... mu... to zrobić.

Wstałem z ziemi. Bitewne pobudzenie słabło i siły stopniowo mnie opuszczały, ale miałem jeszcze dużo pracy. Popatrzyłem na odciętą rękę: trzy palce sterczały z niej pod nienaturalnym kątem. Może źle je

poskładano. Kiedy odrąbałem facetowi rękę, od razu uciekł. Czyżbym uwolnił go spod kontroli Saravora? Musiałem go odnaleźć, aby poznać prawdę. Ślady krwi prowadziły od porzuconej kończyny do otwartych drzwi kamienicy. Podniosłem swój miecz i wytarłem ostrze, klnąc, że skończyła mi się amunicja do pistoletu. Nosilem broń palną z przyzwyczajenia, nie spodziewałem się jednak, że będę jej potrzebował. Z pewnością nie kilkakrotnie.

– Idziesz za tym drugim? – spytał Maldon.

– Oczywiście, że tak.

– Pójdę z tobą.

– Nie. Zabierz Sokoła. Sprowadź Cassa, niech posprząta ten bałagan. Zadbaj o to, żeby ciało trafiło do naszego biura. Nie pozwól, żeby cytadela je zabrała.

Ruszyłem w pogoń.

Krew tworzyła wyraźny trop. Uciekinier przeszedł przez kamienicę, której mieszkańcy byli zbyt biedni, żeby martwić się zewnętrznymi zamkami, a następnie podążył labiryntem ulic. Cywile wskazywali mi właściwy kierunek, gdy ślady stały się rzadsze – nieczęsto widuje się człowieka ze świeżo odciętą ręką. Utykałem za sprawą dawno odniesionej rany, ale nie zatrzymywałem się, nawet kiedy ból zaczął przeszywać moją nogę jak sztylet. Będę się tym martwił, kiedy już złapię tego krwawiącego sukinsyna, zawlekę go do domu i wychylę dwie szklaneczki brandy. Do wesela się zagoi.

„Wmawiaj to sobie, Ryhalcie”.

Kiedy truchtałem kolejnymi uliczkami, ślady krwi stopniowo stawały się mniej regularne, a gdy wyszedłem na jedną z głównych ulic, całkowicie zniknęły. Może udało mu się owinąć ranę. Zagadnąłem staruszka, który palił fajkę na progu domu, czy widział, jak ktoś tędy przebiega, ale zaprzeczył. Pojawił się ktoś nietypowy? Nikt. Sprawiał wrażenie na tyle znudzonego, że z pewnością zwracał uwagę na każdego przechodzącego sąsiada, a co dopiero na nieznanego bez ręki. Wycofałem się do ostatniej wąskiej uliczki. Czyżbym przegapił jakąś bramę? Zdrowa ręka mężczyzny z pewnością była zakrwawiona, ale na żadnych drzwiach nie widziałem śladów, a wszystkie, które pchnąłem, okazały się szczelnie

zamknięte. Tylko przypadkiem dostrzegłem ciemne plamy na kracie prowadzącej do kanału. Kiedy ich dotknąłem, na mojej dłoni pozostał krwawy ślad. Odsunąłem kratę i zszedłem w mrok.

O kanałach trudno powiedzieć coś dobrego, ale ucieszyłem się z trzech rzeczy. Po pierwsze, po obu stronach gęstej mazi znajdowały się chodniki, dzięki czemu nie musiałem brodzić w odchodach. Po drugie, miałem w kieszeni małą zapalniczkę, a wydzielany przez nią fos wystarczył, aby oświetlić mi drogę. Po trzecie, chrząstka w moim nosie już dawno została zmiażdżona, dzięki czemu zmysł węchu był równie imponujący jak talent Tnoty do gry na pianinie.

Człowiek Saravora tutaj był. Opierał się o ceglana ścianę, a rozmazany odcisk jego dłoni doprowadził mnie do drzwi. Nie przegniłych ze starości, ale solidnych i nowych drzwi z twardego drewna, które miały powstrzymać nieproszonych gości. Wyposażono je w zamek. Duży zamek z czarnego żelaza. Kto zamyka na klucz drzwi w kanale? Widząc światło sączące się ze szpar wokół futryny, zgasiłem zapalniczkę.

Drzwi były uchylone, a na ich krawędzi widniał ostatni krwawy odcisk dłoni. Zupełnie jakby ktoś spanikowany zapomniał je zamknąć. Wszedłem.

18

Trudno zrobić na mnie wrażenie. Kurewsko trudno.

Widziałem rzeczy, w które większość ludzi by nie uwierzyła. Widziałem spalone widmowe szkielety uczestników karnawału, które przechodziły przez Nieszczęście. Widziałem, jak bogowie niszczą jednego ze swoich pobratymców w sercu Maszynerii, i widziałem, jak kobieta uwalnia energię, która mogłaby zmieść z powierzchni ziemi całą armię. Ale czasami nie chodzi o to, jak bardzo coś jest fantastyczne, dziwaczne albo, kurwa, magiczne. Chodzi o człowieczeństwo. A raczej jego brak. Kiedy przeszedłem przez te drzwi, mój świat zachwiał się w posadach.

To nie powinno się dziać w moim mieście.

Podejrzewam, że kiedyś mieściła się tutaj jakaś świątynia, zanim w Łańcuchu wzniesiono Valengrad, by chronić Maszynerię. Kolumny były stare, niektóre wyrzeźbiono z pojedynczych kamiennych słupów, inne zbudowano z kilku warstw. W każdym kącie pomieszczenia umieszczono fos-kulę podłączoną do sieci prymitywnie poskręcanymi kablami. Niezależnie od tego, jakiego zapomnianego boga tutaj czczono, od tamtego czasu świątynię zmieniono w świecką przestrzeń. Urządzono w niej jatkę. Tylko że nie szlachtowano tu świń ani bydła.

Ciała. Wisiały tu w równych rzędach całe tuziny ciał. Między nimi fos-kule rzucały zimne snopy fos-światła, a nieudolnie połączone kable skwierczały.

Mężczyźni. Kobiety. Miejscami także dzieci. Wisieli na łańcuchach z czarnego żelaza, na hakach na mięso wbitych pod łopatki. Wyżsi sięgali stopami posadzki, niżsi dyndali w powietrzu. Widywałem już duże skupiska zwłok, zapewne sam uśmierciłem więcej ludzi, ale uporządkowany sposób, w jaki rozmieszczono trupy, które zwracały się w moją stronę z opuszczonymi głowami, milczące i blade, ciemne

albo złociste, świadczył o metodyczności. Precyzji. To nie był skutek trafienia armatniej kuli, która rozrzuca ciała na wszystkie strony w imię wojny. To była czyjaś praca. Wybór. Decyzja.

Ciała zostały okaleczone. Wszystkie albo prawie wszystkie. Brakowało im kończyn, skóry, wnętrzności lub twarzy. Każdemu, od siwowłosego starca przy drzwiach po nastolatka trzy rzędy dalej. Coś im odkrojono. Nie wyszarpano, odrąbano albo odgryziono, ale odkrojono. Z chirurgiczną precyzją. Posadzkę pod zwłokami pokrywały czarne i zaschnięte plamy. Pod ścianami piętrzyły się niechciane kości. Saravor działał tutaj w ciemności całymi miesiącami. Może latami. Ilu ludzi wędrujących ulicami nosi na sobie ślady jego zabiegów?

Nagle poczułem się przytłoczony. Nie spodziewałem się czegoś takiego, a jeśli Saravor tutaj jest, to popełniłem straszliwy błąd. Naprawiacz postanowił mnie utrucić – albo schwytać żywcem, biorąc pod uwagę, że napastnicy próbowali mnie rozbroić i odurzyć – i wysłał swoich najpotężniejszych bandziorów. Przetrwałem to starcie, ale teraz powinienem tu wrócić z setką ludzi i dziesięcioma bojowymi Przędzaczami, żeby zrównać to miejsce z ziemią.

Z boku dawnej świątyni znajdowały się kolejne drzwi, a za nimi w głębi stały stoły, na których rozgrywały się brutalne ludzkie dramaty. Na ścianach wisiały haki z różnymi częściami ciała, głównie dłońmi, ale również skalpami, stopami, twarzami, a także czymś, co zapewne było sercem. Koszmar trwał tutaj, w moim mieście, pod moim nosem, a moja głowa pulsowała gorącym czarnym gniewem.

Przedostałem się przez las wiszących ciał i znalazłem ściganego mężczyznę; leżał obok jednego z zakrwawionych stołów. Był blady, przyciskał kikut do piersi i spoglądał na mnie niepewnym wzrokiem.

– Napraw mnie – zarządził. Nie rozumiał, kim jestem. Majaczył od upływu krwi. – Napraw mnie jeszcze raz – wyszeptał, rozpaczliwie pragnąc znów stać się całością.

Właśnie takie było przeznaczenie tego miejsca. Skład mięsa wykorzystywanego w niegodziwej pracy Saravora. Ale facet miał niewielkie szanse na naprawę. W jego ciele pozostało za mało krwi.

Powinienem odejść. Zamiast tego chwyciłem go za gardło.

– Gdzie Saravor? – zapytałem. – Gdzie jest Oko? – Potrząsnąłem nim. Spoliczkowałem go. Próbowałem podtrzymać światło w jego oczach.

Nawet mnie nie widział. Ledwie oddychał. Umarł.

Wstałem i odwróciłem się, po czym zrozumiałem, że powinienem był odejść, gdy miałem ku temu okazję.

Między rzędami trupów stali mężczyzna i kobieta uzbrojeni w dymiące rusznice. Zamarłem. Nadeszli z różnych stron, a każde mogło zrobić we mnie dziurę wielkości pięści.

Kobieta miała na sobie roboczy kombinezon, jakby oderwała się od kładzenia rur, żeby wziąć mnie na muszkę, ale od pasa w górę była naga. Nieudolnie wykonane szwy tworzyły granicę między opalonym ciałem na jej piersi a kremowo-żółtą łatą pod pachą. Została naprawiona, tak samo jak Nenn. Kolejny twór Saravora. W kącikach jej oczu zgromadziły się kropelki krwi, co potwierdziło moje podejrzenia, że Saravor nie tylko składał ludzi do kupy. Zmieniał ich. Brał w posiadanie. Uroczy potrafili przejąć kontrolę nad wolą człowieka za pomocą robaków umysłu. Dałem mu taką magię, a on ją przyjął i splótł z własną mocą.

– Rzuć miecz – powiedziała kobieta.

Znajdowała się w najgorszej możliwej odległości. Nie miałem szans do niej dopaść, zanim wystrzeli, a ona nie mogła spudłować. Mocno trzymała korpus rusznicy i nie miałem innego wyjścia, jak jej posłuchać. Ostrze zabrzęczało na kamiennej posadzce świątyni jak pogrzebowy dzwon. Mężczyzna się zbliżył, ani na chwilę nie przestając do mnie celować.

– Obróć się – powiedział. – Stań przodem do niej. – Ich głosy brzmiały beznamiętnie i martwo.

Zrobiłem, co mi rozkazał.

Podejrzewam, że zdzielił mnie w bok głowy kolbą rusznicy, bo poczułem potężne uderzenie. Straciłem orientację. Pograżyłem się w bólu. Nic nie miało sensu. Nie straciłem świadomości – wiedziałem, że mnie przenoszą – ale mój mózg tak kołatał się w czaszce, że nie miało to większego znaczenia. Nie mogłem się ruszyć.

Porywacze położyli mnie na stole. Spętali mi ręce i przymocowali sznur do haka nad moją głową. Do obu stóp przywiązali linę. Kręciło mi się w głowie i czułem mdłości, tak że prawie się krztusiłem.

– Mistrz chce, żeby go związać – powiedział mężczyzna. Wszystko wirowało mi przed oczami i nie mogłem zebrać myśli, ale odniosłem wrażenie, że nie chodzi im o zwykły sznur.

– Jakikolwiek zawarlicie z nim układ, uwierzcie mi, że nie wyjdziecie na tym dobrze – odezwałem się. – Myślicie, że on dotrzyma warunków, skoro dobrał się do waszych umysłów?

Kobieta i mężczyzna milczeli; miałem wrażenie, że mnie nie zauważają.

– Zawsze dotrzymuję warunków umowy – rozległ się dobiegający spomiędzy ciał chrapliwy szept.

Nie byłem gotowy na zobaczenie nowego uczestnika rozmowy. Moja głowa pulsowała bólem, jakby jakieś dziecko okładało ją młotkiem. Wzięłem głęboki oddech i popatrzyłem.

Pojawiła się dwójka szarych dzieci o twarzach pozbawionych wyrazu i bladych jak pustynny piasek. Jeden z malców trzymał odciętą głowę, podobną do tej, którą kiedyś dostarczył mi Saravor. Wysuszona szara skóra, równo przecięta szyja, niewidoczne źrenice. Głowa należała do staruszki o włosach delikatnych i białych jak jedwab. Szare dziecko trzymało ją w zgięciu łokcia, a głos wydobywający się z nieruchomych ust brzmiał sucho jak szelest opadłych liści.

– Galharrow.

– Saravorze – odpowiedziałem. Ból napływał do mojej głowy wzbudzającymi mdłości falami. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Jesteś taki spokojny, Galharrow. To dobrze – westchnęła głowa. – Dzisiaj kosztowałeś mnie dwóch bardzo lojalnych służących. Gdybym wiedział, że sam tutaj przyjdiesz, po prostu bym cię zaprosił. Może moglibyśmy zawrzeć nowy układ.

Dzieci podeszły bliżej.

– Wiele czasu minęło od naszej ostatniej umowy, Saravorze – odparłem. Oczy w odciętej głowie powoli na mnie popatrzyły.

– Wszystkie umowy kiedyś wygasają – syknęła głowa. – Nasza

dawna współpraca dobiegła końca, ale znów potrzebuję twojego wsparcia. Czarnoskrzydli pomogą mi w tych ostatnich dniach.

Szarpnąłem się, napinając więzy, ogarnięty nagłą paniką – uświadomiłem sobie, co Saravor zamierza – ale węzły tylko jeszcze mocniej zacisnęły się na moich nadgarstkach. Byłem przerażony. Szczerze, dogłębnie przerażony. Saravora nie było tutaj osobiście, ale niewiele żywych istot napęła mnie takim strachem jak on. Królowie Głębi, Bezimienni, meduza żyjąca pod piaskami na północy Nieszczęścia i może jeszcze moja matka. On także był na tej liście. On i jego stwory.

Chciał spętać moją wolę, tak jak to zrobił z tym biednym skurwielem, który właśnie wykrwawił się na podłodze, z Marollem Nacomem i tym kimś, kto nosił twarz Devlena Maille'a. Jego moc wzrosła, a gdyby mnie przemienił, stałbym się jednym z jego stworów. Niewolnikiem.

– Musimy przytwierdzić jakąś część – odezwał się mężczyzna. – Którą?

Przez kilka chwil panowała cisza.

– Przeprowadźcie więźnia – syknęła głowa. – Jeśli Galharrow ma pozostać na swoim stanowisku, musi to być coś świeżego. Karnacja więźnia będzie pasować, zresztą nie jest mi już do niczego potrzebny.

Szare dziecko położyło głowę na stole u moich stóp, po czym uklękło. Kiedy się podniosło, trzymało w garści piłę. Jej nierówne, tępe zęby były upstrzone rdzą. Nie, to nie była rdza. Coś zaschniętego, co miało taki sam kolor. Napiąłem się i zrobiło mi się zimno. Mocniej szarpnąłem więzy, ale chociaż przewyższałem siłą większość ludzi, nie mogłem zerwać liny. Szybko oddychałem. Staccato gorących oddechów. Piła nie lśniła złowieszczo; przerażał mnie raczej matowy brud, który ją pokrywał.

Szare dzieci popatrzyły na więźnia, który potulnie wszedł do pomieszczenia. Nie stawiał oporu. Nie wiadomo, kim był, zanim Saravor go porwał. Pchnęły go do kąta, gdzie skulił się przed ręką, która nim kierowała.

Więźnia można było wziąć za najędzniejszego żebraka. Jego długie, splątane włosy pokrywał tłuszcz i brud. Miał wychudzoną

twarz, kości sterczały mu spod skóry. Jeśli nawet przez ostatni rok widział miskę z wodą, to na pewno nie próbował się w niej umyć. Ale jego ubranie kiedyś było eleganckie. Wysokiej jakości koronki i jedwab nie uległy zniszczeniu za sprawą koszmaru, który przeżył ich właściciel.

– To musi być konieczna, żeby zagwarantować silne związanie. Galharrow już mi udowodnił, jaki jest odporny – wysapała głowa. – Prawa dłoń może utrudniać składanie podpisów. Stopa zawsze powoduje utykanie i niepotrzebnie zwraca uwagę. Odetnijcie mu lewą rękę. Nie da się jej idealnie dopasować, ale może nosić długie rękawy.

Szare dzieci podały piłę sładze.

– Czego chcesz, Saravorze? Może zawrzemy układ – powiedziałem. Byłem zdesperowany. Słaby. Rzucałem dwiema kostkami i miałem nadzieję, że wyrzucę trzy szóstki. – Czegoś potrzebujesz. Powiedz. Negocjujmy. Wiesz, że można mi zaufać.

Brzmiałem żałośnie. Byłem żaloszny. Ale kto taki nie jest w obliczu utraty konieczny.

– A czego chce każdy człowiek? – odrzekła głowa. – Chcę być potężny. Silniejszy i śmielszy. Sprawować kontrolę, wspinać się wyżej. – Opowieści o władzy wywołały uśmiech na twarzach szarych dzieci. – Nie możesz mi zaproponować niczego, czego nie potrafię zdobyć samodzielnie – wyszeptaly trupie usta. – Co byś mi dał? Pieniądze? Seks? Nie, Galharrow. Potrzebuję od ciebie tylko jednego.

– Podejrzewam, że nie chodzi o dobrą radę? – warknąłem.

– Twoje zęby – odrzekła głowa. Przysięgam, że martwa głowa staruszki niemal się do mnie uśmiechnęła. – Cóż to byłaby za zdobycz. Sam bym je nosił. Zęby, które wyrwały krtań Torolla Mancona!

– Oszalałeś, kurwa – odparłem.

– Jeśli nie będziesz się ruszał, szybciej przepikuję kość – odezwał się mężczyzna z piłą. – Jeśli utnę pod równym kątem, rękę uda się prosto przymocować. Będzie mniej bolało. Szybciej wrócisz do siebie. – Uśmiechnął się i pokazał szew wokół własnej pachy. Zupełnie jakby jego niewola była cudownym podarunkiem.

– Galharrow... – Z kąta sali dobiegł słaby głos oblepionego brudem więźnia. Wpatrywał się we mnie, jakbym był Duchem Sądu zesłanym

po to, aby go spalić. Był przerażony. Gdy dokładniej mu się przyjrzałem, nagle go rozpoznałem.

Ponownie szarpnąłem więzy, ale sznur mocniej wpił mi się w ciało. Napierałem z całej siły, aż lniane powrozy poraniły mnie do krwi, wrzeszczałem i miotałem się, ale bezskutecznie. W końcu dałem za wygraną, zdyszany, pokaleczony i zakrwawiony. Poczekali, aż stracę siły. Mieli mnóstwo czasu.

Dantry Tanza, niech go Duchy przeklną.

– Przytrzymaj go – powiedział mężczyzna z piłą do kobiety.

Podeszła bliżej i przycisnęła moje łokcie do blatu. Nie była wystarczająco ciężka, żeby mnie utrzymać, ale liny wciąż mnie krępowały. Facet z piłą uważnie mi się przyjrzał.

– Naprawdę będzie łatwiej, jeśli przestaniesz się opierać.

Przez chwilę zdradziecko poddałem się lękowi i rozważałem, czy nie zrezygnować z walki, ale to nie trwało długo. Warczałem i plułem, lecz kobieta mnie przydusiła, a ja byłem zmęczony i wciąż kręciło mi się w głowie. Nierówne zęby piły oparły się na skórze po wewnętrznej stronie mojego lewego łokcia.

Potem się cofnęły.

Szarpnąłem ręką, kiedy zęby wbiły się w ciało. Piła się ześlizgnęła i zamiast zagłębić się w moim łokciu, rozerwała kruka wytatuowanego na przedramieniu.

Powiedziałem Nenn, że kiedyś próbowałem usunąć kruka ze swojej skóry i że wiem, jakie są tego konsekwencje.

Rozległ się trzask, jakby przewrócił się stuletni dąb. Poczułem woń gorącej smoły i spalonych włosów. Kruk stawiał opór zębom piły, a moja ręka zapłonęła, gdy fala płynnej ciemności wlała się do pomieszczenia, rzucając mężczyznę i kobietę o ścianę. Z mojej ręki wypłynął koszmar, żywa czerń: zabezpieczenie Wroniej Stopy na wypadek, gdyby któryś z jego sług próbował wyciąć go ze swojego ciała. Zepsucie, które się ze mnie wylało, nie miało kształtu. To był obłok wrzącego, wypełnionego nienawiścią tuszu, który miotał się w powietrzu, bezmyślny i niestabilny. Salę zalało tłuste, cuchnące fioletowe światło.

Zobaczyłem szare dzieci Saravora z zupełnie nowej perspektywy.

Zniknęły wszelkie pozory i ukazała się ich prawdziwa natura. Nie były dziećmi, lecz istotami starszymi od gór, pomarszczonymi i nieczystymi. Z ich łuskowatych czoł sterczały rzędy tępych rogów, a koścista chudość nie była skutkiem braku apetytu, tylko wiecznego nienasycenia. Syczały i jazgotały, łypiąc olbrzymimi pomarańczowymi ślepiami, gdy obca magia próbowała je spalić.

Dzikie i nieopanowane zepsucie, które wylało się z mojej ręki, spowodowało, że drewno pode mną zaskwierczało i zwilgotniało, a sznury, które pętały moje ręce, wyschły i obróciły się w proch. Kiedy się uwolniłem, szare dzieci wrzasnęły przesywajaco i uciekły. Kobieta zginęła – wybuch magii rozłożył jej ciało, które odpadło od kości – ale mężczyzna tylko się przewrócił. Zerwał się na nogi, gdy zatruta magia trysnęła, a ciało na jego policzku zaskwierczało i spłynęło. Na wpół oślepiiony, uniósł piłę, żeby się bronić, ale ja już się uwolniłem. Jeszcze nie w pełni odzyskałem wzrok, ale udało mi się chwycić piłę, i kiedy runęliśmy na posadzkę, rozciąłem mu gardło, a wtedy zbryzgało mnie to, co znajdowało się w jego wnętrzu.

Chwyciłem Dantry'ego i go podniosłem, nie dbając o ból, który przeszył moją nogę. Kiedy walczysz o ludzi, których kochasz, jesteś w stanie znieść każde cierpienie. Zapomniałem także o bólu głowy i skupiłem się na tym, aby przenieść hrabiego w bezpieczne miejsce. Słyszałem słabnące wrzaski szarych dzieci, które dobiegały z mrocznych tuneli za moimi plecami. Wrócą z większymi siłami i kolejnymi piłami.

19

Tego, co zostało z Dantry'ego Tanzy, nie dałbym nawet wygłodniałemu psu. A mówiąc dokładniej, wątpię, aby nawet wychudły pies był zainteresowany ogryzieniem jego kości.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, w Nieszczęściu, miał trzydzieści lat, ale w jego wyglądzie i zachowaniu było coś chłopięcego. Miał gładką skórę, dłonie bardziej przywykłe do pióra niż pługu i cechowała go beztroska, jaką daje tylko konto bankowe bez dna. Ponadto był niezwykle łatwowierny i nie chciał uznać – pomimo swojej sytuacji i zabójstwa jego służącego Glosta – że ktokolwiek przeciwko niemu knuje.

Stojąc obok jego posłania, ze smutkiem pomyślałem, że teraz nie może w to wątpić.

Dantry zawsze był szczupły, ale teraz przypominał szkielet. Mogliby mu współczuć najnędzniejsi żebracy w Ścieku. Jego skóra była mlecznobiała jak u robaka, włosy i broda zbiły się w wilgotną, splątaną masę. Był brudny i zapewne miał na sobie te podarte szmaty od czasu uprowadzenia. Na przodzie jego koszuli tkwił pojedynczy perłowy guzik, ostatnia pamiątka po dawnej elegancji.

Posłałem Maldona po Cassa i Valiyę. Podczas gdy zmywałem krew ze swoich nadgarstków i głowy, oni rozebrali Dantry'ego na dziedzińcu, obcięli mu włosy i spalili ubrania, aby poradzić sobie z wszami. Dantry był zbyt oszołomiony, by zwracać uwagę na takie niegodne traktowanie. Dopisałem go do swojej listy pretensji do Saravora.

Leżał w moim łóżku, w moim domu, pocąc się z gorączki, na zmianę dygocząc i całkowicie nieruchomiejąc, cichy jak trup. Nie widziałem go od ponad dwóch lat. Niechęć, którą do niego czułem, tkwiła w mojej piersi jak zadra.

Do pokoju weszły Valiya i Amaira z miską wody, nożyczkami i brzytwą.

– Chcesz sam to zrobić czy cię wyręczyć? – spytała Valiya. Dłonie lekko mi drżały, więc pokiwałem głową, dając jej wolną rękę. W głowie wciąż czułem pulsowanie, a noga zapewne będzie mnie męczyła przez kilka dni.

– Dlaczego jest taki chory? – zapytała Amaira. Nie miała ochoty się do niego zbliżać.

– Żli ludzie paskudnie się z nim obeszli – odrzekłem. – Właśnie dlatego robimy to, co robimy, Amairo. Ponieważ dobrym ludziom takim jak ten chłopiec dzieje się krzywda.

– To mężczyzna, a nie chłopiec. – Miała rację, ale dla mnie Dantry zawsze pozostanie chłopcem.

Valiya pracowała w milczeniu. Jeszcze na dziedzińcu obcięła Tanzie splątaną brodę, a teraz brzytwą usuwała resztę zarostu. Dantry wzdrygnął się i coś wymamrotał. Kiedy wyciągnąłem go z kanału, dostał gorączki, zupełnie jakby wcześniej z całych sił się przed nią bronił. Teraz dał za wygraną i choroba przypuściła szturm.

– Kto go więził w takim stanie? – spytała Valiya.

– Saravor – odpowiedziałem. – Miał Dantry'ego. Ma Oko. A wkrótce słono za to zapłaci.

– Wiesz, gdzie go znaleźć?

Pokręciłem głową, co było błędem, gdyż natychmiast poczułem zawroty głowy i mdłości. Zdecydowane, silne palce pociągnęły mnie na fotel, a Amaira odsunęła się, gdy na niego opadłem, wzbijając obłok kurzu z poduszki. Całe to pomieszczenie sprawiało wrażenie opuszczonego. Nic dziwnego – rzadko tutaj bywałem, a moja pokojówka najwyraźniej porzuciła swoje obowiązki, gdy ogień zaczął spadać z nieba. Byłem wyczerpany, miałem zszargane nerwy. Walka z marionetkami Saravora wiele mnie kosztowała. Potrzebowałem brandy. Albo czegośkolwiek innego, co złagodzi ból i przywróci mi nieco energii.

– Coś panu przynieść, panie kapitanie? – spytała Amaira.

– Co ona tu robi?! – zawołałem do Valiyi. – Nie powinna tego oglądać.

– Posłałeś wszystkich pozostałych do kanałów, a ja potrzebowałam pomocy. Amairo, przynieś mi więcej wody.

Mała sprawiała wrażenie przygnębionej. Urażonej. Nie rozumiała, że chcę ją przed tym ochronić dla jej własnego dobra. Życie kapitana Czarnoskrzydłych nie jest godne pozazdroszczenia, nie prowadzi do bogactwa, rodzinnego szczęścia ani spełnienia. Jestem jak parasol osłaniający miasto przed nieustającym strumieniem szczyń. Amaira to dobry dzieciak. Zasługuje na coś lepszego.

Śniło mi się to samo, co zawsze. Elizabeth, zimna i zagubiona w świetle, wyciągała do mnie rękę. Próbowałem jej dotknąć, ale nigdy nie udało mi się dosięgnąć jej zmasakrowanej dłoni. Po obudzeniu jeszcze przez chwilę dygotałem. Leżałem w cichym, przytulnym pokoju. Valiya okryła mnie kocem. Świece dawały łagodne światło i ktoś napalił w kominku. Z drugiego końca pomieszczenia dobiegał cichy, świszczący oddech Dantry'ego, ale aromat świec maskował odór jego choroby. Moja głowa pulsowała bólem i zastanawiałem się, co mnie obudziło.

Na stoliku przy łóżku zobaczyłem kubek dawno ostygłej herbaty, talerz z wołowiną i warzywami, a przede wszystkim butelkę brandy z Whitelande. Dałem sobie spokój ze szklanką, usiadłem na fotelu i solidnie pociągnąłem z butelki. Już dla samej brandy z Whitelande warto bronić republiki. Zastanawiałem się, czy przyniosła mi ją Valiya, czy może Amaira, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie ma to większego znaczenia, ponieważ kocham je obie. Wypiłem pół butelki, nie wstając z fotela. Nagle daleko w górze rozległ się grzmot, gdy tarcza Thierra odbiła pocisk. Ogień znów spadał z nieba. Zapewne właśnie to mnie obudziło.

Krzywiłem się za każdym razem, gdy zginałem nadgarstki. Czerwone pręgi po sznurach pokryły się strupami, ale w miejscu, w którym zęby piły wbiły się w tatuaż z krukiem, nie pozostał żaden ślad. Nie pierwszy raz zastanawiałem się, gdzie są Wronia Stopa i Nall, co knują i dlaczego nie przyszli nam z pomocą. Przypomniałem sobie zdeformowanego zmrożonego ptaka, który wyrwał się z mojej ręki i nieudolnie próbował przekazać mi wiadomość. To wszystko źle wróżyło.

Byłem wykończony, uginały się pode mną nogi, a ciało pulsowało zmęczeniem, lecz sen już mnie opuścił. W mojej głowie to, co wiedziałem, mieszało się z tym, co wydawało mi się, że wiem, a także z nieodłącznymi obawami przed tym, o czym nie miałem pojęcia. Plany Saravora były bardziej zaawansowane, niż śmiałem przyznać. Wysłanie ludzi do Nieszczęścia, kradzież Oka ze skarbcza Wroniej Stopy – to wyglądało na początek jakiejś intrygi, ale teraz wiedziałem, że Saravor knuł przeciwko nam już od dawna. Zapewne od chwili, gdy przekazałem mu część mocy Shavady. Czas mijał powoli, a ja pozostałem sam ze swoim żalem. Usłyszałem uderzenia czterech pocisków, które ominęły tarczę świadków. Po tym, czego doświadczyłem pod miastem, ich huk nie zrobił na mnie żadnego wrażenia.

Nadszedł świt, a wraz z nim Valiya, która przyniosła mi gorącą herbatę i owsiankę.

– Nenn wróciła z kanałów. Lepiej z nią porozmawiaj.

– Przyślij ją.

Nenn wyglądała tak, jakby miała za sobą ciężką noc, co w jej przypadku rzadko się zdarzało. Kiedy wydostałem się z kanałów, posłałem ją tam razem z jej Kaczkami i wszystkimi naszymi zabijakami.

– Jak miasto?

– Rozbite. Cztery ognie z nieba przedostały się przez tarczę. Jeden trafił w rzeźnię, więc na okolicznych dachach walają się wieprzowe kotlety. Jak się czuje Dantry?

– Bez zmian. – Potarłem oczy, usuwając z nich resztki snu. – Co znalazłaś?

– Myślałam, że w Nieszczęściu widziałam najstraszniejsze, co świat ma nam do zaoferowania – odrzekła Nenn – ale to było gorsze.

Kiedy Nenn i jej chłopcy wpadli do kanałów, szare dzieci już uciekły, a po Saravorze także nie pozostał żaden ślad. Maldon zszedł razem z nimi, ale okazało się, że Oko nie było tam przechowywane. Zgodnie z przewidywaniami Saravor miał więcej kryjówek. Możliwe, że ukrył pod miastem więcej takich kostnic, gdzie martwe ciała wiszą jak bydło, gotowe do pobrania organów. Sama ich liczba nie

pozostawiała wątpliwości, że Saravor nie zajmuje się już tylko naprawianiem ludzi. Nie ogranicza się do zawierania układów z pojedynczymi klientami, ale buduje armię służących, których może bezpośrednio kontrolować.

Może Nenn też zdawała sobie z tego sprawę. Sięgnęła po opróżnioną do połowy butelkę brandy, a ja jej nie powstrzymałem. Po kilku łykach usiadła obok mnie.

– Miałem nadzieję, że znajdziecie przynajmniej te jego dzieci – powiedziałem. – Nie wiem, czym one są, ale lepiej byłoby je zabić.

– Zależy mi na Saravorze – odparła. Oczyma wyobraźni widziała scenę, w której zapewne ćwiartowała czarownika. Nie wspominaliśmy o naszej najgorszej obawie, mając nadzieję, że nowe zdolności Saravora nie działają wstecz i nie dotyczą tych, których naprawił, zanim przekazałem moc Shavady szarym dzieciom.

– Książka – rozległo się chrapliwe rżenie z drugiego końca pokoju.

Wstałem, chwiejąc się na nogach, mimo że spałem dłużej niż przez cały ostatni tydzień. Rozprostowałem ramiona, a mój kręgosłup trzasnął jak rozgniatany żuk. Robiłem się za stary na wymachiwanie mieczem, a podczas wczorajszej walki naciągnąłem sobie coś w ramieniu i biodrze. Skrzywiłem się, podchodząc do posłania Dantry'ego.

– Jak się czujesz? – spytałem. Zwrócił ku mnie wychudzoną, podobną do czaszki twarz. Nieco się zarumienił, a jego pościel cuchnęła potem.

– Czy były tam moje książki? Dokumenty? Czy je znaleźli?

– Żadnych książek – odrzekła Nenn, dołączając do nas. – Na Duchy Miłosierdzia, Dantry. Wyglądasz jak świńska dupa.

– Ciebie też miło wiedzieć, pani generał. – Pozwolił sobie na słaby uśmiech, który już po chwili zniknął z jego twarzy. Nenn chciała mu wytłumaczyć, że już nie jest generałem, ponieważ nie potrafiła zapanować nas swoimi pięściami, ale uznała, że będzie na to czas później.

– O jaką książkę chodzi? – spytałem. Dantry pokazał, że chce usiąść, pomogłem mu więc oprzeć się o kilka poduszek.

– *Kodeks Tarana*. Była tam.

Ta przeklęta książka. Dantry miał na jej punkcie obsesję, jeszcze zanim zniknął.

– Nie było tam niczego poza trupami – odpowiedziała Nenn. Podała mu miskę. – Jedz. Musisz napełnić żołądek.

Poprosiłem Nenn o kolejną butelkę brandy, ponieważ chciałem, żeby wyszła z pokoju. Odruchowo posłałem ją razem z jej Kaczkami do kanałów, ale teraz uznałem, że będzie lepiej, jeśli nie usłyszy naszej rozmowy.

Między łykami pożywnego bulionu z ogona wołowego Dantry zrelacjonował mi to, co zapamiętał. W kanałach stracił poczucie czasu, ale obaj uważaliśmy, że przebywał w niewoli przez większą część dwóch lat, które upłynęły od naszego rozstania.

– Wiedziałem, kim on jest – wyjaśnił Dantry. – Saravor. Wyglądał, jakby zszyto go z kawałków, które niezbyt do siebie pasowały. Wiedział, że mam egzemplarz *Kodeksu*. Podstępem zwabił mnie na spotkanie, podając się za lingwistę, ale na miejscu czekali na mnie jego ludzie. Zabrali mnie do podziemnej celi. Nie opuszczałem jej aż do dzisiejszego dnia.

– Dlaczego?

– Zmusił mnie, abym mu pomógł zrozumieć tę książkę.

– A ty nie potrafiłeś jej odczytać?

– Nie potrafiłem. Ale Saravor przetłumaczył ją z akackiego. On dużo wie, Ryhalcie. Jest taki stary, a przynajmniej te dzieci takie są. W tej książce znajdują się rzeczy, których nikt nie powinien poznać. Taran był Bezimiennym i tysiąc lat temu zapisał wszystko, co wiedział o przechodzeniu do innej rzeczywistości. – Dantry na chwilę zamilkł. – Chciałbym zapomnieć to, czego się dowiedziałem, a Saravor pokazywał mi tylko fragmenty. Tylko części, których nie rozumiał. Robiłem dla niego obliczenia. – Łyżka zadrżała mu w dłoniach. – Użył robaków umysłu, szukał informacji w moim mózgu. Ale nie mógł mnie zmusić, abym za niego myślał. One nie działają w taki sposób. Saravor potrafi zmienić ludzkie ciało w marionetkę i odczytać wspomnienia, ale nie może zmusić nikogo do nowej myśli.

Astronomia i matematyka. One zawsze były specjalnością Dantry'ego i trudził się nad nimi w samotności i mroku. Czasami jego

latarenka się wypalała i zapomniano o nim na kilka dni. Potem któryś ze sług Saravora uzupełniał oliwę i kazał więźniowi wracać do pracy. Jeśli nie pracował, nie dostawał jedzenia, taki był układ, więc Dantry się nie wymigiwał.

– Czego chciał? – spytałem.

Dantry zamknął oczy i położył głowę na poduszce.

– Wszystkiego – odrzekł. – Nauczyć się tego, co Taran kiedyś wiedział, i rozszyfrować tajemnice *Kodeksu*. Chce się stać taki jak Bezimienni. Albo Królowie Głębi. Ale zawsze się bał. Obawiał się Bezimiennych. – Popatrzył prosto na mnie. – Bał się Elizabeth. Przynajmniej przez pewien czas. Wciąż opowiadał mi o wizjach Jasnej Pani, które zdarzały się coraz częściej. Pragnął się dowiedzieć, kim ona jest. Ale im więcej się dowiadaliśmy, tym mniej się lękał. Zaczął wierzyć, że ona z każdym objawieniem gromadzi więcej mocy, a kiedy mu zagroziłem, twierdząc, że ona przybędzie, aby mnie ocalić, tylko się roześmiał i dał mi do przeczytania kolejny fragment *Kodeksu*. Zmusił mnie, żebym dowiódł tego, co już sam wydedukowałem. – Dantry popatrzył na koc na swoich kolanach. – Przykro mi, Ryhalcie. Miałeś rację. Trzeba większej mocy niż ta, która kiedykolwiek kryła się w Sercu Pustki, aby dotrzeć do niej w świetle. Jest uwięziona w innym świecie i nawet Maszynaria Nalla nie ma wystarczającej siły, by przebić tę barierę. Nie da się jej dosięgnąć. – Wyglądał na zboląłego.

– Jasny Zakon wierzy, że ona wróci – odrzekłem. Tak długo nie chciałem w to wierzyć, ale gdzieś we mnie tliła się słaba iskra nadziei. Za sprawą jego słów ta nadzieja pękła i obróciła się w pył.

– Jej świat już nie jest naszym światem. Nie może do nas wrócić, tak jak i my nie możemy jej dosięgnąć. Prawa wyłożone w *Kodeksie Tarana* tego dowodzą.

Wyobraziłem sobie samotnego i udręczonego Dantry'ego, który wykonywał obliczenia, aby dowieść, że jego nadzieje były próżne. Jeśli kiedyś będę miał szansę, rozerwę Saravora własnymi rękami, kawałek po przszytym kawałku.

– Więc po co gromadzi moc, skoro nie może wrócić? Po co?

– Nie wiem. Ale Saravor dowiódł, że ona właśnie to robi. Rzeczy opisane w tej książce... Ryhalcie, wiem, jak się rodzą gwiazdy.

Rozumiem, jak rozszczepiać najmniejsze cząsteczki, z których wszyscy się składamy. To oszałamiające. Znam tylko garstkę akademików, którzy potrafiliby wykonać te obliczenia.

– Ale ty to zrobiłeś.

Dantry zamieszał bulion.

– Jaki miałem wybór?

– Żadnego. Też bym to zrobił. Więc co on planuje?

– Nie wiem. Nie znam szczegółów, ale część wywnioskowałem. Zamierza przeciwstawić sobie dwa rodzaje magii. Nie wiem, jakie dokładnie, ale to potężne siły. Chciał się dowiedzieć, jak uniknąć zniszczenia z ich rąk. Niech Duchy mi wybaczą, Ryhalcie, pokazałem mu. Cokolwiek on planuje, wie już wszystko, czego potrzebuje. Nie jestem mu do niczego więcej potrzebny.

Chyba że na części zamienne.

– Odpocznij – powiedziałem. – Kiedy się wyśpisz, zacznij zapisywać wszystko, co pamiętasz. Wszystko, co może nam pomóc. Musimy się dowiedzieć, co on odkrył.

– Postaram się – odrzekł Dantry. – Ryhalcie... przykro mi.

Byłem w zbyt ponurym nastroju, by go pocieszać. Nie potrafiłem się zdobyć na żadne serdeczne słowa.

* * *

Zostawiłem go, aby odpoczął. Nenn musiała ruszać do pracy. Harowała całą noc, ale skoro cytadelą dowodził pułkownik Koska, a członkowie Jasnego Zakonu byli u władzy, potrzebowałem kogoś, kto uspokoi sytuację w cytadeli. Jej żołnierze już czekali w napięciu na zimnej ulicy.

Nenn i ja w progu wpadliśmy na Valiyę.

– Jeśli nie jestem wam potrzebna, muszę trochę odpocząć – oznajmiła. Sprawiała wrażenie równie wyczerpanej jak my. Nie musiała tutaj siedzieć całą noc, ale powiedziec Valiyi, aby przestała pracować, to jak powiedziec mnie, żebym przestał pić. – Major Nenn, czy mogłaby pani postawić dwóch żołnierzy przed drzwiami?

– Brakuje nam ludzi, ale kogoś znajdę – odrzekła Nenn. Obie się zawahały, czekając, aż ta druga odejdzie. Nenn wygrała tę konfrontację i ze skrzyżowanymi na piersi rękami patrzyła, jak Valiya idzie do wynajętego powozu. Z jej ust wyrwało się coś pomiędzy stęknieniem a śmiechem.

– No co? – spytałem.

– Zabawne. Ona już od dłuższego czasu próbuje dostać się do twojej sypialni, ale pewnie nie podejrzewała, że stanie się to w takich okolicznościach. – Wyjęła porcję czarnosoku, włożyła to ohydztwo do ust i zaczęła żuć.

Jej słowa mnie ubodły. Rozmawialiśmy w ten sposób przez ostatnie dziesięć lat, ale uznałem, że nie wypada mówić o Valiyi, kiedy nie ma jej z nami. Valiya jest dumna. Na pewno nie byłaby zadowolona. Powiedziałem o tym Nenn.

– Wybaczylaby ci w mgnieniu oka, gdybyś tylko zadarł jej spódnice i wziął się do roboty. Zresztą powinienes to zrobić. Może trochę byś się rozluźnił.

– A już miałem nadzieję, że trochę zmądrzejesz, jak kapitan Betch cię zerżnie.

Nenn wydłubała z czarnosoku jakiś paproch i wypluła go do ogródka.

– Nie wstydzę się tego, że lubię się rżnąć, Ryhalcie. Takimi stworzyły nas Duchy i nie mam zamiaru udawać, że mi się to nie podoba. Na tym polega twój problem. Pragniesz wyłącznie tego, czego nie możesz mieć. Ale ją możesz zdobyć, tylko wmówiles sobie, że to niemożliwe. Wątpię, żebyś płacił tej kobiecie wystarczająco dużo, aby po nocach karmiła cię zupą. Otwórz oczy.

– Odpieprz się i przestań zawracać mi głowę. Zajmij się ratowaniem miasta albo czymś w tym rodzaju.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, ponieważ pomimo wszystkich docinków i obelg wciąż byliśmy sobie bliscy jak świnie w chlewie. Za chwilę czekała mnie zupełnie inna rozmowa.

Maldon siedział w mojej piwnicy, którą zmienił w coś w rodzaju warsztatu. Oświetlił pomieszczenie tradycyjnymi lampami, ale chociaż nie widziałem nigdzie ani śladu fosu, wyczuwałem go

w powietrzu, pomimo silnego smrodu spawanej stali. Maldon miał do dyspozycji duży stół, niewielki piec oraz rozmaite metalowe przyrządy, których zastosowania tacy jak ja prości ludzie nie byli w stanie pojąć.

Ślepy chłopak pracował samotnie, nucąc pod nosem. Nie nosił opaski, widziałem więc dziurę w jego czaszce, ranę, która się nie goiła, ale nie była śmiertelna. Śpiewał starą rymowaną, która zawsze przyprawiała mnie o dreszcze. *Noc jest ciemna, zimna jest noc...*

– Widzę, że nie tracisz czasu – powiedziałem. Nie podniósł głowy; po co miałby to robić?

– Lubię się czymś zająć – odrzekł. – Podaj klucz do nakrętek.

Znalazłem go na zagraconym stole pośród gwintowanych luf, części co najmniej dwóch rozłożonych rusznic błyskowych, kółek zębatych i przekładni, stalowych korb, skórzanych pasków oraz innego złomu i narzędzi. Maldon wziął do ręki klucz, ustawił go i dokręcił dwa kawałki metalu.

– Co budujesz? – spytałem.

– Broń – wyjaśnił. – Ten amator Besh Flindt na pewno jest dumny ze swoich rusznic błyskowych. Ale pokażę mu, do czego jest zdolna prawdziwa broń fosowa.

– Potrafisz zbudować coś bardziej stabilnego od rusznic błyskowych? – Wziąłem do ręki zgnieciony żelazny pojemnik po fosie, który najwyraźniej implodował.

– Nie jestem pewien. Dawno temu pracowałem nad podobnymi projektami, ale zawsze napotykałem problemy na etapie testów. Teraz nie ma znaczenia, czy popełnię błąd. W końcu mogę się wysadzić w powietrze tyle razy, ile zechcę, prawda? Na razie wszystkie obliczenia wskazują na spore ryzyko, że moja broń wybuchnie po strzale. Ale jeśli tak się nie stanie, jeden człowiek z taką bronią będzie wart tyle co cała armia.

Byłem pewien, że Maldon przetrwa dowolną awarię swojego projektu. Nie byłem jednak przekonany, czy to samo dotyczy mojego domu, ale pozwoliłem mu pracować i najwyraźniej dzięki temu nie wpadał w żadne tarapaty. Nawet nie sprawiał wrażenia pijanego, po raz pierwszy od kilku lat. Puste butelki wciąż walały się pod ścianami,

ale było ich mniej, niż się spodziewałem.

– Jak to działa?

– Pokażę ci, kiedy skończę. Chcesz czegoś czy tylko sprawdzasz, jak się sprawuję?

– Owszem, mam sprawę.

Opowiedziałem mu, co odkryliśmy pod miastem. Maldon początkowo nie odrywał się od pracy, ale kiedy wspomniałem imię Saravora, odłożył obrotowe krążki, które właśnie skręcał ze sobą, i wyprostował się na krześle.

– Pokonałbym go, gdybyś nie odebrał mi mocy – powiedział. Mówił bardzo cicho. Wyczułem nutę niechęci, chociaż zdawał sobie sprawę, że zabiłby mnie, gdybym nie pozbawił go magii.

– Wiem.

– Saravor dysponował surową potęgą. Była dziwna, nie przypominała mocy nikogo ani niczego, co dotychczas spotkałem. Oczywiście magiczne zdolności ludzi różnią się między sobą, ale jego czary pochodziły z jakiegoś mrocznego miejsca, którego nie powinno się dotykać.

– Dałem mu moc, którą Shavada wlał w ciebie – odrzekłem. – W ten sposób pokonałem was obu. Zaproponowałem układ, a istoty, które mu służą, go przyjęły. Jak potężny może być w tej chwili?

Maldon wzruszył kościstymi ramionami.

– A jak długa jest mila w Nieszczęściu?

– Zdobył także Oko – dodałem. – Co może z nim zrobić?

– Oko nie było wiele warte, gdy opuściło twarz Herono – stwierdził Maldon. – Jest niezniszczalne, jak każda część Królów Głębi. Pamiętasz, jak strzeliliśmy do niego z działa? Tylko zakręciło się na podłodze. – To wspomnienie wywołało u mnie uśmiech, który jednak szybko zniknął. – Ale kiedy Shavada został zniszczony, wypełniająca je moc zniknęła. Teraz to tylko puste naczynie.

– Puste naczynie – powtórzyłem. – Można je napełnić?

– Czym?

– Fosem?

– Nie – odparł Maldon. – A przynajmniej ja w to wątpię. Kiedy Shavada nade mną zapanował, straciłem zdolność przedzenia. –

Strzelił palcami, jakby oczekiwał, że pojawi się iskra. Nic się nie stało.
– To dwie różne strony monety. Nie da się wlać światła w ciemność.

To była szalona teoria. Laik próbował odgadnąć, jak działają siły będące poza jego kontrolą. Lepiej zostawić to specjalistom i skupić się na odnalezieniu tej zarazy. Jeszcze na chwilę zostałem w warsztacie, podczas gdy Maldon wrócił do pracy. Nie byłem w stanie zdobyć się na powiedzenie tego, co konieczne. Maldon ponownie odłożył śrubokręt.

– Wykrztuś to wreszcie – rzucił. – Albo wyjdź.

– Saravor się zmienił – odezwałem się w końcu. – Kontroluje ludzi. Podejrzywałem, że Nacomo zapłacono albo go szantażowano, ale teraz nie jestem tego pewien. Zmienił swoją twarz i ją odciął, żeby się uwolnić. Nie chciał dłużej być marionetką Saravora.

– Trudny wybór. Zachować twarz albo umysł. Chyba dobrze wybrał.

– Kiedy Saravor przejmuje nad nimi kontrolę, stają się niezdarni, jakby ktoś inny pociągał za sznurki. Pozostali sprawiają normalne wrażenie. No, prawie. Nie jestem pewien, czy rozumiem, co im robi. Ale cztery lata temu Saravor naprawił Nenn. Sądziś, że potrafi dotrzeć do jej umysłu?

Maldon nie odpowiedział. Podniósł dwa kawałki metalu i spróbował je do siebie dopasować. Zakręcił małym kółkiem na nasmarowanej osi.

– Nie wiem. To było, zanim przejął moc Shavady, a kontrola nad marionetkami to nowa sztuczka, której nauczył się później. Miejmy nadzieję, że tego nie potrafi. Lubię Nenn. Nie patrzy na mnie ze współczuciem.

Pokiwałem głową.

– Muszę cię o coś poprosić.

Maldon uniósł głowę, ale nie potrafiłem zdobyć się na odwagę. Zrozumiał, przygryzł wargę i pokiwał głową. Powoli. Dobitnie.

– Jeśli do tego dojdzie, zrobię to – odrzekł. – Łańcuch wiele od ciebie wymaga, Ryhalcie, ale nawet ja nie poprosiłbym cię o coś takiego. Jeżeli ją stracimy, przyślij ją tutaj po moje stare dzienniki. Postaram się zrobić to szybko.

Sam go o to poprosiłem, a on obiecał pomoc. Ale w tej chwili i tak go

nienawidziłem.

Obaj wzdrygnęliśmy się, kiedy jakiś ptak uderzył głową o jedno z wysokich okien pod sufitem. Spadł oszołomiony po drugiej stronie szyby. Zwykły ptak, w którym nie było niczego nadzwyczajnego, tylko że to był kruk, a ja zwracam szczególną uwagę na kruki. Miał obwódkę z białych piór na ramionach i z tyłu głowy. Z trudem dźwignął się na nogi. Przez chwilę przyglądał się nam przez brudne szkło, a potem zaczął dziobać i drapać w szybę. *Stuk, stuk-stuk, stuk-drap. Stuk-stuk-drap. Drap.*

– Od uderzenia pewnie pomieszało mu się w głowie – zauważył Maldon. – Wydaje mu się, że jest dzieciołem.

– Nie – odrzekłem. Wstałem i nasłuchiwałem. – To komunikat nadawany szyfrem.

– Jasne – parsknął Maldon. – Co takiego mówi? „Dajcie mi robaka”?

– Nie, mówi: „Wpuście mnie”.

20

– Co to jest? – spytał Maldon. – Wrona?

– Nie – odpowiedziałem. – To chyba kruk siwy. Ale nie widuje się ich tutaj.

Podniosłem rękę i otworzyłem okno. Kruk wsunął się do środka i przysiadł na jednym z mosiężno-stalowych ustrojstw Maldona.

Przestępował z nogi na nogę w sposób, jaki już kiedyś widziałem. To zazwyczaj oznaczało, że Wronia Stopa się ze mnie śmieje, miałem więc złe przeczucia. Odgłosy wydawane przez ptaka stawały się coraz bardziej składne, a niektóre z nich zaczynały już przypominać mowę.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Maldon. W jego dziecięcym głosie zabrzmiał strach. Może rzeczywiście się bał. – Powinniśmy go zabić.

– To chyba zły pomysł – odrzekłem.

Kruk przekrzywił głowę na bok, a potem nagle ptasie piski przeszły w chropowatą gardłową mowę. Krótkie, dobitne sylaby łączyły się w ciągi. To z pewnością był język, ale go nie znałem. Maldon wzruszył ramionami. Ptak ponownie przekrzywił głowę, po czym zamlaskał i zabuczał jak robole. Coś z tego zrozumiałem, ale niewiele, ponieważ nie byłem biegły w ich mowie. Ptak przez chwilę buczał i pomrukiwał, a potem po raz ostatni przekrzywił głowę i powiedział:

– A teraz? Teraz mnie rozumiesz?

Maldon i ja zapewne wymienilibyśmy znaczące spojrzenia, gdyby nie to, że on nie mógł na nic popatrzeć. Choć to brzmi jak wariactwo, przywykłem do tego, że kruk co jakiś czas wyrywa się z mojej ręki, dlatego mówiący ptak nie wydał mi się aż tak dziwny.

– Rozumiem cię – odrzekłem.

– Dobrze. Nie byłem pewien, którym z tych idiotycznych języków się posługujesz. Pozostanę przy tym, żeby nie zmęczyć twojego mózgu.

Skłoniłem głowę.

– Jestem na twoje usługi, Panie – powiedziałem.

Gleck zaczął się powoli wycofywać. Po oblężeniu zdołał umknąć uwadze Bezimiennych. Bał się ich. Oczywiście wszyscy się ich obawiają, ale w Maldonie pozostała mała część Króla Głębi, która nie zniknęła, gdy Shavada stracił moc. To ona czyniła go młodym i niezniszczalnym, a Maldon najbardziej lękał się, że Bezimienni postanowią go zbadać, by dowiedzieć się więcej o swoim wrogu. Ale kruk najwyraźniej się nim nie interesował.

– Panie? – zaskrzeczał. Miał wysoki, nosowy, drażniący głos. – Nie jestem twoim panem, Galharrow, ty zaszcząc. Zakładam, że to ty jesteś Galharrow, a nie tamto dziecko? Trudno ocenić z tak bliska.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale w końcu to był ptak, mógł więc mówić bez sensu.

– Jestem Galharrow – odrzekłem. – A ty czym w takim razie jesteś?

– Częścią jego mocy, oczywiście – odparł. – Odłączył mnie od siebie i posłał tutaj.

– Ale nie wy dostałeś się z mojej ręki, ponieważ...?

– Za dużo tu magicznych zakłóceń wywołanych przez zabezpieczenia, którymi otoczyli się Bezimienni. Za dużo chłodu. Jego ostatnia wiadomość była zniekształcona, prawda? Był wściekły, że Oko zabrano z Narheimu. Teraz nie będzie zachwycony, że nie zdołałeś go odzyskać. Chce połączyć się z tobą osobiście.

Ta zapowiedź mnie zmroziła. Wronia Stopa był wystarczająco paskudny w postaci awatara. Kilkakrotnie musiałem znaleźć się bezpośrednio w jego obecności i źle to wspominałem. Ślepią kruka lśniły złowieszczo. Może było w nim więcej z Bezimiennego, niż był gotowy przyznać.

– Gdzie jest Wronia Stopa? – spytałem. – Śmierć spada na nas z nieba, na ulicach panuje chaos. Czym jest tak bardzo zajęty, na wszystkie piekła?

– Piekła, piekła – zaskrzeczał ptak. Ślepią miał równie czarne jak pióra na głowie, ale lśniące niczym kałuże ropy. – Uważasz, że to, co się tutaj dzieje, to jedyna ważna sprawa na świecie? Naprawdę? Wy ludzie myślicie, że wszystko kręci się wokół was i waszego życia.

Zrozum, że wojna toczy się na wielu frontach.

– Valengrad jest sercem obrony Łańcucha – warknąłem. – Bez Maszynyerii przegramy wojnę.

– Maszynyerii? Wszystko, co ważne, jest chronione – zachnął się ptak. – Mówisz o garstce cywilów. To wojna, Galharrow. Wojny polegają na zabijaniu. Masz wystarczająco zakrwawione dłonie, by to wiedzieć.

Ptak rozejrzał się, jakby był głodny. W pomieszczeniu nie było żadnego jedzenia. Ptaki nie mają mimiki, jednak ten zdołał zrobić rozdrażnioną minę. Wzięłem głęboki oddech. Chciałem mieć to już za sobą. Skoro Wronia Stopa chce ze mną rozmawiać, to zapewne jest wściekły z powodu moich niepowodzeń, a widziałem, jaką cenę płacą ludzie za rozgniewanie Bezimiennych.

– Wronia Stopa nie może do mnie przemówić przez ciebie? – spytałem.

– Nie – odparł kruk. – Chce z tobą pomówić osobiście. Gotowy?

– Chyba tak.

– Lepiej usiądź – polecił ptak. Przekrzywił głowę i popatrzył na Maldona. – A ty spierdalaj. – Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Od lat nie widziałem, żeby tak szybko biegł po schodach. Miałem złe przeczucia, ale usiadłem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Kruk zakrakał, a może to był śmiech. Nagle wzbił się w powietrze, okrążył pokój, a następnie zapikował. Uniosłem rękę, żeby się zasłonić, ale przeniknął przez nie i wtedy wszystko się zmieniło.

Kosmiczny pęd. Zawrót głowy, strumień gwiazd zakrzywiający czas i materię, gdy gnałem przez puste przestrzenie, które dzielą wszystko, co istnieje. Ryk, wichura pośród gór.

Byłem gdzieś indziej. W ciemności, sam ze srebrzystą nicią niematerialnej esencji myśli. Macałem dłonią łącze, aż poczułem potężną i straszliwą obecność na drugim końcu. Ogromną jak gwiazda, mroczną jak serce góry. Zrozumiałem, że to Wronia Stopa. Widziałem go i zaglądałem do jego wnętrza. Nie podejrzewałem, że w całym wszechświecie może być tyle przestrzeni.

Byłem sobą, ale nie sobą. Bez emocji. Bez uczuć. One pozostały

w ciele, którego już nie zamieszkiwałem. Zdałem sobie sprawę z obecności nie tylko Wroniej Stopy, ale także innych Bezimiennych. Z istnienia miejsca tak dalekiego, że mogłoby być zupełnie innym światem.

Znajdował się poza zasięgiem zimna. Siedzieli we trzech jako wierzchołki niewielkiego trójkąta. Okrywał ich szron, śnieg piętrzył się wokół przygarbionych sylwetek. Nie otaczało ich nic oprócz szarego śniegu i błękitnego lodu oraz zawodzącego wiatru, który niósł kolejne fale takiej pogody z północy. Błady błękitny lód ciągnął się w nieskończoność. Był płaski i pozbawiony charakterystycznych cech, miejsce jaskrawej bladości, gdzie wszystko było martwe. Chociaż nic prowadziła mnie do Wroniej Stopy, zrozumiałem, że trafiłem do miejsca mocy. Zawsze sobie wyobrażałem, że takie miejsca znajdują się wewnątrz kręgu gładów stojących na leśnej polanie albo w górskiej świątyni. Że coś wskazuje na ich wyjątkowość. Ale tutaj nie było niczego poza lodem, wiatrem i echemi samotności.

Trzej obserwatorzy, trzej włodarze mocy. Mój pan nie poruszał się od wielu dni. Może nawet tygodni, miesięcy albo lat. Nie musiał. Jego oczy, usta i uszy zamarzły. Jego ciało było niebieskie i zimne, twarde jak lodowiec, na którym siedział. Stanowiło jego część. Po drugiej stronie zimnej otchłani siedział Nall, a przynajmniej jedna z jego postaci, i wyglądał na martwego. Miał uchylone powieki. Może mnie widział, chociaż był zamarznięty na kamień. Trzeci wierzchołek trójkąta stanowił Płytki Grób, ale nie mogłem skupić na nim wzroku. Był rozmazany i zniekształcony; mimo że się nie poruszał, mój umysł go odrzucał. Oto Bezimienni. Nasi obrońcy, zamrożeni, samotni i uwięzieni w okowach milczącej wojny, znieruchomiali podczas niewidocznego działania, oddający się niewidzialnej przemocy. Nie tylko ja poświęciłem coś dla tej wojny. Nienawidzimy ich, boimy się, ale bez nich bylibyśmy zgubieni.

Popatrzyłem na mętną błękitną zmarzlinę. Głęboko pod zbitą bryłą lodowca widziałem cienie czegoś, co pogrzebano przed wielu laty i na co od tamtej pory cal po calu napierała zmrożona rzeka. Nic tam nie żyło. A jednak kryła się tam jakaś obecność.

– Galharrow. – Głos Wroniej Stopy był powolny i niski, jakby myśli

niezwykłej wagi miażdżyły poszczególne słowa. – Zawodisz mnie, Galharrow.

Mógłbym coś odpowiedzieć, ale nie miałem pojęcia, jak go udobruchać.

– Gdzie jest Oko Shavady? – wychrypiał. Chciał dać wyraz furii, wściekłości wywołanej moim niepowodzeniem, ale to zbyt wiele by go kosztowało. Byłem tylko pyłkiem na skraju jego świadomości.

– Oko jest w Valengradzie – odrzekłem. – W rękach Saravora. Znajdę je, Panie.

– Opiekun dzieci chce zostać Bezimiennym. Węże Ziemi wyczuwają to w swoich splotach, w magii, która napędza świat. Jeżeli opiekun zniszczy Oko, póki zmagamy się z Królami Głębi, nie zdołamy mu się przeciwstawić. Zapanuje nad nami wszystkimi.

– Jak go powstrzymać, Panie? – spytałem. Otoczyła mnie głębia woli Wroniej Stopy, która napierała na mnie jak lodowce znajdujące się pod nami, ale chociaż się pod nią uginałem, czułem, że stopniowo słabnie i skupia się na innym zadaniu.

– GALHARROW – uderzył mnie ryczący szept. – NIE ULEGNIJ DUCHOWI W ŚWIETLE. ON BĘDZIE CHCIAŁ CIĘ ZNISZCZYĆ. NIE SPIERDOL TEGO.

* * *

Odzyskałem świadomość, gdy przetoczyła się przeze mnie pierwsza fala mdłości. Przewróciłem się na bok i zwymiotowałem wszystko, co Valiya dla mnie przygotowała, oraz wypitą brandy. Było mi zimno, przeraźliwie zimno, moje palce zbieleły. Podczołgałem się do niewielkiego pieca kowalskiego Maldona, gdzie uderzenie gorąca przeszło moje zmarznięte ciało ostrym bólem. Kruk zerkał na mnie ze stołu z przekrzywioną głową.

– Gdzie jest Wronia Stopa? – spytałem.

– Nie ma na to słowa w twoim języku. Twoi ludzie nigdy tam nie byli – odrzekł ptak.

– Dlaczego jest tam, skoro potrzebujemy go tutaj?

– Ta wojna toczy się na wielu frontach, ty samolubna gnido. Królowie Głębi uderzyli. Próbuje zatopić cały wasz kraj w oceanie.

Ptaka powiedział to swobodnie, jakby chodziło o zwykły atak złej pogody.

– Co takiego?

– To dawna magia. Właśnie ona pozwoliła związać Królów Głębi w głębinach. We wschodnim oceanie, daleko za Imperium Dhojarańskim, śpi coś większego i potężniejszego od Królów albo Bezimiennych, istota, która zestarzała się, zanim powstały słowa, które mogłyby ją opisać. Bezimienni nazywają ją Śpiącym. Królowie Głębi pragną ją obudzić.

To mi wyglądało na poważniejszy problem niż codzienne wycie nieba.

– Są w stanie to zrobić? – spytałem.

Ptaka pokiwał głową i szeroko rozpostarł skrzydła.

– Rytuał, z którego chcą skorzystać Królowie Głębi, wymaga olbrzymiej potęgi. Poświęcą milion swoich wyznawców, aby uzyskać moc dusz i skontaktować się ze Śpiącym, a następnie skłonić go do przywołania fal, które zaleją ląd. Wpływ Śpiącego pozbawi Panią Fal kontroli nad oceanem, co sprawi, że robole będą mogli zbudować okręty i swobodnie do was dopłynąć. Bezimienni nie mogą na to pozwolić. Ścierają się dwie siły. Kiedy Śpiący się poruszy, ziemia zadrży wam pod stopami. Jest tak ogromny, że poczujecie to nawet tutaj.

– To oni wywołują trzęsienia ziemi?

– W wielkim skrócie.

– A co tymi ludźmi, których Królowie Głębi zamierzają poświęcić? Wszyscy umrą?

– To robole – odrzekł kruk. – Milion mniej wrogów to doskonała wiadomość. Chociaż nie unicestwią bojowych roboli. Ale to wszystko stanowi część ich maszyny wojennej. Królowie Głębi zawsze mieli magię dusz w swoim arsenale, ale rzadko próbują działać na taką skalę. Zniszczenie Shavady wprowadziło ich w straszliwy gniew! Plują krwią ze złości. – Ptaka najwyraźniej uznał to za korzystne i się roześmiał. Wyglądało na to, że odprysk mocy, z której Wronia Stopa

stworzył swojego posłańca, zawierał jego poczucie humoru.

– Wronia Stopa chce, żebym powstrzymał Saravora przed zniszczeniem Oka, ale nie powiedział mi, jak można tego dokonać. Czego dokładnie ode mnie wymaga? – Wiadomości od Wroniej Stopy rzadko bywały szczegółowe. Popatrzyłem na swoje zmrożone palce i przypomniałem sobie jego słowa. Duch w świetle mnie zniszczy, jeśli mu na to pozwolę. Nie miałem pojęcia, co to znaczy. Może powinienem to zachować dla siebie.

– Domyśl się, kurwa – warknął ptak, a w jego odpowiedzi usłyszałem takie samo jak w głosie Wroniej Stopy zniecierpliwienie moją nieudolnością. – Wronia Stopa, Płytki Grób i Nall marzną na jakiejś skale, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo, a ty pod ich nieobecność straciłeś Oko Shavady. Nie pierdol, tylko je odzyskaj.

Kruk lekko przekrzywił głowę, po czym wzbił się w powietrze i skierował do okna.

Najwyraźniej nie warto było oczekiwać, że mały pomocnik Wroniej Stopy przekaże mi jakiegokolwiek użyteczne informacje, a nie tylko naganę za niewykonanie dotychczasowego zadania, ale przynajmniej ptak nie był tak nieprzyjemny jak zwyczajowi posłańcy mojego pana. Miło było chociaż raz nie zalać się krwią.

– Będę cię obserwował – powiedział kruk. – A jeśli nie zdołasz zrobić tego, czego on wymaga, znajdę kogoś innego. Skoro ty nawaliłeś, spróbuję sam poszukać Oka – dodał, precyzyjnie się na zewnątrz i odleciał.

– Wronia Stopa to pierdolony dupek – skwitował Maldon, zaglądając przez szparę w drzwiach.

– Nie zamierzam się o to kłócić – odrzekłem. – Co o tym wszystkim myślisz?

– Chujowo to wygląda. Ale z drugiej strony nie sposób się nie zastanawiać, jak wiele razy takie rzeczy się działy przez ostatni tysiąc lat. Jak często jedna albo druga strona wymyśla coś w rodzaju Serca Pustki?

– Nawet jeden raz to za dużo. Niebo nigdy nie powinno być zostać rozerwane. – Pomyślałem o tym, ilu naszych ludzi Wronia Stopa unicestwił, gdy uruchomił swoją broń i stworzył Nieszczęście. Zbyt

wielu. Czasami zastanawiam się, czy on sam wiedział, jak bardzo uszkodzi rzeczywistość, gdy uwalniał tę moc, ale zawsze dochodzę do tego samego wniosku. Lepiej nie wiedzieć.

– Ten ptak przybył z bardzo, bardzo daleka – rzekł Maldon. Skulił się pod ścianą. Zupełnie jakby się bał. – Kiedy w ciebie wleciał, przez chwilę czułem obecność Wroniej Stopy. Była bardzo podobna do obecności Shavady. To gigantyczna moc.

– Lepiej nie znaleźć się po niewłaściwej stronie.

– Kiedyś będziesz musiał mi opowiedzieć, skąd masz ten tatuaż i co jesteś mu winien.

– Może kiedyś – odparłem. Nie mówiłem szczerze. Są rzeczy, którymi nie należy się dzielić.

21

Napisałem list do wielkiego księcia Vercantiego, przekazując swoje rekomendacje na stanowisko nowego marszałka. Książę przebywał na zachodnim wybrzeżu, gdzie werbował najemników w celu odbicia ziem, które straciliśmy w Angol, skontaktowanie się z nim wymagało więc czasu. Łańcuch na razie musiał sobie poradzić bez niego. Davandein była krewną Vercantiego, a jej porażka nadszarpięła jego reputację. Zapewne nie weźmie mojego zdania pod uwagę, ale i tak poleciłem kandydaturę marszałka Ngoyi. Pułkownik Koska doskonale sobie poradził z utrzymaniem porządku w mieście, ale nie był wielkim taktykiem i z pewnością nie nadawał się do pokierowania Łańcuchem. Zwłaszcza że słuchał głosu ducha w świetle, przed którym Wronia Stopa mnie przestrzegł.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– Zostaw politykę arystokratom – zakrakał kruk. Pojawił się w moim gabinecie i właśnie sadowił się na szczycie sterty starych dokumentów.

– Potrzebujemy tropów – odburknąłem. – Nie możemy po prostu przeszukiwać całego miasta dom po domu. Robię, co mogę.

Ptaka wrogo nastroszył pióra, ale pomimo kilkudniowego latania po mieście on również niczego nie znalazł, nie mógł więc mieć do mnie pretensji.

Właśnie pieczętowałem list woskiem, kiedy weszła Amaira.

– Piękny! – zawołała, widząc ptaka.

– Nie zbliżaj się do niego – odrzekłem. – Może być na coś chory.

Amaira najwyraźniej mi nie uwierzyła i pogłaskała kruka po piórach.

– Dlaczego go pan nie wypuści? – spytała.

– Zostaw go w spokoju – warknąłem, a Amaira lekko się cofnęła.

– No, no – rzekł kruk głosem zbyt przyjaznym jak na Wronią Stopę.
– Nie ma potrzeby się wydzierać!

– On mówi! – zawołała Amaira z zachwytem. Można by pomyśleć, że mówiący ptak ją zaniepokoi, ale Nenn już od ponad roku przywoziła jej rozmaite badziewie z Nieszczęścia, a kiedy ktoś dorasta w pobliżu popękanego i wrzeszczącego nieba, niewiele rzeczy jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

– A po co komu ptak, który nie mówi? Ptaki to mądre istoty – odezwał się kruk sympatycznym tonem.

Bardzo mi się nie podobało, że rozmawia z Amairą.

– Wiadomość od Tnoty, panie kapitanie! – oznajmiła dziewczyna i zasalutowała.

– Nie rób tego – skarciłem ją, biorąc do ręki kawałek papieru.

Amaira wyglądała tak, jakby ostatnio się nie wysypiała. Wiedziałem, że w piwnicy jest zimno i niewygodnie, ale nie zamierzałem pozwolić jej przebywać gdziekolwiek indziej, dopóki ostrzał nie ustanie.

– Dlaczego, panie kapitanie? – spytała.

– Ponieważ nie jesteś żołnierzem. Jesteś służącą. Służący nie salutują.

– Kiedyś zostanę Czarnoskrzydłą – odparła.

Znieruchomiałem z kopertą w dłoni. Odłożyłem ją na stół.

– Nie. Nie zostaniesz.

Amaira popatrzyła na mnie tak, jakbym właśnie ogłosił, że biorę ślub z Panną Młodą.

– Dlaczego nie? Jestem wystarczająco bystra – rzekła. – Potrafię walczyć. Może mnie pan wyszkolić.

Nie miałem nastroju do tej rozmowy.

– Kiedy będziesz starsza, załatwię ci pracę służącej u jakiejś miłej damy daleko od Łańcucha. A wtedy zamieszkaż w jej pałacu i będziesz dla niej robiła to samo, co dla mnie. Może pewnego dnia pokierujesz całym jej domostwem, jeśli pozostaniesz u niej wystarczająco długo. To będzie bezpieczna i spokojna praca, daleko od tego przeklętego popękanego nieba.

Amaira zmarszczyła czoło i przygryzła wargę. Taka zła mina jej nie

pasowała, ale zachęciłem ją gestem, aby szczerze powiedziała, co myśli. Lepiej grać w otwarte karty.

– Nie chcę odchodzić. Chcę tutaj zostać. To mój dom. Tutaj jest wszystko, co mam.

– To, że znalazłaś kawałek gówna, nie znaczy, że masz je traktować jak skarb – odrzekłem. – Kiedyś zrozumiesz, że mam rację. Są lepsze pomysły na życie niż ściganie szumowin w Łańcuchu. Ludzie nas nie lubią, Amairo. Boją się nas. Nie chcę więcej o tym słyszeć.

Wyduła usta, przez chwilę się wahała, po czym energicznie zasalutowała i odeszła. Słyszałem, jak ze złością uderza pięścią w boazerię na korytarzu. Mruknąłem pod nosem. Każde dziecko chce być żołnierzem, gdy dorośnie, ale żadne nie rozumie, że kiedy ta gra dobiega końca, nie ma dalszego ciągu. Amaira była za młoda, by pojąć, że marzy o krótkim życiu pełnym krwi i niebezpieczeństw.

– Nie możesz wszystkich zniechęcać – zakrakał kruk w kącie pokoju. – Wronia Stopa pewnego dnia znajdzie nowego kapitana. Nie będziesz żył wiecznie, warto więc wybrać kogoś, kto się na tym zna.

– Nie dostaniesz moich ludzi, po moim trupie – odparłem. Ptaka wyraźnie to rozbawiło. Przeształ z nogi na nogę, kiwając głową.

Otworzyłem liścik. Napisano go w pośpiechu. Przeczytałem i wypadłem za drzwi.

Pognałem do cytadeli. Wielu moich żołnierzy nosiło żółte kaptury na mundurach, okazując swoje poparcie lub wdzięczność za stworzenie tarczy, która ich chroniła, a czerwony lśniący napis na murze cytadeli głosił: JASNA PANI NAD WAMI CZUWA. Skrzywiłem się i postawiłem kołnierz, aby osłonić się przed porywistym wiatrem.

Pokazałem pieczęć z czarnego żelaza, dzięki czemu wpuszczono mnie na dziedziniec do musztry. Przygotowywało się tam mnóstwo żołnierzy ubranych w wypolerowane kirysy i lśniące czarne buty. Kiedy Tnota mnie zobaczył, zaczął machać i coś wykrzykiwać. Przytrzymał go dwaj mężczyźni z żółtymi kapturami. Ludzie widzieli mój gniew i schodzili mi z drogi.

– Jeśli nie chcecie stracić dłoni, natychmiast puście mojego człowieka – poleciłem, a żołnierze posłuchali.

– Nie wolno mu uciec – odezwał się jeden z nich niepewnie.

– Dranie próbują mnie posłać do Nieszczęścia! – oznajmił Tnota. Był cały mokry i cuchnął potem. Nie był w Nieszczęściu od czasu, gdy udaliśmy się po Dantry’ego Tanzę do Krateru Zimnego.

– Nie musisz wchodzić do Nieszczęścia – odpowiedziałem, krzywiąc się. – Co tu się, kurwa, dzieje?

Dokładnie przyjrzałem się żołnierzom, którzy pakowali do juków suchy prowiant i amunicję. Nie wyglądali na żółtodziobów.

– Będzie jak za dawnych czasów – rzekła Nenn, podchodząc do nas i zarzucając nam ręce na szyje. – Ty też dołączysz, Ryhalcie?

– Chcą mnie tam wpakować po same pachy – powiedział Tnota. W jego głosie pobrzmiwał autentyczny strach. Jako nawigator zawsze podchodził do Nieszczęścia z respektem, ale przyjmował kolejne misje bez wybrzydzenia. Utrata kończyny go zmieniła, zupełnie jakby nóż chirurga pozbawił go nie tylko ręki. Byłem w stanie to zrozumieć.

Wśród żołnierzy dostrzegłem znajomą twarz. Kapitan Gurling Stracht był żołnierzem w Łańcuchu, jeszcze zanim rozpocząłem służbę. Przekroczył pięćdziesiątkę z impetem pnia niesionego nurtem rzeki. Ignorował powiększającą się łysinę i pozostałość siwych włosów związywał w długi kucyk. Jego wysuszoną twarz pokrywały doły i zmarszczki, które odpowiadały pęknięciom na niebie. Spędził w Nieszczęściu więcej czasu niż ktokolwiek z żyjących, a zepsuta magia latami sączyła się do jego wnętrza, barwiąc skórę na bladożółty kolor. Mógłbym go dostrzec z odległości mili.

– Miło cię widzieć, Gurling – powiedziałem.

Stracht popatrzył na mnie, stęknął i dalej żuł korzeń lukrecji. Było w nim coś bardzo obcego. Powinien był odejść na emeryturę przed wielu laty, gdy tylko zauważył, że Nieszczęście zaczyna odciskać na nim piętno, ale niewątpliwie był naszym najlepszym zwiadowcą. Nie dało się naprawdę poznać Nieszczęścia ze względu na stale zachodzące w nim zmiany, ale on znał to miejsce lepiej niż ktokolwiek.

– Galharrow, powinienem się domyślić, że jeszcze nie zginąłeś.

– Nie mam tego w zwyczaju – odrzekłem.

Stracht coś mruknął, a może się roześmiał, w każdym razie był to słaby, chrapliwy odgłos, jakby płuca odmawiały mu posłuszeństwa.

Miał podarte ubranie, zapadnięte policzki i paznokcie czarne od brudu. Wyglądało na to, że kielich wina w jego dłoni nie jest pierwszym.

– Co się stało?

– Znalazłem ich, ot co. Drani, którzy zsyłają na nas ogień z nieba.

Zalała mnie fala wściekłości.

– Gdzie? – Już niemal słyszałem świst stali i huk broni palnej. Nenn miała rację. Musieliśmy dokonać zemsty.

– W Kryształowym Lesie – odrzekł Stracht. – Dziewięć dni drogi na wschód. A przynajmniej ostatnio tam byli. Znasz to miejsce?

Uderzyłem pięścią w powietrze. Powiedziałem Davandein, żeby posłała tam Strachta. Kryształowy Las tak naprawdę nie jest lasem, tylko rozległą płaską depresją, na której sterczą z czerwonego piasku grube słupy kryształu górskiego i matowego szkła. Są ich tysiące, nierówne szeregi pokrywają obszar kilku mil kwadratowych. Kiedy wieje między nimi wiatr, rezonują, wydając nieprzyjemny jęk. To jedno z niepokojących stałych miejsc w Nieszczęściu, jak Krater Zimnego.

– Za dnia robole rozbijają słupy i układają sterty kryształów – wyjaśnił Stracht. – Zakradliśmy się w nocy. Zabiliśmy kilku strażników. Dysponują chórem ośmiu czarowników. Nie przypominają roboli, jakich do tej pory widziałem. Są potężni jak niedźwiedzie. Płuca mają większe od końskiego zadu. Ich śpiew sprawia, że robią mnóstwo hałasu, a wtedy las zaczyna lśnić. Potem któraś ze stert roztrzaskanego kryształu wystrzeliwuje w niebo jak sztuczny ogień.

– Więc to prosta sprawa – wtrąciła się Nenn. – Wyruszamy tam, żeby zamknąć Śpiewakom jadaczki.

– Coś mi mówi, że to nie będzie takie proste – odrzekłem.

– Nic nie jest proste. – Stracht dopił wino i zaczął się rozglądać za dolewką. Uczynna służąca podała mu nowy puchar, starając się nie dotykać jego dłoni. Pewnie sądziła, że może się zarazić chorobą, która zabarwiła go na miedziany kolor. Może miała rację.

– Użycie stali jest proste – stwierdziła Nenn. – Trzeba ją chwycić i nią wymachiwać. Nic, czego bym wcześniej nie robiła.

– Najtrudniej będzie się do nich dostać. Mają żołnierzy. Szacuję, że około trzech tysięcy.

– To spora armia roboli – przyznałem. – A wielu naszych żołnierzy uciekło razem z Davandein. Valengrad nie jest w stanie przeciwstawić się takim siłom, a już na pewno nie w odległości dziewięciu dni od granicy.

Stracht pokiwał głową.

– Nie mylisz się. Ale wszyscy ich żołnierze oddalają się w nocy. Pewnie nie chcą zakłócać dźwięku. Przez pewien czas śpiewacy są bezbronni.

– Więc dlaczego jeszcze ich nie utrupiliście?

– Pilnuje ich dwóch Uroczych, a jeden z nich jest naprawdę wyjątkowy. Może to jakaś nowa istota. Wygląda jak Uroczy, ale z rybią głową jak u robola i z ogonem. Nie jestem samobójcą, żeby ich atakować.

Uroczy. Oczywiście, że tam są. Ale rybia głowa i ogon? To mi się kojarzyło z istotą, którą widział Levan Ost i do której Saravor posłał swoich ludzi wkrótce przed włamaniem do skarbcza w Narheimie. Od chwili, gdy Nacomo wysadził się w powietrze, znalazłem pierwszy dobry trop dotyczący wyprawy Osta do Nieszczęścia.

Niewiele jednak z tego wynikało. Nie mieliśmy szansy wziąć Uroczego żywcem i go przesłuchać. Ale jeśli ich ataki były powiązane z tym, co Saravor knuł w Valengradzie? Czy może chodzić o jedną z tych dwóch gigantycznych sił? Musiałem przekonać się osobiście.

Poza tym wiele niewinnych istnień czekało na pomszczenie.

– Wchodzę w to – powiedziałem. – Jaki mamy plan?

– My jesteśmy planem – odrzekł Thierro. Zarzucił siodło na ramię. Na rękawie jego wykrochmalonej białej szaty widniały sierpowate insygnia generalskie. Najwyraźniej piał się w górę. Wskazał otaczające nas oddziały. – Pięćdziesięciu moich najlepszych strzelców, pięćdziesięciu najlepszych kawalerzystów z cytadeli. Do tego dwaj pozostali bojowi Przędzarze pułkownika Koski, świadek Glaun, świadek Valentia oraz ja, aby przeciwstawić się Uroczym. Wkraczamy, załatwiamy ich czarowników i wychodzimy.

– *Poradnik oficera Łańcucha* zaleca użycie trzech Przędzarzy w celu

unieszkodliwienia jednego Uroczego – odrzekłem odruchowo.

– Szóstka byłaby idealna – zgodził się Thierro – ale mamy tylko piątkę, więc to będzie musiało nam wystarczyć.

– Teraz ty tutaj dowodzisz, Thierro?

– Dezercja Davandein spowodowała, że cytadela jest bardzo osłabiona – wyjaśnił swobodnie. – Większość Przędzarzy z nią odeszła, a bez nich misja się nie powiedzie.

Musiałem przyznać, że miał jaja, skoro zgłosił się na ochotnika do poprowadzenia tej wyprawy. Tylko trzy typy ludzi świadomie wkraczają do Nieszczęścia. Nie uważałem Thierra za chciwca, głupca ani desperata. Chyba że uznamy nadmierną pewność siebie za rodzaj głupoty.

– Po co potrzebujesz Tnoty? Stracht ma własnego nawigatora.

– Miałem – wtrącił się Stracht. Sprawiał wrażenie wykończonego. Zastanawiałem się, czy w ogóle spał od powrotu do miasta. – Dostał bełtem w bok, kiedy próbowaliśmy się wydostać. Teraz kona w szpitalu. To była jego ostatnia wyprawa.

W jego skażonych bursztynowych oczach zalśniły łzy. Stracht współpracował ze swoim nawigatorem od dawna. Kiedy jeździsz z kimś do Nieszczęścia, rodzi się między wami silna więź. Ufacie sobie nawzajem, gdyż rozumiecie, że sami nie macie szans. Nikt z nas nie jest wyspą.

– To nie oznacza, że można mnie zmusić – odezwał się Tnota z wściekłością. – Powiedz im!

– Z tego, co mi wiadomo – uprzedził mnie Stracht – przy życiu pozostało tylko dwóch nawigatorów, którzy zapuścili się aż do Kryształowego Lasu. Ten jednoręki palant jest jednym z nich. Drugi ma zakażoną ranę brzucha i przed odejściem zamierzam wręczyć mu naładowany pistolet, żeby mógł oszczędzić sobie cierpień.

– Za chuja nie pójdę. – Tnota splunął na ziemię. – Setka ludzi przeciwko trzem tysiącom? Pierdolone szaleństwo. Nawet nie jestem wojskowym.

Chciałem wesprzeć Tnotę, zapewnić go, że nie musi iść. Powiedzieć mu, że wszystko jest w porządku. Ale nie mogłem. Rozmyślałem o tym pośród gwaru zatłoczonego dziedzińca. Niewielki oddział mógł się

szybko przemieścić, zadać silny cios i natychmiast się wycofać. Nie wątpiłem, że Nenn zgłosiła się razem ze swoimi Kaczkami, gdy tylko usłyszała o tym planie.

Położyłem dłoń na zdrowym ramieniu Tnoty.

– Przykro mi, stary przyjacielu – powiedziałem. – Musimy z nimi iść.

– Chyba nie mówisz poważnie! – Tnota strącił moją dłoń.

Przypomniałem sobie słowa Valiyi.

– Roboli trzeba powstrzymać – odrzekłem. – Wykrwawiamy się tutaj, a nie ufam nikomu innemu.

– Cieszę się, że jesteś z nami. – Thierro uściśnął moją dłoń, a wtedy uderzył mnie silny zapach tej przeklętej wody kolońskiej, w której chyba się kąpał. Przyciągnąłem go bliżej.

– A co z tarczą, skoro troje świadków opuści miasto? – spytałem cicho.

– I tak prawie skończyły nam się baterie z fosem – odszepnął. Potajemne porozumienie między przyjaciółmi. – Nie utrzymamy tarczy dużo dłużej. Musimy zakończyć te ataki przed rozbłyskiem.

– Skończyła się pomoc Jasnej Pani.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył. – To jej wola.

Miałem poważne wątpliwości, ale nie zamierzałem wdawać się w teologiczną debatę na środku dziedzińca.

– Naprawdę nie żartujesz? – spytał Tnota z rozpaczą. Wyraźnie czuł się zdradzony. Pocieszająco ścisnąłem go za ramię.

– A ty naprawdę tego się po mnie nie spodziewałeś?

– Wiedziałam, że pewnego dnia znów się tam z wami wybiorę, chłopaki – odezwała się Nenn i uśmiechnęła jak handlarz, który właśnie się dowiedział, że znów wdychasz pyłki. – Będzie jak za dawnych czasów.

Tylko że w dawnych czasach miałem pewność, że Nenn zawsze będzie po mojej stronie. Teraz musiałem mieć na nią oko, na wypadek gdyby zwróciła się przeciwko nam.

22

– Oko wciąż jest w Valengradzie – oznajmił kruk. Próbował dobrać się do moich starannie zapakowanych racji, ale bez powodzenia. Sokół opędzał się od niego ogonem. – Twoim obowiązkiem jest pozostanie w mieście.

– Muszę tam wyruszyć właśnie ze względu na Oko – odparłem. – Nie mamy innych tropów.

– Jak myślisz, co tam znajdziesz?

– Nie wiem – przyznałem – ale wolę być tam i zabijać roboli, aby położyć kres ognistym deszczom, niż czekać beczynn timer, aż jakaś nowa informacja wyląduje mi na kolanach. Cokolwiek Saravor planuje, musiał się spotkać z Uroczym. Odnalezienie go i zobaczenie na własne oczy jego magii to w tej chwili najlepszy plan.

Kruk zaskrzeczał, sfrustrowany moją osobą albo tym, jak starannie zapakowałem suszone mięso, i odleciał, trzepocząc czarnymi skrzydłami.

Strzelcy wyborowi Thierra prezentowali się nietypowo, ale wzbudzili moje zaufanie. Maszerowali w równym szyku z rusznicami błyskawicznymi na ramionach. Nie byłem zachwycony widokiem tej broni, ale już rozmawiałem o niej z Thierrem i najwyraźniej nie naruszyłem jego wiary w jej skuteczność. Kawalerzyści mieli na sobie cytrynowe skórzane płaszcze, z przodu i na plecach ozdobione czarnym wizerunkiem kobiety. Nieco zdziwaczali, traktowali siebie niezwykle poważnie i nie odzywali się do diabłów Nenn. Nie przypominali typowych pielgrzymów z Jasnego Zakonu – Thierro własnoręcznie wybrał ich spośród swoich byłych żołnierzy. Byli twardzi, ale zgłosili się na ochotnika, aby zostać bohaterami. Nie mieli pojęcia, w co się pakują.

Nie wyruszyłem z pustymi rękami. Zabrałem Sokoła i jucznego

konia, na którego zapakowałem całą resztę swoich śmieci. Sokół lubił kąsać i czasami wychylał się z boksu tylko po to, by dopaść przechodnia, a ja ceniłem tę cechę u zwierzęcia, które zabierałem na bitwę. Przygotowałem wystarczająco dużo broni, by wyposażyć niewielką brygadę, w tym rusznice, pas z pistoletami oraz długą, paskudnie zakrzywioną kawaleryjską szablę. Wziąłem także berdysz, potężny dwuręczny miecz, oraz kilka innych rodzajów broni, które mogły się przydać w różnych okolicznościach. Założyłem nowy pancerz, niezwykle błyszczący w porównaniu z podrapanymi i znoszonymi zbrojami chłopców Nenn. Zabrała pięćdziesięcioro swoich najlepszych i najwredniejszych ludzi, a ja ufałem im bezgranicznie. Mężczyźni i kobiety o połamanych zębach i odpowiednio złych spojrzeniach.

Postanowiłem opowiedzieć debiutantom, czego mogą się spodziewać. Zebrałem ich wszystkich razem. Słuchali mnie uważnie i z powagą. To byli najwięksi fanatycy. Thierro zapewnił mnie, że każdy z nich miał wizję Jasnej Pani, jakby to miało mnie przekonać, że będą w stanie oddawać trzy strzały na minutę.

– Zobaczycie tam rzeczy, jakich nie widzieliście nigdy przedtem – mówiłem. – Niektóre z nich będą usiłowały was pożreć. Niektóre spróbują was zabić dla zabawy. Niektóre mogą was wpędzić w szaleństwo. Nie ma tam żadnych ludzi, nie licząc naszych patroli. Być może wyda wam się, że widzicie swoją żonę, kochankę lub kogoś, kto dawno nie żyje. To widma. Nie patrzcie na nie i ich nie słuchajcie. Nie mają nic ważnego do powiedzenia. A już w żadnym wypadku nie próbujcie się z nimi pieprzyć.

Wygłaszałem tę przemowę do żółtodziobów już kilkanaście razy na przestrzeni lat i zazwyczaj wzbudzała śmiech. Dzisiaj nikt się nie zaśmiał. Marna widownia.

– W nocy śpimy trójkami, wsparci o siebie nawzajem, a czwarta osoba czuwa. Najczęstszą przyczyną śmierci w Nieszczęściu jest odgryzienie stopy przez skrzelaka. Jeśli to wam się przytrafi, a nie będziecie w stanie jechać konno, zostawimy was. Zabieramy zapasy tylko na dwadzieścia dni, nie możemy więc sobie pozwolić na dłuższy pobyt. Jeśli was zostawimy, nie wrócicie do domu.

Żołnierze z Jasnego Zakonu nic nie odpowiedzieli. Czułem się tak, jakbym mówił do kiepsko ubranych posągów.

– Przede wszystkim słuchajcie mnie, Strachta i nawigatora. A także major Nenn. Jeśli powiemy, żebyście nie robili ani kroku więcej, macie znieruchomieć z nogą w powietrzu. Jeśli powiemy, żebyście nie chodzili za skały, kiedy chcecie się wyszczać, to nie będziecie, kurwa, chodzić za skały. Musicie mieć się na baczności nie tylko przed istotami, które żyją w Nieszczęściu, ale także przed samą krainą. Ona was nienawidzi i pragnie waszej śmierci. Jeżeli zapomnicie o tym choćby na chwilę, będziecie utrupieni.

Wciąż żadnej reakcji, nie licząc jednego żołnierza, który grzecznie zakasłał w dłoń. Dałem za wygraną, pokręciłem głową i zszedłem na ziemię.

– Stawiam dwadzieścia marek, że zanim pokonamy dwie mile, któryś z nich załamie się i rozplącze – mruknął Stracht.

– Myślisz, że potrafią płakać? – spytałem.

Nenn i Tnota postanowili przystąpić do zakładu. Postawiłem na trzy mile. Nenn optymistycznie uznała, że dotrą do pierwszego obozowiska, zanim wybuchnie masowa panika. Ale widziałem, że zerka na żołnierzy ze zmarszczonym czołem. Martwiła się. Zobaczyłem Thierra. Miał na sobie wypolerowany stalowy kirys wyposażony w pojemniki z fosem, ale on także przytwierdził do siodła rusznicę błyskową.

– To twoi najlepsi ludzie? – spytałem.

– Są najlepsi – przyznał Thierro. – Nie bierz ich niedyscyplinowania za brak zapachu. Są oddani sprawie.

Nad Nieszczęściem wstawał fioletowy świt. Niebo witało go pieśnią żalobną ku czci najnowszych ofiar. Nie minęło wiele czasu, odkąd umilkły pieśni z niebios. Tarcze świadków zmalowały i osłabły, co potwierdzało, że zapas fosu się wyczerpywał. Jeden z pocisków spadł na świątynię i nikt nie wiedział, czy kapłani i święte siostry wciąż żyli ukryci w piwnicy, czy może budynek zawalił im się na głowy. Odwiedziłem miejsce wybuchu, zebrałem garść okruchów kryształu i przesyłałem je przez palce. Widok robotników uprzątających gruz i popękane belki tylko utwierdził mnie w moim przeświadczeniu.

Nasza wyprawa położy kres temu szaleństwu, a poza tym będę miał okazję rozplatać głowy tych, którzy je rozpętali.

Tnota przyszedł pijany. Nie położył się spać, tylko poszedł się nachlać, jakby to była jego ostatnia noc na świecie. Niewykłuczone, że miał rację. Teraz wymiotował do końskiego koryta.

– Wróci pan cały i zdrowy, prawda, panie kapitanie? – spytała Amaira. Nie powinna była nas odprowadzać, ale i tak przyszła.

– Postaram się. Opiekuj się wszystkimi pod moją nieobecność. Słuchaj Valiyi. A noce spędzaj w piwnicy.

Dziewczyna zasalutowała, usiłując przywołać dzielny uśmiech na twarz, chociaż z trudem powstrzymywała łzy.

Nachyliłem się i ją uściskałem. Nie powinienem tego robić. Nie była moim dzieckiem, a jednak przytuliła się do mnie jak do ojca. Nie ona jedna walczyła ze wzruszeniem.

Nigdy do nikogo się nie zbliżaj, jeśli nie musisz. Kiedy wrócę, natychmiast ją odeślę. Nietrudno znaleźć zatrudnienie dla służącej.

– Bądź grzeczna i bystra – dodałem, a potem poszedłem pokrzyczeć na żołnierzy, żeby poczuć się lepiej.

* * *

Nikt nie wygrał zakładu. Członkowie Jasnego Zakonu byli twardsi, niż podejrzewałem. Nie narzekali na upał, gdy gorąco zaczynało bić od ziemi, ani na przejmujący ziąb, który nadciągał wraz z podmuchami suchego wiatru, jakby pogoda nagle zmieniała zdanie. Siedzieli w siodłach i patrzyli przed siebie, skupieni na swoim zadaniu. Może ich nie doceniałem. Wiara czasami dodaje dzielności.

Nie podobało mi się, że wróciłem do Nieszczęścia. Od dawna nie musiałem nikogo ścigać na tym pustkowiu. Przez chwilę nawet myślałem, że może już nigdy tutaj nie wrócę.

W odległości pięćdziesięciu mil od Łańcucha Nieszczęście wciąż było poranione za sprawą straszliwej mocy, którą przed czterema laty uwolniła Maszyneria. W niektórych miejscach kraterzy miały pół mili średnicy, w innych rozpościerały się na zaledwie dziesięć kroków.

Maszynaria nie działała systematycznie. Projektory przyniosły zagładę, zwęgliły piasek i rozbiły go na tak małe ziarenka, że nie dało się ich zobaczyć gołym okiem. Na niektórych bagiennych terenach krew wsiąkła w ziemię i nigdy nie wyschła, na przykład niedaleko trzydziestej szóstej, gdzie rozerwano na strzępy setki tysięcy robotli. Dziedzictwo Maszynarii zapisało się wzdłuż Łańcucha. Gdyby robole podeszli na tyle blisko, by zobaczyć, czego dokonaliśmy, zastanowiliby się dwa razy, czy warto iść dalej.

Mimo tego gdy przemierzaliśmy zagłębienia w ziemi, widziałem, że ziemia zaczyna odzyskiwać dawny kształt i usuwać nasze ślady. Kratery napełniały się piaskiem, a ich krawędzie łagodniały. Nie rosły tutaj żadne rośliny, ale natura niweczyła wpływ człowieka. Na obrzeżach Nieszczęście zmieniało się w znacznie mniejszym stopniu. Gdybyśmy wrócili tą samą drogą, być może nawet minęlibyśmy te same kratery.

Nieszczęście cuchnęło skażeniem. Wciągnąłem tę woń do płuc, była paskudniejsza od smrodu kanału. Stracht z kolei jakby się uspokoił, gdy przekroczyliśmy granicę. Zepsuta magia wsączała się pod jego paznokcie i skórę. Może była dla niego jak białe liście, które palą uzależnieni. Nienawidził jej, a zarazem pożądał. Uzależnienie od Nieszczęścia. Przerazała mnie ta myśl.

Tnota odczytał wskazania przyrządów i wyznaczył kurs, na tyle prosty i prawidłowy, na ile było to możliwe w Nieszczęściu. Odkąd go znałem, zabierał ze sobą grubą księgę oprawioną w czarną skórę, równie zszarganą i zużytą jak on sam. Człowiek, który nauczył go nawigacji, otrzymał ją od swojego nauczyciela. Obecnie wykładano nawigację po Nieszczęściu w akademii wojskowej, ale te lekcje były głównie warte. Niektórzy ludzie po prostu mają do tego smykałkę. Spoglądają na księżycy, mierzą odległości między nimi i wiedzą, gdzie w Nieszczęściu będą się znajdowały poszczególne miejsca. Nie da się tego nauczyć w sali wykładowej.

Po kilku godzinach odnalazł nas kruk. Podążał za mną od Valengradu. Wystawiłem rękę, aby na niej przysiadł.

Ludzie Nenn chcieli go zastrzelić. W normalnych okolicznościach mieliby rację. W Nieszczęściu najpierw się strzela, to najlepsza

strategia.

– Nie sądziłem, że hodujesz zwierzęta – odezwał się Thierro. Nie radził sobie najlepiej z wpływem Nieszczęścia. Pomimo chłodu twarzy miał zlaną potem, nos i usta zasłonił chustką. Wkrótce się przekonał, że w ten sposób nie można powstrzymać smrodu ani skażenia.

– Od tego ptaszyska ciężko się uwolnić – odrzekłem. – Naprawdę załazło mi za skórę.

Kruk był na tyle bystry, by nie odzywać się przy licznych świadkach, ale otworzył dziób i zakrakał. Pewnie rozbawił go mój żart.

– Przynajmniej będziemy mieli co jeść, kiedy skończą się zapasy – wtrąciła się Nenn, po czym dodała podniesionym głosem: – A tak się stanie, jeśli nasz nawigator będzie nieuważny!

Skacowany Tnota podniósł głowę i lekceważąco machnął ręką. Jego czarna skóra lekko pozieleniała. To samo spotkało członków Jasnego Zakonu. Weterani Nenn radzili sobie lepiej. Nie pierwszy raz wybrali się do Nieszczęścia.

Setka ludzi wystarczy, aby odstraszyć dużą część tamtejszych stworzeń. Niektóre z nich, jak dępy, są zbyt nieustraszone lub bezmózgie, by zrozumieć, że przegrają takie starcie, jednak rzaski nie wynurzą się spod piasku, jeśli dojdą do wniosku, że stracą nogi. Ale tak blisko Valengradu jedne i drugie rzadko występują. Wypatrywałem raczej nugów i piaskowronków.

– Żadnych skrzelaków – stwierdziłem. – Powinniśmy być wdzięczni losowi.

– Pojawiają się coraz rzadziej – wyjaśnił Stracht. – Ostatnio prawie ich nie widuję. Miesiąc temu zablokowaliśmy jeden kopiec, ale kiedyś było ich pełno jak mysich odchodów.

– Może Nieszczęście się oczyszcza.

– Możliwe. Albo pojawiło się coś nowego w łańcuchu pokarmowym, co zasmakowało w ich czerwonych ciałkach.

Stracht nie był optymistą. Pewnie dzięki temu tak długo tutaj przetrwał.

Rozbiliśmy obóz. Na niektórych saniach ciągniętych przez konie znajdowały się namioty. Bardziej przypominały płócienne trumny,

w których można było usiąść, ale chroniły przed wiatrem. Spałem obok Nenn i Tnoty, jak za dawnych czasów, gdy we trójkę wykonywaliśmy główniane zlecenia dla sądów. Tnota już doszedł po sobie po nocnym pijaństwie, ale jego pierdnięcia cuchnęły gorzej niż samo Nieszczęście.

W nocy zniknął jeden z członków Jasnego Zakonu. Nie znaleźliśmy żadnych śladów walki, krwi ani uszkodzeń namiotu. Po prostu się ulotnił. Jego broń została obok namiotu, podobnie jak prowiant i manierka. Thierro przez jakiś czas krążył po okolicy z zaskoczoną miną, wołając go po imieniu, podczas gdy świadek Glaun krzywił się i mamrotał coś pod nosem.

Świt przykrył niebo całunem obłoków. Wciąż widzieliśmy wyzierające spod nich pęknięcia na niebie, zbyt jasne, by dało się je zasłonić, ale księżycy zniknęły nam z oczu. Tnota klął, obracając pokrętła i kółka astrolabium, które dla niego przytrzymywałem. Wciąż mógł wyznaczać kurs, ale musiał się opierać na szacowanym położeniu księżyców, co oznaczało, że nie potrafił zagwarantować dokładności swoich wyliczeń.

Drugiego dnia pojawiły się widma. Chłopcy Nenn byli do nich przyzwyczajeni, starali się więc je ignorować. Co milę albo dwie ukazywała się kobieta, która zmarła przy porodzie. W końcu jeden z żołnierzy oddziału Kaczek poprosił towarzyszy, aby zawiązali mu oczy, zatkali uszy woskiem i prowadzili za rękę. To nie powstrzymało widma, ale oszczędziło mężczyźnie cierpień.

Widm było więcej, a wszystkie nas rozpraszały. Zajmowały nasze myśli i zakłócały koncentrację. Niemal wpakowaliśmy się do gniazda zdeformowanych istot podobnych do krabów, które rozmiarami przypominały psy, ponieważ patrzyliśmy na dwa podstarzałe duchy, które szarpały się ze sobą. Stracht zdołał w ostatniej chwili zatrzymać pochód. Stworzenia były powolne i nie mogły sprawić nam problemów, ale i tak dobyliśmy berdyszy, po czym roztrzaskaliśmy im pancerze. Wewnątrz było mnóstwo białego mięsa, a gdybyśmy mieli mniej rozsądku, moglibyśmy uznać, że nadaje się na zupę.

Drugiej nocy nie ponieśliśmy żadnych strat. Chyba można to uznać za sukces.

23

Nocą widzieliśmy je nad głowami jak spadające gwiazdy, kryształowe pociski miotane w niebo. Ich pieśń była bardziej odległa, cichsza, a skoro nie groziło nam, że spadną na nas z hukiem i rykiem, mogliśmy dostrzec piękno w ich migoczących światłach.

Nenn i ja leżeliśmy na plecach i wpatrywaliśmy się w popękane niebo, licząc przelatujące ognie. W obozie panowała cisza. Zawsze tak jest w Nieszczęściu. Słyszałem, że w innych miejscach żołnierze śpiewają, grają na skrzypcach, śmieją się i snują opowieści. Ale niemal cała moja kariera żołnierska przebiegała w Nieszczęściu, a tam nigdy nie jest na tyle wesoło, by ktoś miał ochotę na piosenkę albo żart.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego pęknięcia się nie poruszają? – spytała Nenn.

– Nie – przyznałem. – Pewnie są tylko czymś w rodzaju odcisku. Przypomnieniem o tym, co się tutaj wydarzyło.

– W porównaniu z nimi pociski, którymi obrzucają nas robole, wydają się żałosne, prawda?

– Zależy, czy cię trafią – mruknąłem pod nosem.

Nenn zamilkła. Pęknięcia miały jaskrawy brązowo-biały kolor i bezgłośnie pulsowały. Przecinały niebo nierównymi, bolesnymi liniami. Leżeliśmy na skale, zbliżając się do siebie głowami. Gwiazdy jasno świeciły pomiędzy pęknięciami. Były jednym z nielicznych przebłysków piękna w Nieszczęściu. Tutaj nie zagłuszały ich światła miasta ani blask ogniska. Ogień wabi istoty, których lepiej nie przyzywać.

Nenn rozejrzała się, sprawdzając, gdzie jest jej mężczyzna.

– Betch chce, żebym przestała pić herbatkę z linu – powiedziała cicho.

Zaskoczyła mnie tą zmianą tematu. Pewnie od dłuższego czasu

o tym myślała i powoli zbierała się na odwagę. Nigdy nie twierdziłem, że znam się na kobietach, ale rozumiałem, że muszę stąpać ostrożnie, jakbym skradał się w pobliżu gniazda rzasek.

– Co o tym myślisz? – spytałem.

– Nie wiem – odrzekła. – Chyba się boję.

– Nie dziwię ci się – przyznałem. – Od jak dawna ją pijesz?

Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy, ale zakładałem, że każda rozsądna dziewczyna dwa razy w miesiącu parzy herbatę z nasion linu. Łatwo je zdobyć, a dzięki nim każda kobieta może mieć kontrolę nad swoim życiem. Chociaż musi zapłacić za to cenę.

– Od szesnastego roku życia. Wiem, że to długo i przez to teraz mogę nie donosić ciąży, tylko że nigdy nie sądziłam, iż będę chciała mieć dzieci.

– A teraz jesteś szczęśliwa ze swoim mężczyzną i masz wątpliwości?

– Mam wątpliwości – zgodziła się. – Ale robię się coraz starsza. Po prostu nie wiem, co to będzie dla mnie oznaczało. Większość kobiet żołnierzy nie decyduje się na dziecko.

Nie miałem dla niej żadnej dobrej rady, trzymałem więc swoją wielką gębę na kłódkę. Nie byłem dobrym ojcem, o czym Nieszczęście często mi przypominało. Nigdy nie pozbędę się wyrzutów sumienia. Nawet nie chcę. W pewnym sensie uważam, że gdybym nie dźwigał tego brzemia, stałbym się mniej ludzki. Poczucie winy określa nas w takim samym stopniu jak nasza duma.

– A Betch... chce mieć dzieci?

– Tak – odpowiedziała Nenn, i chociaż była najtwardszym oficerem w armii Dortmarku i miała najbardziej niewyparzoną gębę, w jej głosie wyczułem wahanie. – A co, jeśli... jeśli nie będę mogła? Jeśli spróbujemy i okaże się, że jestem bezpłodna?

– Nie wiem – przyznałem. – Boisz się, że odejdzie?

Nenn nie odpowiedziała. Popatrzyliśmy na gwiazdy, malutkie punkciki światła, czymkolwiek one są. Problemy pojawiają się, a my czasem je rozwiązujemy, i wtedy zamiast nich pojawiają się nowe, ale gwiazdy nigdy się nie zmieniają. Ciekawe, czy one też mają problemy.

– Chcesz dziecka? – spytałem.

– Nie wiem – odrzekła Nenn. – Zanim poznałam ciebie, moje życie

nie miało sensu. Prawdę mówiąc, było całkiem do dupy. Miałam nieszczęśliwe dzieciństwo. Moja rodzina nie była warta tego miana. Życie jeszcze się pogorszyło, kiedy urosły mi cycki, zrobiłam więc coś złego i pewnie by mnie za to powiesili, gdybym nie uciekła. Potem trafiłam na ciebie, a ty dałeś mi szansę, i wtedy pomyślałam: „Takie życie nie jest wiele warte, ale przynajmniej jestem wolna”. Wygląda na to, że od zawsze z kimś walczę. Nigdy nie widziałam w swoim życiu miejsca na dzieci.

Trudne pytania. Dla większości ludzi to całkiem proste. Patrzą na swoją nudną przyszłość i uznają, że obecność kogoś, kim będą mogli się zaopiekować, da im trochę radości, a może zaliczają wpadkę albo chcą kogoś przyuczyć do prowadzenia rodzinnego interesu, gdy sami się zestarzeją. Niektórzy po prostu chcą mieć kogoś, kogo będą mogli pokochać. Jest wiele powodów, a ja nie znam żadnych łatwych odpowiedzi. Ale Nenn jeszcze nie skończyła.

– Z drugiej strony mam stanowisko i władzę, o jakich nie śniło się nikomu w mojej rodzinie. Czy chciałabym z tego zrezygnować? Z wędrówek po Nieszczęściu, walki, popijaw?

– Tylko ty możesz to wiedzieć – odrzekłam. Nie miałam zamiaru wtrącać się w jej związek z Betchem. Nenn i tak sama zdecyduje, a ja głównie jej pomogę.

Zbliżało się do nas widmo przemierzające Nieszczęście. Tym razem jedno z moich. Wyprostowałam się i patrzyłam, jak nadchodzi.

– Zaraza, nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę tę twarz.

– Przystojny gość – oceniła Nenn.

Nie zwracała większej uwagi na widma. Objawiało jej się tylko jedno: masywny mężczyzna z toporem w głowie, którego oczy za bardzo przypominały jej oczy, aby mógł to być przypadek. Ja widywałem ich mnóstwo. Kiedyś zastanawiałem się, czy każde widmo to po prostu inny odcień naszej winy. Moja babka zmarła wiele lat przed moją hańbą, ale w Nieszczęściu kilka razy zganiła mnie za brudne buty. Powinienem był je wyczyścić, zanim ją zobaczyłem. To nie było poważne przewinienie, ale drobne niedociągnięcia nabierają znaczenia, gdy ktoś odejdzie.

– Był przystojny – przyznałem. – Tak naprawdę był dobrym

człowiekiem. Moim przyjacielem, zanim wszystko się spieszyło.

– Torolo Mancono – odezwał się Thierro. Nie patrzył na mnie. Znał tego człowieka, zanim został zmuszony do opuszczenia Łańcucha.

Widmowy mężczyzna był wysoki, chociaż i tak o kilka cali niższy ode mnie. Miał smukłą, wysportowaną sylwetkę, jasne oczy i włosy zaczesane do tyłu. Był ubrany w koszulę i spodnie do szermierki, które miał na sobie w dniu, gdy go zabiłem, a dzwonki na jego butach cicho pobrzękiwały, gdy się zbliżał. Thierro stał na uboczu razem ze świadkiem Valentią, czekając na nadejście widma. Valentia wyglądała tak, jakby miała mdłości, i wbijała wzrok w wałęsającą się postać, która przyciskała jedną dłoń do szyi.

– Powiadają, że pana pokonał – odezwała się. – Że był najlepszym szermierzem w Dortmarku. Wyzwał pana na pojedynek z powodu odwrotu spod Adrogorska.

Najeżyłem się.

– Adrogorsk to nie był piknik. Thierro może to potwierdzić. Mancono wyzwał mnie z powodu swojej dumy – odparłem. – A ja przyjąłem wyzwanie z tego samego powodu.

– Wyzwał pana, ponieważ posłał pan ludzi na śmierć, aby zapewnić sobie możliwość ucieczki. Taką wersję słyszałam.

– Było inaczej – sprzeciwił się Thierro. Pomasował się po piersi, jakby poczuł ból. Może widok Torola przypomniał mu o brązowym obłoku trucizny, która wpłynęła do jego płuc. Był dzielnym człowiekiem, skoro ponownie wyruszył na spotkanie z Uroczym. – Nigdy nie wierzyłem w plotki.

Nieszczęście zaczynało dawać mu się we znaki. Maskę człowieka interesu tylko lekko opadła, ale na tyle, że pod nią dostrzegłem niechęć. Thierro nie był świadkiem tego, jak zabiłem Mancona, ale to nie oznaczało, że nie miał własnego zdania. Przez cały dzień podążał za nami ponury smród gnijącego mięsa. W tej chwili wydawał się bardzo na miejscu.

Widmo minęło mnie. Krew wypływająca z jego rozwartych ust plamiła krezy koszuli. Całkowicie mnie zignorowało i zatrzymało się chwiejnie przed Thierrem. Powiedziało coś bezgłośnie, po czym runęło na ziemię. Kilka chwil później zniknęło.

– To on mnie ocalił – rzekł Thierro smutnym głosem. – Pod Adrogorskiem wyciągnął mnie z trującego obłoku. – Ponownie podrapał się po poparzonej piersi.

– Nie, Thierro – odparłem łagodnie. – Mancona nie było pod Adrogorskiem. To Pep cię wyciągnął. Nieszczęście płata ci figle.

Thierro energicznie zamrugnął. Sprawiał wrażenie zagubionego. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się otępienia.

– Nie było go tam? – spytał. – Mógłbym przysiąc, że... Nie, masz rację.

Valentia pokręciła głową z obrzydzeniem.

– Wyrwał mu pan gardło – rzuciła.

– To miejsce – odezwał się Thierro, wpatrując się w punkt, gdzie wcześniej leżało widmo – to paskudne miejsce.

Nie mylił się.

– Jak się trzymasz, Thierro? – spytałem.

– Jakoś żyję. – Wyjął buteleczkę wody kolońskiej i obficie skropił nią klatkę piersiową i szyję. Uśmiechnął się bez radości. Tym razem silna woń jego perfum na coś się przydała, ponieważ stłumiła smród zgnilizny. – Jeśli mam zostać zjedzony, przynajmniej będę przyjemnym posiłkiem.

– Już chyba gorzej nie może być – odrzekła Valentia.

Nenn i ja zachichotaliśmy, chociaż wcale nie było nam do śmiechu.

– Droga pani, dopiero się zaczyna.

* * *

– Ognia!

Huknęła kolejna salwa. Ruznice błyskowe z rykiem plunęły światłem i rzaska cofnęła się, gdy kawałki jej pancerza posypały się jak wilgotne konfetti. Zawyla chrapliwie po owadziemu i wspięła się na tylne nogi, zaskoczona nowym i niespodziewanym bólem.

– Ognia! – wrzasnęła Nenn i znowu huknęły ruznice.

Rzaska zatoczyła się do tyłu, gdy ołowiane kule trafiły ją z prędkością tysiąca mil na godzinę. Osiem tylnych nóg wkopało się

głęboko w piach, podczas gdy przednie wirowały w powietrzu, jakby stwór opędzał się przed gryzącymi owadami. Nie znalazł niczego w powietrzu przed sobą, skupił więc spojrzenie ośmiorga oczu na stojących przed nim dwóch szeregach ludzi.

Z tuzinów ran płynął niebieskawy płyn. Stwór otworzył pysk i wydał z siebie demoniczny, niezrozumiały jęk bólu.

– Teraz! – zawołałem i zaszarżowaliśmy pieszo. Z rykiem zamachnąłem się berdyszem, mocno jak jeszcze nigdy. Pękła chityna, a ostre jak kosa kończyny skrzesały iskry na mojej zbroi.

Straciliśmy troje ludzi.

Nigdy wcześniej nie widziałem takiej wielkiej rzaski.

* * *

– Mówi, że to ty zacząłeś – powiedziałem.

– Zostawiłem tutaj swój przydział rumu, a teraz go nie ma. Wypił go, kurwa – warknął jeden z ludzi Nenn. Patrzył w stronę członka Jasnego Zakonu, który stał w pobliżu z zakrwawionym nosem i czerwonym odciskiem pięści na twarzy.

– Majorze! Proszę tutaj podejść.

Nenn przykuśtykała do nas. Wycierała krew z dłoni po opatrzeniu jednego z rannych. Dostała cios w nogę od czegoś, co wyglądało jak drzewo, ale nim nie było. Pancierz zapobiegł zranieniu, ale jej nogę znaczył potworny siniak.

– Durk, uspokój się! – krzyknęła, a jej rozwścieczony żołnierz spróbował nad sobą zapanować.

– Świadku Thierro, również zapraszam. Natychmiast wyjaśnijcie to nieporozumienie razem z major Nenn. Mamy wystarczająco dużo zmartwień bez kłótni między żołnierzami.

Zostawiłem ich i usiadłem obok Strachta. Utrzymywanie porządku nie należało do moich obowiązków, zresztą żołnierze chętniej słuchają swoich oficerów. Członkowie Jasnego Zakonu przeważnie trzymali się z dala od Kaczek Nenn, chodząc dumnie jak mnisi. Rzadko się odzywali, nigdy się nie śmiali, jadali osobno, sikali

w ukryciu. Ale byli godni zaufania, a nawet dzielni – nie drgnęli, kiedy kazaliśmy im trzymać szereg. Odbezpieczyli rusznice błyskowe i dali się rzasce we znaki.

Stracht jako jedyny sprawiał wrażenie zadowolonego. Ze swoimi żółtymi oczami i skórą poprzecinaną miedzianymi żyłami niemal pasował do tego miejsca. Wpatrywał się w dal, mrużąc coś pod nosem, jakby uczestniczył w rozmowie, której nikt inny nie słyszał.

* * *

Na moim ramieniu przysiadł kruk. Kręcił głową, sprawdzając, kto jest w pobliżu. Jechałem na przedzie, co jest niewdzięczną robotą, gdyż stanowiąc przynętę dla wszystkich istot, które mogły czekać zamaskowane w piasku albo ukryte za skałą.

– Masz jakiś pomysł, co zrobisz, kiedy dotrzesz do Kryształowego Lasu? – zaskrzeczał kruk.

– Nie mogę niczego zaplanować, dopóki nie zapoznam się z ukształtowaniem terenu – odparłem.

– Musisz być ostrożny.

– Nie wiedziałem, że ci na mnie zależy.

– Nie zależy. Nie jestem zdolny do uczuć. Zostałem stworzony, aby przypilnować, żebyś wszystkiego nie spieprzył, kiedy twój pan będzie ratował świat przed Królami Głębi.

– Jak mi idzie?

Kruk wzbił się w powietrze, okrążył mnie, po czym wrócił na moje ramię.

– A jak sądzisz? Do dupy. Pozwoliłeś, by religijni fanatycy przejęli kontrolę nad miastem i zaczęli się przygotowywać do jakiegoś kosmicznego rytuału. Ponadto zgodziłeś się, aby duża część obrońców Valengradu uciekła z miasta albo zginęła od ognia z nieba, nie odzyskałeś Oka, a mroczny czarownik pracuje nad podbiciem Bezimiennych. Na skali od jednego do dziesięciu jesteś po uszy w gównie.

– A kiedy nie jesteśmy po uszy w gównie? – Chociaż ptak twierdził,

że nie jest zdolny do uczuć, mógłbym przysiąc, że jest rozbawiony.

– Zbliżamy się do morza twarzy – oznajmił.

Wkrótce wiatr przyniósł przybierający na sile dźwięk. To był szept, chrapliwy i równomierny jak szelest jesiennych liści. Kiedy wspiałem się na szczyt wzniesienia, zobaczyłem, że kruk się nie mylił.

Nie jest łatwo przypisać mnie o mdłości. Czasami mam wrażenie, że widziałem już wszystko, co Nieszczęście ma do zaoferowania, ale wtedy docieram nieco dalej i natrafiam na coś gorszego.

Piach i żwir ustąpiły miejsca równinie, którą pokrywały sterczące z ziemi twarze. Stare twarze otoczone kosmykami siwych włosów, młode twarze usiane pryszczami. Twarze brodatych mężczyzn oraz kobiet z rytualnymi bliznami na policzkach i szczękach, charakterystycznymi dla mieszkańek Clear. Z żółtymi zębami, białymi zębami, połamanymi zębami. Z niebieskimi, brązowymi, szarymi oczami. Twarze spieczone na brąz przez słońce i blade od życia pod dachem, pośród ksiąg i dokumentów. Tu i ówdzie dostrzegałem błysk rudej czupryny albo złotego zęba.

Pochyliłem się i zwymiotowałem śniadanie na piasek. Marnotrawstwo dobrej brandy.

Nie chodziło tylko o widok twarzy zlewających się w jeden cielisty przestwór, ale o odgłosy, które wydawały. To, co wziąłem za szept niesiony wiatrem, było mieszanką pojedynczych słów. Popędziłem Sokoła, który parsknął i zaczął grzebać kopytem, zaniepokojony tymi dźwiękami.

– Potrzebuję więcej mleka – szeptała raz za razem jedna z kobiet.

– Będę szczęśliwy, kiedy to wszystko się skończy – powiedział starzec, tak rzeczowo, że od razu domyśliłem się, że te słowa pochodzą z innego czasu i miejsca.

– Co się dzieje na niebie? – odezwało się dziecko. – Co się dzieje na niebie? Co się dzieje na niebie?

Malec był tak natarczywy, że popatrzyłem w górę, ale nie zobaczyłem niczego poza rozdarciami w materii rzeczywistości.

– Ach, co za miejsce – westchnął Stracht i skrzywił się, zrównując się ze mną. – Nie przejmuj się. Oni nie są żywi. Te twarze sięgają tylko na dwa cale pod ziemię. Niżej jest skała.

– Próbowalesz kopać?

– Natrafiłem na to miejsce kilka lat temu. Wtedy znajdowało się dalej na południe. W ich słowach pojawiają się stałe motywy. Na przykład ten chłopiec pyta, co się dzieje na niebie. Wiele twarzy o to pyta. Podejrzewam, że tutaj było jakieś miasteczko, zanim Wronia Stopa użył Serca Pustki. Ci ludzie pewnie zebrali się na rynku, żeby na coś popatrzeć, i wtedy bum. Odpaliło Serce Pustki. Właśnie to po sobie pozostawiło. Coś w rodzaju echa.

– Myślałem, że to Bezkresny Brak był epicentrum.

– Owszem – zgodził się Stracht. – Tam naprawdę niczego nie ma. Mam na myśli pustkę, jakiej nie zrozumiesz, dopóki jej nie zobaczysz. Nie udało mi się wejść zbyt głęboko. To miejsce, czymkolwiek jest, znajdowało się na peryferiach.

– Kiedy widzisz coś takiego, zaczynasz się zastanawiać, czy rzeczywiście jesteście bohaterami w tej historii.

– Bohaterami? Ha! – parsknął Stracht. – Opowieści o bohaterach to tylko wymówka, której używamy, aby wytłumaczyć, dlaczego nie nienawidzimy wszystkich ludzi z mieczami. Udajemy, że istnieje jakiś szlachetny powód, dla którego to jego, a nie naszą głowę trzeba było rozplatać. Ale to wszystko gównie prawda. Właśnie z tego powodu wolę być tutaj. W Nieszczęściu jest mniej hipokryzji.

– Ale znacznie więcej gówna – odrzekłem.

– No tak – zgodził się Stracht i polecił oddziałowi się zatrzymać. – Ale do wszystkiego można przywyknąć, jeśli spędza się z tym wystarczająco dużo czasu.

24

Dziesięć dni w Nieszczęściu jest jak dziesięć miesięcy.

W końcu na horyzoncie pojawił się migoczący Kryształowy Las. Stracht poprowadził nas od wschodu, przez co straciliśmy pół dnia, ale mieliśmy pewność, że kryształowe iglice zasłonią nas przed obozowiskiem roboi.

– Możecie nas ukryć? – spytałem Przędzarzy. Przez chwilę się naradzali, aż w końcu uznali, że to ich przerasta. Pomyślałem, że Elizabeth potrafiłaby to zrobić, ale ona była wyjątkowa. Nie miałem wysokiego mniemania o zdolnościach naszych Przędzarzy. Nie byli słabi, lecz brakowało im finezji.

Nadciągnęła chmura pyłu i chociaż była mniej dokuczliwa niż burze piaskowe, które potrafią się rozpętać w głębi Nieszczęścia, ograniczyła widoczność akurat wtedy, gdy tego potrzebowaliśmy. Stracht i trzech żołnierze Nenn ruszyli przodem, aby wyznaczyć trasę.

Nie wiedzieliśmy, z czym będziemy mieli do czynienia, dopóki nie znajdziemy się na miejscu, ale przynajmniej mogliśmy liczyć na element zaskoczenia. Żołnierze założyli maski chroniące przed pyłem i pozbyli się niepotrzebnego ekwipunku. Kiedy na nich czekałem, moje myśli błędziły. Tutaj noc była spokojna. Nie musieliśmy się lękać fosowych świateł. Nie kuliliśmy się na widok iskier, nie baliśmy się widma uwięzionego w świetle. Nie było kobiety o kasztanowych włosach, która rozgrzebywała rany w moim sercu, ani dziecka, które próbowało się do niego wedrzeć. Uświadomiłem sobie, że straszliwie za nimi tęsknię.

Nie chciałem się do czegoś przed sobą przyznać. To był kolejny powód, dla którego postanowiłem wybrać się w głąb Nieszczęścia. Kiedy jesteś o krok od zrobienia czegoś idiotycznie niebezpiecznego, kłamstwa, którymi się karmisz, zaczynają się topić jak lód podczas

odwilży.

Musiałem ocalić Wielką Iglicę. Jeśli robotom się uda i jeden z ich pocisków ją zburzy, marzenie Thierra o odrodzeniu Jasnej Pani także zgaśnie. Niezależnie od tego, co powiedział Dantry i przed czym przestrzegał mnie Wronia Stopa, niezależnie od tego, jak naciągana wydawała się ta historia, jednej rzeczy pragnąłem najbardziej na świecie. Nie wierzyłem, że to może się stać. Ale zawsze byłem hazardzistą i w kwestii Elizabeth byłem gotowy grać nawet wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wygranej.

Aby ją ocalić.

Aby zostać jej bohaterem.

Prawie się roześmiałem z własnej głupoty. Nadszedł czas. Zabrzmiała pieśń.

Zeszliśmy do Kryształowego Lasu. Szkliste iglice sterczały z suchego, drobnego piasku jak stalagmity. Niektóre sięgały mi tylko do piersi, ale większość wznosiła się ku nocnemu niebu na dziesięć albo piętnaście stóp. Największy kłopot mieliśmy z końmi. Co prawda mieściły się pomiędzy kryształami, ale obawiały się ich blasku. Przywykły do fosy, ale miały za sobą osiem dni wędrówki przez Nieszczęście i widok przejrzystych rozjarzonych słupów wyraźnie je niepokoił. Konie są stworzone do biegu, kiedy więc się spłoszą, instynktownie rzucają się do ucieczki, nie zwracając uwagi na to, co jest przed nimi. Nie mogliśmy teraz do tego dopuścić. Szeptaliśmy im do uszu uspokajające słowa. Nie rozumiały ich – konie są głupie – ale odczytywały ton naszego głosu. Ludzie zakryli broje podróżnymi płaszczami, aby stłumić hałas, jaki wywoływaliśmy podczas marszu, ale niepotrzebnie. Pieśń rozbrzmiewała tutaj niezwykle donośnie, odbijając się echem od słupów. Gdybym nie wiedział, że ta moc posyła w niebo śmiercionośne pociski, mógłbym ją uznać za piękną.

– Mamy trzy minuty do zakończenia pieśni – wyszeptał Thierro. Dziwiłem się, dlaczego szepcze jak głupek, skoro pieśń odbija się echem od słupów, wypełnia powietrze, włada nocą. Policzyliśmy zwrotki i refreny podczas poprzedniego strzału.

– Przygotuj swoich ludzi – rzekłem. – Dwuszereg. Dwie salwy, jedna po drugiej. Potem Glaun daje sygnał i ruszamy. Skupcie całą moc na

Uroczych. Tylko bezpośrednio trafienie w mózg ich powstrzyma. Gotowi?

Thierro odbezpieczył rusznicę błyskową. Była to bardziej wyrafinowana broń niż ta, którą dysponowali jego żołnierze, arcydzieło rusznikarstwa ze złożonym celownikiem optycznym. Nic dziwnego, w końcu był doskonałym strzelcem. Rusznica stanowiła zapasową broń, na wypadek gdyby fos z pojemników się wyczerpał.

– Gotowi. Uważaj na siebie, kapitanie. Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

– Nie zamierzam dzisiaj umierać – odrzekłem. Sprawdziłem swój sprzęt. Ciężka szabla była pod ręką, naładowane pistolety z założonymi przybitkami wisiały przy pasie. Przy siodle miałem dwuręczny miecz, na wszelki wypadek. Do tego sztylety. Dobra znajomość własnej broni uspokaja nerwy przed burzą. Daje poczucie, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, aby przeżyć. Oczywiście najmądrzejszym rozwiązaniem jest zawrócić i jak najszybciej odjechać tam, skąd przybyłeś. Ale uciekamy wtedy, kiedy możemy, a walczymy wtedy, gdy musimy. Czasami nastaje świt i nie ma innego wyjścia, jak tylko zacisnąć zęby, dobyć miecza i wznieść bojowy okrzyk.

– Jeszcze jedno, Thierro – dodałem. – Jeśli coś pójdzie nie tak... jeśli będzie wyglądało na to, że wpadniemy w ich ręce... nie pozwól, żeby wzięli nas żywcem. Żadnego z nas. Jeżeli dojdiesz do wniosku, że nas schwytają, powoli wyceluj mi w głowę i ją odstrzel. Śmierć będzie błogosławieństwem w porównaniu z tym, co nam zrobią, jeśli wezmą nas do niewoli.

– Nigdy bym nie pozwolił, żeby cię schwytali, Ryhalcie. I tak się nie stanie – odrzekł. Wyciągnąłem do niego rękę, ale już się odwrócił, żeby rozkazać swoim ludziom uzbroić rusznice błyskowe. Nie miałem w zwyczaju się modlić, ale poprosiłem Ducha Miłosierdzia, żeby żadna z nich nie wybuchła, zanim zaczniemy. Musiałem wyglądać idiotycznie z wyciągniętą ręką, ponieważ Nenn mnie w nią trzepnęła.

– Trzeci refren – oznajmiła. – Dwie minuty. Gotowy?

– Jak zawsze. – Przygryzła wargę, splunęła.

– Pierdolić to. Bierzemy się do roboty.

Spiąłem Sokoła piętami i ruszyliśmy w stronę czegoś, co w każdej normalnej części świata byłoby linią drzew. Robole wycięli rozległą połąć kryształowych słupów, pozostawiając szeroką na dobre dwieście jardów polanę. Na jej środku Śpiewacy wykonywali swoją pieśń. Może to właśnie to. Może tę moc Saravor chciał wykorzystać przeciwko Oku. Czy mógłby stać się bogiem, gdyby pocisk roboli trafił w Oko? Wiele razy się nad tym zastanawiałem, ale miałem wątpliwości. To zbyt siłowe rozwiązanie. Zbyt zwyczajne. Śpiewacy siedzieli w kręgu, zwrócenie do siebie twarzami, które były tak obrzmiałe i zniekształcone, że nie widziałem, czy mają otwarte oczy. Zresztą to bez znaczenia. Byli całkowicie pochłonięci pieśnią, a jeśli nasz plan się powiedzie, będzie dla nich za późno. Z kolei jeśli się pomylimy, i tak wszystko się posypie.

Uroczy. Było ich dwoje. Siedzieli niedaleko Śpiewaków i oprócz nich byli jedynymi żywymi istotami w zasięgu strzału. Pierwszy wyglądał jak młoda dziewczyna z bliznami na twarzy i wypadającymi włosami. Drugi był płci męskiej i został nie tylko zmieniony w Uroczego, ale także naznaczony, zaczynał więc upodabniać się do robola. Miał szarawą płaską twarz i nos łagodnie rozszerzający się na policzki. A z tyłu – krótki elastyczny ogon. Oto Uroczy, którego szukałem. To rzeczywiście część planu Saravora. Nie chcieliśmy schwytać tego Uroczego i zmusić go do mówienia, ale skoro pojawiła się taka możliwość, nie zamierzałem z niej zrezygnować. Radziłem sobie już w trudniejszych sytuacjach.

Gdyby którykolwiek z Uroczych zachowywał czujność, mogliby zauważyć nasze cienie poruszające się pomiędzy iglicami, ale słabością Uroczych jest ich pewność siebie. Sprawiali wrażenie znudzonych. Oczywiście pewność siebie nie jest słabością, gdy jesteś praktycznie niezniszczalny i władasz mroczną, straszliwą mocą.

– Minuta – odezwała się Nenn. Dobyłem szabli. Dobra, zakrzywiona stal, rękojeść idealnie dopasowana do dłoni, jakby ją dla mnie wyrzeźbiono. Przez cienką skórzaną rękawicę czułem pokrywający ją srebrny drut. Miałem ją od dawna.

– Świadku Thierro. Ognia!

Wydałem rozkaz. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz to

zrobiłem. Przyjemne uczucie.

– Pierwszy szereg, przygotować się do strzału! – zawołał Thierro. Strzelcy wybiegli zza iglic. Trzymali przed sobą rusznice błyskowe. Głosy Śpiewaków przybrały na sile, wzbiły się pod niebo, potężne i nieludzkie.

– Cel!

Żołnierze oparli kolby na ramionach. Jeden z Uroczych podniósł wzrok znad książki, którą kartkował, zawołał coś i zerwał się na nogi.

– Pal!

Rusznice błyskowe jęknęły, po czym plunęły jaskrawym światłem ponad polaną. Dwie z nich nie wypaliły, ale chociaż trysnęły iskrami, nie rozpadły się na kawałki. Niektórzy żołnierze celowali w Uroczych. Inni mierzyli do Śpiewaków, których głosy nagle osłabły i zafalowały. Żelazny zbiornik z kawałkami kryształu skrzył się mocą, promieniował złotem i fioletem, zielenią i krwawym pomarańczem, ale gdy tylko pieśń się urwała, zaczął trzeszczeć. Trysnęły z niego przypadkowe wyładowania energii, a jednego ze Śpiewaków obsypało coś, co wyglądało jak rozpalone węgle. Próbował się z nich otrzepać, ale miał zbyt masywne kończyny.

– Drugi szereg, pal!

Drugi szereg żołnierzy Thierra wystrzelił przy wtórze pisku rusznicy błyskowych. Przynajmniej jeden z Uroczych został trafiony, co nie było łatwe z tej odległości. Zobaczyłem krew tryskającą z ramienia i biodra dziewczyny. Chłopak przypadł do ziemi za pozostałością jednego ze ściętych kryształów.

– Do ataku! – wrzasnęła Nenn. – Do ataku! – Zakręciła szablą nad głową. Niebezpieczna zabawa. Ktoś mógłby stracić nos.

Spiąłem Sokoła ostrogami, dając mu znać, że nadszedł czas. Zareagował chętnie, a gdy pierwszy wierzchowiec wyrwał do przodu, pozostałe za nim podążyły. Przywarłem do szyi Sokoła, trzymając wodze lewą ręką, ściskając rumaka łydkami i stale go poganiając. Szarżowaliśmy na coś rodem z sennych koszmarów.

Ranna Uroczka wstała. Nie mogły jej powstrzymać dwa strzały z rusznicy błyskowej. Szeroko otworzyła usta i wykrzyczała coś, czego nie dosłyszałem pośród urywanych głosów Śpiewaków, którzy

usiłowali zapanować nad magią w żelaznym zbiorniku. Uroczą odgradziła nas od tych potwornych istot i z wrzaskiem wystrzeliła czymś w naszym kierunku. Sunęła ku nam fala mocy, podrywając w powietrze kamyki i piach, ale nagle zatrzymała się w eksplozji iskier. Glaun i Przędzarze dobrze wywiązywali się ze swojego zadania.

Uroczy z ogonem spróbował starej sztuczki. Posłał przeciwko szarżującej kawalerii robaki umysłu i schwytał jednego z naszych jeźdźców, który gwałtownie skręcił w prawo, próbując zderzyć się ze swoimi kompanami. Upadek podczas galopu pośród sterczących kryształów skończyłby się co najmniej połamanymi kośćmi. Ostra krawędź mogłaby rozplątać człowieka.

Istnieje stare powiedzenie, że najlepszą obroną jest atak, co w tym wypadku okazało się prawdą. Widząc, że Uroczy zastosował wyrafinowany manewr, Przędzarze otoczyli go złotymi i błękitnymi rozbłyskami fosu, które pozostawiały po sobie ogniste ślady.

Nenn wydzieriała się równie donośnie jak Uroczy. Nie był to okrzyk bojowy, po prostu lubiła wrzeszczeć. Uniosła szablę i zostawiliśmy Uroczych Przędzarczom. Zbyt trudno było ich zabić i zbyt niebezpiecznie się do nich zbliżyć. Ale potężne ciała Śpiewaków? To co innego.

Z bliska wyglądali groteskowo, jeszcze gorzej, niż podejrzewałem. Ich skóra była szara i lepka, tak jak u roboli, ale przecinały ją rozległe rozstępy, jakby z trudem utrzymywała taką masę. Byli obrzmiali, pięciokrotnie więksi od normalnych mężczyzn i kobiet. Ogromne policzki obciągały skórę pod przekrwionymi oczami. Mieli na sobie miękkie szaty, w ich długich uszach tkwiły złote ozdoby, a przerośnięte ciała, zmienione w celu pomieszczenia potężnych płuc, były zbyt zdeformowane, by zapewnić im pełny zakres ruchów. Sprawiali wrażenie zagubionych, gdy zobaczyli pędzącą kawalerię. Ich ociężałe głowy nie były w stanie się obrócić, a spojrzeniom brakowało ostrości. Nie byłem pewien, czy rozumieją, co się dzieje, gdy uniosłem się w strzemionach i z całej siły ciałem jednego z nich w głowę.

Jestem roslą mężczyzną i dużo ćwiczę, aby moje ciało

zachowywało maksymalną siłę, ale mimo że siedziałem na grzbiecie ważącego tonę rumaka, ostrze zdołało przeciąć tylko skórę i kilka kosmyków oklapniętych włosów. Nie rozplątałem grubej czaszki Śpiewaka, który stęknął jak pijak, niezdarnie zamachał rękami, a potem spróbował wstać, ale przegrał z własnym ciężarem. Zatoczyłem koło i ponowiłem atak, tym razem przelewając mnóstwo krwi i wywołując jęki bólu, ale bestia nie miała zamiaru tak szybko umrzeć. Miałem wrażenie, że atakuję byka nożem kuchennym.

Huczały pistolety i karabinki. Kilku naszych kawalerzystów postanowiło zbliżyć się do Uroczej. Celowali w jej ciało, wzbijając w powietrze kłęby smoczego dymu, strzelając raz za razem. Przez pył i gęsty dym nie mogłem jej zobaczyć. Może ją dopadli. Być może dopisało nam szczęście.

Nagle powietrze rozdarło uderzenie magii, rozcinając konia i jeźdźca na pół. Uroczy naznaczony przez roboli wyrwał się z więzów Przędzarzy i strzelał na oślep. Zbroja nie chroniła przed tą mocą i po chwili kolejni dwaj mężczyźni zostali ścięci ze swoich siodeł. Iskry trzaskały w powietrzu, gdy Przędzarze próbowali utkać nowe więzy, ale wściekłość dodawała Urocemu siłę. Jego na wpół ludzka twarz wyrażała czystą, dziką nienawiść, jaką widziałem tylko u Uroczego. Miotał na lewo i prawo biczami tnącego powietrza. Dobyłem pistoletów i wycelowałem na tyle starannie, na ile to było możliwe w ciągu dwóch sekund na grzbiecie wystraszonego konia, ale spudłowałem. Drugi pocisk również nie trafił w cel. Uroczy obrócił się, kiedy kula ze świstem przemknęła obok jego twarzy, zobaczył mnie i mógłby zakończyć moje życie, gdyby przypadkiem nie stratował go pozbawiony jeźdźca koń. Czarownik upadł na ziemię w obłoku kryształowego pyłu, a kopyta wgniotły go w piach.

Popatrzyłem na Śpiewaków. Krwawili i strachliwie zawodzili. Byli zbyt duzi i groteskowi, by uciekać, wołali więc tylko słabo o pomoc, podczas gdy nasi ludzie ich siekli. To była straszliwa rzeź i ktoś słabszy mógłby pożałować tych zdeformowanych drani. Może nie jestem Uroczym, ale nienawiść nie jest mi obca. Te istoty uśmierciły tysiące ludzi za sprawą swojej przeklętej magii. Gdybym musiał, pozabijałbym je wszystkie własnymi rękami.

Nadciągali robole. Niektórzy biegli ku nam z pikami i mieczami, inni jechali na masywnych, kudłatych stworach. Do tej pory powinniśmy już wykonać zadanie i zarządzić odwrót, ale Śpiewacy byli kurewsko trudni do zabicia. Wszędzie wokół leżały strzaskane i porozrywane ciała ludzi Nenn, ofiary wściekłej magii Uroczych. Trzej żołnierze stali nad Uroczą, a przynajmniej tak mi się wydawało, i bez przerwy uderzali ją mieczami, aby pozostała martwa.

Zobaczyłem Nenn. Zsiadła z konia i podobnie jak ja dobyte dwuręcznego miecza. Wbiła go od tyłu w ciało jednego ze Śpiewaków, gdy potwór bezskutecznie próbował wstać. Nogi nie mogły go utrzymać. Ostrze przeszło na wylot, ale to nie powstrzymało stwora. Nenn wyszarpnęła miecz spomiędzy jego żeber, ale Śpiewak najwyraźniej nie zamierzał umrzeć.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy! – zawołał Stracht. Krwawił z ust po tym, jak jeden ze Śpiewaków zdołał go trafić obrzmiąłą łapą. – Nie pokonamy tych wszystkich roboli.

Miał rację. Całe setki wrogów wylewały się z obozowiska i rozpaczliwie pędziły na pomoc swoim czarownikom. W pobliżu rozległo się kilka stłumionych uderzeń, gdy Przędzaczom udało się przygwoździć Uroczego do ziemi. Jego ciało dymiło, ale wciąż się mიაł. Od początku nie wierzyłem, że uda mi się cokolwiek z niego wydobyć, ale teraz patrzyłem, jak mój najlepszy trop idzie z dymem.

W stronę roboli pomknęła seria pocisków z rusznic błyskowych, ale pięćdziesiąt sztuk broni ręcznej nie mogło uczynić tej hordzie większych szkód niż Śpiewakom.

– Granaty! – rozkazałem. – Wysadźcie ich.

Nenn posłała mi wściekły uśmiech. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Śpiewacy byli nieruchomi. Najmniejszy z nich zdołał się przemieścić zaledwie o kilka stóp. Zabraliśmy ze sobą granaty jako ostateczność, gdybyśmy musieli mierzyć się największymi i najgłupszymi stworami zamieszkującymi Nieszczęście.

Podjechałem do pierwszego Śpiewaka. Odszukał mnie wzrokiem; jego duże żółte gałki oczne przecinały krwawe żyły.

– Zabij... mnie... – zaskrzeczał na tyle wolno, że zrozumiałem mowę roboli. W jego głosie było wiele bólu. Królowie Głębi będą musieli

zapłacić za piekło, które rozpętali, gdy w końcu ich pokonamy, ale mimo wszystko nie potrafiłem współczuć tej istocie. Mogła odmówić. Wybrała to udręczone życie kosztem niewinnych kobiet, mężczyzn i dzieci.

Zapaliłem długi lont granatu i wcisnąłem go pod szatę stwora. Miał zbyt zniekształcone ręce, by zgiąć je w łokciach i mi przeszkodzić.

Zacząłem pogwizdywać, gdy podpalałem kolejne lonty i krążyłem wśród Śpiewaków. Razem z Nenn i Strachtem rozmieściliśmy wszystkie granaty, po czym pobiegliśmy do wierzchowców. Koń Strachta uciekł podczas bitwy, obaj więc skierowaliśmy się w stronę Sokoła, który także paraskał, wierzgał i uderzał kopytami o ziemię, ale był dobrze wyszkolony, dlatego pozostał przy moim boku. Wskoczyłem na siodło. Robole się zbliżali, ale ich wierzchowcom – kucykom? jakom? – brakowało szybkości. To były wytrzymałe zwierzęta przystosowane do pracy w Nieszczęściu, a nie do szarż kawaleryjskich.

– Ruszajmy, ruszajmy! – wołał Stracht.

Nenn czekała z nami, przygotowując pistolet.

– Schylcie się! – krzyknęła, ale było za późno.

Uroczy płonął, ogień trawił jego nogę i ogon, połowa twarzy całkowicie się spaliła za sprawą Przędzarzy, ale znajdował się w odległości zaledwie dwudziestu stóp i widziałem, że jego gniew płonie jeszcze gwałtowniej niż obracająca go w popiół magia. Przywołał resztkę mocy, by nas porazić.

W naszą stronę pomknęła fala magii, która przecięła powietrze jak kosa. Najpierw trafiła Strachta. Ja siedziałem za nim i powinienem być następny, ale śmierć nie nadeszła. Śmiercionośna energia wybuchła wokół Strachta, zupełnie jakby się od niego odbiła i rozprysła. Uroczy został uderzony własną mocą i potoczył się po piachu jak szmaciana lalka, przecięty na pół.

Sokół stanął dęba i parsknął, ale mocno chwyciłem jego wodze. Stracht jakimś cudem żył, chociaż właśnie przyjął bezpośredni cios od Uroczonego, ale nie miałem czasu go o to pytać, ponieważ robole się zbliżali. Nasi ludzie już się wycofali i pozostali tylko Nenn, Stracht i trupy. Chwyciłem Strachta za rękę i spróbowałem wciągnąć go na

siodło. Nie dawał sobie rady; był za stary na takie akrobacje i nie miał strzemienia, na którym mógłby postawić stopę.

– No dalej, Stracht! – zawołałem. Znow go pociągnąłem, ale brakowało mi sił.

Nenn odbezpieczyła pistolet. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Z oczu popłynęły podwójne strużki krwi.

– Nie – westchnąłem.

– Dziękuję, Galharrow – powiedziała, a głos, który wydobył się z jej ust, był suchy i zakurzony jak grobowiec. – Sądziłem, że będziesz sprawiał problemy, ale widzę, że powstrzymałeś dla mnie atak roboli.

– Puść ją – odrzekłem. Z całych sił zacisnąłem szczęki, widząc, jak mój najgorszy koszmar staje się faktem.

Nenn wycelowała we mnie z pistoletu.

– A może zawrzemy układ? – spytał Saravor z przebiegłym uśmiechem. Nenn nigdy nie popatrzyłaby na drugiego człowieka z taką nienawiścią. Nie była tak okrutna. – Powiedz mi, jak osiąść moc Jasnej Pani, a ja pozwolę, żeby ona dalej mi służyła.

Robole już prawie do nas dotarli.

– Ona cię zniszczy – syknąłem. – Tylko spróbuj.

– Czcze pogroźki. Rozczarowujesz mnie. Myślałem, że umrzesz bardziej godnie. Żegnam, kapitanie Galharrow.

Wzdrygnąłem się, kiedy palec Nenn dotknął spustu, ale nacisnęła go niedostatecznie mocno. Jej ciało zadrżało, a w oczach dostrzegłem przebłysk świadomości. Nenn walczyła o odzyskanie kontroli.

– Zabiję cię – wyszeptał Saravor, ale mówił z wielkim trudem, a po chwili Nenn dodała zbolalym głosem:

– Uciekaj, Ryhalcie. Jedź.

Pistolet gwałtownie opadł i wystrzelił w obłoku dymu, a pod Sokołem ugięły się nogi. Koń przechylił się na bok, upadł na Strachta i zrzucił mnie na popękaną ziemię. Kawalek kryształu wbił mi się w twarz, rozcinając skórę. Przez chwilę byłem oszołomiony, a kiedy znow podniosłem wzrok, Nenn galopem oddalała się od roboli, zmierzając w stronę kryształowych iglic.

Huknął pierwszy granat, rozrywając Śpiewaka na kawałki. Kilka sekund później rozległ się kolejny wybuch, a po nim następny. Robole

zwolnili i przestali się nami interesować, widząc, że ich czarownicy wylatują w powietrze. Wraz ze śmiercią każdego Śpiewaka w górę wylatywały strzępy mlecznobiałego mięsa. To była nowa muzyka, pełna grzmotów i huku bębnów.

Próżne zwycięstwo.

– No cóż – powiedziałem – przynajmniej ich powstrzymaliśmy.

– To też coś – przyznał Stracht, wycierając gęstą krew z ostrza berdysza. Kawaleria roboli była zbyt blisko, żebyśmy mogli jej uciec pieszo. Stracht popatrzył w ślad za odjeżdżającą Nenn, zbyt oszołomiony i pewny śmierci, by pytać, co się stało.

– Jak powstrzymałeś magię Uroczego?

– Żebym to ja wiedział – odparł ponuro. – Psiakrew, Ryhalcie. Już po nas, prawda?

Popatrzyłem na zbliżających się roboli. Zwolnili i przyglądali się swoim magicznym przywódcom, być może zastanawiając się, czy mogą ich jakoś ocalić, ale cała okolica przypominała posadzkę w rzeźni. Ziemię pokrywały czerwień i biel, kości i mięso.

Obejrzałem się w stronę Kryształowego Lasu. Na jego skraju zobaczyłem Thierra z rusznicą błyskową w dłoniach i niemal poczułem ulgę. Nenn i ostatni jeźdźcy właśnie do nich docierali. Thierro mi się przyglądał.

– Tak – odrzekłem. – Myślę, że już po nas.

Dziwne, że nie miało to dla mnie większego znaczenia.

Skinąłem głową w stronę Thierra. Lepiej zginąć niż dać się schwytać. Robole zabraliby nas do swoich panów, a Królowie Głębi spaczyliby nas i wykorzystali jako broń przeciwko naszym ludziom. Ale najpierw by nas skrzywdzili. Krzywdziliby nas bardzo długo. Kiedy zbliża się koniec, życie wcale nie przemyka ci przed oczami, jak twierdzą niektórzy. Zamiast tego dociera do ciebie, jak wielu spraw nie dokończyłeś. Elizabeth stracona w świetle. Nenn w rękach Saravora. Niczego nie udało mi się zmienić. Thierro wycelował do mnie z rusznicy błyskowej. Wzięłem głęboki oddech, podniosłem wzrok ku księżycom. Dzisiaj ich nie widziałem, lecz pęknięcia na niebie były na swoim miejscu. Lśniły łagodnie na biało i brązowo, a wbrew temu, co oznaczały, było w nich coś pięknego. Bywają gorsze

ostatnie widoki. Wiedziałem, że Thierro jest na tyle dobrym strzelcem, by wpakować mi kulkę w głowę.

Czekałem. Niebo grzmiało. Wyobrażałem sobie, że oplakuje naszą śmierć, ale oczywiście to tylko pieprzone niebo.

Rozległ się strzał od strony naszych oddziałów i Stracht zatoczył się, błysnął białkami oczu i dokonał żywota. Czekaając na pocisk przeznaczony dla mnie, obejrzałem się na Thierra. Zdjął kapelusz, a następnie w znajomy sposób zsalutował dwoma palcami. Potem zarzucił na ramię dymiącą broń i podążył za innymi w głąb lasu.

– Ty draniu! – warknąłem.

Wbiłem miecz w piasek i dobyłem ostatniego pistoletu. Robole szybko się zbliżali. Niewola była gorsza niż śmierć. Istniało tylko jedno wyjście.

Przyłożyłem lufę do czoła.

Pociągnąłem za spust.

25

Kurek opadł.

Broń nie wypaliła.

Robole otoczyli mnie gęstym rojem, plując i dżgając włóczyniami. Rzuciłem przeklętym pistoletem w głowę jednego z nich, co było próżnym gestem, gdyż tylko odbił się od hełmu, a potem ryknąłem i spróbowałem polec w walce. Chwyciłem miecz, zacząłem rozdzielać ciosy na lewo i prawo. Pole bitwy to brudne, zalane potem piekło. Wyszukane szermiercze techniki, których uczą cię w salach do fechtunku, zasady taktyki i sprytne sztuczki przestają mieć znaczenie, a pozostają tylko instynkt i szybkość. Moje ostrze przecięło powietrze i skrzeszło iskry z karwasza, gdy odciąłem wrogowi dłoń.

– Na co czekacie, dranie? – warknąłem, ale robole byli ostrożni.

Tuzin z nich mnie otoczył, pozbawiając jakiegokolwiek nadziei na ucieczkę. Spróbowałem uderzyć w grot jednej z włóczni, ale trzymający ją robot zręcznie się cofnął, po czym trafił mnie w napierśnik. Osiem cali wyżej i dostałbym w niechronioną twarz, ale gnój wcale nie próbował mnie zabić.

Zrozumiałem, że powinienem przeszyć sobie szyję mieczem.

Wtedy trzonek włóczni uderzył mnie w przedramię i moją rękę od dłoni po łokieć sparaliżowało odrętwienie. Miecz wysunął się z bezwładnych palców, a robole na mnie skoczyli.

Jeden zdzielił mnie w twarz pięścią w ciężkiej rękawicy. Rozbił mi wargę i skaleczył policzek. Nie wiem, ile ciosów mi zadali, ale było ich wiele, mocnych jak stal – wystarczająco wiele, by mnie powalić. *Bam*, światła zatańczyły mi przed oczami. *Bam*, ziemia gwałtownie się podniosła i uderzyła mnie w twarz. *Bam*, coś pękło z trzaskiem. Na wpół oślepiony, próbowałem chwycić długi nóż, który miałem przy pasie, ale robot odtrącił moją dłoń i dalej okładał mnie po głowie. Do

pięści dołączyły buty, *bam, bam, bam*. Żołnierze warczeli i ślinili się, kopiąc i bijąc.

Bolało. Kurewsko bolało.

Zanim mózg przestał mi się obijać o wnętrze czaszki, związali mi nadgarstki i stopy, po czym zawlekli mnie do obozu. Uporczywy kłujący ból pośrodku twarzy wskazywał na to, że znów miałem złamany nos. Czułem smak połykanej krwi. Wypełniała moje gardło i nos, skleiała mi brodę. Moją twarz pokryły sztywne połączenia opuchlizny, jedno oko było na wpół zamknięte. Na pewno nie wyglądałem najlepiej. A przynajmniej byłem brzydszy niż dotychczas.

Wyplułem nieco krwi na piasek. Nie tak to miało wyglądać. Zwycięstwo albo śmierć, takie były możliwości. Ból nie pozwalał mi myśleć. Żałowałem, że nie mam brandy. Żałowałem, że nie umarłem. Żałowałem, że nie jestem gdzieś indziej, gdziekolwiek.

Myślałem o Nenn. Ból, który sprawili mi robole, był niczym w porównaniu z widokiem czerwonych strużek łez. Saravor mi ją odebrał.

Straciłem ją.

W pobliżu usiedli dwaj robole. Byli starzy, dawno przemienieni. Nie pozostało w nich wiele z ludzi, mieli pozbawione nosów szare twarze i czarne oczy bez powiek. Bardziej przypominali ryby. Jeden z nich miał na czole piętno Króla Acradiusa. A więc to jego operacja. Teraz ta wiedza na nic mi się nie przyda. Kiedy ból stał się bardziej znośny, uważniej przyjrzałem się swojemu otoczeniu. Nie wyglądało zachęcająco. Robole zawlekli mnie do swojego obozu razem z dwoma innymi rannymi żołnierzami. Jednemu z nich, kawalerzyście, nie pozostało wiele czasu, najwyżej godzina, sądząc po krwawiącej ranie na boku. Drugim, co stwierdziłem ze smutkiem, był Betch. Miał stopę wykręconą pod nienaturalnym kątem, a strzaskane kości przebiły but.

Życie jest bezlitosne. Nie dba o to, czy jesteś stary, czy młody, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą, czy cię kochają, czy nienawidzą. Możesz liczyć tylko na to, że zostaniesz potraktowany równie nieuczciwie jak pozostali.

– Wciąż żyjemy – wyszeptał Betch drżącym głosem. Popatrzył na moją zmasakrowaną twarz, ale nie zwracał uwagi na krew ani

czerniejące ciało. Wypatrywał pocieszenia, jakiegoś znaku, że to nie koniec, że nie mamy przejebane.

Nie mogłem mu dać takiego znaku. To był koniec. Zbliżała się groza.
– Nie tylko my.

Przez obóz kuśtykał w naszą stronę Uroczy. Był straszliwie poparzony, z tyłu zwisał mu dymiący kikut ogona. W niektórych miejscach jego skóra była zwęglona, w innych czerwona i krwawiąca. Stracił jedną dłoń i przedramię, a spod spalonych mięśni jednej z nóg wyzierała kość. Wyglądało na to, że ma trudności z zamknięciem szczęk, jedno oko stopiło się i wypłynęło, ale drugie się w nas wpatrywało. Żadna istota nie potrafi nienawidzić tak jak Uroczy, a u tego furia płonęła silniej niż ogień, który go strawił.

Nawet robole trzymali się z daleka, gdy powoli kuśtykał w naszą stronę.

– O kurwa – jęknął Betch, gdy go zobaczył. – O kurwa, o kurwa, o kurwa!

Uroczy został postrzelony, poparzony i potężna rana przecinała jego podbrzusze w miejscu, w którym trafiło go odbicie jego własnej mocy. Chociaż był poraniony i osłabiony, sprawiał bardziej przerażające wrażenie niż przedtem.

Żałowałem, że odzyskałem przytomność. Wolałbym jeszcze się nie obudzić, a najlepiej umrzeć. Wszystko byłoby lepsze niż stawienie czoła tej furii, złu wymalowanemu na częściowo spalonej twarzy.

Uroczy zatrzymał się w odległości kilku stóp i popatrzył na nas, dygocząc.

– Wiedźcie, że nie czeka was nic poza cierpieniem – odezwał się w mowie Dortmarku. Zakaszłał z wysiłku i upadł na zdarte kolana. Żaden z roboli nie podszedł, żeby mu pomóc.

– Czy któryś z was ma jakiś stopień? – spytał.

Poważnie ranny kawalerzysta za bardzo się trząsł, żeby cokolwiek odpowiedzieć, a mnie nawet od najdrobniejszego ruchu potwornie bolała twarz, zamknąłem więc oczy i odchyliłem głowę do tyłu. Uroczy ponownie zakaszłał i z jego poparzonych ust wypłynęła strużka krwawej śliny.

– Wasze umysły odpowiedzą, nawet jeśli wy nie chcecie.

– Błagam. – Ranny kawalerzysta załkał. – Błagam, błagam, błagam!

Postradał zmysły. Zresztą nic dziwnego i powinien być za to wdzięczny losowi. Już był martwy, pozostała tylko pusta skorupa. Tak było dla niego lepiej. Otaczały nas potwory, czuliśmy dym, który wciąż unosił się ze spalonego ubrania Uroczonego, oraz woń jego upieczonego mięsa, i wydawało się jasne, że ten dziecięcy czarownik nie pozwoli nam szybko umrzeć po tym, jak go zraniliśmy. Powolna śmierć to wyjątkowo łagodne określenie tego, co nas czekało.

Pojawił się dowódca roboli, o którego stanowisku świadczyły jakość zbroi oraz złote ozdoby i klejnoty, którymi poprzebijał sobie uszy. Zaczął rozmawiać z Uroczym, wściekle wymachując rękami. Uroczy odburknął coś w mowie roboli. Dowódca wskazał kolejno każdego z nas, wyrzucając z siebie wolniejsze mlaśnięcia i mruknięcia. Nie bał się Uroczonego.

Nie mieli pojęcia, że rozumiem ich język, a może uznali, że to nieistotne. Tak czy inaczej, mniej więcej wiedziałem, o co się spierają. Dowódca chciał czym prędzej ukraść nasze myśli. Uroczy twierdził, że ma zbyt mało energii i ledwie żyje. Potrzebował czasu na regenerację.

Popatrzył na nas, a następnie zwrócił mściwe spojrzenie na rannego, który stracił przytomność.

– Na razie przeszukam tego, zanim zgaśnie – oświadczył. – Może coś wiedzieć. Może posiadać wiedzę o Nowym Królu.

– Odpierdol się od niego – rzuciłem w mowie Dortmarku. Przez opuchliznę moje słowa były zniekształcone i ledwie słyszalne. Zignorowali mnie.

Pojawiły się robaki umysłu. Ranny kawalerzysta nagle usiadł, jakby ktoś wbił mu w kręgosłup drewnianą żerdź. Gwałtownie potrząsnął głową i wytrzeszczył oczy. Otwierał je coraz szerzej, aż nagle zaczęła z nich wypływać krew, która następnie skapywała z nosa. Zabulgotał, a potem rzeka krwi trysnęła z jego ust. Krwawił także z uszu, a jego ramiona dygotały.

– Niech Jasna Pani ma cię w opiece – wyszeptał Betch, kiedy mężczyzna skonał. Trząsł się ze strachu, ale nie mógł odwrócić wzroku.

Ciało rannego nie wytrzymało obecności Uroczonego wewnątrz

czaszki. Wciąż miał szeroko otwarte oczy i siedział, lecz był martwy. Przesłuchanie tymczasem trwało dalej. Życie uleciało, ale mózg wciąż był świeży, a Uroczy przekopywał się przez niego jak ciekawski lis grzebiący w stercie śmieci. Mijały kolejne minuty, trup wytrzeszczał oczy, aż nagle opadł na ziemię jak worek kości. Uroczy zachwiał się i oparł na rękach. Nikt nie podszedł, żeby mu pomóc.

– Był nikim – poinformował dowódcę. – Jego dowódcą była okaleczona kobieta, a nie któryś z nich.

– Był wrogiem – odparł dowódca. – A więc był kimś.

– Zwykłym żołnierzem. Prostaczkiem. Jutro wydobędę więcej z tych dwóch, ale teraz muszę odzyskać siły. Potrzebuję energii życiowej.

Dowódca popatrzył na niego pogardliwie. Jedyne oko Uroczego wyzierało z groteskowo poparzonej twarzy.

– Wielki już stracił jednego z Wybranych. Lepiej się postaraj, aby nie stracił kolejnego – dodał Uroczy.

Robole odwrócili wzrok, wpatrując się w ziemię, księżycy i pęknięcia na niebie. W cokolwiek, byle nie patrzeć na swojego dowódcę i tę dymiącą istotę. Dowódca miał starą twarz robola, niemal pozbawioną rysów, szarą i gładką, ale dostrzegłem na niej niechęć. Nie chciał przystać na to, co proponował Uroczy.

– Zabierz zwierzęta – powiedział w końcu. – Tyle, ile potrzebujesz.

– Zwierzęta nie wystarczą – odparł Uroczy. – Mają mało energii życiowej. Wiesz, czego potrzebuję.

– Więc zabierz tych ludzi. – Dowódca wskazał na nas.

– Nie chcę ich zużyć, skoro mogą mi coś powiedzieć o powrocie Shavady – odparło potworne dziecko. Z powodu dokuczliwego bólu twarzy jego słowa rozbrzmiewały jak odległy dzwon, który już mnie nie wzywał. Były ważne, ale tylko dla człowieka, którym kiedyś byłem. Teraz byłem nikim. – Potrzebuję energii życiowej natychmiast. Dusz, które mnie wzmocnią. Twój ludzie nie zdołali obronić Śpiewaków. Muszą za to zapłacić.

Przez kilka chwil dowódca roboli tylko mierzył Uroczego wzrokiem, przygryzając tłuste wargi.

– Ilu? – spytał w końcu.

– Dziesięciu. Wybierz, których chcesz. Na przykład wartowników,

którzy nas zawiedli. Dostarcz ich do mojego namiotu. Potem zobaczymy.

Zanosząc się kaszlem, Uroczy odkuśtykał, pozostawiając na piasku ślad krwi. Dowódca przez chwilę patrzył za nim, a następnie odwrócił się i odszedł razem ze swoimi ludźmi. Robole nie kłopotali się wystawianiem straży. Nie musieli. Poza próbami plucia na nich nie mogliśmy im w żaden sposób zaszkodzić, a biorąc pod uwagę stan mojej twarzy, nawet plucie nie wchodziło w grę.

Betch płakał. Nie mogłem go za to winić, ale ten odgłos stanowił kolejne groteskowe przypomnienie tego, jak bardzo zawiodłem. Uroczy powróci, naładowany mocą i zregenerowany. Nie wiedziałem, że potrafią się karmić magią śmierci, ale wcale mnie to nie zaskoczyło. Moc przyjmuje wiele form, czasem jest utkana z blasku księżyca przez Przędzarza, a czasem rośnie wewnątrz potężnego serca czarownika. Nie powinno mnie dziwić, że Uroczy potrafi czerpać moc z energii życiowej.

– On wróci i rozerwie nasze umysły – odezwał się Betch. – Wywróci nas na lewą stronę. – Drżały mu usta. Miał prawo się bać.

– Nie wygląda to dobrze – przyznałem. Twarz bardzo mi dokuczała. Bolało mnie całe ciało, ale twarz najbardziej.

– Rozszarpie nasze umysły – dodał Betch, a potem słowa ustąpiły miejsca niezrozumiałemu bulgotowi.

Miał rację. Uroczy dowie się od nas wszystkiego, co zdoła, a następnie wyssie z nas życie. Paskudna śmierć, zwłaszcza na takim zadupiu. Chociaż chciałem umrzeć, wolałem, aby nie stało się to w tak ponury sposób. Gdy Uroczy wedrze się do naszych umysłów, będziemy mu pomagać, uczyć go i dzielić się swoją wiedzą.

Nagle pewna myśl uderzyła mnie jak obuchem.

Kiedy Uroczy wpuści we mnie robaki umysłu, będzie mógł przeszukać moje wspomnienia i odkryje największą tajemnicę.

Pozna prawdę o Maszynerii Nalla.

Nieświadomie zdradzę sekret, na którym opiera się istnienie republiki. Wrogowie rozumieją, że Maszyneria nie będzie trwała wiecznie, a serce Shavady wyczerpie się tak samo jak serce Pieśniarza. Jestem jedynym człowiekiem w republice, który zna straszliwą

prawdę o źródłach mocy Maszynerii, i zaraz oddam ją w ręce naszych śmiertelnych wrogów.

– Nie możemy pozwolić się przesłuchać – powiedziałem.
Betch tylko dygotał i wbijał wzrok w przestrzeń.

* * *

Próbowałem uwolnić ręce z więzów, ale robot, który mnie spętał, znał się na rzeczy i nie zamierzał się ze mną cackać. Wstał świt, chłodny i błękitny, zdominowany przez Cladę, gdyż pozostałe księżyce postanowiły spać za horyzontem. Co jakiś czas któryś z robotli przychodził nas skontrolować, ale nikt nie obawiał się, że uciekniemy. Niedaleko siedział samotny znudzony stary żołnierz, a ciało naszego kawalerzysty wciąż było przywiązane do słupka. Po co kopać grób, skoro wkrótce zwijasz obóz?

Późnym rankiem batalion pięciuset robotli ruszył na zachód na grzbietach swoich włochatych wierzchowców. Zamierzali zapolować na Nenn i Thierra, spróbować doścignąć naszych ludzi. Dowódca chciał się czymś wykazać, kiedy stanie przed Królem Głębi. Stworzenie Śpiewaków zapewne kosztowało Króla Acradiusa mnóstwo mocy, a czarownicy niechętnie ją zużywali. Jak długo ich żywił, hodował, szkolił? Zastanawiałem się, czy urodzili się po to, by stać się tymi groteskowymi, guzowatymi potworami, czy może siłą przekształcono w ten sposób ciała dorosłych mężczyzn i kobiet. Czy mogliby stworzyć kolejnych, gdyby zapragnęli? Nie znałem odpowiedzi. Zapewne nigdy się nie dowiem.

Wątpiłem, aby robole zdołali dogonić Nenn. Tnota błyskawicznie pokieruje naszych ludzi do domu, używając wszystkich nawigacyjnych sztuczek ze swojego arsenału. Niewielu nawigatorów potrafi mu dotrzymać kroku, a żaden go nie doścignie, gdy Tnota ma przewagę i dobry powód, by się śpieszyć. To zawsze coś.

Wyczułem jedzenie. Robole przygotowywali śniadanie. Gotowali mięso, którego zapachu nie rozpoznawałem. Zapewne pochodziło od jakiegoś zwierzęcia, które żyło daleko na wschodzie, poza

Nieszczęściem. Nie poczęstowali nas. Nie przynieśli nam także wody. Od ziemi biło gorąco, a do listy moich cierpień dołączyło pragnienie. Moja twarz zmieniała się w maskę opuchlizny i napiętej skóry, lecz pragnienie było bardziej dokuczliwe. Nie pozwolili nam skorzystać z latryny, ale wypociłem większość wody, kiedy więc musiałem nasikać w spodnie, nie było tego dużo. Clada dotarła prawie do zenitu, po czym znów zaczęła się obniżać. Robole jedli obiad, a ja tarłem szorstkimi sznurami o słupek, raniąc sobie przy tym nadgarstki. Wkrótce były obolałe i zakrwawione, ale nie ustawałem, chociaż każdy ruch wydawał się skazany na niepowodzenie i niósł ze sobą palący ból.

Około południa jeden z roboli, smukły i młody, zmienił naszego znudzonego starego strażnika. Usiadł na kamieniu niedaleko nas. Nieco przypominał człowieka, zmiany w jego ciele były mniej zaawansowane niż u większości istot w obozie. Wciąż miał wypukły nos i nozdrza, a w jego oczach źrenice były podobnej wielkości co białka. Pozostał mu nawet nierówny pasek brązowych włosów na środku głowy. Dobył miecza i położył go sobie na kolanach. To była broń roboli o całkowicie obcym kształcie, ale jako koneser mieczy uważnie się jej przyjrzałem. Ostrze było lekko zakrzywione, na rękojeści zmieściłyby się trzy dłonie, a niewielki okrągły jelec prawie nie zapewniał ochrony. Miecz wyglądał na mało praktyczny, ale było w nim pewne piękno. Zastanawiałem się, czy żołnierz zamierza go użyć, aby zemścić się za to, co zrobiliśmy jego Śpiewakom, ponieważ dziwnie się nam przyglądał. Dopiero po chwili zrozumiałem, o co chodzi: nie czuł do nas takiej nienawiści jak Uroczy albo dowódca. Sprawiał wrażenie niemal zaciekawionego.

– Wysłali cię, żebyś nas pilnował? – spytałem, a on się wzdrygnął. Nie spodziewał się, że coś powiem, a mój głos był chrapliwy i suchy jak stare liście. – To bez sensu. Dokąd mielibyśmy uciec?

Nie zrozumiał mnie. Mówiłem po dortmarcku. Niewielu roboli rozumie ten język. Mogłem odezwać się do niego w jego własnej mowie, ale wtedy zapewne pobiegłby do dowódcy i moje tortury oraz przesłuchanie zostałyby znacznie przyśpieszone. Nie mogłem ich uniknąć, ale wolałem jak najbardziej odwlec je w czasie.

Moje nadgarstki piekły w zetknięciu ze sznurami. Zaschło mi w ustach, jakby hulał w nich pustynny wiatr. Betch wypłakał się i zasnął, a ja siedziałem wyprostowany, czekając na nadejście wściekłego, pełnego nienawiści Uroczeo, który zmusi mnie do wyjawienia największej tajemnicy Wielkiego Sojuszu, przez co przegramy wojnę, która toczy się od ponad wieku.

Trudno, kurwa. Nie ma co się pierdolić, trzeba zaryzykować. Kiedy została ci tylko jedna płytką, wykładasz ją na ślepo i modlisz się, żeby los dał ci szóstkę.

– Wasz Uroczeo wysłał życie z dziesięciu twoich kolegów – odezwał się, zapewne fatalnie kalecząc mowę roboli. To była seria mlaśnień i pomruków. Tak brzmiałaby pszczoła, gdyby potrafiła mówić.

Młody znów się wzdrygnął. Jego czoło znaczyły pręgi, które skręcały się i przemieszczały, gdy marszczył brwi.

– Umie nasz mówić? – spytał. Wysławiał się poprawnie w swoim języku, a ja zniekształcałem go za sprawą nieudolnej wymowy, ale w końcu nie miałem okazji do zbyt wielu ćwiczeń.

– Znam wasz język. Tak. Wielu z nas go zna. – Kłamałem, ale chciałem go skłonić do rozmowy. Musiałem go rozzłościć, aby chwycił ten łagodnie zakrzywiony miecz i odciął mi głowę. Aby rozplątał mój mózg na dwoje. Musiałem umrzeć, zanim Uroczeo się do mnie dobierze. Nie był to wybitny plan i nieszczególnie pragnąłem umrzeć, ale zależało mi na uniknięciu tortur i zdradzenia Łańcucha. Jeśli szybciej zginę, być może Uroczeo będzie trudniej wydobyć ze mnie dawne wspomnienia o Królach, sercach i Maszynierach albo nawet nie zdoła tego zrobić.

– Ty pierwszy z was, jaki znam, który umie nasz mówić – odezwał się robol.

– Znasz wielu z nas? – spytałem.

Żołnierz się uśmiechnął. Dziwnie było patrzeć na uśmiechniętego robola. Zmiany, jakie zachodzą w ich czaszkach i mięśniach, zazwyczaj im to uniemożliwiają.

– Byłem jeden z was – odrzekł. – Zanim wspaniały pan, Król Acradius, niech mu będzie chwała, dał mi gzzzrt.

Tego słowa Maldon mnie nie nauczył, nie miałem więc pojęcia, co znaczy. Robol zauważył, że sprawiło mi kłopot.

– Wywyższenie – wyjaśnił po dortmarcku. – Zapominam dawna mowa. To znaczy „wywyższyć”.

– Byłeś żołnierzem w Dortmarku? – spytałem.

Robol pokiwał głową.

– Przed chwałą. Tak. Żołnierz jak ty, w Nieszczęściu. Już dawno.

– Ile masz lat?

Nie wiem, po co o to spytałem. To nie było istotne, a ja chciałem, żeby mnie zabił, a nie poczuł do mnie sympatię. Nie czas na pogłębianie międzyrasowych więzi.

– Nie mierzy tak życia – odrzekł robol. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. – Mierzy życie myślami pana. Ma sens?

– Nie – mlasnąłem.

Wzruszył ramionami.

– Więc nie wyjaśnię. Pan ma wielkie myśli. Każdy zna wielkie myśli. Inne niż dla nienarodzonych.

„Nienarodzonymi” robole nazywali wszystkich poza sobą. Maldon mi o tym powiedział. Patrzyli na nas jak na fazę larwalną, gąsienice albo robaki. Może właśnie dlatego traktowali nas z taką obojętnością.

– Mówisz jak oni – odezwał się Betch. Obudził się i patrzył na mnie z przerażeniem. – Mówisz jak oni. Jesteś jednym z nich!

– Nie jestem jednym z nich – odparłem.

Betch zaczął się miotać, jakby nie mógł dłużej tego znieść i za wszelką cenę postanowił się uwolnić. Strażnik wstał i do niego podszedł. Solidny kopniak w twarz odebrał Betchowi zapał i kapitan opuścił głowę. Zadowolony robol wrócił na swój kamień. Prawie się uśmiechał, jakby usunął irytującą przeszkodę w naszej rozmowie.

– Ostatnio bóg ma wielkie myśli – powiedział. – Pomieszane myśli. Nie rozumie, dlaczego nienarodzony wskrzesił Shavadę.

Popatrzył na mnie, jakby to miało coś dla mnie znaczyć.

– Nie rozumiem – odparłem.

– Nienarodzeni budują wieża pod niebo. Wieża, aby wykorzystać moc księżyców. Bardzo potężna. Trzeba zniszczyć. – Przekrzywił głowę, jakby zastanawiał się nad czymś bardzo skomplikowanym. –

Bogowie nie lubią. Moc księżyców poza nimi. Nie działa dla nich. Działa tylko dla nienarodzonych.

To mnie nie zdziwiło. Valiya wykombinowała, że chcą zburzyć Wielką Iglicę. Thierro pokazał, czego świadkowie mogą dokonać zaledwie kilkoma pojemnikami z fosem. Czy kiedy Wielka Iglica będzie gotowa i słoneczny rozbłysk uderzy, Thierro będzie mógł zaatakować Królów Głębi?

Nie. Oni nie boją się Thierra ani jego świadków. Uroczy wspomniał o Shavadzie, a Saravorowi zależało na powstrzymaniu Śpiewaków. Patrzyłem na psa, ale nie widziałem stojącego za nim lwa. Chyba że...

– Wasz bóg obawia się, że Jasna Pani powróci? – Te słowa wyrwały się z moich ust, niesione zdradziecką falą nadziei. Wiedziałem, że to nic nie da.

– Nie rozumie – odrzekł robol. – Wieża pod niebo zła dla świata. To prawda.

– Wierzysz we wszystko, co ci mówią? – spytałem. – Nawet kiedy zabierają dziesięciu twoich kolegów, żeby nakarmić nimi Uroczego?

– „Uroczy” to słowo nienarodzonych – zamruczał. – My mówimy Wybrani. Wybrani wyjątkowi. Potrzebują życia. Dajemy chętnie, dla Wybranych i boga. Wy nienarodzeni bez celu dajecie życie za nic. Jaki wtedy sens? Życie cenne tylko, gdy oddaję za inni.

To brzmiało jak stek bzdur. Ale nietrudno zrozumieć, dlaczego Królowie Głębi chcą, by ich podwładni w to wierzyli. Robole mają doszczętnie wyprane mózgi, nie myślą samodzielnie. Przynajmniej dotychczas tak sądziłem. Tylko że w tym robolu tliła się iskra osobowości, czego się nie spodziewałem. Czy to wynikało z tego, że zmiany w jego ciele jeszcze nie zaszły wystarczająco daleko, czy może z tego, że jego twarz wciąż mogła wyrażać uczucia? Wątpiłem, aby ktokolwiek rozmawiał z robolem tak długo jak ja. Bez udziału rozgrzanego żelaza i wyszczerbionych ostrzy. Może powinniśmy to częściej robić.

– Twoje życie należy do ciebie – odrzekłem. – Liczy się tylko jego zachowanie.

– Lepiej je oddać – zamlaskał robol i wzruszył ramionami. – Jeśli tylko to ważne, smutny twój koniec. Niewiele czasu. Przychodzi

Wybrany, używa robaka umysłu. Wtedy umierasz.
Racja. Nie miałem na to żadnej odpowiedzi.

26

W Nieszczęściu zimowe dni są równie krótkie jak wszędzie indziej, mimo ciepła sączącego się ze skażonej ziemi. Strażnik się zmienił, nad światem zapadła ciemność. Clada chyłkiem się usunął, a Rioque wychylił połowę tarczy z za dalekiego horyzontu. Bezbarwna noc.

– Ty zdradziecki draniu – syknął Betch. Ocknął się w trakcie mojej rozmowy z robolem. – Jesteś jednym z nich.

– Myślisz, że gdybym był jednym z nich, siedziałbym przywiązany do tego palika?

– Mówisz jak oni.

– Znam ich język – odparłem. – Mogę cię pouczyć, jeśli chcesz. Opiera się na gardłowych pomrukach i uderzeniach języka o podniebienie. Za mniej więcej godzinę Uroczy naje się robotami i będzie gotowy, żeby potraktować nas robakami umysłu. Masz ochotę na lekcję?

– Pierdolony zdradziecki drań – warknął Betch.

Uczepił się czegoś, co mógł znienawidzić. Kogoś czującego, na kogo mógł nakierować swój gniew. Nie było sensu się wściekać na nową strażniczkę. Miała białą jak mleko, niemal przejrzystą skórę, spod której widać było płaszczyzny gładkich kości, i całkowicie nas ignorowała. Nie próbowałem z nią rozmawiać. Była zbyt odmienna, zbyt przemieniona, a zresztą z ostatnim strażnikiem niespecjalnie mi poszło.

– Co dobrego pamiętasz ze swojego życia, Betch? – spytałem, oglądając się w jego stronę. Podczas walki koszmarnie nadwerżyłem sobie szyję i każdy obrót głowy bardzo bolał. Z kolei siedzenie pod palikiem dawało się we znaki moim plecóm.

– Co?

– Ze swojego życia. W ojczyźnie. Co dawało ci szczęście?

Twarz Betcha była napięta, a oczy szeroko otwarte ze strachu.

– Jakie to ma, kurwa, znaczenie?

– Warto teraz o tym pomyśleć. Później pewnie nie będziemy mieli czasu.

Betch się odwrócił. Nie chciał rozmawiać ze zdrajcą, chociaż wydawało się jasne, że jeśli jestem zdrajcą, to niewiele z tego mam. Ciężko westchnąłem. Miałem już dość tarcia sznurem o słupek. Moje nadgarstki opuchły, przez co więzy jeszcze bardziej mi dokuczały. Podniosłem wzrok na lśniące pęknięcia na niebie. Gdyby któreś z nich mogło się otworzyć i połknąć mnie, Nieszczęście, nawet świat, byłby to lepszy los niż to, co mnie czekało. Miałem zostać zdrajcą Łańcucha. Przy czym nie byłem byle sympatykiem roboli, ale kapitanem Czarnoskrzydłych. Chociaż tak wiele zrobiłem, chociaż zabiłem tylu drani w obronie kraju, który obrzucał mnie błotem, to ja przyczynię się do jego upadku.

Po niebie przemknął jakiś cień. Dziwne. W Nieszczęściu rzadko widuje się ptaki, przynajmniej takie, które nie mają sześciu głów i ogona jak skorpion. Przy odrobinie szczęścia okaże się jakimś nowym potworem, który zaraz zanurkuje i wyrwie nam serca.

– To niesprawiedliwe – odezwał się cicho Betch.

– Nic nie jest sprawiedliwe – przyznałem.

– Zawsze się spodziewałem, że oddam życie Łańcuchowi – odrzekł kapitan. – On w końcu zawsze nas dopada. Łamie nas. Zabiera.

– Stanowimy dowód na to.

Betch już przeszedł przez fazy grozy i paniki. Teraz popadł w melancholię. Potem przyjdzie pora na zwierzenia, następnie bunt, a na końcu znów zacznie błagać. Taki cykl pozwala umysłowi spróbować różnych metod radzenia sobie z koszmarem. Przynajmniej tak było w przypadku moich jeńców.

– Jesteście blisko związani z Nenn. Ona mówi o tobie w szczególny sposób – rzekł Betch. – Początkowo tego nie rozumiałem. Nawet ci zazdrościłem. Myślałem sobie: oto mężczyzna, którego Nenn kocha od tylu lat. Sądziłem, że wolałaby mieć ciebie.

– Nie, nigdy tak nie było.

– W końcu to zrozumiałem – przyznał Betch. – Ale wciąż byłem

zazdrosny.

– Udało jej się wydostać – powiedziałem. Nie zamierzałem wspominać, że jej umysł został zatruty. Spaczony. Po co miałbym to robić? Przypomniałem sobie jej obawy, że Betch jest z nią tylko po to, by wspiąć się w wojskowej hierarchii. Teraz wydawały się nieistotne. Takie jest życie. – Kochasz ją, Betch?

Roześmiał się chrapliwie, ale w jego głosie słyszałem ból spowodowany zmasakrowaną stopą.

– Nigdy nie rozumiałem, jak ty możesz jej nie kochać – odparł.

Wiatr przybrał na sile i poniósł w moją stronę smród martwego kawalerzysty. Paskudny smród. Trup miał dopiero jeden dzień, ale w Nieszczęściu wszystko szybko się psuje.

– Ożeniłbym się z nią. Być może. Sam nie wiem – dodał Betch. Podniósł na mnie wzrok. Twarz miał równie posiniaczoną i przerażającą jak ja. – Ale teraz jest bezpieczna. Udało nam się, prawda? Powstrzymaliśmy ich przed ciskaniem ognia z nieba. Już nie mogą nikogo skrzywdzić. Po to tutaj przyjechaliśmy i wykonaliśmy zadanie.

– Zgadza się – przyznałem, i chociaż wcale mnie to nie pocieszało, dla niego najwyraźniej było ważne. Nie wiedział, że oddam w ręce Królów Głębi najpilniej strzeżone tajemnice republiki. Nawet śmierć nie mogła zagwarantować, że wymknę się Uroczemu. Skazałem nas wszystkich na zagładę przez jeden niesprawny pistolet.

– A u ciebie? – Betch wyrwał mnie z zamyślenia. Głos mu drżał. Może za sprawą bólu wywołanego połamanyimi kośćmi przebijającymi skórzany but, a może kapitan próbował nie postradać zmysłów. Byłoby lepiej dla niego, gdyby tak się stało. – Co było dobrego w twoim życiu?

Trudne pytanie. „Brandy” to kiepska odpowiedź, ale nie przeżyłem zbyt wielu dobrych chwil, a przynajmniej ich nie pamiętałem. Odniosłem kilka zwycięstw, ale nie warto chlubić się usuwaniem brudów.

– Też miałem kobietę – powiedziałem w końcu. – Zginęła podczas obłężenia.

– Była twoją żoną?

– Nie. – Stłumiłem chichot. Miałem wyschnięte i zeszywniałe gardło, śmiech wywołał więc ból. – To nie miało szans powodzenia. Była dla mnie za dobra. Ale to nieważne, ponieważ nadawała wszystkiemu sens. A więc tak, odpowiedź brzmi: kobieta.

– Ostatecznie do tego się to wszystko sprowadza, czyż nie? – odrzekł Betch. Jego głos rozpląnął się w pustce.

* * *

Zasnąłem. Nie miałem takiego zamiaru, ale wyczerpanie w końcu mnie przytłoczyło. Śniły mi się Valiya i Amaira. To był jeden z tych snów, w których nic się nie dzieje, ale czujesz bliskość. Opowiadałem Betchowi o Elizabeth, ale Valiya także stale krążyła na obrzeżach mojego umysłu.

Ze snu wyrwał mnie młody strażnik, który przyciskał mi do ust metalową manierkę. Nie miałem ochoty pić. Wiedziałem, że nie powinienem. Mogłem spróbować umrzeć z odwodnienia, a Duchy raczą wiedzieć, co znajdowało się w manierce. Ale moje ciało to zdradziecka kupa gówna, więc uległem. To była zwykła woda, zatechła i metaliczna, z wyczuwalnym posmakiem ekstraktorów wilgoci.

Zrobiło się ciemno. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim Uroczy odzyska siły i przyjdzie przeżuć nasze umysły.

W obozowisku zapadła cisza. Robole sypiali tak samo jak wszyscy. Załadowali wszystko na wozy, gdyż zamierzali wyruszyć o świcie, pod warunkiem, że księżycy będą na tyle widoczne, by umożliwić wyznaczenie kursu.

Znajomy robol ponownie usiadł na kamieniu.

– Masz dziwny miecz – zagadnąłem, kiedy zakręcał manierkę. – Nigdy takiego nie widziałem.

Robol odpiął pochwę od pasa i mi ją pokazał. Dobry czysty metal, duchy w stali utworzyły migoczący wzór wzdłuż krawędzi ostrza.

– Z daleka – wyjaśnił. – Pojechałem, walczyłem z nienarodzonymi. Teraz miecz mój.

Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, gdy przypinał pochwę do pasa. Miał jakieś suszone mięso owinięte w papier.

– Chce? – zaproponował.

– Nie – odrzekłem.

Wyciągnął mięso w stronę Betcha, ale ten odwrócił głowę. Robol wzruszył ramionami i zaczął żuć kolejny pasek. Miał takie znajome nawyki. Przypominał setki innych młodych żołnierzy znudzonych na warcie i szukających sposobu na zabicie czasu. Znałem ich mnóstwo, tylko że byli ludźmi, a nie potworami. Zastanawiałem się, jaki był, zanim zmieniono go w tę istotę. Pewnie był zwykłym człowiekiem, który chciał zarobić na życie jako żołnierz. Może nie dopisały plony, jego rodzinie zagroziły głód i bieda, postanowił więc zbić fortunę. Może marzył o awansie i orderach. A może nie potrafił robić niczego innego i ktoś wcisnął mu w ręce rusznicę i powiedział, że to uczyni go mężczyzną. Historie żołnierzy rzadko bywają pełne nadziei.

Kilka stóp na lewo ode mnie spadł z nieba kamyk, wzbijając niewielki obłok pyłu. Robol zerknął na ciemne niebo, ale ono tylko zamrugało do niego biało-brązowymi pęknięciami. Podszedł do kamyka i go podniósł. To był odłamek kryształu, który robole rozbijali, by rzucać czary.

– W Nieszczęściu z nieba spadają kamienie – odezwał się robol. Obrócił odłamek w dłoniach. – Dziwna kraina. To przez królów nienarodzonych. Zła magia. Nie powinno być kamieni w niebie.

Nie zamierzałem się sprzeczać. Zdecydowanie nie powinno być kamieni w niebie.

– Czy wy kochacie? – spytałem robola. Może to było dziwne pytanie.

– Wszystkie istoty kochają – odpowiedział. – Kocham bogów. Król Acradius mnie wywyższa. Muszę za to kochać.

– A kochacie siebie nawzajem? Innych... – urwałem, ponieważ omal nie nazwałem go robolem – ...wywyższonych? Kochasz kogoś spośród nich? – Moje zdolności językowe zawiodły. Może Maldon nie znał słowa oznaczającego miłość do istoty innej niż bóstwo o potężnej mocy. Słowo, którego robole używali do opisanie miłości, wiązało się z posłuszeństwem, służbą, czcią, uwielbieniem. Ze wszystkimi najgorszymi aspektami kochania. Nie odnosiło się do bliskości,

czułości ani szacunku.

– Wiemy, jak u nienarodzonych. W ten sposób? Nie, nigdy – wyjaśnił robol. Podszedł i uklęknął przede mną. Popatrzył na moją twarz, jakby czegoś w niej szukał. Może wspomnienia o tym, co kiedyś wiedział.

W górze zakrakał kruk. To był pojedynczy okrzyk samotnego ptaka, którego nie powinno w tym miejscu być. Strażnik zmarszczył czoło i podniósł wzrok. Nagle kamień wielkości mojej pięści trafił go prosto w głowę. Runął na ziemię z niezdarnie rozrzuconymi kończynami, a z rozcięcia na czole trysnęła krew.

Kruk sfrunął w ślad za kamieniem, obracając głowę na wszystkie strony, aby sprawdzić, czy ktoś zauważył, co zrobił.

– Najwyższy czas, żebyś się, kurwa, pokazał – powiedziałem.

Nadzieja. Wezbrała. Ryknęła. Oto wydarzyła się ostatnia rzecz, której się spodziewałem. Nadzieja, niech ją Duchy przeklną.

– Dobrze wiedzieć, że jeszcze nie wydałeś wszystkich naszych tajemnic – zaskrzeczał kruk. Był potężny i zbliżył się podskokami do robola. Wyglądało na to, że go wacha, chociaż nie wiem, czy kruki mają węch. – Żyje. Pośpiesz się. Zresztą i tak powinienes się pośpieszyć. – Ptak chwycił sztylet robola i wyciągnął mu go z za pasa. Robił to powoli i niezdarnie. Kruki nie są stworzone do noszenia przedmiotów. Udało mu się przeciągnąć ostrze po piasku do mnie.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Betch. Potem uznał, że jest mu wszystko jedno, i zaczął szeptać: – Uwolnij nas. Uwolnij nas!

– Dlaczego to tak długo trwało? – spytałem.

Kruk upuścił nóż za moimi plecami, a ja zacząłem niezdarnie piłować sznur. Nie było łatwo ustawić ostrze pod właściwym kątem, a zranienia na nadgarstkach paliły przy każdym ruchu. Zesztywniałe ramiona stawiały opór, ale czułem, że włókna liny kolejno pękają. W Niestety wszystkim jest słabsze, bardziej kruche.

Ogłuszony robol stęknął i zaczął obmacywać ziemię wokół siebie, więc przyśpieszyłem. Ptak mówił urywanym głosem, dziobiąc sznur i szarpiąc nitki, aby mi pomóc:

– Długo trwało... zanim znalazłem... wystarczająco ciężki kamień... który mogłem podnieść... Miałem tylko jedną szansę.

– Niezły rzut – pochwaliłem.

– Celowałem... w ciebie.

Nawet mnie to nie zdziwiło.

– Twoje współczucie mnie przytłacza.

– Czego się spodziewasz? Stworzył mnie Wronia Stopa. Czy nie powiedział ci, żebyś tego nie spierdolił?

– Co ten ptak powiedział? – spytał Betch.

Zignorowałem go. Ostatnie włókno liny trzasnęło, a ja zabrałem się do przecinania pęt wokół kostek. Poszło znacznie szybciej. Robol miał dobrze naostrzoną broń, a nóż wykuto z takiej samej przydymionej stali co miecz.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że żołnierz dźwignął się na kolana. Krew spływała mu po twarzy i wyraźnie nie wiedział, co się dzieje ani gdzie jest. Uderzenie całkowicie go oszołomiło. Nie potrafił skupić wzroku, przyciskał dłoń do czoła. Zachowywał się jak zwykły człowiek. Ale nie był człowiekiem. Był niczym.

Chwyciłem go za szyję i ścisnąłem. Był szczupły, nie miał zbyt wiele ciała na powykręcanych kościach i jego tchawica szybko się zapadła, gdy wbiłem w nią kciuki. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Mogłem użyć noża, ale byłem wściekły i chciałem, aby poczuł, że umiera. Kiedy z nim rozmawiałem, odkryłem, że jest bardziej ludzki, niż sądziłem, a to jeszcze mocniej mnie rozzłościło. Gdyby był bezmyślnym niewolnikiem spełniającym kaprysy Królów Głębi, być może mógłbym mu przebaczyć. Ale miał rozum. Przynajmniej do chwili, gdy wydusiłem z niego życie.

Siedziałem pośród pyłu i ciszy. Od reszty obozowiska oddzielały nas kwadratowe namioty, płócienna zasłona, która na razie utrzymywała nas przy życiu. Ale na jak długo? Oderwałem palce od zmiażdżonej szyi i zwiesiłem głowę. Wszystko wciąż mnie bolało jak pocałunek Długiego Kresu, ale wolność przyniosła ze sobą przytłaczającą prawdę. Rozwiązałem jeden problem, lecz teraz stanąłem przed znacznie poważniejszym.

– Teraz ja – odezwał się Betch. – Uwolnij mnie. – Przez chwilę tylko siedziałem bez ruchu i rozmyślałem.

Gdyby Uroczy wcisnął we mnie robaki umysłu, tajemnica

Maszynierii Nalla wyszłaby na jaw. Robole poznałoby prawdę i żadne sprytne oszustwa by ich nie powstrzymały. Ta informacja nie mogła wpaść w ręce Królów Głębi.

Kruk dziobał porzucony sztylet.

– Wiesz, co musisz zrobić – zaskrzeczał.

– Uwolnij mnie – powtórzył Betch, ale jego niewyraźny głos ledwie do mnie docierał.

Ptak miał rację. Zrozumiałem ponurą prawdę, że nie przyleciał, aby pomóc mi w ucieczce. Chciał się upewnić, że będę martwy, zanim Uroczy się do mnie zabierze.

Podniosłem nóż i obróciłem go w dłoni. Jeszcze niedawno przyłożyłem sobie do skroni lufę pistoletu. Teraz nóż zapewniał mi drogę wyjścia. Często podrzynałem ludziom gardła; jak trudno będzie zrobić to samo sobie? Betch wciąż coś mówił. Nie rozumiał. Gardło czy serce? Może szybko wbiję ostrze między żebra. Czy to wystarczy? Nie mogłem ryzykować, że tylko się okaleczę.

– No, dalej – zakrakał kruk.

– Jak mój pan sobie poradzi beze mnie? – spytałem.

Kruk tylko na mnie popatrzył, a ja znałem odpowiedź. Znajdzie innego głupca, który zgodzi się prehandlować życie za jakąś przysługę. Wronia Stopa mu pomoże, a biedak zajmie moje miejsce. Przyłożyłem czubek ostrza do tatuażu z krukiem. Jeśli wbiję sztylet, zabezpieczenia Bezimiennego być może rozerwą mnie na strzępy. Nie. To zbyt ryzykowne. Nie wiedziałem, co się stanie, a magia może jedynie oderwać mi rękę, przez co będę zbyt słaby, aby dokończyć dzieła. Przyłożyłem zimne ostrze do szyi. Betch pewnie uznał, że postradałem zmysły, ale dotyk stali był otrzeźwiający i rzeczowy. Z goryczą pomyślałem, że jej dociśnięcie przyniesie mi ulgę.

Powstrzymała mnie niepewność. Uroczy zdołał przeszukać umysł kawalerzysty, gdy ten był już martwy. Gdybym był przekonany, że zdołam zabrać swoje tajemnice do grobu, być może znalazłbym w sobie siłę, aby wbić ostrze. Ale umrzeć bez gwarancji powodzenia? Zakończyć życie, by i tak zawieść? Tego nie mogę zrobić. Nie zostawię Amairy na świecie, w którym ten potwór ma władzę. Nie, dopóki istnieje szansa.

Kiedy opuściłem ostrze, ciężko dyszałem, wciągając do płuc potężne hausty skażonego powietrza. Uderzyłem głową o rękojęść.

– No, dalej – zaskrzeczał kruk. – Wiesz, jaką cenę zapłacimy, jeśli Uroczy wróci. Zapłaci cały Dortmark, nie tylko ty. Zakończ to.

– Nie – odparłem.

– Pomyśl, Galharrow – tłumaczył kruk. – Jesteś w głębi Nieszczęścia, bez nawigatora, przyjaciół ani zapasów. Nie zczekali na ciebie, tylko gnają do miasta. Nie masz przyszłości. Umrzyj jako bohater, a nie tchórz, przez którego Wielki Sojusz straci wolność. Jeśli Uroczy dostanie się do twojego umysłu, doprowadzisz nas wszystkich do zagłady.

Głos kruka drażnił, co tylko mnie upewniło, że powinienem go zignorować. Ptak jest odbiciem Wroniej Stopy, a nie moim panem, nie muszę więc go słuchać. Mam zadanie do wykonania. Losy republiki zależą od tego, jak bardzo zdołam się oddalić od roboli. Dla dobra ludzi, których kocham, muszę wytrzymać tę ostatnią wędrówkę przez pustynię. Zasługują na to, abym dał z siebie wszystko. Nawet jeśli wrogowie obedną mnie ze skóry, obleją wrzątkiem, wyślą tysiąc skorpionów, żebym oszalał z bólu, i tak przedostanę się przez siedem piekieł, by umrzeć ze świadomością, że Amaira będzie dorastała wolna i bezpieczna. Nie. Nie poddam się. Ani teraz, ani nigdy.

Powoli otrzepałem dłonie.

– Proszę, uwolnij mnie – nalegał Betch.

Musiałem natychmiast wyruszyć, ale byłem winny Betchowi wyjaśnienie. Sądził, że ktoś przyszedł nam z pomocą, i kurczowo uchwycił się tej nadziei. Był zdesperowany i niczego nie rozumiał.

– Betch – odezwałem się łagodnym głosem. – Nie mogę zabrać cię ze sobą. To nie jest misja ratunkowa. Nenn, Thierro i pozostali odjechali, zabierając ze sobą nawigatora. Nie wydostaniemy się z Nieszczęścia. Nie jestem nawigatorem. Ty też nie. Nawet gdybyśmy mieli zapasy lub wierzchowce, krążylibyśmy w kółko, aż w końcu wpadlibyśmy do nory rzasek albo umarli z pragnienia. Jedno i drugie jest równie prawdopodobne. Jesteśmy martwi, Betch. Nie zamierzam uciekać. Ale wiem pewne rzeczy. Rzeczy, które mogą zniszczyć wszystko, co jest dla nas ważne, jeśli Królowie Głębi się o nich dowiedzą. Nie mogę do

tego dopuścić. Wyruszę w głąb Nieszczęścia w nadziei, że mnie nie znajdą i nie opróżnią mojego umysłu. Może coś mnie poźre, jeśli dotrę wystarczająco daleko.

Zasługiwał na coś lepszego. Dotarł tak daleko, ryzykował życie dla ojczyzny. Kochał moją najlepszą przyjaciółkę. Był dzielnym człowiekiem.

– Daj mi tylko szansę na ucieczkę – odrzekł. – Razem możemy... – Popatrzył na swoją powykręcaną nogę i nieco oklapł. – Musi istnieć jakaś szansa.

Nie mógł chodzić. Z pewnością nie mógł biegać. Gdybym spróbował go zabrać, cierpiałby katusze, spowalniałby mnie i w końcu zostalibyśmy złapani. Nawet gdybyśmy wydostali się z obozowiska, wytrzymałby ból najwyżej przez pierwszą milę, a potem zaczęłby mnie prosić o pomoc. Niósłbym go przez kolejną milę. Potem może ciągnąłbym go po piasku. A kiedy robole by nas dopadli, obaj błagalibyśmy o śmierć.

– Walczyłeś dzielnie – powiedziałem. – Nenn byłaby z ciebie dumna. Miałaś dobre życie.

Betch popatrzył na nóż w mojej dłoni i zauważył, że się do niego zbliżam. Łzy napłynęły mu do oczu i spłynęły po policzkach. Wydał z siebie zduszony jęk smutku i strachu, po czym mocno zacisnął powieki. Zadrżał.

– Jeśli jakimś cudem ci się uda – odezwał się – jeśli kiedykolwiek ją spotkasz, powiedz jej, że moja odpowiedź brzmi „tak”. – Wbił we mnie wzrok, przelewając swoją wolę. Przekazywał mi wszystko, co mu pozostało. – Na pytanie, które mi zadała na werandzie tamtego ranka, gdy patrzyliśmy na wschód słońca. Przekaż jej, że powiedziałem „tak”.

– Dobrze. – Cały czas patrzyłem mu w oczy. Miałem wrażenie, że to ważna obietnica. – Zamknij oczy.

Betch zamrugał, pozbywając się łez, a potem zacisnął zęby i oparł głowę o palik. Mięśnie na jego obnażonej szyi napięły się, gdy wydusił z siebie:

– Zrób to.

Nie znałem go dobrze, ale i tak sprawiło mi to ból. Wytarłem ostrze o kurtkę, której już nie potrzebowałem.

– Galharrow, jeśli uciekniesz, złapią cię – burknął kruk. Zatrzepotał skrzydłami tuż przed moją twarzą. – Nie potrafisz nawigować, zostawisz ślady, a Uroczy pożre twój umysł. Kiedy wypocznie, nie będziesz mógł mu się przeciwstawić.

– Masz rację – odrzekłem. – Kiedy wypocznie.

– Nie zdołasz mu umknąć, kiedy już odzyska siły – zakrakał kruk.

– Nie zamierzam uciekać. – Wyprostowałem kołnierz płaszcza. – A on nie odzyska sił.

Wiatr nie osłabł i niespodziewanie, w chwili gdy najbardziej tego potrzebowałem, nadciągnął obłok pyłu. Nieszczęście przeważnie cię nienawidzi, ale czasami zmienia zdanie i daje ci odetchnąć. Tylko na chwilę, ale dobre i to. Burza piaskowa nie ucieszyłaby mnie wcześniej, ale teraz cuchnąca, oślepiająca chmura piasku wypełniła obozowisko roboli niczym toksyczny fabryczny wyziew, pogrążając okolicę w mroku i zmuszając żołnierzy do schowania się w namiotach. Nawet pęknięcia na niebie były przygaszone i niewyraźne.

Przeszukałem strażnika, znalazłem jego maskę i założyłem kaptur, osłaniając się przed pyłem. Maską nie tylko chroniła mnie przed porywistym wiatrem i piaskiem, ale także osłaniała moją twarz przed wzrokiem wrogów. Mocno owinąłem ramiona peleryną robola. Podczas burzy mogłem uchodzić za jednego z nich.

Betch siedział bezwładnie pochylony do przodu. Był bohaterem. Zasłużył na lepszą śmierć.

– Teraz ty – zakrakał kruk.

– Jestem Czarnoskrzydłym – odparłem. – Nie mam zamiaru umrzeć.

Kruk nie radził sobie z wiatrem, podmuchy targały mu pióra.

Zabrałem miecz strażnika, wsadziłem go sobie za pas, a obok zatknąłem sztylet. Manierka była pełna, dlatego również ją zabrałem, podobnie jak suszone mięso. Nie miałem czasu na szacowanie, jakimi zapasami dysponuję, złapałem więc to, co było pod ręką. Przygarbiłem się i ruszyłem w głąb obozu.

Ogniska zdusił pył albo pogasili je żołnierze, by podmuchy nie poniosły iskier na płócienne ściany. Niebo donośnie powarkiwało i dudniło, gdy burza przybierała na sile. Znajdowaliśmy się w głębi Nieszczęścia, w połowie drogi między nami a nimi, niebiosy były więc głośniejsze i aktywniejsze, niż do tego przywykłem. Jakaś dziwna

częstka mnie czuła, że Nieszczęście jest po mojej stronie. Jeśli tak, to było moim jedynym sojusznikiem. Kruk, który z trudem leciał obok mnie, z pewnością mi nie sprzyjał, tylko raz za razem przypominał, że najlepszym wyjściem – jedynym rozsądnym – będzie poderżnięcie sobie gardła. Powiedziałem mu, żeby przestał zwracać na siebie uwagę, ale nieliczni robole, którzy wciąż stawiali czoło burzy, nawet na mnie nie zerknęli.

Doświadczenie podpowiadało mi, że siedziba mojego wroga będzie oddalona od kwater zwykłych roboli. Uroczy trzymali się na uboczu albo to robole woleli się do nich nie zbliżać. Tak czy inaczej, Uroczy zapewne miał do dyspozycji własny namiot, większy i mocniejszy niż namioty jego podwładnych. Musiałem ostrożnie przeszukać obóz, który wcale nie był mały. Zobaczyłem butelki czegoś, co wyglądało jak wino, przystanąłem więc i zapakowałem je do peleryny, która zmieniła się w prowizoryczny worek. Może to wcale nie było wino. Wątpiłem, żebym miał okazję opróżnić butelki, ale lepiej je zabrać niż zostawić.

Kiedy mijałem jeden z namiotów, usłyszałem dobiegające z niego stęknięcia. Nie byłem pewien, co o tym myśleć. W innym namiocie trwała ożywiona rozmowa. Zobaczyłem rozmazane cienie za cienką tkaniną. Byli do nas tak bardzo podobni. A zarazem tak odmienni.

Na obrzeżach obozu stały obok siebie dwa namioty Uroczych. Większy, uszyty z ciemnego materiału, ozdobiły prymitywnie namalowane glify wysławiające Króla Acradiusa. Zastanawiałem się, czy tej nocy przesłał swoim sługom jakieś myśli. Ciekawe, czy może wysłać ostrzeżenie. Wątpiłem w to. Królowie Głębi są potężni, ale nie wszechwiedzący ani wszechwidzący. Dlatego potrzebują roboli, którzy są ich rękami i oczami w świecie. Poza tym Acradius był bardzo daleko i próbował zatopić świat w odmętach lodowatego oceanu. Uroczy nie mogli dziś liczyć na żadne wsparcie.

Musiałem wyeliminować Uroczego. Odebrać mu zdolność wyrwania moich myśli z czaszki. Gdybym uciekł w głąb Nieszczęścia, mógłby i tak mnie złapać, a na otwartej przestrzeni nie miałbym z nim szans.

Namioty Uroczych stały w odległości dobrych stu jardów od

pozostałych. Nie mogłem liczyć na żadną osłonę, a wejścia zapewne pilnowały straże. Musiałem zakładać, że ocalały Uroczy, będąc tak osłabionym, nie zechce ryzykować, że skrzelaki wślizgną się do środka i odgryzą mu drugą rękę. Nagle przyszła mi do głowy jeszcze gorsza myśl, która podała w wątpliwość i tak niewielkie szanse powodzenia mojego planu. Jeśli drugi Uroczy przeżył nasz atak i również został tutaj dostarczony, wszystko może runąć szybciej, niż podejrzewałem.

– Co ty robisz? – wychrypiał kruk w kłębach pyłu. – Co masz nadzieję osiągnąć?

– Potrzebuję tego Uroczonego – odparłem.

– A co potem? Uciekniesz do Nieszczęścia? W jakim celu?

Wzruszyłem ramionami.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale znajdowałem się już w gorszych tarapatach. Kiedy ktoś stawał oko w oko z Królem Głębi, wędrówka przez Nieszczęście nie robi na nim aż takiego wrażenia. Poza tym muszę spłacić dług. Elizabeth oddała wszystko w obronie Łańcucha. Nie mogę wymagać od siebie mniej.

– Zaryzykujesz bezpieczeństwo Łańcucha ze względu na wydumany dług wobec jakiejś martwej kobiety? – syknął kruk.

– Ten dług nie jest wydumany. A ona nie jest martwa. Przynajmniej nie całkowicie.

– Świadkowie namieszali ci w głowie? Sądzisz, że słoneczny rozbłysk sprowadzi Jasną Panią z powrotem do świata, gdzie będzie mogła rodzić dla ciebie małe różowe dzieciaczki?

– Wiem, że rozbłysk nie sprowadzi jej z powrotem – odrzekłem. – Ale to nie znaczy, że nie jestem jej nic winien.

– Wytrwały z ciebie drań, prawda? – warknął kruk. – Powinienem był zrzucić ten kamień na ciebie. – Popatrzył na mnie wrednymi kruczymi oczkami, po czym przysiadł na słupku. Następną część planu musiałem wykonać samodzielnie.

Zgarbiony, chroniąc się przed wiatrem, który mógł mnie przewrócić, pobiegłem w stronę namiotu. Hałasem nie musiałem się przejmować. Liczyłem na to, że Uroczy wciąż jest zbyt słaby, by stanowić zagrożenie. A jeśli odzyskał siły, wszystko szybko się

zakończy.

Przed namiotem leżały ciała dziesięciu roboi. Mieli związane ręce i nogi oraz nienaturalnie otwarte oczy i rozdziawione usta, w których gromadził się piasek. Ich gardła przecięto z taką samą precyzją, z jaką potraktowałem Betcha. Znaczące je czerwone półksiężycy przypominały wiszącego nad nami Rioque. Co innego oddać życie za ojczyznę, a co innego dać się zaszlachtować, by nakarmić potwora, którego nie obchodzi twój los. Zastanawiałem się, co czuli, gdy ich tutaj prowadzono jak owce na rzeź. Wronia Stopa jest bezdusznym panem, który stosuje surowe i okrutne kary oraz bezwzględnie wykorzystuje ludzi do swoich celów, ale to było coś gorszego. Nie potrafiłem powiedzieć dlaczego, ale tak było.

Uroczy odebrał im życie, żeby szybciej odzyskać siły. Magia śmierci, najbrudniejsza odmiana czarnoksięstwa.

Klapę namiotu przyciśnięto od środka, ale kiedy się pod nią schyliłem, bez trudu się otworzyła.

Uroczy mieszkał w luksusie. Podłogę przykryto dywanami, a wokół rozstawiono meble – niewielkie i przenośne, ale nawet nasi najwyżsi rangą wojskowi nie zabierali do Nieszczęścia takiego wyposażenia. Pod Adrogoskiem miałem do dyspozycji przenośne biurko z polerowanego orzecha z rzeźbionymi nogami w kształcie lwich łap. Byłem z niego straszliwie dumny w czasach, gdy takie rzeczy jeszcze miały znaczenie. Uroczy najwyraźniej cieszył się podobnym wygodami. Chociaż w tej chwili niczym się nie cieszył.

W pokoju znajdowały się dwie osoby. Uroczy, zmasakrowany i poparzony, z białymi kośćmi sterczącymi spod zwęglonej skóry twarzy, leżał na łóżku i rzeźił. Jego chrapliwy oddech był powolny i naznaczony bólem.

Towarzyszyła mu smukła jak wierzba kobieta w średnim wieku, której przemiana dopiero się rozpoczęła. Kiedy wszedłem, czytała książkę. Służąca albo pielęgniarka, nie wojowniczką, ubrana w cienką, zwiewną szatę. Miała kręcone, błyszczące, bujne włosy schowane pod opaską. Podniosła wzrok i zobaczyła miecz w mojej dłoni, a moja obecność na chwilę ją speszyła. Spodziewałem się pary mięśniaków z wielkimi toporami i pustą mózgownicą, a nie tego okazu kobiecości,

tak rzadkiego w Nieszczęściu. A ponieważ nie jestem aż tak twardy, jak chciałbym być, nie rzuciłem się na nią i nie rozplątałem jej głowy, chociaż powinienem.

W masce na twarzy i pelerynie zapewne wyglądałem jak jeden z roboli, a ona nie miała powodu podejrzewać, że jestem kimś innym.

– Czego chcesz? – spytała.

– Jak się czuje Wybrany? – odrzekłem w ich mowie.

– Zjadł. Odpoczywa. Ale ciężko ranny.

Podszedłem, żeby przekonać się na własne oczy. Zbierałem siły, przygotowując się do tego, co musiałem zrobić, lecz nagle uświadomiłem sobie, że wcale tego nie chcę. Ogarnęła mnie dziwna słabość. Może dlatego, że miałem przed sobą pielęgniarkę, której praca polegała na leczeniu, a nie zadawaniu bólu, a może jej delikatne rysy przypominały mi Valiyę, w każdym razie na chwilę poczułem się nieswojo. Byłem w pełni świadomy, że gdyby Uroczy na mnie popatrzył, wpadłbym po uszy w gówna.

– Dowódca chce wiedzieć, czy Wybrany wróci do zdrowia.

Robolka zmarszczyła czoło, jakbym powiedział coś niewłaściwego. Może źle zaakcentowałem któreś słowo albo użyłem obraźliwego synonimu. A może moje słowa w ogóle nie miały sensu lub nie mogłem przyjść od dowódcy. Podjąłem piekielne ryzyko.

Zabiłem ją tak szybko i cicho, jak mogłem, a ona nie stawiała oporu. Miecz gładko wysunął się z jej piersi, a wtedy zwróciłem się w stronę śpiącego Uroczonego.

Nie przypominał dziecka. Był już w połowie przemieniony w robola, a światło Przędzarzy odebrało mu resztki człowieczeństwa. Wyglądał jak demon z najmroczniejszego piekła, jak coś nieludzkiego, czym przecież był. Nie traciłem czasu. Miecz był czysty i ostry, a ja wykonałem nim pojedyncze uderzenie w szyję Uroczonego, od którego zdrzął mi nadgarstek.

Mleczne oko Uroczonego gwałtownie się otworzyło i przez chwilę byłem pewien, że jestem trupem. Uniósł rękę, kurczowo zaciskając palce, a ja pomyślałem, że pewnie nie udało mi się przeciąć rdzenia kręgowego, ale wtedy całe ciało się podniosło i stwierdziłem, że owszem, oddzieliłem głowę od tułowia. Tylko że żadne z nich nie

sprawiało wrażenia martwego.

Ciało stoczyło się z łóżka i zaczęło się miotać, ślepe i upośledzone przez brak części kończyn. Głowa stanowiła większe zagrożenie.

– Kim jesteś? – zachrypiała. Nie wiedziałem, jak zdołała to zrobić bez płuc i dróg oddechowych, ale anatomia Uroczych nigdy nie miała większego sensu.

Kruk wleciał do namiotu, popatrzył na odciętą głowę Uroczego i zakrakał z uznaniem. Uroczy zaczął wrzeszczeć. To był niemożliwie wysoki dźwięk, ale pozbawiony siły. Stwór był za słaby, żeby użyć przeciwko mnie swojej mocy, gdyż całą energię skupił na leczeniu doznanych obrażeń. Podjąłem wielkie ryzyko, ale wierzyłem w siebie. Instynkt samozachowawczy jest najważniejszy. Widziałem nitki mięśni, które wysuwały się z przeciętej szyi, szukając kosmyków, które wystawały z tułowia. Ciało próbowało się naprawić.

Przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Przybyłem do Nieszczęścia, żeby dowiedzieć się, co planuje Saravor, i znaleźć tę istotę. Nigdy się nie spodziewałem, że będę stał nad jej bezsilną, wrzeszczącą głową. Mój plan polegał na wydostaniu się z obozu i odejściu jak najdalej, by tam umrzeć. To był dobry plan. Ale gdybym zdołał złamać tę istotę i poznać jej tajemnice, być może udałoby się ją powstrzymać. Ocalić Nenn. Zostać przeklętym bohaterem.

Nowy plan.

Musiałem sprawić, żeby Uroczy się zamknął. Rozdziawiłem jego szczęki, wepchnąłem między nie zwinięty ręcznik, a następnie wsunąłem głowę do prowizorycznego worka i przywiązałem go do pasa. Uroczy wciąż protestował przytłumionym głosem, ale na próżno.

Kiepskie szanse.

Serce waliło mi jak młotem, ale oprócz tego słyszałem tylko wycie wiatru napierającego na namiot. Wykonałem pierwsze zadanie; zabiłem swojego sojusznika, pielęgniarkę, a następnie demona w jego własnym łóżku. Wolałbym nie opowiadać nikomu o tym dniu, który był jednym z najbardziej gównianych w całym moim życiu. Teraz musiałem tylko wymknąć się niepostrzeżenie z obozu robotli, odbyć dziesięciodniową wędrówkę powrotną przez Nieszczęście bez

nawigatora, zapasów ani wierzchowca, nie dając się przy tym schwytać. A jeśli mi się uda, być może dotrę do Valengradu, gdzie właśnie dzieje się coś straszliwie mrocznego.

Burza piaskowa to obosieczny miecz spragniony krwi. Zapewniła mi niezbędną osłonę i zapędziła roboli do namiotów, sprawiła, że odwrócili wzrok w obawie przed kłującym piaskiem, ale wiatr zatarł wszystkie ślady, które mogłyby mi pomóc w opuszczeniu obozu. Były mi potrzebne. Tropy na piasku są warte niewiele więcej od uśmiechu bankiera, ale skoro nie znałem się na nawigacji i nie miałem żadnego sprzętu, musiałem liczyć na każdy kawałek drewna, który nie pozwoli mi pójść na dno. Wysłannik Wroniej Stopy nie kłamał. Tkwiłem po uszy w gównie.

Do diabła z szansami. Nie zamierzałem się poddać, dopóki nie odkryję ostatniej płytki. Wszystko wskazywało na to, że mój pierwotny plan – jak najbardziej oddalić się od roboli, aby nie zdobyli moich tajemnic – jednak okaże się ostatnią rzeczą, jaką zrobię w życiu, ale byłem wściekły i obiecałem Betchowi, że przekażę Nenn jego słowa. Byłem mu to winien. Żadnych ustępstw. Nie poddam się.

Strzaskane pozostałości Kryształowego Lasu, gdzie stoczyliśmy bitwę, były jedynym znajomym miejscem, dlatego skierowałem się w tamtą stronę, chyląc głowę przed kłębiącym się pyłem. Robole wycięli większe części ciał Śpiewaków; zwłoki były nasycone magią, zapewne więc zostaną zmielone na pokarm dla nowej grupy czarowników, którą wyhodują Królowie Głębi. Wrogowie nie mieli sentymentów. Nasi ludzie leżeli tam, gdzie umarli, odarci z pancerzy i broni. Nie widziałem żadnych wartowników, ale przez burzę niewiele dało się zobaczyć. Robole nie mieli powodu dalej obserwować kryształowych kolumn, skoro Śpiewacy zostali rozerwani na kawałki, ale i tak zachowywałem ostrożność. Miałem nadzieję, że natrafię na zabłąkanego konia, ale wszystkie zostały schwytane albo uciekły w głąb Nieszczęścia, gdzie czekała je śmierć. A

może coś już je pożarło.

– Szybciej, szybciej – krakał kruk.

Cena była zbyt wysoka. Trzydziestu dwóch dzielnych żołnierzy Nenn zmieniło się w padlinę o niewidzących oczach. Niektórzy z nich byli całkiem przyzwoitymi ludźmi. Natknąłem się na ciało Strachta. Thierro przestrzelił mu pierś. Musiał dokonać wyboru i popełnił błąd, ale nie mógł tego wiedzieć. Niepokoił mnie tylko jego salut – ironiczny gest skierowany do sojusznika skazanego na śmierć. Dlaczego tak się zachował?

Drugi z Uroczych nie przetrwał oddanej z bliska salwy z pistoletów oraz stratowania przez końskie kopyta. Jeśli wystarczająco się ich uszkodzi, w końcu umierają. Ale trzeba mnóstwo wysiłku, by wykończyć Uroczego, kiedy więc już ci się uda, niewiele z niego zostaje. Dowodziła tego głowa w worku przywiązany do mojego pasa.

Przeszukanie okolicy zaowocowało znalezieniem tylko jednego użytecznego przedmiotu: piersiówki z brandy z Whitelande, którą wychyliłem, kuśtykając między delikatnie lśniącymi kryształowymi iglicami. Zaczęła mi dokuczać stara rana nogi, zupełnie jakby została za mocno zszyta. Nie miałem na to czasu. Musiałem być lepszy i silniejszy. Nie dotrę daleko, jeśli będę ulegał dawnym słabościom. Idź dalej. Ruszaj się.

Kruk mnie prowadził. Nie odnalazłbym naszego obozu bez jego zjadliwych komentarzy, którymi raczył mnie za każdym razem, gdy sfruwał niżej i mówił, w którą stronę mam się kierować. Zmagał się z porywistym wiatrem, ale dodatkowa para oczu w powietrzu była warta więcej, niż podejrzewałem.

Z obozu niewiele zostało. Widziałem rów do srania, który wykopaliśmy, a ekstraktor wilgoci pozostawił na ziemi migoczący biały osad, którego piasek nie zdołał zakryć ani zastąpić. Porzucone skrzynki po amunicji, rozerwane ładunki z prochem, worki z paszą, ogryzek jabłka. Moi przyjaciele już dawno odeszli, a ja wiedziałem, że to dobrze. Mimo wszystko padłem na kolana pośrodku opuszczonego obozu i zwiesiłem głowę. Dotarłem aż tutaj, ale co dalej? To była ta łatwiejsza część planu.

Nie. Zawsze jest nadzieja. Kiedy wydawało się, że wszystko jest stracone, a Shavada rzucił na nas całe swoje siły, Elizabeth się nie poddała. Dzięki sile jej woli ja również nie skapitulowałem. Stanęliśmy ramię w ramię, walczyliśmy i to wystarczyło. Nie wiedzieliśmy, co robimy, ale daliśmy radę. Ona nie pozwoliłaby mi teraz zrezygnować. Splunąłem, otarłem usta. Rozchmurz się, Galharrow. Jeszcze nie umarłeś.

Popatrzyłem na zacienione wydmy Nieszczęścia. Mogłem ruszyć w dowolnym kierunku, a ten i tak okazałby się niewłaściwy. Nawet gdyby Nieszczęście stale się nie zmieniało, wystarczy jedna rzaska albo kilka skrzelałów, które dopadną mnie nocą. Może ziemia po prostu się otworzy i mnie połknie. Najtrudniejsze miałem za sobą. Pozostało tylko umrzeć. Może powinienem czerpać z tego satysfakcję. Rozumiałem, że do zabrania ze sobą głowy Uroczego skłoniło mnie rozbudzone bitewnym szałem przeświadczenie, że mogę jeszcze coś zrobić w tym życiu. Ale patrząc na tę jałową, piaszczystą krainę, widziałem, że to próżna nadzieja. Nie miałem szans.

– Tutaj – zaskrzeczał ptak.

Ktoś zbudował niewielki kopiec z dwóch tuzinów kamieni wielkości pięści. Na płaskim kamieniu, który leżał na wierzchu, Tnota napisał „Ryhalt”. Przynajmniej tak podejrzewałem. Fatalnie bazgrał, jeszcze zanim stracił prawą rękę.

– Chyba pochowali mnie w grobie – stwierdziłem.

Ulotniła się część nadziei, którą próbowałem w sobie rozniecić. Uznali mnie za martwego. Oczywiście, że tak. Co za sentymentalny dureń z tego Tnoty. Marnował czas na coś takiego, zamiast uciekać. Nagle ogarnął mnie dotkliwy żal, że już nigdy nie usiądę przy stole z tym starym skurczybykiem, żeby żuć jakieś gówno i pić coś jeszcze gorszego. Nasze picie zawsze było podszyte rozpaczliwą rywalizacją. Odwróciłem wzrok. Nie ma sensu się rozklejać. Mimo wszystko wyczułem ponure rozczarowanie w sposobie, w jaki Tnota nakreślił literę „y” oraz ogonek „t”.

– Rzeczywiście powinieneś leżeć w grobie, kurwa – warknął kruk. – Dziwię się, że twoja głupota jeszcze cię nie zabiła. To nie jest grób, debilu.

Miał rację.

Ja pierdołę, oczywiście, że to nie grób. Tnota był południowcem z Fraca. Jego lud wierzył w Wielkiego Wilka, wieczną istotę alfa, która mieszkała w niebie i czuwała nad swoim stadem. W Wielkiego Psa. Fracanie nie grzebią swoich zmarłych. Wierzą, że życie składa się z cykli, powtarzanych błędów, przeżywanych na nowo sukcesów. Nie słuchałem uważnie, gdy mi to tłumaczył, a on także nie był tym przesadnie zainteresowany, ale rzadko bywał na pogrzebach i kiedyś mi powiedział, że gdy umrze, mam wystawić jego ciało na zewnątrz albo nakarmić nim świnię. Mówił to żartobliwym tonem, ale naprawdę tego chciał.

To nie był grób, tylko znak.

Rozgrzebałem kamienie, z trudem łapiąc powietrze, aż w końcu zobaczyłem lśnienie brązu i matowy połysk starej skóry. Wyciągnąłem ukryte przedmioty. Książka do nawigacji Tnoty i jego zapasowe astrolabium. Narzędzia nawigatora.

Niech go Duch Miłosierdzia błogosławi za to, że dał mi cień nadziei.

– Widziałem, jak ten jednoręki pijus zostawił to dla ciebie – zaskrzeczał kruk.

– A mimo to próbowałeś mnie przekonać, żebym się zabił.

Potężny ptak wygładził pióra i skubnął coś dziobem.

– To nadal lepsze rozwiązanie. Co wiesz o lunaryzmie i nawigacji po Nieszczęściu?

Celna uwaga. Nie umiałem wyznaczać kursu. Rozumiałem podstawowe zasady. Widziałem setki razy, jak Tnota i inni nawigatorzy to robią. Ale jeśli umiesz naciągnąć łuk i widziałeś, jak strzela łuczniczy mistrz, niekoniecznie sam jesteś w stanie trafić w środek tarczy. Możesz nawet w ogóle nie wcelować w tarczę i zapewne zrobisz sobie przy tym krzywdę.

– Podczas powodzi liczy się każda gałąź – odparłem.

Przekartkowałem książkę. Tnota otrzymał ją od swoich poprzedników, początek wypełniono więc swobodnym, równym pismem, a dopiero później pojawiły się obrażające sztukę kaligrafii rozpasane bazgroły Tnoty. Zostawił ją dla mnie na wypadek gdybym wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zdołał uciec. To był akt

szaleństwa, porzucać coś tak cennego w obliczu tak wątpliwej nadziei. Ale odgadł, dokąd bym się udał, i zostawił mi pieprzony prezent. Niech Duchy mają mnie w opiece, będę musiał w podzięce kupić mu cały burdel. Jeśli zdołam nauczyć się nawigacji, zanim skończy mi się jedzenie. Albo woda. Albo zanim zjedzą mnie skrzelaki. Albo zanim wpadnę do jakiejś dziury i połamię nogi. Mogłem wymieniać tak dalej.

– No i co teraz? – spytał kruk. – Masz książkę, której nie potrafisz odczytać, worek z głową, która coś mamrocze, i wciąż czeka cię śmierć. Nic się nie zmieniło.

– Na tym polega twój problem, kuku – odrzekłem. – Brakuje ci kreatywności. Jesteś tylko złośliwością i złą wolą Wroniej Stopy w opierzonej postaci. A teraz zamknij dziób, kurwa, jeśli nie masz nic użytecznego do powiedzenia.

Szybko sprawdziłem swój stan posiadania. Miecz. Nóż. Dobry początek. Niewielka torba z zapasami: trochę suszonego mięsa i twardy, płaski chleb. Niewiele, nie wystarczy na dziewięć dni, ale to zawsze coś. Głód mnie nie zabije. Dwie manierki z wodą, jedna do połowy opróżniona. Trzy butelki czegoś, co wyglądało jak wino. Odkorkowałem jedną i powąchałem zawartość. Jeśli to wino, to nie zrobiono go z czegoś, co znałem, ale co tam, piłem już bardziej cuchnące trunki.

– Za mało – odezwałem się. – Nie wystarczy na dziewięć dni. Chyba że zdołam nagiąć Nieszczęście do swojej woli, tak jak to Tnota potrafi.

– Wiesz, jak to zrobić?

Obaj wiedzieliśmy, że nie.

– Może nie muszę wracać do Łańcucha – stwierdziłem. – A jeśli dotrę do jednego z naszych statycznych patroli?

Mój pomysł nie zrobił na ptaku wrażenia, ale mimo wszystko zacząłem kartkować książkę i znalazłem listę współrzędnych wszystkich stałych miejsc. Był na niej Kryształowy Las. Krater Zimnego. Ruiny Adrogorska i upadłe kolumny Clear. Bezkresny Brak. A także inne miejsca i obiekty, o których nigdy nie słyszałem. Roziskrzony Równiny. Droga Szarańczy. Scena Eame. Nie wiedziałem, czym są ani jak je odnaleźć. Ciągi liczb pokrywały całą stronę. Tnota wykreślił niektóre z nich i dodał własne notatki. Niektóre po

fracańsku, co mi nie pomagało, ponieważ nie znałem tego języka.

Wróciłem do początku. Autor zaznaczył, że przekopiował podstawy z innej książki do nawigacji. Podstawy. Mogłem od nich zacząć. Nauczyć się nawigacji w Nieszczęściu podczas wyznaczania kursu – czemu nie? Ktoś musiał to zrobić jako pierwszy.

Popatrzyłem w górę, wyczuwając kpinę lśniących pęknięć. Clada była wysoko na niebie, tłusta Eala wisiała nisko nad horyzontem. Rioque spał.

Musiałem się śpieszyć. Nie miałem czasu na siedzenie i wczytywanie się w książkę. Kiedy skończy mi się woda, umrę, muszę więc dokądś dotrzeć – dokądkolwiek – zanim zabije mnie odwodnienie.

– Bądź przy mnie, Elizabeth – wyszeptałem. – Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek. – Ale odpowiedział mi tylko wiatr.

Ruszyłem przed siebie z otwartą książką.

29

Moja ociężała głowa kiwała się i pochylała w stronę czarnoczerwonego piasku, który krok za powolnym krokiem przesuwał się pod moimi butami. A raczej tym, co z nich zostało. Rozpadały się po kawałku, zmieniając w poszarpane strzępy skóry i sznurka. Niszczyło je coś żrącego w piasku Nieszczęścia. Nigdy wcześniej nie pokonałem takiej odległości pieszo. Od jak dawna szedłem? Od trzech dni? Pięciu? Nie wiedziałem. Czas rzadko bywa sprzymierzeńcem. W tej zepsutej krainie nigdy nim nie jest.

Kiedy próbowałem przełykać ślinę, miałem wrażenie, że moje zaciśnięte gardło jest pełne żyłek, ale woda i wino były zbyt cenne, abym je marnował dla złagodzenia bólu. Wydawałem z siebie chrapliwe rżenie, próbując zmusić mięśnie przełyku, by przypomniały sobie, do czego służą.

Ciemny upał, biały ziąb. Nieszczęście płynnie między nimi przechodziło. Wszystko oprócz bólu stało się odległe.

Pozostała jedna myśl. Skupiłem się na niej, pozwoliłem, aby mnie otuliła, stała się mną. Łatwiej działać, gdy kurczowo trzymasz się jakiejś myśli.

„Idź dalej. Za wszelką cenę”.

Każdy krok przynosił ból. Odciski już dawno pękły, wyschły, napełniły się piaskiem i żwirem. Nie zdejmowałem butów od kilku dni. Nie chciałem patrzeć na swoje stopy; bałem się, że one także się starły. Zresztą nie miałem na to czasu. Musiałem iść, nie zatrzymywać się. Brnąć naprzód. W stronę Valengradu. Ale wiedziałem, że już po mnie. Nie miałem jedzenia, kończyła mi się woda. Nie miałem nawigatora ani przyjaciół. Tylko głowę, która tkwiła w worku u mojego boku i od czasu do czasu zduszonym głosem domagała się uwolnienia, oraz cień mocy na niebie.

Z trudem stawiałem kolejne kroki. Upał Nieszczęścia otaczał mnie ze wszystkich stron, natychmiast zmieniając pot w plamy soli. Nie miałem nadziei na dotarcie do Valengradu, pozostały mi tylko cierpienie i śmierć. Nienawidziłem wszystkich i wszystkiego za to, że zostawili mnie bez wody do picia. Parsknąłem irracjonalnym śmiechem, ale nie zabrzmiał właściwie. Przypominał paskudny odgłos umierania człowieka.

Byłem taki zagubiony. Moje własne imię wydawało się odległe. Umierałem z głodu. Samotny, jeśli nie liczyć kruka.

Nie byłem jednak sam. Wyjąłem głowę z worka i odwróciłem ją tyłem do siebie. Wychrypiałem do niej kilka pytań. Nic nie odpowiedziała. Niby dlaczego miałyby to zrobić? Nie mogłem jej już niczym zagrozić, a nawet gdybym otrzymał odpowiedzi, umarłbym tutaj, zanim zdołałbym zrobić z nich użytek. Sypnąłem jej w twarz piaskiem, po czym wepchnąłem ją z powrotem do worka.

Dopóki potrafiłem powstrzymać się przed wypiciem resztki wody, miałem wolę dalszej wędrówki. Moją głowę wypełniały okruchy szkła, a każda myśl była jak stąpanie po nich. Zużyłem całą energię. W brzuchu miałem pustkę. Nie podejrzewałem, że głód może tak boleć i tak bardzo zaciemniać umysł. Odbierać pamięć.

Pomyślałem o Elizabeth. Uwięzionej, samotnej w świetle. Cztery lata cierpienia. Skoro ona potrafiła to wytrzymać, ja także wytrzymam. Nigdy się nie poddała, a ja nie mogę jej zawieść.

Kruk sfrunął ku mnie, leniwie zataczając koła.

– Ziemia się przesunęła! – zakrakał, przysiadając na moim ramieniu, a jego skrzeczenie zabrzmiało mi zbyt głośno w uchu.

Musiałem zastanowić się nad tymi słowami, zanim zrozumiałem, o co mu, kurwa, chodzi. Przypomnieć sobie, czym jest „ziemia”. Zatoczyłem się i upadłem na kolana. Wiatr drażnił moje wysuszone oczy.

We wszystkich kierunkach ciągnęły się wydmy usypane z szorstkiego czarnego żwiru. Obejrzałem się. Tak było przez cały dzień. Dłużej niż przez cały dzień. Albo krócej. Bardziej oddalony teren zniknął w migoczącej mgiełce upału. Moje ręce i nogi zmieniły się w ołów. Kurwa, ale jestem słaby. To już koniec. Moje ciało dalej mnie

nie poniesie.

Na jakiś czas ogarnęła mnie ciemność.

Obudził mnie nowy ból, ostry i nieustępliwy, kłujący mnie w oko.

– Och, jeszcze nie umarłeś – odezwał się kruk z rozczarowaniem, kiedy usuwałem z oczu piach.

– Próbowałeś mnie zjeść?

Zignorował pytanie.

– Potrzebuję nowego odczytu – zakrakał.

Czyżby był zawstydzony tym, że go przyłapałem? Sen nieco rozjaśnił moje myśli. Na tyle, że pamiętałem, kim jestem i dlaczego nie poddałem się śmierci. Wypowiedziałam imię Elizabeth, talizman, który pozwalał mi iść naprzód i dodawał mi otuchy. Otworzyłem ostatnią manierkę z wodą. Wypiłem łyk. Przełykanie sprawiało mi ból. Ruszyłem dalej.

Widma pojawiały się i znikaly. Widziałem swoją babkę oraz marszałka Venzera ze skrzyconym karkiem przypominającym starą wyżętą szmatę. Widziałem Kimiego Holsta, który przeklinał mnie za to, że zająłem jego miejsce. A potem zobaczyłem Valiyę, która była żywa, domyśliłem się więc, że już nie widzę duchów. Zaczynałem tracić rozum. Może działo się to z powodu braku pożywienia, a może podstępного wpływu Nieszczęścia, w każdym razie rdzeń mojej osobowości się rozpadał.

Potknąłem się o coś. Sądziłem, że to kamień, ale się myliłem. To była jakaś opancerzona istota, czarna i lśniąca jak obsydian, poruszająca się na włochatych nogach kraba. Oddaliła się niepewnie, z trudem utrzymywała ciężką skorupę na cienkich nogach. Nie wszystkie istoty w Nieszczęściu są groźne. A przynajmniej niektóre można bezpiecznie dotykać.

Ponownie wyjąłem książkę. Tnota miał fatalny charakter pisma. Podniosłem wzrok i zmierzyłem palcami odległość pomiędzy Ealą i Cladą, która dopiero co pojawiła się nad horyzontem, po czym zajrzałem na koniec książki, gdzie znajdowały się tabele numeryczne. Zestawiłem je z miejscem, w którym rozpocząłem wędrówkę. Ptak miał rację. Ziemia się poruszyła i chociaż szedłem prosto na wschód, teraz stałem z twarzą zwróconą na południe. Dokonałem korekty

i kolejnego odczytu. Byłem na właściwym kursie. Być może. Niewykluczone, że całkowicie się myliłem.

Czy to miało znaczenie? Oddaliłem się o kilka tygodni marszu od granicy. Prawdziwy szczęściarz mógł tutaj przetrwać kilka dni. Nigdy nie miałem szczęścia, a potrzebowiałem więcej niż kilku dni.

Shczęście będzie musiało się usunąć i dopuścić do głosu Ducha Zemsty.

Przycisnąłem dłonie do ciemnego piasku Nieszczęścia. Poczułem, że do mnie szepcze, że delikatnie mówi mi prawdę. Nie wiedziałem, co to oznacza. Może tylko tyle, że przegrzanie, odwodnienie i głód wspólnymi siłami chcą odebrać mi rozum, zanim moje kości dadzą za wygraną, moje ciało padnie, wydam ostatecznie tchnienie i odejdę samotnie pośród pyłu i wiatru, zapomniany, nieznany, kolejny szkielet obok innych umarłych.

Bolała mnie każda część ciała, gdy zmusiłem się, aby wstać. Byłem tak słaby, że ledwie powłóczyłem nogami. Popatrzyłem na powoli oddalającą się opancerzoną istotę. Pozostawiała za sobą wilgotny ślad; piekło raczy wiedzieć, jakie było jego źródło. Kiedy chwiejnym krokiem ruszyłem za nią, poczułem paskudny odór. Wszystko w Nieszczęściu jest skażone. Zepsuta magia, która stworzyła tę krainę, żyje w zamieszkujących ją stworzeniach.

– Nie dam rady. – To był mój głos, który zmienił się w swój urywany, łamiący się cień. – Nic mi nie pozostało.

Widziałem ją przed sobą. Nie było tutaj sieci fosy, z której mogłaby się wyłonić, ani żadnej energii, którą mogłaby ukraść. Nie była jakąś Jasną Panią, tylko moją Elizabeth, ludzką, kruchą, zrodzoną z kosmyków blasku i gier światła. Wyciągnąłem do niej rękę, ale wiedziałem, że nie wolno mi jej dotknąć. Gdybym to zrobił, iluzja dobiegłaby końca. Mógłbym teraz umrzeć w jej towarzystwie i być może nie byłoby to najgorsze.

– Wstań, Ryhalcie – odezwał się miraż władczym tonem. – Wstań i zachowuj się jak mężczyzna, którym zawsze byłeś.

– Nie jestem wystarczająco silny – wychrypiałem. Nie brzmiało to jak słowa.

– Zrób, cokolwiek musisz – odrzekła. – Wygraj. Za wszelką cenę.

Obiecuj mi. – Wyciągnęła do mnie rękę.

Gdybym tylko mógł jej dotknąć, przyciągnąłbym ją do siebie, bez względu na cenę. Moje palce przeniknęły jej dłoń, zupełnie jakbym próbował schwytać wiatr. Była zagubiona w innym świecie, do którego nie miałem dostępu.

– Obiecuję.

– Będę przy tobie – dodała. – Stanę się twoją tarczą, kiedy będziesz mnie potrzebował, ale wola walki musi pochodzić od ciebie. Walcz za swoich ludzi. Nie jesteś sam.

Zamrugalem wyschniętymi oczami, a wtedy zniknęła. Jeśli w ogóle tutaj była. Może to tylko sztuczka Nieszczęścia. Może głód odbiera mi rozum. Ale miała rację. Zwróciłem oczy na kraba, który powoli się ode mnie oddalał.

– Nie bądź głupcem – zaskrzeczał kruk, ale go zignorowałem. Dobyłem skradzionego miecza i podszedłem do bezimiennej istoty. – Wszystko tutaj jest skażone. Żyje w tobie magia Wroniej Stopy. Czym się staniesz, jeśli wpuścisz Nieszczęście do swojego wnętrza? Wynaturzeniem! Lepiej umrzeć!

Uniosłem miecz nad istotą. Musiałem iść dalej, bez względu na cenę. Uderzenie rozplatało pancerz na pół. Ciąłem ponownie i istota znieruchomiała. Jej ślad paskudnie cuchnął; smród wnętrzości był jeszcze gorszy. Gorący olej i siarka. Dostałem torsji, rozgarniając palcami kawałki popękane go pancerza. Mój żołądek był pusty, ale zacisnął się na samą myśl, że miałbym zjeść coś takiego.

Czułem zepsutą magię, która otaczała moje palce jak dym, kiedy wbijałem je w twarde, wilgotne białe mięso. Zawahałem się. To był pokarm, ale wypełniony trucizną Nieszczęścia. Zanurzony w niej. Wyhodowany w niej. Nienadający się dla żywej istoty. Tylko że nie pozostało mi nic innego. Oto ostatnia szansa.

Kruk poprzysiągł, że mnie zniszczy, jeśli uniosę gorące, ociekające mięso do ust.

„Za wszelką cenę”.

30

Moje żyły rozdarł biały ogień, gdy targnął mną kolejny skurcz. Mięśnie napięły się, a ciało zadrżało, pozbawione kontroli. Uderzyłem twarzą o ziemię. Miałem piasek w oczach, które nie chciały się zamknąć, żwir na języku i na wargach. Czas stracił znaczenie, mój umysł odpłynął i znalazł się poza moim zasięgiem. Zdawałem sobie sprawę z istnienia innych istot, które wymykały się zrozumieniu. Dla Roboli, stworzeń z Nieszczęścia byłem łatwym celem. Przez co najmniej godzinę nie pamiętałem, kim jestem ani gdzie się znajduję, zawiódł mnie nawet język. Potem zamrugałem powiekami i wszystko wróciło. Ostry smak mięsa z Nieszczęścia wciąż utrzymywał się w moich ustach, palił mnie w język.

Nie byłem taki sam.

Nieszczęście jest niestałe jak wiatr, ale niektóre blizny tego świata są zbyt głębokie, by nawet ono mogło je poruszyć. Pylisty Wąwóz, Adrogorsk, Kryształowy Las: wszystkie były pomniejszych punktami orientacyjnymi, nawet ruiny naszych miast niewiele znaczyły w porównaniu z Bezkresnym Brakiem. Nie było drugiego takiego miejsca na powierzchni ziemi, ponieważ to nie było miejsce, tylko nieobecność miejsca, potężna i straszliwa nicość. Teraz ją wyczuwałem z odległości wielu mil. Wiedziałem, że tam jest.

Popatrzyłem na szczątki stworzenia, które zjadłem. Głód pchnął mnie do szaleństwa. Co ja narobiłem? Lepiej umrzeć niż spożyć esencję Nieszczęścia i pozwolić jej zadziałać w twoim wnętrzu. Ale teraz było już za późno. Przekroczyłem nieprzekraczalną granicę i przetrwałem.

Wytałem śluz z palców o szorstką ziemię i poczułem w żołądku palące soki pożartej istoty, jej esencję, która mnie przenikała. Inaczej postrzegałem upływ czasu. Wyczuwałem Bezkresny Brak, chociaż go

nie widziałem, oczy piekły mnie od piasku, a ciało przeszywał ból jak od dźgnięcia nożem. W pewnej chwili zacząłem iść, mimo że świadoma decyzja, by to zrobić, pojawiła się dopiero później, a zatrzymałem się, zanim dotarłem do celu. Czasami padałem na kolana, skręcając się z bólu, gdy moim zdradzieckim ciałem szarpały konwulsje. Stawałem się czymś innym. Wiedziałem o rzeczach, o których nie powinienem – i nie mogłem – wiedzieć. Przede mną leżała śpiąca istota o siedmiu imionach, które tylko ona znała, a gdyby człowiek usłyszał którekolwiek z nich, postradałby zmysły. Wiedziałem, gdzie znajduje się zachód, i zdawałem sobie sprawę, że wschodzące słońce mnie okłamuje. Wiedziałem, że pod kamieniem znajdę wodę, jeszcze zanim go odwróciłem. Była czarna, oleista i migotała esencją Nieszczęścia, ale i tak uklęknąłem i zanurzyłem w niej twarz. Zawahałem się. Była płynna, ale cuchnęła gorzej od trupów, mimo że wciąż czułem w gardle smak soli i siarki.

– Dosyć tego! – wrzasnął kruk. – Śmierć byłaby lepsza od tego!

Zaczął mnie wściekle okładać dziobem i skrzydłami, a wtedy straciłem go z nieba. Kiedy zorientował się, że mnie nie powstrzyma, zaczął mamrotać groźby, patrząc, jak zbieram siły przed zrobieniem niewyobrażalnego.

Mój przełyk zacisnął się na widok wody z Nieszczęścia jak dwie splecione szorstkie liny. Czarna woda odbijała moje oblicze.

Nie.

Odwróciłem się od niej.

Ptak najwyraźniej nie potrzebował pożywienia. W końcu nie był prawdziwym zwierzęciem, a tutaj wyczuwałem jego obecność silniej niż kiedykolwiek: był ze mną połączony, stanowił część mnie. Głowa w worku wciąż mnie przeklinała, a przynajmniej zakładałem, że stłumione dźwięki wydobywające się spod tkaniny właśnie to oznaczają.

Wędrowałem całymi dniami. Większość tego, co widziałem i słyszałem, natychmiast umykała z mojego umysłu, ale w miarę jak zbliżałem się do Bezkresnego Braku, w głowie zaczęła się pojawiać wiedza. Nieprawdopodobna wiedza dotycząca spraw, których nie rozumiałem, pochodząca od Nieszczęścia. Ono mną kierowało. Było

matką albo królową, albo boginią, a ja stałem się jego częścią. Przenikało mnie, a kiedy jego magia przepływała przez moje kości, krzychałem, płakałem i zaciskałem zęby na pasku, aby nie odgryźć sobie języka.

Ale razem z bólem pojawiła się świadomość.

Bezkresny Brak mnie wzywał. Był sercem Nieszczęścia i centrum zniszczeń, jakie spowodowało Serce Pustki. Nawet najdzielniejsi z naszych zwiadowców tam się nie zapuszczali. W jego pobliżu rzeczywistość stawała się coraz bardziej chwiejna, a ja odnosiłem wrażenie, że zmierzam ku niemu szeroką drogą. Światło było coraz jaskrawsze, aż w końcu zapanowała biała cisza, spokój podszyty emocjami. Bezkresny Brak, epicentrum Nieszczęścia. Błąd w rzeczywistości, zaburzenie egzystencji.

– Zawracaj! – krakał ptak. – Rozdarcie unicestwi nas obu. Zawracaj, ty idioto!

Ignorowałem go i brnąłem w jasność. Może już się nauczyłem, że nie należy słuchać rad ptasich padlinożerców.

Do czegoś się zbliżałem. Czegoś ważnego. Miejsca, które miało szczególne znaczenie. Świat stał się jaśniejszy, a im bliżej podchodziłem, tym silniej oślepiające białe światło świeciło. Zbyt jaskrawe, by na nie patrzeć, zbyt mocne, by je zignorować, czysta jasność, straszliwa w swojej czystości, doskonała w swoim zepsuciu. Biel, marmurowa biel, lodowa biel, ciągnąca się bez końca.

* * *

Na tej drodze, która nie była drogą, napotkałem innych wędrowców. Jeden z nich wyglądał jak ja, zagubiony, zdesperowany, z oczami płonącymi żółtym ogniem, ale skądś wiedziałem, że umarł przed wielu laty i zagubił się w czasie, a jego podróż nie miała końca. Najwyraźniej mnie nie zauważył, ale dostrzegłem, że ma manierkę, więc zamordowałem go, żeby się napić. Woda była smaczna i czysta, z lekkim posmakiem ekstraktora wilgoci, który ją przefiltrował, i wypełniła bólem mój przętyk. Pewnie miałbym wyrzuty sumienia,

ale po kilku milach ponownie go spotkałem i tym razem jego woda była równie dobra. Mógłbym stać się taki jak on, ale miałem cel, a on nie miał niczego. Ten cel zakotwiczył mnie w czasie. Gdybym chociaż na chwilę wypuścił go z rąk, mógłbym cofnąć się na drodze, znów snując te same myśli, stawiając te same kroki. Zastanawiałem się, czy tak się już nie stało.

Święte Siostry, które opiekowały się jedną ze świątyń w Clear, śpiewały pieśń dla zmarłych, chociaż same ani nie żyły, ani nie były duchami, a jedynie odbiciem. Nie obawiałem się tych ludzkich cieni, ale starałem się trzymać z daleka od olbrzymów zbudowanych z ostrego kamienia. Na szczęście nie zwracały na mnie uwagi: ich stopy mogłyby rozdeptać dom, a ziemia drżała, gdy powoli i z namysłem stawiały kroki, co za każdym razem trwało dzień albo dłużej. Omijałem je, a także inne stworzenia, niewidoczny i zdeteminowany. Tylko raz zaatakował mnie stwór z Nieszczęścia, brzęcząca owadzia istota o kończynach ostrych jak kosy. Stoczyliśmy bezcelową krwawą walkę. Miecz robota, który ukradłem, potwierdził swoją wartość. Zadawałem nim potężne cięcia, rozczłonkowując wroga, przebijając jego pancerz. Podczas walki stwór przeklinał mnie za to, że spotykam się z innymi dziewczętami, i przekonywał, że ludziom to się nie spodoba, skoro jestem zaręczony.

Kiedy potyczka dobiegła końca, nogi i głowa stwora leżały rozrzucone na ziemi, ale ja także miałem poranione ręce i pierś. Przez godzinę albo dłużej sądziłem, że już po mnie, gdyż moje rany syczały i parowały od pniącego się jadu, ale albo jad nie był śmiertelny, albo stwór, którego zjadłem, zapewnił mi odporność, ponieważ po krótkotrwałej utracie świadomości ocknąłem się, a moje rany, choć nadal poważne, już nie krwawiły. Odnosiłem wrażenie, że od dłuższego czasu nie miałem niczego w ustach, lekkomyślnie spróbowałem więc zjeść kawałek martwego owada. Jego mięso paliło mnie w ustach, jakbym wepchnął język w kępę pokrzyw, ale ból skutecznie odwrócił uwagę od esencji Nieszczęścia płonącej w moim kręgosłupie. Zwymiotowałem odrobinę, którą zdołałem przełknąć, i przez pewien czas leżałem na ziemi, żałując, że nie umarłem.

Wolałbym śmierć od takiego losu. Od chwili schwytania przez

robolem strzał w głowę byłby błogosławieństwem. Powinienem być sam poderżnąć sobie gardło. Ale skoro uciekłem i skróciłem cierpienia Betcha, nie mogłem się poddać. Nie brnąłem ku zatraceniu ze względu na siebie, tylko dlatego, że wielu ludziom w Valengradzie groziła zagłada. Mieszkało tam mnóstwo złych ludzi, kilku skończonych gnojów, ale wśród nich trafiały się prawdziwe klejnoty. Valiya. Amaira. Tnota. Być może zdołam dać im szansę.

Ezabeth by się nie poddała. Ze względu na nią nie mogłem pozwolić, aby ból mnie oszukał. To tylko ból. Już wiele razy go czułem. Poczuję go ponownie. Złożyłem obietnicę.

Może minęły dni, może tygodnie, a może tylko kilka uderzeń serca. Moje poczucie czasu się rozmyło, ze wszystkich stron otaczało mnie jaskrawe białe światło, pustka wyla w moich uszach. Nade mną znajdowało się największe pęknięcie na niebie, które wypromieniowało z miejsca uderzenia. Bezkresnego Braku. Ogromnej pustej dziury w istnieniu. Piasek zmienił się w obsydian, gładki i czarny, w którym odbijały się wszystkie obrażenia, jakie odniosło moje porozrywane ciało, oraz łagodny bursztynowy blask bijący z moich oczu. Powoli podszedłem do krawędzi, ale nie było tutaj żadnego wiatru, nic mnie nie wciągało ani nie szarpało ubrań. Żadnego dźwięku, tylko cisza tak gęsta i głęboka, że moje kroki rozbrzmiewały wyraźnie jak armatnie salwy. Biel, wszędzie dookoła biel, nie licząc czarnego szkliva pod nogami. A dalej, tam, gdzie kończył się obsydian, nicość. Strome urwisko, kryształ zakończony ostrą jak brzytwa krawędzią.

– No – powiedziałem do siebie, a mój głos jakby sięgnął w głąb pustki. – Jestem.

Uświadomiłem sobie, że mówię do ptaka, ale on tutaj za mną nie podążył. Przez chwilę siedziałem ze skrzyżowanymi nogami i myślałem o tym, co widzę. Nawet Stracht nie dotarł tak daleko w głąb Nieszczęścia. Przebywałem w sercu koszmaru i byłem spokojniejszy, niż się spodziewałem, ale zarazem smutny, ponieważ wiedziałem, że właśnie to znajdziemy na początku i końcu życia: nieistnienie. Nigdy nie byłem żarliwym wyznawcą Duchów, ale tutaj napotkałem nihilizm: nicość, nieobecność, pustkę. Nawet Nieszczęście

nie mogło jej znieść.

Przez chwilę tak siedziałem, ciesząc się odzyskaną jasnością umysłu. Wiedziałem, że Nieszczęście zatopiło we mnie pazury, tak jak kiedyś w Strachcie. Byłem głupcem pozbawionym wyboru, gdy przyjąłem je do swojego ciała. Popatrzyłem na zielonkawe siniaki pod paznokciami i swoją skórę, od której bił słaby tłusty miedziany blask. Stracht nasiąkał trucizną Nieszczęścia przez czterdzieści lat, aby zapracować na taki wygląd. Ja pochłonąłem ją w ciągu kilku dni.

Śniłem na jawie. Najpierw o domu, nie w Valengradzie, tylko tym prawdziwym, który pamiętałem z dzieciństwa i który towarzyszy ci przez całe życie, nawet gdy go porzucisz. Nie byłem od prawie dwudziestu pięciu lat w posiadłości z równymi rzędami winorośli i krzewów oliwnych. We śnie zobaczyłem ojca i matkę, którzy byli ze mnie dumni jak dawniej. W moich wspomnieniach byliśmy szczęśliwi, ja pożądałem ich uznania, a oni cieszyli się z moich sukcesów i dokonań. Śniłem o starszym bracie, którego nie widziałem od czasu tamtego bezcelowego pojedynku. We śnie był dzieckiem, a zarazem przewyższał mnie wiekiem. Ale to były tylko wizje, pozbawione znaczenia jak wszystkie sny.

Głowa w worku znów zaczęła hałasować i wyrwała mnie z zamyślenia.

Otworzyłem worek, ale odwróciłem głowę tak, aby nie patrzeć jej w oczy, ponieważ wciąż nie byłem pewien, jaką magiczną mocą może dysponować. Nie umarła, kiedy odciąłem ją od tułowia, i nie miałem zamiaru tego lekceważyć, niezależnie od tego, jak wiele energii straciła. Moja własna głowa kryła zbyt ważne tajemnice, abym podejmował ryzyko. Chwyciłem głowę za włosy i zrobiłem krok, trzymając ją nad Bezkresnym Brakiem, zawieszoną nad niekończącą się nicością.

– Uroczy – odezwałem się w mowie roboi. – Zadam ci kilka pytań.

– Co to za miejsce? – Uroczy mówił cicho, ale jego głos zagrzmiął donośnie nad pustą otchłanią.

– Jesteśmy w sercu Nieszczęścia, przy Bezkresnym Braku – odrzekłem. – Nie wiem, jak wy nazywacie to miejsce. To tutaj Serce Pustki uderzyło w świat. Pod tobą nie ma niczego. Tylko nieskończona

nicość.

Pochyliłem głowę, aby Uroczy dobrze się przyjrzał.

– Odsuń się – syknął.

Nie posłuchałem.

– Specjalnie cię tutaj przyniosłem – odparłem. – Powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Wiem, czym jesteś. Wiem, że żyje w tobie okruch Acradiusa, ale nie sądzę, aby tutaj miał wielką władzę. To miejsce stworzył Wronia Stopa, a nawet jego wysłannicy nie mogą tutaj wejść. Nie myśl, że się zawaham. Jeśli uznam, że kłamiesz, upuszczę cię.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Będziesz żył wiecznie. Nie potrzebujesz pokarmu, nawet powietrza. Będziesz spadał bez końca, mając za towarzystwo tylko swoje myśli, a Acradius straci moc, którą w ciebie wlał. Na wieki znajdziesz się poza jego zasięgiem. Nie mam niczego do stracenia, nic mnie więc nie powstrzyma.

– Zabierz mnie stąd! – warknął Uroczy. Nie mógł się bronić.

Nie posłuchałem.

– Jeśli mi odpowiesz, zostawię twoją żalną głowę na krawędzi. Może coś cię pożre. Może za tysiąc lat ktoś cię znajdzie. Wszystko będzie lepsze od bezkresnej nicości. A jeśli odkryję, że mnie okłamałeś, wrócę i zrzucę cię kopniakiem w pustkę. Zrozumiałeś?

– Tak! – krzyknął Uroczy. – Cofnij się! Cofnij!

Nieśmiertelność wcale nie musi być wspaniałym darem.

– Powiedz mi, jaki układ zawarłeś z Saravorem.

– Z połatany człowiekiem? – parsknął Uroczy. – Zdradził nas.

– W jaki sposób?

– Nauczył się od Króla Boga Acradiusa tajników łamania zaklęć ochronnych, gdyż miał nam dostarczyć Oko Shavady. Ale zatrzymał je dla siebie.

A więc tak wyglądają umowy z Saravorem.

– Co chciał otrzymać w zamian?

– Chciał zostać Królem – syknął Uroczy. Nie potrafił ukryć pogardy, nawet gdy wisiał nad zatraceniem. – Pewnie zdał sobie sprawę, że taki śmieć jak on nigdy nie mógłby zostać wywyższony. Zachował Oko dla siebie i znalazł inny sposób. Nie mogliśmy bezpośrednio wystąpić

przeciwko niemu, postanowiliśmy więc zniszczyć przedmiot, który miał mu dać potęgę, ale wy, głupcy, zabiliście Śpiewaków. Kiedy nadejdzie słoneczny rozbłysk, on użyje wieży, aby się wywyższyć. Królowie staną przeciwko niemu, ale wy skazaliście siebie na zagładę.

Uroczy kiepsko panują nad emocjami. Ten tutaj nie potrafił ukryć nienawiści pobrzmiwającej w jego piskliwym głosie.

– Mówisz o Wielkiej Iglicy? – spytałem. – To tylko ogromna fabryka fosu. Co ma wspólnego z Saravorem?

– Oko jest pustym naczyniem, które kiedyś było częścią boga. Straciło tamtą moc, ale wciąż domaga się napełnienia. Saravor wlewa w nie magię dusz, na wzór Królów Głębi, a kiedy skończy napełniać je śmiercią, wykorzysta moc rozbłysku, wzmocnioną dzięki wieży, aby je zniszczyć. Posiądzie potęgę Shavady i zostanie wywyższony.

Powinienem był się zorientować.

Dwie gigantyczne potęgi. Światło i ciemność wspólnie dadzą Saravorowi jedyną rzecz, jakiej pożąda. Moc. Zaszlachtowani ludzie pod ulicami Valengradu to nie tylko źródło części zamiennych, ale paliwo dla jego wielkiego planu. Pragnienie Nacoma, by zburzyć Wielką Iglicę, po tym jak uciekł spod wpływu Saravora. Uprowadzenie Dantry'ego i zaprzęgnięcie go do niewolniczej pracy. Elementy układanki z hukiem wpadały na swoje miejsca, a wnioski mnie ogłuszały.

Sądziłem, że Królowie Głębi obawiają się Jasnej Pani. Miałem nadzieję, że niezależnie od tego, co Dantry wyczytał w starej księdze, Elizabeth wciąż może do mnie wrócić. To ulotne marzenie mnie zaślepiło, chociaż się tego wypierałem. Thierro mylił się we wszystkim. Nieważne, jakie szepty słyszał w sercu...

...Ależ oczywiście.

Jasna Pani go nie uzdrowiła. Elizabeth nie dała mu mocy Przędzarza. Jak mogłem tego nie zauważyć? Saravor dostrzegł potencjał Wielkiej Iglicy. Wiedział o istnieniu Oka od chwili, gdy przejął moc Shavady, pożądał go i knuł razem z Królami Głębi, aby je zdobyć. Wymienił udręczone płuca Thierra na płuca Przędzarza, obdarował go pięknym kłamstwem i śladem po oparzeniu, aby zamaskować swoje działanie. Thierro słyszał głos Saravora. Biedny drań nawet nie wiedział, kto go

przynagła. Od początku dawałem się wodzić za nos, a gdybym tak bardzo nie chciał w to wierzyć, być może wcześniej odkryłbym prawdę. Za wszystkim stał Saravor, który miał już to, czego potrzebował do wywyższenia.

Byłem taki ślepy.

Pomyślałem o zakrwawionych ciałach pod Valengradem.

– Ile osób musi zabić?

– Dziesiątki tysięcy – odrzekł Uroczy, a ja poczułem ulgę. A potem jeszcze silniejszą grozę. On nie posiadał tylko Wielkiej Iglicy i Oka, ale całe miasto. Miał do dyspozycji gorliwą armię gotową walczyć za Jasną Panią oraz broń i święte rozkazy, których potrzebował, aby rozpocząć rzeź. Wszystko nagle nabrało potwornego sensu, jakbym dopasował klucz do zamka. Usłyszałem, jak ten klucz się obraca w ciszy Bezkresnego Braku. Zmęczyła mi się ręka. – Nie chcecie tego tak samo jak my! – odezwał się Uroczy. – W tej sprawie powinniśmy się zjednoczyć.

Miał rację. Chociaż byliśmy wrogami, chociaż jego pan próbował zbudzić Śpiącego, a mój starał się temu zapobiec, nikt poza samym Saravorem nie chciał, aby czarownik posiadał tak straszliwą moc. Jego okrucieństwo sprawiło, że podziemia Valengradu były zbryzgane krwią, a ja nieraz stawałem się ofiarą jego tortur. Był już równie nieludzki jak Królowie Głębi, a gdyby zdobył taką potęgę, mogliby mu zaproponować sojusz, nawet gdyby nie uznali go za jednego z nich. W rozgrywce uczestniczyło tak niewielu nieśmiertelnych, że nie mogliby sobie pozwolić na jego zignorowanie.

Dowiedziałem się wszystkiego, co było mi potrzebne. Zadałem głowie Uroczego jeszcze kilka pytań, a potem cisnąłem ją w głąb Bezkresnego Braku.

31

W sercu Nieszczęścia zdobyłem wiedzę, jakiej nigdy nie posiadał i zapewne nigdy nie posiadzie żaden człowiek. Myśl i ciało nie są tam tak odrębne jak poza Bezkresnym Brakiem, zupełnie jakby granica między bytem a nicością się zacierała. Istnienie i czas stawały się zagadnieniami względnymi, które wirowały i zmieniały się od początku dziejów. Przez chwilę rozumiałem maleńkie instrukcje wplecione w nasze ciała, mówiące nam, jak mamy wzrastać, czym się stawać. Wiedziałem, jak zrodziły się gwiazdy, i znałem prawdziwe imię demona, którego Królowie Głębi chcieli wywołać z mroku oceanu. Rozumiałem, w jaki sposób szpaki zakrzywiają lot, gromadząc się całymi milionami, oraz czułem działanie siły, która trzyma resztę z nas na ziemi. Ale nie mogłem zachować tych sekretów, które ulatniały się równie szybko jak podmuchy wiosennego wiatru. To nie była prawdziwa wiedza, a ja na nią nie zasłużyłem, dlatego opuszczała mnie tak samo szybko, jak się pojawiała.

W drodze powrotnej szukałem zagubionego w czasie mężczyzny ze smaczną wodą, ale nie miałem okazji zabić go po raz trzeci, moje pragnienie więc rosło.

Opuściłem Bezkresny Brak lżejszy o jedną głowę, ale poraniony i przygnieciony znacznie cięższym brzemieniem. Tylko ja znałem prawdę. Tylko ja mogłem spróbować go powstrzymać, zanim będzie za późno dla Valengradu. Wytoczyłem się z jasności pod ciemne niebo rozświetlone samotnym złocistym księżycem. Uklęknąłem, przycisnąłem dłoń do ciemnego, gorzkiego piasku. Czułem kipiące Nieszczęście przelewające się na drugą stronę istnienia. Było esencją zmiany. Stagnacja była mu całkowicie obca.

– Ha! – zakrakał kruk, sfruwając ku mnie z nieba. – Wyglądasz strasznie.

– Ale wciąż żyję – odparłem.

– Ledwie.

Trudno było się nie zgodzić.

– Myślę, że mogę się stąd wydostać.

Już nie byłem ślepy. Wciąż wyczuwałem stałe miejsca. Były niewyraźne i dalekie, a ja potrafiłem jedynie wskazać, gdzie znajduje się najbliższe z nich, tak jak wskazuje się odległe źródło dźwięku. Książka Tnoty informowała mnie o odległości między poszczególnymi punktami. Uznałem, że przy odrobinie szczęścia dotrę do Krateru Zimnego, a jeśli będę miał furę szczęścia, mogę tam spotkać stacjonujący patrol. Dopóki będę pamiętał położenie stałych miejsc, zdołam wyznaczyć kurs bez pomocy astrolabium i księżyców. Ale moja nowo zdobyta znajomość Nieszczęścia, którą dało mi spożycie podobnej do kraba istoty, już słabła. Magia we mnie wniknęła, ale teraz wyciekała na zewnątrz powoli i boleśnie, a ja nie mogłem się zdobyć na przyswojenie kolejnej porcji. Walczyłem z czasem.

– Co się stało z twoją twarzą? – spytał kruk.

– Problemy z owadami – stęknąłem.

– A z twoją pierśią?

– To samo.

– A z twoją ręką?

Wewnętrzzną część przedramienia pokrywały krwawe strupy.

– Musiałem coś zapamiętać. Coś, czego się dowiedziałem w Bezkresnym Braku. Wiedziałem, że w przeciwnym razie zapomnę.

– Trzeba było to zapisać – odparł kruk, zupełnie jakbym sam nie wpadł na ten pomysł, tylko że nie miałem odpowiednich przyborów.

Niestety, nie pamiętałem już ani krztyny z tego, czego się wtedy dowiedziałem. Pozostały mi tylko koślawe słowa, które wyciąłem na skórze. Prowadziłem ostrze pośpiesznie i ciąłem głęboko, aby upewnić się, że pozostaną blizny. Czegokolwiek się dowiedziałem, koniecznie chciałem to zapamiętać.

Słowa na mojej skórze głośiły: STAŃ SIĘ KOWADŁEM.

Nie wiem, jaką potężną i straszliwą wiedzę przyswoiłem, ale szkoda, że nie zapisałem czegoś, co byłbym w stanie zrozumieć. Chociaż zapewne nie miałem wiele czasu i nie byłem w pełni zdrowy

na umyśle, gdy to robiłem. Może ta wiadomość pomoże mi w walce z Saravorem, ale miałem co do tego wątpliwości. Takie problemy zazwyczaj rozwiązuje się, pociągając za spust, chociaż nie wierzyłem, że na niego taka metoda podziała lepiej niż na Uroczych w Kryształowym Lesie.

Nieważne. Wymyślanie nowych sposobów zabijania ludzi zawsze zaskakująco dobrze mi wychodziło.

Kiedy oddalałem się od Braku, zastanawiałem się, czy Nenn wciąż żyje, a jeśli tak, to co się z nią stało. Na pewno czuła go w swoim umyśle, gdy zmuszał ją do działania, ale opierała się wystarczająco długo, by w ostatniej chwili opuścić lufę pistoletu. Saravor musiał wymazać pamięć Tierra albo zaszczepić w niej fałszywe wspomnienia, aby ukryć to, co mu zrobił. Miałem nadzieję, że nie ukarze Nenn za jej bunt. Zastanawiałem się także, jaki los spotkał Tnotę, żołnierzy z Jasnego Zakonu, którzy dla nas walczyli, oraz pozostałość kawalerii Nenn. Nieszczęście nigdy nie bywa przyjazne, a oni ponieśli ciężkie straty.

Wzdłuż żył na moich dłoniach skrzyły się pod skórą drobne plamki czerwieni i brązu. Toksyny płynące wraz z krwią. Ciekawe, czy to właśnie one zabarwiły skórę Strachta na miedziany kolor. Czyżby wchłonął coś, czego nie powinien? Nigdy go o to nie zapytam. Kolejny towarzysz, którego muszę pomścić.

Miałem misję, musiałem wrócić do Valengradu. Nie mogłem sobie pozwolić na rozmyślanie o Nenn ani o głosie, który przemawiał szeptem przez jej usta. Musiałem wrócić i ostrzec wszystkich przed planami Saravora. Potrzebował tysięcy ofiar, by zaspokoić swoją szaloną ambicję, i wiedziałem, że nie będzie miał żadnych skrupułów.

Niebo ciągnęło się bez końca.

Usta miałem bardziej wysuszone niż sól, a język szorstki jak stara kora. W Nieszczęściu na zmianę natrafiało się na dotkliwe zimno i skwar. Ból przeszył mój brzuch jak lodowa włócznia, gdy ciało usiłowało pozbyć się koszmaru, który w nie wniknął. Padłem na kolana, dostałem torsji i zwymiotowałem oleistą ciecz, cuchnącą i trującą. Była czarna jak syrop i równie gęsta, ale mój żołądek niczego więcej się nie pozbył.

- Umierasz – stwierdził ptak. Pomocny skurwiel.
- Wszyscy umieramy od dnia narodzin – odparłem. – Liczy się tylko to, żeby po drodze trochę pożyć.
- Ja nie umieram.
- Bo nie jesteś żywy. Nie jesteś prawdziwy.
- Pewnie masz rację – przyznał kruk. – Kiedy wypełnię swoje zadanie, przestanę istnieć.
- Więc Wronia Stopa nie posłał cię tylko po to, żebyś działał mi na nerwy.
- Nie – odrzekł ptak z powagą. – Nie po to.

Nie drażyłem tematu. Ptak znał swoją rolę, a skoro stworzył go Wronia Stopa, zapewne lepiej było nie wiedzieć, na czym ona polega.

Wędrowałem po ciemnym piasku, pod wściekle wyjąącym czerwonym niebem. Dokuczał mi głód, ale nie mógł się równać z pragnieniem. Poza tym dręczyły mnie miraże, mgliste wizje migoczącej w oddali wody. Przycisnąłem dłoń do ziemi, wysłałem zapytanie, a Nieszczęście potwierdziło, że to ułuda. Wydmy wznosiły się i opadały, usiane skałami kruchymi jak węgiel drzewny. Kilka razy przeczytałem książkę Tnoty i wkrótce znałem ją niemal na pamięć. Nawigowałem jak jeszcze nigdy, a Nieszczęście najwyraźniej tolerowało nasze współistnienie, gdyż zamieszkujące je stworzenia unikały mnie.

Niemal się poddałem. Pewnego ranka ledwie zdołałem się podnieść. Głodny, spragniony, poparzony przez słońce, wiatr i księżyc, traciłem determinację i rozważałem, czy nie byłoby lepiej położyć się w płytkim piaskowym schronieniu i pozwolić, aby żywioły mnie pochłonęły. Ale ten przeklęty kruk zmienił zdanie co do mojej śmierci i niespodziewanie zaczął nalegać, żebym szedł dalej. Dziobał mnie, aż przypomniałem sobie Elizabeth i jej samotność w świetle, a wtedy nie miałem innego wyjścia, jak wstać i iść dalej, ignorując ból.

Kruk czasami siadywał mi na ramieniu, ale zazwyczaj leciał nade mną jako mój zwiadowca, wypatrując istot, które mogłyby mieć na mnie chrapkę. Wiedział wcześniej niż ja, że zbliżamy się do Krateru Zimnego, i nie zauważył tam żadnych śladów życia. Byłem pewien, że to dobrze. Stacjonujący tam żołnierze mogliby mnie przeszyć bełtem

ze stu jardów. Nie tylko wyglądałem jak koszmar przywleczony z Nieszczęścia, ale rzeczywiście się nim stałem. Porwane i poplamione ubranie zwisało z mojej wychudzonej sylwetki. Niosłem obcy miecz, moje buty się rozpadały, a rany pokryły się czarnymi bliznami. Ale śmierć nie nadleciała z sykiem. Fort był opuszczony.

Pozostałość mojego serca ścisnął żal. Miałem jeszcze dwa łyki wody w ostatniej manierce, ale od Valengradu dzieliły mnie trzy dni marszu. Niemożliwe, abym tam dotarł bez dodatkowych zapasów, dobrze, że fort przynajmniej zapewnił mi schronienie na noc. Ostatnio byłem tutaj, kiedy usiłowałem sprowadzić Dantry'ego do jego siostry, ale wtedy nadszedłem z przeciwnego kierunku. Nad murami nie powiewały żadne flagi. Fort był opuszczony. Musiałem teraz liczyć na to, że znajdzie mnie jakiś patrol, lecz miałem na to niewielkie szanse.

Ale nie wszystko musi cały czas iść źle. Kiedy wszedłem do fortu, zauważyłem, że kiedy członkowie patrolu się pakowali, zrezygnowali z pracochłonnego rozbierania ekstraktorów wilgoci. Urządzenia milczały, ich przeszywające jęki nie zakłócały nieruchomego powietrza, gdyż brakowało zwojów baterii, które mogłyby je napędzać, ale kiedy zdjąłem pokrywy zbiornika, o mało nie zapłakałem. Bezcenna, błogosławiona czysta woda. Miała metaliczny posmak ekstraktora i przez kilka tygodni stania w zbiorniku nieco zatechła, ale nigdy w życiu nie piłem niczego wspanialszego. Chociaż przełykanie sprawiało mi ból, jakby tysiąc wściekłych noży cięło moje wysuszone gardło, ugasilem pragnienie, po czym usiadłem, rozkoszując się wilgocią na ustach. Jeszcze nie umarłem.

Kiedy tak siedziałem, po drugiej stronie fortu pojawiło się widmo. Glost, człowiek Dantry'ego Tanzy. Zginął tutaj jako przypadkowa ofiara nieudanego zamachu. Widmo nie miało dolnej części nóg i czołgało się na rękach, nawołując swojego pana. Patrzyłem na nie, oparty plecami o żelazny zbiornik ekstraktora, aż w końcu zamknęły mi się oczy i zasnąłem.

Obudził mnie kruk, który przestępował z nogi na nogę na moim ramieniu.

– Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów – zaskrzeczał cicho, co u niego mogło uchodzić za szept. – Ale jednocześnie bądź gotowy

bardzo szybko się ruszyć.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem ich wokół siebie, całe setki.

Dwie stopy wysokości. Czerwone jak oparzenie. Żółte oczy. Obserwowały mnie.

– Dobry wieczór, panie, chcesz się zabawić? – pisnął jeden z nich.

– Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa – odezwał się inny.

Skrzelaki. Całe stado. Zerknąłem na swoje nogi, sprawdziłem stan dłoni. Wciąż byłem w jednym kawałku. Skrzelaki stały w nierównych szeregach ciągnących się przez cały fort. Widziałem lśnienie znieczulającego jadu na ich małych, ostrych kłach. Niektóre wyglądały na wygłodzone, ale najbliższe mnie miały wzdęte brzuchy. Były syte.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści miecza, zdając sobie sprawę, że jest ich zbyt wiele, abym się przebił. Nigdy nie słyszałem, żeby utworzyły taki rój, i nie dałbym rady zabić ich wszystkich.

– Drogi są w opłakanym stanie – wtrącił życzliwie jeden ze skrzelaków.

– Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa – zaintonowała unisono inna para.

Wszystkie wpatrywały się we mnie, kiedy wstałem. Gdybym zaczął wywijać mieczem, kładłbym je pokotem po sześć na raz, ale straciłbym siły, zanim zabiłbym wszystkie, a wystarczyło jedno ugryzienie, abym stracił czucie w nodze. Wbijały we mnie wzrok, trwając w bezruchu, jakby coś je powstrzymywało.

– Co powinienem zrobić? – odezwałem się.

– Tutaj nasze drogi chyba się rozchodzą – zaskrzeczał kruk prosto do mojego ucha. – Jeśli się z tego wygrzebiesz, będę pod wrażeniem.

– Dzięki.

– No to lecę – rzucił ptak tak nonszalancko, jakby wychodził z podwieczorku. – Muszę jeszcze znaleźć nowego kapitana Czarnoskrzydłych. Zwłaszcza jeśli ty dasz się zjeść.

Stałem oparty plecami o zbiornik na wodę, za którym wznosił się wysoki kamienny mur. Dywan skrzelaków pokrywał dziedziniec fortu. Nie mogłem ruszyć do przodu ani do tyłu. Wędrowałem całymi dniami tylko po to, by wpaść w takie tarapaty. Kruk jeszcze raz zakrakał mi do ucha, po czym wzbił się w powietrze, zostawiając mnie

samego. Odfrunął na zachód.

Skrzelaki obróciły głowy i podążyły za nim wzrokiem, po czym ich piskliwe głowy odezwały się w bolesnej harmonii:

– Ojcie!

W tym słowie zabrzmiały tęsknota, cierpienie, ból istnienia w tej przeklętej formie. Ich wołanie zmieniło się w krzyk, a potem w wysoki, przeraźliwy wrzask, który wypełnił noc. Chwyciły się dłońmi za głowy, jakby coś je zabolalo, i zaczęły kręcić zębatymi twarzyczkami.

Potem ich oblicza zwróciły się w moją stronę. Tysiące głodnych spojrzeń.

– Nie – powiedziałem. Wyciągnąłem w ich kierunku dłoń, a paciorkowate oczy natychmiast się na niej skupiły. Podwinąłem pozostałość rękawa i pokazałem wizerunek kruka.

Ale one go nie rozumiały. Nie były na tyle inteligentne. Mimo wszystko patrzyłem na nie surowo, skupiając się na esencji Nieszczęścia, którą wchłonałem. Ona była częścią mnie. Dotychczas walczyłem z nią i trzymałem ją w ryzach. Odmawiałem jej przyjęcia. Ale teraz poddałem się i pozwoliłem, aby ze mną współistniała. Zaakceptowałem, że przeprowadziła mnie przez Nieszczęście, ukazała mi swoje wnętrze i wyjawiała sekrety.

Moje serce tłukło się w piersi, gdy Nieszczęście mocniej mnie otuliło.

Skrzelaki zdekoncentrowały się i zamrugały, jakbym przestał istnieć. Zrozumiałem, że wcale nie przyszły tutaj z mojego powodu. Interesował je kruk. A teraz byłem im obojętny, jakbym stał się jednym z nich. Te, które były najdalej, zaczęły się rozchodzić i już po kilku minutach zostałem sam.

Wiedziałem, co na siebie sprowadziłem, gdy zjadłem istotę z Nieszczęścia. Wronia Stopa stworzył Nieszczęście za pomocą Serca Pustki, ale chociaż broń była napędzana jakąś dawną potęgą, część jego natury także zapisała się w dokonanym zniszczeniu. Teraz nosiłem w sobie zarówno dług wobec Wroniej Stopy, jak i znak Nieszczęścia. Oba były ze sobą spokrewnione. Dziki głód skrzelałów nie był spowodowany koniecznością przetrwania – w końcu rzadko

znajdowały jakąś ofiarę na tym toksycznym pustkowiu – ale raczej potrzebą pochłonięcia czegoś nieskażonego. A teraz byłem równie jak one skażony.

Na Duchy. Co sam sobie uczyniłem?

To bez znaczenia. Liczy się tylko powrót do Łańcucha i ujawnienie czarnych robaków zdrady, które zapanowały nad moim miastem. Saravor musi umrzeć, powoli i w cierpieniach, za to, co zrobił Nenn. Oraz mnie.

Ostatnią rzeczą, jaką poczuje, będą moje dłonie zaciskające się na jego szyi.

Jak długo przebywałem pod strzaskanym niebem Nieszczęścia? Kiedy zagłębiałem się w serce tej chorej krainy, czas płatał mi figle. To trwało zbyt długo. Tygodnie. Kiedy wreszcie zobaczyłem przed sobą Łańcuch, gałęzie drzew pokrywały wiosenne pączki niczym powitalne dekoracje na moją cześć. Ujrzałem błękitne niebo, wolne od rozdarć i pęknięć, i niemal się rozplakałem.

Kiedy wyszedłem z Nieszczęścia, powietrze miało dziwny smak. Pozbawione skażenia sprawiało wrażenie obcego i niespotykanego, mimo że oddychałem nim przez większą część życia. Trawa i drzewa wyglądały jak piękne rzeźby, chociaż roślinność niedaleko granicy Nieszczęścia jest pokurczona i karłowata. Ale niebo było błękitne i czyste, a naturalny chłód wiosny przypominał delikatną pieśczętę. Wydostałem się.

Tylko że już nie byłem taki sam jak wtedy, gdy tam wszedłem.

Znalazłem strumyk, na tyle głęboki, żebym mógł się całkowicie zanurzyć, a chłodna woda była jak balsam na moją poparzoną skórę i zaskorupione rany. Brud Nieszczęścia odpłynął, przynajmniej ten, który pokrywał moje ciało. Znow wyglądałem jak człowiek. Mniej więcej.

Przed wszystkim chciałem znaleźć którąś ze stacji. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie jestem, ale z pewnością na południe od Valengradu. Ruszyłem szlakiem zaopatrzeniowym i wkrótce natrafiłem na patrol, pierwszych ludzi, których widziałem od czasu, gdy zabiłem Betcha. Początkowo mi nie ufali i nie mogli ich za to winić, ale powiedziałem im, że zgubiłem się podczas patrolu w Nieszczęściu, i wspomniałem imię Nenn, a oni zgodzili się odstawić mnie do stacji dwa-trzy. Patrol składał się z ośmiu ludzi, z których trzech nosiło żółte kaptury Jasnego Zakonu.

Spytałem, co słyhać w Valengradzie.

– Jasna Pani chroni miasto, a robole dali za wygraną – wyjaśnił sierżant. – Jednej nocy ją widziałem. Była piękna, wyciągała rękę w stronę Nieszczęścia. Dzięki temu wiemy, że zakończy wojnę z Królami Głębi. Trudno w to uwierzyć, jeśli kogoś tam nie było.

– Ja w to nie wierzę – wtrącił się jeden z młodzików. – Myślę, że wypaliłeś o jedną fajkę za dużo.

– Wielu tak uważa i ja też bym do nich należał, gdybym nie widział tego na własne oczy. – Sierżant się roześmiał. – Sam się przekonasz. Przesłanie Jasnej Pani się rozprzestrzenia. Nadchodzi nowy porządek, to pewne.

– Jeśli tylko księżę Vercanti ich wszystkich nie pozabija – odparł młodzik.

– Co masz na myśli? – spytałem, przerażony gadzim skrzekiem w moim głosie. Sierżant podał mi butelkę piwa, a ja ją opróżniłem.

– Widzę, że chce ci się pić. Chyba naprawdę wróciłeś z Nieszczęścia.

– Dlaczego wielki księżę Vercanti miałyby atakować Jasny Zakon? – zapytałem.

– Po utracie stanowiska ta suka Davandein popędziła do swoich krewnych. Wysoki Świadek Thierro mianował pułkownika Koskę marszałkiem, ale księżętom to się nie spodobało. Wielki księżę twierdzi, że to niezgodne z prawem. Odwołał wyprawę do Angol i zamiast tego prowadzi swoje wojsko do Valengradu, żeby odzyskać władzę dla swojej kuzynki.

Thierro kontroluje Valengrad. Jeśli miałem rację, to oznaczało, że Saravor kontroluje Valengrad. Miasto, Wielką Iglicę, wszystko. Ale nie został ogłoszony Królem. W cytadeli pozostali dobrzy ludzie. Rozgrywka jeszcze nie dobiegła końca.

– Wysoki Świadek nie chce się mieszać w sprawy wojska – warknął gburowaty starszy żołnierz.

Dwóch innych z nim się zgodziło, ale zwolennicy Jasnej Pani byli w większości, niezależnie od tego, czy nosili żółte kaptury.

– To Wysoki Świadek ocalił Valengrad w godzinie potrzeby, czyż nie? – skarcił ich sierżant. – Nie ta rzeźniczka Davandein. Pierdolona arystokratka, ani krztyny szacunku dla zwykłych ludzi. Księżę

przejrzy na oczy, kiedy przyjdzie Jasna Pani.

Nawet w tej nielicznej grupie podziały były wyraźnie widoczne.

Zatrzymaliśmy się przy drodze, kiedy dopadł mnie gwałtowny atak kaszlu. Prawie spadłem z siodła, krztusiłem się i plułem zatrutą czernią, która wydobywała się z mojego wnętrza. Wstrząsały mną potężne drgawki, a żołnierze nie mieli przy sobie korzenia lukrecji. Nie potrafiłem utrzymać w dłoni cygara, którym mnie poczęstowali, więc jeden z nich musiał je dla mnie zapalić. Płaciłem słoną cenę za tak długi pobyt w Nieszczęściu.

Na horyzoncie pojawiła się stacja dwa-trzy i jeszcze nigdy żaden widok tak mnie nie ucieszył. Projektory w kształcie mrocznej czapki błazna cicho górowały nad ponurą fortecą. Podziękowałem swojej eskorcie, która odprawiła mnie przy bramie, i udałem się do najbliższej karczmy, aby napchać się po uszy jedzeniem i trunkami. Nie miałem pieniędzy, ale kucharze zobaczyli moje drżące dłonie i się nade mną zlitowali. Przynieśli ciężkie ciemne bochenki chleba, talerze pełne ryżu i fasoli, a przede wszystkim pieczoną jagnięcinę, różową i ociekającą tłuszczem, tak kruchą, że sama oddzielała się od kości. Zjadłem więcej, niż powinienem, a potem poszedłem po dokładkę. Sos był wyborny, piwo treściwe, ciemne i gorzkie. Odkryłem, że mogę jeść tylko niewielkie porcje, w przeciwnym razie mój żołądek się zaciska, ale mimo to nie przerywałem. Nigdy wcześniej ani później tak nie ucztowałem, chociaż był to zwykły posiłek podawany w całym Łańcuchu. Wszystko zależy od okoliczności.

Chociaż barmanowi było mnie żal, nie chciał mi podać brandy. Mimo wszystko udało mi się ukraść butelkę. Nie było sensu powoływać się na moje stanowisko. Nie miałem pieczęci, by dowieść prawdziwości swoich słów, a poza tym wołałem nie zwracać na siebie uwagi. Usiadłem samotnie w cichym kącie koszar i piłem, aż doprowadziłem się do takiego stanu, że z trudem doczłapałem do pożyczonej pryczy i zapadłem w słodki sen pozbawiony marzeń.

Kiedy się obudziłem, odkryłem, że ktoś najwyraźniej zauważył moją obecność, a spotkanie z dowódcą stacji wydawało się nieuniknione, ponieważ kobieta pełniąca tę funkcję siedziała na moim poślaniu.

– Nie uwierzyłam, kiedy mi powiedzieli, ale wygląda na to, że mówili prawdę. Rzeczywiście przybył pan z Nieszczęścia. Rzadko widuje się kogoś tak nim dotkniętego, kto pozostał przy życiu.

Była śniadą kobietą o wyraźnie zarysowanym zakrzywionym nosie i włosach jak płynny obsydian. Miała świeżo wyprasowany mundur.

– Niezbyt dobrze się tam bawiłem – odrzekłem.

– Wygląda na to, że spotkał pan także mniej przyjaznych mieszkańców Nieszczęścia. – Nie miałem na sobie koszuli i nierówne czarne blizny na mojej piersi i twarzy były wyraźnie widoczne.

– Można tak powiedzieć.

Wręczyła mi pęczek związanych sznurkiem pałeczek lukrecji. Wyszarpnąłem jedną i od razu zacząłem żuć.

– Pan kapitan Galharrow z Czarnoskrzydłych. Nie pamięta mnie pan, ale spotkaliśmy się przelotnie przy okazji degradacji major Nenn. Złamała nos mojemu bratu.

Powiedziała to bardzo rzeczowym tonem. Nie pamiętałem jej, ale pokiwałem głową.

– Słyszeliśmy, że pan zaginął w akcji.

– Czy pozostali wrócili?

– Niektórzy. Stracili wielu ludzi podczas walk. Ale pana przyjaciółka major przeżyła.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że jej się uda. Starąłem się nie myśleć o jej zdradzie. Ale jeśli ktokolwiek z nich wrócił, to Tnota również musiał być bezpieczny. Nie zdołaliby opuścić Nieszczęścia bez jego zdolności nawigacyjnych.

– Proszę nikogo nie informować, że wróciłem – poprosiłem. – Wracam do Valengradu, ale dopóki nie wyprostuję kilku spraw, nikt nie może wiedzieć, że tutaj jestem.

Kobieta pytająco uniosła brwi, ale nie dopytywała. Doszedłem do wniosku, że ją lubię.

– Nadciągają koszarne kłopoty – powiedziała. – Cytadela obecnie prawie niczego nam nie przysyła. Przygotowują się do oblężenia. Wielki książę Vercanti i Davandein zebrali dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Dotarliby tam wcześniej, ale zabrali ze sobą także grupę bojowych Przędarzy oraz artylerię. Zamierzają siłą odbić miasto.

– To obłęd – stwierdziłem i odkaszlnąłem, żeby pozbyć się chrypy. Bezskutecznie. – Nie możemy walczyć sami ze sobą o Łańcuch. Zamierzają odbić miasto przy pomocy niedoświadczonych rekrutów? Ostrzelać Valengrad? Psiakrew, cytadela jest naszą warownią. Chroni Maszynierię Nalla. Oni wszyscy oszaleli.

– Zgadzam się.

– A pani po której jest stronie? – spytałem. – Jeśli dojdzie do rozlewu krwi, czy będzie pani wspierać wielkiego księcia i Davandein, czy raczej Koskę i Jasny Zakon?

– Moim obowiązkiem jest ochrona Łańcucha – odrzekła. – Stanę na posterunku, aby upewnić się, że w razie nadejścia prawdziwych wrogów uruchomimy Maszynierię i pošlemy ich do piekła. Nie mogę interweniować. Ale zdarzają nam się dezercje. Część moich ludzi wyruszyła do Valengradu, żeby dołączyć do Zakonu. Cały czas widzimy na szlaku zaopatrzeniowym wędrowców. Ludzi ogarnął prawdziwy zapach.

– Następnym razem, kiedy ktoś zdezerteruje, trzeba go schwytać i powiesić.

– To nic nie da. Połowa moich ludzi jest wyznawcami. Proszę policzyć kaptury. Jeśli zacznę wieszać ich przyjaciół, wkrótce nad stacją pojawi się żółta flaga jako znak poparcia dla Wysokiego Świadka, a zapewne także moja głowa na włócznie.

– Oni są zdrajcami. Należy ich ukarać – upierałem się. Rozumiałem ją, ale kompromisy nigdy nie leżały w mojej naturze.

Uśmiechnęła się półgębkiem, ale już nie broniła swojego stanowiska.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tym, którzy oficerowie popierają którą frakcję. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach.

Otrzymałem od dowódcy wszystko, o co poprosiłem. Koszulę i spodnie. Kamizelę. Płaszcz, kapelusz, pas z kłamrą, nowe buty. Mój zagraniczny miecz przyciągał spojrzenia, zapakowałem go więc i wymieniłem na standardowy porządny pałasz o prostym ostrzu i czarnym jelcu pozbawionym ozdób. Wreszcie zaproponowano mi jednego z wierzchowców ze stajni. Konie nie zachowywały się swobodnie w moim towarzystwie – wyczuwały skażenie

Nieszczęściem i płoszyły się, ale w końcu dała mi się dosiąść spokojna i zmęczona stara klacz, którą zaledwie kilka lat dzieliło od trafienia na stół. Uznałem, że ona mi wystarczy. Chciałem podziękować dowódcy, ale musiała nadzorować budowę mostu. Wyruszyłem na północ.

Uznałem, że ktoś musi przemówić komuś do rozsądku. Tym pierwszym kimś byłem ja, a tym drugim kimś wszyscy pozostali. Wojna między cytadelą a wielkim księciem nie była nikomu na rękę. Oprócz Saravora. Już wystarczająco dużo dobrych ludzi zginęło z powodu ambicji tego potwora.

Wjechałem do Valengradu mało znaną drogą używaną przez szmuglerów, którzy próbują uniknąć płacenia cła, dzięki czemu ominąłem główne bramy. Tuż przed moim przybyciem zapadł zmrok, a mnie skończyła się lukrecja. Poza tym byłem lekko pijany brandy, którą raczyłem się w podróży. Kiedy tylko wjechałem do miasta, zobaczyłem jaskrawe czerwone słowa na murze cytadeli: PANI WAS BŁOGOSŁAWI. Cytadela już nie wzywała do dzielności w obliczu nocnych koszmarów, tylko przyłączyła się do Jasnego Zakonu.

Saravor trzymał w garści Tierra, który tańczył w rytm jego szeptów o urojonej Jasnej Pani, a za jego pośrednictwem także niewinnych ludzi wierzących w jego kłamstwa. Były ich tysiące. Saravor pożądał władzy, ale był gotów sprawować ją za pośrednictwem bardziej przystępnego przedstawiciela. Miał w kieszeni Koskę, a co gorsze także Nenn. Nie mogłem sam wystąpić przeciwko Thierrowi. Był Przędzarzem i nie miało znaczenia, że słuchał podszeptów Saravora; mógł mnie spopielić jednym ruchem dłoni.

Szedłem przez miasto z kapturem na głowie i opuszczoną głową. Widziałem wiele żółtych kapturek, niektóre miały barwę brudnego beżu. Zapewne skończył się żółty barwnik. Czarnowidze stali na każdym rogu, głosząc rychły powrót Jasnej Pani, który miały zapowiadać coraz wyraźniejsze znaki. Ale pomimo gorliwej wiary w zachowaniu ludzi i spojrzeniach, które rzucali bliźnim, wyczuwało się nerwowość.

Padał silny wiosenny deszcz, ciepły i uporczywy. Uniosłem twarz ku niebu, pozwalając, aby woda spływała mi po skórze. Nigdy nie

doceniałem zwykłego deszczu tak jak w tej chwili.

W biurze Czarnoskrzydłych panowała ciemność, nikt nie siedział w recepcji, a drzwi były zamknięte, musiałem więc wyważyć tylne wejście. To było moje biuro i mogłem się do niego włamać, jeśli miałem ochotę. Zacząłem się wspinać po schodach. Po tak długiej nieobecności czułem się jak w domu. Nikt mnie nie witał, chociaż rozkazałem, aby ktoś zawsze dyżurował w recepcji. Źle to wróżyło.

Zapaliłem oliwną lampę w swoim gabinecie i usiadłem na fotelu. Moje biurko było puste, sterty papierów zniknęły, wszystko zostało posprzątane i wyglądało na nieużywane. To samo dotyczyło biurka Tnoty. Całe biuro sprawiało wrażenie zamkniętego na cztery spusty. Nie spodziewałem się, że aż tak mnie to zasmuci. Stworzyliśmy tutaj coś dobrego, coś skutecznego i nie chciałem myśleć, że to wszystko przepadło. Oczywiście sądzili, że zginąłem, ale nie przyszło mi do głowy, że to może coś zmienić. Byłem zbyt zajęty walką o życie.

Nagle wyczułem ostry swąd lontu. Usłyszałem skrzypienie podłogi za drzwiami. Ktoś tam się skradał z bronią palną. Już miałem się odezwać, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i zakołysała się w nich lufa rusznicy. Stałem bez ruchu, patrząc na drobną postać, która z trudem mierzyła do mnie z ciężkiej broni. Ledwie ją trzymała, mogła więc zapomnieć o celowaniu.

– Kto tutaj jest?! – zawołała wściekłym i wystraszonym głosem.

Nagle zobaczyła mnie tuż przed lufą rusznicy.

Ja też na nią popatrzyłem; była chuda i nieustępliwa jak rozwścieczony szczeniak.

– Witaj, Amairo – odezwałem się, a mój głos przypominał chrapliwy skrzek.

Brzmiałem zupełnie inaczej niż człowiek, który wyruszył do Nieszczęścia.

Wbiła we mnie wzrok, niepewna, co widzi. Miałem spieczoną, łuszczącą się skórę. Moją twarz przecinały świeże ślady pazurów. Wyraźnie schudłem, a oczy zabarwiły się na nienaturalny bursztynowy kolor i lekko lśniły w słabym świetle.

– Demon – szepnęła, szeroko otwierając oczy. – Czy jesteś demonem?

Wykazała się nie lada dzielnością, odzywając się do kogoś, kogo uznała za potwora, chociaż miała rusznicę, a ja byłem nieuzbrojony.

– Nie, Amairo. Wiesz, kim jestem.

Popatrzyła na mnie niepewnym wzrokiem. Może nie chciała w to uwierzyć. Nie byłem człowiekiem, który odszedł. Tamten Ryhalt umarł, a ona zdążyła go opłakać, tymczasem stoję przed nią i wszystko psuję. Zresztą to nawet nie jestem ja, tylko jakaś inna wersja mnie, która kłóci się z jej wizją świata.

– Skąd znasz moje imię? – spytała.

– Powiedziałaś mi je, kiedy przyszłaś tutaj pracować – odrzekłem.

– Królowie Głębi cię przysłali?

– Nie.

Mówiłem cicho, delikatnie, jak do płochliwego konia. Celowała do mnie z rusznicy, a po mojej walce w Nieszczęściu zakrawałoby na ironię losu, gdybym zginął we własnym biurze z ręki dziecka. Wydawało się, że broń była zbyt ciężka, aby Amaira mogła dłużej trzymać ją prosto, ale wiedziała, że jeśli jestem demonem, powinna mnie zastrzelić.

– Jak to możliwe, skoro pan, kurwa, nie żyje, panie kapitanie? – W oczach miała łzy.

Na chwilę straciłem głos.

– Jak ty się wyrażasz? – zaskrzeczałem. – No i nie nazywaj mnie panem kapitanem.

To przeważało szalę. Amaira upuściła rusznicę i z płaczem rzuciła mi się na szyję, a ja mocno ją przytuliłem. Zacisnąłem powieki, w przeciwnym razie też mógłbym się rozplakać, a lepiej nie robić tego przy dziecku, które polega na twojej sile. Czulem, jak serce łomocze jej w piersi.

– Mówili, że pan zginął! Mówili, że pan zginął! – szlochała. – Ale ja wiedziałam, że to nieprawda! Powiedziałam im, że zostanę tutaj i będę czekała, aż pan wróci, i miałam rację! – Oderwała się ode mnie. – Wygląda pan tak, jakby ktoś na pana nasrał, panie kapitanie! Co się stało?

Opowiedziałem jej skróconą wersję swojej historii, pomijając wiele rzeczy, które się wydarzyły. Sporej części z nich nie pamiętałem.

Najbardziej zatarł się w mojej pamięci czas spędzony nad Bezkresnym Brakiem. Również chciałem ją spytać o wiele spraw, o Valiyę, kawki, Tnotę, ale ona bardziej potrzebowała odpowiedzi. Przyniosła brandy i napełniła szklaneczkę, podczas gdy snułem swoją opowieść. Czekwały na mnie pilne obowiązki, ale teraz deszcz tłukł o szybę, niebo przeciągle i boleśnie pojękiwało, a miasta i książęta musieli zaczekać. Dzieci zawsze skupiają na sobie całą uwagę. Jest w nas coś, co każe nam stawiać je na pierwszym miejscu, a ja zbyt późno to zrozumiałem.

– Gdzie są pozostali? Dlaczego nikt nie siedzi w recepcji? – spytałem, gdy Amairze wreszcie skończyły się pytania.

– Zostaliśmy tylko ja, Tnota i Valiya. Wszystkie kawki odeszły.

– Dokąd?

– Żółte kaptury lepiej płacą, a ludziom brakuje pieniędzy. Tak powiedziała Valiya. – Uśmiechnęła się do mnie. – Cieszę się, że pan wrócił. Wszystko znów może być tak jak dawniej. Tak jak lubię. Obie bardzo płakałyśmy, kiedy powiedzieli, że pan zginął. Valiya próbowała to ukryć, ale miała czerwone, opuchnięte oczy. Chyba pana polubiła, panie kapitanie.

– Nie wypada tak mówić – zaproponowałem.

– Ale to prawda. Powinien pan się z nią ożenić. Jest bystra, miła i w pańskim wieku. – Ostatnie słowa powiedziała tak stanowczo, jakby to przesądzało sprawę. – Moglibyśmy wszyscy zamieszkać razem. Mogłabym być państwa służącą, opiekować się domem, kiedy państwo byłiby w pracy.

– To nie dla mnie – odparłem. – Ale masz rację co do Valiyi. Jest dobra, miła i błyskotliwa. Zasługuje na kogoś lepszego. Zasługuje na miłość, zaangażowanie i mężczyznę, który odda jej swoje serce.

– Dlaczego pan nie może jej dać swojego serca? – Amaira wyduła wargi, gdy napełniała moją szklanę, jakby miała plan upić mnie i skłonić do jakiegoś zobowiązania, którego później musiałbym dotrzymać.

– Nie mogę dać jej wszystkiego. Ślubowałem innej kobiecie. Równie dobrej, miłej i błyskotliwej jak Valiya. Mam wobec niej dług. Nic innego nie ma znaczenia.

Amaira popatrzyła na mnie tak, jakby chciała się sprzeciwić, ale wtedy usłyszałem brzęk dzwonka na dole. Ktoś chciał wejść. Dziewczyna wstała, jakby zamierzała otworzyć, ale powstrzymałem ją gestem dłoni.

– Czy ostatnio ktoś dobijał się do ciebie o tak późnej porze?

Pokręciła głową i zmarszczyła czoło. Dzwonek znów się odezwał z nieprzyjazną gwałtownością. Kilka chwil później ktoś zabębnił pięścią w drzwi.

– To niezwykley zbieg okoliczności, że właśnie teraz ktoś potrzebuje Czarnoskrzydłych – stwierdziłem.

Tylko dowódca stacji dwa-trzy wiedziała, kim jestem, i mogła o tym poinformować cytadelę za pomocą komunikatora. Wstałem z fotela i zapiąłem pas z mieczem. Grube aksamitne zasłony były zaciągnięte, a okiennice zamknięte. Nieproszony gość raczej nie mógł zobaczyć słabego światła w środku.

Bam-bam-bam, kolejna seria uderzeń w drzwi. Staliśmy w milczeniu, wyczekując. Ktoś spróbował otworzyć drzwi i przekonał się, że są zamknięte. Spróbował ponownie. Skinąłem głową na Amairę.

– Zgaś światło.

Miała szeroko otwarte oczy i zaciśnięte usta. Położyłem dłoń na jej ramieniu, aby przekonać ją, że wszystko będzie dobrze, ale byłem zaniepokojony. Kurczowo chwyciła się mojego płaszcza, jakby to mogło zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Chcę, żebyś została tutaj – rozkazałem. – Zostań i nie próbuj niczego głupiego. Możesz to dla mnie zrobić?

Pokiwała głową.

– Tak, panie kapitanie.

Otworzyłem szufladę biurka i wyjąłem nóż bojowy o długim, rozszerzającym się zakrzywionym ostrzu, który mógł wywołać uśmiech nawet na najbardziej ponurej twarzy. Potem wymknąłem się na mroczny korytarz i przeszedłem do ciemnego pokoju, z którego mogłem wyjrzeć na ulicę. Delikatnie odchyliłem zasłonę i popatrzyłem w dół. Było ich czworo, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Osłonili się przed deszczem pelerynami i kapturami, nie zobaczyłem

więc niczego więcej. Niewykluczone, że przyszli poprosić o pomoc, ale mogli mieć znacznie bardziej złowieszcze zamiary. Jeden z nich po raz ostatni zabębnił w drzwi, a potem odwrócili się i odeszli ulicą.

Wróciłem do Amairy.

– Kto to był? – spytała.

– Nikt – odpowiedziałem. – Ale chyba nie powinnaś dłużej tutaj mieszkać. Zaprowadzę cię do Valiyi. Możesz u niej zostać.

– Przecież walczymy po stronie dobra. – Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się strachu, który ścisnął jej gardło. – Powinni przed nami uciekać.

– Wiem. I możesz mi wierzyć, że jeszcze będą.

33

Odczekałem kolejne trzy godziny, po czym wyszliśmy drzwiami dla służby i ruszyliśmy w ulewnym deszczu przez miasto. Na ulicach panował spokój, ulewa przepłoszyła ludzi, co było nam na rękę.

Valiya mieszkała w szeregowym domu, którego schludna, nierzucająca się w oczy fasada idealnie do niej pasowała. Kilkakrotnie zapukałem do drzwi.

– Kto tam? – spytała.

– To ja, panno Valiyu – odpowiedziała Amaira, tak jak jej poleciłem. Nie sądziłem, aby Valiya rozpoznała mój głos. Brzmiałem jak coś, co umarło i przed przywróceniem do życia przez jakiś czas moczyło się w kanale.

Cofnęła się o krok, kiedy mnie zobaczyła, ale od razu mnie rozpoznała. Jej reakcja sprawiła mi ból, chociaż starałem się na nią przygotować. Nie były to groza ani obrzydzenie, ale co najmniej silny szok. Posmutniałem, ponieważ niezależnie od tego, co powiedziałem Amairze, gdybym był innym człowiekiem, w innym życiu, mógłbym być z tą kobietą, na którą zasługiwało niewielu mężczyzn. Nigdy nie uznawała mnie za przystojnego – miała oczy – ale przynajmniej wyglądałem zwyczajnie. Teraz to się zmieniło.

– To nie możesz być ty – wyszeptała.

– Witaj, Valiyu.

Pośpiesznie zaprosiła nas do środka.

Podawała obrzydliwą herbatę, a ja ją wypilem, chociaż nie miałem w ustach niczego tak paskudnego od czasu opuszczenia Nieszczęścia. Valiya miała jeszcze więcej pytań niż Amaira, a ja odpowiedziałem na nie najlepiej, jak potrafiłem. Amaira siedziała na fotelu przed kominkiem, obejmując rękami kolana i próbując zrozumieć, w co się wplątała. Odesłałbym ją do łóżka, ale i tak podsłuchiwałyby pod

drzwiami, a skoro tak długo byłem martwy, czułem, że zasłużyła na to, żeby z nami zostać.

– Nenn nie można ufać – oznajmiłem. – Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że jest we władzy Saravora, ani jak wiele z jej własnej osobowości w niej pozostało. Świadek Thierro także jest w jego rękach. Jestem tego pewien. Ilu jeszcze członków Jasnego Zakonu? Nie wiem.

Twarz Valiyi wyrażała więcej smutku, niż zdradzały jej słowa.

– Po tym, jak odszedłeś, Jasny Zakon szybko skonsolidował swoją władzę – wyjaśniła. Jej policzki znaczyły ślady łez. Niektórzy nie wstydzą się płakać i jestem zdania, że dzięki temu są silniejsi. Nie pytała o moje blizny ani o to, jak przetrwałem w Nieszczęściu. Rozumiała, że opowiedziałbym jej o tym, gdybym mógł. – Kiedy ukończyli budowę Wielkiej Iglicy, zmusili fabryki do przeniesienia tam wszystkich Utalentowanych. Wiem, że nie wierzysz w nadejście Jasnej Pani, Ryhalcie, ale z każdym dniem wizje stają się coraz częstsze i zawsze wskazują w stronę Nieszczęścia. Czy to ma jakiś związek?

– Nie wiem – przyznałem. – Nie sędzę, żeby to była sprawka Saravora. – Zmarszczyłem czoło. – Co mówi Dantry?

– Niewiele. Próbował pracować, ale jest zbyt schorowany. Przez większość czasu śpi.

– Czy pułkownik Koska dysponuje wystarczającą władzą, by poddać miasto, gdy wielki książę nadciągnie ze swoim wojskiem?

– Nawet gdyby tak było, nie miałyby to znaczenia. Miasto pęka w szwach od fanatyków, którzy stale napływają ze stacji w Łańcuchu i z wewnętrznych miast. Są uzbrojeni. Jasny Zakon obiecuje im nie tylko religię, ale wyzwolenie spod władzy książąt oraz lepszy świat bez ich udziału. Będą o to walczyć.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, prawie nie zauważając ohydного smaku herbaty.

– Zostaną zmasakrowani – odrzekłem w końcu.

Valiya pokiwała głową. Ogień trzaskał w kominku, a ja rozejrzałem się po pokoju. Gdyby życie potoczyło się inaczej, może to mogłaby być moja druga szansa. Rodzina, na którą nie zasłużyłem. Tyle lat

zaglądałem do butelki, a teraz, gdy miasto pogrążało się w chaosie, a moje zatrute ciało zabarwiło się na kolor miedzi, zrozumiałem, że to, czego potrzebowałem, było całkiem blisko. To mógłby być nasz salon. Był bardziej przyjazny od mojego domu, zimnego i posępnego grobowca, który rzadko odwiedzałem.

Rozmawialiśmy do późnej nocy. Amaira zasnęła na fotelu, a Valiya okryła ją kocem.

– Nie pytałaś, jak przetrwałem – odezwałem się w końcu, ponieważ miałem wrażenie, że ta kwestia jest jak lodowate morze rozciągające się między nami. – Co zrobiłem. – Wskazałem swoją twarz.

– Jestem pewna, że zrobiłeś to, co musiałeś – odrzekła. – Jak zawsze.

* * *

Przespałem noc w pokoju gościnnym, a rano razem z Valiyą i Amairą zjedliśmy jajka z chlebem, jakbyśmy rzeczywiście byli dziwną rodziną, którą sobie wyobrażałem. Valiya poczęstowała mnie kubkiem piwa, i chociaż było zwietrzałe i zapewne sama nigdy go nie kosztowała, wciąż było to piwo, a ja nie chciałem jej obrazić. Dziwne, jak się zachowujemy nawet wtedy, gdy świat się wali.

– Muszę iść – powiedziałem. – Spróbuję przemówić Davandein do rozsądku. Nie wracajcie do biura. Możliwe, że już nie jest tam bezpiecznie.

– Proszę, niech pan zostanie. Niech pan znów nie odchodzi – odezwała się Amaira.

– Jak możemy walczyć z tym potworem, jeśli nawet Czarnoskrzydli zostali zmuszeni do ucieczki? – spytała Valiya.

– Nie da się z nim walczyć, a on zapewne kontroluje więcej ludzi, niż podejrzewaliśmy. Saravor będzie potrzebował dostępu do fosy, który Wielka Iglica przechwyci podczas słonecznego rozbłysku. W tym celu musi znaleźć się w epicentrum tej mocy. Ale musi także zasilić Oko śmiercią żołnierzy z Jasnego Zakonu. Nie zdają sobie z tego sprawy, ale on planuje rzeź dla własnych potrzeb. Jeśli uda nam się temu zapobiec, pokrzyżujemy jego plany. Nie będzie nowego Króla

Głębi, nie będzie nowego Bezimiennego. Nieważne, jak silny jest w tej chwili Saravor... jak silnym ja go uczyniłem... nie może się równać z Wronią Stopą. Jeśli wytrzymamy, dopóki Bezimienni nie skończą ratować świata, będą mogli go zmiążyć. Koniec rozgrywki.

– Uważaj na siebie – powiedziała Valiya.

– Nie chcę, żeby pan odchodził! – zawołała Amaira. – Proszę, niech pan nie odchodzi. – Objęła mnie w pasie, aż ból przeszył moją klatkę piersiową. Uklęknąłem przed nią.

– Wróć – odrzekłem. – Obiecuję.

– Tak jest, panie kapitanie! – Energicznie zasalutowała, a potem obróciła się na pięcie i odbiegła w głąb domu, żebym nie widział jej łez.

– Opiekuj się nią – powiedziałem. – Musimy ocalić ten świat dla kogoś. Na przykład dla niej.

Valiya pokiwała głową.

– Zajmę się nią tak, jakby była moją córką. – Kiedy się odwracałem, wyciągnęła dłoń i musnęła palcami moją rękę.

Znów stanąłem naprzeciwko niej, a jej twarz opowiedziała mi o wszystkim, co powinno się wydarzyć, ale nigdy się nie wydarzy. Zwłaszcza teraz, gdy jestem zjebany i zatruty miedzią oraz brudem Nieszczęścia. Może w jakimś innym życiu, które nie jest dla nas ruiną. Oboje usłyszeliśmy dźwięk dzwonu kończący uroczystość, która nikomu nie wyszła na dobre.

Skupiłem się na czekającej mnie bitwie. Z nią było łatwiej się zmierzyć. Idąc ulicą, zerknąłem za siebie i zobaczyłem, że Valiya patrzy na mnie z progu. Miała rozpuszczone włosy, które lekko powiewały na wietrze, a połowę jej twarzy zasłaniała czerwona fala.

* * *

Wydostałem się z Valengradu równie łatwo, jak do niego wszedłem. Wystarczyło zabarwić kilka dłoni na złoty kolor i nikt nie zadawał pytań. Strażnicy przy bramie zawsze są najbardziej nieudolni i najmniej godni zaufania. Właśnie z tego powodu lądują na takiej

służbie.

Oddalając się od mrocznych murów Valengradu, patrzyłem na wciąż płynącą w stronę miasta rzekę ludzi. Podróżni przybywali z daleka wozami wiozącymi cały ich majątek, a na każdej głowie był kaptur w kolorze aksamitków. Trzymali broń na wierzchu i nerwowo oglądali się przez ramię, obawiając się wilków depczących im po piętach. Wyruszyli w stronę krainy wolnych ludzi, miasta, które rzuciło kajdany tyranii i ucisku książąt, a teraz musieli uciekać przed rabusiami i forysiami, którzy rekwirowali wozy z prowiantem i naciągali lepiej sytuowanych pielgrzymów na gotówkę. Ich rozczarowanie jeszcze się pogłębi, gdy odkryją, że ich azyl wcale nie jest lepszy od innych miast, a wręcz gorszy od większości z nich.

Armia Davandein była oddalona o trzy dni marszu. Spotkałem ją o zmierzchu. Wyglądało na to, że jestem jedyną osobą podróżującą w tym kierunku.

* * *

Wojsko nie obawiało się ataku. Dotarłem do nich wkrótce po tym, jak rozbili obóz i z trudem rozpalili ogniska w mżącym deszczu. Namioty rozstawiono według standardowego wojskowego porządku, ale obozowiska nie okopano. Wjechałem do środka bez przeszkód – nikt nie obawiał się samotnego, zmaltretowanego człowieka na zajeżdżonej chabecie. Wiedziałem, na co zwracać uwagę u żołnierzy. Członkowie Jasnego Zakonu byli pełni entuzjazmu, ale niewyszkoleni. Davandein nie polegała na optymizmie. Jej ludzie byli najemnikami, twardymi zawodowcami z zachodu. Niewielu z nich znało moją mowę. Sierzemie z Iscalii, kanonierzy z Hyspii, łucznicy z Angol, ciężka piechota z Fraki. Szczerbaci mężczyźni i kobiety o poranionych dłoniach, którzy przez całe życie walczyli w cudzych bitwach, dorabiając się licznych blizn, ale nie bogactw. Niebezpieczni ludzie. Zwolennicy Wysokiego Świadka mieli zapał i rusznice błyskowe, ale nie postawiłbym na nich złamanego grina w walce przeciwko tym zatwardziałym zabójcom. Gdyby doszło do bitwy, Saravor zdobyłby

swoje dusze.

Szedłem przez obóz, zwracając na siebie uwagę pomimo kaptura. To nie byli weterani Nieszczęścia i chociaż widzieli w oddali pęknięcia na niebie, nie znali się na Nieszczęściu ani na magii. Może widzieli, jak podczas karnawału Przędzarze tworzą iluzje ze światła albo jakiś domorosły czarownik zmienia kolor swoich oczu, ale z pewnością stanowiłem dziwaczny widok dla tych, którzy zdecydowali się na mnie zerknąć.

Niedaleko środka obozu zobaczyłem ludzi w mundurach żołnierzy cytadeli, którzy uciekli z miasta razem z byłą marszałek. Rozpoznałem niektórych z nich, ale nie podnosiłem kapelusza, gdyż nie byłem pewien, na jakiej stopie jesteśmy. Musieliśmy się zmierzyć z prawdziwym wrogiem. Optymistyczni pielgrzymi, dzieciaki marzące o wolności, starzy wojownicy, którym zależało tylko na zapłacie – oni wszyscy byli jedynie marionetkami tańczącymi do muzyki granej przez kogoś innego.

Wreszcie ktoś mnie zatrzymał. Pokazałem pieczęć i czekałem, aż dwaj weterani zanoszą ją do swoich przełożonych.

– Ale masz drgawki – zauważył jeden z żołnierzy, którzy ze mną zostali.

– Nigdy nie miałem gorszych – zgodziłem się. Próbowałem zaciskać pięści, żeby to ukryć, ale bez powodzenia.

– Za mną – polecił jeden z weteranów, wskazując namiot dowództwa. Był potężny, uszyty ze złotych i błękitnych płacht. Bardziej pasowałyby do letniego jarmarku niż wojskowego obozu.

Lubimy sobie wyobrażać, że wojskowi dowódcy zawsze pochylają się nad stolikiem ze starymi mapami i przestawiają pionki oznaczające poszczególne oddziały. Tak naprawdę ich mapy są równie precyzyjne jak szczenie w ciemności, zresztą arystokraci mają lepsze rzeczy do roboty. Dwie piękne dziewczyny grały na harfach, a wielki książę Vercanti i kilkoro uprzywilejowanych członków wyższych sfer leżeli rozciągnięci na niewygodnych podróżnych krzesłach. Dwóch młodzieńców o nagich torsach dawało pokaz szermierki. Trzymali w dłoniach smukłe rapiery o tępych ostrzach z dużymi kawałkami korka nabitymi na zapewne zaokrąglone czubki.

Nie wiem, czy główną atrakcją stanowiły ich imponujące umiejętności, czy widok obnażonej muskulatury, która mogła zainteresować nawet najbardziej zdeklarowanego miłośnika kobiecych wdzięków. Wejścia do namiotu pilnowało dwoje bojowych Przędarzy z pojemnikami z fosem przy pasach.

Davandein już na mnie czekała, wyprostowana jak maszt, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Miała na sobie czarno-fioletowy strój w kilku miejscach zdobiony cienkimi, eleganckimi paskami białej koronki. Wyglądała olśniewająco jak zawsze, wystylizowana zgodnie z modą, która jeszcze nie dotarła do Valengradu. Straciła na wadze, a jej piękno ustąpiło miejsca surowości, goryczy i twardości. Taki wizerunek bardziej pasował do pani marszałek, ale mroczny błysk w jej oczach powiedział mi, że nie cieszy się na mój widok.

– Ma pan jaja z kamienia, skoro się pan tutaj pokazuje – odezwała się. Cieszyłem się, że ma skrzyżowane ręce. Wołałem, aby nie zbliżały się do kunsztownie zdobionej rękojeści miecza, który miała u boku. – Wygląda pan tak, jakby wyczołgał się z Nieszczęścia.

– To bliskie prawdy – odrzekłem.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy. Twarz straciła trochę blasku i zmieniła kolor, ale to wciąż pan – dodał wielki ksiązę republiki. Był starszym mężczyzną o skórze przypominającej dobrze utrzymane drewno. Gładko ogolony, szczupły, z siwiejącymi włosami związanymi w kucyk jak u kogoś znacznie młodszego. Jego strój był nie mniej ostentacyjny. Poznałem go dawno temu, gdy wciąż obracałem się w takich kręgach. Był wtedy zaledwie synem hrabiego, ale wspiał się w społecznej hierarchii równie szybko, jak ja w niej spadłem. – Kiedy ostatnio pana widziałem, miał pan na twarzy krew Mancona.

– Zdążyłem się umyć – odparłem. – Wasza Książęca Wysokość. Pani marszałek. Musimy porozmawiać.

– Galharrow – Davandein niemal wypluła moje nazwisko – kiedy widziałam pana ostatnio, bronił pan zdrajców z Jasnego Zakonu. Dlaczego nie miałabym wrzucić pana do dziury w ziemi?

– Rozumiem pani gniew, pani marszałek, ale byłem i wciąż jestem lojalny wobec Łańcucha.

– Nie mam dla pana czasu – odparła Davandein, a ja wiedziałem, że

zna prawdę, tylko jest zbyt dumna, by przyznać się do błędu. – Uzurpatorzy z Jasnego Zakonu pozbawili mnie stanowiska marszałka Łańcucha, na które zostałam prawowicie wybrana. Jeżeli zamierza pan pomóc mi w odbiciu cytadeli, spóźnił się pan o kilka tygodni.

– Miałem pilne sprawy do załatwienia w Nieszczęściu – wyjaśniłem.
– Powstrzymałem ogień z nieba. – Uniosłem dłoń. Chociaż Davandein była tępa i pyszna, zdawała sobie sprawę, że takich drgawek nie można udawać. Zresztą wyglądałem jak gówno, które wpadło do kuźni.

Jej twarz złagodniała na tyle, że dostrzegłem rozsądek kryjący się za gniewem. Rozplotła ręce i zaczęła kręcić pierścieniem na palcu, przyglądając się zmianom, jakie we mnie zaszły.

– Nic panu nie jest? – spytała.

Kurwa mać, moim zdaniem świeże blizny na twarzy, miedziany odcień skóry i oczy świecące na bursztynowo to z pewnością nie jest nic, ale tylko odburknąłem, że wszystko w porządku. Nigdy nie okazuj im słabości.

W tej chwili szermierze postanowili dać kolejny pokaz umiejętności. Wcześniej sądziłem, że walczą na poważnie, ale teraz widziałem, że tylko odtwarzają wyćwiczone układy. Żadna walka nie przebiega tak gładko.

– Zręczny pokaz, czyż nie? – odezwał się wielki książę, któremu ta rozrywka najwyraźniej się podobała. – Szkoda go przegapić. Zaczekajmy chwilę, aż chłopcy skończą. O ile pamiętam, pan również nieźle włada rapierem.

– To, co mam do powiedzenia, nie może czekać, Wasza Książęca Wysokość – odrzekłem.

– Wiadomość od Wysokiego Świadka, Wasza Książęca Wysokość – oznajmił paź i do namiotu weszła kobieta ubrana w dworski strój. Niosła ciężką skrzynkę.

– Dostarczyła ją grupa członków Jasnego Zakonu – wyjaśniła. – Powiedzieli, że wielki książę powinien ją otworzyć osobiście.

– Otwórz ją na zewnątrz! – zawołała Davandein. – Z dała od namiotu. Nie wiadomo, jaką nową sztuczkę przygotował ten zdrajca. Skrzynka może wybuchnąć.

Kobieta nieco pozieleniała, ale ukłoniła się i z trudem wyniosła skrzynkę z namiotu.

– Wasza Książęca Wysokość. Pani marszałek. Mam istotne informacje, których nie mogę zdradzić w obecności tych dworskich niechlujów. – Zasłużyłem sobie na kilka paskudnych spojrzeń, ale nie zależało mi na zdobywaniu przyjaciół.

Te obraźliwe słowa zwróciły uwagę wielkiego księcia.

– Dużo zapłaciłem za ten pokaz, kapitanie. – Vercanti wskazał ręką szermierzy. Jeden z nich właśnie oderwał się od przeciwnika, zakręcił rapierem nad głową i zadał efektowny cios. Jego partner odbił uderzenie i obaj znów skleili się spoconymi torsami, zbliżając się do siebie tak bardzo, że mogliby się pocałować. Przez chwilę trwali w tej pozycji, oklaskiwani przez dworzan. – Cokolwiek ma pan do powiedzenia, będzie musiało poczekać jeszcze kilka rundek.

Już miałem zaprotestować, ale wtedy kobieta wróciła do namiotu ze skrzynką. Zgarnęła ze stołu talerze z pastą rybną, pieczywem i szaszłykami, po czym postawiła skrzynkę i otworzyła dwa zamki, a wtedy jedna ze ścianek opadła, ukazując łeb świni, różowy i porośnięty białą szczeciną. Świnia oczywiście nie żyła, ale miałem nieprzyjemnie przeczucie, że powie nam więcej niż zwykły świński łeb.

– Nędzna obraza – stwierdził wielki książę. – Ja bym wysłał genitalia.

Ślepią świni powoli się otworzyły, jakby zwierzę budziło się z głębokiego, ponadczasowego snu. Koniec pozorów. Koniec pełzania ciemnymi tunelami. Saravor był gotowy stanąć w pełnym świetle. Nie zdążyłem uniknąć jego spojrzenia.

Niech mnie zobaczy. Dworzanie się cofnęli, ale ja nie ruszyłem się z miejsca. Przychodzi taka chwila, gdy zaciskasz zęby i mówisz „dość”, a we mnie płonęła nienawiść. Ukrywałem się, uciekałem i smażyłem w słońcu. Niestety przez tego potwora, ale wciąż stałem na własnych nogach. Chciałem, żeby mnie zobaczył. Żeby dowiedział się, że pomimo tego wszystkiego, co zrobił, pomimo jego krwawych planów nie zdołał mnie pokonać.

Jedna z dworzanek zakrztusiła się winem i obryzgała nim perukę

któregoś z mężczyzn. Tylko bojowi Przędzarze zbliżyli się do łba. Szermierze wyczuli, że widownia przestała się nimi interesować, przerwali więc wyćwiczony pokaz.

– Cóż to za demoniczna moc? – spytał wielki książę. – Kim jest ten Wysoki Świadek, skoro potrafi ożywić świński łeb?

– Witaj, wielki książę Vercanti – syknęła świńska głowa. Namiot wypełnił się trupim odorem, chociaż łeb był świeży. – A także pani marszałek Davandein. Chociaż już chyba nie marszałek.

– Przemawiasz w imieniu Wysokiego Świadka? – spytała Davandein ostro.

– Nie – wtrąciłem. – To nie jest Wysoki Świadek. To istota, która nim kieruje.

– Galharrow! A ja sądziłem, że zginąłeś w Nieszczęściu. Wyglądasz na nieco sfatygowanego.

– Każdy mi to mówi.

Jeśli nawet Vercanti lub Davandein byli przerażeni perspektywą rozmowy ze świńskim łbem, to jako wytrawni politycy nie dali tego po sobie poznać, chociaż niektórzy z ich pieczeniarzy szykowali się do ucieczki. Jedna z Przędzarek przywołała świetlną sieć, która krążyła wokół jej dłoni. Była gotowa na kłopoty.

– Odrzuciliście wszystkie nasze wiadomości i żądania – rzekła Davandein. – Ale widzę, że teraz chcecie rozmawiać. Pies przypada do ziemi, gdy pan się zbliża.

– Tak pani uważa? – syknął świński łeb z rozbawieniem.

– Warunki waszej kapitulacji się nie zmieniły, niezależnie od tych sztuczek rodem z chlewika – odparła Davandein wesoło, starając się dodać swoim ludziom otuchy. – Otworzycie miejskie bramy. Wasi zwolennicy złożą broń na placu musztrowym i wrócą do swoich domów. Świadkowie się poddadzą razem z pułkownikiem Koską, major Nenn i innymi zdradzieckimi oficerami. Winni unikną egzekucji, jeśli podporządkują się tym instrukcjom.

– On się nie podda – powiedziałem.

– Masz rację – syknął świński łeb. – Tym bardziej że wasze żalosne wojsko nie może mi zagrozić. Ale mówię w imieniu miasta. Przychodzę tylko po to, by wezwać was do ratowania własnej skóry.

Zawróćcie i oddajcie mi miasto.

– Twoja armia składa się z niewyszkolonych rolników i głupców. – Głos Davandein był jak strzał z bicia. – My dysponujemy najlepszymi najemnikami, czterdziestoma tysiącami weteranów. Odbijemy miasto w niecałą godzinę.

– Macie przewagę liczebną. – Świnia Saravora westchnęła, lekko poruszając ryjem. – Ale mnie chronią mury. Poza tym mam do dyspozycji Wielką Iglicę, broń tak potężną, że kiedy nadejdzie słoneczny rozbłysk, zmiotę was z powierzchni ziemi.

– On was podpuszcza – wtrąciłem. – Zawróćcie. Chce, żebyście zaatakowali.

Ale Davandein mnie nie słuchała.

– Zmiażdżymy was, zanim to się stanie – odburknęła, choć sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Pewnie wiedziała, że rozbłysk nadejdzie za kilka dni. – Zapamiętaj, Wysoki Świadku. Jeśli nie poddasz nam miasta, nasze miłosierdzie zamieni się w gniew. Wytniemy w pień wszystkich twoich drani w żółtych kapturach. A ty? Zobaczymy, ile są warte twoje groźby, gdy zawiśniesz na Konopnej Bramie. Nie boję się twojej Wielkiej Iglicy.

Martwa świnia nie może się śmiać, ale tej prawie się udało.

– Powinna się pani bać. Zaplanowałem pokaz, podczas którego użyję jednej dziesiątej niszczycielskiej mocy, jaką niedługo będę miał do dyspozycji.

– Daj z siebie wszystko, świnio – odparł swobodnie wielki książę Vercanti. – Być może wydaje ci się, że masz asa w rękawie, ale...

Świnia wybuchła śmiechem. Davandein i ja wymieniliśmy niespokojne spojrzenia, których Vercanti nie zrozumiał. Nie było go w Łańcuchu, kiedy Maszyneria Nalla uwolniła Nieszczęście od robori. Nie wiedział tak dobrze jak my, jak niszczycielską moc może mieć światło. Śmiech świni przybierał na sile, jej ryj drżał kpiąco, aż w końcu parskający łeb zaczął podskakiwać na stole.

Ściany namiotu uszyte z grubego złotego i błękitnego płótna pojaśniały.

– O kurwa – powiedziałem.

Jakiś idiota odrzucił klapę namiotu i wyjrzał na zewnątrz.

Na niebie pojawiło się nowe słońce, kula ognia znacznie większa od prawdziwego słońca, która wyraźnie się poruszała.

– Padnijcie! – zdążyłem zawołać, zanim ognista kula uderzyła.

34

Gdyby Saravor celował w namiot dowództwa, moja historia dobiegłaby końca. Mógłby nas spopielić, gdyby tylko chciał. Ale on nie miał takiego zamiaru. Kiedy wygrzebałem się spod spalonego płótna namiotu, powietrze było gęste od dymu, wirujących iskier i smrodu płonącego świata. Znalazłem się w miejscu z piekła rodem.

Ogień. Płonące namioty, płonące zwierzęta, płonący ludzie. Broń, którą zbudowano do walki z robotami, została użyta w nowym celu, a najemnicy, którzy stacjonowali pod starymi dębami, zostali zwęgleni, tak samo jak kruszące się gałęzie. Dym bił w niebo oślepiającymi kłębami, a wrzask... Na Duchy, cóż to był za wrzask. Ogień jest straszliwą bronią. Pod Adrogorskiem oblewałem roboli wrzącym olejem i nawet w wirze rozpaczliwej walki jakaś cząstka mnie tego żałowała.

Nie byłem w stanie oszacować strat, ale podejrzewałem, że spłonął tysiąc, może dwa tysiące ludzi. Wyczuwałem ich w powietrzu. Po drugiej stronie byłego obozowiska zapaliła się beczka z prochem, a wtórna eksplozja wyrzuciła w powietrze kawałki drewna. W porównaniu z tym, czego właśnie doświadczyliśmy, ten wybuch był jak drobny rozbłysk. Nic nie znaczył. Huk ledwie przebił się przez krzyki.

Saravor właśnie zgasił tysiąc istnień, ale jego celem nie było powstrzymanie armii. Próbował sprowokować ją do ataku. Pragnął rzezi na ulicach Valengradu. Potrzebował dusz, magii śmierci, by naładować Oko, ale najpierw musiał zwabić wrogów bliżej. Popędzić ich, aby zaatakowali przed słonecznym rozbłyskiem.

Davandein wydostała się spod namiotu. Tak samo jak ja była pokryta warstwą potu i sadzy. Miała zaciśnięte szczęki, a jej gniew płonął goręcej niż strzał z Wielkiej Iglicy.

– Musi się pani cofnąć – wycharczałem. – Nie można z tym walczyć. Jeśli zaatakujecie, wpakujecie się w pułapkę.

– Nigdy – warknęła. – Zdobędę głowę tego skurwiela. Obedrę twarz Thierra ze skóry i uszyję z niej zasłony. Pierdolony zdrajca!

Rozpalone iskry krążyły wokół nas jak leniwe świetliki, podczas gdy pozostali członkowie sztabu dowodzenia wygrzebywali się spod płótna. Strzał rozrzucił większość namiotów w promieniu co najmniej pół mili.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziałem, a obok mnie przeleciał niesiony wiatrem tuzin płonących kartek. – To szaleństwo można powstrzymać. Ale nie siłą. Saravor tylko czeka, aż zaatakujecie miasto.

To imię nic dla Davandein nie znaczyło.

– Panu też namieszali w głowie, Galharrow? – odparła zapalczywie. – Posłali po to, żeby przekonał mnie pan do odwrotu, urządził pokaz mocy, a potem powiedział, że lepiej będzie uciec? Błagał mnie pan o pokój tamtego wieczora, gdy świadkowie dokonali rzezi moich ludzi. Nie tym razem, Galharrow. Sądzi pan, że zmięknę w obliczu strat? Wielka Iglica była przygotowana do pojedynczego strzału, a miasto nie dysponuje zapasami fosu, które pozwolą na kolejny atak, zanim je zajmiemy.

– Jeśli zaatakujecie miasto, wpakujecie się w pułapkę – powtórzyłem. – On właśnie tego chce, do kurwy nędzy. Sądzi pani, że nie mógłby was tutaj pozabijać? Że spudłował? On tylko czeka na atak.

Duma brała w niej górę nad rozsądkiem. Pewnego dnia takie epitafium ozdobi jej grób.

– Nie oddam Łańcucha w ręce kogoś, kto jest skłonny zwrócić się przeciwko swoim ludziom – powiedziała z naciskiem. Może to dym wycisnął łzy z jej oczu, a może potworna świadomość porażki lub kakofonia wrzasków dobiegających ze stujardowego krateru. Dotarła do mnie ironia tego stwierdzenia. – Jeśli nie jest pan po mojej stronie, to niech mi pan zejdzie z drogi.

Próbowałem. Powiedziałem jej wszystko, co wiem, argumentowałem na wszelkie możliwe sposoby. Ale podczas sporów fakty nie mają znaczenia. Prawda się nie liczy. Ludzie wierzą w to, co

pasuje do sztucznej rzeczywistości, którą dla siebie stworzyli. Davandein wierzyła, że jest niezwykle kompetentna, a pochodzenie daje jej prawo do sprawowania rządów. Nie wyobrażała sobie, że może ponieść porażkę, a wielki książę Vercanti był ulepiony z tej samej gliny. Nie chciałem oddać miasta Saravorowi – wolałem nie myśleć o pozostawieniu Maszynerii w jego rękach – ale ona podawała mu je na talerzu. Potrzebował rzezi i Davandein właśnie miała mu ją ofiarować.

Duchy wiedzą, że próbowałem, ale marszałek nie ustępowała, a czasu było coraz mniej. Z każdą mijającą sekundą katastrofa się zbliżała. Saravor wie, że żyję i zrobię wszystko, by go powstrzymać. Spróbuje mnie wyeliminować, a w tym celu jego ludzie uderzą na biuro, może na mój dom. Na Valiyę i Amairę.

Wskoczyłem na siodło.

* * *

– Zastanawiałem się, kiedy się pokażesz – powiedziałem. Kazałem nieco zwolnić klaczy, która pędziła drogą, parskając i sapiąc.

Wyczerpany kruk niezgrabnie przysiadł na mojej pięści, strosząc przypalone pióra. Nie wyglądał najlepiej, gdy obserwował mnie jednym błyszczącym czarnym ślepiem.

– Co ci się stało? – spytałem.

– Znalazłem się zbyt blisko Żelaznego Słońca, gdy je uruchomiono – wyjaśnił kruk. Sprawiał wrażenie zażenowanego i obolałego. – Gratuluję, nie dałeś się zjeść. Jak ci się udało?

– Skrzelaki straciły apetyt – odrzekłem. – Czego chcesz?

– Chciałem zobaczyć pożar. – Kruk wyrwał jedno z osmalonych piór. – Źle to wygląda.

– Bo jest źle.

Nie mogłem pozwolić klaczy na zbyt długi odpoczynek. Moi ludzie znaleźli się w niebezpieczeństwie z mojego powodu. Nie chciałem mieć ich na sumieniu. Było już wystarczająco obciążone.

– Poleć przodem – powiedziałem. – Ostrzeż pozostałych. Powiedz

im, żeby się nie wychylali.

Kruk niechętnie wzbił się w powietrze, ale wrócił do mnie mile dalej, chwiejąc się w locie. Nie musiałem pytać, co się stało. Nie miał w zwyczaju narzekać, ale strzał z Żelaznego Słońca poważnie go zranił.

Drogi były opustoszałe, inni podróżni przezornie poszukali noclegu. Wszystkie trzy księżycy znajdowały się blisko siebie i lśniły tak jasno na czerwono, błękitno i złoto, że na wrzosowisku było jasno jak w dzień. Odbijały światło słońca plującego ogniem po drugiej stronie świata i odsyłały je w moją stronę.

Brama miasta była zamknięta, czego się spodziewałem. Reflektory punktowe przeniesiono na zachodni mur. Powinny się znajdować od wschodu i przeszukiwać Nieszczęście. Po raz pierwszy za mojego życia lufy dział sterczały na zachód. Mur z tej strony miał symboliczne znaczenie i wybudowano go tylko dlatego, że wszystkie miasta mają mury, a gdy przed osiemdziesięciu laty wznoszono Valengrad, budowniczy uznali, że projekt będzie niekompletny, jeśli nie otoczą całego grodu. Był niższy niż od wschodu, miał mniej wieżyczek, ale wyposażono go w blanki, a sądząc po zapalonych latarniach, członkowie Jasnego Zakonu sprawowali wartę na wypadek nocnego ataku. Rolnicy i rybacy bawili się w wojnę. Nie mieli szans z najemnikami Davandein, których napędzały gniew, strach i pragnienie zemsty. Nikt, kto słyszał krzyki ofiar, nie zrezygnowałby z odpłaty.

Utnę Saravorowi jego połataną głowę i przekonam się, czy nadal będzie się śmiał z wyrwanym językiem.

Żelazne Słońce świeciło na czerwono na tle nieba, wciąż rozgrzane po ataku. Utalentowani na pewno ciężko pracowali w Wielkiej Iglicy nad naładowaniem baterii. Napis na ścianie cytadeli głosił napisane z błędem jaskrawe przesłanie nadziei: CIESZCIE SIĘ NOWYM POŻĄDKIEM.

Puściłem klacz luzem, zanim wszedłem do tunelu prowadzącego do miasta. Chociaż była zajeżdżona, wciąż mogła się komuś przydać. Kruk został przy mnie, przycupnięty na moim ramieniu, gdy wędrowałem w ciemności.

– Jak zamierzasz go powstrzymać? – zakrakał.

– Zabiję go.

– Sądysz, że uda ci się zabić tak potężnego czarownika? Ma Oko Shavady, a świadkowie to nie ułamki. Nie mówiąc o dziesięciu tysiącach ludzi, którzy stoją między wami. Poza tym Saravor nie jest głupcem. Na pewno jest dobrze chroniony i żeby się do niego dostać, potrzebowałbyś całej armii, a nawet gdybyś to zrobił, nie wiesz, jak go pokonać.

– Zabiję go – powtórzyłem stanowczo. – A teraz zamknij się albo spierdalaj.

– A twoja przyjaciółka major? – zaskrzeczał ptak w ciemności. – Ona także jest pod jego wpływem.

– Mam nadzieję, że kiedy go zabiję, ta magia przestanie działać – odparłem. – Jego i te pieprzone dzieci z piekła rodem.

Nenn była jak kamień młyński uwiązany u mojej szyi. Może zabicie Saravora uwolni ją spod jego wpływu, a może odwróci wszystkie jego dawne zaklęcia. Kiedy zawierałem z nim umowę, nie zdawałem sobie sprawy, że pomiędzy nim a jego pacjentami powstanie więź. A może jej nie było, dopóki nie dałem mu mocy Shavady. Robiło mi się niedobrze na samą myśl, że zapewniłem Saravorowi potęgę, dzięki której mógł tego wszystkiego dokonać.

– Myślisz, że ona się pojawi? – zaskrzeczał ptak.

– Nenn? Będę musiał jej unikać, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Nie mówiłem o niej.

– Chcesz wiedzieć, czy wierzę, że kobieta, którą kocham, wyłoni się ze światła, stanie się boginią Jasnego Zakonu i usunie całe zło ze świata?

– Tak – zakrakał kruk irytująco blisko mojego ucha. – Właśnie o to mi chodziło.

– A więc nie. Nie wierzę w to – odparłem. – Ale jeśli to rzeczywiście jest ona, na pewno spróbuje powstrzymać Saravora.

– To dobrze. Twojemu panu nie spodobałoby się, gdyby pojawiło się więcej Bezimiennych. Toleruje tylko Nalla.

– Masz jakiś pomysł, w jaki sposób utrzyma morskiego demona w stanie uśpienia?

– Skąd miałbym wiedzieć? – odrzekł kruk. – Jestem tylko wysłannikiem stworzonym w konkretnym celu. Nie słyszę jego myśli.
– Zakaszlał, po czym znów zajął się skubaniem uszkodzonych piór.

Wyszedłem z tunelu, rzuciłem monetę nędznie wyglądającemu młodzieńcowi, który siedział w pokoju na piętrze, i obaj udaliśmy, że się nie widzieliśmy. W pewnym sensie to pocieszające, że nawet kiedy zbliża się wrogie wojsko, na murach stoją fanatycy, a upiorne proroctwo wkrótce ma wybuchnąć na niebie, wciąż trafiają się ludzie, którzy bez namysłu narażają swoje miasto dla pieniędzy. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Kiedy już uporam się z Saravorem, zmuszę Jasny Zakon do kapitulacji i przekonam Vercantiego do mianowania mniej zniechęconego marszałka, będę musiał tutaj wrócić, zapieczętować tunel i wtrącić ich wszystkich do lochu.

Śpieszyłem się. Tik-tak, tik-tak.

Moje miasto stało się obce, mroczne i nieprzyjazne. Na rynku zgromadził się oddział żołnierzy. Jeden z sierżantów uczył ich, jak przeładować broń i nie wysadzić się przy tym w powietrze. Przekłete rusznice błyskowe. Żołnierze niepewnie zerkali na swoją broń, co wcale mnie nie dziwiło.

Przyśpieszyłem kroku.

Minąłem rozświetlony teatr, który wbrew wszystkiemu najwyraźniej wystawiał jakiś spektakl. Przeszedłem obok miejskiej piekarni, w której kilka zespołów piekarzy gorączkowo pakowało do pieca tace pełne kopulastych bochenków. Mijałem czarnowidzów, którzy co kilka ulic wykrzykiwali swoje brednie, ogłaszając, że pozostało zaledwie kilka godzin do powrotu Jasnej Pani. Wskazywali na jasność księżyców, jakby to nietypowe zjawisko astronomiczne miało stanowić przesłanie dla nas.

Puściłem się biegiem. Tik-tak, tik-tak.

– Nie! – Spóźniłem się.

Drzwi biura zostały wyważone, a ślady wskazywały na to, że ktoś próbował rozniecić pożar. Przynajmniej zdążyłem zamknąć biuro i zabrać stąd Amairę. Dobyłem miecza, dzięki czemu od razu poczułem się pewniej, po czym wpadłem w ciemne drzwi. Blask księżyca niemal nie rozświetlał wnętrza, ale przemieszczałem się

szybko i bezszelestnie, sprawdzając skalę zniszczeń. Niewielka zbrojownia w piwnicy została okradziona. Po równych rzędach pistoletów, mieczy i rusznic pozostały tylko puste półki. Intruzi opróżnili moje regały z książkami, drąc i rozrzucając po podłodze gabinetu cenne prawnicze teksty. Włamali się do wszystkich zamkniętych szuflad. Czego szukali? Nagle się domyśliłem. I zrozumiałem, że znaleźli książkę, po którą przyszli, chociaż ja sam nigdy jej nie widziałem.

Valiya prowadziła skrupulatny rejestr wszystkich pracowników. Zapisywała ich imiona i nazwiska, wiek oraz funkcje, które pełnili w szeregach Czarnoskrzydłych. Czym się dla nas zajmowali. Gdzie mieszkali.

Wypadłem na ulicę i puściłem się biegiem, zanim zdążyłem zaczerpnąć powietrza, żeby zakląć.

Przez całe życie zamartwiamy się przyszłością, boimy się, że coś zaburzy delikatną równowagę naszego istnienia. Że pole nie obrodzi, nasz romans wyjdzie na jaw albo nasze dziecko urodzi się bez oczu lub którejś z kończyn. Cały ten niepokój kosztuje nas mnóstwo energii i do niczego nie prowadzi, ponieważ nie jest w stanie ochronić nas przed prawdziwymi problemami. One pojawiają się nagle i niespodziewanie, w pełnej krasie, by nas oszołomić, wyrzucić nasz świat do góry nogami i na zawsze go zmienić.

Zwolniłem, kiedy dotarłem do domu Valiyi. Byłem cały spocony, ciężko dyszałem, serce tłukło mi się w piersi. Nie zdążyłem. To już się stało. Upiorna dłoń chwyciła moje serce i zmiażdżyła je lodowatymi kamiennymi palcami. Nie mogłem oddychać.

– Nie...

Nad drzwiami widniał świeżo wymalowany biały napis: ZDRAJCZYNI.

Valiya zamknęła i zabarykadowała wejście, ale siekiera poradziła sobie z tą prostą przeszkodą. W przedpokoju leżały rozrzucone kawałki pomalowanego na czerwono drewna. Nie chciałem tam wchodzić. Oparłem się ciężko o futrynę, przez chwilę marząc o tym, żeby jakiś napastnik pojawił się za moimi plecami i to wszystko zakończył. Nie mogłem tego znieść. Nie chciałem zobaczyć, co się stało

w domu. Ale nikt się nie pojawił, a ja byłem im to winien.

Dom został splądrowany. Wszędzie panowały chaos i bałagan. Ktokolwiek tutaj był, nie zadowolili się skrupulatnym przeszukaniem szuflad, ale oddał się wścieklej i dzikiej pasji niszczenia. Uderzenia siekier podziurawiły eleganckie kanapy, strąciły delikatne pejzaże ze ścian, rozbiły lampy, stolik i toaletkę. Schludne, uporządkowane życie obróciło się w ruinę.

Ani śladu Valiyi. Ani śladu Amairy. Wstrzymywałem powietrze w płucach, wiedziony obawą, że kiedy znów odetchnę, natrafię na ich ciała. Nie zginęły w pokoju dziennym, nie zostały posiekane w salonie. Amaira na pewno się ukryła. Sprawdziłem w kredensie pod schodami, w toalecie, pod łózkami, ale nikogo nie znalazłem. Moje serce biło coraz głośniej. Nie było jej tutaj. Nie było ich obu. Nie tutaj.

Usłyszałem jakiś hałas na korytarzu.

Wpadłem tam z uniesionym mieczem, gotów się mścić, ale to była tylko staruszka, siwa i wystraszona. Szła zgarbiona, podpierając się laską, a na mój widok skuliła się ze strachu.

Wytrzeszczyła przerażone oczy, ale nie próbowała uciekać. Nie dotarłaby daleko. Pewnie wyglądałem jak diabeł z miedzianą skórą i żółtymi oczami. Opuściłem miecz i schowałem go do pochwy. Wyciągnąłem dłoń, jakby staruszka była płochliwym zwierzęciem.

– Nie musi się pani mnie bać – wychrypiałem. – Kobieta, która tutaj mieszkała. Znała ją pani?

– Znałam – odpowiedziała, mocniej otulając się szalem. – Wcale nie była zdrajczynią.

– Wiem. Czy ona... Czy one...? – Nie mogłem się zmusić do dokończenia myśli.

– Zabrali ją. Razem z dzieckiem, chociaż nie należało do niej.

Ułga staranowała mnie jak galopujący byk. Zatoczyłem się na ścianę, wypuszczając powietrze z drżącej piersi. Oczy mnie piekły, a ramiona zeszywniały. Duchy Miłosierdzia, ja pierdołę, Duchy Miłosierdzia, niech wam będą dzięki i jebać całą resztę. One żyją.

Staruszka zaczęła, aż się uspokoję. Starzy ludzie wiedzą, czym jest strata, a ona rozumiała moje wyczerpanie. To przerażenie tak działa na człowieka. Ale one nie były bezpieczne. Nie zginęły, lecz nie

były wolne, więc moje obawy przybrały jeszcze na sile. Czy ktoś je skrzywdził? Szkoda czasu na takie myśli. Albo tak, albo nie, lecz póki żyją, istnieje nadzieja.

– Pan jest jej pracodawcą – odezwała się staruszka. – Widziałam, jak pan tutaj wchodzi z ulicy. Valiya mówiła, że potężny z pana mężczyzna.

Rozmawiała o mnie z sąsiadką. Opisała mnie. Drobnny szczegół bez znaczenia w tym chaosie, ale dodatkowo podkreślił to, że nie zdołałem ochronić ludzi, którzy mi ufali.

– Co się stało?

– To te dranie z Jasnego Zakonu – warknęła. – Wyważyli drzwi i porąbali wszystko siekierami. Zabrali też dziecko. Śniadą dziewczynkę, o taką małą. Kopała ich i gryzła, a przynajmniej próbowała. Valiya nie stawiała oporu. Nie zrobili jej krzywdy. Modliłam się, żeby nic im się nie stało, chociaż nie wiem, czy to możliwe. – Kobieta rozejrzała się po domu. – Jeśli ktoś porywa cię w taki sposób, zapewne nie ma dobrych zamiarów.

Popatrzyłem na roztrzaskane drzwi, które leżały na podłodze. Amaira na pewno była przerażona. Obie musiały się bać.

– Dobrze o panu mówiła – ciągnęła kobieta rzewnym głosem, jakby Valiya już odeszła na zawsze. Jakby porwanie było równoznaczne ze śmiercią. Ale mój pobyt w Nieszczęściu nauczył mnie, że niewola to jeszcze nie koniec. Staruszka poczuła się nieswojo, widząc kipiący we mnie gniew. Wypływał ze mnie jak letni upał.

– Jak widać, tym razem ją zawiodłem – odrzekłem. – Zapłacą za to.

– Panna Valiya nigdy nie sprawiała wrażenia mściwej – odparła staruszka.

Miała rację. Zemsta nie służyła jej celom. Zawsze zależało jej tylko na skutecznym wykonaniu zadania. Na ocaleniu innych. Przyznaję, że była to jedna z rzeczy, które w niej uwielbiałem.

– Wiem – zgodziłem się. – Ale kiedy znajdę ludzi, którzy je porwali, i tak zrobię po swojemu.

35

Dom Tnoty nie został zaatakowany. Był zamknięty na cztery spusty. Ani śladu włamania, ani śladu walki. Odzyskałem spokój. Gniew, który mnie wypełnił, zmienił się w lód.

Biegłem dalej. Ból wyniesiony z Nieszczęścia z każdym krokiem przenikał moje łydki, a w piersi czułem ogień, ale nie mogłem zwolnić. Nie nadawałem się do takiego wysiłku, wyczerpany po tygodniach spędzonych w Nieszczęściu, tylko że nie miałem wyboru. Biegłem, ignorując ból, pomimo ucisku, jaki czułem w starej ranie nogi, oraz świeżych obrażeń na piersi, które broczyły gorącą krwią.

Jakiś mężczyzna rozdawał żółte kaptury, a jeden z czarnowidzów tłumaczył, że w kulminacyjnym punkcie rozbłysku Jasna Pani narodzi się dla świata, księżęta zaś ugną przed nią kolana. Był zaniedbany i mówił rozpaczliwym tonem, jakby próbował przekonać także siebie, nie tylko ludzi, do których przemawiał. Wziąłem kaptur, aby lepiej wmieszać się w tłum. Od czasu mojego przybycia do miasta napis na cytadeli zmieniono na wezwanie: ZATRZYMYWAĆ WSZYSTKICH ŻÓŁTOOKICH MĘŻCZYZN. Rozkaz Saravora przefiltrowany przez Thierra. Mężczyzna rozdający kaptury przyjrzał mi się uważnie spod przymrużonych powiek, ale zapewne uznał, że nie ma szans z wyższym o stopę przeciwnikiem, ponieważ bez słowa wrócił do pracy.

– Nadchodzą wrogowie Jasnej Pani – oznajmił czarnowidz, wodząc wkoło szalonym wzrokiem. – W ostatnich tygodniach wskazywała na wschód, ku staremu wrogowi. Lecz dzisiaj nasi przyjaciele widzieli, jak wyciąga rękę na zachód, w stronę nowego wroga. Wyciąga do niego dłoń, proponując przyjaźń. Ona chodzi pośród nas, jest po naszej stronie! Wesprzyjcie nas, szlachetni obywatele Valengradu. Wesprzyjcie nas i ujrzyjcie świt jej nowego porządku.

Ostrożność nakazywała zaczekać, poobserwować ulicę przed moim domem, ocenić ryzyko zasadzki. Istniało duże prawdopodobieństwo, że pakuję się w pułapkę. Brakowało mi sprzętu. Chętnie przygarnąłbym pistolety, pełną uprząż i berdysz, ale nie mogłem ufać nikomu w cytadeli, a nie miałem innej możliwości zdobycia takiego uzbrojenia, które wystarczyłoby dla małej armii, musiałem więc zadowolić się mieczem i sprawdzić, czy tutaj nic nie zostało. Pierdolić ostrożność: spróbowałem otworzyć drzwi.

Uchyliły się bez przeszkód – nie były zamknięte, kiedy pojawił się Jasny Zakon – a ja wyczułem woń fosu. Było go mnóstwo, odór spalonej energii wsiąknął w ściany. Ktoś tutaj strzelał. Pokój Dantry'ego na górze cuchnął potem i brudem, ale hrabiego tam nie było. Kiedy zszedłem do piwnicy, woń przybrała na sile, niemal wisiała w powietrzu jak fosforyzująca mgiełka, która oświetlała zrujnowany warsztat Maldona. Ściany były czarne od sadzy, a dwa z krzeseł zmieniły się w kupki zwęglonych grudek. W progu leżały trzy stopione ze sobą ciała, bezkształtna, poczerniała płatanina kończyn, zębów i palców. Ani śladu Maldona, ale na jednej z osmalonych ścian odznaczała się wyraźna sylwetka dziecka.

Zdetonował jakiś rodzaj fosowego ładunku i przyjął na siebie całą moc uderzenia. Zastanawiałem się, czy znalazł wyzwolenie, którego szukał, ale gdyby zginął, jakaś pozostałość po nim powinna wciąż tutaj być, a ja jej nie widziałem.

Popatrzyłem na stoły. Lśniące urządzenie złożone ze stalowych rurek, korby i długiego poskręcane go pasa zakrywała gruba płachta. Nie wiedziałem, co to jest, postanowiłem więc niczego nie dotykać. Jakby tego było mało, zobaczyłem, że Maldon zabrał z góry moją ozdobną zbroję i ją popsuł. Przyspawał do niej dodatkowe płyty z grubego czarnego żelaza i dodał w różnych miejscach bezużyteczne haki i pasy. Te zmiany spowodowały, że zbroja stała się zbyt gruba i ciężka, aby jakikolwiek człowiek mógł się w niej poruszać. Miałem nadzieję, że chociaż z tej części swojego ekwipunku będę mógł skorzystać.

Kurwa mać. Żadnej broni palnej. Żadnych fosowych ładunków ani granatów. Nie miałem nawet swojej staroświeckiej zbroi. Niczego

użytecznego.

Właśnie miałem wyjść, kiedy ją zobaczyłem. Ktoś wydrapał paznokciem koślawą wiadomość na sadzy pokrywającej ścianę. „Niebieskie drzwi naprzeciwko mojego dawnego domu”.

To nie wyglądało na pułapkę, ponieważ nikt inny nie wiedział, że Gleck Maldon wciąż żyje, ruszyłem więc przez miasto, chowając się w bocznych uliczkach za każdym razem, gdy widziałem, że zbliża się ktoś, kto przypomina żołnierza. Dawny dom Maldona znajdował się niedaleko Ścieku, ale dupek nazwiskiem Stannard spalił go cztery lata temu.

Znalazłem niebieskie drzwi i dwukrotnie uderzyłem w nie pięścią. Wsunąłem dłoń pod płaszcz i chwyciłem nóż. Lepiej nie ryzykować. Słyszac za drzwiami trzask odciąganego kurka broni, przywarłem do ściany obok wejścia.

– Kto tam? – odezwał się głos po drugiej stronie. Brzmiał nieco komicznie, jak dziecko próbujące przemawiać po męsku.

– To ja, kochanie – odpowiedziałem. Kiepski żart, ale wyjaśnił sytuację. Maldon otworzył zasuwkę, potem kolejną. Dobrze. Cieszyło mnie, że ma głowę na karku.

– Otwarte – powiedział, a kiedy wszedłem, zobaczyłem, że stoi w odległości kilku stóp i celuje z pistoletu w moją stronę. Nie opuścił broni nawet wtedy, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

– Kurwa, co się z tobą stało? – spytał. – Valiya mówiła, że jesteś w kiepskim stanie, ale... Na Duchy, Ryhalcie, wyglądasz na bardziej zjebanego ode mnie.

– To wątpliwe – odparłem. Maldon nie prezentował się najlepiej. Lewą rękę miał na temblaku, a na jego piersi dostrzegłem dwie rany po strzałach z rusznicy błyskowej, niewprawnie zszyte i opatrzone. Skórę miał poparzoną i osmaloną, miejscami poranioną do krwi, a miejscami spieczoną jak boczek.

– Wyglądasz jak potwór. – Zabezpieczył pistolet i rzucił go na kredens.

– A ty jesteś potworem – odpaliłem.

Maldon mruknął twierdząco.

Z pokoju w głębi wyszedł Dantry. Wciąż był wychudzony jak trup,

ale ucieszył się na mój widok. Podszedłem do niego i zarzuciłem mu ręce na szyję. Był dobrym człowiekiem. Gdyby zginął, mógłbym stracić resztkę nadziei.

– Wystarczy – zarzęził. Wydusiłem z jego płuc całe powietrze. Zostały z niego tylko skóra i kości, nie miał siły, aby mnie odepchnąć.

– Valiya powiedziała mi, że przeżyłeś. Początkowo nie uwierzyłem. Jak ci się udało?

Pokręciłem głową.

– Najpierw wy opowiedzcie, co się stało.

– Przyszli ci dranie z Jasnego Zakonu – wyjaśnił Maldon. – Włamali się, kiedy byłem w piwnicy. Postrzelili mnie, ale zdołałem wysadzić przy nich pojemnik z fosem. Nie sądzili, że mają do czynienia z samobójcą, który wyciągnie przewód kontrolny. Szkoda, że nie widziałeś ich min.

– Widziałem, co z nich zostało – odrzekłem. – Masz coś do picia?

Oczywiście, że miał. Nie byłem pewien, czyj to dom, ale odniosłem wrażenie, że Maldon nie przepadał za sąsiadem, który tutaj mieszkał. Kimkolwiek był i dokądkolwiek wyjechał, miał na tyle porządnie wyposażoną piwniczkę z winami, że nawet Maldon nie zdołał jej osuszyć w ciągu ostatnich kilku godzin.

– Wpadliśmy po uszy w gówno – oznajmił. Ogień w kominku przygasał, a my przez dwie godziny piliśmy i wymienialiśmy się najnowszymi wieściami. Odzyskałem nieco sił i spałaszowałem dwa świńskie udźce oraz pół bochenka chleba. Opowiedziałem o nieumyślnym ratunku ze strony kruka oraz swojej wędrówce przez Nieszczęście, chociaż oszczędziłem im najgorszych szczegółów. Im więcej jadłem, tym bardziej odzyskiwałem jasność umysłu. Musiałem przerwać w połowie, żeby wykrztusić kolejną porcję toksycznej czarnej mazi, która najwyraźniej zadomowiła się w moim ciele, ale to i tak nie był najgorszy posiłek.

– Kazali Tnocie przenieść wszystkie graty do cytadeli – rzekł Maldon. – Powiedzieli, że już nie jest Czarnoskrzydłym, tylko został wcielony do armii. Szkoli dla nich nawigatorów.

– Więc jest bezpieczny?

– Tak jak wszyscy. Co sobie zrobiłeś w rękę?

Popatrzyłem na wycięte słowa, ale nie znałem odpowiedzi.

– Trzeba powstrzymać Saravora. Jeśli Davandein... kiedy Davandein zaatakuje miasto, dojdzie do masakry. Jej artyleria rozbije bramy, a najemnicy nie przejmą się żołnierzami Jasnego Zakonu. Rzucają się na wszystkich ubranych w żółte kaptury i wyprują z nich flaki, a wtedy Saravor zdobędzie moc, której potrzebuje, aby nasycić Oko. On to zrobi. Stanie się jednym z nich. Królem Głębi albo czymś jeszcze gorszym.

– Sądysz, że może mu się udać?

– Pracuje nad tym od czterech lat – odrzekłem. – Od chwili, gdy otrzymał tamten odprysk mocy. Dostrzegł potencjał Wielkiej Iglicy, przejął więc kontrolę nad Thierrem, a za jego pośrednictwem nad Jasnym Zakonem, jednocześnie budując tuż pod naszymi stopami armię naprawionych gotowych do opanowania miasta. Duchy raczą wiedzieć, jak wielu ludzi kontroluje za sprawą swoich zabiegów. Teraz czeka tylko na rozbłysk i rozpoczęcie bitwy.

Rozległo się stukanie w brudną szybę i wpuściłem kruka do środka.

– Musisz ruszyć dupę – zakrakał.

– Czy to Wronia Stopa? – spytał Dantry.

– Nie, jestem tylko wizerunkiem stworzonym w celu wykonania zadania – odparł ptak. – A ty kim, kurwa, jesteś?

– Jakiego zadania?

– Wypierdalaj stąd, Galharrow – zaskrzeczał kruk. – Nie wiem, co tutaj robisz z tym chłopcem... czymkolwiek on jest... ale to może poczekać. Znajdź Saravora.

Pociągnąłem duży łyk wina. Pewnie nie powinienem napocząć trzeciej butelki, ale w końcu jesteśmy tylko zbiorem naszych najgorszych wad.

– To nie będzie łatwe – rzekłem. – A jeszcze trudniej będzie go zabić.

Oparłem czoło na pięściach i zamknąłem oczy. Przytłoczyła mnie niewykonalność mojej misji. Nie da się tak po prostu podejść do czarownika i przeszyć go mieczem. A przynajmniej nie należy się spodziewać, że to go zabije. Maldon był tego żywym przykładem. Ponadto dysponowałem ograniczonymi środkami. Gdybym miał przy sobie Elizabeth Tanzę, mógłbym polegać na tym, że pośle go do piekieł,

ale skończyli mi się bojowi Przędzarze.

– Oni mają Valiyę – wykrztusiłem w końcu. – Uprawdzili ją i Amairę.

Maldon ani kruk się nie odzywali. Żadnych żartów, uszczypliwych uwag ani kpin. Tym razem obaj wyjątkowo stulili gęby.

– Mają też Nenn – dodałem po chwili. – Saravor ją ze sobą związał, a ja nie mogę z nią walczyć. Nie z Nenn.

Łzy napłynęły mi do oczu. Płakałem ze smutku, gniewu i bezsilności. Tak niewiele mogłem zrobić. Nie byłem w stanie zawrócić armii.

– To nie do przyjęcia! – zakrakał kruk.

Maldon nic nie powiedział, a z jego przesłoniętej opaską twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Zostali tylko goblin, chłopiec, kaleka i ptak – powiedziałem. – Przeciwno całemu miastu. Przeciwno armii i czarownikowi, który zdołał przełamać zaklęcia ochronne Wroniej Stopy. Może jeszcze nie dysponuje mocą Bezmiennego, ale dzieli go od niej tylko krok, a ja nawet nie zdołałem ochronić kobiety i dziecka. Gra skończona. – Opadłem bezwładnie na krzesło. – Miałeś rację. Przegraliśmy.

– Wizje Jasnej Pani oszalały – ciągnął kruk. – Pojawia się w całym mieście, coraz szybciej, wskazując we wszystkich kierunkach. Skoro jakieś widmo w świetle się nie poddało, ty też nie powinienes.

Wzruszyłem ramionami. Elizabeth była bezsilna. Martwa.

– Nikomu się nie przydasz, jeśli będziesz wykończony – odezwał się Maldon, a ja usłyszałem w jego głosie troskę, po raz pierwszy od dnia, gdy odstrzeliłem mu oczy. – Kiedy ostatnio spałeś, Ryhalcie? W pokoju po drugiej stronie korytarza jest łóżko. Idź się położyć. Muszę wyjść i coś dokończyć.

Kruk otworzył dziób, żeby zaskrzeczeć, ale zmienił zdanie.

Posłanie wyglądało na nieświeże i brudne, ale wciąż czułem Nieszczęście w dziąsłach i nosie oraz pamiętałem krwawienie z oczu, dlatego nieuprana pościel nie wzbudzała we mnie obrzydzenia. Położyłem się, zamknąłem oczy i pomyślałem o Valiyi i wszystkim, co dla mnie zrobiła przez ostatnie lata. O tym, jak bardzo Amaira musiała płakać, piszczeć i walczyć, kiedy ją schwytali. Ona gdzieś tam

jest, otoczona przez wrogów. Kolejne dziecko, które zawiodłem.

Kiedy tak leżałem, broniąc się przed snem, zacząłem się zastanawiać, co by mi powiedziała Elizabeth. Że dałem z siebie wszystko i zrobiłem, co było w mojej mocy? Nawet wyobrażanie sobie jej twarzy sprawiało mi ból, chociaż minęło tyle czasu. Kiedy o niej myślałem, nie była widmem w świetle, tylko kobietą, którą znałem. Okaleczoną kobietą za woalem. Widziałem jej twarz tylko przez krótką chwilę, ale zapamiętałem ją wyraźniej niż oblicza ludzi, których znałem przez lata. Była niedoskonała, okaleczona, piękna i idealna.

Powiedziałyby, że nie mogę się poddać. Że kapitulacja nie wchodzi w grę. Że przegrana nigdy nie jest odpowiedzią. Że wolałyby zginąć w obronie republiki niż uciec pokonana. Żałowałem, że nie mam jej odwagi i że kiedy wyobrażam sobie, jak wyciąga ku mnie rękę z niewyobrażalnie daleka, nie mogę skorzystać z jej siły. Była martwa i zagubiona, a jednak wciąż się do mnie zwracała, mimo że światło i ciało nie mogą się dotknąć.

Przyszedł sen, a razem z nim koszmary dotyczące nieprzyjemnych rzeczy, które robiłem ludziom w przeszłości, ale sny nie są prorocze ani nie można na nich opierać swoich decyzji. Poczułem się dziwnie, gdy obudziłem się w brudnym chłopskim domu, który nie należał do mnie, i odkryłem, że nigdzie nie ma ani Maldona, ani kruka. Pobuszowałem po kuchni i znalazłem słoiki z marynowanymi owocami. Zajadałem je, łamiąc sobie głowę nad tym, jak można powstrzymać Davandein przed atakiem albo Saravora przed zostaniem bogiem, skoro jedno wydawało się nieuniknione, a drugie było przygotowane w najmniejszych szczegółach.

W mieście zabrzmiała syrena wzywająca mężczyzn i kobiety do broni. Davandein zapewne maszerowała całą noc i jej oddziały zbliżały się do linii oblężenia. Słuchałem tego straszliwego mechanicznego wycia, wiedząc, że to nasza ostatnia szansa. Davandein była dumna, wściekła i lekkomyślna, ale nadal była żołnierzem. Pozwoli swoim ludziom odpocząć, zanim przypuści szturm, a jej atak poprzedzi wymiana artyleryjskiego ognia, gdyż ona postara się rozbić bramy, a miejskie działa będą próbowały rozsadzić

jej armatę. Nie wiadomo, komu się uda, ale jeśli będzie trzeba, Davandein pośle do walki bojowych Przędzarzy. Wątła zachodnia brama nie powstrzyma ich długo. Saravor doskonale zaplanował rzeź.

Dzień był nienaturalnie jasny, słońce coraz mocniej świeciło i ulice wypełniał szklisty blask. Lepiej było nie patrzeć w górę. Utalentowani w fabryce będą musieli poczekać, aż słońce się obniży, a blask księżycy stanie się przystępniejszy. Można prząść w czasie dnia, ale trudno to robić, nawet używając gogli i odpowiedniego wrzeciona. Przędzenie z białego światła to zły pomysł, gdyż niemal nie sposób go kontrolować, a takie próby są przyczyną większości oparzeń, jakich doznają Przędzarze. Księżycy filtrują światło na osobne nici, dzięki czemu można względnie bezpiecznie czerpać jego moc.

Godzinę po umilknięciu syreny kruk zapukał, aby go wpuścić.

– Wojska księcia ustawiły się tuż poza zasięgiem dział – poinformował. – Obie strony oddały kilka salw, żeby przetestować zasięg, ale Jasny Zakon nie ma jak przetransportować wielkich dział ze wschodniej ściany, musi więc polegać na kolubrynach, z kolei potężniejsze działa Davandein muszą strzelać z poziomu gruntu. Ale wszyscy ostrzą miecze. Marszałek wkrótce przypuści szturm na mury.

– Saravor zagroził użyciem Wielkiej Iglicy, aby zmusić ją do ataku – wyszeptałem. – Davandein wie, że jeśli da mu czas na naładowanie baterii, cała jej armia zostanie zwęglona. Nie zdaje sobie sprawy, że on potrzebuje tej mocy do własnych celów. Oko nie może czerpać energii umierających dusz z tak daleka. Czarownik chce, aby podeszli bliżej – nie czekałby, gdyby nie musiał.

– Słoneczny rozbłysk od ręki zapewni mu niezbędny fos – wtrącił Dantry. – Będzie mógł uzbroić Żelazne Słońce już dzisiaj. Wykonałem obliczenia, które udało mi się zapamiętać z *Kodeksu Tarana*, i wychodzi na to, że będzie potrzebował całej mocy Wielkiej Iglicy, aby zniszczyć Oko. Nie może więc sobie pozwolić na kolejny strzał w kierunku Davandein. Tysiąc ludzi musi umrzeć wewnątrz miasta, jeśli Saravor ma nakarmić Oko ich energią. Marszałek będzie zmuszona wykonać tę pracę za niego.

– Ale jeśli to się nie uda, dysponuje legionem naprawionych, którzy zaatakują mieszkańców.

Łyknąłem wina. Wbiłem wzrok w ścianę. Pociągnąłem kolejny łyk. Otworzyłem papierośnicę i zapaliłem cygaro. Przeciętny tytoń, ale trudno było rozkoszować się czymkolwiek, skoro w ustach wciąż czułem smak Nieszczęścia i zaczynałem podejrzewać, że nigdy się go nie pozbędę. Siedziałem, paliłem, piłem i w milczeniu wpatrywałem się w dal, dopóki z cygara nie został tylko niedopałek.

– Taki masz plan? Pić i rozmyślać? – zakrakał kruk.

– Na razie nie mam lepszego – odparłem. – Może w końcu coś przyjdzie mi do głowy.

– Psiakrew, Galharrow – zaskrzeczał czarny ptak. Odezwał się w nim gniew Wroniej Stopy i kiedy zobaczyłem, jak bije czarnymi skrzydłami, pomyślałem, że może mnie zaatakować. – Gdybym miał wybór, wybrałbym kogokolwiek innego. Właśnie po to tutaj jestem, do kurwy nędzy, żeby znaleźć za ciebie zastępstwo. Ale za chuja nie znajdę tu nikogo, kto ma wystarczająco wielkie jaja i silny charakter, żeby zostać kapitanem pieprzonych Czarnoskrzydłych. Mistrz nie popełnia błędów, ale gdyby to było, kurwa, możliwe, ty byłbyś takim błędem.

Gdyby ptak znajdował się w zasięgu ręki, mógłbym go udusić, tylko po to, żeby się zamknął.

– Wiesz, dlaczego zawarłem ten układ? Dlaczego przystałem na warunki Wroniej Stopy? – Kruk wpatrywał się we mnie oczami jak studnie. – Ponieważ byłem nawalony i gównu mnie to obchodziło. Było mi wszystko jedno. Zaproponował mi, żebym się z nim związał i mu służył w zamian za dwa istnienia, o których i tak nigdy się niczego nie dowiem. Nie przyjąłem tej pracy dlatego, że jestem szlachetnym, bezinteresownym sługą. Przyjąłem ją, ponieważ jestem pijakiem.

– Och, skończ z tym pierdolonym uzalaniem się nad sobą – zakrakał ptak. – Trochę godności, kurwa. Straciłeś kobietę, a potem kolejną – jakże mi ciebie żal. Takie jest życie. Mnóstwo ludzi straci swoje kobiety i swoich mężczyzn, jeśli nie posprzątasz tego bałaganu. Czy nie tego Wronia Stopa od ciebie chce? Czy nie miałaś opiekować się Łańcuchem, podczas gdy on powstrzymuje Królów Głębi przed zatopieniem świata? No to, kurwa, do roboty.

Kruk wydał trzy bardzo ptasie odgłosy, a potem wyfrunął przez okno.

Chciałbym powiedzieć, że jego słowa mnie poruszyły. Ale przez wiele tygodni przemierzałem niekończące się czarne piaski Nieszczęścia, czułem straszliwą truciznę płynącą przez moje ciało i zanurzałem się w jego koszmarze. Przeżyłem to wszystko. Nie sądziłem, że jestem zdolny do tego, co zrobiłem. Ale każdy człowiek ma granice odporności. Pałący upał, ból przeszywający ciało, krztuszenie się czarną trucizną, przenikające mnie Nieszczęście – zniosłem to wszystko i jeszcze więcej. Ale najpierw straciłem Elizabeth, potem Nenn, a teraz Valiyę. Odebrano mi nadzieję. Bałem się, że stanę naprzeciwko Nenn, ona rzuci się na mnie z mieczem, a ja nie będę potrafił się jej przeciwstawić. Kiedy Królowie Głębi nas atakowali, Elizabeth dała mi nadzieję, ale Saravor odebrał mi wszystkich ludzi, których kochałem. Jeszcze zanim dostał ode mnie mroczną moc Shavady, był dla mnie zbyt potężnym wrogiem. Elizabeth, Nenn i Valiya stanowiły fundament, na którym opierałem swoją siłę. Nawet Amaira mnie podtrzymywała. Kolejno mi je odbierano. Chciałem walczyć. Chciałem popatrzeć Saravorowi prosto w niedopasowane oczy i zobaczyć, jak jego pewność siebie zmienia się w grozę. Ale ostatecznie byłem tylko zmęczonym, zatrutym człowiekiem pozbawionym możliwości.

Maldon wrócił około południa i zatrzymał na tyłach domu wóz zaprzężony w osła. Przywiózł coś tak ciężkiego, że wóz aż skrzypiał.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytałem, opierając się o tylne drzwiczki.

– Oczywiście – odrzekł. – Ale potrzebuję do tego zapasu fosu. Zużyłem ostatni pojemnik, wysadzając w powietrze tamtych głupków w twoim domu. Bez fosu to tylko kupa żelastwa. Masz pojęcie, jak trudno jest zdobyć pojemnik z fosem, jeśli nie jesteś Przędzarzem?

– Bardzo trudno – przyznałem. – Jak załadowałeś ją na wóz?

– Zapłaciłem kilku miejscowym. Nie spytałeś, skąd wzięłem wóz.

– Pewnie go ukradłeś.

– Zbiorniki muszą być naładowane, jeśli to ma działać. – Maldon zmienił temat. – Bez nich jest bezużyteczna.

– U mnie wszystko w porządku – powiedziałem, wlewając resztkę wina do ust. Alkohol wprowadził mnie w paskudny nastrój, który skłania głupich ludzi do rzucania się na innych z pięściami. – Ale mam złe wieści. Skończyło nam się wino.

Maldon odwrócił się w moją stronę.

– Wystarczy, Ryhalcie! – warknął. – To ja tutaj jestem od uzalania się nad sobą. Duchy wiedzą, że na to zasłużyłem. Ale nie dzisiaj. Rusz dupę i poszukaj dla mnie zbiorników!

Byłem na tyle pijany, że nie poruszył mnie jego wybuch. Miał dziecięcy głos, który na swój sposób brzmiał zabawnie. Tak naprawdę wcale nie był zabawny, ale kiedy jesteś pijany, udajesz, że różne rzeczy cię bawią, aby uniknąć upokorzenia.

– Sam je sobie znajdź – odparłem.

– Ja pierdołę, naprawdę zamierzasz się poddać i płakać nad tym, jakie gówniane masz życie, podczas gdy cały świat płonie?! – wrzasnął. – Myślisz, że skoro Nieszczęście cię zatrulo, to możesz dać za wygraną? Straciłeś swoje kobiety, więc nie zamierzasz dalej grać? To tak nie działa.

– Kim jesteś, żeby mi to mówić, skoro sam nie raz próbowałeś łatwego wyjścia? – odgryzłem się.

– Chcesz wiedzieć, co straciłem?! – wydarł się Maldon. – Nawet nie mogę umrzeć. Nigdy więcej nie tknę kobiety, nie tylko dlatego, że już na zawsze będę dzieckiem, ale dlatego, że nie mam oczu, do kurwy nędzy. Przez cztery lata opłakiwałeś kobietę, którą straciłeś. Ja spędzę wieczność w tym okaleczonym szurzym ciele. Tak, chciałem, żeby to się skończyło. Ale się nie udało i jesteśmy na siebie skazani. Wyciąłeś sobie jakieś słowa na rękę, ponieważ uważałeś, że są ważne. Wtedy miałeś charakter, ty tchórzliwy, egocentryczny pierdolony pijaku. A teraz rusz dupę i znajdź dla mnie dziesięć pojemników z fosem! Gdybym potrafił prząść światło, sam bym sobie, kurwa, poradził, prawda? Kiedyś umiałem to robić.

Kiedy wściekle strzelił palcami, stało się coś całkowicie niespodziewanego. Przeskoczyła między nimi iskra, malutka, cienka błyskawica. Maldon skierował pozbawioną oczu twarz w stronę swojej dłoni i szeroko otworzył usta. Mnie także opadła szczęka.

– Czy właśnie wytworzyłeś fos? – spytałem, zapominając o naszej kłótni.

– Nie wiem – westchnął Maldon. Opadł na krzesło i zaczął raz za razem strzelać palcami, ale bez rezultatu.

Przerwał nam łopot czarnych skrzydeł.

– Powiedz mi, że coś się zmieniło – odezwałem się. – Powiedz, że Davandein się wycofała, a Saravor oddał się w ręce kata.

– Wciąż tkwimy w gównie – odrzekł ptak. – No i pojawiło się coś nowego. Galharrow, cytadela ma dla ciebie osobistą wiadomość.

Zmarszczyłem czoło, ale kruk zaczął gładzić sobie pióra, jakby nie miał nic więcej do dodania. Założyłem żółty kaptur, wyszedłem z domu i przespacerowałem się kawałek ulicą, żeby lepiej widzieć cytadelę. Krwawe litery były bardzo wyraźne i układały się na zmianę w dwie osobne wiadomości:

GALHARROW: BUDYNEK SĄDU

TY W ZAMIAN ZA DZIECKO

36

Niewłaściwie byłoby nazwać to pułapką. Pułapka sugeruje coś niespodziewanego, atak z zaskoczenia.

Oni próbowali zwabić mnie czymś, na czym mi zależało. To była wymiana. Układ. Wybór.

Wpatrywałem się w krwawe litery, słuchając wycia nieba nad Nieszczęściem. Nagle do tego odgłosu dołączył huk wystrzałów, kiedy odezwały się działa na murach. Atak Davandein najwyraźniej się rozpoczął. Działa nie strzelały salwami, tylko oddawały pojedyncze chaotyczne strzały. Niedoświadczeni kanonierzy.

Na niebie wzeszły tylko dwa księżycy. Rioque był w pełni i obiecująco lśnił szkarłatem, a Clada, między pierwszą kwadrą a pełnią, promieniowała uspokajającym woskowatym błękitem. Słońce opuszczało się po zachodnim niebie, barwiąc je na cytrynowo i pomarańczowo, a linia horyzontu intensywnie płonęła. Nigdy nie widziałem bardziej jaskrawego zachodu słońca. Księżycy nie odbijały światła jak zwykle, ale jarzyły się tak mocno, że trudno było patrzeć na bezchmurne niebo. Nawet pogoda mi nie sprzyjała. W Wielkiej Iglicy Utalentowani zapewne rozpoczynali pracę, zasiadali przy wrzecionach z poranionymi palcami i martwymi oczami, by prząść magię ze światła.

Właśnie tam pojawi się Saravor. Kiedy bitwa osiągnie punkt kulminacyjny, a rzeź wystarczająco napełni Oko Shavady duszami, pójdzie tam i skieruje moc Wielkiej Iglicy przeciwko Oku. A co potem? Czy kiedy osiągnie swój cel, zostawi nas w spokoju? A może przejmie miasto w posiadanie? Albo zbiegnie na drugą stronę Nieszczęścia, by szukać przymierza z Królami Głębi? Podejrzewałem, że ostatecznie to bez znaczenia. Miasto zostanie rozerwane na strzępy, mieszkańcy wycięci w pień, a ja prawdopodobnie też zginę.

Wpatrywałem się w wiadomość. Ja w zamian za Amairę. Czy Valiya już nie żyje? Zacisnąłem pięści i powstrzymałem ich drżenie. Pomimo wszystkich sprytnych planów i przygotowań, sieci wywiadowczej, reputacji, a nawet powiązań z Bezimiennymi... jestem tylko człowiekiem. A Amaira tylko dzieckiem. Może nie jestem w stanie powstrzymać Saravora. Może zmagania wielkich potęg zawsze mnie przerastały. Ale spróbuję ocalić jeszcze jedno życie, zanim nadejdzie mój koniec. Czy warto poświęcić ostatnią szansę na pokonanie mrocznego nieśmiertelnego w zamian za zwyczajne, irytujące dziecko? Tę decyzję muszę podjąć sam.

Nie. Nie jestem sam.

„Będę przy tobie” – powiedziała mi w głębi Nieszczęścia. – „Stanę się twoją tarczą, kiedy będziesz mnie potrzebował, ale woła walki musi pochodzić od ciebie”.

Może najwyższy czas oprzeć się na kimś innym. Zaufać czemuś, co jest i zawsze było większe ode mnie. Pielęgnowałem w sobie tę ostatnią nadzieję w obliczu każdej przeszkody. Kurczowo się jej trzymałem, niezależnie od faktów i liczb, prawd i kłamstw. Ponieważ ona wciąż wyciągała do mnie rękę w snach. Ponieważ Jasny Zakon widział, jak sięgała na wschód, gdy byłem w Nieszczęściu, a potem na zachód, gdy wyjechałem na spotkanie Davandein. Modliłem się do niej w najczarniejszej godzinie, a ona stale wyciągała ku mnie dłoń. Jakby po coś sięgała. Może była tylko halucynacją, ale jeśli kiedykolwiek w coś wierzyłem, to na pewno w to, że Elizabeth się nie podda, dopóki jest o co walczyć.

Czas poddać moją wiarę próbie.

Zrobię to, co zrobiłby każdy człowiek dla kochanego dziecka. Zawiodłem Valengrad i nie mogę tego zmienić, ale Amaira nie ma dla nich żadnej wartości i mogą ją wykorzystać jedynie jako pionek w rozgrywce przeciwko mnie. Nie mam wyboru.

– Dokąd idziesz? – zaskrzeczał kruk. – Nie bądź głupi. Nie bądź głupi, Galharrow! – Ale tylko siedział na słupku i patrzył, jak odchodzę.

Działa Davandein strzelały szybko i gęsto, kiedy szedłem ulicami. Słyszałem huki i trzaski, mroczne bębnienie w słabnącym świetle.

Wątpiłem, aby miejskie kolubryny mogły powstrzymać artylerię najeźdźców.

Miasto było obleżone, ale ludzie wciąż kłębili się na ulicach. Wszyscy w wieku poborowym zostali wcieleni do armii, otrzymali rusznice błyskowe i dołączyli do żołnierzy na murach, ale starzy i młodzi wylegli na ulice, gdzie wpatrywali się w niebo lub wznosili modły do Jasnej Pani. Wyglądało na to, że nie zwracają uwagi na grożące im niebezpieczeństwo, a tylko nerwowe drżenie dłoni lub ust zdradzało, że się boją.

– Kiedy ona się pojawi? – spytał jakiś staruszek. – Na pewno niedługo.

– Wielki księżę będzie musiał paść na kolana – stwierdziła nastoletnia dziewczyna, recytując mantrę buntowników. – Kiedy zobaczy ją ponad miastem, nadejdzie nowy porządek.

– Widziałam ją! Widziałam ją! – wykrzyknęła jedna z kobiet, wybiegając z domu. – Zapaliłam rurki z fosem, a ona wyłoniła się ze światła!

Ominiąłem ich i ruszyłem dalej.

W całym mieście słyszałem to samo, raz za razem. Jakiś mężczyzna stał na skrzynce i zapewniał, że zaledwie godzinę temu widział Jasną Panią, która pojawiła się i wyciągnęła do niego rękę. Ogłaszał, że jej czas nadszedł. Nikt nie chciał się przyznać do strachu ani zaproponować, by ludzie bardziej skupili się na wrogach pod bramami niż na widmach w świetle.

Moja wiara była silniejsza.

Mimo wszystko ich obserwowałem. Idąc do budynku sądu, aby wymienić siebie na małą sierotę bez rodowodu, wysokiej pozycji społecznej czy wielkich zdolności, myślałem, że może po tym będę mógł po raz ostatni spojrzeć Elizabeth w oczy. Tak długo wzbudzała we mnie strach. Czułem, że ją zawiodłem, i bałem się, co o mnie pomyśli. Obawiałem się wreszcie, że krótkie chwile, które spędziliśmy razem w blasku świec, były tylko szaleństwem w obliczu śmierci.

– Bądź przy mnie, Elizabeth – powiedziałem. – Nigdy nie potrzebowałem cię bardziej.

Idąc na śmierć, wiedziałem, że moje obawy są tylko złudzeniem. Że

głos w mojej głowie, który powtarza, że nigdy nie byłem wystarczająco dobry, a ona szukała u mnie pocieszenia, ponieważ była zdesperowana, jest zakłamaną. Byłoby dobrze jeszcze raz zobaczyć Elizabeth przed śmiercią. Jej prawdziwą twarz, okaleczoną i wyjątkową. Jej widok nadałby temu wszystkiemu sens.

Barman wytoczył beczkę piwa z lokalu i wszystkich częstował, jakby nadejście Jasnej Pani było widowiskiem dla ludu. Chciałem wziąć kubek, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Musiałem zachować jasność umysłu. Nie wątpiłem, że mnie zabiją. Ale nawet jeśli Jasny Zakon był zaślepiiony, nawet jeśli tańczył, jak mu Saravor zagrał, w większości składał się ze zwykłych ludzi, którzy nie mieli powodu przetrzymać Amairy, kiedy już wpadnę w ich ręce. Zresztą zawierałem już gorsze układy.

Po drugiej stronie miasta do chrzęstu artylerii dołączyły odgłosy wystrzałów z broni ręcznej, ostry jęk rusznic błyskowych i głuchy huk rusznic lontowych, tłumione przez ściany budynków.

Po obu stronach ulicy prowadzącej do sądu stały na baczność dziesiątki żołnierzy z rusznicami błyskowymi na ramieniu. Czekali na mnie jak gwardia honorowa. Nie próbowali mnie schwytać ani zatrzymać.

– O co chodzi? – spytałem jednego z nich.

– Ma pan iść do budynku sądu, wasza lordowska mość – odpowiedział. Nie patrzył na mnie, tylko wbijał wzrok przed siebie, a pot ciekł mu spod hełmu.

– Kto rozkazał wam tak stać jak idioci, podczas gdy toczy się bitwa?

– Proszę iść do budynku sądu, wasza lordowska mość.

– Nie jestem lordem – odparłem.

Podwójny rząd wojskowych prowadził aż do budynku sądu i Tierra stojącego na szczycie schodów. Thierro wpatrywał się we mnie surowym wzrokiem. Miał nowe oblicze, które dotychczas kryło się pod maską. Nienawidził mnie. Jego nienawiść płonęła jak trzykrotnie utkane światło, wypływała z serca, wprawiając ciało w drżenie. Nie tylko ją czułem, ale cały się nią stałem. Miał na sobie biały strój: białe spodnie do szermierki, długie białe pończochy, białe buty ze złotymi klamrami, a także białą marynarkę, koszulę lśniącą

perłowymi cekinami i krezę z najdelikatniejszej koronki. Kołnier koszuli był wilgotny od potu.

– Jesteś – odezwał się. – Dobrze się składa, że pomagier Wroniej Stopy będzie świadkiem narodzin nowej potęgi. – Z ust Thierra wydobyły się z sykiem słowa Saravora.

– Co tobą kieruje, Saravorze? – spytałem. – Pycha?

– Nie – odrzekł. – Chodzi o władzę. Dni Bezimiennych przemijają. Znajdą się na kolanach, gdy przegrają walkę z Królami Głębi, a ty staniesz się moim posłaniem dla nich.

Wszedł do budynku sądu.

– Bądź przy mnie, Elizabeth – wyszeptałem i ruszyłem za nim.

Podłogę sądu wypolerowano na wysoki połysk, a mozaiki lśniły. Wewnątrz znajdowało się jeszcze więcej żołnierzy, setki mężczyzn i kobiet ubranych w lśniące stalowe napierśniki i płaszcze ufarbowane na cytrynowy kolor. Wszyscy mieli pojemniki z fosem i stali na baczność z rusznicami błyskawicami na ramieniu. Wypełniali galerie, które wznosiły się nad głównym holem jak łoże w teatrze. Wśród nich dostrzegłem wielu wojskowych, którzy służyli marszałkowi Venzerowi, najlepszych walengradzkich wojowników. Zmienili front. Oczywiście, że to zrobili, gdy tarcza osłoniła miasto przed ognistymi pociskami. Na nocnym niebie migotał potężny dowód na prawdziwość ich wiary. Dlaczego miałiby wątpić?

Thierro stał na środku holu i czekał. Świadek Glaun siedział jak okaleczony sędzia na marmurkowym podeście.

– Przyszedłem. Wypuście dziecko! – zawołałem. Mój głos donośnie zabrzmiał w pomieszczeniu, odbijając się od marmurów.

– Będziesz się odzywał, kiedy cię o to poprosimy, łotrze! – ryknął Glaun.

– Wypuście dziecko – powtórzyłem.

– Pokażcie mu – polecił Thierro i strzelił palcami w białych rękawiczkach.

Pojawili się ludzie trzymający Amairę i Valiyę za ramiona. Moje serce podskoczyło w piersi. Obie żyły. Valiya była spokojna, ale wargę i oko miała opuchnięte po bójce. Amaira sprawiała wrażenie wystraszonej i patrzyła szeroko otwartymi oczami spod ciemnej

grzywki. Wyglądało na to, że nie odniosły żadnych obrażeń poza kilkoma siniakami. Dziewczynka nie walczyła. Wiedziała, że to bez sensu.

– Macie mnie – powiedziałem. – Możecie je uwolnić. Jeszcze zdążą uciec, zanim wojownicy Davandein dostaną się tutaj i wytną was w pień.

– Milczeć! – wrzasnął Glaun. Miał szaleństwo w oczach. Na jego obnażonych rękach widniały ślady nacięć. Amator, nawet nie wyciął żadnych słów. Fanatyzm pozwala człowiekowi usprawiedliwić wszystko w imię wiary. Jego cel uświęca środki.

Saravor uśmiechnął się za pośrednictwem oczu Thierra. Kpił ze mnie, jakbym nie zrozumiał jakiegoś przezabawnego żartu.

– Słyszycie?! – zawołał do zgromadzonych. – On nie wierzy! Pomimo wszystkich znaków są tacy, którzy nie potrafią... nie chcą... uwierzyć. Ten człowiek zaprzecza powstaniu nowego boga i popełnił morderstwo, próbując zanegować nastanie nowego porządku. Zostaliście wybrani, aby obserwować i zapisać na wieki historię wywyższenia prawdziwego władcy. Kiedy wymierzymy sprawiedliwość, przeznaczenie się wypełni, tu i teraz.

Żołnierze zaczęli wiwatować. Nie wyczuwali kpiny w jego głosie. Naiwniacy. Popatrzyłem na Amairę, a ona posłała mi przerażone spojrzenie. Powoli pokiwałem głową. Zacisnęła usta i odwzajemniła gest.

– Bądź przy mnie – wyszeptałem.

Błysnęło światło i wśród zgromadzonego tłumu rozległo się głośne westchnienie. Podniosłem wzrok i przez ułamek sekundy ją widziałem, tak samo jak oni. Świetlistą postać kobiety spowitej płomieniami. Zamrugalem, wciąż dostrzegając jej ślad odcisnięty pod powiekami.

– Ona nadchodzi! – zawołał ktoś. – Zbliża się!

– Chce, żeby on umarł w imię sprawiedliwości!

– Wskazała na niego!

Ale ona wcale nie wskazywała. Wyciągała dłoń.

Żołnierze z hukiem uderzali kolbami rusznic błyskowych o posadzkę. Thierro machnął rękami, aby ich uciszyć, a otaczający go

ludzie nie dostrzegli ciemności Saravora w jego oczach. Krwistych plamek w białkach.

– Widzisz, Galharrow? Pani przychodzi jako świadek nadejścia nowej ery. Bezimienni zegną kolana, a twoja śmierć stanie się przesłaniem dla nich. Umrzesz tutaj, w ośrodku ich mocy, w ich sali sprawiedliwości, a wtedy zrozumieją, że nadchodzi nowy porządek i ich dni są policzone.

Thierrowi przerwała kolejna iskra pośród galerii. Następna wizja Jasnej Pani. Potem jeszcze jedna. Krótkie rozbłyski światła pojawiały się coraz szybciej.

– Wysoki Świadku! Ona się zbliża. Już czas! – oznajmił Glaun.

Wypchnęli Amairę na środek; jeden z żołnierzy trzymał nóż przy jej gardle. Pokręciła głową, patrząc na mnie. Amaira. Drobną, kościstą, nieposłuszną Amaira. Wojenna sierota. Nikt ważny. Zwykła dziewczynka. Dziewczynka, która przyklejała wiersze pod stołem, żeby mieć przy sobie coś pięknego, gdy będzie umierać.

– Saravorze – odezwałem się. – Mylisz się. Dla ciebie to tylko gra. Nigdy nie rozumiałeś, że prawdziwa moc nie jest odosobniona, nie stoi ponad ludźmi. Ona trwa obok nas i w naszym wnętrzu. Ci ludzie zasługują na coś więcej niż twoje kłamstwa i sztuczki. Zaproponowałeś układ, a ja przyszedłem. Natychmiast każ swojemu człowiekowi puścić moją córkę, w przeciwnym razie klnę się na najczarniejsze duchy piekieł, że zajebię was wszystkich.

Thierro uniósł brew.

– Ona nie jest twoją córką – odrzekł. – To jakiś bękart z królestw oaz, którego znalazłeś w ruinach. Wszyscy o tym wiedzą.

– Nie rozumiesz, ponieważ nie potrafisz tego dostrzec. Co do tego nie mam wątpliwości. – Odliczałem uderzenia serca, żeby wiedzieć, ile czasu minęło. Siedem uderzeń, osiem. – Nie kazałeś mu jej puścić. Przygotuj się na śmierć.

Rozległo się kolejne westchnienie, gdy Jasna Pani pojawiła się w krótkim rozbłysku światła. Jeden z żołnierzy Jasnego Zakonu zatoczył się do tyłu; jego ubranie dymiło, trzymał się za spaloną dłoń.

– Pani nadchodzi! – wykrzyknął Glaun. – Sprawiedliwość, która się tutaj wypełnia, otwiera jej drogę! Zabij go, Wysoki Świadku!

– Bądź przy mnie, Elizabeth.

Podwinąłem rękawy, splunąłem na podłogę i dobyłem miecza. Skierowałem ostrze w stronę Thierra.

– Chcesz mnie zaatakować w pojedynkę, Galharrow? – spytał Thierro z kpiącym uśmiechem.

– Na tym zawsze polegał twój problem, Saravorze. Otaczasz się ludźmi, których serca posiadłeś, ale wciąż jesteś sam. Jasna Pani nie przybyła z twojego powodu. Jest tutaj dla mnie.

Zbliżyłem się do Thierra, cały czas trzymając uniesiony miecz.

– Usłysz mnie, Wronia Stopo – zagrział Saravor. – To dopiero początek. Wymażę ze świata wszystkie ślady po tobie.

Przede mną błysnęło światło. Pojemniki przy pasie Thierra wybuchły, a on wchłonął falę mocy. Przeniknęła jego dymiące i migoczące ciało. Żołnierze wznieśli triumfalny okrzyk. A potem Thierro zwrócił się przeciwko mnie, posyłając uderzenie oślepiającej białej energii.

Nawet nie drgnąłem.

Obmyła mnie fala gorąca, gdy energia trafiła w coś oddalonego o pięć stóp i tam się zatrzymała. Snop kłębiącego się fosu napotkał jakąś przeszkodę. Moc huczała, błyskawice strzelały na wszystkie strony, ale fala energii mnie omijała. W sercu zaburzenia pojawiła się ona.

Eizabeth.

Jasna Pani.

Moja tarcza.

Stała niewzruszona. Wspaniała. Pięć stóp wzrostu, ale potężniejsza od olbrzyma. Wokół jej nóg powiewała ognista suknia. Stawała się coraz wyraźniejsza, przejrzysta i złota, otoczona rosnącym płomieniem mocy, gdy Saravor atakował ją kolejnymi porcjami fosu utkanego przez Thierra.

– Pani! – krzyknął świadek Glaun, a żołnierze zaczęli wiwatować.

Sylwetka Elizabeth zafalowała. Była iluzją, duchem, eterycznym i odległym. Wciąż była tak daleko. Za daleko dla mnie.

– Nie mogę wiecznie cię chronić, Ryhalcie – powiedziała, a jej szept zabrzmiał w moim umyśle jak wystrzał z armaty. – Uciekaj.

– Nigdy od ciebie nie ucieknę – odparłem.

Jej oczy wypełniał ból, cierpienie wywołane przeniknięciem do naszego świata. Oto jej prawdziwe oblicze. Nie była żadnym władcy czarownikiem szukającym wywyższenia. Przez lata zbierała moc, dążąc do jakiegoś wielkiego celu. Członkowie Jasnego Zakonu widzieli, jak wyciąga rękę, i uznali, że domaga się sprawiedliwości, wskazuje wrogów, obiecuje im spełnienie marzeń. Ale Ezabath nie była boginią, tylko kobietą, a ja zrozumiałem prawdę dopiero wtedy, gdy zadałem sobie pytanie, po co próbowałbym na jej miejscu sięgnąć. Właśnie po to zbierała moc. Nie w celu jakiegoś mistycznego odrodzenia.

Wyciągała rękę do mnie. Podawała mi pomocną dłoń.

– Jak on to robi? – spytał Glaun ostro.

– Chciałeś, żeby ktoś cię zbawił – odrzekłem. – Ale żaden bóg nie przyjdzie ci z pomocą, świadku. Sami musimy siebie ocalić.

Włożyłem dłoń w płonące światło i wyczułem ścianę oddzielającą światy. Nasz, cielesny i twardy, z ciała i kości, żelaza i nieba, oraz jej, z ducha i światła, snów i magii. Niemożliwe, żeby cielesny człowiek tam się przedostał, a kobieta ze światła wróciła do nas.

Ale nie byłem tylko człowiekiem. Nasiąkłem Nieszczęściem i straszliwą magią Wroniej Stopy. Ona przenikała moje ciało jak gwoździe wbite w szpik. Przyswoiłem malutką porcję tej mocy i już nie byłem zwykłym człowiekiem. Nie byłem także duchem w świetle. Byłem czymś mniejszym, a zarazem większym. Mostem pomiędzy dwoma światami.

Sięgnąłem w głąb bariery, napałem na nią całą siłą swojego umysłu, czarną energią, którą zaszczepiło we mnie Nieszczęście.

Nasze palce zetknęły się z hukiem, który był jak uderzenie pioruna, upadek imperium, złamanie odwiecznych zasad zapisanych w kościach ziemi.

Moc Thierra zgasła, jego fos się wyczerpał, a duch wciąż trwał, złoty i przejrzysty, płonący i dziki. W oczach Elizabeth malowały się ból i potęga, widmo ze światła stało się ciałem. Thierro – a wraz z nim Saravor – zatoczył się do tyłu i upadł. Rzucił przeciwko mnie wszystko, czym dysponował, a Elizabeth przyjęła to na siebie.

– Nie! – zawołał. – Ona jest niczym! Powiedziałeś mi, że ona jest

niczym! Zwykłą martwą Przędzarką!

Po raz pierwszy usłyszałem w syku Saravora strach. Padłem na kolana. Zużyłem wszystkie siły, sięgając w stronę Elizabeth. Teraz jej obecność i otaczający ją ogień paliły moją skórę.

Valiya uderzyła trzymającego ją mężczyznę łokciem w krocze, a kiedy zgiął się wpół, chwyciła za rękę żołnierza, który przyciskał nóż do gardła Amairy. Ten walnął ją na odlew i powalił na ziemię. Potem skoczył za Amairą, która pobiegła w moją stronę i rzuciła mi się w ramiona, jakby mogły jej zapewnić ochronę.

– Wszyscy zostaliście oszukani – odezwała się Elizabeth. Jej głos był głuchy i metaliczny. Nie brzmiała jak kobieta, tylko jak coś potężniejszego od nas wszystkich. Krew popłynęła z setek oczu, kiedy Saravor przejął kontrolę nad swoją armią naprawionych, podczas gdy Elizabeth przemawiała do żołnierzy, wiernych z Jasnego Zakonu. – Nie jestem waszą zbawczynią. Pochodzę ze światła. Jestem światłem.

– Zabić ich! – wrzasnął Thierro. – Ognia. Ognia!

– Ależ, Wysoki Świadku, Jasna Pani... – Świadek Glaun wodził za nimi wzrokiem, całkowicie zagubiony.

Marionetki Saravora zaczęły ożywać, podnosiły rusznice i je odbezpieczały. Powietrze wypełnił piskliwy jęk, gdy pojemniki z fosem połączyły się z mechanizmami spustowymi i pięćset luf skierowało się w moją stronę.

– Uciekaj – powiedziałem do przytulonej do mnie dziewczynki.

– Nie! – wrzasnęła Amaira. – Zostawcie go w spokoju!

Nie było przed tym ucieczki, nie dało się uniknąć tak wielu strzałów. Próbowałem uśmiechnąć się do Amairy. Ogólnie rzecz biorąc, nie poszło nam najlepiej.

– Cel!

– Uciekaj – powtórzyłem, próbując odepchnąć Amairę od siebie, ale ona kurczowo do mnie przywarła i nie miałem siły się jej pozbyć.

Wycelowali.

Przytuliłem Amairę, odwracając się plecami do Glauna. Żałosna osłona. Tylko tyle mogłem jej dać.

– Pal!

Wszędzie wokół rozległ się huk wystrzałów.

Być może na początku wszyscy w nią wierzyli. Może chcieli jedynie, aby Jasna Pani narodziła się ze światła. Ostatecznie ich życzenie się spełniło. Była ostatnią osobą, którą zobaczyli, gdy pociągnęli za spust. Może ten, co strzelił jako pierwszy, był szczęśliwy przez ułamek sekundy, jaki dzielił pojawienie się świetlistej sylwetki od eksplozji, która rozerwała go na strzępy.

Niewykluczone, że drugi strzelec przeżył to samo. Ale trzeci, dziesiąty czy setny już niczego nie zobaczyli za sprawą oślepiającego wybuchu pięciuset rusznic błyskowych.

Ryk eksplozji wstrząsnął gmachem. Fale fosu zderzały się ze sobą z urywanym jazgotem, gdy pojemniki rozpadały się na kawałki. Galerie się zawaliły, ciała spadały jak krople deszczu. Członkowie Jasnego Zakonu, którzy nie pociągnęli za spust, byli porywani przez otaczające ich eksplozje, spadali razem z balkonami albo ginęli zmiżdżeni. Stałem na środku, otoczony setkami ognistych wybuchów, czując zalewające mnie fale gorąca, ale chociaż członkowie Jasnego Zakonu umierali setkami, mnie nic nie dotykało. Zamknąłem oczy, chroniąc je przed blaskiem, a kiedy je otworzyłem, pomyślałem, że nie żyję.

Nie zwracałem uwagi na walące się galerie ani krzyki palących się ludzi. Przede mną płonęła Elizabeth.

Łzy spływały mi po twarzy. Zbliżyłem się do niej na kolanach; teraz byliśmy prawie tego samego wzrostu. Wyciągnąłem rękę, ale ściany między światłami były zbyt silne. Nie mogłem jej dotknąć.

– Wróć do mnie – powiedziałem zachrypniętym, łamiącym się głosem.

– Ryhalcie – odezwała się Elizabeth, a mnie serce załomotało w piersi. Jej głos zabrzmiał metalicznie, jakby odbijał się echem od

ścian stalowego tunelu. Ale to była ona. Była tutaj.

– Jesteś tutaj – powiedziałem. Ale to nie była prawda. Widziałem pomieszczenie za nią, mogłem przez nią patrzeć. Była bezcielesna.

– Mam mało czasu – odrzekła boleśnie smutnym głosem. – Przez lata gromadziłam energię, by do ciebie dotrzeć, Ryhalcie...

– Przepraszam. Wybacz, że nie zdołałem cię ocalić. – Z trudem mówiłem.

Stojak na beczki pękł, a jego kawałki rozsypały się po posadzce.

– Ryhalcie. – Moje imię zabrzmiało we mnie bolesnym echem. – Sama dokonałam wyboru. Jak zawsze. Nikt mnie nie zmuszał. Przykro mi, że cierpisz, ale mam mało czasu.

Cierpię. Przecież to ona płonie.

– Chcę, żebyś została – błagałem.

– Jestem związana ze światłem. Stanowię jego część. Nawet Maszyneria nie ma wystarczającej mocy, żeby odwrócić to, co zrobiłam. Ale dzisiaj dzięki zbieżności słonecznego rozbłysku i ustawienia księżyców zyskałam kilka chwil.

Zadrżała i nieco się przygarbiła, ale zaraz znów stanęła prosto.

– Nie zniosę tego – odparłem.

– Ja zniosę. Więc ty też musisz.

– Kocham cię – powiedziałem bez sensu.

– Ja też cię kocham.

Oczy miałem pełne łez, ale i tak zobaczyłem smugi dymu, które zaczęły się unosić z jej ciała.

– Musisz odejść, Ryhalcie. Musisz powstrzymać szare dzieci. Umarłam, żeby ocalić Valengrad. Nie pozwól, żeby to poszło na marne.

– Jak mam je powstrzymać?

Kobieta ze światła skrzywiła się i zacisnęła widmowe pięści. Ten gest wyglądał aż zanadto ludzko u istoty złożonej wyłącznie z migoczącego błękitno-złotego światła.

– Poskramiasz go, prawda? – spytałem. – Ogień. Próbujesz mi go nie pokazać.

– Posłuchaj mnie – odrzekła nagłąco metalicznym głosem. – Próbowałam zgromadzić wystarczająco dużo mocy, żeby

powstrzymać szare dzieci, ale nawet dzisiaj, w tym świecie, jestem za słaba. Nie zdołam pokonać Saravora, zamiast tego postanowiłam cię uratować. Walcz w moim imieniu. Jeżeli Saravor użyje Oka, stanie się równie przerażający jak Królowie Głębi. Tylko ty możesz to zatrzymać. Nie zapobiegiesz wojnie, Ryhalcie. Ale Saravor nie jest prawdziwym nieśmiertelnym. Jeszcze nie. – Słowa uwięzły jej w gardle. Smugi dymu zgęstniały, jakby była kawałkiem suchego drewna, które znalazło się obok rozpalonych węgla.

– Jak to wytrzymujesz? – spytałem.

Kiedy pieściła dłonią moją twarz, na jej ciele pojawiły się pierwsze płomienie.

– Ponieważ tobie wciąż zależy... – Jej dziwna, utkana ze światła twarz wyrażała zarówno współczucie, jak i smutek. – Ponieważ wiem, że niezależnie od tego, jak będzie ci trudno i jak wielką cenę będziesz musiał zapłacić... nawet jeśli będziesz musiał wyważyć bramy piekieł... znajdziesz mnie i stąd wyciągniesz. Jesteś Ryhaltem Galharrow. Wszystkie piekła nie powstrzymają cię przed dotarciem do mnie.

Jej palce oparzyły mój policzek, chociaż nawet go nie dotykały. Były rozpalone jak lufa armaty. Nie wzdrygnąłem się pod wpływem gorąca. Uniosłem dłoń i przycisnąłem do jej palców. Nie składały się z materii, tylko z palącego bólu, pod którego wpływem magia zaszczerpiona w moim ciele zaczęła się kłębić i wić, odrzucając obcą moc. Płomienie pełzały po jej ramionach i rękach. Po twarzy. Czułem, jakby ktoś wypalał mi piętno na policzku, ale nie potrafiłem się oderwać od tego bólu. Skoro tylko on mi po niej pozostał, to go pragnąłem. Byłem gotów go wytrzymać.

– Jeśli będę musiał rozbić niebo i strzaskać ziemię – powiedziałem przed obliczem posagów Sprawiedliwości i Miłosierdzia – wyrwać góry z korzeniami i zatopić pieprzone oceany, jeśli będę potrzebował na to stu lat, znajdę cię. Sprowadzę cię z powrotem.

Już nie widziałem jej twarzy. Płomienie uniosły się i ją pochłonęły, ale miałem wrażenie, że jeszcze dosłyszałem jej głos:

– Wiem. – Potem odeszła.

Pokręcone i strzaskane ciało Tierra leżało na posadzce. Latające kawałki metalu rozerwały mu klatkę piersiową. Z czarnych gnijących płuc wydobywał się smród zepsutego mięsa. Żadna ilość wody kolońskiej nie mogła go zamaskować. Był dobrym człowiekiem.

– Ona była prawdziwa – powiedział świadek Glaun. Leżał skulony obok podestu dla sędziów. Nie wyglądał najlepiej.

Valiya przykucnęła za posągiem Ducha Miłosierdzia. Wyglądało na to, że żadne gruzy nie spadły obok niej. Skrzyżowaliśmy spojrzenia, była tak samo jak ja zaskoczona własnym ocaleniem. Wątpiłem, żeby zawdzięczała przetrwanie pośród takiego zniszczenia wyłącznie szczęściu. Błada i oszołomiona, pokiwała drżącą głową. Odpowiedziałem tym samym gestem, a po chwili rzuciła się na mnie jakaś mała istota o patykowatych kończynach. Prawie zwała mnie z nóg. Amaira była pokryta sadzą i pyłem. Przyjrzałem się jej dokładnie, a kiedy nie znalazłem żadnych ran, przytuliłem ją tak mocno, że musiała uderzyć mnie w plecy, żebym pozwolił jej złapać oddech.

– Przyszedł pan po mnie – powiedziała z oczami pełnymi łez. – Przyszedł pan po mnie.

Nie potrafiłem wyrazić tego, co czuję, a moja twarz również była mokra, więc tylko ją uściskałem, tym razem delikatniej.

– Obiecałem ci – odrzekłem. – Siedem piekieł nie mogłoby mnie powstrzymać. – Mocniej zacisnęła ręce wokół mojej szyi. Po raz pierwszy od dawna czułem, że coś nam się udało.

– To była ona, prawda? – odezwał się Glaun napiętym głosem. Drewniana belka spadająca z galerii przebiła go na wylot i krwawił znacznie gorzej ode mnie. Miał krew na ustach.

Postawiłem Amairę, podszedłem do niego i przysiadłem na

schodach prowadzących na podest sędziów.

– Tak – przyznałem.

– Nie sztuczka. Nie złudzenie – ciągnął. Zapewne bardzo cierpiał, ale na jego twarzy malował się spokój.

Wzięłem go za rękę. Nie miał siły zacisnąć palców, ale jego dłoń drgnęła, wyczuwając towarzystwo drugiego człowieka w tych ostatnich chwilach.

– Nie złudzenie.

– Była kobietą? Prawdziwą kobietą?

– Kiedyś nazywała się Elizabeth Tanza – wyjaśniłem. – Ocaliła Valengrad i zapłaciła za to wysoką cenę. Ale nie jest boginią. Nigdy nią nie była. Była kimś lepszym.

– Była... cudowna – wykrztusił Glaun, po czym czerwone bąbelki rozkwitły wokół jego ust. Szczerze wierzył w Jasną Panią. Możliwe, że jako jedyny spośród hierarchów zakonu. Zawinił głupotą, ale w końcu każdy z nas na swój sposób jest głupcem.

– Szkoda, że jej nie widziałeś, kiedy była żywa – odrzekłem.

– Widzieliśmy tylko to, co chcieliśmy widzieć. A ja tak bardzo tego pragnąłem – wyznał. – Przez cały czas myśleliśmy, że ona przyjdzie dla nas. – Zdobył się na śmiech, który bardziej przypominał bolesny kaszel i nie był wart wysiłku. – Ale się myliliśmy. Ona przyszła do ciebie.

– Zawsze potrafiła mnie zaskakiwać.

Znów się roześmiał i umarł. Śmierć czasami przychodzi właśnie w taki sposób.

Valiya powoli do nas podeszła. Szok i strach odebrały jej siły, ale przyklękła i zamknęła Glaunowi powieki. Wymieniliśmy spojrzenia, które znaczyły zbyt wiele, a zarazem nic. Położyłem dłoń na jej ramieniu, a ona zamknęła oczy. Przez chwilę miała ochotę tylko kucnąć bez ruchu i oddychać.

– Co teraz zrobimy, panie kapitanie? – spytała Amaira.

Popatrzyłem na nią i powoli wypuściłem powietrze. Chyba zasłużyła na odpowiedź.

– Teraz zabijemy Naprawiacza.

* * *

Działa umilkły i słychać było jedynie nieustające wystrzały z rusznic lontowych, które rywalizowały z jękami rusznic błyskowych. Walki objęły już nie tylko mury. Wojska Davandain wtargnęły do miasta i rozpoczęły krwawy bój o kolejne ulice. Oko Shavady karmiło się każdą śmiercią, umierający mężczyźni i kobiety posyłali swoją energię duchową w stronę Saravora, prowadząc go ku zwycięstwu.

Nastroje wśród cywilów uległy zmianie. Nie spodziewali się, że bramy tak łatwo padną. Teraz bali się o swoich bliskich.

– Mój syn to jeszcze dziecko, ledwie potrafi utrzymać broń – martwiła się jakaś matka.

– Byłem pewien, że ona przyjdzie – szeptał mężczyzna, wokół którego tłoczyły się dzieci. – Gdzie jest Jasna Pani?

– Moja najstarsza córka powinna była złożyć broń już wiele lat temu – dodawał ich sąsiad.

Zdjęli kaptury, a chwała i objawienie, na które niecierpliwie czekali, nagle wydały im się bardzo odległe. Mgliste obietnice Wysokiego Świadka okazały się mirażem, a wizja wrogów z mieczami w dłoniach stała się aż nadto rzeczywista. Wielu ludzi wciąż stało na ulicach, a przy zachodniej ścianie płonął ogień, który oblewał miasto ciemnoczerwonym blaskiem. Pożar wybuchł za sprawą przypadkowego strzału albo eksplozji rusznicy błyskowej. Wyglądało na to, że nikt nie jest na tyle zorganizowany, by go ugasić. Jeśli tak dalej pójdzie, Davandain przejdzie przez miasto po stercie trupów spiętrzonych na górze popiołu.

Valiya zarzuciła sobie na ramię moją rękę i pomagała mi iść. Czuję ból w kilkunastu różnych miejscach, paliło mnie oparzenie na policzku, a stara rana nogi dotkliwie się odzywała. Niektórzy próbowali nam pomagać, ale zbywałem ich machnięciem ręki. W końcu udało nam się znaleźć wierzchowce i pokonaliśmy konno resztę drogi do kryjówki Maldona.

– Jak zamierzasz go powstrzymać? – spytała Valiya.

– Jeszcze nie wiem – przyznałem. – Jeśli wszystko inne zawiedzie,

odetnę mu głowę.

– To kiepski plan, panie kapitanie – wtrąciła się Amaira.

– Kiedy dotrzemy do domu Glecka, zostaniesz tam, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Wcześniej też się ukrywałam i nic to nie pomogło – odparła. – Nawet mnie.

* * *

– A myślałem, że wcześniej wyglądałeś jak gówno – powiedział Maldon, kiedy otworzył drzwi.

– Uwierz mi, że mogło być gorzej – odrzekłem.

– A więc je odzyskałeś – zauważył. Uśmiechnął się niewyraźnie do Amairy. Chyba on też ją polubił.

– Nienawidzę cię – rzuciła Amaira, a Maldon się skrzywił.

Oczyścili oparzenie na mojej twarzy tanią whisky. Nie czułem połowy palców prawej dłoni po tym, jak wepchnąłem je w lukę między światami, ale wciąż mogłem je zginać, nie było więc tak źle. Dopilem whisky, której było zdecydowanie za mało. Moje dłonie wciąż drżały po pobycie w Nieszczęściu i sporo trunku ściekło mi po brodzie.

– Nie mam pojęcia, jak możesz to wszystko wytrzymać – mruknął Maldon, kiedy mnie zszywał.

– I kto to mówi. – Może wyglądałem jak gówno, ale nie mogłem się równać z Maldonem.

Trzepot skrzydeł zapowiedział przybycie kruka, który sprawiał wrażenie zaskoczonego tym, że jeszcze żyję, chociaż ten skurwiel mógł mnie wszędzie odnaleźć i dowiedzieć się o mojej śmierci. Taka była jego natura.

– Oddziały Davandein są na ulicach i zabijają wszystkich, których zobaczą – zakrakał kruk. – Ale to najemnicy, zatrzymują się więc, żeby plądrować. Jasny Zakon cofnął się na ulice Czasową i Drugą, gdzie ustawił barykady. Jakiś czas wytrzymają, ale kiedy barykady w końcu runą, dojdzie do masakry.

– Wygląda na to, że Jasny Zakon jednak nie okazał się taką skuteczną siłą – stwierdziła Valiya. Zaakceptowała mówiącego kruka jako kolejny element tego dziwnego wieczora.

W porównaniu z wyglądem Elizabeth zapewne prezentował się pospolicie.

– Są bezużyteczni. Tak samo jak ich broń – zaskrzeczał ptak. – Kilku z nich zginęło przez wybuchy rusznic. – Kruk nie znał całej prawdy. – Najlepsi żołnierze pułkownika Koski powoli się wycofują, ale świadek Valentia zgromadziła kilka tysięcy swoich najlepszych ludzi wokół Wielkiej Iglicy. Tam stawi ostateczny opór.

– Saravor jest w Wielkiej Iglicy. Musi tam być, żeby otworzyć Oko.

– Więc pójdziemy tam i go zabijemy – orzekł Dantry, wchodząc do pokoju o kulach. Był w fatalnym stanie. Cuchnął potem i zakażeniem.

– Nawet gdyby udało nam się przedostać przez wojskowych, Saravor nie jest zwykłym człowiekiem.

– Nie trzeba go zabijać – wtrąciła się Amaira. – Jest głową smoka, ale wystarczy podciąć skrzydła, aby bestia runęła.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Utalentowanych w Wielkiej Iglicy – wyjaśniła. – Tych, którzy przędą światło. Jeśli nie będą mogli tego robić, czarownik nie otrzyma mocy, której potrzebuje.

Pozwoliliśmy, żeby jej słowa powoli wybrzmiały.

– Twierdzisz, że... powinienem zabić Utalentowanych w Wielkiej Iglicy?

Amaira była gotowa na mój sprzeciw i nie ustąpiła. Kruk poparł ją radosnym krakaniem. Popatrzyłem na Maldona i Dantry'ego. Dantry przynajmniej bezsilnie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie jest zachwycony tym pomysłem. Valiya nic nie odpowiedziała. Chociaż była oszołomiona i wyczerpana, robiła przegląd naszej nielicznej broni, sprawdzała ostrza i amunicję. Tak wiele przeszła, ale wciąż pracowała.

– Nawet gdybym miał możliwość...

– Mamy możliwość – przerwał mi Maldon.

– Nawet gdyby tak było, może już jest za późno – ciągnąłem. – Oni przędą światło pochodzące z rozbłysku już od kilku godzin. Saravor

może mieć wystarczającą ilość światła. – Popatrzyłem na Amairę. – A poza tym stać nas na coś lepszego.

– Niekoniecznie musi chodzić o Utalentowanych – odparła. – A gdybyśmy popsuli maszyny?

– Żelazne Słońce – dodał Dantry. – Tam jest magazynowana energia. Zniszczmy je, zanim Saravor użyje go do wyrwania mocy z Oka.

– Niby jak mam tego dokonać?

– Mógłbym przygotować granat fosowy. To może zadziałać – odrzekł Maldon. – Użyłem takiego, kiedy przyszli po mnie do twojej piwnicy. Do Żelaznego Słońca wpływa ogromna ilość energii, nie trzeba więc wiele, żeby je rozsadzić.

– Masz taki granat?

– Mogę przerobić pojemnik z fosem w ciągu kilku minut. – Wzruszył ramionami. – To łatwe.

– Dobrze. Przyniosłem ci kilka sztuk. Są w jukach. Ale muszę jeszcze ominąć żołnierzy.

Maldon się rozpromienił, a jego szeroki, okrutny uśmiech zdecydowanie za bardzo przypominał mi czasy, gdy jeszcze był Uroczym. Pokręcił głową i zaczął się śmiać.

* * *

Przygotowania trwały godzinę.

Ludzie umierali. Czas o to nie dbał.

Maldon pokręcił korbą, mocniej zaciskając pancierz. To była stara ozdobna zbroja, która przez lata kurzyła się bezużytecznie w moim domu. Nie spodziewałem się, że kiedyś ją założę. Pełniła rolę dekoracyjną, ale we wszystkich miastach nie było lepszej. Modyfikacje Maldona zmieniły ją w coś więcej. Była cięższa ode mnie za sprawą pojemników na fos przymocowanych w dolnej części pleców. Koszmarnie niepraktyczny pomysł, skoro pojemniki tak bardzo zwiększały ciężar, ale Maldon zastosował kilka sprytnych sztuczek z kółkami zębatymi i tłokami, dzięki czemu mogłem się poruszać. Kiedy rozprostowałem rękę, rozległ się cichy syk, a fos wspomógł mój

ruch.

– Nie mogę w tym normalnie chodzić – poskarżyłem się. – Ani walczyć. Jest za ciężka.

– To prawda – przyznał Maldon, podczas gdy Dantry pomagał mu przy hełmie.

Zakrywał całą twarz, pozostawiając tylko wąską szparę do patrzenia. Zaczęli przykręcać go do napierśnika, jak w dawnych zbrojach do walki na kopie. Nienawidzę pełnych hełmów. Gorąco, przytłumione dźwięki w obitym skórą wnętrzu, ograniczone pole widzenia. Nie widziałem niczego po bokach, nie mogłem się rozejrzeć bez skręcania całego tułowia.

– Ale zbroja nie jest po to, żebyś walczył na krótki dystans – dodał. – Ma cię zachować przy życiu. Obwody fosowe, które umieściłem w pancerzu, emitują delikatne pole odpychające. Postaraj się nie przerzucić tej dźwigni, w przeciwnym razie śruby podtrzymujące konstrukcję wystrzelą, a ty zostaniesz nagi, czego zapewne wolałbyś uniknąć. – Dalej paplał o rzeczach, których nie rozumiałem. O magnetyzmie, punktach detonacji i paradoksie odbicia fosu.

– Nie mamy dużo czasu – odezwał się kruk, w irytujący sposób sfruwając na czubek mojej głowy. Nie mogłem nawet nią potrząsnąć, żeby go przegonić. – Broń na szczycie Wielkiej Iglicy zostanie naładowana w ciągu godziny, a oddziały Davandein właśnie przełamały barykadę na ulicy Czasowej.

– Ktoś ich powstrzymuje? – spytałem. Kruk nawet się nie zawahał.

– Nie. – To była złudna nadzieja.

Z brzękiem podszedłem do wozu, na którym Maldon przywiózł swoje dzieło. Nie miałem zamiaru pieszo wlec się do Wielkiej Iglicy. Valiya chciała mi wręczyć dwa pistolety, ale kiedy przyjrzała się zbroi Maldona, wsunęła je za pas.

– No cóż – przyłożyła dłoń do stalowego napierśnika – bądź silny, Ryhalcie. Teraz wszystko zależy od ciebie. Postaraj się wrócić.

Spod podniesionej przyłbicy popatrzyłem, jak pośpiesznie wchodzi do domu.

– Chcę pójść z panem – powiedziała Amaira. – Mogę pomóc.

– Zostań tutaj z Valiyą. Ukryj się w jakimś bezpiecznym miejscu.

Jeśli nie wrócę...

– Wróci pan – przerwała mi stanowczo. – Musi pan wrócić.

– Tak będzie. Obiecuję.

Opuściłem przyłbicę i się odwróciłem. Dantry chwycił lejce, a Maldon usiadł z tyłu razem ze mną i dokonywał ostatnich poprawek, dokręcając śruby i sprawdzając kółka zębate w złączach. Nie pozostało nic więcej do dodania.

Mieli rację, że obawiali się o mnie, ale strach spłonął w ogniu Elizabeth. Nieszczęście mnie nie zabiło, Thierro mnie nie zabił, a teraz nadszedł czas zemsty na Saravorze. On i jego szare dzieci wkrótce się dowiedzą, dlaczego, nawet mając wsparcie diabłów, nieśmiertelnych, Królów Głębi albo samych Duchów Nienawiści, nie warto wkurwiać Czarnoskrzydłych.

Wielka Iglica górowała nad miastem. Złowieszczy blask na jej szczycie rozświetlał fioletowe niebo. To, co zrobię, tylko mu pomoże. Zbliżę się do niego.

* * *

Saravor rozkazał swoim najbardziej oddanym oddziałom wycofać się pod główne wejście do Wielkiej Iglicy. Okoliczne ulice były wąskie, a żołnierze wyburzyli domy, aby je zablokować i uniemożliwić Davandein podejście inną drogą niż bulwar Deszczowy. Mieli na sobie wypolerowane stalowe kirysy, złociste bluzy i kaptury ze złotogłowia naciągnięte na szyszaki. Stali w równych szeregach, całymi setkami albo tysiącami, ale wszyscy trzymali berdysze i rusznice na ramieniu. Żadnej świętej broni, żadnych modlitw na ustach. Patrzyli przed siebie szklistymi oczami, pozbawieni emocji, bezgłośni wartownicy. Naprawieni strażnicy, kontrolowani bezpośrednio przez Saravora. Stanowili przedłużenie jego istoty, gotowi poświęcić skradzione życie w obronie swojego pana i jego planów. Świadek Valentia modliła się, najwyraźniej nie zwracając uwagi na ich milczenie i pozbawione emocji upiorne twarze. Jeśli to były ich twarze.

Opuściłem się z wozu i z donośnym brzękiem postawiłem stopy,

krusząc bruk. Wyprostowałem się, a fosowe tłoki trysnęły świetlistym dymem. Nie mógłbym unieść broni Maldona o własnych siłach. Świetlna moc zasyczała, gdy zrobiłem pierwszy krok, brzęk, a po nim kolejny, brzęk.

– Powodzenia, Ryhalcie! – zawołał Dantry.

– Wynoście się stąd.

– Pamiętaj! – krzyknął Maldon z oddalającego się wozu. – Ona może wybuchnąć!

Brzęk, kolejny krok w stronę żołnierzy. Brzęk. Niektórzy z nich już mnie zobaczyli. Brzęk. Byli oddaleni o sto stóp, równo rozstawieni przed Wielką Iglicą.

Świadek przestała się modlić, kiedy odwróciłem uwagę jej zgromadzenia. Obróciła się i mnie zobaczyła, ale nie wiedziała, jak zareagować. Byłem ubrany od stóp do głów w czarno-złotą stal, a na moim lewym ramieniu wisiała broń, jakiej zapewne nigdy nie widziała, chociaż podejrzewała, że nie będzie zachwycona jej działaniem. Na plecach miałem stalowy pojemnik wypełniony dziesiątkami tysięcy kul do rusznicy. Ich ciężar nie pozwoliłby mi się ruszyć, gdyby nie tłoki, które zamontował Maldon, ale i tak byłem w stanie stawiać kroki co dwie sekundy.

Brzęk.

– Opuść to... cokolwiek to jest! – zawołała Valentia. A kiedy nie posłuchałem, rozkazała: – Na mój znak, zniszczyć go.

Trzymałem jedną dłoń na dźwigni celowniczej. Drugą chwyciłem rączkę korby. Kiedy nią zakręciłem, włączył się pomocniczy fosowy silnik. To było dzieło geniuszu Maldona. Powiedział mi, że podobna technologia jest używana do przekręcania projektorów na szczycie Maszyny. Osiem sterczących luf zaczęło się obracać, nabierając prędkości przy wtórze krótkich wyładowań fosu.

Powiedzieli, że będę potrzebował całej armii, żeby dostać się do Saravora.

Maldon zmienił mnie w armię.

Silnik wył, fos skwierczał, otaczając mnie błękitnymi i złotymi iskrami, na wszystkie strony strzelały postrzępione błyskawice. Tuzin pocisków minął moją zbroję, kolejny tuzin się od niej odbił.

Ryknąłem i pociągnąłem za dźwignię spustu.

39

Gdyby Gleck Maldon miał wystarczająco dużo czasu, pieniędzy i wsparcia, zrewolucjonizowałyby oblicze wojny. Był znudzony i rozwścieczony, dał mi więc do ręki broń dysponującą siłą, jaka nigdy więcej nie powinna być wykorzystana.

Rusznica to potężne narzędzie walki. Czyni człowieka zabójcą z odległości stu kroków. Wydaje przerażający trzask, nie wymaga dużych umiejętności, wystarczy skierować ją w odpowiednią stronę, ale ogranicza ją czas ładowania od dwudziestu do trzydziestu sekund. Broń Maldona miała wszystkie zalety rusznicy i była pozbawiona jej wad.

Tysiące pocisków na minutę.

Deszcz ołowiu rozrywał naprawionych na strzepy. Obracające się lufy szaleńczo pluły setkami bezlitosnych kul. Pociski wgryzały się w schody prowadzące do Wielkiej Iglicy, wyrzucając w powietrze kawałki kamienia. Niszczyły opancerzone ciała ludzi, wywracając ich lub przecinając na pół. Rytmiczne grzmienie broni pulsujące w powietrzu zagłuszało wrzaski i rozpaczliwe próby odpowiadania ogniem. Kule z rusznic uderzały we mnie z siłą miotanych gładów, ale wzmocniona fosem stal je powstrzymywała, zmieniając mnie w wilka pośród myszy. Brzęk, szedłem naprzód z coraz większą swobodą. Cały czas kręciłem korbą, a broń raz za razem strzelała. Zbroja stawała się coraz lżejsza, gdy posyłałem w stronę wrogów kolejne funty ołowiu, a fosowe tłoki rozgrzewały się, pracując w szaleńczym tempie. Brzęk, brzęk, brzęk, nacierałem na Wielką Iglicę, strzelając, wciąż strzelając, wyrzucając z luf niekończący się strumień ognia i śmierci. Nie musiałem celować, wystarczyło obrócić lufy we właściwym kierunku i patrzeć przez wizjer, jak świat rozpada się na drobne kawałki. Powaliłem armię naprawionych jak rolnik koszący kukurydzę, tylko

z jeszcze mniejszym wysiłkiem.

Część żołnierzy schowała się za barykadą z nieobrobionego kamienia. Strzelali do mnie, a jeden z pocisków mocno trafił w mój hełm. Zachwiałem się i zauważyłem, że broń zaczyna wydawać z siebie cichy pisk. Obróciłem lufy w stronę wrogów i barykada przestała istnieć, a zaraz potem ich spotkał taki sam los. Żołnierze rozpaczliwie strzelali do mnie z rusznic, a pociski z brzękiem odbijały się od pancerza. Moja lewa ręka utknęła wewnątrz zbroi, gdy tłoki nagle straciły moc i odmówiły posłuszeństwa. Obróciłem się w kierunku strzelców, którzy to spowodowali, i ich unicestwiłem. Nieczuła broń nieustannie grzechotała. Jedna z nóg mi zeszywniała, gdy niespodziewanie oparł się na niej znacznie większy ciężar niż dotychczas, a łuki wyładowań otoczyły zbroję, z której w niekontrolowany sposób zaczął się wylewać fos. Broń była gorętsza niż letni dzień, a ja spływałem potem pod rozgrzaną zbroją. Kończył mi się czas.

Świadek Valentia była moim pierwszym celem. Kiedy ją mijałem, wspinając się po schodach do głównego wejścia do Wielkiej Iglicy, zauważyłem, że nie zginęła, chociaż straciła obie nogi. Wypuściła w moją stronę świetlny pocisk, a ja zatoczyłem się i nie upadłem tylko dzięki ciężarowi zbroi. Obróciłem lufy w jej stronę i ponownie podziurawiłem schody, wzbijając obłok pyłu.

Pisk broni stawał się coraz głośniejszy.

Nie miałem dużo czasu. Plac był pełen trupów i fragmentów ciał konających, ale wciąż pozostali na nim ludzie gotowi do walki, a moja zbroja odmawiała posłuszeństwa. Wycelowałem w żołnierzy i posłałem w ich kierunku garść pocisków, ale potem grzechot i trzaski ucichły, a wirujące lufy zaprzestały śmiercionośnej nawałnicy.

Zużyłem wszystkie dziesięć tysięcy pocisków. Z luf i złączy poobijanej, powgniatanej zbroi unosiły się kłęby dymu. Stal była zbyt gorąca, żeby jej dotknąć, i zaczynałem się gotować pod pancerzem. Ze wszystkich części broni strzelały iskry. Ostatni strażnicy Saravora najwyraźniej uświadomili sobie, że rozpalone do czerwoności lufy już nie będą pluły ogniem, chwycili więc berdysze i ruszyli do ataku. Z krzykiem odczepiłem broń od pojemnika z amunicją, cisnąłem ją

w stronę nacierających wrogów, po czym wszedłem do Wielkiej Iglicy.

Parter lśnił fioletowym światłem, na piętrze panowała cisza. Utalentowani siedzieli zgarbieni nad wrzecionami, przykuci do nich, martwi. Biedacy harowali nieprzerwanie, aż w końcu nie byli już potrzebni, a wtedy poderżnięto im gardła, starannie i metodycznie. Saravor przejął moc, której potrzebował, po czym zadbał o to, by nikt inny nie miał do niej dostępu.

Jego słudzy wciąż biegli w moją stronę, a przegrzana broń Maldona leżała im na drodze, wydając z siebie tak głośny pisk, że słyszałem go nawet w swoim hełmie. Chwyciłem potężne otwarte wrota Wielkiej Iglicy i naparłem na nie ramieniem. Tłoki zazgrzytały, zbroja buchnęła dymem, a ja poczułem, jak moja skóra skwierczy, gdy fosowa maszyna, zmuszona do zbyt wielkiego wysiłku, zaczęła słabnąć. Mimo wszystko ogromne kamienne drzwi zazgrzytały po posadzce i z hukiem się zatrzasnęły. Zatoczyłem się do tyłu między wrzeciona, moja zbroja dymiała, a gorąca stal przypalała ciało. Szarpałem skórzane paski, ignorując odgłosy ludzi napierających na drzwi od zewnątrz. Miałem nóż, użyłem go więc do przecięcia pasków, parząc sobie palce przez skórę rękawic, gdy wyrwałem nity mocujące hełm. Zdjąłem go już w połowie, gdy nagle na zewnątrz budynku rozległ się potężny huk, głośniejszy niż wystrzał z armaty. Wybuch wstrząsnął Wielką Iglicą, z góry posypał się pył, drzwi popękały na kawałki i zawaliły się do środka... a potem zapadła cisza.

Nie słyszałem żadnych głosów. Nikt nie pojawił się w otworze po drzwiach, przez który wlatywały kłęby pary i dymu oraz zabłakane iskry fosu. Z zewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy, słyszałem tylko syk i skwierczenie zbroi. Dźwignia uwalniająca, przed którą przestrzegali mnie Maldon, została odstrzelona, tak że pozostał po niej tylko krótki kikut. Tłukłem w niego, aż w końcu ustąpił, śruby wystrzeliły na zewnątrz, wypchnięte przez parę, i sterta rozgrzanego metalu rozsypała się po posadzce. Miałem podrażnioną skórę i przypalone ubranie, z którego parował pot.

Ciężko dysząc, usiadłem na podłodze warsztatu, próbując uspokoić oddech. Stara rana po włóchni pulsowała bólem. Wydostałem się z ciężkiego kubraka nasiąkniętego potem i rzuciłem go na parującą

zbroję. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele pocisków we mnie trafiło. Zbroja była usiana małymi okrągłymi wgłębieniami. Maldon był pierdolonym geniuszem.

Już po wszystkim. Zostałem sam.

Miałem w kieszeni pojemnik z fosem o rozmiarach rzepy, wymontowany z rusznicy błyskowej i przekształcony w granat. Kiedy wyrwę przewód kontrolny, będę miał kilka sekund, zanim pojemnik zmieni się w rozbłysk światła na tyle mocny, by rozerwać Żelazne Słońce. A także Saravora, jeśli znajdzie się wystarczająco blisko.

W Wielkiej Iglicy panowała cisza. Saravor nie spodziewał się, że ktokolwiek przedrze się przez jego legion o martwych oczach. Zakaszlałem boleśnie w zadymionym pomieszczeniu, ale po chwili zrozumiałem, że to nie dym mnie dusi. Wykrztusiłem kolejną porcję czarnej mazi z Nieszczęścia, mając wrażenie, że moje płuca poraniło tłuczone szkło. Otarłem usta grzbietem drżącej dłoni. Czarna maź parowała i bulgotała na posadzce. Nie miałem czasu teraz się tym przejmować.

W Wielkiej Iglicy stacjonowali strażnicy, uczciwi żołnierze z cytadeli. Zostali wycięci w pień, z ich pleców sterczały ostrza, a wokół wałała się ich broń. Wziąłem miecz jednego z zabitych, solidną broń o zamkniętej rękojeści. Jej właściciel niezbyt o nią dbał, ponieważ wokół kosza widniały plamki rdzy, a ostrze nie było zbyt ostre.

Ale wystarczająco ostre.

Popatrzyłem na schody. Tysiące stopni. Za dużo jak dla starzejącego się człowieka z bolącą nogą i pół tuzinem ran. Zamiast tego skusiły mnie dobrze oświetlone drzwi. Thierro uruchomił jeżdżącą platformę, obok której znajdowały się rzędy dźwigni oznaczających tuziny pięter. Pociągnąłem za ostatnią. Kierowałem się na sam szczyt.

Czułem to, gdy się wznosiłem. Ciężar, głębie przeznaczenia. Powietrze stawało się coraz gęstsze, ciśnienie rosło w miarę jak zbliżałem się do wierzchołka iglicy. Ucisk w uszach, ciężar w piersi. Ciężar duchów. Czułem, jak napływają, powoli przenikając kamień, powietrze i moje ciało. W mieście umierali ludzie. Strzelały działa, uderzały włócznie, wznosiły się i opadały sztylety, a mieszkańcy

Valengradu umierali z krzykiem na ustach, zastanawiając się, dlaczego Jasna Pani ich zdradziła w tej ostatniej przeklętej godzinie. Wyczuwałem mijające mnie cienie ludzkich istnień. Oto kobieta, która zginęła w obronie swoich dzieci. Oto chłopiec, który nie rozumiał, co się dzieje. Zginęli w ten sam sposób, a echa ich żywotów były jak podmuchy wiatru na mojej skórze. Niedowierzenie i oburzenie niesprawiedliwą, przedwczesną śmiercią rozbrzmiewało w nich jak wycie, razem z bólem, smutkiem i sprzeciwem. Każde życie miało wyjątkowe kształt i pieśń, smak i barwę, i wszystkie wzlatywały w stronę Oka i jego pana. Kończące się pieśni, których nikt więcej nie wyśpiewa.

Platforma zwolniła. Żelazna krata, za którą zobaczyłem krótkie schody, otworzyła się. Wkroczyłem w noc.

Niebo miało jaskrawofioletowy kolor, a wokół wył wiatr. Niósł ze sobą truciznę Nieszczęścia, znajomy jad i nienawiść. Tutaj, jeszcze bliżej Oka, czułem straszliwą siłę skradzionych istnień, które kłębiły się w powietrzu, sprzeciwiając się pociągnięciu ku jeszcze mroczniejszemu losowi. Czy Thierro też tutaj jest? Czy naprawieni, których zmasakrowałem, już tu wstąpili?

Żelazne Słońce było kulą zbudowaną z czarnego żelaza. Przez szpary między płytami przeświecało intensywne fioletowe światło, wystarczająco potężne, by posłać żołnierzy Davandein do piekła, gdyby Saravor tego zapragnął. Ale nie zrobił tego, a ja w końcu go zobaczyłem po drugiej stronie dachu.

Nareszcie, Saravor we własnej osobie. Wysoki jak zawsze, ale teraz bardziej barczysty, potężny, otulony ciężką szatą. Trzymał Oko Shavady, wilgotne i niespokojne, wywijające ogonem przypominającym robaka. Było obrzmiałe i pulsowało mocą, gdy napływały do niego dusze potępionych. W odległości kilku jardów stała postać w żółtym kapturze, milczący obserwator. Żaden z nich mnie nie zauważył. To była moja szansa. Wyjąłem spod koszuli granat. Będę musiał wybrać właściwy moment. Rzut musi być idealny. Jeśli rzucę za słabo, wybuch tylko muśnie Żelazne Słońce; jeśli za mocno, granat może spaść z dachu i eksplodować w dole, nie robiąc nikomu krzywdy.

Los mi sprzyjał. Saravor skupiał się na pogrążonych w chaosie ulicach, które przypominały walczące kolonie mrówek. Musiałby mieć oczy z tyłu głowy, żeby mnie zauważyć.

Szarpnąłem za kabel, odczekałem sekundę i rzuciłem.

Saravor leniwie się obrócił i machnął sękatą dłonią. Granat został porwany w locie, zmienił trajektorię i poszybował w fioletowe wieczorne niebo. Po chwili wybuchł z hukiem. Migoczący obłok światła przez jakiś czas unosił się w powietrzu, a potem się rozwiął.

To tyle.

– Dzielna próba – odezwał się Saravor. Jego nierówną twarz przecięł szeroki, zniekształcony uśmiech. – Ale zbyt oczywista. To zawsze było twoją słabością, Galharrow. Jesteś subtelny jak salwa armatnia.

– To już koniec – odparłem głupio.

Atak Saravora przypominał uderzenia powietrza, do jakich byli zdolni Urocy. Czarownik stał w odległości czterdziestu stóp i nie miałem szans do niego dotrzeć, zanim pośle kolejną falę energii w moją stronę. Dobyłem miecza, zebrałem się w sobie, obnażyłem zęby. Planowałem frontalny atak. Nie tylko Saravora chroniła magia; czułem kłębiącą się we mnie esencję Nieszczęścia.

– Chcesz zawrzeć umowę? – spytał. Uśmiechnął się do mnie, a ja zobaczyłem w nim to samo okrucieństwo, co dawniej. Trzymał przed sobą Oko, chwając się swoją zdobyczą. – Tym razem nie uratuje cię żadna Jasna Pani. Wyłożyłeś na stół już wszystkie karty. Co mi proponujesz, Galharrow? Czy dasz mi coś, co może się równać z mocą, jaką dzisiaj posiadam?

– Bezimienni na to nie pozwolą – syknąłem. – Wytropią cię i rozerwą na strzępy.

Saravor się roześmiał.

– Nie zrobią tego. Słuchasz im, ale w ogóle ich nie rozumiesz. Królowie Głębi wściekają się, kiedy ktoś próbuje się stać taki jak oni, ale tylko do chwili, gdy to się dokona. Kiedy zyskają sojusznika, który chce się uczyć i im poddać, z radością powitają mnie w swoich szeregach. – Obrócił Okiem.

– To, co robisz, jest nieludzkie – odrzekłem. Uniosłem miecz, zdając

sobie sprawę, jak żalosna jest to groźba.

Saravor chrapliwie zachichotał, jakby moje słowa naprawdę go rozbawiły. Pomocnik w żółtym kapturze zbliżył się i pomógł mu zrzucić obszerną szatę.

– Oczywiście, że tak – zaskrzeczał Saravor. – Jestem nieludzki!

Nie był jedną osobą, tylko kilkoma.

Jedno z szarych dzieci wyglądało obojętnie z jego piersi, na wpół wchłonięte przez potężne cielsko. Z brzucha, bladego i zimnego jak kamień, sterczały ręce ściskające kruchą starą księgę. *Kodeks Tarana*. Druga istota stopiła się z jego plecami, jej twarz widniała na jego karku, a skrzyżowane ręce zlewały się z żebrami. Krótkie brązowe kręgosłupy przecinały rzędami jego pierś i plecy, a kępy splątanych włosów wyrastały chaotycznie z płatów odbarwionej skóry. Pod pachą mrugało oko. W Saravorze nie było niczego ludzkiego.

– Jak ci się wydaje, w jaki sposób powstają Bezimienni, jeśli nie poprzez przejęcie mocy? – spytał kpiąco. – Myślisz, że rodzą się z taką potęgą? Nie. Naginają świat do własnej woli. Sami sięgnęli po swoją moc. Popatrz na wschód, Galharrow. Na Nieszczęście, które stworzył twój pan. Sądzisz, że jego moc...

Rzuciłem się w jego stronę. Nie było sensu czekać, aż dokończy przemowę o tym, że jego zepsucie, choroba i brud zasługują na podziw. Musiałem pokonać czterdzieści stóp w kilka sekund.

Saravor machnął ręką i w moją stronę pomknęło uderzenie mocy. Trafiło mnie, ale nie zdołało dotknąć. Iskry strzeliły w powietrze, gdy wypełniająca mnie trucizna Nieszczęścia zderzyła się z magią Uroczonego. Tylko że Saravor był znacznie potężniejszy od Uroczonego i jego cios odrzucił mnie do tyłu, aż potoczyłem się po dachu. Wziąłem się w garść, zdyszany i poobijany. Wciąż żyłem. Liczne twarze Saravora wyglądały na zaskoczone.

Nieszczęście kłębiło się we mnie i odrzucało obce czary. Tak samo jak wtedy, gdy Stracht wytrzymał atak Uroczonego.

– To niespodziewane – przyznał Saravor. – Wygląda na to, że muszę się jeszcze wiele nauczyć o tej nowej mocy. – Uśmiechnął się.

Moje ciało skrzypiało i protestowało, gdy się podniosłem. Zjebana noga odzywała się donośniej niż świeże rany. Krew ściekała mi po

ręku i piersi. Na skórze miałem więcej skaleczeń i rozcięć niż zmarszczek. Oddychanie przychodziło mi z trudem, ból przenikał nadwerężone płuca.

– Walcz ze mną. Walcz jak mężczyzna, jeśli kiedykolwiek nim byłeś. Saravor pokręcił głowami.

– Przeceniasz swoje znaczenie. Pani major, proszę się zająć Galharrowem. Niech żyje na tyle długo, by to zobaczyć. Na tyle długo, by jego pan mógł patrzeć przez jego oczy, jak zostaję wywyższony.

Zakapturzona postać podeszła bliżej, a Saravor się odwrócił i znów spojrział na miasto. Kobieta była ubrana w gruby skórzany strój kawaleryjski, rękawice, buty do jazdy konnej. Dobyła miecza, który doskonale znałem, gdyż sam go jej podarowałem, kiedy po raz pierwszy została zdegradowana.

– O nie – jęknąłem, gdy zdjęła kaptur.

Nenn miała takie samo szklane spojrzenie jak ludzie, których zabiłem na dole.

– Zawsze była moją ulubienicą – odezwał się Saravor, kiedy moja najlepsza przyjaciółka pokazała mi swój miecz. Przemawiał ustami jednego z dzieci. – Wiesz, dlaczego? Ponieważ kiedy nad nią pracowałem, nie straciła przytomności. Rozciąłem jej brzuch i włożyłem do środka garść trupich wnętrzności, a ona nawet nie krzyknęła, ani razu. To jest prawdziwa siła, Galharrow. A tylko siła ma znaczenie.

Nagle na szklaną platformę opadł kruk, niezdarnie trzepocząc skrzydłami i rozpaczliwie wypluwając słowa pochodzące z tuzina języków. Magia dusz wypełniająca powietrze mieszała mu w głowie, ale jedno słowo wyraźnie zrozumiałem: szybciej!

– Nie rób tego, Nenn – powiedziałem. – Popatrz na mnie. Popatrz na mnie, kurwa. Nie rób tego.

Rzuciła się na mnie przez powietrze gęste od dusz.

Czasami się zastanawiałem, które z nas zwyciężyłoby w walce. Miałem przewagę wielkości i zasięgu, ale ona zawsze była zacieklejsza. Ja polegałem na metodyczności i strategii, ona na wściekłości i instynkcie, ale teraz żadne z nas nie mogło wykorzystać swoich atutów. Nenn stała się bezmyślną marionetką i zadawała

pojedyncze ciosy, po których się wycofywała. Już nie była tak zabójcza. Ja parowałem jej ciosy obszernymi ruchami miecza, ale ręce miałem jak z ołowiu i podejrzewałem, że nie zdołałbym jej powalić. Miała mnóstwo energii, a ja ledwie trzymałem się na nogach. Zatoczyłem się do tyłu, a wtedy kruk rzucił się w kierunku jej twarzy. Strąciła go mocnym ciosem, a odcięte skrzyło zawirowało na szkle. Zanim zdążyłem zareagować, znów na mnie ruszyła. Nasze ostrza się zderzyły, a po chwili trafiła mnie w przedramię i je rozcięła. Upuściłem miecz, a wtedy zbliżyła się szybko jak kot i mnie przebiła.

Trafiła w brzuch. Czekala mnie powolna śmierć, na którą ona też kiedyś była skazana. Nie bolało, ale czułem zniszczenia we wnętrzu. Czułem, co mi zrobiła. Czubek ostrza wystawał z moich pleców. Tak, jak ją uczyłem. Padłem jak szmaciana lalka, pozbawiony czucia poniżej rany. Odrętwienie zaczynało rozlewać się po całym ciele. Wiele razy bywałem ranny, ale to było coś innego. To nie było powierzchowne zranienie. Tym razem opuszczało mnie życie. Nie czułem nóg.

Nenn schowała miecz, dobyła noża i przycisnęła mi go do gardła. Nic mi nie pozostało. Moje ciało odmawiało posłuszeństwa. Miałem przecięty rdzeń kręgowy. Nenn, czy ktokolwiek teraz kierował jej ciałem, chwyciła mnie za włosy i obróciła moją głowę w stronę Saravora. Chciała, żebym patrzył.

Kruk słabo zakrakał, spróbował wstać i runął na platformę.

W pulsującym świetle żelaznej kuli odznaczającej się na tle fioletowego nieba Saravor chłonał napływającą z dołu śmierć. Rusznice umilkły, ale wrzaski wciąż trwały, a ja byłem bezradny.

– Nenn – szepnąłem. – Nenn, musisz go powstrzymać.

Mocniej zacisnęła dłoń na moich włosach, upewniając się, że patrzę. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Coraz gorzej widziałem. Obraz rozmywał się na obrzeżach i kręciło mi się w głowie.

Rozległ się jęk i nagle zrobiło się zimno, gdy otaczające nas dusze się rozpierzchły. Oko zadrzało, wypełnione po brzegi mroczną mocą.

– Gotowe – oznajmił Saravor.

– Nenn – powtórzyłem. – Już z nim walczyłaś. Nie zdołał cię zmusić, żebyś mnie zastrzeliła. Nie należysz do niego. Nie całkowicie.

Czułem, jak ostrze nacina skórę na mojej szyi. Ostrzegła mnie, żebym się zamknął.

– Musisz spróbować – ciągnąłem. Słowa pojawiały się z coraz większym trudem. Zapominałem, co się wokół mnie dzieje. Coś gorącego i mokrego zalewało moje dłonie, gdy przyciskałem je do brzucha. – Walcz, Nenn.

– Co mogę... zrobić... – wysapała. Słowa pośpiesznie opuściły jej usta jak powietrze uciekające z balonu. – Jest silniejszy... ode mnie. Od... każdego.

Saravor z uwielbieniem wpatrywał się w Oko, skupiony na swojej zdobyczy. Głowy wtopionych w niego szarych istot także próbowały na nie spoglądać. Tysiąc dusz zamkniętych w naczyniu stworzonym z części ciała istoty o niesamowitej mocy. Saravor kroczył powoli, jak najwyższy kapłan własnej religii, zmierzając ku Żelaznemu Słońcu. Uniósł Oko, a wtedy jedna z jego szarych istot wyłoniła się z cienia. Miała demoniczne oblicze i szponiaste palce. Podeszła do panelu kontrolnego, gdzie znajdowały się dźwignie służące do kierowania bronią.

– Nenn – szepnąłem. – Musisz z nim walczyć. W przeciwnym razie zwycięży.

– Nie potrafię – westchnęła. Jej łzy skapywały na moją twarz, gdy zagłębiała nóż w szyi.

– Wiem, że potrafisz. Zawsze byłaś silna. Po prostu nigdy tego nie dostrzegłaś. Ale ja to widziałem. Tnota też. Betch też. Kochał cię i pragnął, nigdy nie spotkał silniejszej kobiety. Zawsze byłaś silna, Nenn. Walcz z nim. To tylko pieprzony potwór. Jesteś kobietą, którą kochał Betch. Kobietą, za którą oddał życie. Nie pozwól, żeby jakiś pierdolony potwór mu to odebrał.

Szare dziecko z brzękiem pociągnęło pierwszą dźwignię, a pod naszymi stopami rozległo się dalekie dudnienie, koła zębate zawirowały, przekładnie przeskoczyły. Pierwsza z trzech tarcz nad strefą strzału się wycofała.

– Pamiętasz tamten poranek, kiedy patrzyliście razem na wschód słońca? Na werandzie?

– Ja... – Na pół sekundy zwolniła uścisk.

– Powiedział mi, że odpowiedź brzmi: tak. Chciał, żebyś wiedziała: tak.

Jej ciało się napięło, a palce mocniej chwyciły moje włosy.

– Odpowiedział: tak? – spytała, a jej głos wreszcie zabrzmiał normalnie. Jej łzy padały mi na ramiona jak deszcz.

– Kochał cię – wykrztusiłem. Z wysiłku kręciło mi się w głowie. – Wszyscy cię kochamy.

Dziecko pociągnęło drugą dźwignię. Żelazo zazgrzytało o żelazo, gdy druga tarcza obróciła się i rozsunęła. Musiałem popatrzeć na paskudną, rozradowaną twarz Saravora. Triumfował, skąpany w fioletowym świetle. Promień mocy z Żelaznego Słońca uderzył prosto w Oko. Wątpiłem, abym miał przeżyć ten wybuch i aby Valengrad go przetrwał. Czułem, jak cała Wielka Iglica pulsuje od wzbierającej mocy.

– Ja też cię kochałam – odpowiedziała Nenn. – Kurwa, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Powiedz Tnocie, że kawał fiuta z niego.

Puściła moje okaleczone ciało, a ja bezwładnie uderzyłem o szklaną posadzkę.

Uniosła sztylet wysoko nad głowę, a potem opuściła go i z okrzykiem potwornego bólu rozcięła sobie brzuch. Wciąż wrzeszczała, gdy wepchnęła dłoń do środka i wyciągnęła garść wnętrzności. Były cuchnące i zgniłe. Odrzuciła je na bok, podczas gdy broń przygotowująca się do strzału coraz jaśniej rozświetlała jej twarz. Ja także krzyknąłem, gdy cisnęła swoje wnętrzności, dobyła miecza i rzuciła się do ataku, pomimo bólu, który musiał przewyższać całe cierpienie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

– Saravor, ty jebana pizdo! – wrzasnęła. Zatracony w triumfie Saravor obejrzał się dopiero, kiedy była przy nim.

Za późno.

Zamachnęła się mieczem, wkładając w ten cios całą wściekłość, całe swoje życie. Gdzieś w pieklach zabrzmiał tuzin dzwonów, zgiełk dusz, salwa zniszczenia, a w powietrzu poleciała odrąbana dłoń Saravora. Miał tylko chwilę, by uświadomić sobie, co się stało. Potem broń wystrzeliła.

Buchnął jaskrawy snop fioletowego ognia, a potężna moc z rykiem

połknęła Saravora, który przez chwilę się jej opierał, falujący cień porwany przez rzekę płomienistej jasności. Wydał z siebie dziki krzyk, próbując powstrzymać napierającą moc, dosięgnąć Oka, na którym wciąż zaciskała się jego odcięta dłoń. Płonął w świetle; przez cztery sekundy, pięć, aż w końcu sama siła woli nie była w stanie go utrzymać i promień zrzucił go z dachu Wielkiej Iglicy w nocne powietrze. Saravor zniknął.

Moc osłabła i rozwiała się w nicość. Jasność powoli zgasła przed moimi oczami.

Cisza.

Zobaczyłem Nenn. Leżała zwrócona twarzą do ziemi, ale patrzyła na mnie. Sądziłem, że nie żyje, lecz nagle zamrugła i uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałem uśmiechem, a ona zamknęła oczy. Potem umarła.

Duch mojej najlepszej przyjaciółki opuścił świat, który już wydawał się pusty bez niej.

Pozostałem sam. Sam ze swoją śmiercią. Saravor został powstrzymany, ale na dole tysiące ludzi straciły życie. Łańcuch był bezpieczny. Przynajmniej to się udało. Wykonałem swoją część zadania. Wronia Stopa nie będzie rozczarowany. Dotrzyma umowy i dwa istnienia, za które oddałem życie, będą trwałe, gdziekolwiek się teraz znajdują. Chociaż ten układ tak wiele mnie kosztował i teraz wykrwawiałem się na dachu Wielkiej Iglicy, wiedziałem, że zrobiłbym to ponownie. Przynajmniej moje ostatnie chwile będą spokojne. Albo i nie.

– Naprawdę spierdoliłeś sprawę – zaskrzeczał kruk.

– Osiągnąłem cel – odrzekłem. Mówienie sprawiało mi trud.

– Wronia Stopa będzie potrzebował nowego kapitana. Ale pewnie mogło być gorzej.

– Robimy tyle, na ile nas stać – odpowiedziałem i popatrzyłem na niebo

Usłyszałem szybkie, lekkie kroki. Miałem zamglony wzrok. Z trudem zbierałem myśli. Straciłem za dużo krwi. Znalazłem się za blisko całunu. Może to kroki śmierci, Długiego Kresu, który wreszcie mnie zabierze. Usłyszałem głos, ale wcale nie brzmiał jak śmierć.

Przypominał błaganie. Płacz. To dziwne, ale brzmiał jak głos Amairy, a dotyk zimnych drobnych palców, które muskały moją twarz i bezskutecznie próbowały mnie odwrócić, wydawał się znajomy. Znów usłyszałem błaganie. Potem szloch. Mężczyzna nie chce słyszeć czegoś takiego, kiedy osuwa się w czerni.

Próbowałem się do niej uśmiechnąć, gdy jej zimna rączka przyciskała moją ranę, jakby potrafiła powstrzymać zniszczenia, które dokonały się w środku. Wolałbym, żeby nie musiała tego oglądać, ale kochałem ją i egoistycznie cieszyłem się, że jest przy mnie.

Nagle ptak padlinożerca zaczął do niej szeptać.

Byłem coraz bardziej otępiały. Widziałem wszystko jak przez mgłę. Dźwięki dobiegały z daleka. Dziewczynka i kruk rozmawiali przyciszonymi głosami. Rozmawiali o obietnicach. O długach. O życiu, które przybiera niewłaściwy obrót.

Potem była tylko nicość.

40

Nie umarłem.

To mnie zaskoczyło.

Wstał świt. Słoneczny rozbłysk się skończył, niebo było tak zwyczajne, jak to możliwe nad Łańcuchem. Może nieco jaśniejsze niż zazwyczaj o tej porze roku, a znad zachodu nadciągnęło świeże wiosenne powietrze. Niebo było czyste, bezchmurne, błękitne po jednej stronie, a czerwone i popękane po drugiej. Wciąż znajdowałem się na szczycie Wielkiej Iglicy, gdzie wiał lodowaty wiatr, ale ktoś okrył mnie peleryną. Rozejrzałem się za Nenn i zobaczyłem, że ją także starannie okryto. Bałem się, że jeśli zaczerpnę powietrza, moja pierś pęknie i wyleje się ze mnie resztką wnętrzości.

Nie bolały mnie ani przebity brzuch, ani ręka, ani klatka piersiowa, czułem tylko lekką sztywność w dawno zranionej nodze. Zamknąłem oczy, niemal żałując, że się obudziłem. Dotknąłem brzucha.

Nic.

Żadnej rany, żadnej krwi, nie została nawet blizna.

Niemożliwe. Końcówkę nocy pamiętałem jak przez mgłę, ale byłem pewien, że Nenn przebiła mnie mieczem. Sprawdziłem plecy, ale tam również nie znalazłem rany.

Byłem sam. Zniknęła odcięta dłoń Saravora. Zniknęło także Oko Shavady. Na bruku było mnóstwo krwi. Zapewne mojej.

W mieście panowała cisza. Żadnych strzałów, żadnych krzyków. Sztandary Davandein i Vercantiego znów powiewały nad cytadelą. Wyglądało na to, że wygrali i odzyskali kontrolę nad miastem.

Okazało się, że mogę poruszać nogami. Nie rozumiałem, jak to możliwe, ale niewiele rzeczy miało sens. Podszedłem do Nenn, lecz nie musiałem jej odkrywać, żeby zobaczyć twarz. Posłała mi ostatni uśmiech, a teraz była ze swoim przystojnym oficerem, a przynajmniej

taką miałem nadzieję. Wsunąłem jej miecz za pas, a potem ją podniosłem. Pozostało mi niewiele sił, ale za żadne skarby bym jej nie zostawił. Szedłem powoli. Nie wiedziałem, dlaczego żyję, a ona umarła, skoro bardziej zasługiwała na życie, ale miałem obowiązek się nią zająć. Przeniosłem ją między zamordowanymi Utalentowanymi, a potem przez zniszczony plac ziejący dziurami i zasłany fragmentami ciał marionetek Saravora. Nikt nie przyszedł ich posprzątać.

Na ścianie cytadeli widniała wiadomość: ZOSTAŃCIE W DOMACH.

Zaniosłem ciało Nenn do kryjówki Maldona i położyłem je na stole. Maldon i Dantry złożyli mi kondolencje, ale one nigdy w niczym nie pomagają i nie łagodzą bólu.

– Udało ci się – powiedział Dantry i na jego ustach pojawiło się coś, co kiedyś mogło uchodzić za uśmiech.

– Nam wszystkim się udało. – Położyłem dłoń na ramieniu Maldona.

– Chyba odkupiłeś winy. Teraz możesz powiedzieć, że nie tylko próbowałeś zniszczyć miasto, ale także je ocaliłeś.

– Przykro mi, Ryhalcie – odrzekł. Wydawało się, że mówi szczerze. – Nenn była jedną z najlepszych.

– Najlepszą. Była najlepsza z nas.

Przez chwilę staliśmy pogrążeni w niezręcznym milczeniu.

– Zasłużyła na państwowy pogrzeb – rzekł w końcu Dantry. – Jako bohaterka Łańcucha.

– Nie – westchnąłem. – Zbudujemy dla niej stos pogrzebowy na dziedzińcu. Nie chciałaby wielkiej uroczystości, podczas której powiedzieliby o niej mnóstwo nieprawdziwych bzdur. Napijemy się, pożujemy czarnosok i poopowiadamy sobie o tym, jak tłukła tych aroganckich skurwieli po gębach, kiedy na to zasługiwali.

– To jest myśl – rzucił Maldon. – Znajdę trochę brandy. Dantry, chodź ze mną. Nie dosięgnę do najwyższych półek.

– Znajdź Tnotę w cytadeli – dodałem. – On też powinien przy tym być.

Zostawili mnie samego z ciałem. Stałem obok Nenn, czując, że powinienem coś zrobić, coś powiedzieć, ale była martwa, a ja nie miałem nic do dodania. Uznałaby mnie za idiotę, przeszukałem więc

kredens i znalazłem siekiere. Dziedziniec na tyłach nadawał się równie dobrze jak każdy inny piaszczysty kawałek terenu.

Amaira siedziała na płocie i machała nogami.

– Cieszę się, że pan żyje – powiedziała, ale wyglądało na to, że już wcześniej o tym wiedziała. Sprawiała także wrażenie starszej. Ale w końcu wszyscy się postarzeliliśmy, a bitwa szalejąca w mieście zapewne zakończyła dzieciństwo wielu malców.

– Muszę narębać drewna – rzekłem.

– Dla major Nenn. Pomogę – zaproponowała.

Przez jakiś czas razem pracowaliśmy; ja rąbałem drewno, a Amaira je układała. Stos musiał być ogromny. Wystarczająco duży dla bohaterki. Zdjąłem koszulę, przewróciłem płot i porąbałem go na szczapy.

– Wciąż ma pan bursztynowe oczy – zauważyła Amaira. – Oraz miedzianą skórę.

– Myślę, że jeszcze przez jakiś czas to się nie zmieni – odpowiedziałem. Jeśli w ogóle kiedykolwiek się zmieni. Ponownie zamachnąłem się siekiere.

– Ale pozostałe rany wygoiły się.

– Zgadza się. – Przerwałem pracę i oparłem siekiere o ziemię. – Byłaś tam – dodałem po chwili. – Słyszałem cię.

Amaira wzruszyła ramionami.

– Każdy z nas musi gdzieś być, Ryhalcie.

– Już nie nazywasz mnie panem kapitanem?

– Wszyscy musimy kiedyś dorosnąć. Mam czternaście lat. Nie mogę wiecznie zachowywać się jak dziecko.

Wbiłem siekiere w kawałek drewna. Łatwiej było skupić się na pracy.

– Jaką umowę zawarłaś? – spytałem w końcu, wiedząc, że to prywatna sprawa i nie powinienem o nią pytać.

– Pewnie podobną do twojej – odrzekła.

– Pokażesz?

Amaira podwinęła rękaw. Na wewnętrznej stronie przedramienia znajdował się czarno-biały tatuaż. Przedstawiał kruka o jednym skrzydle. Przez chwilę mu się przyglądałem i wodziłem po nim

palcem. Potem ją przytuliłem. Mogłem powiedzieć, że nie powinna tego robić, że moje życie nie jest warte takiego długu, że nie ma pojęcia, co zrobiła. Ale tylko poczułem, że moje serce jeszcze bardziej pęka.

– Co się stało z Okiem?

– Zaniósłam je do serca Maszynerii i pogrzebałam. Dla bezpieczeństwa. Dopóki Bezimienni nie przyjdą, aby je odebrać.

– Dostałaś się do środka?

– Kruk podyktował mi wierszyk. „Serce jest zimne, czarne jak noc...”.

– Znam go – przerwałem jej.

Pokiwała głową ze smutnym uśmiechem. Wyglądało na to, że kruk wiele jej powiedział, gdy zawarł z nią umowę. Najwyraźniej wypełnił swoje zadanie. Byłem wściekły na Wronią Stopę albo kruka, co na jedno wychodzi, za to, że zabrał Amairę. Ale wiedziałem, że głównie go obchodzi, czy jestem na niego zły, a kruk ostatecznie ocalił mi życie, postanowiłem więc odpuścić. Wszedłem do budynku.

– Będziesz za nią tęsknił. Mówię o Nenn – odezwała się Valiya. W pomieszczeniu panował mrok. Nie zapaliła świateł, gdy zapadł zmierzch, a okno było zbyt brudne, by coś przez nie zobaczyć. Na stole piętrzyły się dokumenty i listy. Przyjaciół, wrogów, dostawców, dłużników. Nawet w tej chwili zajmowała się odbudową. Ostatnie na liście było moje nazwisko, zapisane do połowy. Na zewnątrz było jeszcze ciemniej, tylko pojedynczy neonowy szyld obmywał Valiyę błękitnym blaskiem. Zresztą nie było tam niczego wartego oglądania.

Miasto znów stało się ciche i łagodne. Spało, podczas gdy my czuwaliśmy.

– Każdego dnia, póki żyję. Oraz każdego dnia po śmierci – odpowiedziałem.

Valiya przyjrzała się zawartości swojej szklanki. Rzadko znajdowało się tam coś dobrego. Powoli przełożyła pióro z ręki do ręki.

– No i za swoją Jasną Panią – dodała. – Myślisz, że odeszła na dobre? W jej słowach wyczułem zgryźliwość.

– Przynajmniej na razie – odrzekłem.

– Czarnoskrzydli, jakich znaliśmy, przestali istnieć – stwierdziła. –

Czarnoskrzydli to ty i ja. Wszystko, co zbudowaliśmy, obróciło się w popiół. Wszystko, na co pracowaliśmy. Wszystko, co mieliśmy. Wszystko, co mogliśmy mieć.

Napięcie w pokoju wzrosło. Zbliżyłem się, ale trudno było jej wytrzymać moją obecność, szorstką i nieuchwytną. Odrobina milczenia bywa groźna, a w większych ilościach zmienia się w trujący obłok. Czulem jej zapach, słodkie jaśminowe perfumy, za dobre dla miejsca, w którym przebywała. Zawsze nieco zbyt wyrafinowane dla tego miasta, dla tych ludzi. Także dla mnie.

– Nie mogę zostać – powiedziałem. Popatrzyłem na iskry ciemności pod swoją miedzianą skórą. Ale to nie był jedyny powód.

Pokiwała głową. Nigdy nie musiałem Valiji niczego mówić. Wszystko wiedziała.

– Rozumiem – odrzekła. – Teraz już tak. Długo nie rozumiałam. Tnota próbował mi to wyjaśnić, ale nie potrafiłam tego pojąć. Nie w pełni. Tego, jak bardzo ona tobą zawładnęła.

Odwróciła się w moją stronę. Była spokojna. Widziałem, że płakała, ale już zabrakło jej łez i pozostały po nich tylko ślady, zaczerwienione oczy i rumiane policzki. Odgarnęła włosy z oczu i je związała. Nie ukrywała się za grzywką. To była noc wolna od tajemnic.

– Mam wobec niej dług – wyjaśniłem. Tylko tyle mogłem powiedzieć. Wszyscy mieliśmy wobec niej dług. Większy, niż nam się wydaje.

– Wiem. Nie będę cię prosiła, żebyś zlekceważył swój obowiązek. Wiem, co zrobiła. Wiem, kim była. Nie mogę rywalizować ze zmarłą. Ani ze wspomnieniem. Żyjemy na popiołach i ktoś musi zająć się odbudową. Ktoś musi pokazać Davandeinom i Vercantim, jak należy dowodzić. Będę ciężko pracowała i oświetlę drogę. Wyprowadzę Valengrad z za tej zasłony. Czeka na nas życie, które możemy zdobyć. – Zabrała płaszcz z krzesła i podniosła na mnie wzrok. Gasła w oczach jak jesień. Rozkwitała jak wiosna. – Ale nie będę ciebie wyczekiwała.

Płaszcz otulił jej ramiona jak połykający ją cień. Wyglądała pięknie jak zawsze i żałowałem, że nie mogę wszystkiego z nią dzielić. Byłem obolały, wypalony, wyczerpany i chciałem opowiedzieć jej o wszystkich marzeniach, których sobie odmawiałem, zapewnić ją, że

zasługuje na znacznie więcej, niż mogę jej dać, a gdybym tylko mógł, ostatkiem sił usunąłbym wszystkie głązy leżące mi na drodze, byle tylko na nią zasłużyć. Ale ona nigdy nie marnowała czasu, zwłaszcza na zrujnowanych mężczyzn i ich wyrzuty sumienia, a jej zapał i skuteczność były jednym z powodów, dla których się w niej zakochałem. Porzucając mnie, znajdzie i zdobędzie życie, jakiego pragnie i na jakie zasługuje. Byłem okrutny, skoro dopiero teraz potrafiłem to przyznać.

Zresztą to bez znaczenia. Ona i tak to wszystko wiedziała.

– Opiekuj się Amairą – powiedziałem.

– Nie – odparła ze smutnym uśmiechem. – Wronia Stopa także ją mi odebrał. Teraz ty za nią odpowiadasz, Ryhalcie. Musisz ją uczyć, szkolić. Nie zawieź jej.

Przeszła przez pokój. Powinienem był coś zrobić. Błagać ją, aby została, powiedzieć, że mi przykro. Wyznać, że jej potrzebuję.

Drzwi się zamknęły i zniknęła.

* * *

Kiedy nadeszła noc, ułożyliśmy Nenn w miejscu jej ostatniego spoczynku. Do jednej ręki włożyłem jej miecz, czego z pewnością by chciała, a do drugiej butelkę brandy z Whitelande. Tnota podpalił stos. Nie miało to żadnego symbolicznego znaczenia, po prostu byłem zmęczony. Potem się napiliśmy jeszcze raz, a następnie waliśmy resztę brandy w płomień i roztrzaskaliśmy butelki, tak, jak ona by zrobiła.

Tej nocy niebo śpiewało donośną serenadę, odprowadzając duszę Nenn tam, dokąd się udawała. Jeśli w ogóle dokądś się udawała.

– Co teraz? – spytał Maldon, kiedy ogień przygasł, a Dantry i Amaira położyli się spać.

– Złożyłem obietnicę pewnej damie – odrzekłem. – To trudna sprawa. – Popatrzyłem na nierówne słowa, które wyciąłem sobie na rękę. – Ale chyba wiem, jak jej dotrzymać. Choć nie będzie łatwo.

– Jak zawsze. Dokąd musimy iść?

– Ty nie musisz nigdzie iść. Jutro opowiem wszystko tobie i Dantry’emu.

– A dziewczynie nie?

– Próbowaliby mnie powstrzymać.

Maldon zachichotał, stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy ostatni toast za zmarłą kobietę, która była warta więcej niż my wszyscy razem wzięci.

Przemierzałem miasto w ostatnich godzinach przed świtem. Pożary zgasły, a ludzie nie posłuchali rozkazu cytadeli, by pozostać w domach, tylko zdejmowali deski z okien i z płaczem ściskali sąsiadów, o których się martwili. Odbudują miasto i życie będzie się toczyło dalej, ale ja czułem się nieobecny, jakbym już nie był jednym z nich. Wspiąłem się na miejskie mury i oparłem o blanki, spoglądając na wschód ku Nieszczęściu. Pęknięcia na niebie lśniły bielą i brązem, poszarpane rozdarcia w bezksiężycowej nocy. Podszedł do mnie strażnik.

– Nie powinno pana tutaj być.

– Racja – zgodziłem się. – Powinienem być tam.

Czułem je w kościach. Przepływało przeze mnie, byliśmy nierozłączni.

„Wróć do mnie” – szeptało Nieszczęście. – „Wróć. Czekam”.